

Roger Ferris, agent CIA, zostaje skierowany na placówkę jordańską. Jego głównym zadaniem jest zapobieganie dalszym spektakularnym atakom Al-Kaidy. Ferris wpada na pomysł prowokacyjnej akcji, której głównym elementem mają być zwłoki fikcyjnego agenta CIA, który, nim zginął, zdołał rzekomo dokonać rzeczy niemożliwej - zdobył informatora spośród fanatycznych zwolenników terrorystów. Plan wciąga przedstawicieli zwalczających się stron w sieć misternej i skomplikowanej intrygi, a sam Ferris zaczyna się czuć jak pilot kruchej awionetki lecącej na oślep w objęcia huraganu. W końcu jego jedyną nadzieją na ratunek pozostaje wytworny dowódca jordańskich służb wywiadowczych, który mógłby być arabskim odpowiednikiem słynnego bohatera szpiegowskich powieści Johna Le Carre'ego. Tylko czy Ferris może mu w pełni zaufać?

Niespotykany i przejmująco dokładny obraz rzeczywistych operacji służb wywiadowczych Bob Woodward, współautor Wszystkich ludzi prezydenta

David Ignatius zrobił to ponownie. Podobnie jak w nowatorskich Agentach niewinności, W sieci kłamstw przedstawia fabułę fikcyjną, która może uchodzić za dokumentalną. Agenci CIA podziwiają Ignatiusa za to, że jak nikt inny rozumie niuanse ich służby. Fascynująca książka.

George Tenet, były dyrektor CIA

Dotkliwa niepewność... W świecie Ignatiusa polityczna strona działań wywiadowczych i wynikające stąd komplikacje zapadają głęboko w pamięć... Ten fikcyjny świat jest tak wciągający, a przy tym tak realny, że człowiek ani na chwilę nie przestaje się zastanawiać, czy to naprawdę fikcja.

Scott Turow

IGNATIUS DAVID

W SIECI KŁAMSTW

Z angielskiego przełożył Andrzej Leszczyński

Od autora

Wojna opisana w tej książce toczy się naprawdę, ale powieść jest dziełem mojej wyobraźni. Postaci, wydarzenia oraz instytucje zostały przeze mnie zmyślane. Mojej jor-dańskiej służbie wywiadowczej pozostawiłem oryginalną nazwę, jak również odrobinę rozmachu, ale cała reszta to fikcja. Jestem nadzwyczaj wdzięczny weteranom tajnych organizacji z całego świata, którzy dzielą się moją fascynacją oraz troską o losy Bliskiego Wschodu i którzy przez tyle lat prowadzili mnie w stronę prawdy, nawet gdy okazywałem się za głupi, żeby ją dostrzec. Szczególne wyrazy wdzięczności pragnę przekazać kilku osobom: mojemu serdecznemu przyjacielowi od ponad czterdziestu lat, Jonathanowi Schillerowi, który udostępnił mi zaciszny pokój w kancelarii adwokackiej „Boies, Schiller & Flexner”, gdzie mogłem w spokoju pracować nad tą książką przez wiele miesięcy; Evie Ignatius i Garrettowi Eppowi, którzy czytali wczesne wersje maszynopisu; moim niezrównanym agentom literackim, Raphaelowi Sa-gaylnowi, Bridget Wagner i Ebenowi Gilfenbaumowi, którzy mi stale doradzali, zachęcali i dopingowali; Bobowi Bookmanowi z Creative Artists Agency, który udzielił wie-

U cennych rad dotyczących fabuły powieści i jej bohaterów, mojemu wydawcy u Nortona, Starlingowi Lawren-ce ovvi, który swoim studentom z wydziału kompozycji literackiej jak zwykle robi złośliwe uwagi na marginesach;

Wreszcie memu przyjacielowi i pracodawcy z redakcji Hlilton post Donaldowi Grahamowi. „Do kardynalnych zasad prowadzenia wojny od zawsze należało zaskakiwanie przeciwnika i wyprowadzanie go w pole. Co za tym idzie, takie czy inne ruses de guerre odgrywały ważną

rolę niemal w każdej kampanii od czasu epizodu z koniem trojańskim, a może nawet jeszcze wcześniej. Gra jest zatem prowadzona od tak dawna, że bardzo trudno wymyślić nowe sposoby na ukrycie swoich sił czy zamiarów. Co więcej, podczas planowania i wprowadzania w życie wszelkich intryg należy zachować szczególną ostrożność. W przeciwnym razie zamiast oszukania nieprzyjaciela posłużą jedynie obnażeniu prawdy".

- Lord Ismay, ze wstępu do książki Człowiek, którego nie było, 1953

Prawie miesiąc zajęły poszukiwania odpowiednich zwłok. Roger Ferris miał bardzo szczególne wymagania. Zależało mu na człowieku trzydziestoparoletnim, dobrze zbudowanym, najlepiej blondynie, ale przede wszystkim należącym niewątpliwie do rasy indoeuropejskiej; nie mógł nosić żadnych rzucających się w oczy oznak choroby bądź urazów fizycznych, no i nie mógł mieć śladów po kulach. To by zanadto skomplikowało późniejsze sprawy.

Ferris niemal bez przerwy siedział na Bliskim Wschodzie, toteż dogranie wszelkich szczegółów spadło na jego szefa, Eda Hoffmana. Ten zaś nie ufał swoim kolegom i nie wierzył, by któryś z nich zdołał załatwić sprawę, nie powiadamiając wcześniej komisji kongresowej czy w jakikolwiek inny sposób nie doprowadzając do wpadki. Niemniej w tych czasach łatwo było znaleźć w wojsku ludzi gotowych przyjąć niemal każde zlecenie, toteż Hoffman skontaktował się z ambitnym pułkownikiem ze sztabu Dowództwa Operacji Specjalnych w bazie lotniczej MacDilla na Florydzie, z którego pomocy już wcześniej korzystał. Wyjaśnił tylko, że liczy na przysługę, i to dość niezwykłą. Potrzebny mu był biały mężczyzna, wzrostu około stu osiemdziesięciu centymetrów, wkraczający w wiek średni, na tyle barczysty, żeby można go wziąć za agenta wywiadu, lecz nie na tyle atletyczny, aby nie wyglądał na komandosa. Idealny kandydat nie mógł być obrzezany. Za to musiał być martwy. Pułkownik znalazł odpowiednie zwłoki trzy tygodnie później w pewnej kostnicy na południu Florydy. Zaangażował do tego celu grupkę emerytowanych oficerów pracujących w branży ochroniarskiej i przyjmujących wszelkie zlecenia. Mężczyzna utonął poprzedniego dnia w trakcie uprawiania windsurfingu na zachodnim wybrzeżu stanu, w pobliżu Naples. Był prawnikiem z Chicago, który wybrał się tam na urlop - dobrze zbudowanym ciemnym blondynem, nienoszącym oznak żadnej choroby i posiadającym cały napletek. Nazywał się James Borden i zmarł w wieku trzydziestu sześciu lat. Tak więc zwłoki doskonale nadawały się do ich celów, pomijając jeden szkopuł: za dwa dni miały zostać poddane kremacji w domu pogrzebowym w Highland Park, w Illinois. Stwarzało to pewne wyzwanie. Hoffman zapytał pułkownika, czy kiedykolwiek brał udział w akcji pakowania zwłok do plastikowych worków, na co ten odparł, że nie, ale jest gotów i to zainscenizować. Hoffman pomyślał z żalem, że w CIA od nikogo nie usłyszałby podobnego zdania.

Z potrzeby chwili zastosowali uproszczoną wersję gry w dwie karty dla hien cementarnych: inne zwłoki zostały załadowane do przedziału bagażowego samolotu w Fort Myers, a inne wyładowano na lotnisku O'Hary. Trumna była ta sama, tyle że teraz spoczywał w niej siedemdziesięcioośmioletni emerytowany agent ubezpieczeniowy, który zmarł na zawał serca. Pułkownik osobiście wysłał do domu pogrzebowego w Highland Park pisemne zalecenie, by nie organizować wystawiania zwłok, nawet gdyby ktoś z rodziny w ostatniej chwili tego zażądał. Na wypadek, gdyby coś poszło nie tak, mieli przygotowaną bajeczkę o tragicznej pomyłce pracowników linii lotniczych, którzy musieli pomylić trumny podczas transportu, tyle że było za późno na powtórny zamianę, gdyż drugie zwłoki zostały już poddane kremacji w Milwaukee. Nie musieli jednak z niej korzystać.

Zwłoki Jamesa Bordena nie były idealne, ale i tak nieźle pasowały. Mężczyzna faktycznie był dość barczysty, lecz z ustąpieniem stężenia pośmiertnego klatka piersiowa nieco mu się zapadła, a poza tym miał wyraźną łysinkę na czubku głowy. Później okazało się jeszcze, że ma jedno jądro niezstąpione. Lecz im dłużej Hoffman rozmyślał o tych wszystkich wadach, tym bardziej mu się podobały. Mieli bowiem do czynienia z autentycznymi ludzkimi

niedoskonałościami, które powinny bardziej uwiarygodnić planowane oszustwo. Idealne podrobka zawsze budzi podejrzenia.

W krótkim czasie dorobił zwłokom całą historię. Zaczął od zmiany personaliów i z Jameas Bordena zrobił Harry'ego Meeker-a. Wynajęli mu mieszkanie w Alexandrii, załatwili telefon domowy oraz komórkowy. Korzystając ze zdjęcia Bordena dołączonego do prawa jazdy z Illinois, wyrobili Meekerowi analogiczny dokument Wspólnoty Wirginijskiej, a następnie paszport, w którym technicy z działu wsparcia logistycznego podrobili odpowiednie pieczęcie i wizy. Dla zdobycia zdjęcia paszportowego kolega Hoffmana Sami Azhar włamał się na internetową stronę firmy prawniczej Bordena i ściągnął z niej kilka fotografii zmarłego, wykorzystywanych w drukach reklamowych i promocyjnych.

Harry Meeker miał być pracownikiem Federalnej Agencji Rozwoju Międzynarodowego, toteż wyrobili mu także identyfikator USAID. Na wizytówkach został wydrukowany numer telefonu agencji wraz z numerem wewnętrznym, jednakże tylko kierunkowy 712 był autentyczny, bo pod wskazanym ciągiem cyfr odzywał się głuchym dudniącym głosem ktoś, kogo nikt nie zatrudniłby na stanowisku sekretarki. Meeker zyskał nawet zarezerwowane miejsce parkingowe przed wejściem do Gmachu Reagana przy Penn-syhanian Avenue, a w jego portfelu wylądował plastikowy znaczek z numerem tegoż miejsca. To wszystko jednak było proste i nie wykraczało poza standardową procedurę budowania fikcyjnej tożsamości. Ale Harry'ego Meeker a trzeba było jeszcze uczynić autentycznie istniejącą osobą.

Na przykład, potrzebował ubrań. Hoffman w ogóle nie znał się na męskiej modzie i nosił tylko to, co żona kupowała mu w supermarketach i na wyprzedażach, toteż nie mógł wziąć na siebie zakupów. Azhar okazał się bez reszty oddany stylistyce Nordstro-ma, która w pewnym zakresie nosiła północnowirginijski charakter mody nowobogackich, ale była wystarczająco elegancka i tradycyjna. Wymyślony przez nich Harry Meeker miał być w rzeczywistości obiecującym agentem CIA pracującym w dowództwie, w Centrum Antyterrorystycznym - oficerem robiącym szybką karierę, intensywnie poszukującym dla siebie głośnej sprawy, wystarczająco byстрыm, żeby się uczyć arabskiego, i wystarczająco przebiegłym, żeby się wkręcać do ważnych zadań. Nie wiedzieli jeszcze, gdzie dokładnie będą musieli podrzucić zwłoki, zakładali jednak, że będą to przygraniczne rejony północnego Pakistanu, gdzie bywa bardzo zimno. Dlatego Azhar kupił dość gruby sweter, mocne wełniane spodnie z zaszewkami, białą koszulę oraz parę skórzanych butów na grubych gumowych podszewkach, nadających się zarówno do chodzenia po mieście, jak i na wyprawy w teren. Ubrania zaniósł kilka razy do pralni, żeby wyglądały na używane, ale prawdziwy kłopot mieli z butami. Mimo licznych obić i zadrapań, wciąż wyglądały jak nowe, jakby nikt w nich nigdy nie chodził. Dlatego Azhar postanowił w końcu nosić je przez tydzień, chociaż musiał wkładać po kilka par skarpet, żeby nie poobcierać sobie stóp.

A co z życiem osobistym Harry'ego Meekera? Ferris z góry przesądził, że powinien on być rozwiedziony - ten element biografii niemal automatycznie przypisywano wszystkim agentom CIA - że porzucił pierwszą żonę i teraz sypiał z przygodnymi znajomymi. Dla wzmocnienia sugestii o rozwodzie Azhar spreparował list od adwokata fikcyjnej żony o imieniu Amy, w którym nakazywał on Meekerowi przysyłać alimenty pod jej nowy adres, przypominając jednocześnie o sądowym zakazie bezpośrednich kontaktów. List nie wyjaśniał, czy agent był zwykłą gnidą,

czy też jego żona po prostu znalazła sobie kogoś innego. Ważne, że spełniał swoje zadanie. Teraz Harry'emu Meekerowi potrzebna była przyjaciółka -koniecznie bardzo ładna i seksowna. W końcu wszyscy oglądali filmy o Jamesie Bondzie, nawet bojownicy džihadu, powinni więc założyć, że prawdziwy szpieg amerykański musi się pokazywać w towarzystwie jakiegoś kociaka. Hoffman chciał szukać zdjęcia cypatej blondynki w bikini, lecz Azhar orzekł, że znajoma w typie Pameli Anderson będzie zbyt ewidentną lipą. Trzeba było poszukać seksownej dziewczyny, ale takiej, która z powodzeniem mogłaby również

pracować dla agencji. Ferris wpadł na pomysł, żeby w dodatku była Afroamerykanką. Taki związek wydawał się na tyle mało prawdopodobny, że mógł uchodzić za wiarygodny. Hoffman zaproponował więc swoją sekretarkę, ka-kaowoskórą piękność o zniewalającym uśmiechu. Zapytał ją, czy nie zechciałaby pozować im do zdjęcia w krótkiej bluzeczce odsłaniającej brzuch. Miała na imię Denise, co brzmiało całkiem niezłe, toteż gdy zdjęcie było gotowe, Hoffman poprosił ją jeszcze, by napisała na odwrocie: „Kocham cię, złotko. Denise”, i narysowała małe serduszko.

Ferris zastanawiał się jeszcze nad listem miłosnym, uznał jednak, że to już za wiele. W dzisiejszych czasach mało kto pisywał jeszcze miłosne listy, prędzej wysyłał maile. Nie chcieli wyposażać Harry'ego Meekera w przenośny komputer, toteż Azhar zaproponował, by w telefonie komórkowym zapisać kilka SMS-ów i ten pomysł bardzo im się spodobał. Wysłali zatem dwie wiadomości z telefonu „Denise”. Pierwszą lakoniczną: „skarbeczku”. I drugą: „wracaj szybko, skarbie, bo tęsknię za tobą. buziaki, dee”. Miało to być seksowne, ale nie wulgarne. Hoffman uznał, że Harry powinien nosić w portfelu prezerwatywę, co by sugerowało, że lubi sobie poużywać na boku w czasie wyjazdów służbowych.

Zresztą telefon komórkowy był dla nich większym wyzwaniem. Azhar wprowadził do pamięci numer Denise oraz centrali

USAID, później dodał jeszcze numer kolejnej fikcyjnej dziewczyny agenta, którą nazwał Sheila, oraz wymyślonego przyjaciela o imieniu Rusty, wpisując przy nim swój domowy numer telefonu. Potrzebowali jednak wyraźnej przynęty, toteż Azhar zadzwonił pod numer komórki Meekera z kilku różnych aparatów w centrali CIA, mających charakterystyczny kierunkowy 482. Następnie wprowadził jeszcze parę numerów fikcyjnych rozmówców, natomiast listę rozmów wychodzących zapełnił, dzwoniąc do restauracji McLeana znajdującej się nieopodal siedziby agencji, pod kilka numerów z Pentagonu, do centrali ambasady amerykańskiej w Islamabadzie i do przedstawiciela ambasady w Tbilisi. Wychodzili z założenia, że telefon komórkowy przypomina cyfrowy rejestrator faktów z życia jego właściciela. Nie trzeba było fachowca, by na podstawie zapisów w aparacie Harry'ego Meekera szybko dojść do wniosku, że musiał on prowadzić podwójne życie.

Pewnego dnia późnej jesieni wspólnie ubrali zwłoki oczekujące w chłodni specjalnie do tego celu przygotowanej przez Hoffmana pod północnym parkingiem centrali CIA. Skóra Harry'ego miała odcień żółtawej kości słoniowej albo przepalającej się jarzeniówki i była lodowato zimna w dotyku. Lekko zmierzwiłone włosy starannie uczesali i przygładzili, nadając trupowi wygląd Bruce'a Willisa. Kiedy w końcu Hoffman obrzucił uważnym spojrzeniem nagą postać leżącą na stole chirurgicznym, z widocznym tylko jednym jądrem, syknął:

- Jezu, włóżmy na niego wreszcie jakieś ciuchy, do cholery. Zaproponował obcisłe elastyczne majtki, na co Azhar tylko

przekrzywił głowę na ramię i rzekł:

- Kiepski pomysł.

Znaleźli więc mocno sprane bokserki i wciągnęli je na trupa. Zastanawiali się przez minutę, czy Harry powinien mieć na sobie podkoszulek, ale w końcu z niego zrezygnowali, bo to by nie pasowało do jego wieku. Włożenie koszuli i spodni poszło już łatwiej, ale kłopot sprawiły buty. Stopy były całkiem zeszywniałe, nie chciały się zginać ani w palcach, ani w kostkach. Hoffman wysłał więc sekretarkę, by kupiła turystyczną suszarkę do włosów i dopiero posługując się nią, na tyle rozgrzał stopy, że weszły w buty.

Wreszcie zajęli się śmieciami - drobnymi skrawkami papieru w kieszeniach oraz portfelu, mającymi uwiarygodnić autentyczność Harry'ego Meekera. Mieli paragon ze znajdującej się w kompleksie McLeana restauracji Afghan Alley, którą wielu oficerów CIA odwiedzało w czasie przerwy na lunch. Należność została uregulowana kartą Visa wystawioną na nazwisko Meekera. Hoffman dorzucił jeszcze jeden paragon, z drogiej restauracji Kinhead's Colvin Run

Tavern w Tyson's Corner, opiewający prawie na dwieście dolarów za kolację dla dwóch osób. Mógł on sugerować, że Harry poważnie myślał o związaniu się z Denise. Ferris załatwił dodatkowo kartkę z pieczętą sklepu jubilerskiego w Fairfax, na której znajdowała się odręczna notatka: „2 karaty -5 \$ 111”. Zatem był to kolejny dowód, że Harry myślał o ślubie, martwił się tylko o wydatki. Azhar dostarczył rachunek z pralni chemicznej Park's Fabric Care w centrum handlowym McLeana, motywując, że ludzie zwykle zapominają odebrać swoje rzeczy z pralni przed wyruszeniem w podróż. Dołączył do tego rachunek za benzynę ze stacji Exxon przy drodze numer 123, a więc znajdującej się na wprost głównej bramy siedziby agencji. To było niezłe posunięcie. Na dodatek znalazł się też paragon z automatycznej myjni samoobsługowej w Alexandrii, niedaleko mieszkania wynajętego na nazwisko Harry'ego.

Hoffman zaproponował, żeby wyposażyć agenta w odtwarzacz mp3, wywiązała się więc dyskusja na temat ulubionego gatunku muzyki wymyślonego agenta. Wreszcie Azhar wpadł na świetny pomysł, żeby zamiast muzyki załadować do pamięci urządzenia kurs wymowy języka arabskiego. Nie wątpili, że człowiek, który odnajdzie zwłoki, poświęci mnóstwo czasu na odsłuchiwanie na-

grań i próby złamania tajemniczych szyfrów, zanim uświadomi sobie, że są to zwykłe ćwiczenia wymowy zdań arabskich. W końcu ambitny, oddany swojej pracy agent wywiadu amerykańskiego powinien mieć przy sobie tego rodzaju ściągawkę. Hoffman znalazł jeszcze w swoim portfelu stary bilet z meczu drużyny Washington Wizards i upchnął go w wewnętrznej kieszeni marynarki nieboszczyka.

Pozostały im tylko ostatnie drobiazgi, pozostawione na później: dokumenty, jakie Harry Meeker miał dostarczyć swojemu łącznikowi z Al-Kaidy, oraz zdjęcia i depesze, które w miarę wędrowania ku szczytom hierarchii organizacji, powinny wywołać reakcje podobne do eksplozji wirtualnych bomb z opóźnionym zapłonem, stanowiąc tym samym dowód, że jej poszczególne komórki dały się schwytać w pułapkę. To bowiem, co szykowali, przypominało tabletkę silnej trucizny, tak sprytnie zamaskowaną i zapakowaną, że wróg powinien chętnie ją połknąć. Ową tabletką był właśnie Harry Meeker, a skutkiem jego działania powinno być sparaliżowanie każdego węzła chłonnego i naczynia krwionośnego w ciele wroga. Najpierw jednak trzeba było go nakłonić, by zechciał połknąć fałszywą pigułkę.

Berlin

Cztery dni po wybuchu samochodu-pułapki w Mediolanie Roger Ferris wyruszył w podróż do Berlina z szefem jordańskiego wywiadu Hanim Salaamem. Placówka w Ammanie tonęła w istnej lawinie cyfrowych komunikatów, lecz na szóstym piętrze panowała napięta atmosfera, gdyż nadal nie znano o autorach zamachu żadnych konkretów, które dyrektor mógłby przedstawić prezydentowi. Niemniej, tam zawsze panowała napięta atmosfera, toteż Ferris uznał, że podróż z Hanim do Berlina jest ważniejsza. Okazało się, że miał rację.

Wiele razy słyszał opowieści o niezwyklej skuteczności jordańskich służb wywiadowczych, które w centrali powszechnie określano mianem „Heartsów”, po części z powodu nadanego im kryptonimu QM HEART, a po części właśnie ze względu na stosowane metody operacyjne. Jednakże dopiero podróż do Berlina pozwoliła mu zobaczyć te metody na własne oczy. Intryga nie była nawet specjalnie skomplikowana. Przygotowanie pułapki zajęło parę miesięcy żmudnej pracy, ale gdy już doszło do punktu kulminacyjnego, operacja wyglądała na najprostszą pod słońcem. Jak pytanie, na które istnieje tylko jedna odpowiedź. Ale wtedy jeszcze Ferris nie zastanawiał się dłużej nad wysiłkiem, jaki trzeba było włożyć w ostateczny sukces. W labiryncie, który sprawia wrażenie genialnie rozplanowanego, kto się będzie zastanawiał, czy nie jest on aby częścią większego labiryntu. Kiedy z daleka widać jasno oświetlone wyjście, nikomu nie przyjdzie do głowy, że jest to raczej wejście do znacznie bardziej zagmatwanego otoczenia.

Nie bez trudu odnaleźli budynek mieszkalny na wschodnich przedmieściach Berlina, w dzielnicy zrównanej z ziemią przez Armię Czerwoną w 1945 roku i tylko częściowo odbudowanej. Białe październikowe słońce nadawało chmurom wygląd polerowanej blachy, ale budynki jak gdyby oblewało błotem, w którym każdy odcień tynku wydawał się brudnobrązowy, co świetnie pasowało do mieniących się wszystkimi barwami tęczy oleistych kałuż w dziurach nawierzchni i starych poobijanych trabantów, stojących wzdłuż krawężników. W głębi ulicy młody Turek samotnie kopał piłkę. Jeśli nie liczyć szumu ruchu ulicznego z nieodległej Jakobstrasse, panował tu idealny spokój i cisza. Pod wskazanym adresem stał ponury kłoc z prefabrykatów, przed laty wzniesiony naprędce dla robotników pobliskiej fabryki, pomnik minionej epoki teraz chylący się ku ruinie, zamieszkały jedynie przez emigrantów, włóczęgów oraz skromną gromadkę podstarzałych Niemców, zanadto ogłupionych albo nazbyt leniwych, żeby się stąd wynieść. Zza otwartych okien nie dolatywały już zapachy kapusty i smażonych kotletów, tylko czosnku i taniego oleju roślinnego.

Ferris miał niecałe sto osiemdziesiąt centymetrów wzrostu, błyszczące czarne włosy i łagodne rysy twarzy. Wargi układały mu się w lekki uśmiech, a w oczach zawsze błyszczały skry zainteresowania, nawet wtedy, gdy

był całkiem znudzony. Wyraźnie utykał na jedną nogę, co było efektem obrażeń odniesionych po eksplozji pocisku z granatnika wystrzelonego przed sześcioma miesiącami w kierunku jego samochodu na północ od Bagdadu. Miał wtedy szczęście, że tylko odłamek trafił go w nogę. Przeżył, podczas gdy agent iracki prowadzący wóz zginął na miejscu. Mówi się, że oficerowie wywiadu powinni wyglądać jak szaraczki, że nie powinni się niczym wyróżniać w tłumie. Pod tym względem Ferris nie pasował do profesji. Brakowało mu cierpliwości, wiecznie rozpierała go energia i chęć natrafienia na coś, czego dotąd jeszcze nie przeżył. Teraz ruszył za Hanim i jego asystentem Marwanem. Szerokim łukiem ominęli stertę śmieci wysypujących się z pojemnika stojącego na chodniku i skierowali się do tylnego wejścia budynku. Sciana przy drzwiach była pokryta wielkimi kanciastymi literami graffiti, układającymi się w dziwną mieszankę słów niemieckich i tureckich. Pierwsze z brzegu wyglądało jak „Allah”, choć równie dobrze mogła to być „Abba”, nazwa szwedzkiego zespołu muzycznego. Hani przytknął palec do warg i wskazał okna na drugim piętrze. Zza poplamionych brązowych zasłonek przesączało się światło. Obiekt był w domu, ale to ich wcale nie dziwiło. Ludzie Haniego obserwowali ten budynek już od paru miesięcy, a oni nigdy nie popełniali błędów.

Hani Salaam był szczupłym, elegancko ubranym Jordańczykiem o kruczoczarnych włosach, zdecydowanie zbyt czarnych jak na człowieka dobiegającego sześćdziesiątki, tym bardziej że szpakowate wąsy zdradzały jego wiek. Zajmował stanowisko szefa Generalnego Dyrektoriatu Służb Informacyjnych, bo tak oficjalnie nazywały się jordańskie służby wywiadowcze. Był człowiekiem władczym, cieszącym się znakomitą opinią, do którego podwładni zwracali się, używając starego otomańskiego tytułu „Hani Pasza”, przy czym wymawiali go dźwięcznie, niemal przez „b”, brzmiało to więc jak „Basza”. Ferris początkowo się go bał i pozbył się lęku dopiero po kilku tygodniach, gdy zaczął o nim myśleć jak o arabskim odpowiedniku salonowego piosenkarza Deana Martina. Hani Salaam był bowiem uosobieniem bezgranicznego spokoju, i to od czubków wypolerowanych do połysku butów aż po ciemne szkła okularów przeciwsłonecznych. Jak większość odnoszących sukcesy ludzi Orientu, do wszystkiego podchodził z głęboką rezerwą, wręcz z niechęcią. Z uwagi na nienaganne maniery widziano w nim przedstawiciela dawnego Imperium Brytyjskiego, chociaż przed laty spędził w Sandhurst tylko jeden semestr. Tymczasem tak naprawdę odznaczał się usposobieniem nadzwyczaj szczodrego, lecz skrytego przywódcy plemienia Beduinów. Zdecydowanie zaliczał się do tych, którzy nigdy nie mówią wszystkiego, co wiedzą.

Kiedyś, oprowadzając Ferrisa po siedzibie swojej agencji w Ammanie, Hani zażartował, że jego rodacy tak bardzo boją się agentów wywiadu, że nazywają ich „specjalistami od wrywania paznokci”.

- Musisz mieć na uwadze, że to ludzie prości, niewy-kształceni.

On, oczywiście, nie pozwalał swoim podwładnym na stosowanie takich metod. Były zresztą nieskuteczne, bo nawet straszliwy ból nie zmusiłby więźniów do mówienia. Nic go nie obchodziło, że jest powszechnie uważany za sadystę, obawiał się jedynie zarzutu nieskuteczności. Otwarcie wyznał już przy pierwszym spotkaniu, że ma nowego jeńca z Al-Kaidy i zamierza wezwać do siedziby agencji

bliższych i dalszych krewnych schwytanego. Był bowiem zdania, że rodzina jest w stanie dokonać dużo więcej niż tysiące ciosów strażników więziennych, a mianowicie podkopać niezłomną gotowość oddania życia za sprawę i podbudować instynkt samozachowawczy. Specjaliści z Langley zaliczali Haniego do wąskiego grona profesjonalistów, chociaż było w tym sporo protekcjo-nalizmu, jak w określaniu inteligentnego i wykształconego Murzyna mianem człowieka „elokwentnego”. Zresztą wyrazy uznania dla Jordańczyka miały zamaskować to, że agencja jest od niego uzależniona dużo bardziej niż powinna. Toteż Ferris jako szef amerykańskiej placówki miał przede wszystkim dbać o zachowanie dobrych stosunków. Niemniej poczuł się zaszczycony, kiedy przed dwoma dniami Dean Martin osobiście zaprosił go do udziału w operacji terenowej w Niemczech. Gryzipiórki z sekcji bliskowschodniej próbowały narobić szumu, że powinien zostać za swoim biurkiem i śledzić na bieżąco depesze w sprawie zamachu bombowego w Mediolanie, ale włączył się w to Ed Hoffman, szef wydziału.

- Nie słuchaj idiotów - rzekł krótko, mając na myśli swoich podwładnych, usiłujących zablokować wyjazd Ferrisa. Nakazał mu jedynie, aby zawiadomił go osobiście przez telefon, kiedy ta operacja dobiegnie końca.

Jordańczyk otworzył drzwi i ruchem ręki nakazał Ferri-sowi i Marwanowi wejść do środka. Klatka schodowa tonęła w ciemności, w powietrzu unosił się smród stęchli-zny. Stąpając na palcach, Hani ruszył energicznie w górę betonowych schodów. Jedyne dźwięki, jakie było słychać, to jego głośny oddech charakterystyczny dla wieloletniego palacza. Marwan poszedł za nim. Wyglądał jak włóczęga

przebrany w eleganckie ciuchy wyłącznie na użytek gościa z Ameryki. Był chudy i zylasty jak pustynny pies, a jego prawy policzek tuż pod okiem przecinała brzydka blizna. Ferris ruszył za nimi, starając się nie kuleć, choć nadal odczuwał dokuczliwe bóle w zranionej nodze.

Marwan był uzbrojony w pistolet maszynowy, którego nie potrafił ukryć pod marynarką. Jeszcze tu, na schodach, wyciągnął broń z kabury i zacisnął palce na kolbie. Szli jeden za drugim, noga w nogę. Hani zatrzymał się nagle, gdy gdzieś z góry doleciał odgłos otwieranych drzwi. Ruchem ręki dał znak Marwanowi, a ten pospiesznie przytaknął i opuścił pistolet wzdłuż ciała. Okazało się jednak, że to tylko stara Niemka, wybierająca się na zakupy z torbą na kółkach. Nawet na nich nie spojrzała, kiedy się mijali na schodach.

Hani przyspieszył jeszcze kroku. W Ammanie powiedział Ferrisowi tylko tyle, że przygotowywał tę operację od wielu miesięcy.

- Pojedź ze mną, to zobaczysz, jak pociągam za spust - rzekł.

Ferris do tej pory nie miał pojęcia, czy Jordańczycy naprawdę zamierzają kogoś zabić. Od strony formalnej jego uczestnictwo byłoby wtedy nielegalne, chociaż był pewien, że nikt nie postawi mu takich zarzutów, jeśli odpowiednio naświetli sprawę w raporcie. Teraz nikt już nie robił wielkiego szumu z powodu takich działań. Ameryka była w stanie wojny, a podczas działań wojennych obowiązują nieco inne zasady. W każdym razie Hoffman zawsze mu to powtarzał.

Jordańczyk zatrzymał ich ruchem ręki, gdy znaleźli się na podeście drugiego piętra. Wyjął z kieszeni telefon komórkowy, przytknął go do ucha i rzucił szeptem kilka słów po arabsku. Po chwili głową wskazał im korytarz i ca-

ła trójka ruszyła dalej, w kierunku mieszkania oznaczonego numerem 36. Hani świetnie wiedział, że Mustafa Karami o tej porze powinien być w domu. Prawdę mówiąc, wiedział o nim prawie wszystko - znał jego pracę i nawyki, ale też przyjaciół z dzieciństwa w mieście Zarka oraz najbliższą rodzinę z Ammanu. Wiedział, do którego meczetu w Berlinie chodzi Mustafa, jaki jest numer jego telefonu komórkowego, który hawala z Dubaju przelewa fundusze na jego konto. Ale przede wszystkim wiedział dokładnie, kiedy Karami wybrał się do Afganistanu, gdzie wstąpił do Al-Kaidy, która obdarzyła go zaufaniem i z którą pozostawał w stałym kontakcie. Jak mówiono, Hani odrobił wszystkie lekcje z tego przedmiotu i teraz zamierzał przystąpić do egzaminu.

Marwan ponownie uniósł pistolet, gdy jego szef zbliżył się do drzwi mieszkania. Ferris pozostał kilka metrów z tyłu i dał nura w głębszy cień. Nie wyjął jednak pistoletu z kabury podramiennej, tylko wsunął rękę pod płaszcz i zacisnął palce na zimnej chropowatej kolbie. Z któregoś lokalu piętro wyżej dolatywała hałaśliwa muzyka arabska. Hani uniósł rękę, dając znak, że jest gotów. Po chwili zapukał głośno do drzwi, odczekał parę sekund i załomotał jeszcze głośniej.

Drzwi uchyliły się na parę centymetrów i ktoś ze środka warknął po niemiecku:

- Bitte?

Karami nie zdjął łańcucha, tylko ciekawie wyjrzał przez szparę na korytarz. Zobaczywszy nieznaną mężczyznę, próbował szybko zatrasnąć drzwi, lecz Hani błyskawicznie wetknął nogę w szczelinę i odezwał się po arabsku:

- Witaj, Mustafa, przyjacielu. Wielki jest Allah. Niech pokój będzie z tobą.

Marwan stanął tuż za jego plecami, w pozycji, która pozwalała mu bez trudu wyważyć drzwi, gdyby zaszła taka konieczność.

- Czego chcecie? - rzucił męski głos z głębi mieszkania, zza drzwi zabezpieczonych łańcuchem.

- Jest ktoś, kto chciałby z tobą porozmawiać - odparł Hani. - Weź ten telefon, proszę.

Przysięgam, że to zwykły telefon. Nie masz się czego obawiać. - Wetknął aparat w szparę, lecz Karami się cofnął, jakby się bał nawet go dotknąć. - Weź telefon, mój drogi - powtórzył Hani łagodnym tonem.

- Po co? Z kim miałbym rozmawiać?

- Ze swoją matką.

- Co?

- Porozmawiaj ze swoją matką. Czeka przy aparacie, żeby usłyszeć twój głos.

Młody Arab z ociąganiem przytknął aparat do ucha i zaśluchał się w brzmienie głosu, którego nie słyszał od trzech lat. W pierwszej chwili nie zrozumiał, o czym ona mówi. Dopiero po pewnym czasie uświadomił sobie, że matka powtarza, jak bardzo jest z niego dumna. Zawsze była przeświadczona, że coś w życiu osiągnie, nawet gdy był jeszcze małym chłopcem i mieszkali w Zarce. Teraz życie dowiodło, że miała rację. Nie tylko dostała od niego lodówkę i nowy telewizor, ale w dodatku stale przysyłał pieniądze. Chciała za nie kupić sobie nowe mieszkanie z balkonem wychodzącym na zachód, gdzie mogłaby siadać w fotelu na biegunach i obserwować, jak słońce zachodzi za wzgórzami. Była z niego bardzo dumna i bardzo ją cieszyło, że tak dobrze mu się powodzi. Dzięki Bogu, okazał się jej najlepszym synem, spełnieniem marzeń każdej matki. Był dla niej bożym błogosławieństwem. Mimo woli zaczęła płakać. A kiedy rozmowa dobiegła końca, Mustafa także poczuł łzy na policzkach. Z jednej strony wzruszył się tą nieoczekiwaną możliwością rozmowy z matką, ale z drugiej płakał z powodu dokuczliwej świadomości, że został zdemaskowany.

- Twoja matka uważa cię za spełnienie swoich marzeń -powtórzył Hani.
- Co wyście jej zrobili? - warknął Mustafa, ocierając łzy. - Przecież niczego jej nie wysyłałem. Przekupiliście ją.

- Pozwól mi wejść, to porozmawiamy.

Mustafa się zawahał, jakby gorączkowo szukał w myślach sposobu ucieczki, ale znajdował się już całkowicie we władzy Haniego. Toteż z ociąganiem zdjął łańcuch i otworzył szerzej drzwi. We trzech wkroczyli do niewielkiego mieszkania. Duży pokój był zupełnie pozbawiony mebli, jeśli nie liczyć leżącego pod ścianą materaca oraz modlitewnego dywanika skierowanego w stronę Mekki. Mustafa wprowadził ich do środka przygarbiony, ze spuszczoną głową, wyglądał jak znoszony garnitur zwisający smętnie z drucianego wieszaka.

- Czego chcecie? - zapytał. Ręce wyraźnie mu się trzęsły.

- To ja pomogłem twojej matce - zaczął Hani, który niemalże zawisł nad młodym Arabem jak złowieszczy mroczny cień. Nie musiał już dodawać tego, co było zupełnie oczywiste: że równie dobrze zamiast pomagać, mógł jej wyrządzić krzywdę.

- Przekupiliście ją - powtórzył Mustafa, trzęsąc się coraz bardziej.

- Mylisz się, tylko jej pomogliśmy. Dostała od nas wiele prezentów, przy czym za każdym razem mówiliśmy, że są to prezenty od jej ukochanego syna. To, co zrobiliśmy, to zwykła hasanna, dobry uczynek - wyjaśnił Hani z takim naciskiem, że jego słowa niemal zawisły w powietrzu.

- Wsadziliście ją do więzienia? - zapytał Mustafa.

Hani popatrzył na jego trzęsące się ręce i poczęstował go papierosem, którego mu nawet przypalił.

- Nic podobnego. W rozmowie odniosłeś wrażenie, że twoja matka jest w więzieniu? Jest po prostu szczęśliwa. Na twoim miejscu bardzo bym sobie życzył, żeby tak zostało aż do końca jej dni.

Ferris uważnie obserwował tę scenę z kąta pokoju. Bał się poruszyć, żeby nie przeszkodzić Hardemu. Doskonale wiedział, że to jego przełożeni zapłacili za to przedstawienie, więc tym bardziej rozkoszował się rolą biernego widza.

Na dłużej zapadła cisza, jakby Mustafa zamyślił się głęboko nad swoim niewesołym położeniem. Mieli jego matkę. I na jej użytek zrobili z niego bohatera. A przecież mogli bez trudu zniszczyć ich oboje, gdyby tylko zechcieli. Tym faktom nie dało się zaprzeczyć.

- Czego ode mnie chcecie? - zapytał w końcu.

Ferris nadstawił ucha, żeby nie uronić ani jednego słowa. Coś mu mówiło, że jest świadkiem niepowtarzalnego mistrzowskiego przedstawienia. Hani nawet nie starał się obrazić obiektu, stronił od pogroźek i unikał słów, które mogłyby uchodzić za krytykę. Na tym polegał cały urok tej operacji. Dużo wcześniej została bowiem przygotowana śluza i teraz niczego nieświadoma ofiara musiała nią niechybnie spłynąć, niesiona nurtem.

- Chcielibyśmy, żebyś nam pomógł - odparł Jordańczyk. - I nie wymagamy żadnych szczególnych działań. Chcemy, żebyś żył tak, jak do tej pory. Nikt nie oczekuje, że zdradzisz swój kraj, sprzeniewierzysz się islamowi czy zrobisz cokolwiek, co jest haram. Chcemy tylko, żebyś był naszym sprzymierzeńcem. No i dobrym synem.

- A więc chcecie zrobić ze mnie swojego agenta.

- Nic podobnego, jesteś w błędzie. Może odłożmy tę rozmowę na później. Na razie proszę, abyś zatrzymał ten

specjalny telefon, przez który będziesz mógł się ze mną kontaktować. - Hani podał mu jeszcze inny aparat komórkowy. Mustafa spojrzął na niego z lękiem, jakby to był granat z wyciągniętą zawleczką.

- Spotkamy się jutro w bezpiecznym miejscu, gdzie będziemy mogli spokojnie porozmawiać - ciągnął szef wywiadu, podając gospodarzowi wizytówkę z wypisanym odręcznie adresem na berlińskim przedmieściu. - Proszę, zapamiętaj sobie ten adres i zwróć mi wizytówkę.

Mustafa szybko odwrócił głowę, jakby miał jeszcze nadzieję na znalezienie drogi ucieczki z zaciskającej się wokół niego sieci.

- A jeśli odmówię? - zapytał lekko roztrzęsionym głosem.

- Unieszczęśliwisz swoją matkę. Jest przecież z ciebie taka dumna. Traktuje cię jak boże błogosławieństwo dla starej kobiety. Właśnie to każe mi wierzyć, że nie odmówisz.

Łagodny ton głosu pozostawał w wyraźnej sprzeczności ze złowieszczymi błyskami w oczach Haniego, które zdawały się podpowiadać Mustafie, że nie ma wyjścia. Odwrócił więc trzymaną w ręku wizytówkę, zapatrzył się przez dziesięć sekund na wypisany na niej adres, po czym zamknął oczy.

- Oddaj mi wizytówkę, jeśli już zapamiętałeś adres - rzekł Hani.

Młody Arab po raz ostatni rzucił na nią okiem i wyciągnął przed siebie. Ręce wciąż mu się trzęsły.

- Dobry chłopiec - pochwalił go Hani z pobłażliwym uśmiechem. - Zatem jesteśmy umówieni, spotkamy się jutro o szesnastej przy Handelstrasse sto czternaście. Będziesz musiał zapukać do drzwi mieszkania numer pięćset siedem i zapytać, czy jest Abdul-Aziz.

Gdy w odpowiedzi padnie pytanie, czy masz na imię Mohsen, odpowiesz, że tak. To będzie nasze hasło. Ja wcielę się w Abdul-Aziza, a ty w Mohsena. Jeśli nie będziesz mógł się stawić jutro po południu, przyjdź pod ten sam adres następnego dnia o dziesiątej rano. Hasło pozostanie bez zmian. Zrozumiałeś? Mustafa przytaknął ruchem głowy.

- Gdybyś próbował nas wykiwać i zechciał uciekać, odnajdziemy cię. Jeśli postanowisz zawiadomić swoich przyjaciół, dowiemy się o tym. Obserwujemy cię w dzień i w noc. Jeśli zrobisz coś głupiego, skrzywdzisz nie tylko siebie, ale także swoich najbliższych. Więc lepiej nic nie kombinuj. Rozumiemy się?

Młody Arab zamyślił się na chwilę, zanim skinął głową.

- Powtórz imiona, godziny spotkań i adres.

- Abdul-Aziz i Mohsen. Jutro, czwarta po południu, a gdyby coś mi wypadło, dziesiąta rano pojutrze. Adres to Handelstrasse numer sto czternaście, mieszkania pięćset siedem.

Szef jordańskiego wywiadu chwycił Mustafę za rękę, przyciągnął do siebie i objął serdecznie, a tamten z ociąganiem ucałował gościa w oba policzki.

- Niech Bóg cię prowadzi - rzekł Hani.

- Bogu niech będą dzięki - odparł gospodarz, ale tak cicho, że ledwie go było słyhać.

Tego wieczoru w niemal całkiem pustej sali restauracji przy Kurfurstendamm Ferris zadał Haniemu pytanie. W głębi duszy coś mu podpowiadało, żeby nie odzywać się ani słowem i nadal wsłuchiwać w wybrzmiewanie tego ostatniego dźwięku, jaki zawisł w powietrzu, gdy maestro już uciszył orkiestrę, ale nie mógł się opanować.

- Czy twój chłopak pomoże nam w sprawie zamachu w Mediolanie?

Była to zresztą jedyna rzecz, jaką w tej sytuacji chciał wiedzieć jego oficer łącznikowy.

- W każdym razie na to liczę. A jeśli nie pomoże w sprawie Mediolanu, to może okaże się pomocny przy następnym zamachu bombowym. To przecież długotrwała wojna, w której będzie wiele ataków. Mamy teraz w rękach kolejną nitkę, która powinna nas doprowadzić do kłębka. A kiedy się już przekonamy, gdzie należy go szukać, zapewne znajdziemy także wyjaśnienia dotyczące zamachu w Mediolanie. Nie sądzisz?

Ferris pokiwał głową. Co prawda, nie była to ścisła odpowiedź na jego pytanie, a w każdym razie nie taka, jaka mogłaby zadowolić łącznika. A dobrze wiedział, że będzie wypytywany, po co jechał z Jordańczykiem do Berlina, skoro ta podróż nie przyniosła żadnych rezultatów. Zresztą tego typu wątpliwości były w pełni uzasadnione.

- Nawiasem mówiąc, dlaczego mnie pan zaprosił do udziału w tej operacji? - zapytał. - Byłem tylko zbędnym balastem.

- Dlatego, że cię lubię, Roger. Jesteś sprytniejszy od tych wszystkich agentów, których Ed Hoffman zazwyczaj przysyła do Ammanu. Chciałem, żebyś zobaczył, jak działamy w terenie,

i nie oceniał nas błędnie, jak pozostali twoi koledzy. Nie chciałbym, żebyś stał się arogancki, zapadł na tę typowo amerykańską przypadłość. A przede wszystkim nie chciałbym, aby doprowadziła cię ona do śmierci.

Hani tonał w gęstej niebieskawej chmurze papierosowego dymu. Ferris popatrzył na niego uważnie. Robactwo panoszyło się coraz bardziej. Miesiąc przed zamachem w Mediolanie eksplodowała bomba w Rotterdamie. Samochody-pułapki stawały się coraz częstszym zjawiskiem w Europie. Narastająca częstotliwość ataków powinna była ułatwić identyfikację ich organizatorów, ale ci pozostawali nieuchwytni. W dodatku wróg wyraźnie zmienił system działania, a wzmożona intensywność planowania kolejnych operacji nosiła znamiona udziału kogoś całkiem nowego. Ferris był pewien, że Hani także to dostrzeża i widzi w tym poważne zagrożenie. Chyba to właśnie było rzeczywistym powodem ich wspólnej wizyty w Berlinie.

- Kogo właściwie szukacie? - zapytał bardzo cicho. Hani uśmiechnął się tajemniczo.

- Tego nie mogę ci zdradzić, mój drogi.

Ferris domyślał się jednak prawdy. Hani posuwał się tropem tego samego człowieka, którego i on poszukiwał - człowieka, którego działalność stała się oczywista kilka miesięcy wcześniej, a którego bliską obecność Ferris poczuł w kryjówce CIA na północ od Baladu, kilka dni przed tym, jak odłamek pocisku z granatnika zranił go w nogę. Nawet jeszcze teraz po zamknięciu oczu widział pod powiekami niewyraźny rozedrgany obraz z kamery swoich źrenic, sylwetkę człowieka, rozsyłającego zamachowców po metropoliach tej części globu, którą większość ludzi określała jeszcze mianem świata cywilizowanego. Nie dysponowali jego zdjęciem, nie znali miejsca pobytu, nie byli nawet pewni, czy naprawdę istnieje. Znali tylko imię, a gdy iracki agent wtedy pod Baladem odważył się w końcu je wymienić, uczynił to szeptem.

- Sulejman.

Można było odnieść wrażenie, że starał się je wręcz połknąć z obawy, iż przyniesie mu śmierć, jeśli stanie się słyszalne dla innych. Sulejman. Takie imię nosiło teraz uosobienie terroru.

Amman

Kiedy Ferris nazajutrz wrócił do Ammanu, w mieście wyczuwało się niepokój i napięcie, ale teraz podobnie nerwowa atmosfera panowała w większości miast na świecie. Amerykanie w Iraku poruszyli gniazdo szerszeni i ich donośne bzyczenie, słyszalne obecnie na wszystkich bazarach i w meczetach świata arabskiego, wkrótce miało się stać tak samo słyszalne w pawilonach handlowych i supermarketach na Zachodzie. W drodze powrotnej z Berlina samolotem linii Royal Jordanian był świadkiem rozmowy dwóch elegancko ubranych Arabów, siedzących tuż przed nim w przedziale klasy crown i dyskutujących na temat zamachu bombowego w Mediolanie. Jeden twierdził, że samochód-pułapka był bardzo podobny do tego, który eksplodował wcześniej w Rotterdamie, ale drugi utrzymywał, że był większy i dodatkowo obciążony butlami z gazem, żeby zwiększyć moc wybuchu. Pierwszy był pewien, że to robota Al-Kaidy, ewentualnie szyitów naśladowujących metody działania Al-Kaidy, ale drugi uważał, że za zamachem stoi całkiem nowa organizacja, jeszcze bardziej przerażająca niż pozostałe. Co do jednego tylko byli zgodni: że winę za ten zamach faktycznie ponoszą Amerykanie.

Nawet stewardesa wyglądała na podminowaną. Była ubrana w krótką czerwoną spódniczkę podkreślającą zgrabne pośladki, dopasowany czerwony żakiet oraz tego samego koloru toczek, jakich nie spotyka się już nigdzie poza wybranymi liniami lotniczymi. A linie Royal Jordanian, podobnie jak sami Jordańczycy, miały ten niezwykły urok rzeczy należących do minionej epoki. Nie dała się jednak Ferrisowi wciągnąć w luźną rozmowę, a podając mu posiłek, spoglądała w bok z lekkim grymasem obrzydzenia na wargach. Z całej jej postawy emanowało oskarżenie: „To wszystko przez was, Amerykanów”.

Tak samo wrogię spojrzenia czuł na sobie, gdy przechodził kontrolę paszportową w Ammanie. Tuż przed nimi wylądował samolot z Tel Awiwu i jordańscy celnicy zdawali się szczególnie wyczuleni na pasażerów wyglądających na Izraelczyków bądź Amerykanów. Pogardzali Żydami i Krzyżowcami. Arabów traktowali ze zwykłą sobie obojętnością. Ferris zaprzagnął natychmiast przystąpić do pracy, żeby swoimi działaniami osiągnąć coś, co powstrzyma tych wszystkich rozzłoszczonych ludzi przed czynieniem jeszcze większego zamieszania. Było późne popołudnie i większość personelu ambasady powinna jeszcze siedzieć na swoich stanowiskach. Mógł zadzwonić do Hoffmana, przejrzeć najświeższe wiadomości, odpowiedzieć na pilne depesze, a przede wszystkim dobrze się zastanowić nad ewentualną odpowiedzią, gdyby ktoś zapytał właśnie jego, Rogera Ferrisa, co uczynił, by powstrzymać terrorystów przed detonowaniem samochodu-pułapki w Peorii czy Petalumie. Wzdłuż autostrady łączącej ammańskie lotnisko z miastem ciągnęły się billboardy, skłaniające do wniosku, że cały świat zgodnie współpracuje na rzecz wzrostu gospodarczego - reklamy zachwalające tutejsze sieci telefonii komórkowej, ekskluzywne nadmorskie posiadłości w Dubaju, lokaty w Citibanku, apartamenty w hotelu Four Seasons oraz całą gamę usług, jakie światowy wolny rynek zdołał ulokować pośród tych skalistych wzgórz na skraju Pustyni Arabskiej. Dopiero gigantyczne podo-

bizny młodego króla - wyglądającego wręcz komicznie w plemiennym arabskim stroju, którego w rzeczywistości chyba nigdy nie wkładał, czy też czule obejmującego zmarłego ojca, tak jak na pocztówkach, które stały się ogólnonarodowymi amuletami, mającymi nasuwać wrażenie, że król Husajn nadal żyje - uzmysławiały przybyszowi, jak napięta atmosfera panuje w tym kraju. Do tej pory była to ziemia kłamstw i tajemnic, pośród których jedyny cel realnej polityki stanowiło przetrwanie.

Ferris lubił Amman ze wszystkimi jego zaletami i wadami - za kredowobiałe zabudowania nadające mu charakter monastynu i czystość pustynnego powietrza, od której mogło się zakręcić w głowie i która mniej więcej raz na tysiąc lat doprowadzała do tak powszechnego szaleństwa, że ludzie ustanawiali nową religię. Nawet o północy w środku lata można się tu było czuć jak w łagodnej saunie, jakże różnej od chorobliwie dusznej łaźni parowej, z którą Ferrisowi kojarzył się Jemen, czy też bezlitosnej smaźalni irackiego Baladu. W dodatku wciąż można tu było podziwiać rozmaite uroki tradycyjnego arabskiego stylu życia - nawet tu, wzdłuż autostrady wiodącej z lotniska, ciągnęły się stragany, na których młodzi chłopcy sprzedawali owoce i warzywa oraz w maleńkich kubeczkach cierpką i bardzo aromatyczną arabską kawę. Niekiedy na autostradę wchodziły stada owiec poganianych przez pasterzy w obszernych chałatach, jak gdyby przeniesionych do współczesności w wehikule czasu. Mimo usilnych starań dopasowania się wyglądem do świata zachodniego, większość Jordańczyków wciąż była nieodrodnymi dziećmi Orientu. W dalszych szeregach straganów na bazarach nadal kryły się niezwykle sklepiki z przyprawami korzennymi, stanowiska wróżbiarzy czy warsztaty wytwórców białej broni, toczyło się tam sekretne życie, należące do zupełnie odmiennego kręgu wtajemniczeń, diametralnie różnego od dobrze znanego nam współczesnego świata.

Dobrobyt może i nie był najlepszą metodą odwetu, ale obecnie jedyną dostępną dla Palestyńczyków, stanowiących od pewnego czasu większość obywateli tego kraju. Wracali z Dohy albo z Rijadu z niewielkimi fortunami, które wydawali na budowę obszernych willi w Ammanie, gdzie mogli prowadzić bujne życie towarzyskie, zawierać transakcje handlowe i w zachodnim stylu chwalić się żonami. W tymże nowym Ammanie główną dziedziną przemysłu stała się chirurgia kosmetyczna, kobiety już nie pokazywały się mężczyznom, jeśli nie przeszły operacji nosa czy nie wszczepiły sobie silikonowych implantów piersi. Stopniowo robiło się tu drugie Los Angeles, tyle że z dala od oceanu. Zaczęło się nawet ukazywać pismo o nazwie „Dobrobyt”, w którym doradzano młodym arabskim gospodyniom, gdzie najlepiej kupić modne bikini, płyty DVD z odcinkami serialu Seks w wielkim mieście bądź też meble

w stylu retro. Ostatnia fala uciekinierów z Iraku uzupełniła tę przedziwną mieszankę o własny cierpki aromat, przyczyniając się do dalszego rozwoju budownictwa mieszkaniowego i dając zajęcie tysiącom miejscowych zbirów, chroniących ich przed innymi zbirami.

Młody król zdawał się doskonale rozumieć, że tylko chciwość jest odpowiednim klejem spajającym jordańskie społeczeństwo. Pod jego rządami nastąpił wyraźny postęp i dawną pogardzaną formę korupcji zastąpiła nowa, niemalże barokowa, w stylu libańskim, w której każdy minister zatrudniał swojego poborcę haraczu. Najważniejszych urzędników doskonale znano, ich nazwiska, będące tajemnicą poliszynela, powtarzały się w licznych plotkach, ale nigdy w oficjalnych publikacjach. Hipokryzję wysysano tu z mlekiem matki.

Ale Jordania miała też islam, tajemną inspirację oraz udrękę każdego arabskiego państwa. I to właśnie islam, poza kontrolą poczynań młodego króla, stanowił największe zmartwienie ammańskiej placówki. Jordańczycy należeli do sunnitów, a zarządzana przez państwo sieć meczetów była tak samo skostniała, jak kościół anglikański. Wielki biało-różowy pasiasty meczet Husseiniego w centrum starego miasta świecił teraz pustkami nawet w piątki. Ludzie religijni albo modlili się w mniejszych meczetach w ubogich podmiejskich dzielnicach, albo w obozach uchodźców, czy też w Zarce, dużym przemysłowym mieście na północ od stolicy, będącym głównym centrum rekrutacyjnym dla wszystkich podziemnych organizacji. Niekiedy można było odnieść wrażenie, że fundamentalni-styczni szejkwowie są jedynymi członkami tego społeczeństwa mówiącymi prawdę, gdyż tylko oni otwarcie krytykowali korupcję i zepsucie nowych elit, jawnie wyrażali powszechną tutaj wściekłość na widok przejeżdżającego ulicą luksusowego mercedesa czy bmw, którą większość ludzi dusiła w sobie. Jeśli nawet młody król w ekskluzywnych kurortach nad Morzem Martwym przyjmował moźnych tego świata uczestniczących w Światowym Forum Ekonomicznym, w bocznych uliczkach Żarki ludzie wciąż kupowali dywaniki z podobiznami Osamy bin Ladena, a w zaciszach swoich mieszkań słuchali kaset z nagraniem jego deklaracji świętej wojny przeciwko Ameryce.

W depeszy wysłanej do Hoffmana kilka tygodni po przyjeździe na Bliski Wschód Ferris określił tę sytuację mianem „rurociagu”. W Zarce działała siatka zwolenników dżihadu, zajmująca się przrzucaniem ludzi przez granicę Iraku, rozmieszczająca uciekinierów w węzłach limfatycznych świata arabskiego, skąd systematycznie trafiali do globalnego krwiobiegu. Ferris szukał konkretnej

organizacji, za poznanie jej nazwy zapłacił tak wysoką cenę w Iraku, a teraz od dwóch miesięcy, od początku swego pobytu w Ammanie zajmował się jej tropieniem. Znał lokalizację kryjówki, w której zwerbowany został jego iracki informator, znał też nazwiska kilku kurierów podróżujących stale między Zarką a Ramadi. Omal nie przypłacił życiem tych paru strzępów informacji, ale miał już solidny punkt zaczepienia.

Od przyjazdu do Ammanu posługiwał się nimi jak kilofem, który pozwoli mu się przebić przez litą skałę do podziemnej groty. Zorganizował ścisłą obserwację kryjówki w Zarce. NSA śledziła wszelkie rozmowy telefoniczne i połączenia komputerowe ludzi, którzy choć raz byli w tamtym domu. Agenci uważnie przyglądali się samochodom rekonosansowym wyjeżdżającym z terenu willi. Ferris nie powiedział Hardemu, którą organizację wziął na cel, choć od samego początku podejrzewał, że nie musi tego robić. Teraz zaś, od operacji w Berlinie, nabrał pewności, że próbują wytropić tego samego człowieka.

Ambasada amerykańska w dzielnicy Abdoun, nieco w bok od centrum miasta, wyglądała jak niewielka forteca. Odznaczała się fasadą z białego marmuru, ale od strony półkolistego dziedzińca była wyłożona płytami barwy ło-sosioróżowej, urzekająco pięknymi, lecz świadczącymi o niepotrzebnym zbytku. Od ulicy strzegły jej wozy opancerzone z załogami złożonymi z noszących granatowe mundury polowe żołnierzy jordańskich sił specjalnych, przypominała więc ambasadę kraju znajdującego się w oblężeniu, co zresztą nie było zbyt

dalekie od prawdy. Ferris wysiadł ze służbowego samochodu przed frontowym wejściem i wbiegł po schodach do ściśle strzeżonych pomieszczeń tutejszej placówki CIA. W sali ogólnej większość pracowników była jeszcze na swoich stanowiskach, jakby wszyscy nagle postanowili wyrzucić na nim dobre wrażenie. Starannie zamknął drzwi swojego gabinetu i korzystając z szyfrowanej linii telefonicznej, zadzwonił do Hoffmana. Jeszcze z Berlina wysłał depezę, ale nie miał okazji rozmówić się osobiście z szefem wydziału. W ciągu ostatnich paru lat przekonał się aż nazbyt dobitnie, jak wielkim błędem jest zakładanie, że zna się wszystkie życzenia Hoffmana. Jego psychika, wzorem całej agencji, wydawała się podzielona na ściśle odizolowane od siebie komórki. Nawet jeśli tę, w której się było, poznało się aż tak dobrze, by ulec złudnemu wrażeniu, że zna się już całość struktury, człowiek w pewnym momencie odkrywał ze zdumieniem, że szefa wydziału interesuje wyłącznie całkiem inna komórka, niemająca nic wspólnego z wykonywanym obecnie zadaniem. Stąd też Ferris nabrał zwyczaju kontaktowania się najpierw z oficerem dyżurnym. Nawet najstarsi pracownicy sekcji bliskowschodniej miewali poważne kłopoty z odnalezieniem szefa, choć jak zwykle trudno było ocenić, czy naprawdę o niczym nie wiedzą, czy tylko udają niewtajemniczonych. Jedyne oficer dyżurny potrafił od razu przełączyć rozmowę na Hoffmana.

- Czekałem na wiadomość od ciebie - odezwał się tamten. - Gdzieś ty się podziewał, do jasnej cholery?!

- Byłem najpierw w samolocie, a potem w samochodzie. Dopiero co wróciłem do siebie. - Obawiał się, że będzie musiał zdać szczegółową relację z przebiegu berlińskiej operacji, ale ostry ton Hoffmana dowodził jednoznacznie, że nie ma takiej potrzeby.

- Co Hani kombinuje? Bardzo chciałbym to wiedzieć.

sCzy ta berlińska sprawa umożliwi nam przeniknięcie do środka namiotu?

- Tego jeszcze nie jestem pewien. Od Haniego niewiele można wyciągnąć. Znasz go lepiej ode mnie, przeczuwam jednak, że on nadal będzie pracował we własnym rytmie. Strasznie nie lubi, jak się go pogania.

- Hani ma tylko dwa biegi, jedynekę i wsteczny, a żaden z nich na nic nam się teraz nie przyda. Zwłaszcza ta jedynekę i powolne brnięcie do przodu. Trzeba spróbować go przestawić przynajmniej na dwójkę. Wybuch w Mediolanie wszystkich podminował. Prezydent krzyczy na Departament Bezpieczeństwa Narodowego, chcąc się dowiedzieć, jak powstrzymać tę falę zamachów, a departament z kolei wyżywa się na nas. A ściślej rzecz biorąc, na mnie. Musimy znaleźć dojskie do tej siatki. I to natychmiast. Przekaż to Haniemu.

- On jeszcze nie wrócił, został w Berlinie.

- Wspaniale! To oznacza, że dogaduje się ze swoim nowym chłopcem za naszymi plecami. Tyle że nic mu z tego nie wyjdzie. Nie jestem przeciwnikiem niezależności Jordanii, ale to w końcu my płacimy za niego rachunki.

Ferris zamyślił się na chwilę, postanowił jednak podzielić się swoimi podejrzeniami z Hoffmanem.

- Mam wrażenie, że on też próbuje dopaść naszego gościa. Nie mam żadnej pewności, sądzę jednak, że celem berlińskiej operacji było właśnie pozyskanie informatora z tego kręgu.

- Mówisz o Sulejmanie?

- Tak jest. W przeciwnym razie nie umiałbym wytłumaczyć, dlaczego włożył aż tyle wysiłku w tę operację. I dlaczego ciągnął mnie ze sobą. Wszystko wskazuje na to, że i on próbuje przeniknąć do siatki Sulejmana.

- To by mi pasowało - przyznał Hoffman. - Niedługo

się zobaczymy. W każdym razie musimy dopaść łobuza, bo inaczej prezydent dobierze mi się do tyłka. A razem z moją spadnie i twoja głowa, nawet jeśli nikt nie zwróci na to uwagi.

Przyślę ci też trochę błyskotek dla Hardego, niech się przekona, że nadal go kochamy.

Postaraj się go trochę rozmięczyć, gdy tylko wróci. I przygotuj na spotkanie z tatusiem, który będzie chciał jak najszybciej zakończyć tę sprawę.

- Jesteś pewien, że to dobry pomysł? - zapytał niepewnie Ferris, którego ogarnęło dziwne przeczucie własnej pomyłki co do faktycznego celu operacji berlińskiej oraz czegoś innego, dużo bardziej poważnego, co bał się ubrać w słowa nawet w skrytości ducha. Po prostu w tej części świata obowiązywały nieco inne zasady. Tu nie można było skopać komuś tyłka, a potem zakładać, że bez sprzeciwu zgodzi się na współpracę. Nie mieli do czynienia z KGB. Arabowie pomagali tylko tym, do których mieli zaufanie. Gotowi byli zrobić wszystko dla przyjaciela, lecz absolutnie nic dla kogoś obcego, a nawet mniej niż nic, jeśli ten ktoś nie odnosił się do nich z należyтым szacunkiem. Zamierzał więc podjąć próbę namówienia Hoffmana do zmiany planów, kiedy w słuchawce rozległo się głośne pstryknięcie, oznaczające, że szef przerwał połączenie.

3

Balad, Irak

Ferris po raz pierwszy usłyszał imię Sulejmana na samym początku swojego rocznego pobytu w bazie CIA w irackim mieście Balad. Hoffman był niechętny jego wyjazdowi do Iraku, wolał go zatrzymać w centrali, na stanowisku swo-

jego asystenta, ale Ferris się uparł. Jeśli ktokolwiek miał sobie poradzić w Iraku, to tylko on: płynnie mówił po arab-sku i dobrze znał kulturę muzułmańską. Można by rzec, że tropił tego samego człowieka już od dziesięciu lat, bo zainteresował się islamskim radykalizmem jeszcze podczas studiów na Uniwersytecie Columbia.

- W Iraku mamy przesrane - warknął Hoffman.

- I co z tego? - zapytał spokojnie. - Przecież i tak musimy tam być.

Nie interesowała go polityka jako taka. Pozostawiał ją Departamentowi Stanu, fachowcom wypowiadającym się w telewizyjnych dyskusjach czy wręcz każdemu obywatelowi, który miał ochotę się w niej babrać. Był chyba jedyną osobą w Ameryce, która w ogóle nie chciała się wypowiadać na temat klęski, w jaką przerodziła się interwencja w Iraku. O wiele bardziej wolał znaleźć się na miejscu działań. Od czasu wstąpienia do agencji czerpał wielką przyjemność z każdej operacji terenowej. Z radością służył pomocą dotyczącą wszelkich szczegółów, które mogły uratować życie młodym agentom wywiadu: arabskich nakryć głowy, strojów, odcieni wąsów, używanych na co dzień sandałów, rozklekotanych taksówek z nieodzownymi paciorkami zwisającymi z lusterek i płynącą z głośników arabską muzyką odtwarzaną z tandetnych jakościowo kaset. Dla niektórych ludzi tylko tego typu praca miała w życiu jakieś znaczenie. I Hoffman od samego początku dobrze wiedział, że nie powstrzyma swego protegowanego, dlatego załatwił mu taki przydział, gdzie naprawdę można było jeszcze coś zdziałać.

- Twoim zadaniem będzie troska o to, by machina była stale na chodzie - oznajmił podczas ostatniej odprawy.

Ferris zrozumiał, co miał na myśli, dopiero po przybyciu do bazy lotniczej w Balad, położonej około osiemdziesięciu kilometrów na północ od Bagdadu. Stacjonowała tam niewielka eskadra należących do agencji zwiadowczych predatorów, a większość personelu CIA po całych dniach zajmowała się oglądaniem zdjęć określanych powszechnie jako „czołówka pornosa”. Oczywiście chodziło

o obrazy z kamer zainstalowanych pod brzuchami trzech bezzałogowych maszyn szpiegowskich, krążących bez przerwy nad Irakiem. Jak tylko Ferris zameldował się u dowódcy bazy, ten wprowadził go do sali operacyjnej

i wskazał olbrzymi ekran górujący nad poszczególnymi stanowiskami.

- To moi główni agenci - rzekł.

Pod widocznymi na ekranie oknami znajdowały się ułożone z tłustych czarnych liter nazwy: CHILI, DROBINA, SALETRA. Mimo że pozornie przypominały imiona bohaterów kreskówek albo domowych zwierzątek, były to kodowe nazwy trzech predatorów stacjonujących w tutejszej bazie. Na sąsiednim mniejszym ekranie widniały trzy podobne okna z nazwami bliźniaczych maszyn krążących nad Afganistanem: PACMAN, SKOWRONEK i RULETKA. Przekazywane z nich obrazy przykuwały wzrok, nawet jeśli się nie wiedziało, co dokładnie przedstawiają. Ferris skupił się na ekranie z widokami z Iraku, a zwłaszcza na jednym, pokazującym ciemny samochód terenowy jadący szeroką dwupasmową szosą. Kiedy wyhamował i skręcił na gruntową drogę prowadzącą w głąb pustyni, operator predatora lecącego prawie bezgłośnie na wysokości kilkuset metrów skierował maszynę za nim. Dopiero wtedy Ferris zapytał, dlaczego śledzą ten samochód.

- To zachodni Irak, w pobliżu granicy z Syrią - wyjaśnił dowódca bazy. - Mamy podejrzenia, że tym samochodem podróżuje obiekt o pierwszorzędym znaczeniu.

Obaj w milczeniu przez dobre dziesięć minut wpatrywali się z uwagą w ekran, lecz obraz w oknie nagle zgasł. Dowódca bazy zamienił parę słów z jednym z operatorów siedzących przy pulpicie sterowania i po chwili przekazał Ferrisowi:

- Ślepy zaułek.

Miało to oznaczać, że w samochodzie nie było jednak interesującego ich obiektu. I właśnie w tym momencie Ferris uświadomił sobie problem, przed jakim stoją.

Kiedy dowódca bazy został wezwany na telekonferencję z przełożonymi z Langley, został sam na stanowisku dowodzenia maszynami zwiadowczymi, które znajdowało się na podeście zawieszonym nad środkiem sali operacyjnej. Pomieszczenie wypełniał stłumiony gwar rozmów, gdyż przy dziesiątkach stanowisk komputerowych agenci zajmowali się planowaniem operacji, identyfikacją i namierzaniem celów. Siedzący obok Ferrisa oficer dyżurny nadzorował kilka odrębnych sal, w których monitorowano strumienie informacji wywiadowczych, pochodzących z rozmaitych sieci urządzeń obserwacyjnych i podsłuchowych na całym świecie. Zatem otaczał ich zwykły szum codziennej pracy wywiadowczej. Niespodziewanie w sali zaległa martwa cisza i oczy wszystkich obecnych zwróciły się w stronę ekranu przekazującego obrazy z Afganistanu.

- Sprawdzić PACMANA - rozkazał do mikrofonu oficer lotnictwa siedzący obok Ferrisa.

Tego popołudnia PACMAN szybował nad Waziristanem, przygranicznym rejonem w północno-zachodnim Pakistanie, gdzie miał jakoby przebywać jeden z przywódców Al-Kaidy. Maszyna zwiadowcza zawisała prawie bez ruchu ponad wylotem jaskini w wysokich niedostępnych górach, jakby w oczekiwaniu na swoją ofiarę, i tylko przesuwające się z wolna po obrzeżach obrazu widoki ośnieżonych szczytów i urwistych grani świadczyły, że samolot leniwie zatacza koła.

- Chyba w środku coś się poruszyło - zameldował operator maszyny. W rozległej, tonącej w półmroku sali zaległa nagle martwa cisza.

Lot PACMANA był nadzorowany przez oficerów bazy lotniczej Nellis z Kalifornii, którzy skupiali teraz uwagę na wskazaniach czujników, gotowi odpalić rakietę Hellfire, gdyby w wejściu do jaskini rzeczywiście pojawiła się sylwetka człowieka. Ferris aż wstrzymał oddech, wbijając wzrok w ciemność zalegającą pieczarę, a gdy i on dostrzegł jakieś poruszenie na granicy światła i cienia, przemknęło mu przez myśl: „To koniec. Ten człowiek jest już martwy”.

Po chwili okazało się jednak, że w jaskini był tylko jak, który teraz wyłonił się na skąpany w słońcu teren. W sali rozległy się głośne pomruki i chichoty. PACMAN po raz kolejny doprowadził ich jedynie do kryjówki nietoperzy i robactwa. Ferris wpatrywał się jeszcze w ekran, mimo że PACMANA skierowano nad inne wytypowane miejsce, a w polu widzenia kamery ukazał się dziki krajobraz Hindukuszu, głębokie wąwozy, skalne urwiska i spienione rzeki. Urzekły go te widoki, dostępne zazwyczaj tylko jastrzębiom i sokołom. Oto miał przed

sobą efekt geniuszu amerykańskiego wywiadu - obraz przekazywany przez mechanicznego ptaka, wypatrującego zdobyczy z powietrza w najbardziej niedostępnym dla człowieka rejonie świata. Ale największą ironią losu było to, że na dobrą sprawę nikt nie wiedział, co znajduje się tam, w dole, ukazane przez kamerę maszyny. Ta potężna broń wywiadowcza odznaczała się doskonałym wzrokiem, lecz była całkiem pozbawiona mózgu.

I dopiero teraz uświadomił sobie, co naprawdę Hoffman miał na myśli, mówiąc, że ma się troszczyć, aby machina była stale na chodzie. Tylko informacje zdobyte przez klasyczny wywiad mogły podpowiedzieć operatorom, gdzie mają skierować swoje maszyny, kto naprawdę jedzie wozem terenowym przez iracką pustynię w pobliżu granicy syryjskiej, w którym z poobijanych autobusów jadą do kryjówek na przedmieściach Bagdadu bojownicy dżihadu zabrani z lotniska w Damaszku i który z identycznie ubrudzonych samochodów należy do tajnego współpracownika wywiadu wojskowego. Tylko dzięki informacjom zdobytym przez niego predator mógł obserwować każdy krok wybranego obiektu, fotografować każdego, kto udzielał mu pomocy podczas przejazdu, rejestrować każdą przerwę w podróży, czy to na krótką drzemkę, posiłek, czy wizytę w toalecie. Ktoś musiał zdobywać żer dla bezzałogowych maszyn wywiadowczych.

- Idealnie nadajesz się do tej roboty, naiwniaku - orzekł Hoffman, nie owijając niczego w bawełnę.

I taka była prawda. Ferris zaliczył egzamin z arabskiego czwartego stopnia, miał kruczoczarne włosy oraz rysy, które w połączeniu z chałatem oraz kafią pozwalały mu uchodzić za Araba, a w dodatku tak bardzo palił się do pracy w terenie, że tylko ryzyko mogło zaspokoić jego głód działania.

W drodze do Baladu Ferris spędził tydzień w dowództwie operacyjnym w Bagdadzie. Poznał tam przysadzistego Irlandczyka o imieniu Jack, który po ufarbowaniu rudych włosów i wąsów na czarno oraz przebraniu się w luźną galabiję mógłby uchodzić za sunnickiego szejka. To właśnie Jack pokazał mu należące do agencji najwężniejsze miejsca w Zielonej Strefie: warsztat samochodowy, w którym po nocach przemalowywali auta i zmieniali fikcyjne numery rejestracyjne, pozornie zamknięte na głucho tylne wyjścia z kilku budynków, którymi agenci przenikali do realnego świata, dziesiątki służących im aut zaparkowanych tuż za granicą strefy, rozklekotanych i poobijanych, takich jak samochody należące do Irakijczyków. Przedstawił mu też listę kryjówek w środkowym Iraku, z których Ferris miał prowadzić swoje działania. A potem do późnej nocy pili i żartowali, usiłując wspólnie uwolnić się od strachu.

- Nie daj się złapać - powiedział Jack na pożegnanie przed jego wyruszeniem na północ. - To tutaj podstawowa zasada. Jeśli cię złapią, pewnie powoli doprowadzą do śmierci, ale wcześniej zmuszą, żebyś ujawnił wszystko, co wiesz. Dlatego za nic nie daj się złapać. Jeśli zobaczysz blokadę na drodze i nabierzesz przekonania, że ma służyć właśnie temu, żeby cię zatrzymać, od razu zacznij strzelać i wydzierać się wniebogłós, dopóki nie miniesz blokady albo nie położą cię trupem.

- Naprawdę nieźle znam arabski - odparł Ferris. Ale Jack tylko pokręcił głową.

- Powtórzę jeszcze raz. Nie daj się złapać. Nie licz na to, że kiedy wpadniesz im w łapy, jakimś cudem zdołasz się uwolnić. Strzelaj bez wahania. Tylko to nauczy ich szacunku. Nawet nie próbuj ich przechytrzać. Jeśli po trupach nie wywalczysz sobie wolności, znajomość arabskiego na nic ci się nie przyda.

Ten dzień, kiedy spotkało go niezwykle szczęście, nastąpił prawie trzy tygodnie po przyjeździe do Iraku. Niemal codziennie towarzyszył mu strach i wtedy też nie było inaczej. Wczesnym rankiem, gdy brał kąpiel, bazę ostrzelano z moździerzy, musiał więc z gołym tyłkiem wybiec z latryny sąsiadującej z jego przyczepą mieszkalną, małym ręcznikiem zakrywając tylko przyrodzenie, i dać nura pod betonowy okap pełniący rolę prowizorycznego schronu. Spadły tylko dwa granaty, przy czym jeden w odległości pięciuset metrów. Ale w

bazie już od dawna ani nie ogłaszano, ani nie odwoływano alarmu, gdyż sytuacja bez przerwy była alarmowa. Ferris wrócił więc do łaźni, by dokończyć kąpiel, nie mógł się jednak uwolnić od myśli - jak się okazało, proroczej - że taki początek dnia źle wróży.

Tego ranka wybierał się ponownie do świata określanego tu powszechnie mianem „szamba”, a obejmującego wszystko, co znajdowało się poza murami okalającymi bazę w Baladzie. Sam narzucił sobie taki rytm i po tygodniu pracy w terenie spędzał tydzień wewnątrz murów.

Hoffmanowi i to się nie podobało, gdyż najbardziej niebezpieczne były wszelkie podróże, dlatego nalegał, by Ferris spotykał się ze swoimi informatorami na terenie bazy. Szef wydziału bliskowschodniego panicznie się bał, że straci go w Iraku, uważał bowiem, że ta wojna nie jest warta aż takich poświęceń. Ale Ferris zdawał sobie sprawę, że tego typu środki bezpieczeństwa są mało skuteczne. Wolał już nie mieć żadnych informatorów, niż opierać się na doniesieniach tylko tych, którym udało by się dostać na teren pilnie strzeżonej bazy. W Iraku właśnie to wydawało się najistotniejsze: niczego nie dało się robić połowicznie.

Ubrał się w poplamiony od potu chałat i kraciatą kaffi-ję. Zdążył już sobie wyhodować odpowiednie wąsy i wyraźny zarost, jakby nigdy nie był ani ogolony, ani nieogolony. Ze swoją oliwkową cerą mógł z łatwością uchodzić za Araba, jeśli nie Irakijczyka, to na pewno Egipcjanina, za

jakiego się podawał. Zresztą rozpoczynał naukę arabskiego właśnie w Kairze, w ramach praktyki podczas studiów na Uniwersytecie Columbia, i do dzisiaj po egipsku wymawiał miękko „g”. Zastanawiał się przez chwilę, co by powiedziała jego żona, Gretchen, gdyby mogła go teraz zobaczyć. Zawsze sobie wyobrażała, że życie agenta wywiadu musi przypominać to z filmów o Jamesie Bondzie, w którym ludzie w eleganckich garniturach popijają mar-tini. Zatem gdyby go teraz zobaczyła, pewnie od razu kazałaby mu się przebrać. Gretchen akceptowała w nim wszystko poza jego prawdziwym życiem.

Opuścił teren bazy z grupą arabskich robotników, gdy nocna zmiana ustępowała miejsca dziennej. Wiedział, że żaden z nich nie odezwie się do niego ani słowem; Irakijczycy pracujący na terenie amerykańskich baz wojskowych w ogóle z nikim nie rozmawiali. Podejmowali wystarczająco duże ryzyko przez sam fakt pracy za takie pieniądze, które pozwalały im utrzymać rodziny. Gdyby wpadli w łapy buntowników, zginęliby bez pytania. Dlatego tuż za bramą ambasady błyskawicznie się rozeszli, każdy w swoją stronę.

Ferris skierował się na pobliski plac parkingowy, gdzie czekał już na niego iracki samochód. Był to poobijany osobowy mercedes z połowy lat siedemdziesiątych, kupiony jeszcze wtedy, gdy Irakijczycy mieli mnóstwo pieniędzy ze sprzedaży ropy naftowej. Za kierownicą siedział jeden z jego informatorów, młody Irakijczyk Bassam Sarnami, który wychował się w dużej irackiej społeczności w Dearborn w stanie Michigan, a w roku 2003 okazał się na tyle naiwny, żeby uwierzyć amerykańskiej propagandzie i wyruszyć Irakowi na ratunek z pokaźnym żołdem CIA. Jego rodzina pochodziła właśnie z tych stron, toteż bez trudu znalazł tu schronienie, chociaż krewni chyba tylko udawali, że wierzą, iż wrócił, aby rozkręcić interes ze sprzedażą sprowadzanych anten i dekodery telewizji satelitarnej. Ferris nie wątpił, że któregoś dnia Samarai skończy z kulką w głowie. Ale w żaden sposób nie mógł temu zapobiec.

- Ya Bassam! Marhaba - powitał go, zajmując miejsce na prawym fotelu. Od razu opuścił do końca szybę i spojrzał na Irakijczyka, który miał na sobie tandetną skórzaną marynarkę, a gładko zaczesane do tyłu włosy błyszcząły od żelu.

- Jak się miewasz, chłopie? - zagadnął Bassam. - Wszystko gra? - Lubił mówić uliczną gwara amerykańską, choć Ferris nie raz mu tłumaczył, że to niebezpieczne. Chyba w ten sposób czuł się bliżej swojej rodziny z Dearborn. Ale tego dnia było coś jeszcze, wyraźne błyski w jego oczach, jakby się nie mógł doczekać, kiedy będzie miał okazję, by ujawnić jakąś tajemnicę.

- Jak najbardziej - odparł Ferris. - Prawdę mówiąc, cieszę się, że wreszcie wyjeżdżam. Mam dość Baladu. Za dużo tu stukniętych Amerykanów. Jestem gotów na spotkanie ze stukniętymi Irakijczykami.

- No właśnie, szefie, mam dla ciebie na dzisiaj kogoś całkiem stukniętego. To taki świr, że pewnie nie uwierzysz. Poważnie, człowieku. Zupełny czubek. - Bassam wyrzucał z siebie słowa niczym podekscytowany dysk-dżokej.

- Aż tak? - zapytał Ferris. - Kto to jest?

- Gruba ryba, chłopie. Człowiek Al-Kaidy, aż spod Tikritu. Znamy się z dzieciństwa, z czasów, zanim moi rodzice stąd wyjechali. Ma na imię Nizar. Też chciał wyemigrować do Ameryki, ale nie dostał papierów, zaciągnął się więc do Saddamowskiego Mukhabaratu, to znaczy wywiadu wojskowego. A po wyzwoleniu całkiem mu się we łbie pomieszało, jak wielu innym z okolic Tikritu, ponieważ przystąpił do organizacji Zaraqawiego. W każdym razie twierdzi, że do niej przystąpił. Ale teraz jest śmiertelnie przerażony, chłopie.

Ferrisowi oczy zabłyśły. Ściągnął kaffiję nieco niżej, żeby ludzie wsiadający do sąsiednich aut nie zwrócili uwagi na wyraz jego twarzy. Właśnie na taką okazję czekał, taki kontakt, gdyby okazał się prawdziwy, byłby dla niego nagrodą za te trzy miesiące spędzone w piekle.

- Jak znalazłeś tego człowieka, Bassam?

- To on mnie znalazł, chłopie. Strasznie się boi, że źli ludzie wydali na niego wyrok śmierci. Był zakwalifikowany do misji samobójczej, ale się wycofał. Strach go obleciał. Zna mnóstwo tajemnic i chce, żebyśmy mu pomogli... to znaczy, wyciągnęli go stąd.

- Kurwa mać - syknął Ferris, kręcąc głową. - Chyba mu się nie pochwaliłeś, że pracujesz dla Wujka Sama?

- Co ty, chłopie? Nie jestem taki głupi. Przyszedł do mnie na rozmowę dlatego, że przez jakiś czas mieszkałem w Stanach, nic poza tym. Myśli, że będę mógł wyciągnąć go z tego szamba. Powiedziałem mu, że zobaczę, co się da zrobić. Siedzi w domu mojego wuja, w połowie drogi do Tikritu. Obiecałem mu, że będzie mógł się dzisiaj z kimś spotkać.

Ferris popatrzył z uznaniem na swojego głównego irackiego informatora.

- Niezły z ciebie numer, Bassam. Ktoś już ci to mówił? W każdym razie jestem z ciebie dumny.

Wyruszyli w porannym szczycie autostradą numer 1, główną drogą prowadzącą na północ do Tikritu wzdłuż brzegów Tygrysu. Kiedy natknęli się na amerykański konwój z zaopatrzeniem, wzorem innych Irakijczyków Bassam gwałtownie zwolnił, żeby przypadkiem nie sprowokować któregoś z podenerwowanych żołnierzy ochrony. Ferris od samego początku bał się tego, co najgorsze, a mianowicie śmierci od kul jakiegoś zasmarkanego rezerwisty z Nebraski, służącego w oddziale osłony konwoju, który transportuje mrożone steki albo puszki z coca-colą dla wojsk stacjonujących na północy. Bassam miał włączone Radio Sawa, amerykańską stację nadającą mieszankę muzyki amerykańskiej i arabskiej, przeplataną naiwną propagandą na temat sukcesów misji Stanów Zjednoczonych w Iraku. Bębnił palcami o kierownicę w rytm rapo-wego utworu Eminema, kiedy Ferris powiedział:

- Musimy być bardzo ostrożni, Bassam. Jeśli ten człowiek jest tak dobry, jak mówisz, będą chcieli go zabić od razu, gdy tylko nabiorą podejrzeń, że coś kombinuje. Musisz teraz bardzo poważnie potraktować sprawę swojej firmy handlowej, bracie. Słyszysz?

- Tak, szefie. Wszystko jest pod kontrolą.

- Nieprawda, wcale nie jest. Przez ciebie wszyscy zginiemy, nie wyłączając twojego kumpla Nizara. Więc lepiej posłuchaj uważnie. Będziemy musieli ciągle zmieniać miejsce pobytu, poczynając już od dzisiejszego wieczoru. Wykluczone, abym w tym tygodniu zatrzymał się dwa razy w jednym miejscu, i to samo dotyczy ciebie. Jeśli Nizar faktycznie okaże się

użyteczny, będzie dla nas bezcenny. Będziemy musieli pilnie go strzec, by nie zginął w jakiejś przypadkowej strzelaninie. Bardzo rzadko przytrafiają się takie okazje, dlatego trzeba je koniecznie wykorzystywać. Zrozumiałeś? Słyszałeś, co mówiłem?!

- Tak jest, szefie - odparł niby obojętnie Bassam, ale nie było wątpliwości, że pojął skalę ryzyka.

*

Wuj Bassama mieszkał przy pylistej bitej drodze na obrzeżu Ad-Dawr, kilka kilometrów na południe od Tikritu. Kiedyś było to kwitnące gospodarstwo, do dziś resztki instalacji nawadniającej wały się wśród sterty innego złomu porośniętego chwastami. Ferris kazał informatorowi zaparkować samochód za budynkiem mieszkalnym, żeby nie był widoczny z szosy. Jakieś pięćdziesiąt metrów dalej, pod wielkim eukaliptusem, znajdował się mniejszy domek. Bassam powiedział, że stoi pusty, toteż Ferris polecił mu, by tam przyprowadził Nizara, nie wspominając ani wujkowi, ani nikomu z rodziny o jego obecności. Wysiadając z auta, Irakijczyk puścił do niego oko, co zapewne miało wyglądać zawadiacko, tyle że cały efekt popsuł bijący od niego strach.

Chwilę później Ferris przekradł się do domku, w którym cuchnęło odchodami, zwierzęcymi albo ludzkimi. Brutalna prawda o życiu tubylców była taka, że załatwiali się, gdzie popadnie, wystarczył im choćby skrawek wolnej przestrzeni. Otworzył okno, żeby wpuścić do środka powietrza, tak ustawił krzesła, by rozmawiać z Nizarem, pozostając poza zasięgiem jego wzroku, wreszcie usiadł.

Bassam zjawił się po dziesięciu minutach, wlokąc za sobą znajomka. Rozmawiał z nim po arabsku z tym samym zaśpiewem, jaki charakteryzował jego angielszczyznę. Nizar był niski i przysadzisty, o sylwetce przypominającej uliczny hydrant, bujne wąsy całkowicie zasłaniały usta. Ferris nie do końca zrozumiał iracki slang tej pary, nabrał jednak pewności, że Nizar jest zdenerwowany. Głos wyraźnie mu drżał, nawet podczas rozmowy z Bassamem, a rozbiegany wzrok zdawał się wypatrywać w oddali zagrożenie, które najwyraźniej gdzieś się tam czaiło. Kiedy wszedł do domku, od razu popatrzył na nieznanego, jakby chciał w półmroku dostrzec rysy jego twarzy.

- To mój egipski przyjaciel - rzekł Bassam, wskazując Ferrisa. - Może on będzie w stanie ci pomóc.

Wymienili zdawkowe islamskie uprzejmości. Pokój niech będzie z tobą, niech Allah obdarzy cię zdrowiem. Bassam przyniósł z domu wuja butelkę z wodą i teraz rozlał ją z namaszczeniem do trzech lepiących się od brudu szklanek. Na dłużej zapadło milczenie, ale w tej części świata wielkim błędem byłoby natychmiastowe przechodzenie do sedna sprawy.

- Chyba będę mógł ci pomóc, przyjacielu - odezwał się w końcu Ferris po arabsku z silnym egipskim akcentem. - Tylko dlaczego potrzebna ci taka pomoc? Czego się obawiasz?

- Za dużo wiem, proszę pana. Podróżowałem z Abu Musabem, znam jego tajemnice. Chcieli mnie wysłać poza granicę Iraku. Szykowali mnie do operacji. Ale kilka dni temu powiedzieli: „Przykro nam, lecz bardziej jesteś potrzebny do męczeńskiej misji w Bagdadzie”. Zacząłem podejrzewać, że przestali mi ufać. Nie wiem, dlaczego. Chyba tylko przez plotki. Może się dowiedzieli, że znam Bassama? Dlatego uciekłem. Przecież mają dużo chętnych do męczeńskich misji. A ja nie chcę umierać. Chcę uciec do Ameryki.

- Mogę ci pomóc - powtórzył Ferris. - Znam ludzi, którzy byliby skłonni zabrać cię do Stanów Zjednoczonych, załatwić pieniądze, wizę, zieloną kartę... Wszystko, co będzie potrzebne. Ale chyba znasz Amerykanów. Są chciwi. Musisz coś im zaoferować, bo inaczej nikt ci nie pomoże. Więc jak zamierzasz się odplącić? Jeśli mi powiesz, co wiesz, przekonam się, czy na pewno będę mógł ci pomóc.

Nizar pokręcił głową.

- To zbyt niebezpieczne - odparł. - Będę rozmawiał tylko z Amerykanami. Nie mogę ufać Arabom. Boję się, że ktoś mnie zdradzi.

Ferris zamyślił się na chwilę. Wszystko, co do tej pory usłyszał, brzmiało wiarygodnie. Ani trochę się nie dziwił, że Irakijczyk woli nie ufać Arabom. Faktycznie mógł się dogadywać wyłącznie z Amerykanami. On jednak na tym etapie nie mógł ujawnić swego prawdziwego pochodzenia, byłoby to kardynalne naruszenie założeń operacyjnych, ale nie przychodził mu do głowy żaden inny pomysł na przekonanie tamtego. Toteż pochylił się na krzesło, żeby światło dzienne padło na jego twarz, i ściągnął z głowy kaffiję, by Nizar mógł się dobrze przyjrzeć jego rysom.

- Jestem Amerykaninem, Nizar, pracuję dla Rady Bezpieczeństwa Narodowego - powiedział po angielsku, po czym powtórzył to samo po arabsku. - Mogę ci pomóc w wyjeździe do Ameryki, ale najpierw musisz mi powiedzieć wszystko, co wiesz. Potem razem wymyślimy jakiś dobry plan.

Nizar przez dłuższy czas patrzył mu prosto w oczy, jakby ciągle nie mógł się zdecydować. Wreszcie uczynił coś, czego Ferris się nie spodziewał: padł na kolana i ucałował jego dłoń. W jego oczach zabłyśły łzy. Najwyraźniej był śmiertelnie przerażony, że zabiją go ludzie Zarqawiego.

- Powiedz mi, co wiesz - powtórzył Ferris wolno, cedząc słowa. - Wtedy się przekonam, czy będę mógł ci pomóc. Powiedz mi o czymś, co mojego najwyższego szefa w Waszyngtonie, czyli prezydenta Stanów Zjednoczonych, bardzo uszczęśliwi.

Nizar zamknął oczy. Dobrze wiedział, o jaką tajemnicę chodzi. Miał tylko jednego takiego asa w rękawie. Ferris z ociąganiem podniósł rękę i przytknął dłoń do czoła Irakijczyka, jakby był cudotwórcą uzdrawiającym ludzi. Nigdy wcześniej nie zachowywał się tak wobec nikogo, ale w tym momencie po prostu uznał, że będzie to najwłaściwszy gest.

- Chcieli, żebym wyjechał z Iraku - odezwał się w końcu Nizar.

- Rozumiem - rzekł Ferris. - Już to mówiłeś. Dlaczego chcieli cię wysłać za granicę?

- Z powodu mojego przeszkolenia w Mukhabaracie. Umieję robić bomby. Znam zasady prowadzenia operacji w terenie. Skończyłem kursy. Na początku mówili, że będę im potrzebny do prowadzenia działań w Europie. Do szykowania bomb w samochodach. Bo szykują wielki plan zamachów w całej Europie, podobnie jak w Bagdadzie. Ale brakuje im wyszkolonych ludzi. Dlatego byłem im potrzebny. - Urwał, jakby przerażenie wzięło górę.

- Kto chciał cię wciągnąć do tej operacji? - zapytał Ferris, patrząc mu prosto w oczy. Po chwili powtórzył: - Kto cię potrzebował, Nizar? Powiedz mi, bo inaczej zaraz stąd wyjdę.

- Człowiek, który kieruje nową siatką Al-Kaidy. Ten, który przygotował plan zamachów bombowych w Europie. Ten, którego Amerykanie najbardziej się teraz boją. Tutejsi mieszkańcy są z nim w kontakcie. Chcieli mnie odesłać do niego.

- O kim mówisz?

Nizar znowu zamilkł. Przez jakiś czas siedział i tylko kręcił nisko spuszczoną głową, coraz bardziej przerażony, niepewny, zagubiony.

Ferris pomyślał, że straci z nim kontakt, jeśli szybko czegoś nie zrobi. Podniósł się z krzesła, jakby rzeczywiście zamierzał wyjść.

- Chodź, Bassam - rzucił. - Nic tu po nas.

Nizar bąknął coś pod nosem, ledwie słyszalnie.

- Co mówiłeś? - zapytał Ferris.

- Sulejman - szepnął Irakijczyk. - To nie jest jego prawdziwe imię, ale właśnie pod takim jest powszechnie znany. Sulejman Wspaniały. To on wszystko planuje.

Mój Boże, pomyślał Ferris. To jest właśnie ta wiadomość. Co moglibyśmy teraz zrobić, żeby utrzymać tego człowieka przy życiu?

4

Balad, Irak

Zadzwoił do Eda Hoffmana jeszcze z tego małego domku nad Tygrysem, wykorzystując swój aparat satelitarny. Zdawał sobie sprawę, że w Waszyngtonie jest czwarta nad ranem, ale

nic go to nie obchodziło. Hoffman byłby o wiele bardziej wściekły, gdyby nie wyciągnął go z łóżka, żeby przekazać rewelacyjne wieści. Połączył się za pośrednictwem centrum operacyjnego wydziału bliskowschodniego firmy. Oficer dyżurny był wyraźnie poirytowany, jakby przerwał mu układanie komputerowego pasjansa. Przełączył go jednak na domowy aparat szefa wydziału.

- Czego, do cholery?! - warknął Hoffman do słuchawki, po czym zapytał spokojniej: - Która to godzina?

- Wybacz, że cię budzę - odezwał się Ferris. - Wszystko wskazuje na to, że tu, w Dodge City, natknąłem się na coś naprawdę wielkiego.

- Czyżby? - zainteresował się szef. - Co to takiego?

- Rozmawiam właśnie z irackim dezertorem z Al-Kaidy. To sunnita z Samary, który przed wojną służył w Saddamowskim wywiadzie wojskowym. Teraz jest bojownikiem miejscowej Al-Kaidy, a przynajmniej był nim jeszcze parę dni temu, kiedy się dowiedział, że chcą go wysłać z samobójczą misją bombową. Uciekł i od tamtej pory się ukrywa. Powiedział mi coś nadzwyczaj interesującego.

- Tak? Zamieniam się w słuch.

- Otóż dowódca irackiej Al-Kaidy zamierzał go wysłać za granicę i oddać do dyspozycji człowieka planującego wszystkie operacje Al-Kaidy w Europie. Chodzi o tę siatkę, która zorganizowała zamachy bombowe w Mediolanie i Rotterdamie. W każdym razie on tak twierdzi. No i podał mi imię tego człowieka. Organizator zamachów jest znany pod imieniem Sulejman.

- Masz rację. To rzeczywiście nadzwyczaj interesujące - przyznał półgłosem wyraźnie podekscytowany Hoffman. - Czego jeszcze się dowiedziałeś?

- Cholera. A to za mało? Chcę go stąd wyciągnąć, Ed. Warto by go szczegółowo przesłuchać.

- Wybacz, ale nie zrozumiałem.

- Mówiłem, że chcę go stąd wyciągnąć. Jeśli tu zostanie, na pewno zginie. Obiecałem, że mu pomogę w ucieczce za granicę, jeśli odpłaci się interesującymi informacjami.

- Nic z tego nie będzie. Facet jest bezcenny i postaraj się wyciągnąć z niego, ile się tylko da. Będzie musiał jednak zostać na miejscu, przynajmniej do czasu, aż uzyskamy potwierdzenie jego informacji. Daj go na cel jednego z predatorów. Zobaczymy, z kim będzie się kontaktował, a potem wyłapiemy tych ludzi.

- Przecież go zabiją. Już ci to mówiłem. Uciekł i musi się ukrywać.

- Jego wybór. A jeśli faktycznie go zabiją, to przynajmniej będziemy wiedzieli, kto pociągnął za spust.

Ferris popatrzył przez okno na Nizara, który stał przed domkiem w pełnym słońcu. Po jego ustach błąkał się tajemniczy uśmiech. Najwyraźniej był przeświadczony, że teraz znajdzie już bezpieczne schronienie wśród Amerykanów.

- Mam co do tego poważne wątpliwości, Ed. Wydaje mi się, że to będzie niewłaściwe. W końcu to moja sprawa. Pozwól mi ją rozegrać po swojemu.

- Przykro mi, ale nie mogę się zgodzić. Przesłuchaj go na miejscu. Wyciągnij z niego, ile się da, na wypadek, gdyby faktycznie go dopadli. Ale później musisz go zostawić samemu sobie. Poobserwujemy go przez jakiś czas, zanim ponownie nawiążemy kontakt. Pewnie masz mnie teraz za kutasa, ale w naszej branży tylko tak załatwia się podobne sprawy.

- Chryste... - Ferris na chwilę opuścił słuchawkę. Nie było jednak sensu dalej obstawać przy swoim, w każdym razie nie z Hoffmanem. - Czy mogę mu przynajmniej obiecać jakieś pieniądze i możliwość przesiedlenia?

- Jasne, nie ma sprawy. Możesz mu obiecać wszystko. Nawet nie zapytał, ile pieniędzy Ferris chce zaoferować

Irakijczykowi. Był pewien, że i tak nie będzie musiał ich wypłacać.

Zaprosił Nizara z powrotem do domku, tłumacząc, że ma jeszcze kilka pytań. Arab był już w znacznie lepszym nastroju, rozluźniony, wręcz rozmarzony, chyba pewien, że jego koszmar niedługo się skończy. Ferris wyjął z kieszeni miniaturowy cyfrowy dyktafon, żeby rejestrować rozmowę. Najpierw poprosił Nizara o podanie imion jego łączników z iracką Al-Kaidą. Potem zapytał o lokalizację punktów kontaktowych, w których spotykał się z członkami swojej komórki. Kazał sobie opowiedzieć, jak Irakijczyk został zwerbowany. Okazało się, że doszło do tego w Ammanie, w kryjówce niedaleko Jebel Al-Akhthar, na południowych obrzeżach miasta. Mimo nagrania adres tej kryjówki Ferris zapisał w notesie, przypuszczając, że jej obserwacja może się przyczynić do likwidacji całej siatki w Ammanie. Wreszcie poprosił Nizara o kartę SIM z jego telefonu komórkowego, którą tamten posłusznie mu oddał.

Rozmawiał z Irakijczykiem kilka godzin bez przerwy. Wysłał Bassama, żeby przywiózł im coś do jedzenia, i ten kupił parę kebabów oraz puszkowanego heinekena produkcji egipskiej, jak się okazało, ulubione piwo Nizara. Nastąpiło już popołudnie, nim skończyli. Ferrisa naszły obawy, że zdecydowanie za długo przebywali w gospodarstwie wuja Bassama. Sąsiedzi musieli ich zauważyć i natychmiast przekazać wiadomości dalej. Po zapadnięciu zmroku dalsze przebywanie w tej okolicy byłoby dla nich bardzo niebezpieczne.

Kiedy Ferris powiedział, że nie ma więcej pytań, Nizar popatrzył na niego wyczekująco.

- Możemy już jechać poza granicę Zielonej Strefy? - spytał po chwili.

- Jeszcze nie. Moi przyjaciele potrzebują trochę czasu, żeby zorganizować twój wyjazd z Iraku. Tymczasem powinieneś normalnie zajmować się swoimi sprawami. Bądź ostrożny i nie panikuj. Wszystko będzie dobrze.

- Przecież oni mnie zabijają. Mówiłem to panu na początku.

- Nie zabiją cię. Będziemy cię obserwować i ochraniać. Chyba wiesz, że mamy wielkie oczy i uszy.

Nizar pokręcił głową.

- Przykro mi to mówić, ale nikogo nie potraficie ochronić. Nawet siebie nawzajem. Więc niby jak zamierza pan chronić mnie?

- Zaopiekujemy się tobą. Twój przyjaciel Bassam będzie z tobą w kontakcie. Niestety, nie będzie mógł z tobą zostać. Podobnie jak ja. Do czasu, aż zorganizujemy ci wyjazd z Iraku, będziesz musiał jeszcze sam się o siebie zatroszczyć.

W oczach Irakijczyka znów pojawiło się przerażenie. Przekazał wszelkie informacje, ale nie otrzymał nic w zamian. Amerykanin nie mógł go tak po prostu zostawić, przygnębionego, bezbronnego, żeby jeszcze przed zachodem słońca zginął w zastawionej nań pułapce.

- Jeszcze dziś otworzę w amerykańskim banku konto na twoje nazwisko. Zgadzasz się?

W oczach Nizara pojawiły się błyski chciwości.

- Oczywiście. Ile mi pan zapłaci?

- Na początek dostaniesz sto tysięcy dolarów. Później przesiedlimy cię razem żoną i dziećmi do Ameryki.

Irakijczyk na nowo się rozchmurzył.

- Wolałbym, żeby to był okrągły milion. Nie mam żony. Jezu, pomyślał Ferris. Jeszcze chwilę temu pogrążony

w rozpacz, teraz otwarcie targował się o pieniądze.

- Zobaczę, co da się zrobić w sprawie tego miliona. Na razie chciałbym od ciebie usłyszeć, w jaki sposób zamierzasz się uchronić przed zagrożeniem.

Wezwał Bassama i wspólnie przedyskutowali jeszcze procedury bezpieczeństwa, które Nizar powinien przedsięwziąć w nadchodzącym tygodniu. Ferris dał mu także telefon komórkowy, mający zapewnić łączność w nagłych wypadkach. Irakijczyk chwycił go łączywie, jakby widział w nim pierwszą skromną zaliczkę wynegocjowanego miliona dolarów.

- Chciałbym mieszkać w Los Angeles - oznajmił. -I mieć dom przy samej plaży. Jak w serialu Patrol z Miami.

- Nie ma sprawy - zapewnił go Ferris.

Uścisnęli sobie dłonie na pożegnanie, po czym Nizar wysliznął się z domku i przekradł przez pyliste podwórko do czarnego bmw, rozmyślając zapewne o pięknych dziewczętach w bikini. Pomachał im jeszcze ręką na pożegnanie i odjechał. To był ostatni raz, kiedy Ferris go widział.

Bassam przekazał wiadomość od któregoś z informatorów z przedmieścia, że Nizar został zastrzelony następnego dnia rano. Podobno zajeżdżał na śniadanie do baru przy głównej drodze do Samary, gdzie wszyscy go znali. Był to przejaw głupoty z jego strony, Ferris wyraźnie zabronił mu takich kroków. Kiedy wyszedł z baru, ruszyły za nim dwa samochody. Pozytywnego aspektu tych nowin należało upatrywać w tym, że nie został schwytany. Miał w wozie broń i zaczął się ostrzeliwać, toteż napastnicy musieli go zabić, a to oznaczało, że nie mieli okazji zadać mu nawet jednego pytania.

Niemniej Ferris zaczekał do późnego wieczoru z telefonem do Hoffmana. Znalazł schronienie w domu stojącym na tyłach komendy policji. Nie odwlekał tej rozmowy z powodu rozżalenia na szefa, lecz dlatego, że był niemal pewien, co usłyszy od Hoffmana, a nie miał na to najmniejszej ochoty. Kiedy więc w Iraku dochodziła północ, rozstawił aparat satelitarny i wybrał numer Langley. Oficer dyżurny przełączył go pod domowy numer szefa wydziału.

- On nie żyje - oznajmił bez wstępu. - Mówię o tym chłopaku, którego udało mi się zwerbować. Dopadli go dzisiaj rano.

- Tak szybko? Szkoda. Strasznie się pospieszyli. Nie wiesz, czy coś z niego wyciągnęli przed śmiercią?

- Nic na to nie wskazuje. Ale nie byłem świadkiem tego zabójstwa, więc niczego nie mogę być pewny. Przekazuję tylko informacje, jakie dostałem od informatorów.

- Jasna cholera - warknął Hoffman. - Co zdołałeś z niego wyciągnąć, zanim go dopadli?

- Sporo ciekawych rzeczy. Gadał jak najęty przez kilka godzin, zanim go wypuściłem.

Zwerbowali go w Ammanie. Mam adres tamtejszej kryjówki Al-Kaidy. Także nazwiska ludzi należących do jordańskiej siatki. Nagrałem jego zeznania. Wręcz nie mógł przestać mówić, tak był podniecony. Biedny naiwniak.

Bardzo mu zależało, żeby Hoffman odczytał w jego głosie bezgraniczny żal.

- Przykro mi, Roger, ale takie rzeczy się zdarzają. Powinienem cię przeprosić, tylko czemu miałyby to służyć? I tak czekała go śmierć, niezależnie od tego, jakie środki bezpieczeństwa byśmy zastosowali. Przez sam fakt, że rozmawiał z tobą. Ale może dzięki jego zeznaniom uda się uratować ileś osób.

- Może - przyznał Ferris. - Jak sam powiedziałaś, takie rzeczy się zdarzają.

- Co ważniejsze, musisz się jak najszybciej wycofać. Trzeba zakładać, że jesteś spalony, niezależnie od tego, czy zmusili go do mówienia, czy nie. Wracaj więc natychmiast do Baladu. Postaram się załatwić ci błyskawicznie inny przydział. Jesteś dla mnie zbyt cenny, by podejmować choćby najmniejsze ryzyko.

- Nigdzie się stąd nie ruszę. Tutaj trwa wojna. Muszę się zatroszczyć o pozostałych informatorów. Nie zamierzam ich zostawić na pastwę losu tylko dlatego, że twoim zdaniem jestem spalony. W końcu to wyłącznie mój problem, jeśli jeszcze nie dotarło to do ciebie.

- Nie bądź naiwny, Roger. Nie jesteś bezpieczny. A ja

nie zamierzam stracić najlepszego ze swoich młodych agentów tylko z tego powodu, że ogarnęło go tak silne poczucie winy wobec zastrzelonego Irakijczyka, iż postanowił popełnić samobójstwo. Przykro mi, ale musisz to sobie wybić z głowy.

- Powtarzam jeszcze raz, że nie zamierzam się stąd ruszać - odparł z naciskiem Ferris.

Przez dłuższą chwilę panowała cisza, wreszcie Hoffman odezwał się powoli, lodowatym tonem, jakby ledwie mógł w sobie stłumić wściekłość wywołaną tym ewidentnym przejawem niesubordynacji agenta.

- Jutro masz się zameldować w Baladzie, Ferris. To rozkaz. Jeśli go nie usłuchasz, możesz sobie od razu szukać innej pracy. Oczywiście zakładając, że nie zostaniesz odesłany do domu w czarnym plastikowym worku. Czy wyrażam się jasno?

Ferris nie wiedział, jak na to zareagować, toteż po prostu przerwał połączenie. A kiedy chwilę później Hoffman zadzwonił pod jego numer, nie odebrał. Miał wrażenie, że już to jest wystarczającym powodem, by wydalić go ze służby, lecz nie dbał o to ani trochę. Kiedy okazało się, że nie może zasnąć, sięgnął po wymięte i powycierane kieszonkowe wydanie powieści Dickensa, które zabrał ze sobą specjalnie na taką okazję.

Następnego ranka Bassam zabrał go z bocznej uliczki na tyłach domu. Ferris miał na sobie ten sam chałat i kaffiję, na pierwszy rzut oka mógł uchodzić za przeciętnego, zaniedbanego Irakijczyka tuż po trzydziestce. W przeciwieństwie do niego kierowca miał jak zawsze starannie zaczesane i wysmarowane żelem włosy, chociaż jego mina zdradzała, że i on kiepsko spał tej nocy. Oczy miał podkrę-

żone i był wyraźnie podenerwowany, policzki okrywała niezwykła dla niego bledość.

Bezgraniczny spokój w obliczu zagrożenia był jednym z głównych punktów kodeksu honorowego Irakijczyków, toteż Bassam za wszelką cenę usiłował zachować obojętny ton, gdy jak zwykle powitał Ferrisa wsiadającego do auta:

- Cześć, szefie. Wszystko w porządku?

- Nie - odparł ten po arabsku. - Dzisiaj nie wolno nam mówić po angielsku, Bassam. To zbyt niebezpieczne. - Spojrzał we wsteczne lustro, ponieważ tuż za nimi zatrzymało się bmw, w którym siedziało trzech młodych Irakijczyków. - Zjedź na bok i przepuść samochód, który jest za nami.

Bassam posłusznie wykonał polecenie, jak gdyby przywołany do porządku. Ferris w napięciu wpatrywał się w odbicie w lusterku i już miał rozkazać kierowcy, żeby sięgnął po broń, gdy silnik bmw niespodziewanie ryknął ze zdwojoną mocą, kierowca wykręcił gwałtownie, wyminął ich i pojechał dalej. Jeden z pasażerów auta popatrzył Ferrisowi prosto w oczy. Cholera, przemknęło Ferrisowi przez myśl. Już o mnie wiedzą. Namierzili mnie.

- Skręć na południe - rozkazał. - Odszukaj ten dom, o którym mówił Nizar, gdzie ma się mieścić miejscowe dowództwo jego komórki. Jeśli kogoś tam namierzymy, ściagniemy predatora, żeby zrobił zdjęcia z powietrza. Przyjrzymy się, kto wchodzi do tego domu albo z niego wychodzi.

- To konieczne? - zapytał Bassam.

Widać było, jak bardzo jest zdenerwowany. Uważał, że Amerykanie zanadto wykorzystują jego szczęście. I pewnie miał rację, tyle że Ferrisa mało to obchodziło. W tej chwili zależało mu wyłącznie na zakończeniu operacji. Był rozżalony z powodu śmierci Nizara, tego małego tchórza

o posturze ulicznego hydrantu, który przez niego stracił życie. Toteż tępo wpatrywał się w szeroką wstęgę Tygrysu, bardziej przypominającą strumień błota niż nurt rzeki, wzdłuż której wiodła droga na południe.

Bassam wiedział, dokąd jechać. Okazało się, że nawet zna wskazany dom. W tych regionach każda rodzina wiedziała niemal wszystko o swoich sąsiadach. Nie było takiego pola na szachownicy, którego nie zajmowałyby jakaś figura. Zjechali z głównej szosy i między zdziczałymi gajami oliwnymi skierowali się w stronę dużej, niewykończonej willi odległej o jakieś półtora kilometra. Atmosfera wydawała się złowieszcza - o tak wczesnej godzinie wokół panowała martwa cisza, nie było żadnych innych samochodów na szosie, a nawet ptaków w powietrzu. Ferris włączył swój telefon satelitalny i sprawdził wskazania GPS,

chcąc mieć dokładne namiary tego punktu, by nakierować na niego kamery predatora. Trzeba utrzymać maszynę na chodzie, powtarzał sobie w duchu.

Dostrzegł drobny obłok pyłu w sąsiedztwie budynku, gdy byli jeszcze dobre pięćset metrów od niego. Od razu się domyślił, że to efekt zawracającego samochodu, nie wiedział tylko, czy ruszającego spod domu, czy parkującego pod nim. Nie miał jednak złudzeń, że kurz wzbity w powietrze oznacza jakieś poruszenie.

- Zwolnij - nakazał Bassamowi. Połączył się telefonicznie z szefem bazy w Baladzie, zapytał o aktualne pozycje CHILI, DROBINY i SALETRY, po czym podyktował współrzędne ze wskazań GPS i poprosił o jak najszybsze podjęcie obserwacji. Chodziło o żywy obiekt działający z tej właśnie kryjówki będącej na pewno siedzibą lokalnej komórki Al-Kaidy. Bassam jechał z prędkością dwudziestu kilometrów na godzinę.

- Mam zawrócić? - zapytał.

- Z jakiego powodu? - zdziwił się Ferris. - Przecież jesteśmy prawie na miejscu. Sprawdźmy ten punkt kontaktowy.

- Przecież oni jadą prosto na nas - odparł Irakijczyk tak roztrzęsionym głosem, jakiego Ferris jeszcze nigdy u niego nie słyszał.

Zapatrzył się na drogę przed nimi, a raczej na powiększający się szybko obłok pyłu. Nie ulegało już wątpliwości, że jest wzbijany przez koła samochodu. Bassam miał rację. Auto kierowało się prosto na nich. Trudno było ocenić, czy jest to forma pościgu, ale z pewnością musiał podjąć błyskawiczną decyzję.

- Zawracaj! - rzucił ostro, po czym dodał po angielsku: -Gaz do dechy!

Irakijczyk gwałtownie zakręcił kierownicą, w poślizgu zawrócił prawie w miejscu i natychmiast wdepnął pedał gazu do oporu. W jednej chwili otoczyła ich gęsta chmura pyłu wyrzuconego spod kół, skutecznie zasłaniająca widok ich prześladowcom.

Jeszcze zanim wyjechali z powrotem na szosę, Ferris uświadomił sobie, że znaleźli się w poważnych kłopotach. Nie dość, że jeden samochód podążał ich śladem, to jeszcze pojawił się drugi, brudnożółty chevrolet, który zatrzymał się na poboczu u wylotu gruntowej drogi. Pospieszenie sięgnął do schowka w desce rozdzielczej, gdzie Bassam trzymał broń. Kurczowo zacisnął palce na kolbie małowalibrowego pistoletu automatycznego, prawie całkiem bezużytecznego w powstałej sytuacji. Dojeżdżali do skrzyżowania.

- Co mam robić, szefie?! - zapytał Bassam.

- Skręcaj na południe - rzucił gardłowo. - W stronę Baladu.

Irakijczyk znowu zakręcił gwałtownie kierownicą, ledwie unikając zderzenia z rozpedzoną ciężarówką. Żółty chevrolet stojący na poboczu natychmiast wyjechał na szosę i ruszył za nimi, a tuż za nim na asfalt wyskoczył wóz terenowy, który skręcił ich śladem z bitej drogi. Ferris po raz kolejny połączył się z dowództwem bazy w Ba-ladzie.

- Co z tym waszym ptaszkiem? Mamy problemy na autostradzie numer jeden.

- Przyjąłem - odparł flegmatycznie oficer dyżurny. -DROBINA jest już w drodze do miejsca o podanych współrzędnych. Będzie nad wami za kilka minut.

- Posłuchaj, do cholery! Mamy tu naprawdę poważne kłopoty! Wygląda na to, że bandyci próbują dopaść mnie i jednego z moich agentów. Jesteśmy na południe od Samary, jedziemy autostradą numer jeden starym czerwonym mercedesem. Ścigają nas dwa samochody.

Pierwszy to żółty osobowy chevrolet. Jeśli macie w pobliżu jakąś maszynę w powietrzu, może zechcielibyście ocalić życie paru osobom.

- Przyjąłem - powtórzył równie flegmatycznie oficer dyżurny. - Pozostańcie w kontakcie.

Zaraz sprawdzę, czy nie ma w górze naszych śmigłowców. Zobaczą, co da się dla was zrobić.

Ferris obejrzał się i dostrzegł człowieka, który wychylał się z tylnego okna po stronie kierowcy żółtego auta. Trzymał w rękach coś wielkiego, co wyglądało na kamerę telewizyjną starego typu. Dopiero po chwili przemknęło mu przez myśl: Jaka kamera? Przecież to granatnik!

- Szybciej - rzucił nerwowo Bassamowi. - Ile tylko wydusisz z tego grata!
Irakijczyk jeszcze trochę przyspieszył, wskazówka szybkościomierza ospale minęła liczbę 80, potem 90. Doganiali

jednak inne samochody i musieli zwolnić, żeby nie spowodować karambolu.

I nagle w jednej chwili cały świat wywrócił się do góry nogami, prawie na dobre. Nie słyszał nawet huku odpalania ani świstu nadlatującego pocisku. Granat musiał się poruszać szybciej od dźwięku. Dostrzegł jedynie kątem oka oślepiający błysk tuż nad ramieniem Bassama, a dopiero później rozległ się huk pocisku rozrywającego się gdzieś między przednimi kołami. I niemal natychmiast wszystko dokoła zatoneło w oślepiającym blasku, a czas jak gdyby spowolnił. Samochód podskoczył w górę, podrzucony impetem eksplozji, zakołysał się gwałtownie na boki i opadł z powrotem na koła. Bassam zaczął histerycznie wrzeszczeć, Ferris obejrzał się więc i zobaczył, że Irakijczyk obficie krwawi z licznych ran na piersi. Jasna cholera, przemknęło mu przez myśl. W dziwnie zwolnionym tempie wyciągnął rękę w stronę kierowcy, ale szybko ją cofnął, dostrzegłszy wielką dziurę w brzuchu Bassama wypełioną masą zakrwawionych wnętrzności. Odłamek rozplątał mu jamę brzuszną niczym ostrze gigantycznego skalpela. Irakijczyk wrzeszczał wniebogłosy, lecz obie jego ręce jakimś cudem nadal spoczywały na kierownicy, a stopa wciskała pedał gazu do oporu. Dopiero teraz Ferris także poczuł ostry ból, jakby w łydkę użądlił go cały rój os, spojrzął więc w dół i odnotował ze zdumieniem, że on również dostał odłamkiem. Jego lewa noga od kolana po kostkę przypominała krwawą miazgę, spod której przeświecała biaława kość. Odruchowo sięgnął do genitaliów, chcąc sprawdzić, czy są na miejscu.

- Możesz dalej prowadzić?! - krzyknął do Bassama.

Tamten wciąż wydzierał się histerycznie. Mimo to zdołał jakoś wylawirować między autami, które zatrzymały się wskutek ogłuszającego huku eksplozji, wypadł na otwartą przestrzeń autostrady i popędził przed siebie.

- Możesz dalej prowadzić?! - powtórzył Ferris, lecz mercedes jechał już coraz szerszym zygzakiem. Wystarczył mu jeden rzut oka, żeby się przekonać, iż życie błyskawicznie uchodzi z Bassama, który po chwili zwiotczał i osunął się na fotelu.

Ferris złapał lewą ręką kierownicę, by przejąć kontrolę nad pojazdem, ale nie był w stanie przełożyć lewej nogi ponad skrzynią biegów, żeby sięgnąć do pedału gazu. Zaczęli nieuchronnie zwalniać. Teraz pewnie i ja zginę, przemknęło mu przez głowę. Mimowolnie jego myśli powędrowały w stronę rodziców. Co dziwne, nie pomyślał o żonie. Mercedes zwalniał coraz bardziej, a prześladowcy byli coraz bliżej. Otoczył ich szybko przybierający na sile terkot, ale Ferris był zanadto oszołomiony, by go rozpoznać. Po chwili rozległ się stłumiony trzask, jakby w jego kierunku wystrzelono kolejny pocisk z granatnika. Doleciał go przerażający świst, po którym nastąpił huk eksplozji, lecz widok przed oczami rozmywał mu się coraz bardziej, a wszystkie zmysły działały z rosnącym opóźnieniem. To już koniec, pomyślał. Stało się. Właśnie ta myśl pozostała mu pod czaszką, gdy zapadał się w czarną otchłań nieistnienia: Stało się.

Huk, który słyszał tuż przed utratą przytomności, towarzyszył wybuchowi pocisku rakietowego z helikoptera skierowanego nad autostradę z Baladu przez powiadomionego wcześniej oficera dyżurnego. Black Hawk już pierwszym strzałem zniszczył rozpędzony żółty chevrolet, po czym przystąpił do ataku na pędzący za nim wóz terenowy. Chwilę później dwa inne śmigłowce wylądowały na autostradzie, odgradzając miejsce zamachu. Żołnierze wyciągnęli Ferrisa z auta, ułożyli na noszach, po czym tak samo postąpili z Bassamem, tyle że ten już nie żył, więc od razu zapakowali jego zwłoki w czarny plastikowy worek. Już po kilku minutach Ferris znalazł się w bazie lotniczej w Baladzie, której wysokie ogrodzenie oddzieliło go od niechybnej śmierci, a dwadzieścia minut od eksplozji granatu znalazł się na sali operacyjnej tutejszego szpitala polowego, gdzie lekarze natychmiast przystąpili do ratowania jego nogi.

Gdy wrócił do przytomności, odebrał telefon od Hoffmana, który powiedział mu z grubsza to samo, co Ferris sam sobie powtarzał na okrągło: Udało się. Brzmiało to jak zakończenie pewnej burzliwej historii, lecz w zasadzie okazało się dopiero jej początkiem.

5

Waszyngton

Miał szczęście. Lekarzom udało się poskładać nogę, a dowództwo przeniosło go z Iraku do Wojskowego Centrum Medycznego Waltera Reeda. Większość żołnierzy, z którymi się tam zetknął, nie miała tyle szczęścia. Potracili ręce lub nogi, mieli poważne ubytki twarzy, a nawet kości czaszki. Świadomość, że jemu się udało, wprawiała go w zakłopotanie. W dodatku podróżował do kraju transportowcem C-130 razem ze szczątkami zabitego żołnierza, podobno szeregowca Moralesa, który zginął wskutek eksplozji pocisku mózdzierzowego na terenie bazy operacyjnej na południe od Bagdadu. Zwłoki nie były nawet przewożone w trumnie, lecz w dużym blaszanym pudle, za to przykrytym gwiazdzystym sztandarem. Załadowano je na pokład w Kuwejcie podczas przygnębiającej ceremonii zwanej powszechnie „Odprawą Patriotów”. Ale gdy je wyładowano, gdy oficerowie oddali saluty i umilkła orkiestra, żołnierze z gwardii honorowej przenieśli blaszane pudło na skrzynię półciężarówki wyglądającej jak wóz do przewozu mięsa, która natychmiast odjechała, ledwo zamknęli tylne drzwi.

Już pierwszego dnia pobytu w klinice Waltera Reeda odwiedził go sam dyrektor agencji. Chudy i tykowany, wyglądał jak średniowieczny wenecki arystokrata. Oczywiście towarzyszył mu Ed Hoffman, z imponującym wydatnym brzuchem, ostrzyżony na komandosa, poruszający się sprężystym krokiem na sztywnych nogach niczym karykaturalny trener futbolu z lat pięćdziesiątych. Ferris był pod wpływem dużej dawki leków nasennych i przeciwbólowych, toteż gdy otworzył oczy, ujrzał ze zdumieniem, że dyrektor agencji trzyma go za rękę.

- Jak się czujesz, synu? - zapytał tamten.

Ferris chciał odpowiedzieć, lecz z gardła wydobył mu się tylko charkot, skutkiem czego dyrektor jeszcze mocniej uściskał mu dłoń.

- Jesteśmy z ciebie bardzo dumni. Słyszysz mnie? - Nadal nie odpowiadał, toteż stary ciągnął:

- Przyniosłem ci coś. To medal za męstwo w akcji. Rzadko jest przyznawany, więc uchodzi za bezcenny.

Poczuł, że coś ciężkiego wylądowało na jego piersi. Chciał podziękować, lecz nadal nie mógł wydusić z siebie ani jednego słowa. Zresztą dyrektor, niezrażony, mówił dalej, perorował coś o milczących wojownikach. Ferris rozmyślał jeszcze gorączkowo nad odpowiedzią, kiedy tamten oznajmił nieoczekiwanie, że powinni już iść, bo pacjentowi przede wszystkim jest potrzebny odpoczynek. Dopiero gdy na odchodne rzucił rażno: „Nabieraj sił, staruszkule!”, Ferris zdołał mu chrapliwie podziękować, po

czym natychmiast zamknął oczy. Lecz zanim ponownie usnął, z jego pamięci wypłynęły twarze obu Irakijczyków, którzy zginęli wskutek jego operacji.

Hoffman pojawił się znowu kilka dni później. Ferris czuł się znacznie lepiej. Nie przyjmował już tak dużo środków przeciwbólowych, przez co musiał się zmagać z dokuczliwym bólem w nodze, ale za to myślał klarownie.

- Świetnie się spisałeś - pochwalił kierownik wydziału bliskowschodniego. - Twój ojciec byłby z ciebie dumny.

Ferris podciągnął się na łóżku i oparł plecami o poduszkę, żeby lepiej go widzieć.

- Mój ojciec nienawidził CIA - odparł.

- Wiem. Właśnie dlatego byłby z ciebie dumny. Przynajmniej częściowo odzyskałbyś jego szacunek.

Pewnie miał rację. Tom Ferris pracował w wydziale naukowo-technicznym agencji przy ustalaniu trybów łączności z należącymi do kilku pokoleń satelitami szpiegowskimi i brzydził się niemal każdą minutą poświęconą firmie. Kiedy został zwolniony w ramach czystek przeprowadzonych przez Staną Turnera pod koniec lat siedemdziesiątych, znalazł zatrudnienie w waszyngtońskim biurze firmy lotniczej, ale wtedy już dużo pił i często urządzał w domu awantury. Ferris zdawał sobie sprawę, że ojciec uważa się za życiowego nieudacznika, zdolnego inżyniera, który zmarnował najlepsze lata w biurokracji agencji strzegącej przestarzałych tajemnic. Czasami po pijanemu mamrotał pod nosem epitety pod adresem kolegów z CIA, w rodzaju „miernoty” albo „fałszywe lotry”. Śmiertelny zawał serca uchronił go od świadomości, że jedyny syn także wstąpił na służbę do jego odwiecznych wrogów. Może faktycznie byłby teraz szczęśliwy, że syn dostał medal z rąk ludzi, którzy przysporzyli mu tylu cierpień, ale Ferris bardzo w to wątpił.

- Chcę wracać do Iraku - powiedział.

- Nie ma mowy - uciął natychmiast Hoffman. - To nie wchodzi w rachubę- Jesteś tam spalony. Żli chłopcy już wiedzą, z kim mają do czynienia, więc wybij to sobie z głowy.

- W takim razie odchodzę. Jeśli nie odeślesz mnie do Iraku, natychmiast zacznę sobie szukać innego zajęcia.

- Nie bądź idiota, Roger. I nie próbuj mnie szantażować. Nic przez to nie zyskasz. Ale mam dla ciebie inną propozycję. Co byś powiedział, żeby zrobić coś dla mnie tutaj, w kraju, na dodatek coś, powiedzmy, niekonwencjonalnego?

- W centrali? Odpada. Jeśli spróbujesz mnie zatrzymać, nie odejdę dobrowolnie ze służby, tylko zdezerteruję.

- Nie miałem na myśli pracy w centrali. Szczerze mówiąc, to zadanie spoza oficjalnych struktur agencji. Jak powiedziałem, niekonwencjonalne. Możesz mi wierzyć, że ci się spodoba. Jest w sam raz dla takich zapaleńców jak ty.

- Co to za robota?

- Nie mogę ci powiedzieć, dopóki się nie zgodzisz.

- W takim razie nie ma o czym mówić. Chcę wracać do Iraku. Powtarzam jeszcze raz, albo Irak, albo składam rezygnację.

- Przestań. Mógłbyś wreszcie wydorosnąć. Już ci powiedziałem, że Irak nie wchodzi w rachubę. Robisz poważny błąd, odrzucając z góry moją propozycję, ale to już twój kłopot. Jeśli się upierasz na powrót do pracy w terenie, mogę ci zaoferować placówkę równie dobrą jak Bagdad, a nawet lepszą, bo wymagającą udziału w prawdziwej pracy operacyjnej, a nie tylko ryzykanckim węszeniu na oślep z nadzieją, że nikt nie odstrzeli ci dupska. Mówię o Ammanie. Gotów jestem nawet mianować cię zastępcą szefa tamtejszej komórki, co byłoby precedensem ze względu na twój młody wiek. Więc lepiej się zamknij. Albo nie, nie zamykaj się, tylko powiedz: „Dzięki, Ed. Am-man to olbrzymia gratka. Naprawdę jestem wdzięczny, że obdarzasz mnie tak wielkim zaufaniem”.

Ferris podrapał się po szpecinowatym zaroście.

- Kiedy miałbym wyjechać? - To znaczy, że zgadza się na Amman, rzecz jasna.

- Jak tylko będziesz mógł się poruszać o własnych siłach, czyli według opinii lekarzy mniej więcej za miesiąc.

Ferris popatrzył za okno na zatłoczoną jak zwykle Sixteenth Street. Furgonetki dostawców z Pizza Hut czy posłańców z FedEx próbowały lawirować w rzece pojazdów. Ci, którzy jechali nimi po pracy do domu, chcieli zdążyć na swój ulubiony program telewizyjny. Tutaj życie toczyło się normalnie. Iracka krwawa jatka równie dobrze mogła się rozgrywać na innej planecie. Przeniósł wzrok na Hoffmana, który spoglądał na niego wyczekująco, jakby spodziewał się odpowiedzi na pytanie. Mimo wiążącej ich tajemnicy służbowej, kierownik wydziału w niczym nie różnił się od innych zwierzchników, to znaczy chciał słyszeć od

swoich podwładnych same dobre wiadomości. Ale Ferris nie był w nastroju do tego. Noga za bardzo go bolała.

- Przegrywamy tę wojnę, Ed - rzekł. - Mam nadzieję, że wiesz o tym tak samo jak ja?

- Oczywiście. Domniemywam, że chodzi ci o naszą małą wojenkę w Iraku. Ale to tylko przegrana bitwa, gdyż wielkiej batalii wcale nie przegrywamy, przynajmniej na razie. Mam na myśli tę, która mogłaby objąć cały nasz kraj, od Los Angeles do Bangor w stanie Maine, i tak śmiertelnie przerazić zwykłych obywateli, że robiliby w gacie. W tej wojnie wciąż trzymamy się mocno. Tyle że pozycje nie są nazbyt pewne. Dlatego chcę cię mieć w Ammanie.

W Iraku dogrzebałeś się bardzo ważnych informacji, zanim dopuściłeś, żeby ci poharatali nogę. Siatka terrorystyczna Sulejmana istnieje naprawdę. W ciągu minionych dni dostaliśmy potwierdzenia z kilku innych źródeł. Musimy ją zlikwidować. Za wszelką cenę. Więc lepiej przestań się użalać nad sobą i wracaj szybko do zdrowia. Nie zaniedbuj fizykoterapii. Naprawdę chcę cię jak najszybciej wyekspediować do Ammanu. Rozumiemy się? Ferris uśmiechnął się skąpo.

- A mam wybór?

- Nie. - Hoffman wstał, żeby wyjść, lecz po chwili zmienił zdanie i usiadł z powrotem na krześle. Najwyraźniej zależało mu, żeby Ferris wszystko dobrze zrozumiał. W żadnej mierze nie była to nagroda pocieszenia. Przymrużył oczy, wracając myślami do wspomnień, i zapytał: - Pamiętasz, jak pierwszy raz pojawiłeś się w moim gabinecie, zaraz po ukończeniu szkolenia na Farmie?

- Jasne. Przeraziłeś mnie wtedy.

- Bo mi schlebiałeś. Ale chciałem mówić o czym innym. Otóż już wtedy, podczas naszego pierwszego spotkania, zapragnąłem, żebyś dla mnie pracował. A wiesz dlaczego? Bo nigdy wcześniej nie widziałem takich ocen ze szkolenia. Zająłem do twoich akt. Wszystko zaliczałeś z wyróżnieniem.

Ferris pokiwał głową. Spotkał się z Hoffmanem zaledwie kilka dni po ukończeniu szkolenia w ośrodku przygotowawczym służb wywiadowczych zwanym powszechnie Farmą, bodaj najbardziej jawnym ze wszystkich tego typu tajnych ośrodków na świecie. Ten rozległy, otoczony wysokim parkanem teren na obszarach zalewowych w pobliżu Williamsburga aż roi się od węży i robactwa, ale także oficerów wywiadu, po zdemaskowaniu przeniesionych na stanowiska instruktorów. Ferris traktował to szkolenie jak udział we wspólnym obozie skautów, na luzie odbywał zajęcia z czytania mapy, prowadzenia samochodów terenowych, strzelania, a nawet skakania ze spadochronem, świadomy tego, że wszyscy pomijają milczeniem to, iż większość uczestników szkolenia dostanie przydział zadań wymagających jedynie krążenia między recepcjami różnych ambasad. Pewnie dlatego kończył wszystkie kursy z wyróżnieniem. Był nieźle wysportowany, co dawało mu sporą przewagę nad innymi w zajęciach siłowych typu walki wręcz, toteż w końcowym raporcie opiekun ich grupy określił go jako „naturalnego kandydata do rekrutacji”.

- Byłeś gwiazdą - ciągnął Hoffman. - Sporo ludzi kończących szkolenie z wyróżnieniem nie sprawdza się w pracy terenowej. Tak samo jak w szkole średniej istnieje rodzaj odwrotnej zależności między wczesnym sukcesem a późniejszym powodzeniem w pracy zawodowej. Ale moją uwagę przykuło jeszcze coś innego. Coś tak niezwykle rzadkiego, że aż się obawiałem, iż zaniknie już podczas wykonywania pierwszego zadania.

- Dobra, poddaję się. Co to takiego?

- Wykazałeś się wrodzonym talentem. Nie potrafię tego określić inaczej. Nawet nie podjąłeś jeszcze służby, a już wiedziałeś, czym się będziesz zajmował. Nie trzeba było ci tłumaczyć, że naprawdę są na świecie przerażający ludzie, którzy najchętniej wymordowaliby wszystkich Amerykanów. Badałeś ich obyczaje, uczyłeś się ich języka. Byłeś pewien, że wcześniej czy

później przyjdzie nam się z nimi zmierzyć, chociaż dziewięćdziesiąt dziewięć procent ludzi w agencji było przeciwnego zdania. W dodatku odznaczałeś się żyłką reporterską. Większość trafia do nas od komandosów, z FBI czy innych podobnych organizacji, gdzie uczy się ich jedynie wykonywać rozkazy i reagować zależnie od zmieniających się warunków. Wyraźnie od-

różniałeś się od nich. Byłeś inteligentny i niepokorny, skoro podczas nauki w college'u wybrałeś lektorat z arabskiego, a ponadto pracowałeś dla magazynu „Time”, nie ulegało więc wątpliwości, że świetnie rozumiesz, iż nasz dom stanął w płomieniach, ty zaś musisz się włączyć do akcji jego ratowania. Właśnie to mnie do ciebie przekonało. Doskonale wiedziałeś, co się dzieje. I nadal to rozumiesz.

- A mnie się wydawało, że gardzisz reporterami.

- I masz rację. To ofiary losu. Ale ciebie traktuję w innych kategoriach.

Ferris pokręcił głową, wspominając tych wszystkich fanfaronów i generałów sztabowych, z którymi rozmawiał, pracując dla redakcji „Time”. Nowa tematyka wciąż cieszyła się wielkim zainteresowaniem, kiedy rozpoczynał współpracę z redakcją w roku 1991. Szybko dostał delegację do Detroit, żeby opisać to, co pozostało z amerykańskiego przemysłu samochodowego. Niemniej, dogłębnie znudzony, już po roku chciał rzucić dziennikarstwo, lecz właściciele pisma ze względu na jego znajomość arabskiego postanowili w końcu wysłać go za granicę, ale najpierw ściągnęli go z powrotem do Nowego Jorku i powierzyli zadanie napisania kilku artykułów o Wall Street. To było jeszcze gorsze niż zesłanie do Detroit i Ferris twardo postanowił rozstać się z pismem, kiedy nagle dostał zadanie napisania krótkiego artykułu na temat radykalnych muzułmanów, którzy stali się gorącym tematem w 2001 roku po zamachu bombowym na World Trade Center. Zaczął więc czytać arabskie gazety i regularnie odwiedzać meczety. Lecz im więcej rozmawiał z szejkami, tym bardziej oczywiste stawało się dla niego zdanie: Ludzie nas nienawidzą. Nie chcą negocjować jakichkolwiek warunków. Chcą nas tylko powystrzelać. I wtedy zrozumiał, że wdepnął w coś szalenie ważnego, jednakże redakcja oczekiwa-

ła od niego wyłącznie notatek nieprzekraczających objętości tysiąca słów, a kiedy poskarżył się na ten stan rzeczy, usłyszał, że jest przecież tylko „czasowym korespondentem”. Zaczął się wtedy zastanawiać nad napisaniem książki na temat radykalnego islamu, okazało się jednak, że żaden potencjalny wydawca nie chce mu dać zaliczki na taką pozycję.

Porzucił więc dziennikarstwo i wrócił do środowiska, które poznał jeszcze w szkole średniej.

Tylko w ten sposób mógł dalej działać na polu, które stało się jego obsesją. Wykładowcy arabskiego z Uniwersytetu Columbia z radością włączyli go do swego grona, chociaż z dezaprobatą traktowali jego badania nad islamskim ekstremizmem, co stało w jawnej sprzeczności z misją pisania pocieszających listów do skazanych na poniewierkę Palestyńczyków. I wtedy, jakieś pół roku później, doszło do nieoczekiwanego spotkania, które z perspektywy czasu zaważyło na jego losie: były dziekan postanowił nagle przyjąć jego zaproszenie na lunch. Przez jakiś czas wyraźnie sondował grunt, wreszcie przy kawie zapytał, czy Ferris kiedykolwiek się zastanawiał nad wstąpieniem do służby w Centralnej Agencji Wywiadowczej. Ferris przyjął to gromkim śmiechem. Czy się zastanawiał? Do diabła, przez całe swoje dorosłe życie uciekał przed taką decyzją. I to mu właśnie uprzytomniło, że chyba najwyższa pora zakończyć tę ucieczkę. Bo przecież to było właśnie to. I teraz, po dziesięciu latach, płacił za tę decyzję pobyt w szpitalu i obecnością stalowego implantu w nodze, marząc o możliwości powrotu do pracy w terenie.

Hoffman uśmiechał się do niego.

- I pamiętasz, co mi powiedziałeś podczas tamtego pierwszego spotkania?

Wyteżył pamięć. Tamtego dnia kończącego szkolenie

na Farnie Wezwał go do siebie dyrektor kursu i oznajmił, że chce się z njm spotkać

kierownik wydziału bliskowschodniego agencji. I to natychmiast. Mówił takim tonem, jakby

chodziło o sprawę niecierpiącą zwłoki. Ferris planował wtedy wakacje na Florydzie, marzył o zimnym piwie na skąpanej w słońcu plaży, lecz ostatecznie pożegnał się z tymi marzeniami. Ruszył na północ autostradą 1-95, wciskając gaz do dechy i puszczając radio na cały regulator, ale gdy dotarł do centrali, strażnik z obojętną miną odesłał go na trzecie piętro. Znalazł się nagle w otoczeniu, które niemal pod każdym względem stanowiło ewidentny dowód tego, gdzie się znajduje. Tablica z terminarzem popołudniowych spotkań przywiodła mu na myśl zajęcia pozalekcyjne w szkole średniej. Napisy na blaszanych skrzynkach w rodzaju „Łącza elektryczne” albo „Zawory wodne” świadczyły jednoznacznie, że właściciele budynku mają obawy, czy jego użytkownicy przypadkiem czegoś nie pomylą. Na Farmie wbijano im do głów, że zamierzają właśnie zaciągnąć się do najlepszych służb wywiadowczych świata. Ale Ferrisowi wystarczyło jedno spojrzenie na spasionego strażnika o mętym Wzroku, strzegącego dostępu do pomieszczeń wydziału, aby dojść do wniosku, że jest to dalekie od prawdy. Przez chwilę zastanawiał się nawet, czy nie popełnił największego błędu w swoim życiu.

Właśnie wtedy poznał Eda Hoffmana. W pierwszej chwili uderzyły go gabaryty szefa wydziału. Hoffman był zdecydowanie zbyt otyły, zaliczał się do tych ludzi, którzy zajmują za dużo miejsca, nawet jeśli siedzą za swoim biurkiem. Włosy miał ostrzyżone na jeża, jak komandos, chociaż z wyglądu przekroczył pięćdziesiątkę. Zerkał na niego ciekawie sponad okularów, zaledwie Ferris wkroczył do pokoju, ale w jego spojrzeniu kryło się zaskoczenie przemieszane ze zniecierpliwieniem, jak gdyby już zapomniał, że sam wezwał rekruta na tę rozmowę. Poza tym rządziła nim nieposkromiona ciekawość.

Kiedy teraz Hoffman siedział przy jego szpitalnym łóżku, czekając na odpowiedź, zdawał się jeszcze potężniejszy, ale zarazem łagodniejszy. Niemniej, w jego oczach wciąż tliły się te same zaskakujące iskierki zniecierpliwienia, które nie pasowały do jego masywnej sylwetki. - Jeśli mam być szczery, Ed, nie pamiętam nic, co wtedy powiedziałem, oczywiście pomijając „tak jest” albo „nie, panie kapitanie”. Pamiętam za to, jak oświadczyłeś, że mamy ze sobą wiele wspólnego, bo obaj jesteśmy spokrewnieni z wyrzutkami CIA. Nigdy wcześniej nie słyszałem, by ojciec mówił o sobie jak o wyrzutku, chociaż w pewnym sensie było to zgodne z prawdą. Ale ty opowiedziałeś mi o swoim wuju Franku, który był szefem placówki w Bejrucie, dopóki nie wściekł się na swego szefa i nie złożył rezygnacji. Podobała mi się ta opowieść. Co się teraz dzieje z twoim wujem Frankiem?

- Gra w golfa na Florydzie ze wszystkimi, których zdoła do tego namówić. Unikasz jednak odpowiedzi na moje pytanie, Roger. Pamiętasz, co powiedziałeś wtedy, pod koniec naszego spotkania, po krótkiej dyskusji na temat ugrupowań islamskich i pozycji bin Ladena? Zrobiłeś na mnie wrażenie jedyne go człowieka w całej centrali, który doskonale znał swoje miejsce w szeregu, chociaż nie wziął jeszcze ani jednego czeku z poborami. Naprawdę nie pamiętasz, co wtedy powiedziałeś, kiedy ci oznajmiłem, że chciałbym cię wysłać do Jemenu, do rozpracowywania Al-Kaidy? Nie pamiętasz, jak wtedy zareagowałeś?

- Szczerze mówiąc, nie pamiętam, Ed. Sporo czasu minęło.

- A ja pamiętam. Spojrzałeś mi prosto w oczy i powiedziałeś: „To musi się udać”. Nigdy o tym nie zapominałem. To dlatego po jedenastym września od razu przypomniałem sobie o tobie, postanowiłem wycofać cię z Jemenu i zrobić swoją prawą ręką. W tym celu musiałem cię przepchnąć w hierarchii służbowej o jakieś trzydzieści stanowisk. Wiedziałaś o tym? Jedenasty września okazał się klęską dla całej Ameryki, ale dla ciebie, przyjacielu, był dniem przełomowym w karierze.

- Nie przesadzaj, Ed. W końcu leżę w wojskowym szpitalu z nogą rozszarpaną odłamkiem...

- To, co wtedy powiedziałeś - rzekł z naciskiem Hoffman, całkowicie go ignorując - jest nadal prawdziwe, a może nawet jeszcze bardziej, bo mamy Sulejmana na oku, a ty niedługo wyjedziesz do Ammanu. Ścigamy morderców, którzy chcieliby sprowadzić swoją wojnę do

każdego pasażera handlowego i każdego supermarketu w Ameryce. Dlatego przypominam ci twoje ówczesne słowa, Roger. To musi się udać.

Gretchen Ferris, ciemnowłosa piękność z wydatnym biustem, który przykuwał wzrok wszystkich mężczyzn, także co kilka dni odwiedzała męża w szpitalu. Nigdy jednak nie zostawała dłużej, zawsze miała jakieś pilne obowiązki w Departamencie Sprawiedliwości. Niemniej, na swój sposób była bezgranicznie oddana Ferrisowi. Poznali się na przedostatnim roku studiów na Uniwersytecie Columbia. Była od niego inteligentniejsza, przynajmniej według konwencjonalnych kryteriów. Miała za sobą już wszystkie obowiązkowe zaliczenia i niemal każdą wolną chwilę spędzała na jachcie, podczas gdy on szkolił się wtedy intensywnie w jeździe konnej. Kiedy on wstąpił do

CIA, ona przeniosła się do Waszyngtonu i podjęła dwuletnią praktykę u konserwatywnego sędziego sądu okręgowego. Po przejęciu władzy przez Republikanów dostała propozycję pracy w Departamencie Sprawiedliwości. Zapytała wówczas Ferrisa, czy będzie kłopot z tym, że oboje będą pracować dla rządu. Odparł, że nie. Był z niej dumny, tak samo, jak ona z niego.

Gretchen była głęboko wierząca i to ich najbardziej różniło. Dla Ferrisa większość hipotez dotyczących ludzkiego życia była wyłącznie indukcyjna i podlegająca rewizji. Natomiast ona poruszała się w odwrotnym kierunku, od twardych założeń do praktyki. Nie umiał ocenić, czy wynikało to stąd, że w młodości była po prostu mniej pewna wszystkiego, czy też to on na jakimś etapie się zagubił. Ten rozdźwięk, który martwił go trochę przed wyjazdem do Iraku, teraz wyraźnie się pogłębił. Gretchen nawet nie chciała słuchać o rzeczach mogących ją zdenerwować. Kiedy próbował jej wytłumaczyć, co najbardziej go martwi w związku z interwencją w Iraku, krzywiła się i kręciła głową, jakby jego argumenty do niej nie trafiały. Mimo wszelkich różnic wiedziała doskonale, co może scementować ich związek. Odznaczała się imponującym i na swój sposób odkrywczym apetytem na seks. To odróżniało ją od powszechnego stereotypu konserwatywnego prawnika. Kiedy po raz pierwszy odwiedziła go w szpitalu, rozpięła przed nim długi płaszcz przeciwdeszczowy. Pod spodem miała tylko koronkową bieliznę i pas z pończochami, a na nogach wysokie szpilki. Zaproponowała, że zrobi mu loda. Początkowo zaoponował, czując się, jakby zdradzał wszystkich rannych towarzyszy broni leżących w sąsiednich pokojach, ale nie opierał się długo.

Kiedy oznajmił, że wyjeżdża do Ammanu, łzy napłynęły jej do oczu - wcale nie z żalu, tylko ze wzruszenia z po-

wodu doniosłych spraw, dla których się poświęca. Nieraz mówiła, że oboje niejako biorą udział w tej samej wojnie, toteż muszą poświęcać osobiste szczęście dla wyższych celów. Ferris uważał, że to czysty idiotyzm. Według niego nikt nie wstępował w związek małżeński, bo wymagało tego dobro ojczyzny. Dlatego miał coraz więcej obaw, czy ich małżeństwo wytrzyma próbę czasu. Gretchen traktowała go bardziej jak mitycznego bohatera niż prawdziwego człowieka. Jeszcze na lotnisku w dniu wyjazdu próbował tłumaczyć, że nie jest w stanie ręczyć, czy zdoła dochować jej wierności, skoro wyjeżdża tak daleko i na tak długo. Ucięła jednak krótko:

- Nie powtarzaj mi tego za każdym razem, a wszystko będzie w porządku.

Pocałowała go czule i powiedziała, że go kocha. Nie było w tym za grosz fałszu.

Odpowiedział, że on także ją kocha, ale nie mógł się oprzeć wrażeniu, że zabrzmiało to fałszywie.

Amman

Ferris umówił się telefonicznie z Hanim Salaamem w Generalnym Dyrektoriacie Służb Wywiadowczych następnego dnia po powrocie szefa z Berlina. Wartownik przy bramie zatrzymał jego opancerzony SUV, ale tylko zajrzał przez szybę do środka i ruchem ręki kazał jechać dalej. Najwyraźniej wszyscy już wiedzieli, że zaprzyjaźnił się z Paszą. To była rzecz

nieunikniona w takim kraju jak Jordania, gdzie życie obracało się wokół wydarzeń na dworze królewskim. Plotki rozchodziły się lotem błyskawicy, wszyscy dworzanie rozpowszechniali te same informacje i wyglądało na to, że nic się tu przed nikim nie ukryje. Na przykład, już po paru dniach cały pałac wiedział, że Ferris został szefem tutejszej placówki CIA zaledwie parę tygodni po przyjeździe, po tym, jak Francis Aldersona usunięto ze stanowiska. Miała to być wielka tajemnica, ale w tym towarzyskim świecie chyba nie istniały żadne tajemnice.

Gmach centrali wywiadu stał na szczycie stromeego wzniesienia w Abdoun, niedaleko ambasady amerykańskiej. Nie był widoczny z ulicy, dopiero za zakrętem ukazywał się niczym wielkie, górujące nad okolicą kamienne zamczysko na skalnym garbie. Na dziedzińcu powiewał złowieszczy czarny sztandar Mukhabaratu z arabskim napisem głoszącym: „Nadeszła Sprawiedliwość”. W pogodne noce było stąd widać na horyzoncie światła Jerozolimy. Gmach był olbrzymi. Nikt nie wiedział, ile dokładnie ludzi jest na żołdzie tajnej policji, toteż wszyscy wyobrażali sobie najgorsze. Czy ten osobnik przy sąsiednim stoliku w restauracji to informator? A bawab strzegący wejścia do twojego budynku mieszkalnego albo człowiek pracujący przy najbliższym biurku? Zachodziły obawy, że wszyscy są informatorami, relacjonującymi policji niemal każdą chwilę twojego życia, nikt jednak nie wiedział nic pewnego. Młodzi Jordańczycy w barze zabawiali się czasami w zgadywanie, kto jest tajnym agentem Mukhabaratu, ale odważali się na to jedynie ci, których ojcowie mieli wystarczająco dużo pieniędzy, żeby zrekompensować ewentualne straty. Właśnie na tym Hani opierał swoją potęgę. Z braku rzeczywistej wiedzy zastraszeni ludzie wyobrażali sobie, że jego agenci są wszędzie.

Ferris przywiózł ze sobą wyposażoną w szyfrowy zamek aktówkę, w której miał stenogramy kilku przechwyconych rozmów członków rodziny królewskiej, domagających się ostatnio od władcy większych pieniędzy. To Hoffman wpadł na pomysł przygotowania tych wydruków. Chciał z nich zrobić Haniemu niespodziewany prezent zaraz po powrocie Araba do kraju. Jego przesłanie było klarowne: Dzielimy się z tobą zdobytymi informacjami. I oczekujemy w zamian tego samego.

Sekretarka Hardego powitała Ferrisa przy drzwiach i poprowadziła go na spotkanie. Minęli znajdujące się na parterze wielkie jaskrawe malowidło przedstawiające młodego króla i jego rodzinę, po czym szerokimi schodami weszli na piętro. Można się tu było poczuć jak w lobby ekskluzywnego hotelu, wykończonym lśniąca tekową boazerią i błyszczącymi elementami z chromu. Eleganckie wnętrza z pewnością zaskoczyłyby wielu Jordańczyków, którzy wyobrażali sobie, że siedziba wszechmocnego wywiadu musi przypominać kafkowskie więzienie. Ale szefowie tutejszych służb byli bez wyjątku miłośnikami dostatniego życia, czasami aż do przesady. Jeden z poprzedników Haniego skończył w więzieniu, kiedy wyszło na jaw, że podpisywał kontrakty wyłącznie z zaufanymi przyjaciółmi, którzy w podzięce przelewali spore sumy pieniędzy na jego tajne konto bankowe.

Sekretarka wprowadziła Ferrisa do gabinetu sympatycznego zastępcy Haniego, który przyjął go herbatą i umilił oczekiwanie niezobowiązującą rozmową. Dyrektor będzie wolny za parę minut, obiecał. W końcu inny sekretarz przyniósł wiadomość, że mogą się już zobaczyć, więc Ferris ruszył za nim długim korytarzem do obszernego gabinetu, również ozdobionego portretami młodego króla i jego ojca. Hani podniósł się zza biurka i wyszedł mu naprzeciwko.

- Saalam aleikum, Hani Pasha! - powitał go Ferris, po

czym schylił się i po przyjacielsku ucałował Jordańczyka w oba policzki. Hani sprawiał wrażenie rozbawionego tymi nieoczekiwanymi dowodami szacunku. Zaciągnął się lekko papierosem i wypuścił w stronę gościa idealnie równe kółko dymu.

- Jesteś tu bardzo mile widzianym gościem, Roger. W twoich żyłach na pewno płynie arabska krew, bo odznaczasz się świetnymi manierami. Właśnie z tego powodu tak bardzo cię lubimy.

- Nie jestem Arabem, tylko Amerykaninem, który mówi waszym językiem.

- Chyba jednak masz niewielką domieszkę krwi. - Hani się uśmiechnął. - Na przykład po babce. Albo nieznanym ci pradziadku. Wiem to na pewno. A ja się nigdy nie mylę.

- Tym razem jednak się mylisz - odpowiedział Ferris z równie przyjacielskim uśmiechem. Nie lubił rozmawiać o swoim rodowodzie. Jego przełożeni z agencji nie byłiby zadowoleni, gdyby wyjawiał zbyt wiele szczegółów, a ponadto wychodził z założenia, że jego życie prywatne nie powinno nikogo interesować.

- Y'allah! Siadaj, proszę. - Jordańczyk wskazał mu miejsce na kanapie. Tego ranka jeszcze bardziej niż zwykle przypominał Deana Martina. Miał na sobie tweedową marynarkę, rozpiętą pod szyją koszulę i eleganckie nowiutkie pantofle skórzane, które musiał kupić podczas ostatniego pobytu w Londynie.

- Świetnie wyglądasz - rzekł Ferris całkiem szczerze. Hani rzeczywiście był okazem zdrowia. W Berlinie, w ramach nagrody za swoje wysiłki, spędził zapewne noc w towarzystwie bardzo kosztownej ekskluzywnej dziwki.

- Jak twoja noga, mój drogi? Zauważyłem w Berlinie, że jeszcze utykasz. Staraleś się to ukryć, ale nieskutecznie. Mam nadzieję, że wracasz do zdrowia. Martwię się o ciebie.

- Nic mi nie jest, wszystko w porządku, tym bardziej że znów mogę cię widzieć, Hani Pasza.

- Dopiero wczoraj wróciłem z Niemiec. To wspaniały kraj, lecz w ogóle nie ma służb wywiadowczych. Nie jestem nawet pewien, czy odnotowali moją obecność na swoim terenie. Gdy tylko wróciłem do domu, odebrałem wiadomość, że chcesz się ze mną pilnie zobaczyć. Stało się coś niezwykłego? - zapytał, unosząc brwi.

- Chodzi o zamach w Mediolanie. Europejczycy dostali szału. W Białym Domu zapanowała gorączka. I wszyscy domagają się od nas wyjaśnień.

- Tak samo, jak ode mnie. - Hani westchnął głośno, podnosząc obie ręce. - Musiałem przełożyć poranne spotkania z łącznikami Włochów, Francuzów i Brytyjczyków, żeby móc się z tobą zobaczyć. Wszyscy domagają się rezultatów na jutro. Moim zdaniem, nie rozumieją dobrze zasad pracy wywiadowczej. To nie kuchenka mikrofalowa. Ed Hoffman zna się na tej pracy i wie, że jeśli coś zostanie zrobione szybko, nie będzie zrobione dobrze.

- Twoja operacja w Berlinie bardzo zainteresowała pana Hoffmana. Prosił, bym ci przekazał gratulacje. Wydaje mi się, że jest pod wrażeniem. - Ferris urwał nagle, uświadomiwszy sobie, że znalazł się na granicy kłamstwa.

- Powiedz Edowi, że jestem wdzięczny za jego wyrazy uznania. Od kogo innego potraktowałbym takie słowa jak zwyczajne pochlebstwo, i to nie bezinteresowne. - Uśmiechnął się skąpo, rozchylając wargi tak nieznacznie, jak płetwa rekina rozcina gładką tafłę wody.

- Dla nas to także pilna sprawa, Hani Pasza. Jak się zapewne domyślasz, pan Hoffman ma mnóstwo pytań dotyczących tego człowieka, z którym się spotkaliście w Berlinie, Mustafy Karamiego.

- O tak, domyślam się.

- W szczególności pan Hoffman chciałby wiedzieć, jak przebiegło twoje drugie spotkanie. - Nie chciał naciskać gospodarza, przechodząc tak szybko do sedna sprawy, obawiał się jednak, że Hani nie ma dla niego za dużo czasu. Król miał brzydki zwyczaj odzywać się w najbardziej nieodpowiednich porach, a po każdym takim wezwaniu szef wywiadu znikał z gmachu na wiele godzin.

- Sprawa jest skomplikowana - odparł Hani. - To dobra sprawa, ale skomplikowana.

- Dlaczego? Przecież masz tego człowieka w garści. „Porozmawiaj ze swoją matką”. To najlepszy argument, jaki dotąd słyszałem. Poza tym zmierzasz w kierunku, który nas szczególnie interesuje. - Pozostawił tę kwestię w zawieszaniu, mając słabą nadzieję, że Hani ją podejmie, ale ten chyba jedynie odnotował w myślach kolejną pochwałę.

- Rzeczywiście mam go w garści, jak to określiłeś. Drugie spotkanie przebiegło dobrze, podobnie jak i trzecie, które zorganizowałem tuż przed wyjazdem. To teraz nasz człowiek, bez wątplenia. Jest nam oddany bez reszty. Ale sprawa i tak jest skomplikowana.

Ferris milczał, czekając na dalsze wyjaśnienia, a kiedy nie padły, zapytał ponownie:

- Dlaczego jest skomplikowana?

- Bo Al-Kaida jest skomplikowana. Składa się z wielu odmiennych warstw. Każdy, kto próbuje przejść z jednej warstwy do drugiej, staje się od razu podejrzany. Nie wolno niczego robić na własną rękę, trzeba poczekać, aż ktoś cię o coś poprosi.

- Ale my nie możemy czekać. Wiesz o tym. Zwłaszcza

teraz, po zamachu w Mediolanie. Mamy nadzieję, że szybko włączysz Mustafę do gry.

- Zgadza się, że nie możemy czekać, bo czekanie oznacza śmierć następnych ludzi. Ale z drugiej strony, musimy jednak poczekać. Jestem człowiekiem bardzo cierpliwym, nawet wtedy, gdy mi się spieszy. Zaplanowanie tej operacji zabrało mi zbyt wiele czasu, żebym teraz próbował przyspieszać bieg wydarzeń. Nawet gdyby Ed Hoffman prosił mnie o pośpiech.

Ferris zamyślił się na chwilę, zanim odpowiedział. Hani był nadzwyczaj ostrożny. Nadeszła więc chyba odpowiednia pora, by wręczyć mu prezent, który przyniósł w aktówce.

- Pan Hoffman prosił, abym ci coś przekazał. Zdaje się, że o to prosiłeś. Są to stenogramy rozmów telefonicznych z Europy i Ameryki kilku osób z rodziny królewskiej, które...

przysparzają królowi zmartwień. Szczególnie powinny cię zainteresować rozmowy tego libańskiego bankiera z Paryża, który opiekuje się paroma królewskimi kontami. - Otworzył aktówkę i przekazał gospodarzowi plik wydruków.

- Ach tak... - Hani przebiegł wzrokiem parę kartek i zamknął teczkę. Spojrzał na Ferrisa spod przymrużonych powiek. - To bardzo miłe. Nie wątpię, że Jego Wysokość bardzo to zainteresuje. Jestem wdzięczny Edowi za jego szczodrość. - Gospodarz sprawiał wrażenie lekko urażonego tym prezentem, chociaż Ferris nie potrafił zrozumieć przyczyny.

Rzeczywiście król osobiście szepnął na ucho dyrektorowi agencji parę słów na temat swoich krnąbrnych krewniaków podczas ostatniego pobytu w Waszyngtonie.

- Pragnie się z tobą zobaczyć. Wybiera się do Ammanu.

- Tak, wiem. Chce czegoś ode mnie, ciekaw jestem czego. - Hani uśmiechnął się i przypalił następnego papierosa.

Ferris wolał nie pytać, skąd zna plany kierownika wydziału. Możliwe, że Hoffman sam mu o nich powiedział, a może tylko udawał, że wie. Nie miało to większego znaczenia.

- Na pewno będzie chciał porozmawiać o tej sprawie - rzekł.

- Proszę bardzo. Ahlan wa sahan. O ile tylko nie będzie próbował przejąć kontroli nad operacją. Od razu popełniłby jakiś błąd. Właśnie dlatego cię lubię, Ferris. Dobrze wiesz, czego nie wiesz. Jesteś młody, bystry, znasz arabski i z szacunkiem odnosisz się do starszych. W głębi duszy jesteś Arabem. - Gospodarz puścił do niego oko.

- Czy mógłbym dostać zapis twojego spotkania z Kara-mim? To by mi bardzo pomogło w rozmowie z Hoffmanem.

- Nie. Przykro mi, ale to byłoby niewłaściwe. Mogę ci tylko streścić, co nam powiedział.

Karami miał kontakt z człowiekiem, który był w obozie treningowym w Afganistanie.

Mieszka w Madrycie. Spotkali się w Budapeszcie. Człowiek z Dubaju, który przesyła mu pieniądze, dostaje je od kogoś z Karaczi, ale na razie nie znamy nawet jego imienia. Karami był kurierem podczas operacji „USS Cole” w roku dwutysięcznym. Raz został wysłany do Jemenu, ale od tamtej pory nie wykorzystywali go w żadnej akcji w terenie. To uśpiony agent. Trzymają go w odwodzie do jakichś zadań. A może po prostu o nim zapomnieli.

Przykro mi to powiedzieć, habibi, ale on sam nie zdoła nas wprowadzić do namiotu. Gdyby

spróbował zobaczyć się z kimś ważnym, spotkałby się z odmową. Ale ja mam dla niego inny pomysł.

- Jaki? - zapytał Ferris, ledwie się powstrzymując od zmarszczenia brwi.

- Nie mogę ci powiedzieć - odrzekł Hani, spoglądając

na niego hardo. Jego twarz wydawała się pozbawiona nawet jednej zmarszczki, włosy były gęste jak u młodzieńca, starannie równiutko przycięte. - Nie, to nieprawda. Oczywiście mógłbym ci powiedzieć, gdybym chciał, ale nie chcę.

- Dlaczego? Przecież polujemy na ten sam obiekt. Jestem tego pewien. Dlaczego więc nie nawiązać bliższej współpracy?

- Ponieważ to moja operacja. Wy i tak skorzystacie na jej wynikach. Ale musicie mi pozwolić poprowadzić ją po swojemu. Bądźmy ze sobą całkiem szczerzy, mój drogi. Po prostu nie macie wyboru. - Jordańczyk uśmiechnął się szeroko. Ferrisowi przemknęło przez myśl, że jest urzekająco przystojny, nawet kiedy mówi rzeczy, które jemu skrajnie utrudnią życie.

- Hoffman będzie niezadowolony - rzekł.

- Ma'alesh. Niedobrze. Ale jakoś to przeżyje. Bo któż kocha Amerykanów tak, jak ja?

- Langley pakuje tutaj spore pieniądze...

- Mam to potraktować jak groźbę, mój drogi? Niesamowite. Bardzo szybko wczułeś się w swoją nową rolę. Tylko nie zrób tego samego błędu, co twój poprzednik, bo i ciebie będziemy musieli wydalić z kraju.

Hani uśmiechnął się jeszcze szerzej, a w jego oczach zabłyśły skry bezgranicznej pewności siebie. Nikt nie chciał rozmawiać o grzeszkach jego poprzednika, Francis Al-dersona, ale też nikt nie chciał o nich zapomnieć. Hani poklepał Ferrisa po ramieniu i dodał:

- Reprezentujesz teraz ważne figury z Langley. W pełni to rozumiem. Ale okazujesz jedynie waszą słabość, próbując mnie zastraszyć w ten żaloszny sposób, więc lepiej nie wracajmy już nigdy do tego tematu. A kierownikowi swojego wydziału powiedz, że jeśli wspomni choć jednym

słowem o pieniądzach podczas swojej wizyty, gorzko tego pożałuje. Do tego również nie będziemy już nigdy wracać, dobrze?

- W porządku - odparł Ferris. - Jestem jednak prawie pewien reakcji pana Hoffmana.

- I on to jakoś przeżyje. Toczy się wojna, a na wojnie trzeba mieć pełne zaufanie do sprzymierzeńców. Dopij herbatę.

Tego wieczoru wrócił do wynajętego przez siebie mieszkania w Shmeisani, zajmującego całe górne piętro budynku, który należał do emerytowanego palestyńskiego inżyniera. Roztaczał się stąd uroczy widok na białe miasto i okoliczne wzniesienia. Od razu wyszedł na balkon. Było jeszcze dość wcześnie i między wzgórzami Am-manu dopiero pogłębiały się mroczne cienie. Nalał sobie szklaneczkę wódki, usiadł na tarasie i zapatrzył się na migotliwą lunę na horyzoncie pochodzącą od świateł Jerozolimy. W normalnych warunkach lubił być sam, cieszyła go przytulna pustka tego mieszkania. W prawdziwym życiu każdy człowiek potrzebował bezpiecznego schronienia, tyle że nie zawsze, a dla Ferrisa ten wieczór należał właśnie do wyjątków.

Przez jakiś czas rozmyślał o żonie. Gretchen regularnie przysyłała listy, w których romantyczne historie, zapewne spisane z „Cosmo”, przeplatały się z opisami codziennego życia w Biurze Doradztwa Prawnego. Wszystko miała poszufladkowane - seks, zagadnienia prawne, polityka - w każdej z tych dziedzin wydawała się znawczynią. Bardzo chciał odczuwać dumę na myśl o niej, ale nie potrafił się nawet skupić na jej obrazie wypływającym ze wspomnień. W ogóle nie czuł już więzi małżeńskich.

W jego wypadku to spoiwo nie zdało egzaminu i w takich chwilach duchowa obecność żony błyskawicznie rozplątała się między wzgórzami Ammanu, jakby wracała błyskawicznie do Ameryki, do stanowiska przy wielkim dębowym biurku w Departamencie Sprawiedliwości.

Uświadomił sobie nagle, że nic go nie obchodzi, czy Gretchen chodzi z kimś innym do łóżka. Zapewne była to pierwsza oznaka jego niewierności, choć na razie tylko w głębi serca. Puste miejsce w życiu Rogera Ferrisa szybko zajęła niejaka Alice Melville. Poznali się przed trzema tygodniami w Ammanie i od razu ją polubił, zostawił nawet obrączkę w szufladzie, nim spotkał się z nią na kolacji, choć do tej pory nigdy tego nie robił. A po kolacji zaprosił ją do siebie.

- Nie nadużywaj swego szczęścia - powiedziała. A kiedy spojrzął na nią ze smutkiem w oczach, cmoknęła go w policzek i dodała szeptem: - Nie, wycofuję te słowa. Nadużywaj szczęścia. Tylko nie dzisiaj.

Spodobała mu się głównie z tego powodu, że diametralnie różniła się od jego żony. Gretchen należała do tych, którzy znają już odpowiedzi na najważniejsze życiowe pytania. Alice sprawiała wrażenie kogoś, dla kogo nawet sprawy fundamentalne wciąż podlegają dyskusji. Pracowała z palestyńskimi uchodźcami i potrafiła z ogromnym zaangażowaniem mówić o cierpieniach Arabów. Koledzy Ferrisa z placówki zapewne od razu uznaliby ją za osobę niegodną zaufania, toteż wolał trzymać ją od nich z dala. Ale przede wszystkim Alice była dla niego wielką tajemnicą. U Gretchen wszystko musiało być na swoim miejscu, atuty zawczasu wyłożone na stół - inteligencja, uroda, pragnienia. Alice była o wiele bardziej nieokreślona, w pojęciu Ferrisa przypominała Arabów, gdyż pod pozorną otwartością wyczuwał u niej maskowaną przebiegłość. Poza tym nigdy nie mówiła wprost wszystkiego, co wiedziała.

Dostał od niej list tuż przed wyjazdem do Berlina, będący niejako kontynuacją dyskusji, jaką prowadzili w czasie ostatniego spotkania, kiedy to oboje byli wstawieni i rozmawiali o polityce. Ton listu był poważny i frywolny zarazem, co prawdopodobnie należało do stylu bycia Alice, chociaż Ferris nie znał jej jeszcze tak dobrze. Cały czas nosił ten list w kieszeni. Teraz wyjął go i zaczął czytać od nowa, mimo półmroku zalegającego na tarasie i gęstniejącego szybko w miarę zapadania nocy.

Zaczynał się od słów:

„Brzydzą się tą wojną, Roger. Chyba nikt już nie wie, od czego się rozpoczęła. Czy od konfliktów z roku 2001, czy może od wypraw krzyżowych? I kim właściwie są owi »zli ludzie, o których bez przerwy mówią twoi przyjaciele z ambasady? Zakładam, że nie chodzi im o wszystkich muzułmanów, lecz jeśli nawet tylko o tych, którzy nienawidzą Ameryki, i tak mamy do czynienia z wielką liczbą ludzi. Co można z nimi począć? Wybić ich do nogi? Jak ich zmusić do tego, żeby nas polubili, skoro ciągle ich zabijamy? Może jestem głupia, ale nie rozumiem tego. Mam nadzieję, że jeszcze kiedyś spotkamy się na kolacji. Moglibyśmy pójść na dancino do tego nowego klubu w Shmeisani. Nie pracuj zbyt ciężko. Tęsknię za tobą. Czy ty też za mną tęsknisz choć troszkę?“. Pod jej nazwiskiem widniał zamaszty zygzak odręcznego podpisu.

Siedząc teraz na tarasie i wążąc w dłoni drugą szklaneczkę wódki, Ferris zdał sobie sprawę, jak bardzo za nią tęsknił. Po raz kolejny wybrał numer jej telefonu komórkowego, ale i tym razem nie doczekał się odpowiedzi. Al-

bo była z kim innym, albo gdzieś podróżowała. Niewykluczone zresztą, że chciała tylko dodać sobie aury tajemniczości.

Pomyślał, że i on powinien napisać Ust. Nie do Alice, z którą i tak miał się wkrótce spotkać, lecz do Gretchen. Sytuacja między nimi stawała się nie do zniesienia. Oboje doskonale wiedzieli, choć żadne z nich nie chciało tego otwarcie przyznać, że szansę na uratowanie małżeństwa mieliby tylko wtedy, gdyby ona przyleciała z nim do Ammanu albo on odmówił udziału w misjach terenowych i pozostał w Waszyngtonie. Bez tego stawali się sobie coraz bardziej obcy. Gretchen nawet nie chciała za niego wyjść. Nigdy nie powiedziała tego wprost, ale w rzeczywistości była zbyt pochłonięta karierą zawodową, by prowadzić jakiegokolwiek życie rodzinne. Zgodziła się tylko dlatego, że w jej pojęciu doskonale do siebie pasowali jako

para niezłomnych wojowników za sprawy ojczyzny, choć na dobrą sprawę nie byli nawet prawdziwą parą.

Zrób to teraz, nakazał sobie Ferris w duchu. Wszedł do środka, usiadł przy biurku w gabinecie, włączył laptopa i zaczął pisać: „Moja droga Gretchen”... Nie, lepiej: „Droga Gretchen. Oboje uznaliśmy, że musimy porozmawiać, kiedy w czerwcu wyjeżdżałem z Waszyngtonu, tyle że nie było ku temu okazji. Sądzę jednak, że naprawdę musimy szczerze porozmawiać. Nasze małżeństwo się rozsypuje”... Nie: „Nasze małżeństwo przeżywa poważne kłopoty. Oboje świetnie o tym wiemy. Żyjemy z dala od siebie od wielu miesięcy i nic nie wskazuje na to, by w najbliższym czasie ta sytuacja miała się zmienić. Ty nie chcesz rzucić swojej pracy, ja nie chcę rzucić swojej, zwłaszcza po tym, co się wydarzyło w Iraku. Nie widać zatem miejsca, w którym moglibyśmy żyć jak mąż i żona. Jeśli nie możemy być razem, wydaje się nieuniknione, że zaczniemy się spotykać z innymi ludźmi”... Nie: „A jeśli nie zamierzamy być razem, jest nieuniknione, że będziemy się spotykać z innymi ludźmi, sądzę więc, że powinnaś porozmawiać ze swoim adwokatem”...

Przerwał nagle. Myśl o adwokacie nasunęła mu skojarzenie z awanturą o pieniądze i całym tym cyrkiem, jaki stanowił rozwód. Zapisał niedokończony list, ale po krótkim namyśle go skasował. Obrzydzeniem napawała go perspektywa jakichkolwiek negocjacji z żoną. Była o wiele sprytniejsza od niego i jako prawnik zarabiała o wiele więcej, niż on mógł choćby zamarzyć, pracując dalej w wywiadzie. Nie miał złudzeń, że za kilka lat Gretchen porzuci pracę w Departamencie Sprawiedliwości i znajdzie sobie ciepłą posadkę w modnej prywatnej kancelarii adwokackiej, gdzie będzie zarabiać czterysta tysięcy dolarów rocznie. On mógłby zdobyć takie pieniądze chyba tylko sprzeniewierzając fundusze operacyjne, co było sprzeczne z jego naturą, przynajmniej teraz. Poza tym, ona by mu do końca zatruła życie.

Podstawowy problem Gretchen polegał na tym, że absolutnie nie tolerowała ludzi słabszych od niej, to znaczy wszystkich z nielicznymi wyjątkami. Już podczas pierwszego spotkania na studiach powiedziała mu, że w najbliższych wyborach prezydenckich zamierza głosować na kandydata Republikanów. Był to nie tyle test jego zapatrywań politycznych, ile wyraźne ostrzeżenie. Ale on je zlekceważył. Polityka go nudziła, za to Gretchen był zafascynowany. Olbrzymie wrażenie zrobiło na nim jej niezwykle opanowanie połączone z wielką pewnością siebie - a więc połączenie spotykane, jak mu się zdawało, wyłącznie u skrajnie ambitnych mężczyzn na progu kariery. Czy to właśnie sprawiło, że od razu się w niej zakochał? Na pewno sporą rolę odegrał blichtr: ona świetnie wiedziała, jak dążyć do sukcesu, on zaś nabierał przekonania, że staje się kimś ważnym przez samo przebywanie z nią. Bo z drugiej strony doskonale znała również tajniki jego serca. Kiedy na zlecenie redakcji „Time” zaczął zbierać materiały o radykalnych ugrupowaniach muzułmańskich, jako pierwsza dostrzegła zagrożenie.

- To niebezpieczni ludzie, Roger - powiedziała. - Musisz coś z tym zrobić.

Pozostali razem, gdyż tworzyli pozornie idealną parę. W każdym razie ona mu to zawsze powtarzała. Była bardzo ładna, w skrytości zaliczał ją do tych dziewcząt, z którymi każdy chciałby się przespacerować Fifth Avenue w okresie świątecznej gorączki. Lubiła się ubierać na czerwono, słuchała nagrań U2, w nadmorskich kurortach paradowała w odważnym bikini. Kiedy trochę wypila, jej oczy nabierały wyrazu małomiasteczkowej piękności z tandetnego romansidła, którą każdy próbuje zaciągnąć do łóżka. W dodatku zachowywała się tak, jakby miała patent na życiowe rozkosze, jakby skrzętnie je gromadziła w jakimś banku orgazmów. Jeśli nie uprawiała w łóżku seksu, po kocie mu zwiijała się w kłębek i spała jak zabita, a on nieodmiennie się zastanawiał, czemu w takich chwilach ogarnia go poczucie osamotnienia. Pobrali się dlatego, że... obojgu wydawało się to najrozsądniejszym rozwiązaniem. Wszyscy ich przyjaciele byli już wtedy w związkach małżeńskich. Niemalże poszli więc za impetem, jak na giełdzie: trzeba kupować te akcje, które wszyscy kupują. On był wtedy naprawdę zakochany. Przeczekała jego dwuletni pobyt w Jemenie, a kiedy wrócił, oznajmiła krótko:

- Czas na nas.

Znaleźli mieszkanie na osiedlu Adamsa Morgana i krótko przed jedenastym września 2001 roku Gretchen podjęła pracę w Departamencie Sprawiedliwości.

Zawsze była żarliwą patriotką, ale po jedenastym września zyskała wręcz życiową misję do spełnienia. Istnieje coś w rodzaju gwałtownej reakcji chemicznej, kiedy rozbuchana ambicja zderza się z niezłomnymi zasadami, a jej wynikiem jest poważna zmiana charakteru człowieka. Gretchen zaczęła w departamencie wyraźnie sterować w kierunku spraw, które dotąd były jego wyłączną domeną, i to go zaniepokoiło. Któregoś wieczoru zaczęła go wypytywać o metody prowadzenia przesłuchań. Interesowały ją nawet szczegóły. Ile bólu trzeba zadać człowiekowi, żeby wreszcie zaczął mówić? Ile czasu zajmuje więźniom dochodzenie do siebie po wyczerpujących przesłuchaniach? W najmniejszym stopniu nie była to luźna rozmowa, jeśli w ogóle można było sobie wyobrazić luźną rozmowę na ten temat, Ferris nabrał więc podejrzeń, że żona zaangażowała się w zbieranie danych. W końcu zbył ją twierdzeniem, że niewiele wie o technikach przesłuchiwania poza tym, czego się nauczył na Farmie. Była wyraźnie rozczarowana.

Nie zrezygnowała jednak i w końcu przyparty do muru wyznał, że raz obserwował przebieg wyczerpującego przesłuchania w czasie pobytu w Jemenie. Tamtejsza służba bezpieczeństwa schwytała poszukiwanego członka Al--Kaidy i przez trzy dni tłukła go w celi kijem do krykieta, co najbardziej utkwilo mu w pamięci. Agenci utrzymywali go przy życiu tylko na tyle, żeby był świadom każdej nowej fali bólu ogarniającego zmaltretowane ciało. W końcu, pod wpływem strachu przed okrutną śmiercią, więzień zaczął mówić to, co jego zdaniem przesłuchujący chcieli usłyszeć. Ale to ich tylko jeszcze bardziej rozwścieczyło, zaczęli więc bić mocniej. Ostatecznie zmarł z powodu

utrąty krwi i poważnego wstrząsu mózgu. A Ferris musiał się temu wszystkiemu przyglądać.

- I nie powiedziałeś im, żeby przestali? - zapytała Gretchen.

- Nie. Do końca byłem pewien, że ta metoda przyniesie skutek. Jego śmierć była dla mnie zaskoczeniem.

- Nigdy więcej nie opowiadaj o tym nikomu - przykazała. - To było niezgodne z prawem. Przynajmniej formalnie.

Kiedy zaś on zapytał, czemu nagle zainteresowała się metodami prowadzenia przesłuchań, nie odpowiedziała. Zeszła na dół, żeby zrobić kilka notatek, a wkrótce wróciła do sypialni w rozpiętej bluzce.

Ta rozmowa tak bardzo zaniepokoiła Ferrisa, że aż wmówił sobie, iż jej prawdziwym powodem był taki sam niepokój Gretchen, niemniej wcale nie był tego pewien. Stopniowo zaczął sobie uświadamiać, że dla niej prawo jest po prostu wyzwaniem. Ogólnie rzecz biorąc, chodziło o zniesienie ograniczeń, uniemożliwiających jej klientowi, czyli prezydentowi Stanów Zjednoczonych, podjęcie takich działań, na jakich mu zależało. Było w tym postępowaniu coś skrajnie erotycznego, zatraćającego praktykami sadomasochistycznymi. Nie można było traktować prawa instrumentalnie jako środka do rozwiązywania ludziom rąk, by mogli postępować jedynie według własnej woli.

Gretchen była bardzo dumna z tego, że jej mąż został ranny w Iraku. Przypuszczała, że ona z obrzydzeniem przyjmie jego rany, lecz wodziła po nich palcami z upodobaniem, jakby chciała przynajmniej pośrednio doświadczyć tego samego, co on. Było to jednak niemożliwe. Ilekroć wracał myślami do tamtej krawędzi otchłani, jaką dostrzegł na irackiej autostradzie, kiedy to bez reszty zawładnęła nim myśl, że lada moment zginie, uświadamiał sobie, że jej wówczas przy nim nie było. Jak mógł jej przekazać tamte doznania? To wrażenie całkowitej separacji, które towarzyszyło mu przez całą rekonwalescencję, uwidoczniło mu prawdę, że są rzeczy, których nigdy nie potrafił dzielić z żoną, i że nadal tak będzie.

Jeszcze raz wybrał numer telefonu komórkowego Alice i tym razem odebrała po czwartym sygnale. Odezwała się zaspanym głosem. Wyrwana z drzemki, w pierwszej chwili nie mogła sobie przypomnieć, kim on jest. Z trudem przyszło mu ukrycie poirytowania. Nie miał prawa się na nią złościć, bo przecież nie należała do niego.

- Od dłuższego czasu próbuję się z tobą skontaktować -rzekł. - Gdzie byłaś?

- Nie ruszałam się z miasta, tylko na jeden dzień wyjechałam do Damaszku. Niekiedy przez dłuższy czas nie włączam komórki.

- Co robiłaś w Damaszku?

- Zakupy - odparła pospiesznie. - Prawdę mówiąc, i ja się martwiłam o ciebie. Bałam się, że przestałeś mnie lubić.

- Musiałem wyjechać na parę dni. Też byłem za granicą.

- Aha - mruknęła z powątpiewaniem.

- Chcę się z tobą zobaczyć. Jak najszybciej. Masz wolny jutrzejszy wieczór? - Nazajutrz był czwartek, a więc początek muzulmańskiego weekendu. W słuchawce na dłużej zapanowała cisza.

- No, nie wiem... - wyjąkała wreszcie.

- Czego nie wiesz? - zapytał ostro i wstrzymał oddech.

- Nie wiem, czy zdołam doczekać jutrzejszego wieczoru. - Zaśmiała się głośno z żartu, na który dał się nabrać.

Po zakończeniu rozmowy znów wyszedł na taras. Zapadła już noc, lekki wiatr przyniósł chłód znad pustyni. Amman przypominał wielką misę wypełnioną światłami bijącymi w czarne niebo. Jeśli nawet Ferris nie poczuł się od razu dobrze, to przynajmniej humor mu się trochę poprawił.

7

Amman

Zabrał Alice Melville spod jej domu. Mieszkała na starówce, niedaleko rzymskiego amfiteatru. Wcześniej nawet nie podejrzewał, że mogą tu mieszkać jacyś Amerykanie. Miała na sobie letnią sukienkę i sandały oraz sweter narzucony na ramiona. Jej rozpuszczone blond włosy leniwie falowały przy każdym ruchu głowy.

- Cześć - rzuciła, wskakując na prawy fotel auta, i od razu przestawiła stację w radiu.

Boże, jaka ona jest piękna - przemknęło Ferrisowi przez myśl.

Zabrał ją na kolację do włoskiej restauracji w hotelu Hyatt. Nie umiał sobie wyobrazić bardziej romantycznego miejsca w całym mieście. Usiedli w ogródku, pod rozgwieżdżonym niebem, blisko gazowego piecyka odpędzającego nocny chłód, migającego żółto i niebieskawo, jakby naprawdę płomyki tańczyły w nim po rozżarzonych węglach. Zamówił butelkę wina, a kiedy ją opróżnili, poprosił o drugą. Alkohol wyraźnie rozwiązał jej język, chociaż zapewne i tak byłaby rozmowna, nawet gdyby pozostała całkiem trzeźwa. Ochoczo opowiadała o swojej pracy na rzecz uchodźców palestyńskich. Była na etacie organizacji pozarządowej, niosącej pomoc humanitarną dla Palestyńczyków wciąż pozostających w obozach dla uchodźców. Ferris znał ją pod obiegową nazwą „Ratunek Dzieciom”, choć oficjalna nazwa organizacji to Rada Pomocy Humanitarnej dla Bliskiego Wschodu.

- Uchodźcy stracili już wszelką nadzieję, Roger - powiedziała szeptem, jakby to była tajemnica. - Żyją już tylko wściekłością. Słuchają uważnie szejków z Hamasu i islamskiego Dżihadu. Kupują kasety z nagraniami bin Ladena. A kiedy kładą się spać, śnią prawdopodobnie o zabijaniu Izraelczyków, Amerykanów... teraz także Włochów... na miłość boską...

- Ale nie ciebie - wpadł jej w słowo. - Nie pragną twojej śmierci.

Zachowywała tak śmiertelną powagę, że wprost nie mógł od niej oderwać oczu. Blask gazowych latarń nadawał jej włosom czerwony odcień. Pochylił się nad stolikiem w jej

kierunku, udając zaszuchanego bez reszty. Zapatrzył się na jej biust widoczny w głębokim dekolcie sukni, który unosił się i opadał przy każdym oddechu.

- Nie, mojej śmierci nie pragnę. Szanują mnie, ponieważ... cierpliwie ich słucham. A ty potrafisz ich słuchać, Roger? Gdy ktokolwiek z władz amerykańskich potrafi ich słuchać? Czy może my także wolelibyśmy ich wybić do nogi?

Wiedziała tylko, że on pracuje w sekcji politycznej ambasady, która stanowiła oficjalną przykrywkę jego prawdziwej działalności.

- Oczywiście, że ich słucham. Ambasador też ich słucha. Wszyscy ich słuchamy. Często nawet z nimi rozmawiam.

Chcąc się wykazać znajomością arabskiego, rzucił pospiesznie parę zdań, powiedział jej, że jest nadzwyczaj piękna w blasku księżyca i że ma nadzieję, iż zgodzi się spędzić tę noc w jego mieszkaniu.

Ku jego zaskoczeniu odparła płynnie po arabsku, że owszem, jest przystojny, lecz jego los zależy wyłącznie od woli Boga. Następnie dodała po angielsku:

- I nie próbuj mnie oczarować swoimi komplementami, Ali Babo. Więcej mężczyzn próbowało przed tobą podobnych sztuczek, na przykład... - zawiesiła na chwilę głos - ...Curt Schilling. I niczego nie zwojowali.

- Kibicujesz drużynie Red Sox?

- Oczywiście.

- Nie będę próbował czarować cię komplementami. Mój problem polega na tym, że za nic nie potrafię się oprzeć blondynkom, które znają arabski.

Alice powiodła wzrokiem dookoła, po Arabach siedzących przy sąsiednich stolikach.

- W takim razie witaj w klubie. Ale mówiąc poważnie, Roger, chciałabym wiedzieć, co ambasada oficjalnie mówi ludziom. Zdarzyło ci się powiedzieć, że jest ci przykro z tego powodu, że Amerykanie mordują muzułmanów? Że żałujesz tego, iż buldożery równają ich domy z ziemią, pozbawiając dzieci dachu nad głową? Powiedziałeś komuś, że tylko pozornie popieramy tych prawicowych kretynów z Izraela? Albo że popełniliśmy wielki błąd, dokonując inwazji na Irak, przez co to państwo rozpadło się na milion kawałków? W ogóle, co mówisz ludziom? Naprawdę chciałabym to wiedzieć.

Ferris jęknął gardłowo. Nie był dyplomata, tylko oficerem wywiadu.

- Musimy rozmawiać na ten temat?

- Nie. Możesz powiedzieć, że to nie moja sprawa, i pójść do domu.

Nawet nie umiał sobie wyobrazić, że mogą się już rozstać.

- W porządku. Niech pomyślę... Kiedy ludzie się skarżą, mówię, że rozumiem ich punkt widzenia. I dodaję, że to nie ja kształtuję zagraniczną politykę Stanów Zjednoczonych. Czasem mówię też, że uwzględnię ich punkt widzenia w depeszach. - Starał się obrócić wszystko w żart, ale nie zadziałało.

- Ty chyba naprawdę nie rozumiesz sytuacji! Całe dni spędzasz za murami ambasady, podczas gdy ja pracuję na linii frontu. Mówię poważnie, Roger. Codziennie muszę wysłuchiwać gniewnych krzyków tych ludzi. Wyobrażasz sobie, z jakim aplauzem w tym tygodniu w obozach spotkała się wieść o wybuchu samochodu-pułapki w Mediolanie? Oszaleli z radości. Aż musiałam szukać schronienia u przyjaciół, bo tam chcieli nas zabić. Nie rozumiesz tego?

Rozmowa wywołała rumieniec na jej policzkach, który szedł teraz w zawody z pomarańczowym blaskiem gazowych płomyków. Zdawał sobie sprawę, że nie powinien jej zbywać ogólnikowymi odpowiedziami, ale nigdy nie czuł się dobrze podczas dyskusji politycznych. Przypominały mu to wszystko, czym się brzydził w dziennikarstwie. Według niego, dyskusje polityczne były dobre tylko dla urzędników Departamentu Stanu, zaangażowanych felietonistów bądź ludzi pokroju tajemniczej Alice, w ciągu dnia udzielających się w obozach dla uchodźców, a wieczorami chodzących na kolacje w letnich

sukienkach. Musiał jednak coś odpowiedzieć, jeśli nie chciał, by to spotkanie zakończyło się przedwcześnie.

- Wiedziałem, Alice. Wiem dużo więcej, niż ci się wydaje. Ja też pracuję na linii frontu. Jak my wszyscy tutaj. Takie jest życie.

Spojrzała mu prosto w oczy, jakby usiłowała coś w nich wyczytać. Czyżby była świadoma, czym on się naprawdę zajmuje? Domyślała się prawdy? Poczul się nieswojo na tę myśl.

Przeprosił ją i wyszedł do toalety. Wracając do stolika, próbował zamaskować utykanie, ale chłód nocy nasilił ból w zranionej nodze i Alice zwróciła na to uwagę.

- Co ci się stało w nogę? - zapytała, kiedy usiadł. - Jesteś ranny?

- Byłem, ale rana już się zagoiła. Nic mi nie jest.

- Co się stało? Przepraszam, że pytam, ale... Zamyślił się na chwilę. Niezręcznie mu było rozmawiać

na ten temat, lecz jeśli pragnął, by ich znajomość nie skończyła się na jednej kolacji, musiał powiedzieć jej coś więcej o swojej prawdziwej roli w ambasadzie.

- Zostałem postrzelony w Iraku. Po wyjściu ze szpitala już tam nie wróciłem, dostałem przydział do Ammanu. Jechałem samochodem, gdy eksplodował pocisk z granatnika.

Odlamki poharatały mi łydkę. Na szczęście wszystko się zagoiło i tylko czasami trochę utykam. Ale za to jestem podobno lepszy w łóżku.

Nawet się nie uśmiechnęła. Przyglądała mu się uważnie.

- Co robiłeś w Iraku?

- Pracowałem w naszej ambasadzie. Miałem kontrakt na rok, ale kiedy zostałem ranny, zmienili mi przydział. Tu zaś poznałem ciebie. Widzisz? Szczęściarz ze mnie.

- Na pewno nie zostałeś ranny na terenie ambasady.

- Nie, byłem poza granicą Zielonej Strefy, na szosie na północ od Bagdadu.

Chwyciła go za rękę, podniosła jego dłoń do oczu, ale zaraz puściła.

- Chyba nie pracujesz dla CIA, prawda?

- Oczywiście, że nie. Nie bądź śmieszna. Wcześniej zbierałem materiały dla magazynu „Time”, ale potem wstąpiłem do służby zagranicznej. Możesz to sprawdzić w sieci. Byłych dziennikarzy nie przyjmują do CIA.

- To dobrze - odparła. - Bo inaczej mielibyśmy poważny problem.

Poczul mrowienie na karku, jakby jeżyły mu się krótkie włoski. Zazwyczaj bez zmruczenia oka kłamał o swoich związkach z agencją. W końcu należało to do jego obowiązków służbowych. Ale tym razem było inaczej.

- Podziwiam twoją odwagę, Roger. Żałuję tylko, że nie możesz tak samo odważnie bronić innej sprawy. Bo mam wrażenie, że ta wojna wyniszcza nasz kraj. Ludzie chcieliby kochać Amerykę, ale gdy widzą, jakich okropnych rzeczy się dopuszczamy, zaczynają podejrzewać, że staliśmy się potworami. Sama się boję tego, co jeszcze może się wydarzyć.

- Ja też się tego boję - przyznał, biorąc ją za rękę. - Żyjemy w kiepskich czasach.

Objął ją za ramiona i przyciągnął do siebie. Przytuliła się do niego, ale na krótko, zaraz się odsunęła.

Pojechali aleją Księcia Mohammeda w stronę jej mieszkania na starówce. Alice milczała, wpatrywała się w widoki za oknem. Ferris zaczął się już obawiać, że ją czymś rozzłościł, kiedy odezwała się niespodziewanie:

- Skręć w lewo. Chcę ci pokazać pewne miejsce, w którym na pewno nigdy nie byłeś.

Poprowadziła go dalej wąskimi uliczkami starówki i po paru minutach znaleźli się dobre kilka kilometrów od centrum, w dzielnicy niemającej nic wspólnego z międzynarodowym blichtrzem dobrze znanym zagranicznym turystom. W słabo oświetlonych zaułkach zalegała woń stęchlizny, poboczami wlokły się wózki zaprzęgnięte w osły. Ściany były udekorowane flagami palestyńskimi i starymi, łuszczącymi się plakatami z podobiznami Jasera Arafata, a na murach ciągnęły się antyamerykańskie graffiti.

- Zatrzymaj - nakazała, gdy wjechali na szczyt wzniesienia, skąd odchodziła wąziutka, na pierwszy rzut oka nieprzejezdna alejka prowadząca do kolonii stiukowych kamieniczek z pustaków.

Rozejrzał się dokoła lękliwie. Był to obóz uchodźców palestyńskich, jeden z najstarszych, powstały zaraz po wojnie 1948 roku i rozbudowany po inwazji z roku 1967. Przypomniał go sobie ze zdjęć, które widział w czasie szkoleń z zakresu bezpieczeństwa. Należał do tych miejsc, do których pracownikom ambasady pod żadnym pozorem nie wolno było zaglądać, jak twierdził dowódca służb ochrony.

- Tutaj pracuję - powiedziała Alice, otwierając drzwi samochodu. - To znaczy, jest to jedno z miejsc, w których pracuję. Zależało mi, żebyś je zobaczył. Pomyślałam, że w ten sposób łatwiej ci będzie mnie zrozumieć. Mówię o sprawach intymnych.

To jakiś żart? - przemknęło mu przez myśl.

Alice ruszyła w kierunku bramy obozu. Ferris pospiesznie rozejrzał się wzdłuż bitej drogi. Między latarniami wisiały girlandy migających lampek, jak na świątecznej choince. Jedyne drzwi w szarym betonowym murze prowadziły do kafejki, kilkadziesiąt metrów dalej mieściło się parę sklepów. Przed kawiarnią siedziało kilku mężczyzn otaczających półokręgiem nargile, których ustnik przechodził z rąk do rąk, a w powietrze wznosiły się strużki dymu. Rozmawiali półgłosem, ale na widok Ferrisa i jego wielkiego samochodu terenowego natychmiast umilkli. Atmosfera stawała się nerwowa. Zdrowy rozsądek podpowiadał mu, że nie powinien się szwendać po tej okolicy o tak późnej porze.

- No, chodź - ponagliła Alice, ruszając w stronę kafejki. - Może znajdziemy tam jeszcze kogoś z moich przyjaciół.

Ruszył za nią z ociąganiem. Poczuł się jak za czasów nauki w college'u, gdy wstawiony kolega proponował mu podwiezienie do akademika i trzeba było szybko zdecydować, czy podjąć ryzyko, odmówić, czy też próbować na nim wymóc zmianę decyzji.

- No chodź, głuptasie. Ze mną nic ci nie grozi. - Alice złapała go za rękę i pociągnęła za sobą. Usiedli na plastikowych fotelikach stojących na betonowym tarasie, pod ażurową altanką w ciągu dnia dającą schronienie przed słońcem. Arabowie odprowadzili go podejrzliwymi spojrzeniami i wrócili do przerwanej rozmowy. Tylko jeden z nich machnął jeszcze ręką w jego kierunku i zapytał głośno po arabsku:

- Co to za Żyd?

Chwilę później przed drzwiami pojawił się właściciel lokalu. Alice przywitała się z nim uprzejmie, na co odpowiedział bardzo grzecznie. Zapytała go po arabsku, czy dziś wieczorem Hamid jest gdzieś w pobliżu, tamten jednak zaprzeczył i wytłumaczył, że chłopak wybrał się w odwiedziny do swojej matki w Ramallah, niech będzie z nią łaska boska.

- Niedobrze - mruknęła Alice i odwróciła się do Ferrisa. - Zależało mi, żebyś poznał Hamida. To jeden z moich najważniejszych łączników ze społecznością obozu. Zarazem jeden z najmądrzejszych ludzi, jakich znam. Na pewno byś go polubił.

- Tak sądzisz? Dlaczego?

- Bo on lubi ciebie. Wie niemal o wszystkim i jest nieugięty. Cieszy się tu olbrzymim szacunkiem. Miałam nadzieję, że zdołasz mu wytłumaczyć parę rzeczy lepiej ode mnie.

- Wiesz co, Alice? Obawiam się, że twój przyjaciel Hamid w ogóle nie chciałby rozmawiać z kimś z ambasady amerykańskiej. Nie cieszymy się tutaj wielką sympatią.

- Nie ma sprawy. Jesteś ze mną, a ja jestem tu lubiana. Zapewnię ci ochronę. - Jej mina świadczyła wyraźnie, że szczerze wierzy w to, co mówi. Naprawdę czuła się tu jak w domu.

- Może i tak, obawiam się jednak, że mógłby opacznie zrozumieć cel mojej wizyty. Albo inni ludzie mogliby go opacznie zrozumieć.

- O jakim celu mówisz? - zdziwiła się Alice.

Już ledwie widział w ciemności jej twarz. Czy na pewno nie wiedziała, kim on naprawdę jest? Nie próbowała mu tego dać do zrozumienia?

- Nieważne - mruknął spiętym głosem.

Ponownie się rozejrzył, uważnie wypatrując pierwszych oznak kłopotów, ale dookoła panował spokój. Pomyślał, że właśnie ta nonszalancja Alice, ta pozorna obojętność wobec możliwego zagrożenia ze strony mieszkających w obozie Palestyńczyków dawała jej poczucie bezpieczeństwa. A może zasadnicze znaczenie miało jeszcze coś innego? Może faktycznie przynależała do tego obozu, tak jak on czuł się blisko związany z dziesiątkami innych miejsc.

Właściciel lokalu przyniósł im turecką kawę, cierpką i słodką zarazem, niczym tabliczka gorzkiej czekolady. Popijali ją małymi łyżkami. Po pewnym czasie Ferris w końcu trochę się rozluźnił.

- Jak to się stało, że nie masz chłopaka? - zapytał. - Taka piękna dziewczyna powinna być cały czas otoczona gromadką adoratorów.

Nie odpowiedziała od razu. Dopijała kawę, po czym odwróciła filiżankę do góry dnem, żeby fusy trochę pode-schły. Odwróciła ją z powrotem, skierowała do światła i ciekawie zajrzała do środka, jakby naprawdę umiała przepowiadać z nich przyszłość.

- I jak? Dopisze ci szczęście? - zaciekawił się.

- Może. Jeśli się wierzy, że ludzkie szczęście jest zapisane w drobinach mielonej kawy. Mój ostatni chłopak w to wierzył. Wierzył też w mnóstwo innych dziwnych przesądów.

- Więc jednak miałaś chłopaka.

Odwróciła głowę i zapatrzyła się w głębokie cienie zalegające w wąskiej uliczce. Minęło dobre dziesięć sekund, zanim ponownie na niego spojrzała.

- Kochałam go - powiedziała. - Był Palestyńczykiem. Bardzo dumnym i bardzo rozżalonym. Ja go kochałam, a on się nade mną znęcał.

Ferris wyciągnął rękę, chcąc uścisnąć jej dłoń, ale siedziała za daleko.

- Jak się nad tobą znęcał?

- Na wszystkie możliwe sposoby, nawet takie, które by ci do głowy nie przyszły.

- Mój Boże. Nie potrafię sobie wyobrazić, żeby ktoś mógł cię skrzywdzić.

- Nie panował nad sobą. Kierowała nim wyłącznie wściekłość. I nie chodziło mu o to, żeby mnie skrzywdzić. Po prostu wyżywał się na mnie za wszystko. Właśnie to próbowałam ci unaocznić. Ci ludzie są naprawdę na nas rozwścieczeni. Tymczasem nam się zdaje, że możemy ich okłamywać, zabierać ich ziemie, traktować ich jak śmieci, bo oni i tak o wszystkim zapomną. To nieprawda. Pamiętają.

- Dlaczego po tym wszystkim nie wyjechałaś z Jordanii? Nie rozumiem, jak możesz dalej obracać się wśród tych ludzi po tym, jak zostałaś przez niego potraktowana.

- Jestem uparta, Roger. To chyba jedna z niewielu rzeczy, jakie nas łączą. Im więcej myślę o nim i rządzącej nim wściekłości, tym bardziej coś mi podpowiada: Nie, nie uciekaj! Bo on właśnie oczekuje po mnie, że ucieknę. Podobnie jak inni Arabowie. Myślą, że tylko z potrzeby chwili udajemy współczucie i zrozumienie, ale gdy prawdziwe życie nabije nam choćby najmniejszego guza, rzucimy się do ucieczki. Dlatego zostałam. I tylko z tego powodu ze-

pchnęłam urazy w niepamięć. Nadal kocham tych ludzi, którzy wyrządzili mi krzywdę. Nie odjadę stąd. Za nic.

Ferrisa aż zaszczypało w kącikach oczu ze wzruszenia. Na chwilę przycisnął palcami powieki, próbując zamaskować prawdziwą przyczynę tego gestu, ale ona wzięła go za rękę i uśmiechnęła się tak serdecznie, jak nigdy dotąd. Pocałował ją lekko w policzek.

Żadne z nich nie chciało wracać. Ferris wypytywał ją o zajęcia w obozie, ona próbowała mu wyjaśniać charakter swojej pracy. Pomoc uchodźcom polegała głównie na wymyślaniu coraz to nowych strategii. Alice kupowała podręczniki dla dzieci i lekarstwa; organizowała fundusze na budowę wodociągów i przychodni stomatologicznych; organizowała stypendia w amerykańskich college'ach. Traktowała to jak każdą inną pracę i była dobra w tym, co robiła.

Zapał, z jakim opowiadała o swoich obowiązkach, świadczył wyraźnie, że jest to jedyna rzecz na świecie, która się dla niej naprawdę liczy.

Ferris od czasu do czasu zerkał w głąb uliczki, spoglądał na ciemne okna domów i mroczne zaułki, do których obcy w ogóle nie mieli prawa wstępu. Żałował, że nie potrafi w sobie wzbudzić aż tak głębokiej wiary, że ludzka uczciwość w końcu musi zwyciężyć, jeśli będzie pod dostatkiem szkolnych podręczników i przychodni dentystycznych. Za dobrze jednak znał prawdę. Ten świat kipiał nienawiścią. Wszelkie uśmiechy były podszyte fałszem, gdyż faktycznie liczyła się tylko żądza odwetu. Szaraczka-mi pomiatali nie tylko Amerykanie czy Izraelczycy, ale także sami Arabowie. Ci zatem byli jak szczury w klatce. Alice, mimo że nie brakowało jej odwagi, nawet nie umiała sobie wyobrazić przerażenia lęgnącego się w takich obozach jak ten. Nie rozumiała, że w rzeczywistości ich mieszkańcy chętnie by ją zabili. Tak, właśnie ją. Bo nieporozumieniem było przekonanie, że będzie więcej dobra na świecie, im więcej będzie miłości. Tu wszystko było pochodną nienawiści. I tylko tacy ludzie jak Ferris, ludzie znający prawdę, byli w stanie likwidować wrogie komórki i całe siatki, demaskować kryjówki, w których chronili się zabójcy, żeby tacy ludzie jak Alice mogli dalej żyć złudzeniami.

- Nie zachmurzaj się tak, bo całkiem zepsujesz nastrój - rzekła.

Uśmiechnął się kwaśno.

- Uważaj, słodziutka. To wszystko. Po prostu bardzo uważaj. Świat nie jest taki miły jak ty.

- Naprawdę wiem, co robię, Roger. Nie doceniasz mnie. Znam granice, których nie wolno przekraczać. To ty masz problemy. Ty omal nie straciłeś nogi, nie ja. Więc to ty powinieneś być bardzo ostrożny.

Wziął ją za rękę, pochylił się i szepnął jej na ucho:

- Chciałbym cię przytulić, ale tutaj to niemożliwe. Wracajmy do ciebie.

Uśmiechnęła się i wstała od stolika. Coś się jednak zmieniło.

Z powrotem pojechali wzdłuż ruin antycznych rzymskich budowli oraz Złotego Suku i dalej, kilkaset metrów ku szczytowi wzniesienia. Coś podpowiadało Ferrisowi, że nie powinien bardziej kusić losu, ale nie chciał też jeszcze kończyć tego spotkania. Odprowadziwszy ją do drzwi, zapytał, czy może wejść na górę.

- Nie dzisiaj, innym razem - odparła. - Dzisiejszy wieczór był niezwykły. Od dawna nie spędziłam tak mile czasu w niczym towarzystwie. Mimo to chcę się jeszcze upewnić, czy jestem już gotowa na coś więcej.

- Naprawdę mi się podobasz - rzekł z ociąganiem. Chciał powiedzieć „kocham cię”, ale w porę uświadomił sobie, że zabrzmiałoby to głupio. Znali się przecież dopiero kilka tygodni.

- Ty mi się też podobasz, Roger. Cieszę się, że pojechałeś dzisiaj ze mną do obozu. Wiesz teraz, kim naprawdę jestem. Przynajmniej trochę.

Stali w półmroku wypełniającym niszę drzwi wejściowych budynku, poza kręgiem światła rzucanym przez najbliższą latarnię. Skorzystał z tego i pocałował ją, a ona odwzajemniła pocałunek, początkowo delikatnie, ale już po chwili szerzej rozchylając wargi. Objął ją i przytulił do siebie. Niemalże czuł, jak jej ciało mięknie w jego ramionach.

- Pragnę cię - szepnęła głosem pełnym pożądania.

- Możesz mnie mieć.

- Jeszcze nie teraz. - Odsunęła się i obrzuciła go spojrzeniem. - Jesteś silny, ale według mnie także miękki, o, tutaj. - Dotknęła jego piersi na wysokości serca. - Mam rację? Rzeczywiście masz miękkie serce?

Nie wiedział, co odpowiedzieć, więc tylko pokiwał głową. Cmoknęła go w policzek, zmysłowo musnąwszy wargami jego skórę, po czym odwróciła się, pchnęła drzwi i ruszyła schodami na piętro. Wyszedł na ulicę i spojrzał w górę na okna jej mieszkania. Po chwili zapaliło się tam światło i jej twarz ukazała się w oknie. Oddalał się, mając lekki szum w głowie. Tylko po części wynikało to z pożądania, jakie w nim wzbudziła, a po części z

dezorientacji, jakie wywołały jej słowa. Nigdy dotąd się nie zastanawiał, czy ma miękkie serce. Naszły go więc obawy, że Alice może mieć rację.

g

Amman

Kilka dni później do Jordanii przyleciał Ed Hoffman. Wydawał się ucieleśnieniem amerykańskiej potęgi ze swoimi wielkimi dłońmi, masywną klatką piersiową i okrągłą nalaną twarzą pod rzymskim króciutko ostrzyżonych włosów. W ciemnych okularach przypominał hollywoodzki stereotyp potentata z Las Vegas, mającego w kieszeniach grube zwitki studolarówek. Przyleciał białym odrzutowym gulfstreamem bez jakichkolwiek oznakowań, nie licząc numeru rejestracyjnego na ogonie. Ferris przywitał go na lotnisku, lecz Hoffman kazał mu wracać do biura i ruszył do hotelu, żeby się trochę zdrzemnąć, a następnie odwiedził swoją ulubioną restaurację z kebabem. W ambasadzie pojawił się przed wieczorem i natychmiast wezwał Ferrisa na naradę do zabezpieczonej przed podsłuchem sali konferencyjnej. Kiedy ten wszedł do pokoju, szef wydziału siedział przy stole i masował sobie palcami skronie.

- Głowa mnie rozboleła - oznajmił. - Niepotrzebnie brałem w restauracji czerwone wino. Ferris wyciągnął do niego rękę na powitanie, lecz Hoffman wstał i uściskał go serdecznie.

- Jak twoja noga? - zainteresował się.

- Całkiem nieźle. Dużo ćwiczę. Wszystko w porządku. Żal mi tylko tych chłopaków z Bagdadu.

- Nie rozczulaj się nad nimi. W niczym by ci nie pomogli przy tej operacji, na którą zabrał cię Hani. Akcja w Berlinie wypadła znakomicie. Świetnie się spisaleś.

- Dzięki, ale nie zrobiłem nic, tylko się przyglądałem. To od początku do końca robota Haniego.

- Czapki z głów. Nie ma co. - Wyciągnął z kieszeni to-

rebkę solonych orzeszków i wrzucił kilka do ust. - Ale teraz nasza kolej. Chciałbym dalej poprowadzić tę operację.

- No to mamy problem. Hani chce zachować nad nią kontrolę. Nie dał mi nawet stenogramów z drugiej rozmowy z informatorem. Stwierdził, że to jego operacja, a my i tak skorzystamy z jej rezultatów. Tak się przedstawia sytuacja.

- Wiem, nic nowego. - Hoffman wrzucił do ust kolejną garstkę orzeszków. - Mnie to nawet pasuje, bo nie będziemy musieli się troszczyć o sprawy organizacyjne. Spróbujemy tylko trochę pokierować biegiem zdarzeń. Właśnie po to przyleciałem.

- Nie rozumiem. - Ferris mówił szczerze. Nie wyobrażał sobie, jak szef chce pokierować biegiem zdarzeń w operacji nadzorowanej przez kogoś innego.

- Pograć nią. Wpłynąć na jej przebieg. Poprawić użyteczność.

- Przykro mi. To by oznaczało nielojalność względem Haniego, więc jestem temu przeciwny. Hoffman uśmiechnął się protekcjonalnie.

- Poruszająca jest ta sympatia dla bratniego agenta. Ale sam się przekonasz. Potrafimy pokierować twoim przyjacielem Hanim poprzez taką kontrolę uzyskiwanych przez niego informacji, by układały się w całość, na której nam zależy. Proste! Prawdę powiedziawszy, wcale nie będzie to proste, wręcz przeciwnie, cholernie skomplikowane. Ale sam pomył jest prosty. Możesz mi wierzyć, jeszcze będzie nam wdzięczny, gdy doprowadzimy operację do końca.

- Ale to Hani kieruje informatorem. Może go naprowadzać w wybranym przez siebie kierunku, a my nie będziemy mieć o tym bladego pojęcia.

- I tu się mylisz, młodzieńcze. Mamy dużo większe możliwości, niż ci się zdaje. Zdradzę ci pewien sekret. Mo-

że coś już ci się obilo o uszy, ale z pewnością nie znasz szczegółów. Otóż prawda jest taka, że po jedenastym września schwytailiśmy o wiele więcej bojowników Al--Kaidy, niż się uważa.

Robiliśmy im mnóstwo bardzo nieprzyjemnych rzeczy, aby zmusić do mówienia, co wywołuje powszechne oburzenie, ale mamy to gdzieś. Nawiasem mówiąc, sporo zawdzięczamy również twojej żonie, która bardzo nam pomogła przy pisaniu raportu maskującego wspomniane działania. Chyba nadal jest twoją żoną, prawda?

- Tak, chyba tak. Jesteśmy w separacji. Z powodu dzielącej nas odległości.

- Mniejsza z tym. W każdym razie uzyskaliśmy dużo informacji. Dobrze wiemy, który z tych nędznych łajdaków nienawidzi pozostałych. Wiemy, kto kogo opłaca, kto jest przekonany, że dobrze wydaje pieniądze, i kto na boku obrabia „tymczasową żonę” innego. Znamy obszary rywalizacji i wiemy, gdzie najlepiej zasiać ziarno zwątpienia. Mamy ich wszystkich w szachu, bo aż za dużo się o nich dowiedzieliśmy, a oni nie mają pojęcia, ile wiemy. Często nie wiedzą nawet, kto wpadł w nasze ręce. Do dziś nie mają pojęcia, że schwytaliśmy Abdula Rahmana z Abu Dha-bi, podejrzewają, że się wycofał, skorzystał z lepszej oferty albo zaangażował w jakąś własną potajemną działalność. Wciąż dostają mejle od ludzi, co do których mają jedynie podejrzenia, że wpadli w nasze ręce. I właśnie o to chodzi. Ta sytuacja stwarza nam pewne możliwości wprowadzania przeciwnika w błąd. Bo tak to się nazywa. Nigdy nie byliśmy zbyt dobrzy w tego typu rozgrywkach, ale wiesz co? Szybko się uczymy. A pomoc naszych jordańskich przyjaciół bardzo się przydaje w tym zakresie. Trzeba więc mieć nadzieję, że pomoże nam również dotrzeć do tego, na kim najbardziej nam zależy.

- Do Sulej mana?

- Amen, bracie. To twoja sprawa, przyjacielu. Za tobą świadczą te wszystkie odłamki, jakie pozostały w twojej nodze. Hani ściga tego samego człowieka, co ty. Wystarczy więc tylko trochę mu pomóc.

Ferris milczał przez chwilę, zastanawiając się nad tym, co właśnie usłyszał. Lecz mimo całego propagandowego bełkotu nie mógł zapomnieć, że propozycja szefa zakłada nieczystą grę wobec Haniego. I to mu się nie za bardzo podobało.

- Ty decydujesz - odparł w końcu. - Lecz jeśli naprawdę zamierzasz wykiwać Haniego, szczerze ci to odradzam. Za bardzo potrzebujemy jego przychylności. Po Rotterdamie i Mediolanie będzie jakiś następny Mediolan. Dlatego skracanie Haniemu smyczy wydaje mi się nie najlepszym pomysłem. W tej części świata trzeba ufać ludziom, inaczej niczego się nie osiągnie.

- Mylisz się. W tej części świata nie można ufać nikomu, ponieważ wszyscy kłamią. Nawet nasz brat Hani. Przykro mi, ale taka jest prawda. Byłem w „Wielbłądzim Korpusie” o wiele dłużej niż ty. Ale pod jednym względem masz rację. To ja decyduję.

Zrezygnowany Ferris wolno pokręcił głową.

- Będzie wściekły, jak odkryje prawdę. A wtedy razy spadną na moją głowę. Chyba że wcześniej wyrzuci mnie z kraju. Tak samo, jak zrobił z moim poprzednikiem.

- No cóż, z pewnością byłby wściekły, gdyby się dowiedział. Tyle że się nie dowie. Bo my mu o niczym nie powiemy, prawda? Ameryka ładuje tu bardzo duże pieniądze i według mnie daje nam to prawo podejmowania takich działań, jakie uznamy za stosowne. Przyjmij to na słowo. Nie jesteś Francisem Aldersonem.

Ferris od kilku miesięcy chciał zadać to pytanie, ale do

tej pory nie miał za bardzo okazji. Postanowił wykorzystać tę sposobność.

- Dlaczego Jordańczycy wydalił Francisca z kraju? Nikt nie chce mi tego wyjaśnić. W aktach niczego nie ma, a w wydziale bliskowschodnim centrali nikt nawet nie chce zająknąć się na ten temat. Co on takiego zrobił?

- No, no... - Hoffman zamknął oczy, jakby namyślał się głęboko. - Ja też nic ci nie powiem.

Dla twego własnego dobra.

- Czemu? O co chodzi? Czyżby uwiódł komuś znacznemu żonę?

- Nic podobnego. Wszyscy w Jordanii uwodzą czyjeś żony. Chciałbym, żeby sprawa była tak prosta.

- Więc o co poszło?
- Zapytaj Haniego.
- Nie chce nic powiedzieć.

Hoffman uśmiechnął się, odepchnął krzesło od stolika i wstał, jakby zamierzał odejść.

- To dobry znak.
- Czyżby? Więc zapoznaj się z moją najczarniejszą wizją opartą na całkowitym braku informacji. Otóż obawiam się, że Hani wyrzucił Aldersona tylko po to, żebym ja zajął jego miejsce. Jestem młody, brak mi doświadczenia, pomyślał więc, że łatwo będzie mną manipulować, dlatego wysmażył coś przeciwko Aldersonowi. I po to też zabrał mnie ze sobą do Berlina. Żeby mieć na mnie większy wpływ.

- Popadasz w paranoję, mój chłopcze. Niekiedy bywa nawet przydatna, ale nie w tym wypadku. Hani nie musiał niczego smażyć na Aldersona. Uwierz mi na słowo.

- To co takiego Francis zrobił? Naprawdę chcę się dowiedzieć. Muszę to wiedzieć.

Hoffman w zamyśleniu podrapał się po głowie.

- Dobra, powiem ci, ale tylko po to, żebyś mógł spać spokojnie. Francis Alderson popełnił ten błąd, że chciał zwerbować jednego z zastępców Haniego. Zaprzyjaźnił się z nim, zaczął go zapraszać na kolacje, a kiedy uznał, że facet jest wystarczająco urobiony, przystąpił do ataku. Zaproponował mu pieniądze. To rzecz normalna. Robimy to codziennie, jak nie w tym, to w innym zakątku świata. Ale Hani wpadł w szal. Uznał, że to przejaw zdrady wobec zasad naszej przyjaźni. Musieliśmy się nieźle nagimnastykować, żeby go udobruchać. Francis twierdził, że dał te pieniądze na leczenie dzieciaka agenta i jego operację w Stanach Zjednoczonych. Ale Hani nie dał się oszukać. Przyparł nas do muru. Musieliśmy się zgodzić, żeby wydalił Francis z kraju.

- A stało za tym przesłanie: „Lepiej ze mną nie zadzierajcie”.

- Otóż to.

- Mimo to chcesz znowu z nim zadrzeć?

- Na miłość boską, Roger, nie bierz tego aż tak bardzo do serca. Mówiłem ci, że powinieneś mieć do mnie więcej zaufania. Jeszcze sam się przekonasz, że na dłuższą metę Hani naprawdę będzie miał nam za co dziękować.

Obaj wyruszyli na spotkanie z Hanim następnego ranka. Szef jordańskiego wywiadu przyjął ich z honorami. Chyba specjalnie na ich cześć miał na sobie ciemny garnitur i krawat, który jednak szybko poluzował, a marynarkę zdjął i powiesił na oparciu krzesła już po kilku minutach wstępnych uprzejmości. Sądząc po jego zachowaniu, dobrze znał Hoffmana i wiedział, czego się spodziewać. Szef wydziału zaczął z nim żartować na temat jakiejś Fifi, którą najwyraźniej obaj poznali w trakcie którejś z wcześniejszych operacji.

- To prawdziwy cud natury - oznajmił Hoffman, puszcżając oko do Ferrisa, który nie miał najmniejszego pojęcia, o jakim cudzie natury mowa.

Kiedy Hoffman zaproponował Haniemu cygaro, Jordańczyk wyciągnął z biurka inkrustowane pudełko i w rewanżu zaproponował swoje. Obaj zapalili i z błogimi minami wydmuchując dym w sufit, prowadzili dalej rozmowę o zabawnych zdarzeniach z prowadzonych kiedyś wspólnie operacji. Ferris był w pełni świadomy, że ta wzajemna pozorna życzliwość jest wyłącznie przejawem taktyki jednego i drugiego, bo przecież obaj świetnie wiedzieli, że lada moment będą musieli przejść do omawiania spraw, które sprowadziły Hoffmana z Waszyngtonu. Gospodarz ani słowem nie nawiązał do operacji w Berlinie, może tylko z grzeczności. A może zależało mu na tym, żeby to Amerykanin podjął ten temat? W końcu Hoffman nie wytrzymał.

- Chyba powinniśmy wreszcie przejść do rzeczy - zaczął oględnie. - Wiem, że masz mnóstwo obowiązków, prawdopodobnie czeka cię spotkanie z królem.

- Jak sobie życzysz. Wiem, jak bardzo Amerykanie lubią „przechodzić do rzeczy”, jak się wyraziłeś. - Z jego władczego tonu wynikało jednoznacznie, że czuje się zwycięzcą tego

drobnego pojedynku na błahostki. - Jak rozumiem, chcesz rozmawiać o wydarzeniach w Berlinie. Zakładam, że pan Ferris przekazał ci wszystko ze szczegółami.

- Na ile potrafił. I muszę przyznać, że zrobiłeś kawał nadzwyczajnej roboty, namierzając i podchodząc tego faceta. Przeprowadziłeś wzorową operację. Po prostu wzorową. Ale jedna rzecz nie daje mi spokoju.

- Co cię denerwuje, Ed? - zapytał Jordańczyk z kamienną, nieprzeniknioną twarzą.

- To, że chciałbym mieć większy wpływ na jej przebieg. Chciałbym ci pomóc w namierzeniu w Berlinie tego Mu-

stafy Karamiego. Chciałbym sam się przekonać, czy zdołamy go ukierunkować na sam środek środka, czyli na siatkę odpowiedzialną za ostatnie zamachy bombowe w Europie. Dla nas jest to teraz sprawa życia i śmierci, przyjacielu. Ci ludzie pragną przede wszystkim zabijać Amerykanów. Dlatego chciałbym cię prosić, byś w ramach specjalnej przysługi dla Stanów Zjednoczonych potraktował to jak naszą wspólną operację.

Hani milczał przez dobre dziesięć sekund. Chyba wolał nie odsyłać Hoffmana z kwitkiem.

- Przykro mi, Ed - odparł w końcu. - To niemożliwe. Powinieneś wiedzieć lepiej niż ktokolwiek inny, że coś takiego jak wspólna operacja w zasadzie jest mitem. Zawsze musi być strona, która wie więcej, i ta druga, która wie mniej. Dlatego pozwól, że sam poprowadzę dalej tę operację. Znam się na rzeczy. Czy kiedykolwiek wcześniej cię zawiodłem?

- Nie. To jest pierwszy raz. Dlatego mi się to nie podoba. Chcielibyśmy ci pomóc w jej prowadzeniu. Dobrze wiesz, jak wiele możemy wnieść do tej operacji. Tak się składa, że sporo wiemy o tym facecie z Karami. Narodowa Agencja Bezpieczeństwa już od dłuższego czasu ma go na liście osób podejrzanych.

Hoffman wyjął z aktówki czerwoną teczkę opisaną szyfrem i położył ją na stole.

- Tej sprawy nie wolno sknocić. Zatem nasz problem ujmijmy w sposób następujący: Nie podzielę się z tobą informacjami, dopóki nie wyrazisz gotowości podzielenia się kontrolą nad tą operacją.

Hani spojrział na teczkę i uniósł wzrok na Hoffmana. Nie ulegało wątpliwości, że zмага się ze sobą.

- Przykro mi, Ed. Nie chciałbym uciekać się do żadnych gier. Mógłbym ci powiedzieć, że chętnie poprowadzę ją

z wami, żeby poprawić ci humor, ale nie byłoby to zgodne z prawdą. To my go znajdziemy, zwerbujemy i przeciągniemy na naszą stronę. Ty oczywiście będziesz miał dostęp do wszelkich rezultatów tej operacji. Przykro mi. Naprawdę nie widzę innego sposobu na rozegranie tej sprawy.

Hoffman skrzywił się z niesmakiem. Obejrzał się na Ferrisa, jakby chciał go wyprosić z pokoju, ale zaraz ponownie skupił uwagę na gospodarzu.

- Brzydzą się myślą, że musiałbym prosić prezydenta o składanie przez telefon skargi do Jego Wysokości. Jesteśmy sojusznikami. Tylko z tego powodu Kongres Stanów Zjednoczonych bez sprzeciwów zatwierdza fundusze, z których jest finansowana większość kosztów operacyjnych waszych służb, jak również, że się tak wyrażę, inne działania przedstawicieli rządu jordańskiego. Naprawdę nie chciałbym się do tego uciekać. Ale stawiasz mnie w sytuacji bez wyjścia, Hani. Zmuszasz mnie, żebym zjadł tę kanapkę z gównem. Nie dziw się, że ani trochę mi się to nie podoba.

- Lepiej nie próbuj mi grozić, przyjacielu - odparł szybko Jordańczyk zdecydowanie ostrzejszym tonem. - Nigdy nie próbuj mi grozić, Ed, ponieważ nic ci z tego nie przyjdzie. Król nie pozwoli sobie grozić, podobnie jak ja. Obaj wolelibyśmy zrezygnować z waszej pomocy finansowej, niż dać wam do zrozumienia, że za kilkaset milionów dolarów możecie nas kupić. Już to mówiłem twojemu przedstawicielowi w naszym kraju, panu Ferrisowi, zakładam więc, że przekazał ci nasze stanowisko.

- Rzeczywiście, Roger radził, abym zapomniał o stawianiu ci jakichkolwiek żądań. Powiedział, że tylko cię rozzłoszcę, i miał rację. Ale ja mimo wszystko chciałbym mieć choć trochę kontroli.

Hani pokręcił głową.

- Nie mogę ci jej dać. Jak już tłumaczyłem panu Ferrisowi, to skomplikowana operacja. Wymaga czasu. Gdybyś zapragnął przyspieszyć bieg wydarzeń, żeby zapracować na swój wielki sukces, nic by ci z tego nie przyszło. Właśnie dlatego musisz się zdobyć na cierpliwość.

- Wiem, że to skomplikowana operacja. Nie jestem idiotą. - Hoffman zabębnił palcami po leżącej przed nim kartonowej teczce. - Czytałem stenogramy z przechwyconych rozmów. - Uśmiechnął się. - Ty też powinieneś się z nimi zapoznać.

Hani ponownie utkwiał wzrok w czerwonej teczce.

- Chciałbym - mruknął.

Dała o sobie znać rzeczywista wartość najważniejszej karty przetargowej wywiadu amerykańskiego, którą wcale nie były ani pieniądze, ani gęsta siatka informatorów w terenie, lecz zdolność przechwycenia prawie każdej rozmowy telefonicznej na świecie.

- Jest coś interesującego w tych stenogramach? - zaciekawiał się Jordańczyk.

- Nawet bardzo. Zgodnie z nimi ten twój Karami od sześciu miesięcy był w ścisłym kontakcie z wysłannikiem bin Ladena do Indonezji, niejakim Hussejmem Amarym. Dokładniejsze dane o nim uzyskaliśmy z Singapuru. Macie go na swoim radarze?

- Amary? - Hani zamyślił się głęboko. - Nie, chyba nie.

- Więc powinniście go uwzględnić. Naszym zdaniem to bardzo niebezpieczny człowiek. Ma powiązania z głównym organizatorem ostatnich zamachów bombowych w Europie, którego nazywamy Sulejmanem. Jeśli Amary ma także ścisłe powiązania z Karamim, to by oznaczało, że jest dużo bardziej zaangażowany w sferę operacyjną, niż sądziliśmy.

- To rzeczywiście bardzo interesujące - przyznał Hani, nieco wytrącony z równowagi.

- Owszem - rzekł z dumą Hoffman. - Czyż nie o to chodzi?

- Mógłbym przejrzeć te stenogramy? - zapytał Jordańczyk. - Mogą być dla nas bardzo pomocne. Jak sam powiedziałaś, tropimy wspólnego wroga.

- Tylko co ja będę z tego miał?

- Jak zwykle swój udział w rezultatach operacji. To chyba jasne, że rezultaty będą tym lepsze, im więcej będziemy wiedzieli. Tym samym i wy zyskacie więcej. Jeśli istnieje możliwość dorzucenia czegoś od siebie na etapie planowania operacji terenowej, czemu tego nie zrobić? Nie sądzę, aby Jego Wysokość był temu przeciwny. Niemniej, na razie zachowamy pełną kontrolę nad operacją. Co nie zmienia faktu, że będziemy wdzięczni Stanom Zjednoczonym za wszelką pomoc.

Hoffman błyskawicznie ściągnął teczkę ze stołu, ale nie schował z powrotem do aktówki.

Dopiero po kilku sekundach uniósł ją i wręczył Haniemu.

- Lubię cię - powiedział. - Mimo że jesteś cholernie upartym sukinsynem.

- Ahlan wa sahlan - odparł gospodarz. - Cała przyjemność po mojej stronie.

- Tylko nie próbuj mnie okantować.

- Przecież jesteśmy sprzymierzeńcami, mój drogi. Tropimy wspólnego wroga. Odnosimy się do siebie z szacunkiem. - Hani trzymał oburącz teczkę na wysokości piersi, jakby wygrał ją po ciężkiej walce.

Uścisnęli sobie dłonie, wymienili jeszcze parę grzecznościowych uwag, po czym amerykańscy goście wyszli z gabinetu.

*

W drodze powrotnej do ambasady ani Hoffman, ani Ferris nie odezwali się ani jednym słowem. W milczeniu pokonali także długi korytarz. Zaczęli rozmowę dopiero w zabezpieczonej przed podsłuchem sali konferencyjnej.

- Jak to zrobiłeś? - zapytał Ferris. - Pod koniec spotkania wręcz gotów był cię błagać o te stenogramy, które przecież i tak przywiozłeś dla niego.

- To proste. Wystarczyło tylko odpowiednio ustawić skurczybyka. Nigdy nie miałem z tym większych problemów.

- Czy to aby na pewno autentyczne stenogramy?

- Mniej więcej. Amary i Karami rzeczywiście byli w kontakcie. Nawiązali ze sobą współpracę... niech no pomyślę... krótko po tym, jak Jordańczycy objęli stałą obserwacją mieszkanie Karamiego w Berlinie.

- Skąd się dowiedziałeś, że wzięli go pod lupę?

- Przecież nie jesteśmy idiotami. Przynajmniej ja nim nie jestem. Powinieneś wiedzieć, że Niemcy bardzo nie lubią, kiedy jakieś służby podejmują na własną rękę działania na ich terenie. Jak tylko zauważą coś podejrzanego, natychmiast nas o tym informują.

- Według Haniego Niemcy nie mają o niczym pojęcia.

- I w tym miejscu się myli. Jest prawdziwym geniuszem w swoim otoczeniu, ale przez to poza własnym podwórkiem staje się trochę arogancki. Przykre to, ale prawdziwe.

Ferris podrapał się w głowę. Wciąż usiłował zrozumieć, jak dopasować do siebie poszczególne elementy układanki.

- A te rozmowy między Karamim i Amarem? Kto je zainicjował?

- Oczywiście Amary.

- Dlaczego oczywiście?

Hoffman przyciągnął go bliżej siebie. Nawet w zabezpieczonym pomieszczeniu obawiał się podsłuchu.

- Ponieważ Amary to nasz człowiek - wyjaśnił szeptem. - Już wiesz, co jest grane. To nasz człowiek. A dzięki Jordańczykom wejdziesz do struktur Al-Kaidy i stanie się ważnym ogniwem siatki Sulejmana. Wtedy zrobimy przedstawienie.

- Jezus, Maria... - syknął Ferris. - To rzeczywiście majstersztyk. Wyłączając kwestię oszustwa wobec Jordańczyków.

- Nic nie dało się na to poradzić. Próbowałem się odwoływać do rozsądku i proponowałem wspólne prowadzenie operacji, ale twój przyjaciel Hani odmówił. Nie powinien był tego robić. A jednak. Dlatego musimy rozegrać to inaczej. Poza tym nie zmuszałem go do wzięcia stenogramów. Sam rzucił się na nie jak sęp. Nawiasem mówiąc, powinien z nich skorzystać. Otwiera się przed nim perspektywa najlepszej operacji terenowej w całej karierze. Przed tobą także. Miej tylko oczy szeroko otwarte. Nie wolno ci zapominać, że bierzemy udział w wojnie. Tylko jej zasady uległy teraz drobnej zmianie.

- Moja żona w kółko mi to powtarza.

- I ma rację. Naprawdę toczymy wojnę z bezwzględnym przeciwnikiem i nie możemy polegać wyłącznie na łasce sprzymierzeńców, nawet najgenialniejszych Jordańczyków. Musimy też prowadzić walkę własnymi siłami, a to oznacza, że potrzebny nam jest własny agent w Al--Kaidzie. I to od zaraz. Nie mamy wyboru. Każda zwłoka oznacza śmierć następnych niewinnych ludzi.

- Miejmy nadzieję, że to wypali - odparł Ferris z zamkniętymi oczami.

- Wypali. To naprawdę świetna operacja. A jeśli nawet coś się stanie, spróbujemy innej drogi. Tak się postępuje na wojnie. Trzeba improwizować. Dlatego nie martw się, mój chłopcze, i zaakceptuj ten plan. Liczę na ciebie. Tylko czy mogę liczyć?

- Oczywiście. Bez zastrzeżeń. I niczym się nie martwię. Myślę. To zupełnie co innego.

- Tylko nie myśl za dużo. To źle wpływa na układ nerwowy. - Ciężkim łapskiem poklepał Ferrisa po plecach. - Lepiej przynieś butelkę whisky i trochę lodu. Muszę się zdrowo wstawić, żeby przespać cały lot powrotny.

- Odlatujesz jeszcze dzisiaj?

- Aha. Obiecałem Ethel, że pójde z nią wieczorem do teatru, na Króla Lwa. Prawdę mówiąc, nie rozumiem, jak można na podstawie filmu rysunkowego zrobić przedstawienie sceniczne. Ale skoro bardzo chce je zobaczyć, muszę być potulnym kociakiem.

Ferrisa w głębi serca bardzo ucieszył wypływający stąd wniosek, że potężny Hoffman siedzi pod pantoflem swojej żony Ethel. Ale zaraz jego myśli powędrowały nie w stronę żony, tylko Alice. Zamarzyło mu się, by móc ją zabrać na jakikolwiek musical na Broadwayu albo do kina czy gdziekolwiek indziej, gdzie mogliby zapomnieć, że wśród tych wyschniętych pylistych wzgórz ich życie wisi na włosku. Kiedy wychodził z sali konferencyjnej po whisky, Hoffman uśmiechał się błogo do własnych myśli.

9

Amman

Alice Melville odleciała do Bostonu na pogrzeb ciotki. Ferris odwiózł ją na lotnisko. Miała na sobie zielonkawożółtą spódnicę kloszową i białą bluzkę. Włosy przewiązała wstążką. Do kompletu brakowało jej tylko dużej błyszczącej broszki.

- Czemu ma służyć ten strój pensjonarki? - zapytał zdumiony, gdyż na jej widok poczuł się tak, jakby miał do czynienia z zupełnie inną dziewczyną.

- Nie chcę przestraszyć matki - odparła. - Jej zdaniem jestem bezpieczna w Jordanii, ponieważ tutejszy król studiował w Deerfield.

Alice bardzo ceniła zmarłą ciotkę, prawniczkę i nieustraszoną rzeczniczkę interesu publicznego, która jako jedyna w rodzinie poparła jej pomysł wyjazdu do Jordanii, podczas gdy wszyscy inni uznali to za szaleństwo.

„Ciotka Edith była jeszcze bardziej szalona niż ja”, napisała Ferrisowi w mejlu, który wysłała mu tego samego dnia wieczorem, zaraz po przyjeździe do domu. W ciągu kilku pierwszych dni regularnie odbierał od niej różne zwariowane przesyłki, między innymi ściągnięty z internetu żartobliwy film rysunkowy, pokazujący, jak Stany Zjednoczone rozprawiają się z Osamą bin Ladenem, doprowadzając go do obłędu nieustającymi telefonami reklamowymi. Potem jednak mejle przestały przychodzić. Doszedł do wniosku, że albo jest zbyt zajęta, albo pogrążona w żałobie po śmierci ciotki. Nie wykluczał też, że znalazłszy się w bezpiecznym rodzinnym gnieździe, po prostu o nim zapomniała.

Zakopał się w swojej pracy. Wizyta Hoffmana była dla niego pewnym wstrząsem - przypomniała mu dotkliwie, że w tej dziedzinie każda akcja może być usprawiedliwiona, jeśli przynosi odpowiednie rezultaty. Zaczął się więc głowić, czy na pewno robi wszystko, co tylko możliwe, by znaleźć dojście do siatki Sulejmana, dysponując takimi środkami, jakie ma. W istocie miał tylko jeden punkt zaczepienia: adres kryjówki, w której agent Sulejmana zwerbował Nizara, nieszczęsnego młodego Irakijczyka zabitego przez terrorystów następnego dnia po spotkaniu z Ferrisem. Była to willa w Jebel Al-Akthar, dzielnicy na południowych obrzeżach Ammanu. Zaraz po uzyskaniu tej wiadomości agencja zorganizowała stałą obserwację domu i założyła podsłuch telefoniczny. Zebrano wszelkie dostępne informacje na temat mieszkającej tam jordańskiej rodziny, poszukując jakichkolwiek powiązań z wysłannikami Al-Kaidy. Ale jak dotąd inwigilacja nie przyniosła żadnych efektów.

Jednorodzinny dom miał kształt dużego sześcianu postawionego z pustaków i otoczonego niechlujnie zbudowanym murem z surowych kamieni. Jego właścicielem był sześćdziesięcioletni Jordańczyk, niejaki Ibrahim Alousi, który jako inżynier pracował w arabskiej firmie budowlanej w Kuwejcie, ale ostatnio przeszedł na emeryturę. Obaj jego synowie także byli inżynierami i pracowali w lokalnej filii tej samej firmy, razem z żonami i dziećmi mieszkali w willi ojca. Wszyscy byli praktykującymi muzułmanami, w każdy piątek chodzili razem do meczetu, codziennie o świcie oddawali się modlitwie Fajr, nie byli jednak w żaden sposób powiązani z jakimkolwiek jordańskim ugrupowaniem salafistycznym. Ludzie Ferrisa obserwowali ich, śledzili i podsłuchiwali, lecz do tej pory nie wpadli na żaden ślad związku tych ludzi z Sulejmanem i jego siatką terrorystyczną. Możliwe, że rodzina Alousi

zachowywała bardzo daleko posuniętą ostrożność, ale szef operacji wydziału bliskowschodniego doradzał Ferrisowi zakończenie inwigilacji, która dużo kosztowała, a nie przynosiła żadnych rezultatów. On jednak nie chciał jeszcze rezygnować z tego tropu, zdobytego kosztem życia kilku ludzi. W dodatku podejrzane wydawało mu się to, że rodzina Alousi jest aż zanadto czysta i sprawia wrażenie niewinnej.

Zdecydował, że pora przystąpić do ofensywy. Do tej pory tylko czekał na kolejne posunięcie Sulejmana, teraz postanowił go sprowokować. A musiała to być jawna prowokacja Alousich, jeśli chciał się przekonać, jak zareagują. Szczęśliwie się składało, że dysponował łakomym kąskiem i mógł go podstawić drapieżnikowi pod nos. Jego poprzednik Francis Alderson zdołał zwerbować młodego Palestyńczyka o imieniu Ayman, pochodzącego z zachodniego brzegu Jordanu, z miejscowości Halhoul, który obecnie mieszkał w Ammanie i jak większość Palestyńczyków marzył o zdobyciu amerykańskiej wizej. To konsulat przesłał jego dane do placówki CIA, zaliczywszy go do potencjalnych rekrutów, a Alderson zdażył jeszcze zatwierdzić procedurę werbunkową, zanim został wydalony z Jordanii. I teraz Ayman figurował w aktach jako potencjalny informator bez przydziału operacyjnego. Ferris postanowił zmienić tę sytuację.

Spotkał się z Palestyńczykiem w apartamencie hotelu Inter-Continental w Trzecim Kręgu. Jeszcze w latach osiemdziesiątych, kiedy nieopodal mieściła się ambasada amerykańska, hotel zaliczał się do ośrodków życia towarzyskiego Ammanu, ale teraz cieszył się niewielkim zainteresowaniem. Ferris czekał w apartamencie na piętrze, kiedy Ayman zapukał do drzwi. Przez okna wlewało się do środka jaskrawe słońce, którego odbicie od sfalowanej wody w basenie znajdującym się pod balkonem mogły oślepić. Wytrzeszczone ze zdumienia oczy młodego Palestyńczyka świadczyły wyraźnie, że jeszcze nigdy dotąd nie był w tak bogato wyposażonych wnętrzach. Wyglądał na typowego Araba, odznaczał się muskularnymi ramionami, wystającymi kośćmi policzkowymi i bardzo kiepską cerą częściowo ukrytą pod czarnym szpeciniastym zarostem. Na głowie miał białą włóczkową mykę i to właśnie ona podsunęła Ferrisowi myśl, że ma idealnego kandydata do swojej misji.

Przekazał mu szczegółowe instrukcje. Arab miał pójść pod wskazany adres w Jebel Al-Akthar i zapytać o młodszego z braci Alousi. Gdyby nie było go w domu, powinien grzecznie zapytać, kiedy tamten wróci, żeby mogli się zobaczyć. A w rozmowie z młodszym Alousim chodziło w zasadzie tylko o jedno zdanie: „Mam wiadomość od Sulejmana”. Gdyby go wypytywano, co to za wiadomość, miał stwierdzić, że „spotkanie odbędzie się nazajutrz o siódmej wieczorem w Zarce”, pod podanym adresem. I to był właśnie ten haczyk. Jeśli ktokolwiek z domowników był powiązany z organizacją, ktoś powinien odebrać tę wiadomość i stawić się na wyznaczone spotkanie - choćby tylko po to, by stwierdzić, że wiadomość jest fałszywa.

Ayman sprawiał wrażenie bardzo przejętego, Ferris musiał drugi raz tłumaczyć mu wszystko od początku do końca, choć zdawał sobie sprawę, że powinien raczej serdecznie przytulić chłopaka, który jest bliski załamania nerwowego.

- Zrób wszystko tak, jak ci mówiłem - przykazał na pożegnanie - a dostaniesz swoją upragnioną wizę amerykańską. Ale jeśli popełnisz błąd, oddamy cię w ręce tajnej policji. Dom Alousich stał na zboczu wzniesienia. Był dwupiętrowy, lecz końcówki prętów zbrojeniowych wystających ponad dach pierwszego piętra świadczyły wyraźnie, że właściciel zamierzał zbudować jeszcze jedno piętro, tylko zabrakło mu pieniędzy. Sąsiedzi przechodzili ulicą z nisko spuszczonej głowami okrytymi abają czy też kaffiją, jakby naprawdę byli ślepi i głusi. Wiatr hulał po pylistej dro-

dze, z nagich zboczy porywał nawet pojedyncze kamyki, które ciskał na ulicę. Ferris rozstawił grupę inwigilacyjną po drugiej stronie ulicy, by mogła obserwować i rejestrować, jak Ayman podchodzi do drzwi domu. Otworzyła mu kobieta, za którą stał siwowłósy starzec, toteż Ferris pokręcił głową, przypuszczając, że obaj synowie gospodarza muszą przebywać

poza domem. Po chwili jednak w drzwiach pojawił się młody mężczyzna ubrany w poplamiony granatowy dres. Obrzucił Aymana podejrzliwym spojrzeniem, po czym zaprosił go do środka.

Ayman nie wychodził prawie przez godzinę. Ferris nie umiał rozsądzić, czy to dobry znak, czy też przeciwnie. W ciągu godziny gospodarze mogli zadać wystarczająco dużo pytań, by zdemaskować cieniutką legendę przygotowaną przez Aldersona dla młodego agenta. Ale gdy późnym wieczorem przesłuchiwał Aymana, ten orzekł, że w trakcie przedłużającego się oczekiwania nie zaszło nic ważnego. Ścisłe wykonał instrukcje Ferrisa: Mam wiadomość od Sulejmana. Spotkanie odbędzie się pod wskazanym adresem w Zarce. Ale synowie Alousiego oznajmili stanowczo, że nie znają nikogo o imieniu Sulejman. Jak mogą odebrać jakąś wiadomość od Sulejmana, skoro nie znają nikogo takiego? Musiała zajść jakaś pomyłka. Mimo to Ferris nie mógł zrozumieć, czemu trwało to aż tak długo, skoro nie chcieli pośredniczyć w przekazaniu wiadomości. Okazało się, że poczęstowali go kawą, a potem jeszcze herbatą, żeby okazać gościnność, jak wyjaśnił Ayman. Wypytywali go też o rodzinę w Halhoul, o przyjaciół i o to, czy kiedykolwiek był aresztowany przez Izraelczyków. Palestyńczyk sprawiał wrażenie zadowolonego z wypełnienia misji, nawet jeśli nie rozumiał w pełni jej znaczenia. Oczywiście zapytał, czy teraz będzie mógł dostać upragnioną wizę. Za kilka tygodni, miesiące, najwyżej dwa, zapewnił go Ferris.

*

Policja znalazła zwłoki Aymana trzy dni później w Zarce, w kontenerze na śmieci, niedaleko miejsca, gdzie miało dojść do fikcyjnego spotkania. Oprawcy wycięli chłopakowi język, pozostawiając wielką zakrwawioną ranę w miejscu jego ust. Zwłoki nosiły ponadto ślady innych tortur, żebra były połamane, brakowało kilku palców. Kiedy jeden z asystentów Haniego przywiózł do ambasady szarą kopertę ze zdjęciami z sekcji zwłok, z dołączoną notatką z lakonicznym tekstem „Do wglądu”, stało się jasne, że służby jordańskie wiedziały o kontaktach Ferrisa z Aymanem. Pewnie z tego powodu zmusił się, żeby dokładnie obejrzyć te zdjęcia. Miał wrażenie, że przynajmniej tyle jest winien biednemu Palestyńczykowi. Następnie zadzwonił do zastępcy Haniego i poprosił o przysługę. Podyktował adres Willi Alousich w Jebel Al-Akthar i zapytał, czy byłoby możliwe dokonanie natychmiastowego nalotu oraz aresztowanie wszystkich obecnych w domu. Dodał, że przy najbliższej okazji wyjaśni wszystko naczelnemu dowódcy. Kiedy jednak godzinę później pluton służb specjalnych dotarł pod wskazany adres, zastał pusty dom. Wszystko wskazywało na to, że mieszkańcy pod osłoną nocy uciekli w popłochu bocznymi uliczkami, zdążywszy spakować do walizek jedynie najpotrzebniejsze rzeczy. Zastępca Haniego przekazał Ferrisowi telefonicznie, że tajna policja postara się odnaleźć Alousich. On jednak podejrzewał, że ci są już poza granicami kraju, w Damaszku, Rijadzie czy jakimkolwiek innym mieście. Niemniej, zastawiona pułapka częściowo spełniła swe zadanie: dom rzeczywiście okazał się kryjówką Al-Kaidy, teraz już spaloną. Niezależnie od celu, do jakiego chcieli go wykorzystywać przywódcy organizacji, musieli zrezygnować z tych planów. Hani nie oddzwonił, a Ferris na swój sposób przyjął to z wdzięcznością, nie musiał bowiem tłumaczyć, jak doszło do tego, że chłopak z Halhoul skończył w kontenerze na śmieci. Ta operacja nauczyła go, że do siatki przeciwnika dużo trudniej przeniknąć, niż można by z pozoru sądzić. Poczuł się zapędzony w ślepy zaułek, a w ścianie, przed którą stanął, ani jedna cegła nie była obluzowana. Może Hoffman miał rację. Jedyнным sposobem przeniknięcia do organizacji było dobrze wymyślone oszustwo, tyle że on na razie nie mógł jeszcze myśleć o niczym.

Niecierpliwie czekał na powrót Alice. Nie cierpiał papierkowej roboty, jaka zwała mu się na głowę. Do wszystkiego potrzebne były raporty, zezwolenia czy zwykłe depeche przysyłane na któreś z „zabawnych nazwisk” tajnych pracowników tutejszej komórki CIA. Większość z nich była zaadresowana bezpośrednio do niejakiego Hanforda J. Sloana, wymyślonej postaci,

dzięki której mógł podejmować na szeroką skalę rutynowe działania, takie jak dezorientacja przeciwnika czy też rekrutowanie informatorów. Ferris wołał całkiem otwarte zmagania wywiadowcze, lecz politycy skutecznie je torpedowali.

Od tych żmudnych zajęć uwolniła go zaszyfrowana depesza od przyjaciela z Farmy Andy'ego Cohena, posługującego się pseudonimem Everett M. Farcas. Ten, podobnie jak Ferris, cierpiąc nudę akademickich zajęć po ukończeniu z wyróżnieniem sinologii, bez wahania zaciągnął się do agencji. Wysoki i szczupły, wyróżniał się hiszpańską spiczastą bródką, którą instruktorzy na Farmie kazali mu zgolić, lecz zapuścił ją ponownie po zakończeniu szkolenia. Miał brzydki zwyczaj psioczenia na wszystkich i wszystko. I w przeciwieństwie do Ferrisa, który zdawał

sobie sprawę, jak odrażająca i wyniszczająca może być praca wywiadowcza, nadal żył w urojonym świecie filmowych superagentów w rodzaju Pierce'a Brosnana czy Sharon Stone. Gdy poznał instruktorów z Farmy, zblazowanych i podstarzałych, bąknął więc zdegustowany do Ferrisa: „To chyba jakiś żart”. Szybko wbił sobie do głowy, że z CIA dzieje się coś niedobrego. W noc poprzedzającą rozdanie dyplomów oznajmił: „Ci ludzie to sami nieudacznicy”. Nie zrezygnował jednak ze służby, za to regularnie przysyłał Ferrisowi swoje raporty dotyczące braku kompetencji i głupoty kolegów. Zaraz po ukończeniu kursu Cohen został oddelegowany do Tajwanu, gdzie wbrew zaleceniom szefa placówki w krótkim czasie zwerbował do współpracy dość znaczną liczbę przedstawicieli miejscowej chińskiej społeczności. Za ten niewybaczalny błąd własnej inicjatywy został ukarany przeniesieniem do centrali, do Zespołu Oceny Obiektów, powstałego na początku lat dziewięćdziesiątych w ramach programu oszczędności budżetowych, w którym znalazło schronienie wielu gryzipiórków, nienadających się do jakichkolwiek innych zadań. Konkretnie otrzymał zadanie nadzorowania i ewentualnego przenoszenia w stan spoczynku agentów, których wydajność spadła do zera. A ponieważ uważał niemal wszystkich pracowników agencji za bezużytecznych, był gotów w całości wymienić personel operacji terenowych, tyle że brakowało mu cierpliwości do wypełniania dziesiątków formularzy, zwłaszcza liczących wiele stron kwestionariuszy danych osobowych. Stąd też robił najmniej, jak tylko się da, zyskując w ten sposób czas na grę na giełdzie walutowej i wypisywanie wielostronicowych mejli do Ferrisa.

„Moi koledzy z ZOO są durni ponad wszelkie wyobrażenia, Roger”, zaczynała się najnowsza wiadomość. „Przerają mnie. Mam wrażenie, że muszę współpracować z tymi ludźmi, których wydalono z Farmy za brak umiejętności czytania mapy. A co gorsza, do nich teraz należy podejmowanie decyzji, kogo warto zachować na dotychczasowym stanowisku, a kogo nie. Szczerze mówiąc, to istna rewelacja. W sąsiednim pokoju pracuje Stan, mormon z Salt Lake City, który powiedział mi wczoraj, że jeden z weryfikowanych przez niego oficerów powinien zostać natychmiast wydalony ze służby, bo podczas badania z użyciem poligra-fu przyznał otwarcie, że za młodu na farmie rodziców w Nebrasce uprawiał seks z owcami. Czy to nie śmieszne? Jednakże Stan był naprawdę zbulwersowany. Uznał, że facet jest zagrożeniem dla bezpieczeństwa agencji. Niby dlaczego? Bał się, że owce zaczną go teraz szantażować? Dasz temu wiarę? Ale to jeszcze nie wszystko. Pamiętasz Aarona Finka z naszej ostatniej wyprawy na laski? Otóż Stan nabrał podejrzeń, że informatorzy zwerbowani przez Finka w Limie mogą być pozorowani, bo zbyt wielu z nich nosi żydowskie nazwiska. Jasna cholera! Nie wątpię, że Aaron sam jest Żydem, tylko czy Stan uważa, że przez to wykonuje rozkazy barona Rothschilda? To przerażające. Przyjrzałem się więc bliżej liście informatorów Aarona, na której dominowali ludzie o nazwiskach typu Sanchez albo Ruiz, a więc typowo hiszpańskich, w niczym nieprzypominających Schicklegruberów czy Gottbaumów, na miłość boską! Powiedziałem więc Stanowi: »Hej, kolego, coś mi się zdaje, że trochę przesadzasz. Nie widzę tu żadnych żydowskich nazwisk. A nawet gdyby były, to co?«. A on na to: »Nazwiska można

łatwo zmienić«. I tyle. Wreszcie wiesz, z kim mam tutaj do czynienia. To są nie tylko krety, ale jeszcze zagorzali krety antysemita. Mówię poważnie, że cała ta instytucja się sypie. Lepiej tu nie wracaj. Zostań w terenie tak długo, jak tylko zdołasz, po czym wykorzystaj swoją ranną nogę do przejścia na rentę z powodu niezdolności do służby. Ja zamierzam podjąć pracę w redakcji wiadomości stacji Fox, gdzie będę mógł pluć na lewo i prawo do woli! Całusy. Everett M. Farcas".

Ferris wysłał mu krótką odpowiedź, dołączając do niej kilka dowcipów, jakie znalazł w internecie. Cohen miał jednak rację. Większość pracowników agencji była żałośnie niekompetentna. Ale siebie do nich nie zaliczał, tak samo jak Hoffmana. Mógł więc zapomnieć o całej sprawie i skoncentrować się na swoich zadaniach.

Szukając rozrywki, odwiedził bibliotekę British Council. Pasjonował się literaturą dotyczącą działań wywiadowczych z czasów drugiej wojny światowej. Przeczytał chyba wszystko, co opublikowano na temat Bletchley Park, naukowców zaangażowanych w „wojnę umysłów” czy też „systemu podwójnie krzyżowego” wykorzystywanego przez Brytyjczyków do dezorientacji Niemców za pośrednictwem ich agentów schwytanych w Anglii. Wielka Brytania przegrywała tę wojnę, poniosła dotkliwe straty podczas panicznej ewakuacji Dunkierki i późniejszych bombardowań Londynu. Wróg był o wiele silniejszy i pozbawiony jakichkolwiek skrupułów. Brytyjczycy mieli bardzo mało atutów, a w zasadzie tylko jeden: dużo większą wprawę w rozwiązywaniu łamigłówek. Dlatego Ferris zaczął przeglądać książki na półkach w nadziei, że znajdzie coś, co doda mu otuchy do dalszych działań, a przynajmniej pozwoli oderwać się od trosk.

Tydzień po wyjeździe Alice siedział w swoim obszernym pustym mieszkaniu nad wieczornym posiłkiem. Te-

raz, pod koniec października, szyby w oknach aż jęczały pod naporem zimnego i suchego pustynnego wiatru, a ten odgłos wywoływał u niego dreszcz grozy. Odebrał telefon od Gretchen, która jak zwykle zadzwoniła pod koniec tygodnia. Ale rozmowa nie kleiła się jeszcze bardziej niż dotychczas. Nie potrafił opowiadać o swojej pracy, a nie miał pojęcia, o czym innym mógłby z nią rozmawiać. Ona zaś tokowała jak zwykle, opowiadała o swoich fantazjach, które będzie musiała wcielić w życie, kiedy on wróci do domu. Kazał jej zamilknąć. Powiedział, że jego telefon jest prawdopodobnie na podsłuchu, ale to jak gdyby jeszcze bardziej ją podnieciło.

- Nienawidzę tego - rzekł ostro, mając na myśli nie tylko telefoniczne rozmowy o seksie, ale cały ich związek.

- Domyślam się, że jesteś w kiepskim nastroju, skarbie - odparła. - Zadzwoń do mnie, kiedy nie będziesz aż takim zrzędą.

Przyjąłem, rzucił w duchu, odkładając słuchawkę. Przede wszystkim tęsknił za Alice. Ale było też jeszcze coś innego: obawa, że przestanie być dla niej interesujący, kiedy w Bostonie zetknie się ze starymi, aż nazbyt utalentowanymi znajomymi. W końcu jego życie przypominało wypaczone odbicie w krzywym zwierciadle. Był żonaty z kobietą, której nie kochał, za to angażował się uczuciowo w związek z drugą kobietą, którą zapewne interesowali mężczyźni zupełnie innego pokroju.

Leżał w łóżku, oczekując nadejścia snu. Jak to się czasem zdarza, miał wrażenie, że taśma w jego głowie cofa się aż do wybranej chwili z jego życia. Tym razem był to mecz zapaśniczy z ostatniego roku jego nauki w George Marshall High School w Fairfax. Miał olbrzymią przewagę

punktową i powinien był zwyciężyć już w trzeciej rundzie. Jego przeciwnik ciągnął resztką sił. Ale on nie lubił łatwych zwycięstw. Zależało mu, by położyć rywala na łopatki i wygrać jednogłośnie. Trzymał go w kleszczach i dźwignią na jego ramię próbował pokonać resztki oporu, żeby wygrać przez położenie na łopatki, kiedy z ust chłopaka dobył się gardłowy jęk, a

chwile później rozległ się trzask i przenikliwy jęk cierpienia. Uzmysłował sobie, że złamał przeciwnikowi jakąś kość. Odskokzył jak oparzony, chłopak w milczeniu stoczył się poza matę, przyciskając rękę do brzucha, a na widowni rozległy się pojedyncze okrzyki dezaprobaty. Nie były zbyt liczne, jednak ludzie od razu wyczuli, że stało się coś złego, że Ferris nie tylko chciał wygrać walkę, ale także wyeliminować przeciwnika z dalszych zawodów. Jemu zaś najbardziej utkwiała w pamięci chwila tuż przed odrażającym trzaskiem, kiedy przeciwnik jęknął gardłowo, jakby chciał mu dać do zrozumienia, że się poddaje. Zacisnął silnie powieki, zmagając się z tym wspomnieniem. Żył z nim prawie od dwudziestu lat i wciąż nie mógł się pogodzić z tym, co zrobił. Nie chodziło nawet o przemoc jako taką, ale o nieumyślne zadawanie bólu, możliwość nieopatrznie narażenia kogoś na cierpienie. I jak poprzednio, odepchnął od siebie dokuczliwe myśli, uciekając świadomością od dręczących go doznań, dopóki nie nadszedł zbawienny sen.

Alice wróciła po dziesięciu dniach i zaraz po wylądowaniu na lotnisku Królowej Alii zadzwoniła do Ferrisa.

- Wybacz, ale bardzo tęskniłam - powiedziała takim tonem, jakby niechętnie przyznawała się do słabości charakteru. - Przez cały czas o tobie myślałam, Roger. Cały czas, bez przerwy. Właśnie dlatego nie dzwoniłam. Byłam za bardzo przejęta.

- Rozumiem - odparł. - Ja też byłem przejęty. To źle czy dobrze?

- Sama nie wiem. Chyba dobrze. Będziemy jednak musieli to rozstrzygnąć.

- Masz rację. Od czego zaczniemy?

- No cóż... - zamilkła, jakby zastanawiała się nad odpowiedzią. - Co powiesz na jutrzejszy wieczór? Muszę się porządnie wyspać. Facet w sąsiednim fotelu głośno chrapał przez całą drogę z Bostonu do Londynu. W dodatku śmierdziało od niego.

- O której mam po ciebie przyjechać?

- Znudziło mi się takie umawianie na godziny. Umiesz gotować?

- Trochę. Nie za dobrze.

- To bez znaczenia. Kup polędwicę wołową, dwa duże ziemniaki i butelkę czerwonego wina, jakoś sobie poradzimy. Dasz radę? Aha, i jeszcze trochę zielonego groszku, jeśli znajdziesz go na bazarze. Mogą też być brokuły. Albo marchewka. Zgoda?

Ferris obiecał, że zrobi zakupy, i z radością odłożył słuchawkę. Całą następną dobę spędził w przyjemnym nastroju pożądania, rozmyślając nie tylko o ewentualnym seksie z Alice, lecz ogólnie o rozkoszy przebywania obok niej. Poprosił gospodynię, żeby ogarnęła jego mieszkanie w zgodzie z kobiecymi kryteriami porządku, po czym wysłał ją do sklepu, polecając też, by kupiła duży bukiet kwiatów. W sypialni porozstawiał małe świece, ale doszedł do wniosku, że to przesada, i szybko je pozbierał.

Alice przyjechała z półgodzinnym spóźnieniem. Gdy spojrzął na nią, otworzywszy drzwi, aż pokręcił głową. Cała promieniała radością i pożądaniem, a jej blond włosy zdawały się skrzyć na tle granatowego wieczornego nieba.

- Boże, jakaś ty piękna - szepnął.

- Lepiej wpuść mnie do środka, bo zaraz zamarznię na kość - odparła.

Cmoknęła go przelotnie, wkroczyła do mieszkania i powiedziała:

- Zaraz wracam. Muszę się dobrze rozejrzeć. Obeszła je całe, zaglądając do każdego pomieszczenia.

Nieco dłużej zatrzymała się w drzwiach sypialni, jakby chciała ją dobrze zapamiętać.

Wreszcie wróciła do saloniku i kręcąc głową, oznajmiła:

- Boże, musisz być naprawdę grubą rybą. To mieszkanie jest niesamowite.

- Wynajęła je ambasada. Pewnie z założeniem, że zamieszka w nim cała rodzina, dlatego jest takie duże.

- Duże? Powiedziałabym raczej, że ogromne. Oszczędzę ci wykładu na temat liczby palestyńskich rodzin, które doskonale by się urządziły na tej powierzchni. Więc nie stój tak! Wczuj się w rolę gospodarza. Mamy coś do picia?

- Co powiesz na szampana? - Skinęła głową, toteż w pośpiechu wyciągnął butelkę Dom Perignon, którą odziedziczył po poprzednim szefie placówki zmuszonym do nagłego wyjazdu.

Alice spojrzała na nalepkę.

- Chciałeś mi zaimponować? Dom Perignon? Bo muszę przyznać, że naprawdę jestem pod wrażeniem. Dziewczyny z nieufnością odnoszą się do mężczyzn, którzy kupują taniego szampana. Bo i czemu miałyby to służyć? To jak kupowanie taniej bielizny. Rozumiesz, co mam na myśli? Widzę, że nie bardzo.

Ferris napełnił dwa kieliszki, które błyskawicznie opróżnili. Siedzieli na kanapie, Alice opowiadała o swojej wizy-

cie w rodzinnym domu, o rodzicach, krewnych i kuzynach. Napełnił kieliszki po raz drugi, a potem trzeci, zasłuchany w jej relację. Przyznała otwarcie, że opowiedziała o nim całej rodzinie, chociaż nie była pewna, czemu to robi. Nie ukrywała jednak, że pragnęła jak najszybciej wrócić do Ammanu, do niego. Chciała zrozumieć, dlaczego aż tak bardzo za nim tęskni.

Ferris przysunął się bliżej i objął ją. Przytuliła się, ale zaraz odchyliła głowę i spojrzała mu w oczy.

- Znam cię, Roger. Myślisz, że jest inaczej, ale się mylisz. Masz skomplikowaną naturę, podobnie jak ja. Jesteś człowiekiem otwartym, ale nie lubisz mówić o sobie. Jesteś odważny, a jednak czegoś się boisz. Widać to w twoich oczach. Obawiasz się, że nie podasz wszystkiemu. Ale chyba niepotrzebnie. W każdym razie dziś wieczorem wystarczy, że będziesz ze mną.

Nie odpowiedział. Przyłożył dłoń do jej twarzy i delikatnie przeciągnął palcami po policzku i wargach. Odsunął włosy z czoła. Były bardzo miękkie i delikatne, jak włoski niemowlęcia. Wreszcie przyciągnął ją do siebie. W pierwszej chwili się spięła, szybko jednak rozluźniła i nastawiła usta do pocałunku. Zrobił to bardzo ostrożnie, ledwie musnął je wargami. Ona jednak natychmiast rozchyliła usta i lekko wysunęła język. Poczował, jak rośnie w nim podniecenie. Mocniej przyciągnął ją do siebie.

Na krótko uniosła brwi, zanim zamknęła oczy.

- Jeszcze nie teraz. Muszę cię wpięrować nakarmić.

Usmażyła steki, ugotowała ziemniaki i fasolkę szparagową, którą gospościa przyniosła z targu. Krzątając się przy kuchni, nuciła piosenkę It's Raining Mon, zdumiewająco czystym głosem.

Ferrisowi przyszło na myśl, że ma przed sobą najbardziej nieświadomą swoich uroków kobietę. Mimowolnie zaczął się pograżać w fantazjach wspólnej nocy.

Jego barania mina chyba dała jej do myślenia, gdyż poleciała:

- Otwórz wino! Nie siedź beczynnym. Natychmiast zaczął szukać w szufladach korkociągu.

Wyszli z kolacją na taras.

- Zgaś światło - poprosiła.

Ta strona mieszkania wychodziła na zachód, na pustynię schodzącą się z atramentowoczarным niebem, na którym połyskiwały chyba wszystkie możliwe gwiazdy.

- Weź mnie za rękę - poprosiła.

- Po co? - zapytał, coraz bardziej podniecony.

- Bo musimy razem odmówić modlitwę. Skup się, Roger. To modlitwa, która jest odmawiana w mojej rodzinie od trzystu lat. Chcę ją teraz odmówić, ponieważ mamy przed sobą niezwykłą noc. Będziesz musiał się jej nauczyć do Święta Dziękczynienia. Zamknij oczy.

„Twojej czulej opiece, Ojczy, i Twemu błogosławieństwu polecamy serca czyste, głosząc naszą wdzięczność. Amen”. Powiedz: Amen.

- Amen - powtórzył.

Krótko uścisnęła jego dłoń, zanim ją puściła. Otworzył oczy i spojrzał na nią. Ogarnęło go nagle poczucie winy. Była tak urzekająca, tak pełna ufności, a on przecież nie był z nią całkiem szczery, zataił bodaj najważniejszą rzecz. Przez jakiś czas jedli w milczeniu, później Alice znów zaczęła opowiadać o swojej wizycie w rodzinnym domu. Zjadła stek z ziemniakami, ale zostawiła fasolkę. Kiedy skończyła, odsunęła talerz, popatrzyła w zamyśleniu na gwiazdy, wreszcie odwróciła się do niego. Zrzuciła pantofle i bosa stopy oparła o jego uda.

- Muszę ci coś powiedzieć - zaczął niezręcznie.

- Jakiś problem? Nie lubisz dziewcząt? - zachichotała.

- Nie, to poważna sprawa.

- Aha. No więc słucham.

Pokręcił głową.

- Nie wiem, od czego zacząć. Wstyd mi to mówić, ale jestem żonaty.

- Wiem o tym. - Teraz ona pokręciła głową. - Boże! Brałeś mnie za taką naiwną idiotkę?

- Jak się dowiedziałas? Ja o tym nie wspominałem. A już od dawna nie noszę obrączki.

- To oczywiste. Samotny facet próbowałby mnie zaciągnąć do łóżka już na pierwszej randce. Ty wykazałeś się cierpliwością świadcząca o dojrzałości. To nasunęło mi wniosek, że jesteś żonaty. Zresztą, było coś jeszcze.

- Nawet nie masz pojęcia, jak bardzo chciałem cię zaciągnąć do łóżka nie tylko na pierwszej randce, ale i na drugiej, i trzeciej...

- Chodzi mi o coś innego. Jest w tobie jakiś skrywany smutek, nawet jeśli dobrze się bawisz, jakbyś bardzo tęsknił za czymś, czego ci w życiu brakuje. Oczywiście nie seksu, a raczej miłości. To mi podpowiedziało, że jesteś nie tylko żonaty, ale i niezbyt szczęśliwy w małżeństwie.

- To wszystko prawda. Tęsknię za miłością. I nie jestem szczęśliwy w małżeństwie. -

Wyciągnął rękę, żeby musnąć palcami jej dłoń, ale szybko ją cofnęła.

- Poza tym pytałam, kogo trzeba.

- Jak to pytałaś? Kogo?

- W ambasadzie. Jedna z waszych sekretarek jest w mojej grupie na zajęciach jogi.

Powiedziałam jej, że właśnie poznałam bardzo przystojnego dyplomata, niejakiego Rogera Ferrisa, a ona na to: „Uważaj. Jest żonaty”. Ale to tylko potwierdziło moje przypuszczenia. I tylko dlatego tak długo się wahałam. Chciałam się przekonać, czy naprawdę jesteś wart zachodu.

- Więc nie jesteś na mnie wściekła, że nie powiedziałem ci o tym od razu?

- Nie. W końcu przecież to powiedziałas. W przeciwnym razie pewnie nie byłabym aż tak chętna, żeby pójść z tobą do łóżka. Chociaż nie, to nieprawda. I tak byłabym chętna. Ale tak jest lepiej. Zresztą, tak czy inaczej, zdradziłbyś żonę.

- To prawda. Chcę wystąpić o rozwód. Podjąłem już decyzję niezależnie od tego, co się wydarzy między nami. Nie kochamy się z żoną. To dlatego jesteśmy stale w rozłące. Zamierzam jej to powiedzieć podczas najbliższego pobytu w Waszyngtonie.

- Jeśli naprawdę jesteś nieszczęśliwy, Roger, powinniście się rozwieść. I wcale nie mówię tego z myślą o sobie. Chodzi mi o ciebie.

- Teraz jestem szczęśliwy.

- Ale jeszcze nie tak bardzo, jak niedługo będziesz. - W tej samej chwili obląła się rumieńcem. Złapała go za rękę i pociągnęła w kierunku sypialni. Przy łóżku stała świeca. Alice zostawiła ją tam niepostrzeżenie, kiedy oglądała mieszkanie. Teraz ją zapaliła.

- Przytul mnie - powiedziała.

Ferris musnął palcami jej włosy, później wargi, wreszcie przyciągnął ją do siebie. Kiedy ją pocałował, sięgnęła do paska jego spodni. Kiedy usiłowała go rozpiąć po omacku, wsunął

dłoń pod jej sukienkę. Delikatna tkanina jej majtek jak gdyby rozplynęła się pod wpływem dotyku. Błyskawicznie na podłodze urósł stosik ubrań. Wreszcie ostrożnie ułożył ją nagą na łóżku i popatrzył na nią w blasku świecy. W mętym migotliwym świetle płomyka jej policzki sprawiały wrażenie odlanych z alabastru. Jedną ręką skromnie zasłaniała piersi, ale zaraz ją opuściła. Oczy jej na chwilę się rozszerzyły, gdy spostrzegła rozległe blizny na jego nodze, wypełnione miękką i delikatną tkanką łączną tworzącą nieznaczne wybrzuszenia. Pod wpływem jego dotyku szybko stała się gotowa na jego przyjęcie. Rozkoszował się jeszcze ciepłem bijącym od jej miękkiej skóry, kiedy szepnęła, z pożądania oddychając bardzo szybko:

- Chodź. Chodź.

Wszedł w nią powoli i ostrożnie, ale gwałtownie przyciągnęła go do siebie. Poruszała się szybko, cicho pojękując. Wykrzyknęła nawet jego imię, zanim ich ciała jednocześnie przeszły spazm rozkoszy. Poczul jeszcze, jak zacisnęła się wokół niego, bo już chwilę później pogrzyżył się w oślepiającej bieli. Oparł głowę na jej piersi wilgotnej od jego śliny i zasłuchał się w przyspieszone bicie jej serca.

Amman

Kilka dni później Hani wezwał go do siebie. Ferris pojechał sam do fortecy wznoszącej się na stromym zboczu wzgórza. Tym razem na górę poprowadziło go dwóch sierżantów, kroczyli po obu jego stronach, jakby miał stanąć przed plutonem egzekucyjnym. I wyjątkowo nie musiał czekać w sekretariacie, przy biurku zastępcy szefa wywiadu, wprowadzono go bezpośrednio do gabinetu Paszy. Nie umiał sobie wytłumaczyć, co było przyczyną odmiennego traktowania. Nie było powodu, żeby Hani się na niego złościł. W rzeczy samej nie kontaktowali się od czasu wyjazdu Hoffmana.

Zaledwie jednak wszedł do gabinetu, nabrał przekonania, że stało się coś złego. Jordańczyk jak gdyby nagle stracił cały swój wigor. Na policzkach miał kilkudniowy zarost, a pod oczyma wielkie ciemne półkola, jakby nie spał

kilka nocy z rzędu. Wskazał Ferrisowi miejsce na krześle stojącym przed biurkiem, a nie na kanapie, gdzie zazwyczaj siadali obaj do rozmowy. Zaczekał, aż zamkną się drzwi od korytarza, potem jeszcze zbierał się w sobie przez parę sekund, wreszcie oznajmił lodowatym tonem:

- Mustafa Karami nie żyje. Mówię o swoim informatorze z Berlina. Został zamordowany tydzień temu.

Wycedził te słowa z nieskrywaną wściekłością, z twarzą wykrzywioną w grymasie frustracji, cierpienia i żalu nad zmarnowanym wysiłkiem włożonym w tę operację. Nie tyle bolał z powodu straty świeżo pozyskanego informatora, ile z powodu zmarnotrawienia sił i środków, które mogły ocalić wiele istnień ludzkich.

Ferris nie bardzo wiedział, jak zareagować.

- Kto go zabił? - wydusił w końcu.

- Naszym zdaniem łącznik Al-Kaidy. Już został schwytany w Madrycie. Nas bardziej nurtuje pytanie, dlaczego został zabity. - Jordańczyk zajrzał mu prosto w oczy. - Potrafiłbyś to wytłumaczyć?

Ferris zawahał się, o ułamek sekundy za długo.

- Nie, żadnym sposobem - odparł.

- Ach, „żadnym sposobem”. To coś więcej niż zwykłe „nie”, co nasuwa mi następne pytanie: Dlaczego ludzie odczuwają potrzebę używania dodatkowych niepotrzebnych słów, kiedy wystarczy samo zaprzeczenie? Skoro wystarczy powiedzieć krótko „nie”, po co dodawać jeszcze: „Żadnym sposobem”? To dziwne, nie sądzisz?

- W porządku, Hani. Usłyszysz teraz moje najprostsze wytłumaczenie. Otóż nie wiem, kto zabił Mustafę Kara-miego. Przed wejściem do tego gabinetu nie wiedziałem nawet, że został zabity.

Gospodarz jednak był wciąż w nastroju do zabawy słowami.

- Wiesz, że język arabski ma to do siebie, iż niemal każde twierdzenie zawiera element kłamstwa? Nawet jeśli mówi się szczerą prawdę. Bo arabski to język poetów, a nie inżynierów. Angielski jest prostszy. Opiera się na przeciwstawieństwach, „tak” albo „nie”. Kiedy więc ludzie wzbogacają taką wypowiedź, muszą mieć ku temu powody. Kiedy ktoś zaczyna: „Prawdę mówiąc, Hani...” albo „Z ręką na sercu, Hani...”, od razu nabieram podejrzeń, że kłamie. Gdybyś zatem miał mi powiedzieć prawdę, nie potrzebowałbyś żadnych dodatkowych słów, żeby podkreślić zaprzeczenie. Odparłbyś po prostu: „Nie”. Mam rację?

- Zgadza się, Hani. Masz rację.

- Niemniej i tak ci wierzę, kiedy mówisz, że nie wiesz, dlaczego Karami został zabity. Bo i skąd miałbyś to wiedzieć? Ja sam nie znam przyczyny.

- Dziękuję.

- Ale na pewno ją poznamy, mój drogi. Tak się szczęśliwie składa, że wspólnie z pewnością odkryjemy prawdziwą przyczynę śmierci Mustafy Karamiego.

- Jakim sposobem mielibyśmy się tego dowiedzieć? - spytał wyraźnie podenerwowany Ferris, któremu serce waliło jak młotem.

- Przesłuchując człowieka, który go zabił. Hiszpanie z ochotą zgodzili się go nam przekazać. Ma na imię Ziyad. Jest tu już prawie od tygodnia. Siedzi dokładnie pod nami, w jednej z cel znajdujących się w podziemiach tego budynku.

- Czyli w Pałacu Upiórów - wtrącił, przywołując rozpowszechnioną wśród Jordańczyków nazwę kazamatów mieszczących się pod siedzibą Dyrektoriatu Służb Wywiadowczych. Mówiono, że jest to pałac, z którego nigdy nie wychodzi ta sama osoba, jaka do niego weszła.

- Bzdura, mój drogi. Nie ma tam żadnych upiórów, nie ma też połamanych kości. Tobie chyba nie muszą tego tłumaczyć. My nie stosujemy tortur. Najlepszą metodą dochodzeniową jest doprowadzenie do takiego stanu, w którym ludzie sami się przełamują. To o wiele skuteczniejsze od jakichkolwiek tortur.

- Pod warunkiem, że nie chce się uzyskać informacji jak najszybciej.

- Mylisz się. Zwłaszcza wtedy, kiedy zależy nam na szybkim efekcie, powinniśmy się zdobyć na cierpliwość. Właśnie w ten sposób potraktowałem Ziyada. Kiedy strażnicy zamykali go tydzień temu, wydierał się na cały głos, że nic nie powie. Na Allaha, prędzej gotów był nasrać królowi na wąsy, niż powiedzieć nam choć jedno słowo. Wierzył i wrzeszczał, żeby nam pokazać, jaki będzie twardy, jeśli spróbujemy go złamać. Chyba nawet bardzo mu zależało na tym, żeby ktoś go uderzył, bo wtedy czułby przyływ adrenaliny. Ale nikt go nie uderzył. Nikt nie odezwał się do niego ani jednym słowem.

- Ani słowem?

- Zgadza się. Zbywaliśmy go milczeniem. Jedyne dźwięki, jakie wypełniały jego celę, były odgłosami mojej modlitwy, jeśli właśnie nadeszła pora modlitwy. Już drugiej nocy zachowywał się niby podobnie, a jednak dużo spokojniej. Siedziałem w pokoju przesłuchań i przyglądałem mu się przez ponad godzinę. Z korytarza dolatywały przerażające wrzaski, ale to normalny objaw. Puszczamy je z taśmy. Przez jakiś czas mamrotał jeszcze pod nosem, chcąc pokazać, jaki jest wytrzymały. W końcu burknął, jak bardzo się cieszy, że zabił Karamiego, bo to był zdrajca. Kilka razy powtórzył, że się z tego cieszy. A potem znów zaczął na mnie krzyżeć. Wydierał się wniebogłosy. Ewidentnie czekał na tortury, które się opóźniały. A ja nadal milczałem jak zakłęty. Przed wyjściem jeszcze raz się pomodliłem. Ale do niego nie odezwałem się ani słowem.

- Poczul się rozczarowany. Zraniłeś jego godność.

- Masz absolutną rację, Roger. No proszę, przemawia przez ciebie arabska natura. Ziyad sądził, że jest kimś niezwykle ważnym, kto będzie bity jak bezpański pies w celu uzyskania informacji. Tymczasem my go zignorowaliśmy. Nie mógł tego zrozumieć. Jak sam

powiedziałeś, uraziło to jego godność. I kiedy dzisiejszej nocy znowu zszedłem, żeby przy nim posiedzieć, nie krzyknął już ani razu. Jak wcześniej, przez dłuższy czas milczałem, godzinę, może nawet dłużej, nie wiem. Aż w końcu zaczął mówić. Ciekawiło go, czy zamierzam go o cokolwiek zapytać. To mi podpowiedziało, że jest gotów, żeby zacząć mówić. Wręcz się prosił, żeby go wziąć na przesłuchanie.

- I co ciekawego powiedział?

- Nic, bo ja nadal nie chciałem z nim rozmawiać. Szepnąłem mu tylko na ucho, że znalazł się w bardzo poważnych kłopotach, ściągnąłem mu z głowy kaptur i pode-tnąłem pod nos zdjęcie.

- Jego matki.

- Oczywiście. „Lepiej uważaj”, szepnąłem. I wyszedłem z celi. Chciałem mu dać jeszcze jedną dobę tej pustki, żeby naprawdę zechciał się przede mną otworzyć. I teraz przysłała ta pora. Przez całą noc nie zmrużył oka. Dlatego jestem pewien, że nadszedł odpowiedni czas. Zechcesz ze mną pójść, żeby to sprawdzić?

- Tak - odparł Ferris. Doskonale wiedział, że po prostu nie ma innego wyjścia. - Jeszcze jedno.

- Słucham.

- Czy mogę się skontaktować z centralą, by przekazać, że Karami nie żyje?

- Nie. - Hani spojrzał na niego oczami tak smutnymi

jak u psa. - Obawiam się, że nie możesz. Byłoby to niestosowne.

- Dlaczego? - zdziwił się, lecz gospodarz puścił to pytanie mimo uszu.

I w tym momencie, po raz pierwszy od przyjazdu na placówkę w Jordanii, poczuł lęk przed Hanim. Był jego zakładnikiem, a nie miał najmniejszych wątpliwości, że mimo całej subtelnej zabawy słowami Arab jest zdolny własnoręcznie go zabić, jeśli uzna to za konieczne.

Gospodarz wstał zza biurka i ruszył do drzwi. Obaj doradcy błyskawicznie poderwali się z miejsc, żeby mu towarzyszyć, ale powstrzymał ich ruchem ręki. Wartownik na końcu korytarza mruknął obojętnie, gdy się zbliżyli:

- Ya sidi.

Hani skinął mu głową, po czym wystukał kod elektronicznego zamka wielkich i ciężkich drzwi. Ferris wkroczył za nim do Pałacu Upiórów.

Tuż za drzwiami znajdowała się winda bez żadnych przycisków. Hani włożył klucz do zamka i jej drzwi się rozsunęły. W środku były tylko dwa guziki oznaczone strzałkami: w górę i w dół. Była to prywatna winda szefa wywiadu, łącząca jego siedzibę z więzieniem. Dość długo zjeżdżali na dół. Ferris nie umiał osądzić, czy winda porusza się tak wolno, czy też więzienie znajduje się aż tak głęboko w skałach, w każdym razie jechali dobre pół minuty. Wreszcie drzwi się rozsunęły i jego oczom ukazał się długi, betonowy, cuchnący wilgocią korytarz. Stało w nim kilku potężnie zbudowanych Arabów, którzy wyglądali tak, jakby gotowi byli zabić każdego bez mrugnięcia okiem. Hani przyspieszył kroku, podszedł do nich i półgłosem rzucił parę arabskich słów, których Ferris nie dosłyszał. Ciarki przeszły mu po plecach. W podziemiach panował przenikliwy chłód. Można tu było zamrznąć na śmierć, jeśli było się za lekko ubranym. Hani ruchem ręki dał mu znać, żeby szedł za nim dalej korytarzem. Mniej więcej co dziesięć kroków mijali po obu stronach ciężkie żelazne drzwi z małym judaszem.

- Możesz zaglądać do środka, jeśli chcesz - rzekł gospodarz.

Ferris zerknął przez wizjer najbliższych drzwi. W celi siedział wychudzony mężczyzna w samych kalesonach, o szklistych oczach woskowej kukły. Zza drzwi doleciał odrażający smród ludzkich odchodów i moczu.

- To akurat bardzo trudny przypadek - wyjaśnił Hani. - Ale i on się w końcu złamie.

Ferris stracił ochotę na zaglądnienie do następnych cel. Nie należał do ludzi zbyt sentymentalnych i wiedział, czego potrafią dokonać Amerykanie i ich sprzymierzeńcy, jeśli

chcą komuś docisnąć śrubę. W porównaniu z nimi Hani sprawiał wrażenie łagodnego baranka. Ale Ferris za nic nie chciałby się znaleźć na miejscu tych więźniów. Dotarli do przecięcia korytarzy, z których każdy ciągnął się przez dobre sto metrów, a na końcu widać było następne skrzyżowanie. Jezu, chyba z połowę mieszkańców tego kraju można by tu pomieścić za kratami, pomyślał Ferris.

- To tutaj - rzekł Jordańczyk, skręcając w lewo na trzecim skrzyżowaniu.

Wzdłuż tego korytarza nie było cel, tylko niewielkie pomieszczenia, najwyraźniej pokoje przesłuchań. Gdzieś z oddali doleciał stłumiony krzyk człowieka. Przeciął nagle ciszę niczym gwałtowny wyraz bólu i męki, jakby oprawcy złamali komuś kość, po czym ją jeszcze przybierać na sile, jak gdyby sadysta wyginał kończynę ofiary w miejscu złamania. Ferris nie umiał ocenić, czy to rzeczywisty dowód cierpienia, czy tylko odgłos puszczonej z taśmy. Na chwilę zapadła cisza, po czym znów rozległ się przejmujący wrzask, a następnie ofiara zaczęła błagać po arabsku o litość.

Hani otworzył któreś drzwi i dał znać Ferrisowi, żeby usiadł. Krzesło stało na wprost półprzepuszczalnego lustra, przez które widać było pokój przesłuchań jaskrawo oświetlony jarzeniówkami, wyposażony w biurko i dwa krzesła. W ścianie pod lustrem był umieszczony głośnik przekazujący słowa, które padały w sąsiednim pomieszczeniu.

- Dobrze, że znasz arabski - rzekł Hani. - Nie sądzę, żeby jakiś tłumacz dał radę na żywo przekładać zeznania na angielski.

Zostawił Ferrisa samego i po paru sekundach pojawił się za lustrem, przesunął krzesło w kąt pod ścianę, jak najdalej od biurka i drugiego krzesła. Chwilę później otworzyły się drzwi w przeciwległej ścianie i dwóch strażników wprowadziło więźnia. Był zarośnięty i wyczerpany z powodu braku snu, ale poza tym chyba nic mu nie dolegało. Strażnicy posadzili go na krzesło, przykuli mu ręce i nogi do żelaznej ramy, po czym wyszli. Arab z żalną miną obejrzał się na Haniego.

Ferris miał nadzieję, że szef wywiadu od razu zacznie mówić, ten jednak milczał.

- Czego ode mnie chcecie? - zapytał w końcu więzień. Po paru sekundach powtórzył to pytanie piskliwym głosem, ale Hani ciągle milczał.

Minęło kilka minut. Wreszcie więzień uniósł głowę i zerknął z ukosa na szefa wywiadu. Po policzkach stoczyły mu się dwie grube łzy. Tłumiąc w gardle szloch, zapytał błagalnie:

- Czego chcecie?

Tym razem Jordańczyk się odezwał. Miękkim, łagodnym tonem, kontrastującym z wrzaskami dobiegającymi z korytarza, zapytał:

- Powiedz mi, Ziyad, dlaczego zabiłeś Mustafę Kara-miego?

- Bo był zdrajcą - padła odpowiedź. - Był zdrajcą. Był zdrajcą.

Hani znowu pozwolił, żeby napięta cisza przyniosła skutek. Odbierało się ją tutaj niczym ucisk w skroniach, gdy zanurkowało się zbyt głęboko pod wodę. Mniej więcej po dziesięciu minutach zdesperowany Ziyad odezwał się ponownie:

- Proszę. Mówię prawdę. Mustafa Karami był zdrajcą.

- Nie wyjaśniłeś, Ziyad, skąd wiedziałeś, że Mustafa jest zdrajcą? - Pytanie szefa wywiadu zabrzmiało niczym jawna drwina.

- Pan się ze mną drażni. Przecież dobrze wiecie!

- Wcale się nie drażnię. Chcę znać prawdę.

- Współpracował z Amerykanami. Był zdrajcą, współpracował z Amerykanami.

Hani zamyślił się głęboko, jakby chciał dobrze zapamiętać te słowa.

- Skąd możesz być tego pewien? - spytał cicho, ale natarczywym tonem, przed którym nie było ucieczki.

- Przecież zna pan odpowiedź. Wszystko wiecie. Wszystko.

- Oczywiście, że wiemy, ale akurat to chciałbym usłyszeć od ciebie. Jesteś ważnym człowiekiem. Takie rzeczy chcę usłyszeć od prawego człowieka, którego szanuję. Od ciebie.

- Dziękuję, sidi. Byliśmy pewni, że zdradził, bo utrzymywał kontakt z ich agentem, Husseinem Al-Amarem, który pracuje dla Amerykanów w Indonezji. Tak się dowiedzieliśmy, że Karami też musi pracować dla Amerykanów.

- Aha, dla Amerykanów. - Oczywiście zdawały się miotać błyski wściekłości. - Ale jak wy się o tym przekonaliście?

- Dowodem zdrady było to, że Karami kontaktował się z Amarem. Na początku było odwrotnie, to Amary dzwonił do Karamiego. Ten nawet rozpytywał wśród nas o niego. Kim jest ten Hussein Al-Amary? Dlaczego do mnie wydzwaniasz? Ale później dowiedzieliśmy się, że Karami zaczął sam dzwonić do Amary'ego. Mówił, że chciał pomóc Amary'emu w podróży do Europy, żeby mógł nawiązać z nami kontakt. A potem zaczął rozpytywać o jakiegoś Sulejmana. Wtedy stało się jasne, że wy i Amerykanie próbujecie umieścić swego człowieka w naszej siatce. Chcieliście nas oszukać. Wykorzystywaliście Karamiego do umieszczenia wtyczki w naszych najtajniejszych strukturach. I stało się jasne, że Karamiemu nie można dłużej ufać. Zaczął pracować dla Amerykanów.

I dla was.

Hani wbijał nieruchome spojrzenie w więźnia. Łatwo było rozpoznać, z jakim trudem zachowuje spokój.

- Dlaczego nie zabiłeś Al-Amary'ego? - zapytał.

- Próbowaliśmy, ale nie udało nam się go znaleźć. Zniknął bez śladu. Amerykanie są sprytni. Ukryli go. Są bardzo sprytni. Ale to pomiot szatana, Bóg ich pokarze.

Hani zerknął na półprzepuszczalne lustro, w to miejsce, gdzie po drugiej stronie siedział Ferris.

- Tak - odparł cicho. - Amerykanie są bardzo sprytni. Wstał i wyszedł z pokoju. W każdym jego ruchu czaiła

się skryta groźba, poruszał się sprężystym krokiem, niczym bokser zmierzający na ring.

Otworzył drzwi, wszedł do sąsiedniego pomieszczenia i stanął przed Ferrisem. Ten, dostrzegłszy zaciśnięte pięści Araba, pomyślał, że może zostać zastrzelony na miejscu.

Okazało się jednak, że nie jest to oznaka chęci użycia przemocy, lecz jedynie przejaw walki o panowanie nad sobą.

- Nie chcę już nigdy więcej słyszeć od ciebie ani słowa - syknął Hani lekko roztrzęsionym głosem. - Mieliśmy doskonały plan wykorzystania Karamiego. Mogliśmy zrobić z niego cennego agenta, z korzyścią dla obu naszych krajów. Może zdołałby nas doprowadzić tam, gdzie obaj chcielibyśmy dotrzeć. Ale go straciliśmy, z powodu waszej głupoty i zakłamania. Przeszył Ferrisa ostrym spojrzeniem, jakby nie mógł wyjść z szoku. Najwyraźniej nie potrafił sobie wytłumaczyć, jak Amerykanie mogli postąpić tak głupio. Wreszcie pokręcił głową. Sprawa była zakończona. Odwrócił się do wyjścia, ale przed drzwiami jeszcze przystanął i obejrzał się na Ferrisa.

- Już wiem, co było twoim zadaniem. W arabskim jest na to odpowiednie słowo, ta'ayya. Pochodzi jeszcze z czasów Proroka. Oznacza kłamstwo, którego celem jest ratowanie siebie przed niewiernymi. Kiedy ma się przeciwko sobie ignorantów, można im kłamać do woli. To właśnie zastosowaliście z Edem Hoffmanem, żeby wyprowadzić mnie w pole. To była ta'ayya. Popełniliście jednak bardzo duży błąd.

- Przykro mi - bąknął Ferris.

- Powiedziałem, że nie chcę słyszeć więcej ani jednego słowa, panie Ferris. Jeśli jeszcze raz odezwie się pan do mnie, zabiję pana. - Odwrócił się na pięcie i wyszedł, zostawiając go samego w głębi lochów wykutych w skale.

Ferris popatrzył przez półprzepuszczalne lustro, jak strażnicy zdejmują okowy mocujące nogi i ręce Ziyada do żelaznej ramy krzesła i wyprowadzają go z pokoju przesłuchań. Teraz, kiedy już się załamał, mieli wydobyć z niego informacje o każdym nawiązanym kontakcie, nawet o każdym miejscu, w którym się załatwiał, ale zachować je w tajemnicy przed Amerykanami. Ferris czekał cierpliwie, zachodząc w głowę, czy ktoś w końcu po niego przyjdzie, czy też zostawia go tu, żeby zgnił w którejś celi głęboko pod ziemią. Zastanawiał się nawet, czy nie poprosić o pomoc, uznał jednak, że nie jest to najlepszy pomysł.

W końcu przyszło po niego dwóch żołnierzy, tych samych, którzy byli jego eskortą od wejścia. Teraz poprowadzili go w przeciwnym kierunku, wąskimi korytarzami, słabo oświetlonymi, brudnymi i cuchnącymi odchodami. Zza kilku drzwi mijanych cel doleciały jęki i stłumione krzyki, czy to ludzi cierpiących, czy też przebywających w lochach od tak dawna, że odebrało im rozum.

Dotarli w końcu do starej windy bez ścian, tylko z żelazną barierką, tak wielkiej, że pomieściłaby chyba stado bydła. Ferris uświadomił sobie, że to winda do transportu więźniów. Ona też cuchnęła odchodami ludzi, którzy robili w gacie ze strachu, chociaż nie dotarli jeszcze do tej istnej krainy śmierci. Jechała w górę bardzo wolno, podzwaniając metalicznie. Kiedy stanęła, wyszli do zaśmieconych i równie cuchnących pomieszczeń, oświetlonych mętnym żółtawym blaskiem jarzeniówek, w którym nieliczni spotykani ludzie przypominali upiory. Wartownicy doprowadzili go do żelaznych drzwi zamykanych na masywną sztabę. Jakiś więzień prowadzony korytarzem zaczął błagać Ferrisa o ratunek, mając nadzieję, że obcokrajowiec zdoła mu pomóc. Otworzył z trudem ciężkie drzwi, wartownik lekkim kuksańcem pchnął go do przodu. Otoczyła go nieprzenikniona ciemność, na bezgwiezdnym niebie nie było nawet śladu księżyca.

Jego samochód terenowy stał zaparkowany po drugiej stronie ulicy. Wsiadł i przekręcił kluczyk w stacyjce, oba-

wiając się, że może uruchomić jednocześnie zapłon podłożonej bomby. Ale takie działania nie były w stylu Haniego. Ferris wrócił do ambasady, skąd specjalną szyfrowaną linią wysłał depeszę do Hoffmana, a po godzinie zamienił z nim parę słów przez telefon. Szef wydziału sprawiał wrażenie zdenerwowanego nowinami, ale nie wyraził skruchy.

Następnego ranka Ferris odleciał do Waszyngtonu. Wcześniej, w drodze na lotnisko, wstąpił do mieszkania Alice i zbudził ją.

- Co się stało, kochany? - zapytała. Zwrócił uwagę, że po raz pierwszy zwróciła się do niego w ten sposób.

- Drobne kłopoty w pracy. Chcą mnie widzieć w centrali, mam się spotkać z kilkoma pracownikami Departamentu Stanu.

- To poważne kłopoty? Stało się coś strasznego, prawda? Widzę to po twojej minie.

Popatrzył na kilka pasemek blond włosów, które opadły na jej zaspaną twarz.

- Nic złego się nie stało. W każdym razie nic, co miałoby jakieś znaczenie. Po prostu muszę uporządkować kilka spraw. No i rozmówić się z żoną.

Przytaknęła ruchem głowy.

- Kiedy wracasz?

Po jego twarzy przemknął drobny skurcz. W zakłopotaniu przeniósł cały ciężar ciała na zdrową nogę. Nie miał pojęcia, kiedy wróci. Niewykluczone, że w ogóle miał już się tu nie pojawić, jeśli Hani zamierzał poważnie traktować swoją groźbę.

- Najszybciej, jak tylko będę mógł - odparł. - Zadzwoń do ciebie ze Stanów przy pierwszej sposobności. Dobrze?

- Oczywiście. Jeśli naprawdę zamierzasz tu wrócić.

Nie odpowiedział od razu. Doświadczenie podpowiadało mu, że jakiegokolwiek solenne zapewnienia padają zazwyczaj tylko wtedy, gdy istnieją wątpliwości co do zaangażowania

którejs z stron. Przypomniawszy sobie, co na początku spotkania usłyszał od Haniego: wszelkie dodatkowe słowa tylko nasilają poczucie nieszczerości.

- Na pewno nie chcę cię zostawiać - rzekł w końcu, starając się w każdym słowie zawrzeć to, co do niej czuje.

- Och, Roger... - Pokręciła głową, a w jej oczach niespodziewanie zabłyśły łzy. - Obiecuj mi coś. Jeśli uznasz, że nie chcesz się ze mną wiązać na poważnie, natychmiast mi o tym powiedz. Nie chcę przeżywać rozterek. Ułożyłam tu sobie życie, które daje mi wiele radości i zadowolenia, dlatego nie chciałabym znów być nieszczęśliwa.

- Nigdy bym cię nie skrzywdził - powiedział stanowczo.

Jeszcze raz przytaknęła ruchem głowy i szybko się odwróciła. Spoglądając na jej przygarbione plecy, kiedy odchodziła, pomyślała: Właśnie tak się to odczuwa. Ta dokuczliwa bezradność to właśnie przejaw miłości.

Langley I Waszyngton

W trakcie przelotu dowiedział się o eksplozji samochodu--pułapki we Frankfurcie. Podczas międzylądowania w Londynie skontaktował się telefonicznie z oficerem dyżurnym wydziału bliskowschodniego i zapytał, czy w tej sytuacji nie powinien wracać do Jordanii. W odpowiedzi usłyszał, że nie, Hoffman i tak chce go widzieć w Waszyngtonie. Nawet po minach pasażerów na Heathrow

widać było, jak bardzo ludzie są zaniepokojeni. Gromadzili się przed telewizorami w hali lotniska, żeby poznać najnowsze wiadomości. Ze względów bezpieczeństwa odwołano nawet kilka lotów.

Z Londynu zadzwonił też do Alice. Nie dotarły jeszcze do niej wieści o zamachu we Frankfurcie. Ale kiedy nakazał jej zachować szczególną ostrożność, zaśmiała się w głos.

- Ja? To ty bądź ostrożny. To nie ja się przyczyniam do powstawania kłopotów.

Skwitował to śmiechem, ale zakłuło go w sercu. Miał wielką ochotę znów znaleźć się przy niej. Od początku małżeństwa z Gretchen ani razu nie czuł tak przemożnej ochoty ukrycia się razem z nią przed całym światem. Bo to ona była tym światem, twardo stąpała po ziemi, mocno trzymając się rzeczywistości. W porównaniu z nią Alice była jakby z innego wymiaru, wciąż stanowiącego dla Ferrisa tajemnicę, ale będącego już przedmiotem pożądania i tęsknoty.

Przelet z Londynu do Waszyngtonu spędził na rozmyślaniach. Znowu tracili grunt pod nogami. Nie udało się wykorzystać ani jednej z tych kilku wątpliwych okazji przeniknięcia w szeregi przeciwnika. Pod tym względem mógł się śmiało stawiać na równi z Hoffmanem. Zachłanność i niecierpliwość sprawiły, że utracił możliwość złapania kontaktu z wrogiem. Z tego względu perspektywa powrotu do centrali CIA działała na niego przygnębiająco. I wcale nie chodziło o odpychające, wyłożone grubym linoleum pomieszczenia urządzone w staroświeckim „modernistycznym” stylu lat sześćdziesiątych, ale o specyficzną atmosferę cywilnej służby państwowej, wypełniającą każdy kąt niczym sucha zgnilizna. Już od pierwszych dni służby w agencji stykał się na każdym kroku z bełkotliwą, niemalże partyjniacką retoryką patriotyczną. Wcześniej uważał, że Firma nie powinna w niczym przypominać zbiurokraty-zowanej korporacji „Czas, sp. z o.o.”, ale bardzo się mylił. Było znacznie gorzej. Dominowała tu filozofia tak gruntownego okłamywania siebie nawzajem, że ludzie całkiem zatracili zdolność odróżniania, co jest rzeczywiste, a co urojone. Porażki w ogóle nie wchodziły w rachubę, toteż -przynajmniej z punktu widzenia agencji - nigdy nie popełniała ona żadnych błędów. Rej wodzili ludzie głęboko wierzący w tezy swoich własnych prezentacji seminaryjnych.

Ferris zabrał ze sobą książkę z biblioteki British Council i z przyjemnością przeczytał ją w czasie podróży. Brytyjczycy mieli na koncie gigantyczną fuszerkę, która nieomal doprowadziła do totalnej katastrofy podczas panicznej ewakuacji Dunkierki w 1939 roku. W

porę uświadomili sobie jednak, że na szali spoczywa byt całego państwa, i potrafili się zdobyć na bezwzględność mimo swej wrodzonej natury specjalistów od strzyżenia żywoptłów. Nagle flegmatyczni szachiści i salonowi ekscentrycy okazali się nieustraszonymi zabójcami. Właśnie tego typu przesłania w historycznych opracowaniach wywiadowczych Ferrisowi najbardziej się podobały. Stanąwszy oko w oko z wrogiem, którego nie dało się pokonać w otwartym polu, Brytyjczycy znaleźli inne sposoby. Podnieśli kłamstwo do rangi elementu uzbrojenia. Nie tylko wykradli przeciwnikowi maszynę szyfrującą Enigma, ale jeszcze zaangażowali swoje najtęższe umysły do złamania zasad jej działania. Schwytanych niemieckich szpiegów przekształcali w podwójnych agentów, tworząc tak misterną i przekonującą sieć kłamstw, że Niemcy we wszystko wierzyli. Świadomi, że nie mają żadnych szans na zwycięstwo, dopóki Stany Zjednoczone nie przystąpią do wojny, wprowadzili w życie tajny plan niszczenia tendencji izolacjonistycznych w Ameryce, metodą oszustw i plotek wyprowadzając w pole tych kongresmanów, którzy byli im przeciwni. Utrzymywali przy życiu swój obiegowy wizerunek genialnych, lecz lekkomyślnych arystokratów, póki nie dotarli z nim aż do Berlina. Kłamstwo po kłamstwie, dzień po dniu, wytrwale realizowali swój plan.

Ferrisowi szczególnie przypadł do gustu rozdział opisujący konkretne, najbardziej zuchwałe przypadki podstępów Brytyjczyków, lecz pograżając się w dalszej lekturze, powędrował na krótko myślami w stronę swojego przeciwnika. Nie znał jeszcze wizerunku, który można by kojarzyć z imieniem Sulejmana, toteż widział w wyobraźni sylwetkę człowieka z ciemną plamą zamiast twarzy. Ale nieodmiennie towarzyszył mu huk eksplozji z Rotterdamu, Mediolanu i Frankfurtu, a wkrótce, w co nie wątpił, dojdzie do tego także Pittsburgh czy San Diego. Dotychczasowe niepowodzenia na drodze do zniszczenia Sulejmana nie były jednak klęskami agencji, tylko jego własnymi. Na początku roku w Iraku zdołał ledwie odkryć za pośrednictwem Nizara jeden z korzeni terrorystycznej siatki. A w Berlinie u boku Haniego zdołał dotknąć jedno z rozgałęzień pędów. Słuchając Hoffmana, nabrał przekonania, że faktycznie łatwo będzie wbić próbnik w odsłonięty bok wrogiej organizacji i często oddawał się marzeniom, że uda mu się wywabić przeciwnika z jego kryjówki w Ammanie. Ale jak dotąd, skutecznie utracił tych kilka niepewnych punktów zaczepienia, jakie wcześniej złapali. A w Europie nadal wybuchały bomby.

Znaleźli się w punkcie wyjścia, a czas naglił. Zamach we Frankfurcie mógł spowodować powszechną panikę. Wybuch w stolicy europejskiej finansjery był nadzwyczaj bezczelnym posunięciem. Świadczył też wyraźnie, że mają do czynienia z siatką tak doskonale zorganizowaną i tak umiejętnie zamaskowaną, że CIA oraz jej sprzymierzeńcy nie wiedzą nawet, gdzie szukać. Samochody-pułapki zda-
wały się głośić: utraciliście tarczę, jesteście bezbronni wobec nieprzyjaciół.

W otepieniu spowodowanym długą podróżą zaczął rozmyślać o wspomnianym przez Haniego kłamstwie koniecznym, określanym słowem taajyya. W tekstach islamskich, które czytał jeszcze podczas studiów na Uniwersytecie Columbia, termin ten był zwykle używany przez szyitów, którzy dopuszczali zatajanie swojego wyznania, jeśli miało to służyć umknieniu zagrożenia. W istocie był to jeden z powodów, dla których sunnici zaczęli ich traktować jak notorycznych kłamców. Ale słowo to miało głębsze znaczenie, sięgające aż do Koranu. Padało w opisie towarzysza Proroka, niejakiego Ammara Bin Yasira, który z całą rodziną został uwięziony w Mekce po ucieczce Proroka do Medyny, zapoczątkowując hijrę. Rodzice Ammara, torturowani, w końcu zginęli za swe przywiązanie do islamu. On sam natomiast wykazał się sprytem, gdyż oszukał niewiernych, udając, że nadal czei ich bóstwa, po czym także uciekł do Medyny i dołączył do Mahometa. Kiedy zapytał Proroka, czy dobrze zrobił, uciekając się do oszustwa, Mahomet zapewnił go, że dobrze spełnił swój obowiązek. Ammar ukrył prawdę za wysokim murem kłamstw, podobnie jak uczynili to Brytyjczycy wiele wieków później. Odnosił się do niewiernych z pogardą, na jaką w pełni sobie zasłużyli. Był w

samym sercu ich obozowiska, ale wyprowadził wrogów w pole, żeby podjąć z nimi walkę następnego dnia.

W czasach Proroka podstęp był kluczem do przetrwania. Inna przypowieść mówiła o przywódcy arabskiego plemienia, który brał udział w spisku, mającym na celu zabicie Mahometa. Prorok zapowiedział swoim towarzyszom, że słabością spiskowców okaże się próżność. Kiedy więc doszło do spotkania, towarzysze Proroka jęli zasypywać szejka komplementami dotyczącymi wspaniałych perfum, prosząc, żeby zechciał podejść nieco bliżej, by mogli lepiej poznać cudowny zapach, i jeszcze trochę bliżej... aż w końcu bez wysiłku odrąbali głowę próżnego przywódcy. Ta historia ilustrowała odwieczną prawdę dotyczącą walki. Stając przed trudnym przeciwnikiem, czasem dobrze sięgnąć po sekretną broń, wykorzystać jego arogancję, przywabić go bliżej, żeby wciągnąć w pułapkę. Potem już wystarczy odpowiedni nacisk w odpowiednim miejscu, by każda konstrukcja mogła się zawalić.

Przez cały czas trzymał na kolanach otwartą książkę o wywiadzie brytyjskim, toteż ze zdwojoną uwagą wrócił do przerwanej lektury. Opisywane operacje bardziej przypominały teatr niż działania wojenne. W roku 1943 Brytyjczycy znów zastosowali podstęp, by przekonać Niemców, że szykują inwazję w Grecji, gdy tymczasem trwały przygotowania do lądowania na Sycylii. Stworzyli tak doskonałą iluzję, że Niemcy wręcz rzucili się na nią łapczywie, sądząc, iż weszli w posiadanie wielkiej tajemnicy. Za późno się spostrzegli, że zostali wyprowadzeni w pole. Podstęp się udał.

Całkiem rozbudzony, ustawił oparcie fotela w pozycji pionowej, poprosił stewarda o mocną czarną kawę i zaczął robić notatki. Nim podeszli do lądowania na lotnisku Dulle-sa, w jego głowie rysował się już dość klarowny plan akcji.

Kiedy wszedł do gabinetu szefa, Hoffman siedział z zasepioną miną przy biurku. Wyglądał okropnie. Czerstwa zwykle cera miała odcień ziemisty, a mocno podkrążone oczy świadczyły o niedoborze snu i nadmiarze alkoholu. Nawet krótko ostrzyżone włosy sprawiały wrażenie osłabionych. W każdym razie ani trochę nie przypominał wywiadowczego potentata, raczej nałogowego hazardzistę, który właśnie stracił wszystkie pieniądze. Jego zastępca siedzący przy stole konferencyjnym pochylał się nad grubą teczką z papierami, lecz kiedy pojawił się Ferris, dowódca wydziału kazał tamtemu wyjść i zamknąć drzwi.

Przemówił gardłowym, zachrypniętym głosem, wbijając wzrok w swoje biurko, jakby się bał spojrzeć Ferrisowi w oczy.

- Mógłbym przeprosić, ale byłaby to dęta lipa. Na pewno powinienem był cię przestrzec, że możesz się znaleźć w gównie po uszy z powodu tego Mustafy Karamiego. To był mój błąd. Ferris uniósł brwi ze zdziwienia.

- Jak mam to rozumieć? Wiedziałaś wcześniej, że Karami nie żyje? Jeszcze przed moim spotkaniem z Hanim?

- Tak. Dowiedziałem się o tym od Hiszpanów mniej więcej w tym samym czasie, co Jordańczycy. Dzięki temu mogliśmy wyciągnąć Amary'ego z niebezpieczeństwa. Wiedzieliśmy, co się święci.

- Cholera. Wiesz co, Ed? Masz rację. Powinieneś był mnie uprzedzić. Więc czemu tego nie zrobiłeś? - Ferris poczuł przyływ wściekłości. Dotąd był przeświadczony, że nie może już być gorzej, a jednak się mylił.

- Bo zaraz byś się wygadał przed Jordańczykami. Tylko nie bierz tego do siebie. Ja na twoim miejscu też bym się przed nimi wygadał. Woląłem nie ryzykować. I nie rób takiej kwaśnej miny. Powiedziałem przecież, że jest mi przykro.

- Jeśli dobrze pamiętam, Ed, oświadczyłeś, że przeprosiny byłyby dęta lipą. Zresztą to nie ma znaczenia.

- Dlaczego? Wszystko ma znaczenie.

- Bo Hani nie chce już ze mną więcej rozmawiać. Naprawdę się bałem, że mnie zabije, kiedy się dowiedział, co mu zrobiliśmy. Niemalże wpadł w szal. Jestem u niego spalony.

- To wcale nie takie pewne. Bardzo cię polubił. Poza tym i tak jesteś o niebo lepszy niż ktokolwiek inny, kogo moglibyśmy posłać na twoje miejsce. Może zmieni zdanie. A gwoli ścisłości, przepraszam. - Hoffman podniósł głowę, spojrzął na niego zaczerwienionymi oczami, posłał mu całusa i wyciągnął rękę.

Ferris zaśmiał się wbrew sobie. Dziwnie krzepiąco podziałała na niego świadomość, że mimo haska operacji szef wydziału wciąż potrafi reagować po ludzku. Uznał więc, że nie ma co się dalej na niego dąsać.

- Myślisz, że w ogóle wpuszczą mnie z powrotem do Jordanii? - zapytał, dodając w myślach: Do Alice?

- Nie jest to całkiem wykluczone. Poczekamy, zobaczymy.

- Hani wart jest każdego wysiłku, Ed, trzeba spróbować go udobruchać. Pewnie nie muszę ci tego mówić, ale widziałem, jak prostym sposobem złamał zabójcę Karamiego. Nie mogłem uwierzyć własnym oczom. Tamten zaczął gadać z własnej woli, o samej akcji, o tym, jak się dowiedzieli, że Amary jest naszym człowiekiem, podczas gdy Hani nie tknął go nawet palcem. Jest naprawdę bardzo dobry.

- Tak, wiem. To arcymistrz. A myśmy podłożyli mu świnię. I tak dalej, i tak dalej. Przykro mi, że akurat na tobie skrupiła się jego złość. Wierzę, że nie było ci do śmiechu. Zadzwoił i nawrzeszczał na mnie, wyzywał mnie od najgorszych. Odparłem, żeby się uspokoił, bo na wojnie zdarza się niekiedy i to, że ktoś ginie od kul sprzymierzeńców. Trzeba się z tym pogodzić.

- I uspokoił się?

- Niezupełnie. Ale przestał wrzeszczeć. Poprosiłem, żeby przyjął cię z powrotem, ale wędrował myślami gdzieś

daleko, jakby nagle przeniósł się do innego świata. Co do niego niepodobne, długo zastanawiał się nad każdym słowem. Ale dojdzie do siebie. To zawodowiec.

Ferris popatrzył na szefa, zastanawiając się, czy w ogóle ciągnąć jeszcze ten temat. W końcu jednak zaczął:

- Jeśli mam być szczery, to mnie właśnie martwi. Hani jest zawodowcem. Włożył wiele czasu i wysiłku w przygotowanie tej operacji. Zastawił zgrabną pułapkę i przeciągnął obiekt na swoją stronę. Równocześnie między nami, to znaczy mną i nim, zaczęła się tworzyć nic porozumienia. Codzienne kontakty z Arabami nauczyły mnie jednego. U nich jest albo wszystko, albo nic, pełne zaufanie albo obcość. Zerwaliśmy to porozumienie i teraz... nie mamy nic - zawiesił głos.

Hoffman przeciągnął dłońmi po twarzy i przetarł podkrążone oczy. Po dłuższej chwili odparł nieco poirytowany:

- W porządku. Wpuściliśmy człowieka w maliny. Działaliśmy w dobrej wierze, ale i ja na miejscu Haniego byłbym wściekły. Na twoim zresztą też. Masz uzasadnione obawy i podzieliłeś się nimi ze mną. Więc skończmy wreszcie z tą sprawą.

Podniósł się szybko, przez chwilę stał lekko pochylony nad biurkiem, aż nagle huknął w nie pięścią.

- Ale nie jestem Hanim, do jasnej cholery! I nie jestem tobą! Jestem sobą i mam wiele innych obowiązków. Dlatego nie zamierzam pograżać się w wyrzutach sumienia tylko dlatego, że sknoić jedną piłkę. Na miłość boską, wojna trwa nadal. Ci kretyni prawie codziennie podkładają nową bombę, a my się kręcimy wokół własnego ogona. Równolegle jest prowadzonych wiele innych operacji, o których nie masz bladego pojęcia. I wiesz co? Także nie przynoszą żadnych rezultatów. Podczas dzisiejszej narady prezydent zapytał dyrektora, czy całe CIA wzięło jedno-

częście urlop. Matko Boska... - syknął pod nosem i pokręcił głową. - Ci ludzie chcą nas wybić do nogi, a my nie wiemy, jak ich powstrzymać. W przygotowanie prowokacji z Amarym włożyłem nie mniej czasu i wysiłku niż Hani w swoją operację, i też nic z tego nie wyszło. Dlatego, za twoim łaskawym przyzwoleniem, wolałbym zająć się własnymi sprawami, niż zamartwiać o rozszluszczonych jor-dańskich przyjaciół.

W gabinecie zapadła napięta cisza. Ferris oczekiwał, że posypią się na niego dalsze gromy, ale Hoffman zamilkł na dobre z zasepioną miną. Doskwierała mu świadomość, że przegrywa. Bo w tej bitwie wyraźnie przegrywali. Miał też rację, że kończy im się repertuar dostępnych sztuczek. Mogli tylko czekać bezsilnie na kolejny zamach, licząc na to, że zdołają dopaść kogoś z organizatorów i choćby torturami wymusić zeznania w samą porę, by udaremnić kolejną eksplozję. Ale nie była to żadna strategia, tylko odwlekanie nieuchronnego końca. Hoffman wciąż milczał i Ferris uświadomił sobie nagle, że szef czeka na jakąś sugestię. Toteż w myślach przejrzał jeszcze raz ów pomysł, który zrodził się w jego głowie podczas długiego lotu do Waszyngtonu. Z pamięci wypłynęło mu określenie przywołane przez Haniego: taaiyya. Jeśli prawda nie skutkuje, trzeba się uciec do kłamstwa. Kiedy przegrywa się na jednym polu bitwy, trzeba stworzyć inne.

- Mam pewien pomysł - zaczął ostrożnie, wsłuchując się, jak jego słowa grzęzną w napiętej ciszy. - Może i zwariowany, ale chyba realny.

- Co powiedziałeś? - zapytał Hoffman, nienawykły do tego, żeby jego podwładni występowali z propozycjami zorganizowania operacji terenowej.

- Powiedziałem, że mam pomysł, który przyszedł mi do głowy w samolocie. Już wcześniej się nad nim zastanawiałem, ale wydawał mi się niedorzeczny. Teraz sytuacja się zmieniła. Chce go pan poznać?

- Pewnie. Co mamy do stracenia? No, jeśli nie liczyć całego cholernego kraju.

- Dobra. Prawda jest taka, że musimy dopaść Sulejmana, bo w przeciwnym razie pożre nas żywcem. Na pierwszy rzut oka widać, że jesteśmy w rozsypce. Koniecznie musimy się pozbierać. Mam rację?

- Bez dwóch zdań. Co to za pomysł?

- Przypomniało mi go coś, co usłyszałem od Haniego tuż przed wyjazdem, już na samym końcu spotkania, zanim dodał, że nie chce więcej słyszeć ode mnie ani słowa. Przywołał wtedy stare arabskie określenie: taaiyya. To kłamstwo, które służy osiągnięciu zamierzonego celu. Przyszło mi więc do głowy, że powinniśmy się posłużyć kłamstwem. Niechby Sulejman uwierzył, że osiągnęliśmy już swoje i mamy człowieka w jego namiocie. Bo niby skąd może być pewien, że wszystkie nasze próby spaliły na panewce? Niech nabierze przeświadczenia, że nasz agent sypia pod jego łóżkiem i tylko czeka na dogodny moment. W gruncie rzeczy chodzi tylko o to, byśmy udawali, że złapaliśmy go za jaja, i czekali, aż strach zrobi swoje. Brzmi to sensownie?

- Niewykluczone - bąknął szef wydziału. - Gdybym jeszcze wiedział, co konkretnie masz na myśli...

- Chodzi mi o sprytny podstęp. Taaiyya to jedyny sposób na przeniknięcie do siatki Sulejmana. Próbowaliśmy różnych metod, ale żadna nie przyniosła efektu. Możemy próbować dalej. Porozmieszczać swoich ludzi we wszystkich salafistycznych meczetach na świecie i cierpliwie czekać, aż ktoś się złapie na przynętę. Może w końcu coś z tego wyjdzie. Ale nie ma czasu. A skoro nie ma czasu na zwerbowa-
nie zaufanego agenta, spróbujmy udawać, że udało nam się takiego zwerbować. Stwórzmy agenta wirtualnego. Zamiast dalej próbować fizycznie przeniknąć w szeregi Al-Kaidy, przeniknijmy do niej wirtualnie. Jeśli nie mamy w ręku atutów, spróbujmy udawać, że je mamy. Zablefujmy. Utwierdźmy przeciwnika w przekonaniu, że przeniknęliśmy do jego siatki, że mamy w niej informatora. Do diabła, gdyby zaszła taka konieczność, tą samą metodą można by zasugerować członkom organizacji, że skradliśmy kamień Kabaa, czyli

zwerbowałem samego Sulejmana. Metodą prowokacji można zasugerować przeciwnikowi niemal wszystko. Jeśli dobrze to rozegramy, powinno się udać.

Hoffman uśmiechnął się szeroko i pokręcił głową. Wyraźnie się rozchmurzył.

- Wiesz co? Będę musiał zrewidować swoją opinię o tobie. Nawet nie podejrzewałem, że jesteś aż tak przebiegły. To sytuuje cię w całkiem nowej kategorii w księdze Ed-diego.

- Po prostu jestem zdesperowany. Tak samo jak ty.

- To prawda. Więc jak konkretnie zamierzasz przystąpić do tego mydlenia oczu? Oczywiście zakładając, że się na to zgodzę.

- Właśnie nad tym rozmyślałem w samolocie. Czytałem książkę o podstępach stosowanych przez wywiad brytyjski w czasie drugiej wojny światowej, kiedy naprawdę desperacko potrzebowali każdego sposobu na wyprowadzenie Niemców w pole. Przyszło mi wtedy do głowy, że i my moglibyśmy zagrać w tę samą grę.

- W porządku, panie Peabody. Co to za książka?

- Człowiek, którego nie było.

Hoffman zamknął oczy i pogrążył się w zadumie. Od razu sobie przypomniał: podrzucone zwłoki, spreparowane dokumenty, sztafaż kłamstw. Podszedł do regału i szybko odnalazł podniszczony egzemplarz książki wymienionej przez Ferrisa.

- Operacja „Miazgownica”, bo chyba tak Brytyjczycy ogólnie nazywali tego typu działania, zgadza się? Chyba ogarnia mnie starcza skleroza, skoro sam na to nie wpadłem.

- Na to wygląda.

- Wiesz co? Naprawdę cię lubię, Ferris. Jak mało kto potrafisz podnieść człowieka na duchu.

- Dziękuję za uznanie.

- Żeby wszystko zorganizować jak trzeba, będę musiał włączyć cię do całkiem nowej komórki. Mam już grupę ludzi zajmujących się dość nietypowymi zleceniami. Zamierzałem cię do niej wciągnąć, kiedy zostałeś ranny, lecz w ogóle nie chciałeś słuchać. Możemy nadal zostawić ci otwartą ścieżkę na wypadek, gdybyś nie miał dokąd wracać, ale na twoim miejscu nie poddawałbym się tak szybko. Nie należy zanadto ufać regułom pracy wywiadowczej, jakie wbijają do głowy na Farmie. Więc co, gotów jesteś wprowadzić swój plan w życie? Ferris nie namyślał się ani chwili, jak to zwykle bywa z decyzjami, które mogą diametralnie odmienić życie człowieka.

- Musimy dopaść Sulejmana, a ten plan stwarza realną szansę.

- Taaiyya - powtórzył Hoffman, jakby smakował to słowo. Pochylił się, położył swoje masywne łapsko na rękę młodego agenta i rzekł: - Jak sam powiedziałeś jakiś czas temu, Roger: To musi się udać. Nie możemy dłużej przegrywać. Jeśli nie rozbijemy siatki Sulejmana, zginie mnóstwo ludzi.

Cofnął rękę, wyprostował się i oznajmił, że sekretarka skontaktuje się z Ferrisem w ciągu paru dni, żeby umówić

go na spotkanie. Najpierw trzeba ustalić parę rzeczy, uzgodnić kilka szczegółów, zanim zostanie skontaktowany z tą nową komórką.

Waszyngton

Pierwszą noc po przyjeździe do stolicy spędził w motelu, w zapuszczonym małym zajeździe przy obwodnicy Du-pont Circle, bardzo przypominającym mu miejsca, w których stale nocował przed wstąpieniem na służbę w CIA. Potrzebował trochę samotności, nie chciał się z nikim widzieć. Przede wszystkim zamierzał odwlec spotkanie z Gretchen do czasu, aż poukłada sobie w głowie wszystko, co chce jej powiedzieć. W ciągu minionych lat zdążył się przekonać, że żona ma brzydki zwyczaj niweczenia tego rodzaju planów bądź całkowitego ich lekceważenia. Tym razem chciał załatwić sprawę po swojemu. Zadzwoił do niej o wpół do siódmej następnego ranka, pamiętając, że powinna już wyjść spod prysznica i przystępować do robienia makijażu.

- Cześć, Gretchen.

- Roger? - Była wyraźnie zaskoczona, ale szczęśliwa.
- Wróciłem do domu..
- Nieprawda. W domu na pewno cię nie ma, bo ja tu jestem. Musisz więc być gdzie indziej. Skąd dzwoniisz?
- Z motelu.
- A cóż ty, u diabła, robisz w motelu?
- Wszystko ci wyjaśnię. Możemy się spotkać na obiedzie?
- Nie bądź śmieszny, kochany. Wracaj do domu, do swoich starych śmieci i swojej żony. Muszę iść dzisiaj do

pracy, ale wrócę o siódmej. Masz przecież klucze... Oczywiście, że je masz. W końcu to twoje mieszkanie. Przyjeżdżaj więc i odpoczywaj. Nabieraj sił, bo będziesz ich potrzebował dziś wieczorem.

Chciał ją od razu przestrzec, że ich spotkanie będzie miało nieco odmienny charakter, ale nie dopuściła go do głosu, tłumacząc, że jest już późno i musi się szykować do pracy. Rzuciła tylko, że go kocha i bardzo się cieszy z jego przyjazdu, po czym odłożyła słuchawkę. Nie kłamała. A to oznaczało, że czeka go ciężka przeprawa. Musi powiedzieć jej prawdę i jak najszybciej wyjść.

Mieszkał w dużym, otynkowanym na biało bloku na osiedlu Kalorama, niedaleko Connecticut Avenue. Okolica bardzo odpowiadała stylowi życia Gretchen. Cieszyło ją sąsiedztwo ludzi bogatych, przedstawicieli starych rodów, mających rozliczne powiązania towarzyskie. Pod tym względem przypominała powszechnie lubiane dziecko, musiała znać wszystkich sąsiadów z klatki, odwiedzać ich, gdy zachorowali, przywozić drobne upominki ze służbowych wyjazdów. Właściwie to ona urządziła całe mieszkanie. Bez przerwy ciągała go po różnych aukcjach i sklepach z antykami w poszukiwaniu coraz to nowych elementów dekoracyjnych. A kiedy zapraszała na koktajl kogoś z sąsiedztwa, wszyscy mężczyźni zdawali się doskonale wiedzieć, w jaki sposób Ferris zarabia na życie.

Gretchen była samozwańczą arystokratką. Ale jakimś sposobem starsi sąsiedzi sprawiali wrażenie zadowolonych z tego, że młodzi ludzie próbują wejść do ich świata. Jej ojciec sprzedawał polisy ubezpieczeniowe w Indianie, był porządnym, uczciwym obywatelem, ale z pewnością nigdy nie podejrzewał, że córka znajdzie się na liście członków Klubu Sulgrave. Miała jeszcze starszego brata, który postanowił zostać w rodzinnym mieście i założyć lokalne przed-

stawicielstwo firmy Johna Deere'a, producenta maszyn rolniczych. Ale takie życie to nie dla niej. Zaraz po ukończeniu osiemnastego roku życia spakowała swoje manatki i wyjechała na Uniwersytet Columbia z zamiarem rozpoczęcia nowego życia. Ferris szczerze podziwiał ten akt samokreacji, ale nie miał ochoty dłużej w nim uczestniczyć.

Przywitał się z portierem, który na jego widok zrobił zdziwioną minę. Wjechał windą na górę i ostrożnie przekręcił klucz w zamku. Od razu zauważył nowy sekretarzyk w przedpokoju, zabytkowy, w stylu francuskim, z fantazyjnie powykręcانymi nóżkami, zupełnie niepraktyczny. Wszędzie panował idealny porządek, jakby starannie usunięto wszelkie oznaki tego drugiego życia, które Gretchen prowadziła pod jego nieobecność. Zajrzał do sypialni. Na nocnych stolikach stały zdjęcia w srebrzystych ramkach. Popatrzył na swoje, zrobione jeszcze przed ślubem, na którym miał zawiadającą, wyzywającą minę niezależnego dziennikarza. Na ramkach nie było śladu kurzu. Czyszczono je ostatnio czy też wyciągnięto z szuflady?

Chodząc po mieszkaniu, zauważył, że zniknęły wszystkie rzeczy związane z jego codziennym życiem. W lodówce nie było ani jednej puszki piwa, prenumerata pisma „Sports Illustrated” najwyraźniej została anulowana, wszystkie jego ciuchy zniknęły z szafy, ustępując miejsca jej ubraniom. Więc może jednak zapowiadało się łatwiejsze rozstanie, niż przypuszczał. W jakiś sposób Gretchen już się go pozbyła ze swego życia.

Zadzwoniła o wpół do siódmej, żeby powiedzieć, że musi zostać trochę dłużej w pracy, ale na pewno wróci wpół do ósmej. O wpół do ósmej zadzwoniła ponownie z wiadomością, że właśnie wychodzi z biura. W końcu zjawiła się dopiero kilka minut przed dziewiątą. Ledwie weszła do środka, zawołała:

- Witaj, kochany. Już jestem.

Jakby w ogóle nie wyjeżdżał za granicę. Przeprasiła za spóźnienie, tłumacząc, że to nie jej wina. Prokurator generalny czekał na ostateczną wersję swojego projektu i w żaden sposób nie mogła się wykręcić od pracy. Próbowwała, ale się nie udało. W rzeczywistości brzmiało to bardziej jak odwołanie się do wyższych uczuć niż zwyczajne przeprosiny.

Ferris przyjrzał się jej uważnie. Wyglądała niby tak jak dotychczas, a jednak trochę inaczej. Połyskliwe czarne włosy ułożone w stylu włoskich gwiazd filmowych uroczo okalały jej owalną twarz. Jak zawsze eksponowała wydatny biust, będący pierwszą rzeczą, na którą ludzie zwracali uwagę, i to zarówno mężczyźni, jak i kobiety, z czego zresztą umiejętnie korzystała czy to do odstraszenia, czy też kuszenia rozmówców, w zależności od potrzeb. Miała na sobie stylową garsonkę z białą jedwabną bluzką, na tyle głęboko wyciętą, żeby eksponować piersi.

Najwyraźniej czekała, aż ją przytuli i pocałuje na powitanie, a gdy tego nie zrobił, sama podeszła i uściskała go serdecznie. Odpowiedział na ten uścisk, ale bardziej z nawyku niż czegokolwiek innego. Na pewno się domyślała, że dzieje się coś złego, i tylko robiła dobrą minę, mając nadzieję, że jakoś przetrwa kryzys.

- O co chodzi, Rog? - zapytała. - Jeszcze nie odpocząłeś po podróży?

- Musimy porozmawiać.

- O czym? - Spojrzała na niego zaniepokojona.

- Usiądźmy.

- Nie chcesz się napić? Przygotuję drinka.

- Nie trzeba. Napijemy się później. Na razie chciałem porozmawiać.

- Jak sobie życzysz, skarbie. - Usiadła na kanapie i za-

chęcąco poklepała sąsiednią poduchę. Dopiero teraz zauważył, że poduchy na kanapie także są nowe. Były obszyte nitką z brokatem pasującą do sznurów od zasłon. Z ociąganiem zajął miejsce w fotelu stojącym naprzeciwko kanapy. Potrzebował nieco dystansu, gdyż był przekonany, że w przeciwnym razie nie zdoła wydusić z siebie ani słowa. Zastanawiał się, jak zacząć, ale dostrzegłszy, że Gretchen zamierza wypełnić ciszę dalszą czezą gadaniną, wyrzucił z siebie jednym tchem:

- Chcę rozwodu. W rzeczywistości już od dawna nie jesteśmy małżeństwem.

- Słucham? - syknęła, udając, że nie dosłyszała.

- Powiedziałem, że chcę rozwodu. Żyjemy oddzielnie, bo tak potoczyło się nasze życie.

Uważam, że najwyższa pora skończyć z fikcją.

Spojrzała na niego z taką miną, jakby wymierzył jej policzek.

- Ty łobuzie... - szepnęła. Policzki jej poczerwieniały, a chwilę później spłynęły po nich łzy.

Ferris nie spodziewał się takiej reakcji. Prędzej oczekiwał, że zostanie skrzyuczany.

Tymczasem Gretchen bez słowa wstała i poszła do łazienki, żeby wyczyścić nos. Siedziała tam prawie dziesięć minut, a kiedy wróciła, z poprawionym makijażem, była już całkiem opanowana. Natychmiast przystąpiła do natarcia.

- Nie wolno ci tego zrobić. Nie pozwolę ci zniszczyć tego, co wspólnie osiągnęliśmy. W końcu nasze małżeństwo to wzór, o jakim marzy mnóstwo ludzi. Świetnie do siebie pasujemy. Najwyraźniej przeszedłeś ostatnio poważny stres. To mogę zrozumieć. Nie wiem, co ci nie odpowiada w naszym małżeństwie, sądzę jednak, że moglibyśmy to wspólnie naprawić.

- Niczego nie zdołamy naprawić, skoro nie mieszkamy

razem. A jakoś nie słyszałem, byś wyraziła chęć przeprowadzki nad Jordan.

- Nie mogę rzucić pracy w departamencie. Dobrze o tym wiesz. Domyślam się, że jest ci ciężko. Bardzo bym chciała wskoczyć do samolotu i wybrać się na weekend do Ammanu, jak robią to zapewne żony twoich kolegów, ale nie mogę. Więc lepiej nie próbuj wzbudzać we mnie poczucia winy, że staram się jak najlepiej wywiązywać ze swoich obowiązków. Pokręcił głową. Wcale nie zamierzał przesądzać o żadnej winie.

- Chyba mnie nie zrozumiałaś, Gretchen. Ja po prostu nie chcę dłużej podtrzymywać fikcji. Nasze małżeństwo rozpadło się już dawno temu. I nie wierzę, by cokolwiek można jeszcze naprawić.

- Zawsze powinno się próbować, jeśli tylko istnieje szansa naprawy. Kiedy coś nie działa tak, jak powinno, należy to naprawiać, a nie od razu wyrzucać. Musisz bardziej uwierzyć w siebie. Ewidentnie go nie słuchała. Zachowywała się tak, jakby jego pragnienie rozwodu było przejawem słabości, którą można pokonać samą siłą woli, no, ostatecznie z jej pomocą, skoro sam sobie nie radzi. Zrozumiał, że powinien zacząć inaczej. Do tej pory miał nadzieję, że da się tego uniknąć, ale najwyraźniej to nieuniknione.

- Spotykam się z inną kobietą. - Odczekał chwilę, spodziewając się dalszych łez, ale jej oczy pozostały suche. - To nie w porządku, skoro wciąż jesteśmy małżeństwem.

- Przecież mówiłam ci... - Urwała nagle, usiłując zapanować nad zbliżającym się wybuchem wściekłości. - Mówiłam, że nie obchodzi mnie, z kim się spotykasz w czasie pobytu za granicą. Możesz tam mieć choćby i tysiąc kurewek na skinienie palcem. Po prostu nie chcę nic wiedzieć na ten temat.

- To nie jest... kurewka. Bardzo ją lubię...

- Nie bądź śmieszny, Roger. Nie obchodzi mnie, kim ona jest, bo z pewnością nie potrafi cię tak uszczęśliwić jak ja. Co do tego nie mam wątpliwości.

- Wcale nie jestem z tobą szczęśliwy, Gretchen. Nie zaznałem przy tobie szczęścia od dłuższego czasu.

Zignorowała go, jakby już się zamknęła we własnym świecie, żeby snuć plan odzyskania go dla siebie.

- Już wcześniej się martwiłam. Bałam się, że wcale mnie nie kochasz. Lecz jeśli chodzi tylko o inną kobietę, muszę przyznać, że nawet się tego spodziewałam. Byłabym nawet zaskoczona, gdybyś nikogo sobie nie znalazł. Dobrze wiem, jacy są mężczyźni. Nie odbiegasz od normy, Roger. Wcale nie jesteś taki prawy, za jakiego chciałbyś uchodzić. Otworzył już usta, ale górę wzięło przekonanie, że i tak żadne argumenty do niej nie trafią.

- Lepiej przygotuj nam po lampce martini - rzuciła. -Zaraz wrócę.

Nim zdążył zaprotestować, skierowała się do drzwi sypialni. Jeszcze przez jakiś czas siedział w fotelu, wreszcie zdecydował, że faktycznie ma ochotę na drinka, chociaż to ona wcześniej podsunęła ten pomysł. Podszedł do barku i wlał do shakera wódkę oraz martini. Mieszając koktajl, czuł, jak opuszki palców lepią mu się do metalu. Do szklaneczki żony dodał oliwkę, do swojej wrzucił plasterki cytryny. Jak na złość, rzeczywiście poczuł się jak w domu. Naszły go obawy, że nie da rady wrócić do przerwanej rozmowy i będzie musiał po prostu wyjść.

Postawił obie szklaneczki na stoliku w salonie i usiadł, czekając na powrót Gretchen. Co robiła aż tak długo? Ale

w głębi ducha już wiedział. Pozostał jednak na miejscu. Pociągnął tęgi łyk martini, potem drugi. Lodowaty płyn zmroził mu gardło, pozostawiając na języku ostry posmak. Wreszcie usłyszał, że otwierają się drzwi sypialni.

Miała na sobie czarną koronkową nocną koszulę. Celowo ruszyła powoli w jego kierunku, żeby zobaczyć, jak jej wydatne piersi kołyszą się na boki pod półprzejrzystą tkaniną. Pokręcił głową. Mimo wszystko nie mógł oderwać od niej oczu.

- Nie chcę się więcej kłócić.

Przysiadła na poręczu fotela i pochyliła się tak, by w dekolcie koszuli ukazać ponętny zarys krągłej piersi. Po chwili wstała, podeszła do kanapy i wyciągnęła się na niej, podnosząc nogę,

by na pewno zobaczył, że pod koszulą nie ma nic więcej. Ferris natychmiast spostrzegł, że usunęła sobie owłosienie ze wzgórek łonowego. To była kolejna nowość. Tym bardziej, wbrew sobie, poczuł narastające podniecenie.

- Jesteś mi potrzebny - powiedziała. - Potrzebuję swojego męża.

Znowu wstała, pochyliła się nad nim i pocierając biustem o jego koszulę na piersi, sięgnęła mu do rozporka.

- Proszę - mruknął, odsuwając jej rękę. - To nie najlepsza pora.

- Przestań się wreszcie dąsać. Pragnę cię.

Bez ceregieli znów sięgnęła do rozporka i rozpięła suwak. Uświadomił sobie, że nic jej nie powstrzyma. Klamka zapadła już wtedy, kiedy kazała mu przygotować drinki, a sama poszła do sypialni. Podjął jeszcze jedną próbę powstrzymania jej, ale tym razem doprowadził ją do furii.

- Co się z tobą dzieje?! - rzuciła, błyskawicznie cofając rękę. - Czekałam na ciebie pięć miesięcy, a ty nawet nie chcesz mnie tknąć? - Zamilkła na chwilę, jakby na bieżąco dostosowywała strategię działania, po czym z nadąsaną miną obrzuciła go gniewnym spojrzeniem. - Jestem taka samotna.

Powoli rozchyliła nogi, jakby chciała zwrócić jego uwagę na swoje gładkie łono, niczym wyrzeźbione z różowego marmuru. Starał się nie patrzeć, ale nie potrafił nad sobą zapanować.

- Daj spokój, Gretchen - mruknął bez przekonania.

Zawsze w podobny sposób stawiała na swoim. Nie bronił się już, kiedy rozpięła mu koszulę, ściągała spodnie, buty i skarpetki. Zachowywał się całkiem biernie. Najpierw wzięła mu w usta, a następnie dosiadła okrakiem, wciskając jego głowę między swoje piersi, jakby zamierzała sutkami wykluć mu oczy. Zaczęła poruszać się rytmicznie w górę i w dół, dopóki z cichym jękiem nie osiągnęła orgazmu. Później pociągnęła go za sobą do sypialni, gdzie kochali się drugi raz i trzeci.

Następnego ranka, kiedy Gretchen poszła pod prysznic, zgarnął swoje ciuchy i wymknął się z mieszkania. Czuł obrzydzenie do siebie. Był za słaby na to, by oprzeć się dzikim żądom swojej żony. Postanowił, że następnym razem w jego imieniu wystąpi adwokat. Zamykając po cichu drzwi mieszkania, powtórzył w duchu, że wychodzi stąd po raz ostatni.

Langley

Czekając na wiadomość od szefa wydziału, dwa kolejne dni spędził w centrali agencji kojarzącej mu się z automatem do gry w bilard. Z powodu zamachu bombowego we Frankfurcie pod sufitami w regularnych odstępach migały czerwone diody włączonych czujników, utrudniony był dostęp do wszelkich komputerowych baz danych, nie wyłączając spisu telefonów personelu. Ciągłe odbywały się jakieś narady i odprawy, bez przerwy wydzwaniiali zniecierpliwieni politycy. Frankfurcki samochód-pułapkę zaparkowano przed centralą niemieckiego Citibanku, a bombę zdetonowano w godzinie popołudniowego szczytu. Zginęło kilkanaście osób, trzy razy więcej zostało ciężko rannych. Ferris znalazł sobie pusty pokój w centrali operacyjnej wydziału bliskowschodniego i zaszył się tam, próbując na odległość uporządkować swoje sprawy w Ammanie. Co kilka godzin zaglądał do gabinetu Hoffmana na końcu korytarza, ale szef wydziału był wciąż nieobecny. Jego zastępca za każdym razem pytał, czy może w czymś pomóc, ale Ferris tylko kręcił głową. Po pewnym czasie uznał, że stało się to kłopotliwe, i przestał tam zaglądać. Doszedł do wniosku, że gdy Hoffman będzie chciał się z nim widzieć, bez trudu go odnajdzie.

W końcu odebrał lakoniczną wiadomość przesłaną pocztą elektroniczną. Hoffman napisał: „Spotkamy się w Parku Miazgi o 9:00”. Przyjął to z uśmiechem. Szef już zaaprobował jego pomysł. W drugim mejlu, od sekretarki szefa, odebrał instrukcje, kierujące go do tej części kompleksu, w której jeszcze nigdy nie był - do nowego budynku, po przeciwnej stronie kawiarni, blisko północnego lądowiska. Nie mógł zrozumieć, czemu nie mogą się spotkać jak zwykle w pomieszczeniach wydziału bliskowschodniego agencji na trzecim piętrze.

Kiedy następnego ranka dotarł pod wskazane drzwi, czekała tam na niego sekretarka Hoffmana. Okazało się, że w mejlu podano fałszywe miejsce spotkania. Poprowadziła go długim korytarzem do nieoznakowanych drzwi, przed którymi wystukała kod na klawiaturze zamka elektronicznego i przytknęła kciuk do okienka skanera biometrycznego. Po chwili drzwi się otworzyły. Za rumi była winda, którą zjeżdżali dobre piętnaście sekund. Wreszcie się zatrzymała i kobieta wprowadziła Ferrisa przez kolejne drzwi z zamkiem elektronicznym do rozległej pracowni, pozbawionego okien pomieszczenia wykończonego na niebiesko i zielono, pełnego stanowisk komputerowych z wielkimi monitorami ciekłokrystalicznymi. W sali rozmiarów boiska do koszykówki pracowało przy oddzielonych przepierzeniami stanowiskach kilkanaście osób. Popatrzył na baterie jaskrawych białych jarzeniówek pod sufitem, rozmyślając mętnie, że muszą być gdzieś pod północnym parkingiem. W otwartych drzwiach w połowie długości sali stanął Hoffman i przywołał go do siebie ruchem ręki.

- To ma być „Park Miazgi”? - zapytał rozbawiony Ferris. Szef uśmiechnął się szeroko.

- Sprytny kryptonim, nie sądzisz? Nawiązuje do brytyjskiego Bletchley Park. Początkowo chciałem go nazwać „Parkiem Taaiyya”, ale naszyły mnie obawy, że niewiele osób potrafi to wymówić. - Szerokim ruchem ręki powiódł po sali i stanowiskach komputerowych. Sprawiał wrażenie bardzo zadowolonego z siebie. - Ta sekcja oficjalnie nie istnieje. Jeśli powiesz komukolwiek, że tu byłeś, przysięgnę, że kłamiesz, i natychmiast cię wywalę. Stawiam sprawę jasno.

- Zrozumiałem. Ale skoro już tu jestem, czym się zajmują ludzie w „Parku Miazgi”?

- Do wczoraj nosił nazwę Grupy Doradczej Operacji Bliskowschodnich, ale brzmiało to mętnie i oficjalnie. Najkrócej rzecz ujmując, jest to centrum czarnych operacji wydziału, a więc poważnych operacji terenowych.

- A dokładniej, jeśli byłbyś łaskaw mi uświadomić, kto do tej pory zajmował się niepoważnymi operacjami w terenie?

- Nie wygłupiaj się, Roger. Przez określenie „poważne” rozumiem operacje nieoficjalne. Kierujemy stąd działaniami, o których władze teoretycznie nic nie wiedzą. Można się ich bez trudu wyprzeć, ponieważ kancelaria prezydenta nie została o nich powiadomiona oficjalnie, pisemnie. A ponieważ prezydent oficjalnie nic o nich nie wie, nie może za nie odpowiadać przed Kongresem. „Park Miazgi” to kwintesencja pracy całego CIA i można by ją prowadzić jawnie, gdyby firma nie była aż tak zbiurokratyzowana. W końcu jesteśmy tajną agencją wywiadowczą, a więc niejako powołaną do podejmowania ryzyka, łamania prawa, omijania biurokratycznych wymogów i rządzenia się według własnych zasad. Na szczęście mamy tę niewidzialną sekcję ulokowaną głęboko pod Zielonym Parkingiem. Jesteśmy niczym peron numer dziewięć i trzy czwarte w tych durnych filmach o Harrym Potterze. Niepozorna ceglana ściana, dopóki nie trafi się na właściwą cegłę skrywającą zamek cyfrowy drzwi umożliwiających wejście do środka. Oto nagle wkraczasz do innego świata, w którym czarodzieje mają jeszcze trochę magicznej mocy. Więc co o tym sądzisz? No, dalej! Śmiało! Przyznaj, że jesteś pod wrażeniem.

- Właśnie tu pracowałeś, kiedy nie mogłem się z tobą skontaktować?

- Owszem - uśmiechnął się promiennie.

Ferris rozejrzał się ciekawie. Sala przypominała trochę centrum operacyjne w Baladzie, była jednak dużo nowocześniejsza. Na wielkich ekranach zajmujących odległą ścianę z pewnością odtwarzano migotliwe obrazy z kamer systemów precyzyjnego trafienia. Ale właściwe akcje toczyły się na stanowiskach za przepierzeniami. Pracujący tu ludzie stanowili zbieraninę, jakiej zapewne nie zobaczy się w innych oddziałach centrali CIA. Byli bardzo młodzi, dwudziesto-, najwyżej trzydziestoletni, w dżinsach, luźnych T-shirtach czy obcisłych spódniczkach. Na sali nie było nikogo w garniturze i krawacie. A ścianki przepierzeń nieodmiennie kojarzyły się z tablicami

w akademikach, pozawieszane różnymi zdjęciami brodatych osobników, mapkami z zaznaczonymi lokalizacjami agentów terenowych czy też schematami, na których rozchodzące się pajęczynowato strzałki znaczyły wzajemne powiązania między członkami podziemnych organizacji. Analitycy nisko pochyleni nad biurkami przypominali łowców wrogich łodzi podwodnych zapatrzonych w ekrany sonarów, próbujących namierzać niewidocznych zabójców i zmuszać ich do wypłynięcia na powierzchnię.

- Tworzysz tu własne CIA - rzekł Ferris. Hoffman przytaknął ruchem głowy.

- Owszem. Nawet jeśli ci ludzie oficjalnie nie istnieją, skutecznie wypruwają dla nas swoje niewidzialne żyły. A wiesz dlaczego? Ponieważ świetnie wiedzą, że są naszą ostatnią nadzieją. Zdają sobie sprawę, że jak nie dziś, to jutro bomba podłożona w Mediolanie, Frankfurtach czy Nowym Jorku może się okazać bombą atomową. Więc jeśli jej w porę nie znajdą, zetrze z powierzchni ziemi miliony istnień ludzkich. Dlatego wytrwale poświęcają każdy swój dzień na jej odnalezienie i unieszkodliwienie ludzi, którzy planują ją podłożyć. Właśnie dlatego tak bardzo cenię każdego z tych przepracowanych, szurniętych dziwaków. Zapewne w twoich oczach nie wyglądają na bezwzględnych zabójców, ale możesz mi wierzyć, że są nimi.

Ferris po raz kolejny powiódł wzrokiem po szeregach boksów. Co najmniej połowa stanowisk była obsadzona przez kobiety. W większości sprawiały wrażenie podminowanych, nerwowo zużyły gumę czy postukiwały czub-

kiem buta o podłogę; z pewnością zostałyby palaczkami, gdyby palenie w biurach agencji nie było zabronione. Niektóre wyglądały na doświadczone przez życie, nosiły zdecydowanie za mocny makijaż, jakby były krupierkami w kasynach Las Vegas. Inne można by wziąć za słodkie idiotki, gdyby nie czujne, lodowate spojrzenia żmii.

- Hej, Gwen - zwrócił się Hoffman do trzydziestoletniej brunetki pracującej przy najbliższym biurku. - Powiedz mu, czym się zajmujesz.

Kobieta uniosła głowę i obrzuciła Ferrisa podejrzliwym spojrzeniem, aż szef wydziału przyzwalająco skinął głową.

- Śledzę pewną grupę w Syrii. Ostatnią noc spędziła w Damaszku, a dzisiaj jest w Dair az-Zor, ewidentnie kieruje się w stronę irackiej granicy. Coś mi jednak podpowiada, że nikt z nich nie przedostanie się na drugą stronę do Husbaji. Niedaleko mamy naszych ninja. Dlatego podejrzewam, że jak tylko dostaną namiar na zbliżających się bandytów, wyprawia ich na tamten świat.

Jej twarz rozpromienił ironiczny uśmiech wytrawnej zabójczyni. Ferris obejrzał się na Hoffmana.

- Dla kogo pracują ci ninja?

- Dla nikogo. I właśnie o to chodzi. To jedyny sposób na to, żebyśmy wyszli z twarzą z tego bałaganu. Właśnie dzięki takim ludziom jak Gwen. - Wziął Ferrisa pod rękę i pociągnął do otwartych drzwi przyległego pokoju. - Chodź. Chcę ci kogoś przedstawić.

W gabinecie śniady mężczyzna w okularach z drucianą oprawką gorączkowo stukał w klawiaturę komputera. Miał na sobie czarny kaszmirowy sweter i z wyglądu dobiegał czterdziestki. Dopiero z bliska Ferris zauważył, że nieznajomy jest Arabem, prawdopodobnie z północnej Afryki, sądząc po miodowozłotym odcieniu jego skóry. Podniósł głowę nad klawiatury, spojrzał na wchodzących ponad oprawką okularów, po czym skupił wzrok na ekranie monitora. W szaleńczym tempie przebierał jeszcze palcami po klawiaturze przez następne piętnaście sekund, wreszcie zrobił krótką przerwę, wcisnął enter i odwrócił się do nich.

- Przepraszam, że trwało to tak długo - rzekł. - Likwidowałem właśnie bankowe konto przywódcy Salafistów z Rijadu. Zrobiłem to tak, żeby zaczął podejrzewać o kradzież swojego zastępcę. Jeśli dopisze nam szczęście, wyda na tamtego wyrok śmierci. - Uśmiechnął się,

jakby cieszyła go sama myśl, że tak wiele mógł zdziałać tylko przez wpisanie kilku poleceń na klawiaturze komputera.

- Poznaj Sarniego Azhara - odezwał się Hoffman. - Z tego miejsca kieruje na bieżąco działaniami kilku różnych operacji. Jest za mądry dla takich ludzi jak ty i ja.

- Dla ciebie zdecydowanie za mądry, Ed - odparł Azhar, zerkając na szefa znad oprawki okularów. - Ty niby wyglądasz na inteligentnego, ale jesteś zbyt zatruty kofeiną. Oczywiście tylko wtedy, kiedy nie zatruwasz się dodatkowo alkoholem. O twoim gościu jeszcze nic nie wiem. Będę musiał go sprawdzić. - Wyciągnął rękę i uściskał Ferrisowi dłoń na powitanie.

- Sami był ważniakiem z Wall Street - wyjaśnił Hoffman. - Urodził się w Egipcie, ale na studia przyjechał do Stanów. Ma dwa doktoraty, z matematyki i ekonomii. Bardzo się wzbogacił, pracując dla prywatnego funduszu inwestycyjnego. Tak bardzo, że postanowił zwrócić część swego majątku na rzecz przybranej ojczyzny. Czy dobrze to ująłem, Sami? - To prawda, że zostałem sownie wynagrodzony, Ed, ale też mądrze inwestowałem swoje pieniądze.

- Już wcześniej, w latach dziewięćdziesiątych, Sami dorywczo współpracował z agencją i NSA. Ale po jedenastym września zrozumiał, że świat na dobre wyskoczył z torów i tylko kompletny idiota pracowałby dalej dla funduszu inwestycyjnego. Jako muzułmanin poczuł się szczególnie odpowiedzialny za wsparcie wszelkich prób powstrzymania nawiedzonych szaleńców. Mam rację?

- Jak najbardziej. Albo, jak ty byś to ujął, Ed, „masz cholerną rację”!

- Otóż to. Zapytał więc, czy nie znalazłbym dla niego jakiejś ważnej roboty poza oficjalnymi działaniami agencji. Znając go trochę, pomyślałem, że może być na tyle stuknięty, by pasować do przygotowywanego właśnie przeze mnie projektu. Prześwietliłem go. Jego geniusz matematyczny objawił się już w egipskiej podstawówce. W szkole średniej dostał państwowe stypendium na studia w Stanach Zjednoczonych. Potem na Wall Street zarobił tyle forsy, że stracił rachubę zer na sumie konta bankowego. Ale okazał się też dziwakiem, albo, jak kto woli, nieodrodnym przedstawicielem swojego środowiska, przebiegłym i bezwzględnym, ale nieobojętnym na wszystko dokoła. To go odróżnia od innych.

- Prawdę mówiąc, tu się mylisz, Ed. Niczym się nie wyróżniam. Większość ludzi z Wall Street jest równie przebiegła i bezwzględna. Jedyna różnica polega na tym, że jestem od nich mniej samolubny. Chciałbym też zaznaczyć, że jak na matematyka wcale nie jestem szczególnym dziwakiem. Jestem tylko bardziej rozgniewany niż inni. To wszystko. - Azhar odwrócił się do Ferrisa. - Często drażnię się z Edem, ale współpraca z nim sprawia mi wiele radości. Wspólnie wcielamy w życie to, o czym inni bardzo często mówią, tylko brakuje im odwagi. Bo do tego trzeba myśleć nieschematycznie. W gruncie rzeczy tak daleko odbiegliśmy od wszelkich schematów działań, że zaczynam się obawiać, czy kiedykolwiek odnajdziemy jeszcze drogę powrotną do świata zwykłych ludzi.

- Dość tych bzdur - uciął Hoffman. - Przejdźmy do rzeczy. - Zamknął drzwi pokoju, usiadł przy stole i ruchem ręki dał im znać, żeby także zajęli miejsca. Na ścianie naprzeciwko biurka Azhara wisiał olbrzymi ekran ciekłokrystaliczny.

- Sprawa wygląda następująco. Tworzymy coś zupełnie nowego, od podstaw. W tym celu, Roger, będę musiał cię wtajemniczyć w parę spraw, które nawet w tym gronie pozostają ścisłą tajemnicą. Mówię to dla formalności, żebyś rozumiał, na czym stoisz.

Ferris pokiwał głową.

- A stoję na tym, że nie wolno mi będzie ujawniać żadnych informacji absolutnie nikomu, nawet pracownikom agencji.

- Zgadza się. Ale chodzi mi jeszcze o coś innego. Wrócisz do pracy w terenie, dlatego nie wspominałem ci wcześniej o istnieniu tej sekcji. Byłoby to zbyt niebezpieczne. Nie ujawnia się takich tajemnic ludziom, którzy mogą zostać schwytani przez wroga. Ale przemyślałem dokładnie sytuację i doszedłem do wniosku, że nie ma innego wyjścia. Stoisz więc na tym, że

jeśli wydarzy się coś złego i zostaniesz złapany, pod żadnym pozorem nie możesz ujawniać tych informacji. W tym celu będziesz musiał podjąć odpowiednie kroki. Rozumiesz? Zaskoczony Ferris odchylił się na oparcie krzesła. Miał wrażenie, że rozumie, co szef ma na myśli, wolał się jednak upewnić.

- Odpowiednie kroki? - powtórzył wolno.

- Jeśli zostaniesz schwytyany, będziesz musiał je podjąć wówczas, gdyby naszły cię obawy, że nie wytrzymasz dalszych przesłuchań. A mówiąc szczerze, nikt nie jest w stanie wytrzymać wyczerpujących przesłuchań, niezależnie od tego, co kładzie się wam do głów na Farmie. Dostaniesz więc

żelową kapsułkę, którą będziesz musiał nosić w ustach przez cały czas pracy w terenie. Jeśli znajdziesz się, mówiąc oględnie, w sytuacji ekstremalnej, ona załatwi sprawę. Wystarczy ją rozgryźć, a ze środka wydostanie się szybko i skutecznie działająca trucizna. Ma nawet dość przyjemny smak, tak mi przynajmniej mówiono. Nie miałem przyjemności jej skosztować, aczkolwiek i ja zabieram tego typu cukierek w każdą podróż zagraniczną. Mam nadzieję, że w tym zakresie wszystko jest już jasne. I nie sądzę, żeby strach cię obleciał i byś odmówił, bo wtedy musielibyśmy natychmiast zakończyć tę rozmowę.

Ferris zamyślił się na chwilę. Miał właśnie wkroczyć do świata, który jeszcze piętnaście minut temu w ogóle dla niego nie istniał. Pomyślał, że to zenit, punkt kulminacyjny jego powołania, a może raczej nadir, choć nie miało to szczególnego znaczenia. W każdym razie był to najdalej wysunięty przyczółek. Przelotnie pomyślał jeszcze o Alice, lecz szybko odegnał od siebie wspomnienia o niej.

- Zgadzam się - odparł.

- Dobry chłopak. - Hoffman serdecznie uściśnął mu dłoń. - Jeśli mam być szczerzy, nigdy bym cię o to nie spytał, gdybym nie miał pewności, że się zgodzisz. W porządku, zatem możemy przystąpić do naszego spisku, w którym będziemy uczestniczyli tylko we trzech. Nikt poza nami nie może znać wszystkich elementów układanki. Czy to jasne?

Obaj równocześnie pokiwali głowami. Hoffman ciągnął więc:

- Przedstawiłem już Sarniemu twój szaleńczy pomysł, Roger. I wiesz co? Bardzo mu się spodobał. Uważa, że tamci powinni natychmiast połknąć przynętę. Mam rację, Sami?

Azhar przytaknął.

- Tak. To bardzo twórczy pomysł.

- Zatem w pierwszej kolejności musimy znaleźć odpowiednie zwłoki. Masz jakieś propozycje, Roger?

- Musi pod każdym względem wyglądać na agenta terenowego, to najważniejsze. Powinien być mniej więcej w moim wieku, a więc niewiele po trzydziestce, bo tylko ktoś taki mógłby zostać od razu zastrzelony za próbę przeniknięcia do siatki Sulejmana. Musi należeć do rasy białej, być zdrowy, dobrze zbudowany, z nieźle wykształconą muskulaturą. No i powinien być chrześcijaninem.

- Co przez to rozumiesz?

- Ze nie może być obrzezany. Jeśli tamci nie zobaczą u niego napletka, automatycznie wezmą go za Izraelczyka.

Hoffman wzruszył ramionami i zwrócił się do Azhara.

- Zgadzasz się z tym, Sami?

- Niestety, tak. Arabowie, że się tak wyrażę, są przeczuleni jeśli idzie o Żydów. Przykro mi, ale taka jest prawda.

- To tyle na temat samych zwłok - podjął Ferris. - Tylko skąd je weźmiemy? Myślicie, że FBI wyciągnie je dla nas z jakiejś kostnicy?

- Wykluczone - syknął Hoffman. - Nie powierzyłbym FBI nawet zadania znalezienia bezpiecznego kundla. To robota dla naszych braci i siostr z operacji specjalnych. Znajdą odpowiednie zwłoki i dostarczą je nam, o nic nie pytając.

- W takim razie przekażmy im, jakich zwłok potrzebujemy. - Ferris uśmiechnął się szeroko, jakby dopiero teraz zrozumiał, że naprawdę przystępują do tej operacji.

- Już to zrobiłem, wczoraj rozmawiałem z dowódcą bazy McDilla. Może im to zająć kilka tygodni. Prawdopodobnie będziesz już w Azji, kiedy dostaniemy naszego człowieka, dlatego chciałbym mieć od ciebie zielone światło. Razem z Sarnim stworzymy dla niego legendę, sfabrykujemy dokumenty. Mam już wiarygodne nazwisko: Harry Meeker. Wykorzystywaliśmy tę fikcyjną tożsamość w pewnej operacji kilka lat temu, ale jest czysta. Podoba ci się?

- Wszystko mi jedno, byleby nie nazywał się Roger Ferris.

- Czekając na ciebie, ustaliliśmy już we dwójkę parę rzeczy. Doszliśmy do wniosku, że potrzebne nam będą solidne zabezpieczenia, żeby twoja taąiyya odniosła skutek. Naprawdę musimy tamtych porządnie wkurzyć, dać do zrozumienia, że cały ich świat wali im się na łeb. W tym celu warto stworzyć kilka warstw fikcji, które będą się nawzajem wzmacniały. W przeciwnym razie Sulejman może zwietrzyć zasadzkę. Czy to brzmi logicznie?

- Jasne. Ale chciałbym mieć swój udział w tworzeniu zabezpieczeń.

- Z tym nie będzie kłopotu, Roger. Prawdę powiedziawszy, większą część roboty w tym zakresie zostawimy tobie. Ja jestem na to za stary, a Sami zbyt szurnięty, więc zostajesz tylko ty. Sami, może zechciałbyś dokładniej wyjaśnić naszemu gwiazdorowi, jaką nagrodę właśnie zdobył?

Hoffman pstryknął wyłącznikiem i przyciemnił światło jarzeniówek. Azhar podszedł do komputera stojącego pod ekranem projekcyjnym. W półmroku jego kruczoczarne włosy i kakaowy odcień skóry twarzy zlały się w jedną szarą plamę cienia.

Langley

Sami Azhar poprawił okulary na nosie i skoncentrował się na wpisywaniu poleceń do komputera, prawdopodobnie zestawiając żądane skrawki informacji. Sprawiał takie wrażenie, jakby całkowicie zapomniał o upływie czasu i zatopił się w przeszłości, gdzieś między chwilą obecną a okresem nauki początkowej w niewielkiej kairskiej podstawówce, gdzie zadziwił nauczycieli niezwykłą umiejętnością błyskawicznego mnożenia w pamięci wielocyfrowych liczb. Obserwując go, Ferris pomyślał, że bardzo przypomina tych uchodźców, którzy służyli wydatną pomocą Brytyjczykom i Amerykanom w czasie drugiej wojny światowej. Wychowując się w Kairze, musiał być świadom zbliżającego się wielkiego rozłamu w świecie muzułmańskim i pewnie dlatego postanowił uciec przed nim na Zachód. Ten jednak dogonił go i tutaj. Swoista wojna toczyła się wszędzie.

- Na pewno mi wybaczą, że zacznę od krótkiego wprowadzenia - odezwał się w końcu. - W ciągu tych paru miesięcy, od kiedy po raz pierwszy zetknęliśmy się w Iraku z imieniem Sulejmana, tutejsza sekcja zdołała zebrać nieco ciekawych informacji. Teraz już wiemy o tym dżentelnie nawet więcej, niż mogłoby się wam wydawać.

Azhar sięgnął do myszki komputera i na ekranie wyświetliło się pierwsze zdjęcie. Ukazywało szczupłego Araba ze starannie przystrzyżoną brodą, w białej włóczkowej czapeczce modlitewnej na głowie. Miał inteligentny wyraz twarzy, nie była to twarz bezwzględnego zabójcy, lecz surowa i ascetyczna twarz człowieka światłego. Ferrisa uderzył wyraz jego oczu, które przypominały drobne ogniste kule nieposkromionej wściekłości.

- Mieliśmy wiele szczęścia z tym zdjęciem, które pochodzi ze starego paszportu, zanim nasz obiekt zniknął bez śladu. Teraz przypomina błędny ognik. Jest wszędzie i nigdzie. W radykalnych meczetach ludzie wymawiają jego imię tak, jakby był zjawą. Piszą o nim poematy, zdobyliśmy nawet kilka rozprowadzanych nielegalnie płyt kompaktowych z opisami jego dokonań. Nie zostawia za sobą żadnych śladów. W mglistym światku Al-Kaidy szybko stał się głównym organizatorem operacji. To właśnie on zetknął ze sobą „Klasę tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiąt pięć” z Kabulu z „Klasą dwa tysiące pięć” z

Bagdadu. To on jest łącznikiem między starą Al-Kaidą a jej nowymi komórkami. I wy go szukaliście, i my go szukaliśmy. Szukali go Jordańczycy. I nikt dotąd nie wpadł na jego ślad. Ferris zapatrzył się na twarz ze zdjęcia, chcąc ją skojarzyć z pamiętanymi faktami. W jakimś stopniu odczuwał złość na Hoffmana, że tak ważną informację zatajał przed nim od kilku miesięcy. Przede wszystkim jednak kierowała nim ciekawość oraz chęć zrozumienia, z jakich to powodów szef wydziału tak ochoczo przystąpił do realizacji jego pomysłu na taaiyyę.

- Nie wiemy, gdzie go teraz szukać, ale wiemy, skąd pochodzi - ciągnął Azhar. - Jest Syryjczykiem z Hamy. Naprawdę nazywa się Karim Al-Shams. Wszyscy mężczyźni z jego rodziny, to znaczy ojciec, wujowie i bracia, zginęli z rąk oddziałów Hafeza Assada w roku osiemdziesiątym drugim. Byli w starszyźnie Ikhwan Muslimeen, Braterstwa Muzułmańskiego. Po masakrze w Hamie Sulejmana przycięto Braterstwo z Arabii Saudyjskiej. W Rijadzie studiował najpierw inżynierię elektroniczną, a potem fizykę. Zaliczył też jakieś kursy z biologii. Przykro mi to mówić, ale jest nieprzeciętnie inteligentny. Dotarliśmy do testów na iloraz inteligencji, które przechodził podczas studiów w Rijadzie, i ich wyniki są po prostu porażające. Wpadły nam w ręce także dokumenty, świadczące, że w Afganistanie kierował pewnymi pracami doświadczalnymi z zakresu konstrukcji broni atomowej oraz biologicznej.

- Powiedz mi o samochodach-pułapkach z Mediolanu i Frankfurtu - wtrącił Hoffman. Azhar kliknął myszką i ekran wypełniło następne zdjęcie. Ukazywało to, co zostało po eksplozji samochodu przed frankfurcką siedzibą Citibanku kilka dni temu.

- Wiemy, że Sulejman lubi samochody-pułapki. Po tym, jak w Bagdadzie zaczęły masowo zbierać srogię żniwo, przechwyciliśmy komunikat, że ktoś z przywództwa Al-Kaidy, niewymieniony z nazwiska, nalega na wysyłanie samobójców zamachowców do Europy i Ameryki, żeby zabijali chrześcijan i żydów, a nie muzułmanów. Sulejman dąży do rozprzestrzenienia terroru w świecie zachodnim. To nie on wygłaszał tę mowę, ale ktoś z siatki, kto prawdopodobnie jest z nim blisko związany. To był nasz pierwszy trop. A potem wpadł nam w ręce detonator z Mediolanu.

Kolejne kliknięcie myszką i na ekranie pojawiły się poszarpane fragmenty metalowego przedmiotu.

- Nie będę wnikał w szczegóły, bo za dobrze się na tym nie znam, ale zdaniem fachowców z FBI bomba z Mediolanu miała taką samą budowę jak te, które parę lat temu pojawiły się w Bagdadzie, a które nasi agenci zdołali powiązać z siatką Sulejmana. Wstępne badania miejsca eksplozji we Frankfurcie wskazują na to samo źródło. Zgadza się, Ed?

- Niestety, tak - odparł Hoffman. - Sulejman planuje działania na wielką skalę. Dysponuje siatką uspijonych agentów, którzy pozostają poza polem widzenia naszych radarów. Potrafią montować bomby w samochodach, podstawiać je na wyznaczonych miejscach i znikać bez śladu. Muszę przyznać, że znają się na rzeczy. Korzystają z kradzionych samochodów i charakterystyki. Mamy dwa zdjęcia z kamer ulicznych w Brukseli i Frankfurcie, na których dobrze widać zarówno auta, jak i ludzi za kierownicą. Policja w całej Europie zdiera zelówki, usiłując zidentyfikować bandytów, ale na próżno, gdyż ci są zawsze w przebraniu. Są naprawdę bardzo dobrzy. Naszym zdaniem agenci Sulejmana już niedługo pojawią się w Ameryce, czy to z bronią biologiczną, czy atomową. Pamiętasz Karła, głównego mózgowca KGB z powieści LeCarre'ego? Otóż moim zdaniem Sulejman jest takim Karłem w Al-Kaidzie. Trzyma w rękach wszystkie sznurki i któregoś dnia za nie pociągnie.

- Biały Dom wie o tym wszystkim?

- Oczywiście, że nie. Pamiętaj, że ta sekcja oficjalnie nie istnieje. Gdyby politycy znali takie szczegóły, tylko niepotrzebnie wzbudzaliby panikę. Wiedzą tylko tyle, ile przygotowują dla nich nasi analitycy.

Ferris zapatrzył się na ekran, myśląc, że wiedzą już tak dużo, a zarazem tak mało.

- Pozwólcie, że zadam głupie pytanie - rzekł po chwili. - Dlaczego do tej pory nikomu nie udało się wziąć go na muszkę, ani wam, ani mnie, ani Haniemu? Co sprawia, że jest obiektem aż tak trudnym do lokalizacji?

Na dłużej zapadła cisza, zdaniem Ferrisa świadcząca jednoznacznie, że jest coś, o czym nie chcą mu powiedzieć. Obejrzał się na Hoffmana i zrobił taki ruch ręką, jakby chciał go zachęcić do szczerości.

- Otóż to, właśnie z tego powodu przygotowaliśmy operację podstawienia Al-Amary'ego - odparł szef wydziału. - Chcieliśmy wywabić Sulejmana na otwartą przestrzeń, gdzie stałby się słyszalny. Gdyby berlińskiemu informatorowi Haniemu udało się wzmocnić legendę Al-Amary'ego, pewnie byłibyśmy już w stanie preparować wiadomości, których drogę do Sulejmana łatwo dałoby się wysledzić. Jak znaczone karty. A gdyby to się nie udało, moglibyśmy zawsze szarpnąć łańcuchem i podsunąć Sulejmanowi podejrzenia, że wiemy, kim jest. Może wtedy by spanikował, rzucił się do ucieczki, zaczął gorączkowo nawiązywać kontakt

z innymi przywódcami Al-Kaidy. Ale to już specjalność doktora Azhara. Opowiedz mu o tym, profesorku. Egipcjanin skinął głową.

- Na Wall Street miałem do czynienia z obserwabłami. Jeśli da się coś monitorować, śledzić ruchy albo zmiany, można je korelować z ruchami albo zmianami innych obserwabli. Najprostszym przykładem niech będzie wpływ warunków pogodowych na przyszłe ceny kukurydzy. Albo zależność rynkowych cen ropy naftowej od zmian akcyzy. W mojej pracy analitycznej próbowałem zestawiać informacje, które nie były wcześniej kwantyfikowane czy monitorowane w przestrzeniach, w których można poddać je obserwacji i arbitrażować nawet drobne zmiany. Właśnie na tym zarobiłem duże pieniądze. Teraz dla Eda próbuję stosować tę samą metodologię w stosunku do jego obiektów.

- Prawda, że jest niesamowity? - wtrącił Hoffman tonem autentycznego podziwu. - Mów dalej, Sami.

- Proszę bardzo. W stosunku do Al-Kaidy największym wyzwaniem jest zepchnięcie jej komórek do przestrzeni dającej się monitorować. Jeśli nie rozmawiają przez telefony komórkowe, których fale możemy przechwytywać, trzeba ich tak przestraszyć, żeby zmienili procedury łączności. Bo przy każdym ruchu wysyłają nowe sygnały. Na przykład kupują nowe aparaty komórkowe, nie mając pojęcia, że nawet w Pakistanie nie kupi się nowych aparatów albo kart, których systemy kodowania byłyby nam obce. Albo nabierają podejrzeń co do swoich komputerów, postanawiają więc kupić nowe, nie rozumiejąc, że i w tej dziedzinie panujemy niepodzielnie. Dzięki wcześniejszej zapobiegliwości doprowadziliśmy do sytuacji, w której nie ma na świecie serwera poczty elektronicznej, do którego nie mielibyśmy dostępu. A wracając do komputerów... No cóż, można się tylko uśmieć. Jesteśmy w stanie skontrolować

zawartość twardego dysku każdej maszyny w każdym zakątku świata. To samo dotyczy przenośnych twardego dysków. Ich kurierzy uwielbiają przynosić na nich dane z miejsca na miejsce. Ale każdy dysk ma swoją elektroniczną sygnaturę. Każdy sprzęt ma taką sygnaturę. To najwspanialsza rzecz w cyfrowym świecie. Prosta i niezawodna.

- Zatem wciąż próbujemy ich wciągnąć w pułapkę - podjął Hoffman. - Przestrzeń łączności należy do nas. Ilekroć zakłócamy im łączność, stają się nerwowi i sięgają do metod, które łatwo można kontrolować. Powiedzmy, że aresztujemy jakąś grupkę w Londynie, Uzbekistanie czy też u nas, gdzieś na zadupiu w Indianie. Jak sądzisz, co się wtedy dzieje?

- Poddajecie ich przesłuchaniom - odparł Ferris. - Wysyłacie do Guantanamo. Przekazujecie w ręce Haniemu. Wszystko jedno.

- Tak, pewnie, że organizujemy przesłuchania - przyznał Hoffman. - Tego nigdy za wiele. Ale nie to jest istotne. Nawet jeśli schwytany nie powie ani słowa, tamci muszą nabrać przeświadczenia, że zaczął sypać. Podejmują więc akcję wymiany telefonów komórkowych,

zmiany adresów internetowych, a nawet całego sprzętu, który zastępują nowym. I podczas tej akcji wcześniej czy później ktoś musi zadzwonić pod któryś numer z naszej stałej listy podsłuchowej, choćby to była budka z kebabem w Kara-czi. Wtedy automatycznie rejestrujemy używany przez niego nowy aparat. Wystarczy, że dotkną jednego czujnika pod prądem, a ożywa cały złożony układ elektryczny. Kiedy indziej zmuszamy ich do zmiany kryjówki. I wiesz, co ci powiem? Przeprowadzki są niebezpieczne. Może i jesteśmy głupi, ale na pewno nie na tyle, by nie sprawdzać każdego samolotu, autobusu czy pociągu przekraczającego którąkolwiek granicę.

- Ale mimo to nie dopadliście dotąd Sulejmana - uciał Ferris. - Zatem on najwyraźniej działa inaczej. Te wszystkie techniki, które razem z Sarnim omawialiście, a które przynoszą niezłe rezultaty w stosunku do innych komórek, zawodzą wobec Sulejmana. Więc on rygorystycznie musi przestrzegać ciszy radiowej. I właśnie dlatego musimy zastosować wobec niego inny sposób.

- Amen, bracie - mruknął Hoffman. - Dotarliśmy z powrotem do punktu wyjścia. Ale nowe wyjście z tej sytuacji już znasz.

- Taajyya - rzekł.

- No właśnie. Kiedy kilka dni temu przedstawiłeś mi zarys swojego planu, odebrałem go jak światełko w tunelu, jak terkot dzwonek alarmowych. Sam wspomniałeś, że musimy zaszczerpić Sulejmanowi podejrzenia, że udało nam się dokonać tego, czego wciąż nie możemy dokonać, czyli przeniknąć do jego siatki. A wtedy spróbujemy pograć na jego wyobraźni. Zazdrość. Próżność. Duma. Takie podstawowe uczucia powinny otworzyć przed nami Sulejmana niczym spasioną ostrygę. Zaczniemy sączyć do jego otoczenia informacje tak denerwujące i dezorientujące, a więc groźne, że będzie musiał zacząć sprawdzać, co się naprawdę dzieje. Nie obejdzie się przy tym bez nawiązania kontaktu z innymi przywódcami Al-Kaidy. To będzie konieczne. Tym samym Sulejman stanie się obserwabłą. Wielkością mierzalną. I dającą się zniszczyć.

Zrobili przerwę na kawę, żeby rozprostować nieco nogi. Hoffman odebrał pilną wiadomość; dyrektor prosił o natychmiastowe podsumowanie dotychczasowych wyników śledztwa w sprawie zamachu we Frankfurcie, toteż szef wydziału przeprosił ich, zniknął w pokoju sąsiadują-

cym z gabinetem Azhara i zamknął za sobą drzwi. Ferris postanowił wykorzystać przerwę i zapytał Egipcjanina, czy może się rozejrzeć po centrum operacyjnym.

- Oprowadzę cię - zaproponował Azhar. - Bądź przy tym świadomy, że zajmujemy się tu przede wszystkim tworzeniem iluzji. To jak przygotowania do występu iluzjonisty. Ta sala to nieomal zaplecze wielkiego pawilonu handlowego Al-Kaidy, który stworzyliśmy w celu zaspokajania potrzeb członków podziemia, żeby nieświadomie mogli choć na krótko opuścić broń i wbrew swej woli załatwiać własne sprawy za naszym pośrednictwem. Zacznijmy od biura podróży.

Azhar poprowadził go w stronę dużego stanowiska na końcu sali. Przy zestawionych biurkach siedziało tu troje młodych rekrutów, żadne z nich nie przekroczyło trzydziestki. Po ich ziemistej cerze można by sądzić, że nie byli na świeżym powietrzu od wielu miesięcy. Według Ferrisa wyglądali na kujonów, którzy mieli na swoich regałach wszystkie możliwe nagrody i wyróżnienia konkursów naukowych ze szkoły średniej. Azhar zwrócił się do najstarszej w tym gronie dziewczyny o trądzikowej cerze i posklejanych żelem włosach upodobniających ją do ulicznego punka.

- Adrienne, wyjaśnij naszemu gościowi, czym się tu zajmujecie. Powiedziałem mu tylko, że tworzycie swoiste biuro podróży.

- Aha... No więc... - zaczęła z ociąganiem, jakby się bała ujawniać cokolwiek obcemu człowiekowi, lecz gdy Azhar dał jej znak ruchem ręki, powiedziała szybko: - Jak wszyscy ludzie, członkowie Al-Kaidy też muszą podróżować, co nie? Wiedzą jednak, że

monitorujemy każdą działalność, w której prowadzone są skomputeryzowane zestawienia danych. Dlatego szukają określonych sposobów na dokonywanie rezerwacji i zakup biletów. Stąd też i my musieliśmy wejść do tego biznesu.

- Podaj przykład - wtrącił Egipcjanin.

Adrienne podprowadziła Ferrisa do sąsiedniego stanowiska komputerowego, przy którym ciemnoskóry chłopak gorączkowo wystukiwał coś na klawiaturze.

- To jest Hanif. Ma pod stałą kontrolą pewnego figu-ranta z Karaczi, którego prawdziwego nazwiska nie znamy, ale nazywamy go Ozzie. Od Ozzie'ego Osbourne'a. Tylko nie pytaj dlaczego. Otóż ten Ozzie z Karaczi specjalizuje się w organizowaniu niewykrywalnych podróży. I jest w tym bardzo dobry. Skończył madrased, czyli islamską szkołę religijną, i ma rodzinne powiązania z podziemiem w Kaszmirze. W każdym razie gdybyś był jihadi i chciał zarezerwować sobie miejsce w samolocie z Karaczi do Londynu pod fałszywym nazwiskiem, wystarczyłoby tylko dać mu znać. Załatwia wszystkie formalności. Do tego niedrogo. Ludzie z podziemia zachwalają go swoim znajomym. Ozzie jest powszechnie lubiany. Nasza rola polega na tym, że śledząc dokonywane przez niego rezerwacje, możemy kojarzyć podróżujące osoby z nazwiskami znajdującymi się na listach poszukiwanych. W sklepiu Ozzie'ego mamy zainstalowane kamery cyfrowe, dlatego możemy na bieżąco uaktualniać podobizny osób, które nas interesują. Pokaż mu, Hanif.

Młody Pakistańczyk wcisnął jeden klawisz i ekran wypełnił internetowy przekaz sygnału z kamery cyfrowej ukrytej w nieformalnym biurze podróży w Karaczi. W polu widzenia obiektywu znajdował się śniady mężczyzna o twarzy usianej bliznami po trądziku, wypyujący właściciela o bilet lotniczy do Maroka.

- Zaraz sprawdzimy, kto to jest - powiedziała Adrienne. - Oczywiście sprzedamy mu bilet i pozwolimy wybrać

się w podróż, żeby sprawdzić, z kim się spotka. Może przy okazji uda się podprowadzić mu niepostrzeżenie aparat komórkowy i skopiować zawartość karty SIM, by się dowiedzieć, z kim się kontaktuje telefonicznie. Tacy jesteście niegrzeczni.

Obaj podlegli jej chłopcy zaśmiali się krótko, podobnie jak Ferris. Zawsze miał nadzieję, że CIA będzie mogła prowadzić operacje na tym właśnie poziomie, nie podejrzewał tylko, że już tak jest.

Azhar poprowadził go dalej, do następnego skupiska biur, które opisał jako sektor bankowy. Pracującym tu ludziom przyświecał analogiczny cel. Członkowie terrorystycznego podziemia musieli potajemnie przelewać swoje fundusze po całym świecie. Amerykanie i ich sprzymierzeńcy pozamykali przed nimi wszystkie bezpośrednie dojścia, wywierając naciski na banki, islamskie organizacje charytatywne, a nawet na członków kawali, pozabankowej sieci transferu pieniędzy. Działania te bardzo utrudniły bojownikom dżihadu przesyłanie funduszy z jednej komórki do drugiej, zaczęli więc szukać pośredników. Chcąc zaspokoić ich potrzeby, Azhar i jego niezwykła paczka stworzyli własny podsystem bankowy. Przy pomocy garstki ludzi specjalnie dobranych przez Hoffmana i Azhara utworzyli niezależną sieć pośredników zajmujących się potajnym transferem pieniędzy, którzy w większości wypadków nie byli nawet świadomi ingerencji CIA w ich poczynania. Niemniej, wszystkie informacje o funduszach przechodzących przez ich ręce trafiały automatycznie do bazy danych w tej podziemnej sali.

- Trzeba myśleć w takich samych kategoriach jak oni - tłumaczył Egipcjanin. - Na tym polega moja przewaga. Wychowywałem się razem z nimi. Stąd wiem, jak myślą, czego potrzebują i jak działają. A skoro świetnie rozumiem

ich potrzeby, łatwo mi znaleźć sposoby ich zaspokajania. Bilety lotnicze, fałszywe paszporty, transfery pieniędzy, bezpieczne kryjówki w różnych miastach świata, aparaty komórkowe, komputery. A oni nawet nie znają mojej twarzy. I zawsze jestem gotów im służyć, przez dwadzieścia cztery godziny na dobę i siedem dni w tygodniu. To jest mój biznesplan.

Egipcjanin jeszcze raz szerokim gestem powiódł po stanowiskach komputerowych i zapatrzonych w ekrany monitorów młodych ludziach, szukających sposobów zrozumienia i wyprowadzenia w pole przeciwnika. Ferris wiele czytał na temat Bletchley Park, niezwyklej zbieraniny po-strzeleńców, dziwaków i wyrzutków społecznych, którym udało się złamać hitlerowskie szyfry, dzięki czemu Wielka Brytania nie tylko zdołała się obronić, ale nawet wygrała drugą wojnę światową. Hoffman i Azhar stworzyli tutaj odpowiednik legendarnego brytyjskiego zespołu, wszechstronny system identyfikujący komórki Al-Kaidy i obserwujący ich wędrówkę w krwiobiegu ludzkości. Osiągnięcia potajemnej sekcji były imponujące, z jednym tylko wyjątkiem. Nie zdołały dotąd zmusić Sulejmana do wypłynięcia na powierzchnię. To Ferris ujawnił pseudonim organizatora zamachów, teraz zaś musiał na swój sposób wywabić go na otwartą przestrzeń.

15

Langley

Kiedy wrócili z wycieczki po „Parku Miazgi”, Hoffman już siedział w gabinecie Sarniego Azhara i pocierał palcami zaczerwienione oczy.

- Tak to jest, kiedy ludzie sądzą, że przegrywają wojnę -rzekł, kręcąc głową. - Nagle wszyscy podnoszą wrzask: „Ktoś musi za to nadstawić karku!”.

Nie wyjaśnił, o co mu chodzi, ale Ferris domyślił się bez trudu. Dyrektor właśnie zmył mu głowę za brak postępów śledztwa w sprawie zamachu we Frankfurcie, a to dlatego, że dyrektorowi analogicznie zmył głowę prezydent, co świadczyło wyraźnie, że media coraz bardziej przypierają prezydenta do muru. Nikt nie lubił się bać. Nie da się zbyt długo wytrzymać w ciągłym strachu. Każdy wolałby się od niego jak najszybciej uwolnić, ale czuł się bezradny, skoro nawet oficerowie wywiadu nie potrafili zidentyfikować wroga. A wszystko zdawało się skupiać na Hoffmanie tylko z tego prostego powodu, że był jedyną osobą potrafiącą znaleźć wyjście z tej sytuacji. Niektórzy wobec tak silnej presji jeszcze bardziej się sprężali do działania, ale Hoffman najwyraźniej reagował inaczej.

- Dyrektor dostał białej gorączki - wyjaśnił. - Biały Dom polecił mu właśnie stawić się jutro przed Senacką Komisją do Spraw Wywiadu i udzielić wyjaśnień co do zamachów w Mediolanie i Frankfurcie. Dlatego kazał mi przygotować dla niego tekst wystąpienia. Pewnie bym mu i współczuł, całkiem szczerze, gdyby nie był aż tak głupi.

- Wielkie imperia i małe umysły kiepsko do siebie pasują - zauważył sentencjonalnie Azhar. - To oczywiście cytata z Edmunda Burke'a, jeśli mnie pamięć nie myli.

- Dość zajmowania się bzdurami, amigos. Muszę niedługo wracać do swojego gabinetu, więc do rzeczy. Masz rację, Roger, to nic innego jak taqiyya. Przez tych kilka dni pracowaliśmy pełną parą, żeby poskładać do kupy legendę twojego człowieka, który nigdy nie istniał, czyli Harry'ego Meekera. To twój pomysł, my z Sarnim wypełniliśmy tylko parę białych plam.

Myszę jednak, że znaleźliśmy sposób na

to, by sztylet wbił się naprawdę bardzo głęboko. - Ruchem ręki dał znak Egipcjaninowi, żeby znów zajął miejsce przy komputerze, i ciągnął: - W porządku, Sami, pokaż zdjęcie Sadikiego. Azhar kliknął myszką i na ekranie wyświetliła się fotografia dobiegającego czterdziestki Araba w eleganckim garniturze. Miał starannie przystrzyżoną brodę i wyglądał na człowieka, który aż nadto serio przestrzega zasad postu i codziennych modlitw.

- To Omar Sadiki, jordański architekt z południa, z Ma'anu, miasta nadzwyczaj religijnego i konserwatywnego. Obecnie mieszka w Ammanie, gdzie pracuje dla firmy specjalizującej się w tradycyjnych arabskich wystrojach wnętrz. Jest przykładnym muzułmaninem, udziela się w kilku organizacjach dobroczynnych sponsorowanych przez Saudyjczyków. W ciągu ostatniej dekady podróżował regularnie do Żarki leżącej na północ od stolicy, żeby uczestniczyć tam w piątkowych modłach. Kilku członków jego grupy studiującej Koran zniknęło bez śladu, prawdopodobnie wstąpiło do ugrupowań podziemnych. Jesteśmy przekonani, że sam Omar w młodości był nakłaniany do wyjazdu do Afganistanu, ale zdecydował się zostać w Jordanii i

studiować architekturę. Pewnie dlatego współwyznawcy w meczecie tak bardzo mu ufają, bo nie puka do niczyich drzwi i nikogo do niczego nie namawia. Część ludzi z Żarki podejrzewa, że jest aktywnym członkiem Al-Kaidy, ale to nieprawda. Jest po prostu inteligentnym, stanowczym, religijnym człowiekiem.

- Zaczekaj. - Ferris powstrzymał go, unosząc rękę. - Nie chcę się uskarżać, ale skąd możecie wiedzieć aż tak dużo o kimś z mojego podwórka? Omar Sadiki, kimkolwiek jest, na pewno nie należy do moich agentów. Nigdy wcześniej o nim nie słyszałem. Dowiedzieliście się o nim

tyle od Haniego? A może prowadzicie potajemnie drugą placówkę? Jak mam to rozumieć, do diabła?

- Jezu, przestań się ciskać - syknął Hoffman. - Hani nie ma pojęcia o istnieniu Sadikiego. Nie zamierzam popełniać kolejnego błędu i wtajemniczać go w nasze operacje. Sadiki to efekt projektu niezastąpionego doktora Azhara. Miał być wykorzystany do podstępu w zakresie muzułmańskiej architektury i budownictwa użytkowego, jako naczelny projektant biur Al-Kaidy, mieszczących zarazem agencję podróży i oddział banku.

- Świetnie. Tylko jak go namierzylście?

- Powiedzmy, że Sami zna kogoś z jego bliskiej rodziny.

- To znaczy?

- To znaczy, że jego brat jest na mojej liście płac - wtrącił Azhar. - Pracuje dla UBS w Dahraniu, ale na boku kręci własny interes. Nawet nie zdaje sobie sprawy, że działa dla nas. Jeśli się nie mylę, nazywacie taką sytuację „fałszywym sztandarem”. Po prostu saudyjscy inwestorzy z mojego dawnego funduszu zaczęli go odwiedzać i przedstawiać go swoim przyjaciółom. Obecnie już mnóstwo ludzi korzysta z jego usług i pierze swoje brudne pieniądze. A to z kolei pozwala mi budować naszą małą przeciwsiatkę, którą ci niedawno pokazywałem. Składa się z samych przyjaciół przyjaciół i kuzynów kuzynów. A zaczęło się od tego, że pewien dżentelmen z Arabii Saudyjskiej opowiedział nam o poznanym niedawno nabożnym muzułmańskim bracie z Jordanii.

Ferris popatrzył jeszcze raz na zdjęcie na ekranie, po czym uśmiechnął się i pokręcił głową. Dostrzegł nagle całą ironię tej sytuacji, tak samo, jak musiał ją widzieć Hoffman.

- Już rozumiem - rzekł. - To on będzie moją taaiyyą. Zaczniemy udawać, że to nasz człowiek, chociaż nie ma z nami nic wspólnego. Jest chociaż po tej samej stronie?

- Owszem. - Hoffman delikatnie poklepał Ferrisa po policzku. - Szczerze mówiąc, cholernie mi się to podoba. Szykuje się mistyfikacja jakby rodem z księżycy, przez co nasz plan ma realne szanse powodzenia.

- Powiedzie się - odparł Ferris. - Jeśli wszystko urządzimy, jak należy. Trzeba stworzyć wrażenie, że Omar Sadiki jest członkiem wrogiej siatki. Wystarczy go wysłać tu i tam, dać parę nietypowych zleceń i ukuć wiarygodną legendę. Niech inni zaczną się martwić jego postępowaniem. Może uda się nawet tak zadziałać, by zrodziło się podejrzenie, że Sadiki próbuje przeniknąć na terytorium Sulejmana. Można też spróbować zrobić z niego terrorystę podkładającego bomby na własną rękę i rywalizującego z mistrzem. Może wzbudzimy w ten sposób zazdrość Sulejmana. W każdym razie powinno to stworzyć nerwową atmosferę.

- Więcej, doprowadzimy go do szału! - rzucił z entuzjazmem Hoffman. - Postaramy się, żeby Sadiki wyglądał na takiego gracza, by on po prostu musiał zacząć sprawdzać, co się dzieje. Cholernie się wścieknie. Zacznie się zastanawiać, czy to kierownictwo chce go wyłączyć z operacji terenowych, czy my aż tak głęboko przeniknęliśmy do jego siatki, czy też jest to jeszcze coś innego. Jak to możliwe, że wcześniej nie słyszał o Omarze Sadikim? I wtedy będzie musiał się wynurzyć, zacząć nawiązywać kontakty ze swoimi ludźmi. Nie zostawimy mu wyboru. Jeśli nie będzie wiedział, co się dzieje, automatycznie zacznie podejrzewać, że mamy go na widelcu. A jeśli rzeczywiście jest nieobliczalny, jego ludzie zaczną się o niego

poważnie niepokoić. Zrodzą się podejrzenia, że to on sam jest wtyczką. A wtedy: bach! Podrzucimy im smakowity kąsek, dowód na to, że Sulejman zdradził.

- Czyli Harry'ego Meekera?

- Otóż to. I wtedy go dopadniemy. Sami, pokaż następne zdjęcie.

Na ekranie pojawiła się fasada budynku w śródmieściu Ammanu, zbudowanego z białego kamienia, prawie jak wszystko w tym mieście. Nad frontowym wejściem wisiała tablica z dwujęzycznym napisem, angielskim i arabskim: „Al Fajr Architects”. Znakiem firmowym było wschodzące słońce.

- Tu właśnie pracuje Omar - rzekł Hoffman. - Jego firma zbiera mnóstwo zleceń z całego regionu Zatoki Perskiej. Podamy ci jej adres i numer telefonu. - Na ekranie wyświetliło się kolejne zdjęcie. - A to brat Omara, przyjaciel Sarniego, który pracuje dla UBS w Dahranie. Nie sądzę, byś musiał się z nim spotykać, ale pokazujemy ci to zdjęcie na wszelki wypadek, gdybyś znalazł się w poważnych tarapatkach i trzeba go było przycisnąć do muru.

- Jasne. Zatem do roboty - rzucił Ferris.

- Popracuj z Sarnim, przygotował ci już trochę grunt. Wystąpisz jako przedstawiciel banku, pragnący nająć Sadikiego do zaprojektowania waszej nowej filii w Zjednoczonych Emiratach. Kiedy wrócisz do Jordanii, we własnym zakresie dopracujesz pewne szczegóły tej operacji, ale na razie Sami pomoże ci złożyć do kupy tę bajeczkę na start.

- Ciągle powtarzasz: „kiedy wrócisz do Jordanii”. Skąd wiesz, że Hani w ogóle wpuści mnie do swego kraju? Był naprawdę wściekły, kiedy się rozstawaliśmy. Powiedział, że nie chce więcej słyszeć ode mnie ani słowa.

- Przeszło mu. Wczoraj poinformował ambasadę, że nadal chętnie będzie cię widział na stanowisku łącznika z jego dyrektoriatem. Ścisłej biorąc, zasugerował, że tylko ty będziesz mile widziany i jeśli spróbujemy wsadzić kogoś innego na twoje miejsce, natychmiast go odeśle. Twierdzi, że za dużo by go kosztowało wprowadzanie żółtodzioba w sytuację. Poza tym, ciebie polubił. Na swój sposób wręcz domagał się twojego powrotu. Z punktu widzenia „Parku Miazgi” łatwiej byłoby cię prowadzić jako wolnego strzelca, niezależnego od innych struktur agencji, ale nie możemy sobie pozwolić, by jeszcze bardziej zadzierać z Hanim. Dlatego wrócisz do Ammanu najszybciej, jak tylko będzie to możliwe. Tym możesz przestać się martwić.

- Więc kiedy mam wyjechać? - zapytał szybko, ponownie wędrując myślami do Alice. Skojarzył jednak, że teraz będzie miał przed nią znacznie więcej tajemnic.

- Na razie nie mam pojęcia, do diabła. Gdy będziesz gotowy.

- Już jestem gotowy. Chcę jak najszybciej wracać do Jordanii.

- Nie chcesz się nawet zobaczyć z żoną?

- Nie za bardzo. Już ci mówiłem w Ammanie, że żyjemy właściwie w separacji.

Powiadomiłem ją przedwczoraj, że chcę rozvodu.

- Świetnie. Jak ci pasuje. To nie moja sprawa. Skoro wszyscy dokoła rozpieprzają swoje małżeństwa, czemu miałbyś się wyróżniać? W takim razie możesz wyjechać, kiedy tylko zechcesz. Ale po drodze musisz się zatrzymać w Europie i porozmawiać z paroma osobami.

- Konkretnie z kim?

- Z naszymi ninja do tej operacji. To ludzie MacDilla. Siedzą w Europie, nudzą się bezgranicznie i tylko czekają, aż ktoś im powie, co mają robić. Weźmiesz to na siebie, z niewielką pomocą Sarniego. Na pewno będą próbowali się wymigać od roboty. To banda niezłych świrusów. Są zbyt niezależni, by uczestniczyć w jakiegokolwiek standardowej operacji. I za to najbardziej ich lubię. - Wstał szybko. - Idę do dyrektora. Chyba nie muszę wam mówić, że znacznie bardziej wolałbym zostać z wami, by poszukać

?ra

jeszcze innych rzeczy, które dadzą się zwalić na głowę Sulejmana. Niestety, obowiązki wzywają. I pamiętaj, Ferris, co powiedział Sam Snead: „Jeśli nie myślisz cały czas o cipkach, tracisz zdolność koncentracji”.

Resztę dnia i prawie cały następny Ferris spędził z Sarnim Azharem na przygotowaniach do wyjazdu. Wspólnie opracowali scenariusz pierwszego kontaktu z Omarem Sa-dikim. Sprawdzili miejsca w Abu Dhabi, gdzie mogłoby dojść do tego spotkania. Zlecili nawet służbom Technicznym przygotowanie charakteryzacji, w której Ferris miał wystąpić przed architektem. Ale przede wszystkim zaczęli rozwijać wokół Sadikiego zasłonę pozorów, mających świadczyć o jego przynależności do podziemia terrorystycznego, z którym naprawdę nie miał nic wspólnego. Azhar okazał się prawdziwym geniuszem w szantażowaniu prawników, konsultantów informatyki oraz pośredników finansowych, którzy w różny sposób mogli uwiarygodnić powstającą legendę.

- Obawiam się, że będziemy potrzebowali materiałów wybuchowych, by uprawdopodobnić jego udział w szykowaniu samochodów-pułapek - rzekł Egipcjanin.

- To żaden problem - odparł Ferris. - Porozmawiam o tym w Rzymie z naszymi ninja. -

Przyszło mu do głowy, że sam Hoffman nie powiedziałby tego z większą pewnością siebie.

Ale w końcu wszystko mogło się zdarzyć na etapie rozkręcania nowej operacji.

Im bardziej zbliżał się termin jego wyjazdu, tym dziwniej zachowywał się Azhar. Ferris sądził, że kieruje nim zazdrość z tego powodu, iż sam nie może wyjechać na Bliski Wschód.

Ale chodziło o coś innego. W końcu wręczył Ferrisowi małe plastikowe pudełeczko w kształcie półkuli,

mniej więcej takie, w jakich dzieci trzymają aparaty ortodontyczne. Wewnątrz znajdował się żelowy mostek zawierający śmiertelną truciznę.

- To na wypadek... - zająknął się Egipcjanin. - Mam nadzieję, że nigdy nie będziesz musiał tego użyć.

- Nie martw się, Sami - pocieszył go. - Nic złego mi się nie przydarzy.

Kiedy jednak ściskali sobie dłonie na pożegnanie, zwrócił uwagę, że Azharowi wyraźnie trzęsą się ręce. W głębi ducha sam wiedział, że jest się czym martwić. Udawał się w rejon, gdzie nie istniały żadne granice ani reguły postępowania, gdzie rzeczywiście wszystko mogło się zdarzyć. Uświadomił sobie, że musi załatwić jeszcze jedną rzecz przed wyjazdem z Waszyngtonu, to znaczy zobaczyć się z matką, i

16

|

Charlottesville, Wirginia

Joan Ferris mieszkała na zachodnim skraju Charlottesville, w obszernym ranczerskim domu z widokiem na Blue Ridge. Kupiła go zaledwie kilka lat przed śmiercią męża, który zdążył go tylko okablować, poinstalować gniazdka telefoniczne w każdym pokoju, a elektryczne co kilka metrów, nie mówiąc już o dziesiątkach innych drobnych usprawnieniach. Nie zdążył się nimi nacieszyć, ale Tom Ferris zawsze miał kłopoty z właściwym wyczuciem czasu. Na jego pogrzebie Roger odczytał fragment Podróży do Bizancjum, świetnie odzwierciedlający jego uczucia do ojca, który tak naprawdę urodził się w niewłaściwym kraju i w nieodpowiedniej epoce, bo przez całe życie próbował

się układać z ludźmi w ogóle niewartymi zachodu. Podczas stypy goście gratulowali mu, że zdołał odczytać długi wiersz, nie uroniwszy ani jednej łezki, przez co tylko poczuł się jeszcze bardziej paskudnie.

Roger dorastał w hrabstwie Fairfax, w pobliżu autostrady numer 50, łączącej podmiejskie osiedla Waszyngtonu. Większość mieszkańców ich osiedla była w taki czy inny sposób związana z Pentagonem albo CIA. Kiedy był mały, ojciec codziennie rano wciągał na maszt przed domem gwiazdzisty sztandar, ale pewnego dnia nagle zarzucił ten zwyczaj, jakby

utracił wiarę w jego sens. A kiedy zapytał ojca o powody, ten wskazał szeregi domów wzdłuż ulicy i rzekł z goryczą w głosie:

- Na tym osiedlu sztandarów jest pod dostatkiem, brakuje tylko prawdziwych patriotów.

Matka Rogera podjęła pracę nauczycielki angielskiego w liceum imienia George'a Marshalla, do którego i on później chodził. Wychowywał się w przekonaniu, że coś jest nie w porządku, a ich ogólnoamerykański styl życia kryje w sobie jakieś skazy. Utwierdził się w tym przekonaniu, gdy ojciec niespodziewanie stracił pracę, o której nigdy nie mówił, a później matce obrzydł stan wiecznej desperacji męża i pewnego popołudnia po prostu nie wrócił do domu.

Bardzo się starał, żeby rodzice byli szczęśliwi, gdyż tylko w ten sposób mógł się przyczynić do scementowania rozpadającej się rodziny. Dlatego też w klasie maturalnej znalazł się w gronie najlepszych uczniów szkoły, nie mówiąc o wyróżnieniach sportowych w zapasach i grze w szkolnej drużynie futbolowej. W tej drugiej dyscyplinie ustawiono go na środku obrony, ale pod koniec drugiego sezonu rozgrywek grał nawet przez pewien czas na skrzydle ataku, kiedy zawodnik z tej pozycji odniósł kontuzję. Natomiast na macie zyskał opinię „wypruwacza flaków”. Dotarł aż do mistrzostw stanowych, pokonując wielu lepszych od siebie przeciwników tylko dlatego, że pod koniec walki zawsze przeważał kondycyjnie, podczas gdy tamci szybko opadali z sił. W szkolnym albumie jego rocznika jako ulubiony cytat zamieszczono sentencję Vince'a Lombardiego: „Zwycięstwo to nie wszystko. Nie ma niczego poza zwycięstwem”. Jego największym problemem w szkole średniej -bo jednak miał jakiś problem - stało się to, że był zbyt inteligentny, by należeć do „mieśniaków”, i za dobrze zbudowany, by zostać zaliczonym do „kujonów”. Przez to nie mógł zagrozić miejsca w żadnej paczce, nauczył się więc nie okazywać po sobie uczuć, by ludzie nie wiedzieli, co naprawdę myśli, a to okazało się po latach bardzo przydatne. Natomiast największym sekretem w tamtych latach było spalające go pragnienie utraty dziewictwa, a kiedy dokonało się to wreszcie w klasie maturalnej, odkrył w sobie inne wyzwania, przede wszystkim wybujałą ambicję. Nigdy nie miał żadnych tajemnic przed matką, a zwłaszcza nie ukrywał swoich pragnień ucieczki z podmiejskiego światka, pozostawienia za sobą poczucia klęski, które na dobre zdominowało atmosferę rodzinnego domu.

Dlatego też nie lubił wracać do tej atmosfery, mimo przeprowadzki rodziców do nowego domu. Bo ten z kolei za bardzo przypominał mu o ojcu, o którym pamięć była jak niedokończona rozmowa. Innym denerwującym aspektem domu była liczba znajdujących się w nim pamiątek po Gretchen. Jeszcze przed ślubem, jak też zaraz po nim, często tu bywali, uprawiali seks bodaj w każdym pomieszczeniu, ale też na tylnym podwórku. Teraz myśli o żonie wzbudzały w nim jedynie dreszcz. Miał ochotę zadzwonić do Alice, ta jednak była nieosiągalna już od kilku dni. Prawdopodobnie dokądś wyjechała, a może po pro-

213
stu nie odbierała telefonów. W każdym razie bardzo za nią tęsknił.

Matka zdołała go namówić, żeby został na obiedzie. Specjalnie przygotowała potrawę, którą od lat uważała za jego ulubione danie: zapiekanekę z gotowanej wołowiny, zielonego groszku, fasolki i ziemniaków w sosie pomidorowym, którą nazywała „świszczącą siekanką”. Nigdy nie było to jego ulubione jedzenie, wręcz przeciwnie, nawet dziwaczna nazwa skłaniała go do wniosku, że nie jest zdrowe. Nie chciał jednak rozczarować matki, która zawsze przyrządzała tę zapiekanekę z olbrzymią radością, jakby koniecznie chciała mu udowodnić, że mimo wszystko jest dobrą matką. Na tym punkcie miała drobny uraz.

- Czasami czuję się jak oszustka, o której wszyscy wszystko wiedzą - mawiała niekiedy, zwłaszcza późnym wieczorem, kiedy siedzieli w kuchni po kolacji.

Próbował jej to wyperswadować, ale wówczas spoglądała na niego niewidzącym wzrokiem, mówiącym jednoznacznie, że on w ogóle nie ma pojęcia, o co jej chodzi.

Joan Ferris była urodzoną intelektualistką. Czytała bardzo dużo i bardzo uważnie. Za młodu Roger uważał, że byłby z niej idealny wykładowca w college'u. Uwielbiała nowe idee i z chęcią dyskutowała z nim godzinami, podczas gdy ojciec zamykał się w swoim warsztacie, gdzie dopieszczał artystycznie rzeźbione przez siebie elementy z drewna, niemające absolutnie żadnego praktycznego zastosowania. W ich domu nikt nigdy nie włączał telewizora w niedzielne popołudnia, nawet gdy transmitowano mecz Redskinsów. Joan Ferris bardzo się ucieszyła, kiedy podjął pracę w redakcji magazynu „Time”, a później przyjęła z wielkim zaskoczeniem wiadomość, że przeszedł na służbę w Departamencie Stanu. Niemniej odbierała z satysfakcją, że jest bardzo zadowolony z nowej posady, choć po latach spędzonych u boku męża, trzymającego swe sprawy zawodowe w ścisłej tajemnicy, domyślała się, gdzie Roger naprawdę pracuje. Nie protestowała jednak, najwyraźniej rozumiejąc, że w jakimś stopniu bierze odwet za los ojca.

Po obiedzie Ferris ruszył w stronę stosu albumów ze zdjęciami leżących na kredensie. Próbował ukryć swoje utykanie, ale matki nie dało się oszukać.

- Z twoją nogą wciąż nie jest najlepiej, prawda?

- Nie, wszystko w porządku - burknął. - Jestem zdrowy jak koń.

Albumy były równiutko poukładane jeden na drugim, na grzbietach znajdowały się nalepki z datami i miejscami zrobienia zdjęć. Wyciągnął ten opisany „Babcia i Baba”, co oznaczało rodziców ojca mieszkających pod Pittsbu-rgiem. Rodzice jego matki, którzy mieszkali w Morri-stown w stanie New Jersey, występowali jako „Skarb” oraz „Dziadek”. W albumie było niewiele zdjęć, dziadkowie niechętnie je rozdawali. Według Ferrisa zwyczajnie się wstydzi - tego, że mieszkają w Pittsburgu, że Baba jest zwykłym robotnikiem w stalowni, że za słabo wtopili się w tę mieszankę wypełniającą amerykański tygiel, by czuć się równymi z ich przybranym synem i jego żoną, przedstawicielką dominującej tu protestanckiej rasy białej.

Ferris odziedziczył muskularną budowę ciała po Babie, ale był od niego dużo jaśniejszy, gdyż dziadek odznaczał się cerą o odcieniu markowej oliwy z oliwek pierwszego tłoczenia, a jego włosy miały połysk i twardość szczotki ryżowej.

- Ciekaw jestem, skąd pochodzili przodkowie Baby -powtarzał często Ferris, lecz to pytanie pozostawało w zasadzie bez odpowiedzi. Gdzieś z Bałkanów, z jakiejś krainy, która po wojnie weszła w skład Jugosławii. Najbardziej precyzyjnym określeniem, jakie w życiu usłyszał, było: „Chyba z Bośni”.

- Poznałem w Jordanii pewnego człowieka, który twierdzi, że w moich żyłach musi płynąć arabska krew. Wcale nie jestem pewien, czy żartuje.

- Chyba nie - zaśmiała się matka. - Baba mówił, że jego przodkowie uciekli z Imperium Otomańskiego, które obejmowało wówczas olbrzymie terytorium. Zawsze wyobrażałam sobie, że jego rodzina pochodzi z kraju o trudnej do wymówienia nazwie, jak Bośnia-Hercegowina czy Abchazja. Pamiętam, że z jego opowieści wynikało, iż w rodzinnej miejscowości przeważali muzułmanie. Ale nie lubił opowiadać o przeszłości swojej rodziny, a twój ojciec nigdy go nie naciskał. Ważne, że ostatecznie wyładowali w rejonie Pittsburga, a jak się domyślam, nie znosili, gdy nazywano ich „Pepikami”, „Polaczkami” czy jeszcze inaczej, ale równie pogardliwie. Dlatego zawsze myśleli o sobie jak o Amerykanach. Tak mi się przynajmniej wydawało.

- Ale Ferris to nie jest nazwisko pochodzące z Europy Wschodniej, prawda? Tata wspominał kiedyś, że w przeszłości zostało zmienione, ale podobno nie znał jego oryginalnego brzmienia.

- Mnie mówił to samo, jeszcze przed ślubem. Ten temat chyba wprawiał go w zakłopotanie. Zawsze powtarzał, że ma jakieś stare rodzinne dokumenty, ale nigdy mi ich nie pokazał. Było mi przykro, że twój ojciec z takim lekceważeniem podchodził do historii swojej rodziny, ale z drugiej strony, bardzo go cieszyło, że może się uważać za rodowitego Amerykanina. Kiedyś

próbowałam go namówić, by mi pomógł w tworzeniu genealogii naszej rodziny, ale nie był tym zainteresowany.

- Rodzina Baby była katolicka, zgadza się?

- Tak mi się zdaje, bo zawsze wysyłał nas na msze razem z Babcią. Nic go nie obchodziło, że jestem protestantką. Takie rzeczy interesowały tylko ją. Kiedy jej powiedziałam, że jestem kongregacjonalistką, zapytała: „A więc nie żydówką?”, jakby chciała się upewnić. Mam wrażenie, że dziadkowie nawet w Pittsburghu należeli do mniejszości wyznaniowych.

Spuścił głowę i ponownie utkwiał wzrok w fotografii dziadka.

- Nawet jestem do niego trochę podobny, prawda?

- Trochę. Wyglądasz jednak dużo lepiej, mój drogi.

Odłożył album na półkę. Chciał jeszcze odwlec tę nieuchronną chwilę, opóźnić ją maksymalnie, ale z samego rana musiał wracać do Waszyngtonu.

- Powiedziałem Gretchen, że chcę rozwodu - wypalił. - Nie mieszkamy już razem, a nawet gdy mieszkaliśmy, nie byliśmy ze sobą szczęśliwi. Dlatego doszedłem do wniosku, że najwyższa pora skończyć z fikcją i się rozstać, dopóki nie mamy dzieci, bo wtedy sprawa znacznie bardziej by się skomplikowała.

- Rozumiem. I co ona na to?

Przypomniał sobie chyba wszystkie odmienne wersje „nie”, jakie usłyszał tamtego wieczoru. Nadal było mu wstyd, że tak łatwo dał się zaciągnąć do łóżka, a więc niejako zetrzeć w proch silne postanowienie zakończenia tego związku, co bezskutecznie próbował wyrazić słowami.

- Nie była zadowolona. Jej zdaniem tworzymy idealną parę. Podejrzewam, że po prostu nie chce jej się szukać innego kandydata na męża. Jest zbyt zajęta robieniem kariery zawodowej.

- Tak, pod tym względem masz rację. Gretchen sprawiała wrażenie bardzo zajętej sobą już tamtego dnia, kiedy nam ją przedstawiłeś, na uroczystym rozdaniu dyplomów.

- A co ty o tym sądzisz, mamó?

- Gretchen to typowa kobieta sukcesu. Szczerze mówiąc, chciałabym mieć tyle zapału, co ona. Ale od początku miałam wątpliwości, czy będziesz szczęśliwy w tym związku. Więc jeśli sam zdecydowałeś się na tak gruntowną odmianę i jesteś gotów ponieść wszelkie bolesne konsekwencje, powinieneś zrobić to, co uważasz za najlepsze. Oczywiście dla twojego serca. A skoro już biorę znowu na siebie rolę troskliwej matki, posunę się dalej i zadam ci oczywiste pytanie: Czy jest w twoim życiu inna kobieta?

- Jeszcze nie wiem. Możliwe. Ale nie robię tego z jej powodu. I tak chciałbym rozwodu, nawet gdyby jej nie było. Niemniej, poznałem w Ammanie pewną dziewczynę, którą bardzo polubiłem. Mam nadzieję, że z nią mi się lepiej powiedzie. Zobaczymy.

Ucałował matkę serdecznie i oznajmił, że idzie do łóżka. Odpowiedziała, że musi jeszcze posprzątać w kuchni, ale nie ruszyła się z miejsca. W jej oczach dominował wyraz troski i bezradności, który widywał za każdym razem, ilekroć się żegnali.

Gretchen wydzwaniała pod numer jego komórki, najpierw z domu, potem z biura, wreszcie ze swojego aparatu komórkowego. Ignorował ją, nie odpowiadał też na wiadomości pozostawione w poczcie głosowej. Ale kiedy jechał z powrotem do Waszyngtonu i telefon zadzwonił po raz kolejny, a na wyświetlaczu nie pojawił się żaden z dobrze mu znanych numerów, odebrał połączenie. Natychmiast rozpoznał jej głos. Najwyraźniej korzystała z telefonu kogoś innego. Wrzasnęła do słuchawki:

- Gdzie ty jesteś, Roger?! Do jasnej cholery! Dlaczego nie odpowiadasz na moje wezwania?! Nie masz prawa mi tego robić! Po prostu nie masz prawa! Jestem twoją żoną. Wszyscy to wiedzą.

- Jestem właśnie w drodze powrotnej od matki. Powiedziałem jej, że się rozwodzimy.

- Wcale się nie rozwodzimy. Przecież mnie kochasz. Sam wiesz o tym najlepiej.

- Daj sobie spokój z tym przedstawieniem, Gretchen. Nie kocham cię. I chcę rozwodu.
- Kłamiesz. Jesteś żałośnie słaby. Jak mógłbyś się pieprzyć ze mną z takim zaangażowaniem, gdybyś mnie nie kochał? Jeszcze nikt mnie w ten sposób nie potraktował. Nikt cię nie zmuszał, żebyś się ze mną pieprzył. Jak sądzisz, co o tym pomyśli sędzia podczas sprawy rozwodowej?
- A co sędzia ma wspólnego z nami? Nie zmusisz nikogo, by pozostał w związku małżeńskim. Prawo nie działa w ten sposób. Nawet ja to wiem. A rozwód nie musi być wspólną decyzją obu stron, skoro oznacza koniec podejmowania wspólnych decyzji.
- Przecież kochałeś się ze mną! I to trzy razy!
- Posłuchaj, Gretchen, bardzo mi przykro, że ci uległem. Jesteś bardzo pociągająca. Jak zawsze. Gdyby dobry seks wystarczył na dobre małżeństwo, na pewno nie byłoby mowy o rozwodzie. Ale tak nie jest.
- Traktujesz mnie jak dziwkę. Jeśli myślisz, że możesz się ze mną pieprzyć, a potem odejść, kiedy ci przyjdzie ochota, to się mylisz. Gorzko pożałujesz, jeśli dalej będziesz obstawał przy swoim. Możesz mi wierzyć. Już ja się o to postaram.
- Lepiej daruj sobie te pogroźki, Gretchen. Na co dzień mam do czynienia z ludźmi o wiele groźniejszymi od ciebie. Możesz mi wierzyć.
- To się jeszcze okaże, Roger. Nigdy dotąd mnie tak nie rozwścieczyłeś. Kiedy chodzi o zasady, nie uznaję kompromisów. Chwytam się wszystkiego, co tylko możliwe. Zatem pożałujesz, obiecuję ci to.
Chciał ją uspokoić i zaproponować, żeby porozmawiała ze swoim adwokatem jeszcze przed jego wyjazdem, ale przerwała połączenie.

17

Rzym I Genewa

Zameldował się w małym hoteliku przy Piazza Cavour w Rzymie, w szarej dzielnicy wciskającej się między Tyber i mury Watykanu. Niepozorny, wręcz anonimowy hotel przyciągnął go dlatego, że był za mało wyszukany dla Amerykanów i za mało urzekający dla Europejczyków. Ponadto rezerwację załatwiły mu dzieciaki pracujące dla Azhara, uważając zapewne, że będzie to dla niego najlepsze lokum, by się ukryć w Rzymie. Kontakt z oddziałem ninja miała mu zapewnić wiadomość wysłana pod wskazany numer komórkowy, skąd miała nadejść odpowiedź od „Tony'ego”, dowódcy stacjonującego tutaj oddziału służb specjalnych. Wysłał wiadomość, jak tylko zameldował się w hotelu, lecz nie otrzymał odpowiedzi ani tego, ani następnego dnia.

Od razu pierwszego wieczoru z budki telefonicznej zadzwonił do Alice. Żałował, że nie mogą spotkać się w Rzymie, chodzić na długie spacery i żyć wyłącznie miłością i cappuccino, jednakże w obecnym stanie rzeczy nie mógł jej nawet zdradzić, skąd dzwoni. Okazało się, że na dłużej musiała wyjechać z Ammanu do obozów uchodźców w pobliżu granicy syryjskiej. Zaczął ją karcić za podejmowanie zbędnego ryzyka, ale ucieła:

- Przecież ci ludzie mnie potrzebują!

Była pod wrażeniem ostatnich przerażających wiadomości o kolejnych zabitych zarówno na Zachodnim Brzegu, jak i w Iraku. Dokąd zmierzał ten świat? Nie umiał jej na to odpowiedzieć.

- Kocham cię - rzekł. Po raz pierwszy do niej. Na dłużej zapadła cisza, wreszcie Alice mruknęła:

- O rety...

- Powiedziałem Gretchen, że chcę rozwodu.

- To dobrze - odparła. - To znaczy... dobrze, że jej to powiedziałeś, ale niedobrze, że wasze małżeństwo się rozpada. Gdybyś jej tego nie powiedział, zaczęłabym podejrzewać, że należysz do tych, którzy po prostu nie umieją być szczęśliwi. Albo że stchórzyłeś.

Zaśmiał się krótko i powtórzył:

- Kocham cię.

- Wracaj do domu, żebym i ja mogła cię kochać. Obiecał, że niedługo przyjedzie, choć zdawał sobie

sprawę, że przygotowania w Rzymie mogą potrwać nawet dwa tygodnie. Kiedy odwiesił słuchawkę, poczuł wręcz fizyczny ból przeszywający całe ciało.

Dwa dni czekał na „Tony'ego”, kręcąc się po brukowanych rzymskich zaułkach, żeby rozładować napięcie nerwowe. Próbował sobie wyobrazić kolegów z sił specjalnych krążących wśród amerykańskich turystów na Piazza Navona czy przy fontannie di Trevi - atletycznie zbudowanych, w bawełnianych koszulkach opinających się na muskularnych torsach, z karkami niczym pień dorodnej sosny, małowmnych, rozglądających się uważnie zza szkieł ciemnych okularów. Skonstatował ze zdumieniem, że wszyscy ludzie w Rzymie wyglądają na turystów, nawet bezdomne obdartusy kocujące wzdłuż mulistych brzegów Tybru.

Dopytywał się w recepcji po każdym powrocie do hotelu, lecz wciąż nie było dla niego żadnej wiadomości. Aż

wreszcie, trzeciego dnia po południu, odebrał małą karteczkę, na której znajdował się tylko numer telefonu z imieniem „Antony”. Właśnie na to czekał. Zadzwoił pod wskazany numer z budki telefonicznej stojącej przed Pałacem Sprawiedliwości.

- Przepraszam, ale trochę nam się popieprzyło - powiedział mu rozmówca. - Kłopoty z bezpieczeństwem. Musimy jeszcze poczekać, aż nie będzie tak gorąco.

- A jaka jest obecnie temperatura?

- Już się schładza. Będziemy wystarczająco oziębieni jutro rano.

- Gdzie moglibyśmy się spotkać?

- W świątyni Faustyny, Villa Borghese - rzucił oficer sił specjalnych, z wyraźnym trudem wymawiając włoskie nazwisko Borghese.

Nazajutrz Ferris pojechał taksówką na Via Condotti, przez jakiś czas kręcił się po tamtejszych sklepach, żeby sprawdzić, czy nikt go nie obserwuje, po czym złapał drugą taksówkę do Villa Borghese na przeciwległym brzegu rzeki. Kierowcy kazał się zatrzymać na wprost świątyni Faustyny, przy stawie sąsiadującym z ogrodem zoologicznym. Już z daleka zauważył mężczyznę stojącego przed świątynią niczym słup soli, jakby ktoś mu założył cementowe buty. To musiał być „Tony”. Okazało się, że naprawdę ma na imię Jim, a przynajmniej takim imieniem się przedstawił. Miał na sobie džinsy i czarny golf pod rozpiętą trykotową koszulą. Niczym by się nie wyróżniał spośród tysięcy mężczyzn w jego wieku, gdyby nie lodowate spojrzenie, którym bez przerwy wodził na boki.

Ferris uściśnął mu dłoń i przyjrzał się uważnie rysom twarzy.

- Nie spotkaliśmy się już gdzieś? - zapytał.

- To możliwe, proszę pana, choć mało prawdopodobne.

- W Baladzie, na początku tego roku. Kierowałeś jakąś operacją pod osłoną oddziałów z pułku sto czterdziestego piątego. Ja pracowałem wtedy za ścianą. Przynajmniej do czasu, kiedy zostałem ranny.

- Gratuluję pamięci. Możemy się zatem uważać za kolegów po fachu.

Wspólna przeszłość w irackim kotle błyskawicznie roztopiła lody. Zazwyczaj wojskowi lekceważą swoich partnerów z CIA, zwłaszcza tych, którzy nie mają za sobą wojskowej przeszłości. Ale Ferris stanowił wyjątek. Był w Iraku i wypełniając tam zadania, omal nie stracił nogi.

- Więc co się dzieje? - zapytał. - Powiedziałeś przez telefon, że macie jakieś kłopoty z bezpieczeństwem.

- To przez tych walniętych Włochów. - Jim w zakłopotaniu pokręcił głową. - Jeden z moich chłopaków uczestniczył w wypadku samochodowym. To nie była jego wina. Po prostu miejscowi jeżdżą trochę inaczej niż my. W każdym razie gliniarz z drogówki zaczął go

wypytywać, gdzie mieszka i jak zarabia na życie, po czym wysłał do naszej kryjówki oddział karabinierów. No i zrobiło się gorąco. Mieliliśmy bazę wypadową w wynajętym mieszkaniu niedaleko uniwersytetu, jakieś półtora kilometra stąd. A teraz musimy się przenieść z miejsca na miejsce.

- Gdzie założyliście bazę tymczasową?

- W Cavilieri Hilton na Monte Mario.

- Jezus! Przecież tam pokój musi kosztować z pięćset dolarów za dobę!

- Niestety, zgadza się. - Po wargach Jima przemknął ledwie zauważalny tajemniczy uśmiech.

- Ale to dobre schronienie dla Amerykanów. Jest tam basen kąpielowy, dziewczyny na telefon i w ogóle. Nie wyróżniamy się spośród turystów. Poza tym trudno oszczędzać na wydatkach, gdy bierze się udział w globalnej wojnie z terrorystami.

Ferris wybuchnął gromkim śmiechem.

- Od jak dawna tam siedzicie?

- Od miesiąca. I przez ten czas zdołaliśmy tylko zapewnić sobie krycie i ustalić zasady łączności, więc pewnie jesteście traktowani jak obiboki. Pułkownik zapowiedział wprost, że pan da nam popalić. Powiedział też, że kieruje pan jakąś supertajną operacją, a ponieważ nasz udział w niej zatwierdził sam dowódca bazy McDilla, mamy wykonywać każde pańskie polecenie. Nie jestem jednak pewien, czy pułkownik wie, o co chodzi. Wyczułem, że jest wściekły na takie załatwienie sprawy. O panu i pańskich kolegach mówił tak, jakbyście byli duchami obsypanymi czarodziejskim pyłem.

- Przejdźmy się - zaproponował Ferris.

Uznał, że nie ma co się dalej starać o przejście na ty. Rzeczywiście z punktu widzenia grupy zabijaków Jima jego pojawienie się w Rzymie było niczym deszcz po długiej suszy. Dotarli do ławki, z której roztaczał się panoramiczny widok na staw i dochodzące do niego z przeciwnej strony ścieżki prowadzące do zoo. Ferris ruchem ręki dał znak, żeby usiedli.

- A więc umowa jest taka. Prowadzimy ściśle tajną operację wymierzoną przeciwko ludziom, którzy rozstawiają w całej Europie samochody-pułapki. Ściśle rzecz biorąc, nie jest to operacja CIA, kieruje nią niezależna komórka. W zasadzie ważne jest tylko to, że mój szef uzgodnił zasady waszego udziału w tej operacji z waszym szefem. Jasne?

- Jasne. Więc czym mamy się zająć?

- Na razie nie mogę jeszcze powiedzieć. Chciałbym tylko, żebyście byli gotowi do dwóch rzeczy. Po pierwsze, do natychmiastowego wkroczenia do akcji, gdyby któryś z naszych priorytetowych obiektów wyłonił się na światło dzienne. Ilu ludzi masz w oddziale?

- Czterech, nie licząc mnie.

- W porządku. Bądźcie więc gotowi, by wyruszyć

o każdej porze, jeśli uda się któregoś z bandytów wywabić na powierzchnię. Przygotujcie swój sprzęt oraz broń

I bądźcie gotowi do działania przez okrągłą dobę. Robiliście już wcześniej tego typu wypadu?

Oficer sił specjalnych przytaknął energicznym skinieniem głowy, od czego zagrały mu mięśnie na karku.

- Tak. W Iraku, Indonezji...

- Świetnie - uciał Ferris. - Zatem wiecie, co i jak. Liczy się zaskoczenie. Nikt nie widzi, jak wkraczacie do akcji, i nikt nie widzi, jak się wycofujecie. Musicie być niewidzialni przez całą dobę, bo trzeba będzie obiekt przetransportować, nie alarmując jego siatki. Najważniejsze, żeby wyszedł z tej akcji cało. Wiem, że to może być trudne, ale w tej operacji to sprawa zasadnicza. Nie zdołamy przeniknąć do organizacji, jeśli niczego nie wydusimy ze schwytanych. Czy możesz ręczyć za swoich ludzi? Mają jakieś doświadczenie w tego typu akcjach?

- Tak jest. Wszyscy z wyjątkiem jednego, ale i on sobie poradzi. To chłopak z Biloxi, mój ziomek.

- W każdym razie przypomnij mu o śmieciach w kieszeniach, tych wszystkich drobiazgach, które mogą stanowić o sukcesie naszej operacji, jeśli tylko uda się je przechwycić. Mam na myśli paragony, wizytówki bądź kartki z numerami telefonów, karty pamięci aparatów komórkowych, pokwitowania bankowe, przenośne pamięci komputerowe. Za wszelką cenę nie można dopuścić, żeby obiekt zdążył je zniszczyć, gdy wyważycie jego drzwi. Jak będziesz układał plan akcji, weź pod uwagę ewentualne wtargnięcie z kilku stron naraz, żeby uniemożliwić obiektowi zniszczenie czegokolwiek.

- Tak jest - rzucił cicho oficer, wodząc spojrzeniem dookoła i wypatrując jakichkolwiek oznak tego, że są obserwowani.

- A po unieszkodliwieniu obiektu będziecie musieli zrobić dokładną rewizję, nawet gdy zostanie na to bardzo mało czasu. Ci ludzie noszą wszystko przy sobie, wszelkie niezbędne informacje i zapiski. Mają paranoję, dobrze wiedząc, że depczemy im po piętach, więc nawet na chwilę nie rozstają się ze swoimi laptopami, aparatami komórkowymi z zestawami zapasowych kart SIM czy choćby notesami zawierającymi adresy i telefony. Pilnują tego jak oka w głowie przez okrągłą dobę. A to oznacza, że gdyby udało się złapać kogoś z nich ze wszystkimi tymi śmieciami w kieszeniach i całą gamą drobiazgów, byłaby to zdobycz nieoceniona.

- Przyjąłem, zrozumiałem i potwierdzam. Mówił pan, że jest jeszcze jedna rzecz. O co chodzi?

Ferris, który także rozglądał się uważnie, zwrócił uwagę na mężczyznę z psem, idącego w ich stronę od ulicy biegnącej wzdłuż północnego brzegu stawu.

- A ten czego tu szuka, do cholery? - mruknął, podnosząc się z ławki.

Spacerowali przez następne pięć minut, dopóki nie znaleźli drugiej ławki w odludnej części parku, ponad urządzonym na tarasach ogrodem kwiatowym. Kiedy usiedli, wrócił do przerwanej rozmowy.

- Ta druga rzecz może się wydać nieco dziwna.

- Robiliśmy już dziwne rzeczy.

- Potrzebna będzie większa ilość materiałów wybuchowych, koniecznie tego samego typu, jakich użyto do skonstruowania bomb, które eksplodowały we Frankfurcie i Mediolanie.

Nawet tego samego producenta. Moi ludzie się o to zatroszczą. Do tego trzeba będzie zdobyć detonatory, również odpowiedniego typu. Przekażemy wam wszelkie niezbędne szczegóły.

- Zrozumiałem. I co zrobimy z całym tym koksem?

- Skonstruujemy bombę i umieścimy w samochodzie--pułapce.

Jim spojrział na niego z ukosa. Po raz pierwszy nie mruknął swojego „zrozumiałem”, tylko skinął głową i zapytał z ociąganiem:

- A do czego będzie nam potrzebny ten samochód?

- Oczywiście do tego, żeby go zdetonować.

- Jasna cholera... Mam nadzieję, że ta akcja została zatwierdzona przez właściwych ludzi. Zgadza się?

- Tak. Przynajmniej z grubsza.

- Nie chce pan powiedzieć mi nic więcej?

- Nie. Powiedziałem już wszystko, co mogłem. Mogę tylko dodać, że gdybyś wiedział tyle, co ja, na pewno powiedziałbyś: „To cholernie sprytnie pomyślana operacja”.

Następnego ranka Ferris wyjechał z Rzymu do Genewy, gdzie miał nawiązać pierwszy kontakt z Omarem Sa-dikim. Występował jako Brad Scanlon pracujący dla prywatnej międzynarodowej firmy o nazwie Unibank i będący formalnie kierownikiem działu inwestycji, zajmującym się budową filii w Europie i na Bliskim Wschodzie. Miał odpowiednie wizytówki oraz firmowe formularze z adresami strony internetowej i poczty

elektronicznej. W podróży jeszcze raz przypomniał sobie scenariusz opracowany razem z Azharem. Bank planował utworzenie nowej filii w Abu Dhabi urządzonej w stylu islamskim... konieczność jak najszybszego wynegocjowania kontraktu... niezbędny harmonogram prac wykończeniowych... numery kontaktowe... potrzebna dokumentacja... odpowiedź jeszcze w tym tygodniu. Trudno było znaleźć słabe punkty tego planu, ale w końcu tak

było z każdym planem, dopóki jego słabe punkty same się nie ujawniły.

-

Zadzwoił do Omara Sadikiego następnego ranka. Gdy architekt podniósł słuchawkę, Ferris przedstawił się jako Brad Scanlon, po czym opowiedział pokrótce o Unibanku i tworzonej przez niego nowej filii. Zapytał, czy firma Al Fajr Architects byłaby zainteresowana uczestnictwem w tym projekcie.

- Nie wiem - odparł ostrożnie rozmówca. - Naszymi klientami są zazwyczaj firmy arabskie.

- Polecali was gorąco nasi arabscy przyjaciele - rzekł Ferris, a następnie wymienił kilka spółek z grona klientów Al Fajr, odczytując ich nazwy z listy przygotowanej przez Azhara już dość dawno temu, gdy tylko pojawił się pomysł wykorzystania Sadikiego. - Jeśli jesteście zainteresowani naszym zleceniem, powinniśmy się spotkać w miejscu, gdzie ma powstać nasza filia, w Abu Dhabi. Będzie to możliwe?

- Pewnie tak, jeśli zlecenie zaakceptują moi przełożeni. - Architekt był ostrożny, ale nie przesadnie. Wszelkie rozmowy dotyczące biznesu w krajach arabskich zaczynały się równie niemrawo. Ferris musiał przede wszystkim nawiązać bliższy kontakt, zanim można było przejść do konkretów.

- Kto będzie reprezentował Al Fajr, jeśli pańska firma dojdzie do wniosku, że jest zainteresowana naszym zleceniem?

- Prawdopodobnie ja, proszę pana - odparł Omar. - To ja zajmuję się wszystkimi wstępnymi kalkulacjami na miejscu wykonywania zlecenia.

Ferris nie chciał, żeby w jego głosie dało się wyczuć zniecierpliwienie. Dlatego zdawkowo wyraził żal, że sam dyrektor przyszłej filii nie będzie mógł się zjawić na miejscu, po czym zaproponował natychmiastowe wysłanie pisma ze szczegółami dotyczącymi planowanego projektu, czy to mejlem, czy też faksem. Omar poprosił o przesłanie ich faksem i usłyszał zapewnienie, że konieczne dokumenty wyjdą z Genewy pod koniec dnia pracy. Ferris dodał jeszcze, że będzie oczekiwał pisemnej odpowiedzi w ciągu pięciu dni, a następnie zorganizuje wstępne spotkanie w Abu Dhabi, jeśli firma Sadikiego będzie zainteresowana jego zleceniem.

- Czy mogę jeszcze zapytać, jakie wynagrodzenie przewidzieli państwo dla wykonawców projektu?

Ferris wymienił sumę, nieco większą, niż należałoby oczekiwać po tego typu zleceniu, lecz nie na tyle dużą, żeby budziła podejrzenia. Omar obiecał, że przyśle odpowiedź jeszcze w tym tygodniu.

Na koniec skontaktował się z Hoffmanem za pośrednictwem nowo ustalonej linii łączności, omijającej oficjalne struktury wydziału bliskowschodniego agencji. Szef pogratulował mu i zapytał, gdzie się zatrzymał. A gdy Ferris podał nazwę hotelu, usłyszał:

- Sprawdź, czy nie ma do ciebie wiadomości.

Sadiki nie zastanawiał się długo. Dwa dni później, w środę, zadzwonił z wiadomością, że Al Fajr jest gotowe przyjąć zlecenie Unibanku. W jego głosie pobrzmiwały już nieco odmienne tony, przede wszystkim zadowolenia, wręcz entuzjazmu. Od razu chciał ustalić datę spotkania w Emiratach. Ferris zamilkł, jakby sprawdzał zapiski w swoim terminarzu, po czym zaproponował najbliższy czwartek. Omar poprosił o przesunięcie spotkania albo na środę, albo

na następną niedzielę. Zdaniem Ferrisa bardzo mu zależało na tym, żeby islamski weekend spędzić z rodziną. Zatem naprawdę był porządnym mężem i ojcem. Umówili się więc za tydzień, już na miejscu, w Abu Dhabi.

Jedynym wątpliwym punktem umowy było to, że władze jordańskie zastrzegły sobie możliwość sprawdzenia nowego zleceniodawcy biura projektowego. Sadiki poprosił go więc o przeliterowanie nazwiska: S-C-A-N-L-O-N, i podanie dokładnego adresu siedziby firmy w Stanach Zjednoczonych, co w sumie brzmiało tak, jakby chciał tylko przeciągnąć rozmowę telefoniczną. Ale Ferris się nie martwił, jego fikcyjna tożsamość była solidna. Rozmówca musiałby dobrze znać jego głos, by nabrać jakichkolwiek podejrzeń, a prawdopodobieństwo takiego obrotu spraw było bliskie zera.

Później przesłał Hoffmanowi wiadomość o zakończonych pomyślnie wstępnych ustaleniach i zapytał, czy w drodze do Zjednoczonych Emiratów Arabskich może się na krótko zatrzymać w Ammanie. Chciał się zobaczyć z Alice, ale Hoffman nie wyraził zgody. Należało unikać zbędnego ryzyka. Ten wstępny kontakt z Omarem musiał zostać nawiązany poza granicami Jordanii, żeby Hani niczego nie zwąchał.

Dzień później odebrał jeszcze jedną zaszyfowaną wiadomość od Hoffmana. Znaleźli odpowiednie zwłoki. Harry Meeker spoczywał już w chłodni na terenie „Parku Miazgi”. Potrzebowali jeszcze czasu, żeby go stosownie ubrać, ostrzyć, ogolić i zapełnić mu kieszenie spreparowanymi śmieciami świadczącymi o jego fikcyjnym podwójnym życiu. W ten sposób trująca pigułka zyskała ręce i nogi, a wkrótce miała się też wzbogacić o urozmaicony życiorys.

Teraz zależało już tylko od Ferrisa, jak zorganizuje prowokację, skutkiem której przeciwnik nie tylko zechce wziąć tę pigułkę do ust, ale jeszcze ochoczo ją połknie.

Ferris patrzył, jak Omar Sadiki idzie przez zalany południowym skwarem plac w stronę rybnej restauracji przy ulicy Bainuna. Był wysokim tykowanym mężczyzną o pociągłej twarzy i starannie przystrzyżonej brodzie. Miał na sobie elegancki szary garnitur, lecz bez trudu można go było sobie wyobrazić w białym chałacie i kafiji na głowie. Kierownik sali podprowadził go do zarezerwowanego stolika, podczas gdy Ferris patrzył uważnie w przeciwnym kierunku, sprawdzając, czy nie są obserwowani. Wreszcie baczny spojrzeniem obrzucił twarz Jordańczyka, który sprawiał wrażenie skupionego i zdeterminowanego, jakby dobrze wiedział, jaką rolę ma odegrać. Obejrzał się raz i drugi na zwałistego Niemca siedzącego parę stolików dalej, sączącego piwo i czytającego „Sterna”. Najwyraźniej jest zaskoczony widokiem piwa, pomyślał Ferris. Ta myśl podziałała na niego uspokajająco. Wynurzył się z cienia, podszedł do stolika i przedstawił jako Brad Scanlon z Unibanku. Na przybranej tożsamości nie kończył się jego kamuflaż. Był ucharakteryzowany tak, że chyba nie poznałaby go nawet matka. Włosy i brwi ufarbowane na piaskowy blond, górną wargę zdobił cienki wąsik, a okulary w masywnej czarnej oprawce nie tylko zniekształcały rysy jego twarzy, lecz także skutecznie maskowały wyraz oczu. Gąbkowe poduchy na brzuchu

18

Abu Dhabi

i pośladkach sprawiały, że wydawał się o dobre dwadzieścia kilogramów cięższy niż w rzeczywistości. Zapewne nikt, kto widywał go w Jordanii, nie mógłby go utożsamić z Bradem Scanlonem.

Omar delikatnie uściśnął mu dłoń na powitanie, co według wschodnich standardów było przejawem dobrego wychowania. Ferris przeprosił za spóźnienie, na co Sadiki przeprosił za przybycie przed czasem. Za ich plecami pojawił się pakistański kelner z menu w rękach. Ferris przyjrzał się Jordańczykowi, który miał wyraźny nagniotek pośrodku czoła od pokornego bicia głową o ziemię w czasie codziennych żarliwych modlitw. Zatem Sadiki ostentacyjnie obnosił się ze swoją dewocją. To był kolejny dobry znak.

- Bardzo mi przykro - rzekł Ferris, ruchem głowy wskazując Niemca. - Nie wiedziałem, że podają tu piwo. Możemy pójść gdzie indziej.

- Mnie to nie przeszkadza, panie Scanlon. Ten człowiek nie jest muzułmaninem. Może robić to, na co ma ochotę. -Sadiki uśmiechnął się smutno.

Gdy kelner przyjął zamówienia, Ferris wyciągnął z teczki plik przygotowanych wcześniej dokumentów. Na wierzchu leżało lotnicze zdjęcie pustej działki budowlanej w Al Bateen, rozległej dzielnicy Abu Dhabi sąsiadującej z wytwornym śródmieściem, skąd roztaczał się panoramiczny widok na Corniche i wody Zatoki Perskiej. Dysponował też szczegółowymi planami geodezyjnymi działki oraz zdjęciami innych terenowych filii Unibanku. Sadiki nie pozostał mu dłużny, pospiesznie opróżnił aktówkę, wykładając na stół okazały plik dokumentów i folderów reklamujących jego firmę.

Ferris zwrócił uwagę, że na dnie aktówki Jordańczyka spoczywa laptop. O mało się nie skrzywił. To mogło skomplikować sprawę.

Sadiki z minuty na minutę stawał się coraz bardziej pewny siebie. Pokazał zdjęcia kilku budynków projektowanych przez Al Fajr - centrum handlowego Fahaheel w Kuwejcie, dwóch biurowców z centrum Ammanu, dor-mitorium Politechniki Jordańskiej w Irbidzie. Firma skupiała naprawdę dobrych architektów. Omar wspomniał, że ma jeszcze drugi album ze zdjęciami, toteż Ferris szybko poprosił o pokazanie. Obejmował wyłącznie islamskie projekty Al Fajr, dwóch niewielkich meczetów w palestyńskich miastach Halhul i Jenin na Zachodnim Brzegu, kolejnego w miasteczku Salt w Jordanii, wreszcie wielkiego w stolicy Jemenu Sanie. Ferris przypomniał sobie, że wielokrotnie widywał ten meczet w trakcie budowy, kiedy przez pewien czas służył w tamtejszej placówce. Ostatnie zdjęcia w albumie przedstawiały dwa olbrzymie meczety w saudyjskich miastach Taif na wybrzeżu Morza Czerwonego oraz Hafr al Batn, niedaleko granicy z Jordanią. Były to kolosalne budowle zwieńczone kopułami, z górującymi nad nimi spiralnie skręconymi minaretami.

- Te są piękne - przyznał Ferris. - Zostały zamówione przez władze Arabii Saudyjskiej?

- Nie, zbudowaliśmy je dla prywatnego zrzeszenia islamskiego - odparł Sadiki. - Przecież mają służyć wiernym, a nie władzom.

Ferris z uznaniem pokiwał głową, uśmiechając się w duchu. Zaczynał rozumieć, dlaczego Azhar wybrał właśnie Omara do głównej roli w ich przedstawieniu. Jordańczyk był związany z dużą siecią islamskich organizacji, które na początku finansowały Al-Kaidę. Rzeczywiście, z pozoru doskonale się nadawał na jednego z przywódców radykalnego podziemia. Kiedy Sadiki zakończył prezentację i zamknął album ze zdjęciami, Ferris zwrócił uwagę na znaczek firmowy jego biura - czerwony islamski półksiężyc rozcięty niebieskim trójkątem. Pod znaczkiem widniało hasło: „Rozwiązania Architektury Islamskiej”.

Kiedy Sadiki poszedł do łazienki, żeby przed posiłkiem umyć ręce, Ferris zapatrzył się na ulicę za oknem. Zza wysokiego kamiennego falochronu wystawały maszty i żagle jachtów stojących na przystani. Pływające po zatoce jednostki połyskiwały w słońcu. Musiały być warte dziesiątki milionów dolarów, podejrzewał jednak, że rzadko ich używano. Przed wszystkim stanowiły dekorację. Może raz na kilka miesięcy jakiś książę z pustyni zabierał na morską wycieczkę gromadkę łatwych panienek z Zachodu, które na pokładzie rozbierały się do naga i zabawiały jego klientów biznesowych. Nawet sama przystań była jakby na pokaz, stanowiła symbol dostatku zapewnianego przez stały przyływ petrodolarów. Aż trudno było sobie wyobrazić, że starsi mężczyźni, teraz zasiadający w restauracji, w młodości wiodli surowe pustynne życie ze stadami wielbłądów czy owiec albo nurkowali w poszukiwaniu pereł czy też szmuglowali towary do Persji w prymitywnych da wach. Emiraty jeszcze w latach trzydziestych były tak biedne, że ich mieszkańcy wyrażali powszechne obawy o ekonomiczne podstawy państwa, zagrożone szybkim rozwojem japońskich hodowli perłopławów.

Czekając na podanie potraw, wrócił też myślami do Alice. Znowu zaczynała mu doskwierać samotność, coraz częściej więc marzył o tym, żeby dzielić z nią mieszkanie, codziennie słyszeć jej perlisty śmiech. Ciekaw był, co by pomyślała, gdyby go teraz zobaczyła tak ucharakteryzowanego, nie mówiąc już o tym, że wyglądał na zwyczajnie spasionego. W wyobraźni usłyszał niemal jej gromki śmiech, ale też wiedział, że uderzyłaby ją inna myśl -

żył w kłamstwie, otaczając się nim szczelnie, całkowicie pogrążony w świecie złożonym wyłącznie z kłamstw. Jak taki kłamca mógł sprawić, że będzie szczęśliwa?

Kelner przyniósł tradycyjne arabskie zakąski, sałatkę z ciecierzycy i bakłazana, kibbeh, czyli kotleciki z mielonej jagnięciny nadziewane bulgurem, tabbouli z sałaty, pomidorów, dymki i mięty z ziołami oraz ser halloumi. Na główne danie wybrali grillowane filety z perskiego granika z pieczonymi krewetkami. Luźna rozmowa podczas jedzenia nie za bardzo się kleiła. Sadiki próbował wypełnić ciszę uprzejmymi pytaniami o rodzinę Ferrisa. Wyrzekł słowa otuchy, dowiedziawszy się, że jego rozmówca jest żonaty, ale nie ma jeszcze dzieci. Dopiero po jakimś czasie nawiązał do tematu, który musiał go nurtować od początku.

- Dlaczego postanowiliście zaangażować właśnie Al Fajr do tego zadania? Specjalizujemy się w meczetach, a nie biurach.

Ferris oczekiwał tego pytania, toteż odpowiedź na nie umieścili wraz z Azharem już we wstępnym scenariuszu spotkania. Wyjaśnił więc, że filia banku ma stanąć w okolicy zamieszkałej głównie przez ludność islamską, gdzie rzadko widuje się przybyszów z Zachodu, chociaż zmieniającej się szybko wraz z wybudowaniem kilometr dalej zdumiewającego hotelu Emirates Pałace. Stąd też Unibank wybrał tę lokalizację w rozbudowującej się dzielnicy Al Bateen, nie chce jednak burzyć istniejącego porządku sąsiedniej islamskiej zabudowy. Poza tym biuro Al Fajr ma znakomite rekomendacje. Zatem wybór był całkiem łatwy.

Sadiki podziękował za to Bogu, po czym wymamrotał pod nosem kilka stosownych arabskich wersów. Odpowiedź Ferrisa chyba go zadowoliła, gdyż odchylił się na oparcie krzesła i zaczął dłubać wykałaczką między zębami. Rozluźnił się dużo bardziej, niż można było oczekiwać.

Górną wargę Ferrisa zaczął szczypać klej od sztucznych wąsów, dlatego zapragnął jak najszybciej znaleźć się z powrotem w hotelu. Ale pozostało jeszcze kilka spraw do omówienia. Zaprosił Jordańczyka do zwiedzenia placu przyszłej budowy, na co ten przystał z ochotą. Miał ze sobą cyfrową kamerę wideo i szkicownik architektoniczny. Ferris poprowadził go w kierunku wynajętego lincolna. Pojechali ulicą Bainuna, po czym skręcili w lewo, w szeroką aleję Szejka Zayed Pierwszego, i wkrótce stanęli przed placem ogrodzonym siatką, na której wisiała tabliczka z wykonanym wielkimi literami napisem „Unibank”.

Tutejsza komórka agencji doskonale wywiązała się ze swego zadania.

Popołudniowe niebo było lekko zamglone, brudnoróżowe nad horyzontem i mlecznobłękitne nad głową. Rozgrzany asfalt uginał się wyraźnie pod stopami. Ferrisa swędziła skóra pod peruką. Przy krawężniku stało kilka zaparkowanych mercedesów i bmw ze szczelnie pozamykanymi oknami, ale w tym klimacie spora część ludzi wracała do domów na południową przerwę, żeby się zdrzemnąć.

Sadiki obszedł dookoła całą działkę, pobrał próbki gleby, wykonał serię zdjęć pod różnymi kątami i zrobił wstępne pomiary. Prawie przez godzinę krążył po pustym placu, po czym jął zadawać pytania techniczne. Można było odnieść wrażenie, że odgrywa jakiś monodram.

Wreszcie usiedli w wynajętym samochodzie i przy huczącym klimatyzatorze Sadiki zaczął się dopytywać o szczegóły: Ilu ludzi będzie pracowało w filii? Ilu klientów będzie obsługiwała? Jakiej wielkości ma być powierzchnia użytkowa budynku? Ile będzie pięt? Czy Unibank już się kontaktował z miejscowymi firmami budowlanymi? Czy uzyskali

zgode na budowę? Ferris gładko odpowiadał na większość z tych pytań, cytując dane przygotowane wcześniej przez zespół Azhara.

Jordańczyk poprosił o czas do namysłu, ale nie potrzebował go dużo. Jak tylko Ferris wyjaśnił, że Unibank ma opcję na zakup tej działki budowlanej ważną jedynie do końca tego tygodnia, błyskawicznie zgodził się przyjąć zlecenie i przedstawić wstępne szkice do czwartkowego południa, jeszcze przed rozpoczęciem islamskiego weekendu. Ferris zapytał, czy mogą się spotkać w Bejrucie, gdzie w przyszłym tygodniu ma do załatwienia inną pilną sprawę, na co Sadiki zgodził się bez ociągania.

Ferris miał jeszcze tylko jedną prośbę. Chciał, aby pan Sadiki zechciał stawić się w gabinecie lokalnego radcy prawnego Unibanku, Adnana Al-Masriego, by podpisać list intencyjny w sprawie omówionego zlecenia. Była to czysta formalność, jednakże niezbędna w przypadku wszystkich nowych firm świadczących usługi na tutejszym rynku. Omar przyjął to początkowo z niechęcią, ale po krótkiej rozmowie telefonicznej z jakimś doradcą z Ammanu zgodził się szybko, mówiąc, że Al Fajr podpisze wszelkie niezbędne papiery. Ferris przeprosił jeszcze, że biuro radcy prawnego znajduje się w dzielnicy Al Markaziyah, w sąsiedztwie starego bazaru, a nie w którymś z nowszych osiedli, ale Sadiki przyjął to ze wzruszeniem ramion, jakby takie drobiazgi nie miały dla niego znaczenia.

Al-Masri był starszym mężczyzną, brodatym, noszącym tradycyjny biały chałat i wyszywaną złotem czarną narzutkę charakterystyczną dla tego regionu. Przywitał się z Sadikim po arabsku, zaproponował herbatę, po czym wyjaśnił zawłości przepisów prawnych. W krótkim czasie formalnościom stało się zadość. Jeśli Omar miał jeszcze jakieś podejrzenia, niczego po sobie nie okazywał. Bo i czemu miały to robić? Nawet nie potrafiłby sobie wyobrazić tego długiego ciągu iluzji leżącego u podstaw nowego zlecenia. Nie mógł podejrzewać, że Adnan Al-Masri jest nieodłączną częścią siatki handlarzy walutą Azhara, mimo że Zajmuje się przetrzymywaniem funduszy dla terrorystycznego podziemia; że gdy on z nim rozmawiał, przebieg spotkania rejestrowała ukryta kamera; że jedno z ujęć trafi Wkrótce do służb wywiadowczych Zjednoczonych Emiratów Arabskich, a konkretnie tej sekcji, która już od pewnego czasu przygląda się interesom Al-Masriego; ani że kopia tego samego ujęcia wyląduje na biurku zwolennika Al-Kaidy w szeregach tychże służb wywiadowczych, którego podstawowym zadaniem jest ochrona bratnich członków organizacji; a tym bardziej, że ów zwolennik Al-Kaidy prześle kopię zdjęcia swemu łącznikowi z organizacją, chcąc go ostrzec, że kolejny z rodaków stał się obiektem zainteresowania lokalnego Mukhabaratu.

Sadiki nie miał o tym wszystkim bladego pojęcia. I właśnie o to chodziło. Bo oto w wyobraźni innych ludzi stał się kimś dużo ściślej określonym i dużo potężniejszym, niż kiedykolwiek mu się śniło.

Ferris czekał przed biurem Al-Masriego, żeby pożegnać się z Jordańczykiem i życzyć mu szczęśliwej podróży powrotnej samolotem do domu, w którą ten miał wyruszyć następnego ranka. Przede wszystkim jednak chciał umożliwić dokończenie dzieła zespołowi śledczemu, który prześwietlał pokój hotelowy Sadikiego. Technicy mieli zebrać i skopiować, co tylko się da - terminarz, notes z adresami i telefonami, wszelkie użyteczne zapiski, jakie architekt mógł nawet nieopatrznie przywieźć ze sobą z Jordanii.

Jak można było oczekiwać, Sadiki nie rozstawał się z laptopem. Ale oddział specjalny sprytnie rozwiązał problem jego komputera w środku nocy. Jeden z chłopców Hoffmana około trzeciej nad ranem wywołał alarm pożarowy w hotelu Jordańczyka i ten, wypełniając polecenia służby, zbiegł po schodach do głównego lobby. Nie było go w pokoju około kwadransa, to jednak wystarczyło, by ludzie z CIA stacjonujący w pokoju piętro niżej zdążyli skopiować zawartość twardego dysku. W ten sposób przejęli nie tylko całą korespondencję poczty elektronicznej, lecz także prywatne listy, w tym zestawienia adresów nabożnych muzułmańskich przyjaciół, którym Omar wysyłał kartki z okazji Eid al Fittar na koniec

Ramadanu, jak również członków Ikhwan Ihsan, Bractwa Świadomości, jak nazywała się grupa dyskusyjna wiernych w jego meczecie. I kiedy wstawał nowy świt, młodzi ludzie pracujący w „Parku Miazgi” otrzymali mnóstwo świeżej tkaniny do łatania dziur w tworzonej przez nich pelerynie złudzeń.

19

Amman

Jego lot z Abu Dhabi opóźniła burza piaskowa, toteż było już po północy, kiedy wylądował na lotnisku Królowej Alii. Przy odprawie granicznej jak zwykle pokazał swój służbowy paszport, który do tej pory był tylko uważnie przeglądany. Ale tym razem stało się inaczej. Celnicy kazali mu czekać dobre pół godziny, oczywiście bardzo uprzejmie proponując herbatę i słodkie ciasteczka w zaśmieconej poczekalni na pierwszym piętrze hali przylotów, podczas gdy pełniący służbę kapitan służb wywiadowczych gorączkowo rozmawiał przez telefon. Ferris głośno protestował, w końcu jego paszport był w porządku, termin ważności wizy nie minął, zatem nie było podstaw, aby go nie wpuścić do kraju. Później zaczął prosić

o zgodę na skorzystanie z telefonu komórkowego, gdyż chciał zadzwonić do Alice, żeby ją powiadomić o swoim powrocie, ale i ta prośba została zignorowana. Jordañski oficer na wszystko odpowiadał tak samo, pokazując kciuk stykający się z palcem wskazującym, co oznaczało: shway, shway, czyli powoli, powoli. Musiał się więc uzbroić w cierpliwość. W końcu zadzwonił telefon na biurku dyżurnego

I ten po krótkiej wymianie zdań przekazał słuchawkę Ferrisowi. Dzwonił Hani.

- Mój drogi, chciałem cię osobiście powitać w Jordani. Bardzo się cieszę, że zdecydowałeś się wrócić tu, gdzie jest twój prawdziwy dom.

- Dziękuję, Hani Basza. Obawiam się jednak, że twój komitet powitalny na lotnisku nie został poinformowany, iż jestem aż tak szanowanym gościem. Przetrzymania mnie tu już ponad pół godziny. Chciałbym wrócić do domu i trochę się przespać.

- Przyjmij to za rodzaj wyróżnienia. Robimy trudności tylko ważnym osobom. Natomiast cała reszta... kogo może obchodzić? Jednakże tu wina leży po mojej stronie. Naprawdę chciałem cię powitać osobiście. Przyjechałbym na lotnisko, żeby zrobić to we własnej osobie, ale jest już późno, a poza tym mam w tej chwili bardzo atrakcyjnego gościa. Musimy jednak jak najszybciej porozmawiać, prawda? Tak mi się przynajmniej zdaje. Może zjedźmy pojutrze razem śniadanie. Wy, Amerykanie, podobno bardzo lubicie takie spotkania przy śniadaniu, czyż nie? Spotkajmy się więc o wpół do dziewiątej w kasynie oficerskim w Jebel Amman, niedaleko konsulatu brytyjskiego. Byłeś

już tam? Nie wątpię, że o tak wczesnej porze nikt nam nie będzie przeszkadzał w kasynie. Arabowie gardzą spotkaniami o tej godzinie. A teraz pozwól mi jeszcze porozmawiać z kapitanem.

Oddał z powrotem słuchawkę dowódcy oddziału straży granicznej, który z wytężoną uwagą wysłuchał poleceń szefa służby bezpieczeństwa. Następnie, chcąc zapewne wynagrodzić Ferrisowi przedłużające się oczekiwanie, zaczął aż do przesady okazywać gościnność. Przeprowadzono go do sali dla VIP-ów, gdzie przy świeżej herbacie i ciasteczkach miał zaczekać na dostarczenie bagażu z poczekalni na dole. Później w asyście eskorty motocyklistów, w limuzynie prowadzonej przez policyjne radiowozy, został przewieziony do ambasady. Kolumna pojazdów z włączonymi syrenami i migaczami błyskawicznie przebiła się przez centrum Ammanu. Nie korelowało to z powrotem szefa miejscowej placówki CIA, nie ulegało jednak wątpliwości, że Hani chciał czegoś dowieść: czy to kontrolowany dokładnie na lotnisku, czy też przewożony z honorową eskortą do miasta, był całkowicie zdany na łaskę szefa tutejszych służb bezpieczeństwa.

Zanim wyruszyli z lotniska, zrobiło się wpół do drugiej w nocy, a więc zdecydowanie za późno na rozmowy telefoniczne, mimo to Ferris zadzwonił do Alice. Złapał ją poprzedniego

dnia, telefonując z Abu Dhabi, by przekazać, że niedługo wróci do siebie, niemniej pragnął, by jego nocny powrót był dla niej zaskoczeniem. Najwyraźniej wybudził ją z głębokiego snu, gdyż odezwała się zaspanym głosem:

- Witaj, kochany. Gdzie jesteś?

- Dzień dobry, najdroższa. Właśnie przyjechałem do Ammanu. Wreszcie pozwolili mi wracać do domu.

- Bardzo się cieszę, niezależnie od tego, o kim mówisz.

Skąd dzwonisz? Która to godzina? - zapytała, jeszcze nie w pełni rozbudzona.

- Dochodzi druga w nocy. Jestem w drodze z lotniska. Czy mogę przyjechać do ciebie?

- Teraz? Nie, broń Boże.

- Stęskniłem się za tobą.

- Ja też się za tobą stęskniłam, Roger, ale mamy środek nocy, a ty wracasz prawie po trzech tygodniach nieobecności. Powinam przynajmniej wymyć zęby. Lepiej spotkajmy się jutro na kolacji, u mnie.

- Kocham cię - rzucił wręcz odruchowo, wcale tego nie planował, wyrwało mu się mimowolnie.

- No cóż... - mruknęła. - Trzeba będzie to sprawdzić.

Pracownicy ambasady powitali go z nieskrywaną radością, aczkolwiek z równie trudnym do ukrycia zdumieniem. Kiedy wyjeżdżał w pilnym trybie, rozeszła się plotka, że został wydalony, jak Francis Alderson. Ambasador, któremu nie w smak były powiązania miejscowej placówki CIA z królewskim pałacem, sprawiał wrażenie wyraźnie rozczarowanego, kiedy Ferris zajął do jego gabinetu, by złożyć wyrazy szacunku. Nie mniej rozczarowany wydawał się szef sekcji operacyjnej, który zarządzał placówką pod jego nieobecność i najwyraźniej miał nadzieję, że stan ten utrzyma się dłużej. Ferris szybko znalazł rozwiązanie, które miało zadowolić ich obu. Powiedział swemu rywalowi, że nadal będzie musiał się borykać z papierkową robotą, gdyż on ma zaplanowane podróże służbowe na kilka miesięcy z góry. Trzeba było zweryfikować wszystkie kryjówki służb wywiadowczych, spotkać się z przedstawicielami senackiej komisji wywiadu i zaktualizować dane personalne agentów pozostających do

ich dyspozycji. Na jego barkach wciąż miały spoczywać wszystkie obowiązki, poza kontaktami z Hani Salaamem, które Ferris wolał zostawić dla siebie. Szef sekcji operacyjnej przyjął to z wyraźną ulgą. Miał zostać królem roboty papierkowej, jak wszyscy jego odpowiednicy w innych placówkach na świecie.

Nie uszło jego uwagi, że personel ambasady jest podminowany. Podczas jego nieobecności weszły w życie nowe zasady bezpieczeństwa. Nikomu nie wolno było odwiedzać odleglejszych dzielnic miasta bez eskorty. Personel wojskowy nie miał prawa nosić mundurów. Wprowadzono nowe, rygorystyczne zasady przemieszczania się z miejsca zamieszkania do ambasady, obejmowały one ciągłe zmiany tras i korzystanie z kuloodpornych wozów służbowych. Szef bezpieczeństwa ambasady wydał nowe zarządzenia na wypadek zaatakowania placówki bronią biologiczną czy tak zwaną brudną bombą. Część archiwum w podziemiach przerobiono na dodatkowy schron. Wszystko to znajdowało odbicie w spojrzeniach ludzi, którzy mrugali szybko, rozglądali się na boki i podskakiwali na każdy głośniejszy hałas.

Ferris wyszedł z biura o wpół do piątej mimo głośnych protestów sekretarki, która chciała, żeby razem z nią przejrzał imponującą stertę zaległej korespondencji. Rzucił krótko, że to może poczekać. Musiał się trochę przespać przed spotkaniem z Alice. Był jednak zanadto podniecony, by usnąć, toteż oglądał w telewizji transmisję meczu piłkarskiego z Kataru, póki nie nadeszła pora, żeby się szykować do wyjścia. Po drodze zatrzymał się i kupił kwiaty. Wybrał kosztowny bukiet zawierający orchidee i lilie, nazbyt krzykliwy jak dla Alice, ale

niosący ze sobą jednoznaczne przesłanie. Kwiaciarka włożyła tyle wysiłku, by przybrać kwiaty paprotką, starannie uformować bukiet i usztywnić go folią aluminiową oraz lakierem w aerozolu, aż Ferrisa naszły obawy, że nie zdoła go rozpakować. Co i rusz spoglądał na zegarek, mamrocząc pod nosem, że jest późno, kobieta jednak tylko uśmiechała się do niego wyrozumiale i robiła swoje.

Alice mieszkała w starym budynku z kamienia pamiętającym zapewne jeszcze czasy otomańskie. Obecnie musiał należeć do bogatego właściciela, gdyż kamienna podmurówka i ceglana fasada były utrzymane w idealnym stanie. Ferris wbiegł po schodach na pierwsze piętro i zapukał do drzwi pomalowanych na kremowo. Gdy Alice wyjrzała na korytarz, stał przez chwilę bez ruchu, chcąc jej się dobrze przyjrzeć. Jej twarz o zdrowej gładkiej cerze zdawała się połyskiwać w półmroku. Blond włosy zebrane z tyłu głowy odsłaniały kształtny zarys szyi, a w błyszczących orzechowych oczach tliły się ogniki wesołości pełnej nadziei. Miała na sobie czarną elastyczną sukienkę podkreślającą zgrabną sylwetkę.

- Witaj - powiedziała, uśmiechając się szeroko i wyciągając rękę.

- Wyglądasz... niesamowicie - wyjąkał. Czuł się nieswojo w otwartych drzwiach, z gigantycznym bukietem w rękach.

- Są wspaniałe - szepnęła, biorąc od niego kwiaty, choć w jej głosie dało się wyczuć lekką ironię. Złapała go za rękę i wciągnęła do środka. - Usiądź w salonie i poczekaj, aż wstawię je do wody.

Szybkim ruchem rozerwała papier, w który zapakowano bukiet, zmięła go w rękę i cisnęła do kosza, po czym zaczęła się rozglądać za wazonem, na tyle dużym, by pomieścił tę kwiaciarnię przyniesioną przez Ferrisa.

Jej mieszkanie przypominało orientalną szkatułkę na klejnoty. Mieściło bardzo stare skarby należące do właścicieli

ciężkiego lokalu, których nikt by się tu nie spodziewał. Ściany i sufity wyłożono szlachetnym drewnem, macicą perłową i płatkami złota. Duże naścienne malowidła w salonie przedstawiały sceny ze świata arabskiego - rojny lewan-tyński port w Aleksandrii, ośnieżone szczyty gór Liban, złotą kopułę meczetu Al Aksy w Jerozolimie, żyzne pola na równinie damasceńskiej. Przeciwległą ścianę tworzył ciąg okien z szybami z ciężkiego szkła ołowianego, wychodzących na ogród w dole, w którym dominowała niewielka fontanna otoczona rabatami i krzewami. Nawet teraz, w listopadzie, część roślin kwitła. Skądś dobiegały stłumione dźwięki arabskiej muzyki. Ferris nadstawił ucha i szybko rozpoznał głos libańskiej pieśniarki Fairuzy, która śpiewała o pamiętanych z dzieciństwa urokach życia na palestyńskiej wsi w taki sposób, że większość słuchaczy miała łzy w oczach. Alice wyszła z kuchni, niosąc kwiaty rozłożone w wachlarz w ogromnej wazie.

- Niesamowite mieszkanie - rzekł. - Nie mówiłaś mi, że jest aż tak piękne.

- Bo nie pytałeś. Poza tym miałam wrażenie, że jest ci żal, iż muszę mieszkać na tej nędznej obskurnej starówce. Widać było po twoim spojrzeniu, że według ciebie w takim starym budownictwie, bez klimatyzacji, po prostu nie da się mieszkać. Dlatego nic nie mówiłam.

Wyszłam z założenia, że powinieneś się najpierw rozejrzeć, zanim docenisz tutejsze uroki. - Puściła do niego oko. - A szczerze mówiąc, przede wszystkim chciałam ci zrobić niespodziankę.

Wyjęła z lodówki butelkę wina i wyłożyła na talerze przystawki, pękate orzeszki pistacjowe wyłożone z łupinek, gotowane na twardo przepiórcze jaja posypane gruboziarnistą solą i pieprzem, świeże oliwki, pokrojoną w kostkę zieloną paprykę z marchewką. Ferris nadal był jeszcze nieco oszołomiony jej widokiem. Usiadł przy niej na kanapie i wziął ją za rękę, która sprawiała wrażenie bardzo małej. Nawet nie za bardzo chciał rozmawiać, zależało mu głównie na tym, żeby ją do siebie przytulić. Wiedział jednak, że musi coś powiedzieć.

- Stęskniłem się za tobą, Alice - szepnął. - Przepraszam, że tak długo mnie nie było. Każdego dnia w Ameryce marzyłem o tym, żeby być tutaj z tobą.

Milczała jeszcze przez chwilę, wreszcie odparła:

- Bałam się, Roger. Kiedy zniknąłeś na dwa tygodnie, zaczęłam się obawiać, że już nigdy cię nie zobaczę. Rozmawiałam z przyjaciółką z ambasady i dowiedziałam się, że tam też nie wiedzą, czy kiedykolwiek wrócisz. Gdy to usłyszałam, zalałam się łzami. Strasznie się bałam, że już nigdy do mnie nie wrócisz. Bałam się, że nie zostanie po tobie nawet ślad w tym przeklętym tyglu.

Objął ją i przyciągnął do siebie, tuląc niczym małe dziecko. Minęło kilkanaście sekund, nim uświadomił sobie, że Alice płacze.

- Nie smuć się już - powiedział. - Przecież wróciłem.

- Nie smucę się, płacę ze szczęścia. Po prostu nie chcę, żeby cokolwiek nas rozdzieliło.

Świat coraz bardziej pogrąża się w szaleństwie. Chciałabym się przed nim ukryć w jakimś pięknym miejscu.

Kolacja mogła zaczekać. Alice wzięła go za rękę i pociągnęła do sypialni, która przypominała pokój arabskiej księżniczki. Udekorowana bukietami kwiatów i wonnymi kadzidłami, była niczym magiczny ogród. Oboje rozbierali się bez pośpiechu: najpierw czarna sukienka opadła na dywan przy wtórze cichego pstrykania rozpinanych guzików koszuli, potem zabręczała klamra paska od spodni, zgrzytnął suwak, stuknęła zapinka biustonosza. Kiedy przytulili się do siebie całkiem nadszy, pomyślał, że są niemal doskonali. W jej obecności blizny na jego nodze zda-

wały się zanikać, i to nie tylko w wyobraźni. Chciał ją wziąć bardzo powoli, żeby sycić zmysły każdą chwilą tego zbliżenia, lecz ich ciała były zbyt wygłodniałe, by przeciągać ten moment. Szybko doszło do kulminacji, a chwilę później Ferris uprzytomnił sobie, że ona znowu szlocha.

- Kocham cię - szepnęła przez łzy. - Kocham cię. Kocham. Kocham.

Przytulił ją mocno do siebie. Jednocześnie naszyły go wątpliwości. Skoro on ją kochał, a ona kochała jego, to jak mieli postąpić w obecnej sytuacji?

Leżała w świeżej pościeli z głową na jego piersi. Pod sufitem wolno obracał się wentylator, spychając w stronę ich nagich ciał fale chłodnego powietrza, od którego migotały płomyki świec. Po pewnym czasie Alice wstała, poszła do łazienki, a po powrocie zaczęła zbierać ubrania z podłogi. Kiedy podniosła jego marynarkę, na parkiet wypadło z kieszeni małe plastikowe pudełko. Ferris obejrzał się i rozpoznawszy je, wychylił się szybko z łóżka, żeby podnieść śmiertcionośny żelowy mostek, który dostał od Hoffmana w Langley. Kot Alice Elvis był jednak szybszy, dopadł go w paru susach i trącił pudełeczko nosem.

- Co to jest? - zapytała Alice.

- Nic takiego - mruknął, biorąc od niej marynarkę i chowając pudełeczko do wewnętrznej kieszeni. Obrzuciła go badawczym spojrzeniem i uświadomił sobie, że powinien mieć przygotowaną lepszą odpowiedź. Wyjął pudełeczko, otworzył i pokazując jej półkole z miękkiego tworzywa, rzekł:

- To tylko ochraniacz na zęby. Żeby ich nie połamać podczas zgrzytania.

Uśmiechnęła się, rozluźniona.

- Jakoś mi nie wyglądasz na człowieka, który zgrzyta zębami.

- Nigdy nic nie wiadomo. Wszyscy się o coś specjalnie troszczymy.

Z uśmiechem powiesił marynarkę na oparciu krzesła, zastanawiając się, jak mógł tak łatwo oszukać ukochaną kobietę.

Wstał o szóstej. Jeszcze raz się kochali, żarliwie i hałaśliwie, a następnie wyruszył do swego mieszkania, żeby wziąć prysznic i przebrać się przed spotkaniem z Hanim. Niemalże w głowie mu się kręciło z niewyspania i nadmiaru seksu, czuł też nerwowe ssanie w żołądku. W kąpieli, z niewiadomych powodów, z jego pamięci wypłynęły sceny sprzed dwudziestu lat,

kiedy to niechcący złamał koledze rękę. A może jednak chciał ją złamać? Aż się skrzywił, wspominając tamtą historię. Gdzie była granica? W którym momencie kość przestawała się wyginać i pękała?

Hani czekał na niego w kasynie oficerskim, zgodnie z jego przewidywaniami prawie całkiem pustym. Sprawiał wrażenie nadzwyczaj zadowolonego z siebie. Ubrany był w elegancki wełniany sweter z błyszczącymi mosiężnymi guzikami oraz modną dwubarwną koszulę, jakie sprzedawano w salonie przy ulicy Jermyn, z białym kołnierzykiem i mankietami oraz jarmarcznymi kolorowymi pasami na piersi. Powitał Ferrisa z uniesionymi brwiami.

- Długa noc? - zapytał. - Wyglądasz na... zmęczonego?

- To skutek długiej podróży i zmiany stref czasowych - skłamał. Przyszło mu jednak na myśl, że Hani mógł pole-

cić swoim ludziom, by go obserwowali. Oczywiście, na pewno tak zrobił.

Zasiedli do tradycyjnego angielskiego śniadania, które przyniósł im kelner w białych rękawiczkach. Klubowa sala restauracyjna była wyłożona ciemną boazerią i umeblowana ciężkimi skórzanymi sprzętami. Jej wystrój musiał pochodzić jeszcze z czasów, kiedy w haszmidzkiej armii próbował utrzymywać brytyjską dyscyplinę Glubb Basza. Hani jadł łakomie, mówiąc między wielkimi kęsami solonego śledzia i jajecznicy.

- Wybaczamy ci, Roger. To przede wszystkim chciałem ci przekazać. Przykro nam, że straciliśmy panowanie nad sobą. Zostaliśmy jednak sprowokowani.

Z lubością mówił o sobie w liczbie mnogiej. Nawet młody król już tego nie robił.

- Nie ma sprawy - odparł Ferris. - Na twoim miejscu też bym się wściekł. Ale bardzo się cieszę, że postanowiłeś mnie przyjąć z powrotem. Podoba mi się tutaj.

- Wiemy, że ci się podoba. I mamy na ciebie oko. W końcu jesteś naszym młodszym bratem. To miało być ostrzeżenie?

- Dzięki - rzekł. - Doceniam to, ale wydaje mi się, że dam sobie radę we własnym zakresie.

- Jak sobie życzysz, mój drogi. Ufam ci. Nawet po tym, co się stało z moim biednym człowiekiem z Berlina Mustafą Karamim. Bo wiem, że nie było w tym twojej winy. Będę jednak z tobą szczery. Jednym z powodów, dla których chciałem cię widzieć z powrotem w Ammanie, jest to, że martwię się o pana Eda Hoffmana. To on jest tym, któremu nie ufam.

- O niego proszę mnie nie pytać. Hoffman nikomu nie piśnie nawet słówka na temat swoich planów, nie wyłączając mnie.

- Och, wątpię w to. Szczerze w to wątpię. Jesteś jego pupilkiem. Jak to wy mówicie?

„Jasnowłosym chłopcem”? Podejrzewam, że jednak wiesz coś niecoś o zamierzeniach pana Hoffmana i jego planach. Bo nie chciałbym się drugi raz sparzyć, jasne? Dlatego się martwię. Czasem mam wrażenie, jakbym słyszał za sobą kroki Eda i czuł na karku jego oddech, ale nie mógł go zobaczyć. To mnie właśnie najbardziej martwi.

- Naprawdę nie umiem pomóc w tym zakresie. Przykro mi. Jestem głuchy i ślepy. Znasz przecież zasady.

- Tak, znam. Nie przejmuj się, nie zamierzam cię werbować. Nie umiem być tak bezczelny, jak twój poprzednik Francis Alderson, by próbować przekupić oficera zaprzyjaźnionych służb wywiadowczych. Zatem niczego się nie obawiaj. Chcę jednak, abyś coś zrozumiał. Nie jesteśmy aż tak głupi, jak ty i pan Ed Hoffman sądzicie. Naprawdę. Lepiej nie popełniajcie tego błędu.

- Wiem, że nie jesteście głupi. Prawdę mówiąc, żywię dla ciebie głęboki szacunek. Jesteś moim nauczycielem, ustaaz Hani.

- Jakie to miłe - odparł Jordańczyk - Zapamiętam sobie tę deklarację przyjaźni. W tej części świata przyjaźń ma olbrzymie znaczenie. Ale tego nie muszę ci tłumaczyć. Masz przecież arabską duszę. A przynajmniej tak nam się wydaje.

Ferris jeszcze przed południem zjawił się w ambasadzie i podjął próbę oczyszczenia swego biurka z wszystkich zaległych depech i raportów, gdy do jego gabinetu zajrzała sekretarka i zapytała, czy słyszał już najnowsze wieści z Arabii Saudyjskiej. Zaprzeczył ruchem głowy.

- Przed chwilą w Rijadzie eksplodowały dwie bomby, jedna przed hotelem Four Seasons, druga w pobliżu tamtejszego biura HSBC.

- Cholera - syknął, kręcąc głową. - Ile ludzi zginęło?

- Jeszcze nie wiadomo. Dopiero co powiadomili o zamachach.

Ferris włączył CNN i obrócił się do komputera. Jak zwykle na tym etapie reporterzy telewizyjni byli znacznie lepiej poinformowani od CIA. Zadzwoił do Haniego, który wrócił do swojego biura zaledwie parę minut wcześniej. Dowiedział się, że Jordańczyk natychmiast kazał zamknąć wszystko, co tylko możliwe. Dodatkowe oddziały ochrony były już w drodze do ambasady amerykańskiej i wszystkich innych potencjalnych celów w Ammanie.

W następnej kolejności zadzwonił do Alice. Nie zastał jej w biurze, toteż wybrał numer komórki. Po słyszalnym w tle głośnym zawroźdzeniu wiatru domyślił się, że jest poza miastem. Przekazał jej denerwujące wieści z Rijadu. Przez kilka sekund przetrawiała je w milczeniu.

- To się będzie zdarzało pewnie coraz częściej - odezwała się w końcu. - Nie rozumiesz tego? Mediolan, Frankfurt, Rijad. Afganistan, Irak, Zachodni Brzeg. Jak my nie przestaniemy, to i oni nie przestaną.

- Gdzie jesteś?

- W jednym z palestyńskich obozów poza miastem. Próbuje załatwić im nowe komputery dla szkoły.

- Myślę, że powinnaś natychmiast wracać do domu albo przynajmniej do biura. Dziś jest za dużo niebezpiecznie. Martwię się o ciebie.

- Nic mi nie grozi, a tu każdego dnia jest tak samo niebezpiecznie. Poza tym jestem otoczona mnóstwem ludzi gotowych mnie bronić. - Zawiesiła na chwilę głos. - Nawet więcej, Roger, takiego dnia jak dzisiaj nie powinnam się właśnie ukrywać. Powinnam być z tymi ludźmi, pokazać im, że nie wszyscy zwariowaliśmy, że jestem ich przyjaciółką i wcale się ich nie boję. Powiedz mi, że rozumiesz takie podejście.

Właśnie za to cię kocham, pomyślał.

- Oczywiście, że rozumiem. Tylko się o ciebie martwię. Nic na to nie poradzę. Kocham cię.

- Ja ciebie też kocham - odparła powoli. - Przyjedź dzisiaj po mnie. Ugotuję ci obiad. Nie wychylimy nosa z twojego mieszkania, jeśli przez to poczujesz się lepiej. Nawet oddam ci pilota od telewizora. Co ty na to?

- Brzmi nieźle - odparł z uśmiechem.

Dobrze wiedział jednak, że Alice ma rację. Właśnie takiego dnia powinna być wśród swoich arabskich przyjaciół. Oczywiście, i tak mogło jej się coś przytrafić, wszystkiego nie sposób uniknąć. Skoncentrował się ponownie na wiadomościach CNN i swojej poczcie elektronicznej. Prawie cały dzień zmarnował na śledzenie komunikatów agencji światowych, udając, że nie może się od nich oderwać. Dopiero pod koniec dnia podano, że przed hotelem zginęło dziewiętnaście osób, a przed bankiem kilkanaście. Takiego dnia działał niczym na autopilocie, poddając się szeregowi procedur, które miał wbite w pamięć niczym kwestie scenariusza.

Martwił się o Alice, ale sam znalazł się jak w wagoniku kolejki górskiej. Długi i zmuśny wjazd pod górę miał już za sobą. Wagonik przechylił się na szczycie i teraz wszystko zależało wyłącznie od siły grawitacji i momentu pędu. Alice mogła być uprzejma dla wszystkich Palestyńczyków na tym świecie, ale i ona nie zdołałaby powstrzymać ludzi w rodzaju Sulejmana. To oni musieli się nim zająć, Ferris i Hoffman; musieli się dobrać do niego, do jego krwiobiegu. Bo zniszczyć można go było tylko od środka. W przeciwnym razie zamachom nie będzie końca.

Bejrut I Amman

Omar Sadiki wyglądał na zażenowanego, kiedy się zjawił w apartamencie hotelu Phoenicia w Bejrucie. Uśmiechał się skąpo, a gdy próbował to zrobić nieco szerzej, wyszedł mu tylko bolesny grymas, za to nagniotek pośrodku czoła wyraźnie poczerwieniał. Ferris nie miał pojęcia, czemu to przypisać, dopóki nie zobaczył kosztorysu. Al Fajr skalkulowało koszty projektu na sumę prawie dwa razy większą, niż się spodziewał. Mógł się tylko domyślać wielkości łapówek, które miały przepłynąć z kont wykonawców w Abu Dhabi do kieszeni szefów biura projektowego w Ammanie. Nic dziwnego, że Sadiki robił dziwne miny: w sposób oczywisty chcieli naciągnąć niewiernych. Ferris musiał się chwilę zastanowić, jak na taką propozycję zareagowałby Brad Scanlon. Podskubując końce sztucznych wąsów, układał w myślach odpowiedź.

W końcu wyprowadził gościa na taras i posadził na żelaznym ogrodowym krzeselku. Roztaczał się stąd malowniczy widok na Zatokę Bejrucką, leżące po drugiej stronie Jounie i urwiste granie gór Liban na horyzoncie. Dzień był typowo późnojesienny, ale słońce świeciło mocno, a rześkie powietrze było tak przejrzyste, że dokładnie widać było najwyższy szczyt pasma. Ferris zamówił u obsługi hotelowej kawę, po czym usiadł i zapatrzył się na zestawienia orientacyjnych kosztów wykonania projektu oraz budowy. Raz i drugi pokręcił głową, prześlizgując się wzrokiem po wielocyfrowych liczbach. W końcu wyjął kalkulator i zaczął udawać, że na własną rękę czyni jakieś szacunkowe obliczenia, zapisując liczby w notatniku. Przejrzawszy uważnie cały kosztorys, zdjął okulary w ciężkiej oprawce i potarł palcami oczy.

- To zbyt duża wycena - powiedział. - Moi zwierzchnicy nigdy jej nie zaakceptują.

- Proszę się dobrze zastanowić, panie Scanlon. Przecież wie pan, że po Al Fajr może pan oczekiwać tylko tego, co najlepsze. Nie bez przyczyny cieszymy się tak doskonałą reputacją. Wykonujemy prace najwyższej jakości. Chyba właśnie z tego powodu skontaktował się pan ze mną, prawda?

- Posłuchaj, Omar, przyjacielu. To oczywiste, że pragniemy usług najwyższej jakości, ale nie zamierzamy przecież budować pałacu. Musisz pamiętać, że jesteśmy bankiem, musimy więc troszczyć się o pieniądze, bo inaczej stracimy zaufanie naszych klientów. A jak już powiedziałem, tak wysoki kosztorys nie zyska aprobaty moich przełożonych, nawet gdybym ja go przyjął. To byłaby najdroższa filia Unibanku na świecie. Musimy więc wynegocjować obniżenie kosztów.

Sadiki w zamyśleniu skinął głową, aż Ferrisa naszyły obawy, czy na pewno dobrze to rozegrał. Nie miał jednak złudzeń, że podana w kosztorysie suma została sztucznie zawyżona. Tutaj życie było jednym wielkim targowiskiem. Gdyby Amerykanie okazali się na tyle głupi, żeby zapłacić żadaną cenę, to któż śmiałyby im przeszkadzać?

- Zmiany na tym etapie zawsze są możliwe, proszę pana. Możemy poprosić naszych podwykonawców z Abu Dhabi, żeby zechcieli zmniejszyć planowane koszty. Proszę też pamiętać, że mieliśmy mało czasu na przygotowanie oferty, dlatego niektóre sumy podaliśmy z bardzo dużym przybliżeniem. Czy wolno zapytać, z jakiego rzędu wydatkami na ten projekt liczyli się państwo?

Ferris zajrzał do notatnika i znów sięgnął po kalkulator. Nie chciał przesadzić, żeby Jordńczyk nie zaczął czegoś podejrzewać.

- Suma, którą byłbym gotów zaakceptować, musiałaby być o jakieś dwadzieścia pięć procent niższa.

- Widzę, że nie za bardzo zna się pan na branży budowlanej, panie Scanlon.

Ferris poruszył się niespokojnie na krześle. W głosie Sadikiego zabrzmiały tony mogące świadczyć, że architekt zwęszył podstęp.

- Jak mam to rozumieć? - zapytał ostro. Jego gość natychmiast spuścił z tonu.

- Dwadzieścia pięć procent to bardzo duża redukcja, panie Scanlon. Musiałby pan zrezygnować z materiałów najwyższej jakości. Nie sądzę, aby zadowolili pana efekt, jaki dałoby się uzyskać za tę cenę.

- Więc zróbmy tak. Pan mi proponuje waszą najniższą cenę, starając się maksymalnie zbliżyć do proponowanej przez mnie dwudziestopięcioprocentowej redukcji. Nie zamierzam się wyklócać o każdego pensa, ale proszę się naprawdę postarać, by obniżyć koszty. Jeśli uda się to panu osiągnąć i poda mi pan bardziej zachęcającą sumę, jestem pewien, że obie strony przyjmą to z radością.

Sadiki oznajmił, że musi zadzwonić do Ammanu i porozmawiać z dyrektorem naczelnym biura. Przez jakiś czas naradzał się z nim po arabsku, robiąc notatki na odwrocie wstępnego kosztorysu, po czym zadzwonił do kogoś w Abu Dhabi. W środku drugiej rozmowy rozbrzmiał wzywający do modlitwy głos muezzina z pobliskiego meczetu i niemal echem odpowiedziały mu podobne głosy z kilku innych nieodległych meczetów zachodniego Bejrutu. Sadiki przeprosił i zniknął w głębi apartamentu, żeby się pomodlić.

Kiedy wrócił, wyglądał jakoś inaczej. Nie ulegało wątpliwości, że był człowiekiem bardzo głęboko wierzącym. Przeprosił za opóźnienie i podjął przerwana w połowie rozmowę telefoniczną. Po krótkiej acz ostrej wymianie zdań z przedstawicielami dwóch firm budowlanych ze Zjednoczonych Emiratów pochylał się znowu nad swoimi obliczeniami i po kilku minutach zaproponował obniżenie szacunkowej wyceny kontraktu mniej więcej o połowę tego, czego oczekiwał Ferris. Ten, mając podejrzenia, że dalsze negocjacje na tym etapie nie miałyby sensu, zgodził się wstępnie na tę sumę i zaproponował dodatkowe spotkanie za dwa tygodnie w Ammanie, na którym ostatecznie zaakceptują wstępny kosztorys oraz projekt budowy. Zdawał sobie sprawę, że spotkanie na terenie Jordanii stoi w jawnej sprzeczności z regułami operacyjnymi, które sam ustalał z Hoffmanem, ale wytłumaczył sobie, że ten jeden raz złamie zasady, bo przecież nie chce zostawiać Alice samej części, niż to absolutnie konieczne.

- Jeszcze jedno - rzekł, kiedy mieli już sobie uściśnąć dłonie na znak zawartej umowy. - Jeśli jest pan już w Bejrucie, chciałbym, żeby porozmawiał pan z naszym konsultantem do spraw bezpieczeństwa, Hussejnem Hanafim. To niezwykle człowiek. Mam wrażenie, że był dość blisko powiązany z... no, wie pan, z ekstremistami, ale teraz zajął się doradztwem na rzecz firm międzynarodowych. Wie chyba wszystko o zabezpieczeniach komputerów, elektronicznym transferze pieniędzy i zasadach bezpieczeństwa łączności w internecie. To właśnie on będzie musiał zaaprobować ostateczny projekt filii, dlatego sądzę, że warto już teraz zapoznać się z jego zaleceniami.

Sadiki z wyrozumiałym uśmiechem pokiwał głową. Nic nie było w stanie wytrącić go z równowagi.

Konsultant miał swoje biuro w Fakhani, dzielnicy zachodniego Bejrutu do niedawna mieszczącej dowództwo bojówek Jasera Arafata, a wcześniej będącej ulubionym miejscem zgromadzeń libańskich fundamentalistów sunnickich. Jordańczyk zaczął się wyraźnie denerwować, gdy kierowca skręcił w istny labirynt wąskich uliczek, choć zapewne nie bał się o siebie, tylko o swego gospodarza. To były bandyckie ziemie, absolutnie nie stosowne dla Amerykanina, zwłaszcza kogoś takiego jak Brad Scanlon.

Pod wskazanym adresem dojrzeli ustawioną w oknie pierwszego piętra tablicę z napisem „HH Global Solutions”. Sadiki przezornie wziął Ferrisa pod rękę i pociągnął w kierunku wejścia do kamienicy, a następnie schodami na górę. No proszę, kto tu rządzi, przemknęło Ferrisowi przez myśl, pozwolił się jednak prowadzić. Weszli do jasno oświetlonego, świeżo pomalowanego lokalu biurowego. Był wyposażony w nowiutkie, jeszcze błyszczące meble. Za biurkiem sekretarki siedziała kobieta w chustce na głowie. Kiedy pojawili się w drzwiach, wcisnęła klawisz interkomu i chwilę później w przejściu do przyległego gabinetu pojawił się

Arab o świdrujących oczkach za grubymi szklami okularów i powitał ich serdecznie, przedstawiając się jako Hussejn Hanafi. Wprowadził ich do swego gabinetu, w którym stało kilka komputerów, a regał na książki był wypełniony opracowaniami technicznymi takich firm, jak Microsoft, Oracle czy Symantec.

Hanafi miał fioła na punkcie komputerów, przynajmniej to jedno pokrywało się z prawdą. Libańskie Deuxie-me Bureau miało na niego oko od czasu, jak w 1998 roku wrócił z Afganistanu i założył małą firmę, zaczynając od doradztwa bojownikom dżihadu w sprawie zarządzania stronami internetowymi - przez co dowiedział się o nim Sami Azhar. Jeśli Hanafi miał jakiegokolwiek podejrzenia, dla kogo naprawdę pracuje, zwerbowany przez Azhara do ściśle tajnych i nieformalnych zadań, przynajmniej nie wyrażał ich na głos. Zaliczał się do nadzwyczaj cennych źródeł informacji, gdyż był tutaj naprawdę kimś powszechnie szanowanym. Zespół Hoffmana potajemnie założył podsłuch w jego biurze i zainstalował dwie miniaturowe kamery.

Hanafi rozmawiał z architektem dziwną mieszkanką angielskiego i arabskiego, omawiając poszczególne punkty listy koniecznych zabezpieczeń, które należało uwzględnić podczas projektowania nowego budynku. Ferris udawał, że niewiele z tego rozumie, a po dziesięciu minutach przeprosił, tłumacząc, że będzie lepiej, jeśli zostawi ich samych na czas omawiania niezbędnych kwestii dotyczących projektowanej budowy w Abu Dhabi. Wyszedł na ulicę, a Sadiki i Hanafi rozmawiali jeszcze przez godzinę, od czasu do czasu przerywając fachową dyskusję żartami i wybuchami gromkiego śmiechu. Okazało się, że mają nawet kilku wspólnych znajomych. Nie wiedzieli jednak, że każde ich słowo jest zapisywane na taśmie, a każdy ruch rejestrują kamery.

W Ammanie Ferrisa powitał nowy asystent, niejaki Ajit Singh. Był drobnym i ruchliwym Amerykaninem pochodzenia hinduskiego, o połyskliwej jasnobrażowej cerze i przyklejonym do warg, niedającym się rozszyfrować uśmiešku. Jak przystało na ludzi w jego wieku, miał zwyczaj noszenia czapek baseballowych, raz normalnie, kiedy indziej daszkiem do tyłu albo w bok. To Azhar przysłał go do Jordanii, żeby pomagał w kwestiach technicznych operacji.

Ajit okazał się bardzo interesującym typem. Jego ojciec zbił pokaźną fortunę na interesach w Dolinie Krzemowej, zaczynając od programu magazynowo-inwentaryzacyjnego, który sprzedał sieci supermarketów Wal-Mart a następnie mądrze inwestując zarobione pieniądze w fir-

mach, w których pracowali zaprzyjaźnieni z nim hinduscy programiści. Ale młody Ajit zaraz po ukończeniu studiów na Uniwersytecie w Stanford zrezygnował z rysującej się przed nim nadzwyczaj lukratywnej kariery i w ramach zemsty wstąpił na służbę do agencji. Po uzyskaniu dyplomu spędził wakacje w rodzinnym Kaszmirze - pół roku później kilku jego krewnych zginęło w wyniku zamachu bombowego samobójcy z Al-Kaidy. Po przedyskutowaniu wszystkich aspektów sprawy z ojcem, który, jak przystało na bogatego emigranta, był żarliwym patriotą, Ajit wstąpił do CIA. Jego nadzwyczajne umiejętności programowania komputerów zostały docenione już w ciągu kilku pierwszych miesięcy, kiedy to został zaliczony do grona najlepszych agencyjnych hakerów, a tym samym zwrócił na siebie uwagę Azhara, który błyskawicznie ściągnął go do swojej „nieistniejącej” paczki mózgowców.

Singh rzeczywiście z komputerem mógł zrobić chyba wszystko. Ponadto miał wyjątkowe zdolności do języków obcych, które zapewne traktował jako odrębne zbiory symboli mające związek z programami komputerowymi. Zaczął intensywnie uczyć się arabskiego zaraz po podpisaniu kontraktu oznaczającego dla niego misję życiową. Potrafił nie tylko na zawołanie tworzyć nowe strony internetowe, ale tak manipulować istniejącymi, że powiązane z nimi specjalne „ciasteczka” natychmiast informowały społeczność wywiadowczą, kto korzysta z wybranych stron. Kiedy pojawił się w Ammanie, Ferris przydzielił mu dawne biuro Francisca

Aldersona, do tej pory niezagospodarowane. I Singh błyskawicznie zapełnił je serwerami, monitorami ciekłokrystalicznymi oraz urządzeniami peryferyjnymi o najróżniejszym przeznaczeniu. Miejscowa komórka nasłuchowa NSA musiała przysłać swoich techników, żeby pomogli mu w pełni okablować nowe stanowisko.

Na ścianie swojej pracowni Ajit powiesił tabliczkę z napisem: „Ludzie są głupi”. Chyba to właśnie stanowiło tajemnicę jego sukcesu. Ludzie rzeczywiście byli zbyt głupi, skoro beztrudnie wpisywali na klawiaturze hasła dostępu, nie sprawdzwszy, czy ich poczynania nie są monitorowane; zbyt głupi, żeby pamiętać, że ilekroć odwiedzają jakąś stronę internetową, niejako dostają elektroniczny marker, pozwalający bez trudu śledzić ich dalszą drogę w sieci; zbyt głupi, by zdawać sobie sprawę, że podłączając swój komputer do internetu, zarazem udostępniają sieciowym intruzom całą zawartość twardego dysku; zbyt głupi nawet na to, by mieć świadomość, że każdy laptop czy aparat komórkowy wyposażony w interfejs typu „bluetooth” staje się idealną anteną nadawczą. A co najlepsze, zdarzało się tak, że ludzie, przekonani o własnym sprycie, podejmowali specjalne kroki w celu zabezpieczenia plików w swoich komputerach, przez co robili najgłupszą rzecz z możliwych.

Zadaniem Singha w Ammanie była elektroniczna obsługa terenowej operacji Ferrisa. Zdążył już zgromadzić całą listę nazwisk oraz adresów pochodzących z przekazów wysyłanych z pokoju hotelowego Omara Sadikiego w Abu Dhabi. Skopiował też wszelkie dane z twardego dysku komputera Jordańczyka i prześwietlił je dokładnie w poszukiwaniu informacji, które mogłyby się okazać przydatne. Natomiast pozostali pracownicy biura zaczęli się zastanawiać, czy Hindus nie sypia przed komputerem, gdyż był na swoim stanowisku, kiedy oni przychodzili do pracy, i tkwił przed nim, gdy wychodzili. Tylko od czasu do czasu widywano go w stołówce ambasady, zazwyczaj w słuchawkach podłączonych do odtwarzacza mp3, zajadającego frytki. Gdyby nie to, pewnie zostałby uznany za ducha budynku.

Mniej więcej po dziesięciu dniach pobytu w Ammanie Singh poprosił Ferrisa o rozmowę w cztery oczy. Sprawiał wrażenie podekscytowanego, toteż Ferrisa ogarnęła niepoohamowana ciekawość. Spotkali się w jego gabinecie późnym popołudniem.

- Widziałem brodawki - oznajmił Singh od progu, uśmiechając się szeroko. Miał na sobie T-shirt z wielkim napisem „Hysterics”, reklamującym najwyraźniej jego ulubiony nowojorski zespół punk-rockowy, a na rękę żółtą bransoletkę kontrastującą z jego ciemną cerą.

- Bardzo się cieszę - odparł Ferris, nie mając zielonego pojęcia, o czym Hindus mówi.

- Brodawki! - powtórzył z naciskiem Singh, który wyglądał na rozczerowanego perspektywą, że jego nowy szef może już wiedzieć o wszystkim, co ma mu do przekazania. - Znalazłem brodawki tej siatki, do której próbował pan przeniknąć. Albo przynajmniej udawał pan, że próbuje do niej przeniknąć. Nawet nie chcę znać prawdy. Do niczego nie jest mi potrzebna. W każdym razie wszystko jest jak na tacy. Konsultowałem to z Sarnim i jego zespołem w ojczyźnie. Wszyscy jesteśmy zgodni. Pański wzorowy architekt Sadiki odwiedził ostatnio setki stron bojowników dżihadu. Mamy swoje czujki mniej więcej w połowie serwerów, za których pośrednictwem się łączył, zatem dobrze wiemy, kto jeszcze korzysta z tych stron. Potrafimy też rozróżnić zwykłych ciekawskich turystów od poważnie zainteresowanych bywalców. Na tej podstawie stworzyliśmy dość spójny obraz tego środowiska. Czy to nie wspaniałe?

- Zgadza się, wspaniałe. Wolalbym jednak, żebyś się skupił na jego grupie dyskusyjnej z meczetu, noszącej nazwę Ikhwan Ihsan. Od tych połączeń chyba należałoby zacząć. To ludzie oddzieleni hermetycznie od środowiska.

A on musi ich znać. Dzięki takim ludziom bajki stają się rzeczywistością.

- Nie wątpię. Skontrolowałem wszystkich członków jego grupy, jak również ich najbliższych kuzynów, szukając tych samych nazwisk wśród znanych klientów internetowych stron dżihadu, a zwłaszcza tych, którzy z pewnością odbierali i zamieszczali na nich operacyjne wiadomości z dowództwa Al-Kaidy. W centrali do tej pory trwa kontrola numerów ich kart

kredytowych z rejestrami operacji bankowych. Jeśli ktokolwiek z nich kupił choćby pamiątkę w czasie wycieczki do Karaczi albo korzystał z budki telefonicznej w pobliżu salafistycznego meczetu w Birmingham, na pewno będziemy o tym wiedzieli. Stworzyliśmy do tej operacji całkiem niezłą autonomiczną sieć, pozostało tylko odpalić ładunki.

- Bomba - mruknął Ferris z autentycznym podziwem w głosie. - Pamiętaj jednak, że trzeba z Sadikiego zrobić wiarygodnego bojownika dżihadu. Nie zwykłego szaracz-ka, który z czystej ciekawości odwiedza strony internetowe podziemia, ale kogoś, kto na własną rękę planuje i przeprowadza operacje w terenie.

- Jasne - odparł Singh, przeciągając głoski, jak to często robią dzieci w odpowiedzi na zarzuty rodziców. - Więc jestem już gotów, żeby w imieniu Sadikiego wysyłać wiadomości do wybranych członków tejże społeczności, zwłaszcza do brodawek, czyli tych, którzy naprawdę są jihadi. Utworzyłem za niego sieciowe konto, o którym zapewne nigdy się nie dowie. Ale potrzebna mi pomoc. Jakie wiadomości mam rozsyłać? To pan powinien je pisać. Ja jestem tylko technikiem.

Ferris zamyślił się na chwilę. Wiadomości musiały być dosyć sugestywne, ale zarazem mało precyzyjne. Powinny tylko stwarzać wrażenie, że Sadiki działa w imieniu kogoś stojącego wyżej w hierarchii, nie będąc wtajemniczonym w szczegóły. No i powinny zawierać datę przeprowadzenia zamachu, ustaloną z Hoffmanem na 22 grudnia, tuż przed Bożym Narodzeniem.

Zastanawiał się może z pół minuty, zapisując pojedyncze słowa w notatniku, po czym sformułował krótki, złożony z trzech arabskich zdań komunikat, który odczytał na głos Singhowi:

„Nauczyciel kazał mi przygotować lekcję. Szukamy tylko odpowiedniego miejsca na modlitwę. Przesyłamy pozdrowienia naszym braciom i prosimy o łaskę Boga”.

- Nieźle - rzekł Hindus. - „Nauczyciel”..., „lekcja”... To powinno zadziałać.

- Potrzebnych będzie kilka następnych wiadomości, żeby nie odbierali w kółko tego jednego komunikatu. I przydałyby się jakieś odpowiedzi, by można je było wysyłać zainteresowanym. Muszę to jeszcze sobie przemyśleć.

Singh włożył z powrotem słuchawki na głowę i zaszłuchał się w muzykę, a Ferris znów pochylił się nad notatnikiem.

- Posłuchaj tego - rzekł jakieś siedem minut później, pociągnawszy delikatnie za kabel słuchawek, by zwrócić na siebie uwagę Hindusa. - „W imię Boga, dziękujemy braciom, którzy przygotowali dla nas ścieżkę, po której stąpamy. Nadchodzi nasze święto. Allah jest wielki”.

- To jest dużo lepsze - orzekł Singh.

Ferris poświęcił jeszcze godzinę na tworzenie nowych wiadomości oraz fikcyjnych odpowiedzi na ewentualne pytania zainteresowanych. Singh zgarnął wszystkie notatki i zaczął rozsyłać mejle od Sadikiego do kilkunastu wytypowanych osób z wirtualnej społeczności skupionej wokół wirtualnego agenta. Do każdego komunikatu dołączał notkę po arabsku, mówiącą: „Drogi bracie, jeśli się spotkamy, wybaczone milczenie”. Zabezpieczali się w ten sposób, bo gdyby któryś z adresatów zwrócił się bezpośrednio do architekta, a on twierdził stanowczo, że nie rozsyłał żadnych elektronicznych wiadomości, ten musiałby uznać, że Sadiki po prostu zaciera za sobą ślady. Zaczęło się niecierpliwe oczekiwanie na pierwsze kielki tego niecodziennego wysiewu. Kilka osób w ogóle nie zareagowało na komunikat. Kilka przysłało odpowiedzi na pozornie nowy adres mejlowy architekta, czyli na pocztę sieciową Singha. Ten zaś odpowiedział niezwłocznie wysłaniem przygotowanej przez Ferrisa drugiej wiadomości, zawierającej już pierwszy szczegół planowanej świątecznej operacji. Trzech odbiorców przekazało dalej komunikat Sadikiego pod wybrane adresy sieciowe z dopiskami: „To ktoś z naszych?”, „Prawda?” - dzięki czemu zespół Azhara wzbogacił się o następne adresy sieciowe do

ściślego monitorowania, a więc trafił na kolejne elektroniczne tropy, które bit po bicie powinny ich doprowadzić do Sulejmana.

Amtnan

Ajit Singh wciąż jeszcze nie mógł się nacieszyć swoją nową zabawką, gdy Ferris zaczął się już szykować do trzeciego spotkania z Omarem Sadikim. Wydawało mu się, że bierze udział w chytrej rozgrywce z całym światem wywiadowczym, której celem będzie utworzenie nowej internetowej strony dżihadu, lecz Singh oszukał, że większość tego typu stron jest po prostu bezużyteczna, zraża prymitywną grafiką, nadto entuzjastycznymi oświadczeniami islamskiego fundamentalizmu oraz hasłami w ro-

dzaju: „Przyłącz się do dżihadu!”. Niektóre wymagały nawet „rejestracji”, czyli wypełnienia kwestionariusza osobowego z tak cennymi informacjami, jak numer telefonu komórkowego użytkownika strony. Ajit myślał o stworzeniu islamskiego portalu, którego cel nie będzie aż tak oczywisty - zawierającego materiały wojujących muzułmanów ukryte pośród całkiem niewinnych treści dotyczących miłości i codziennego życia.

- Wyobraź sobie coś pośredniego między Osamą a Oprah Winfrey - tłumaczył Ferrisowi.

I ten dał Singhowi zielone światło, pod warunkiem że nie zajmie mu to całego czasu. Okazało się jednak, że Flin-dus pracuje nad tym projektem już od paru dni i w zasadzie jest gotów do uruchomienia przynajmniej testowej wersji swojej strony.

Na adres wybrał „mySunna.com”, „właściwą drogę” po arabsku, ale zrozumiałą także po angielsku. Zaprogramował ją jak zwykłą stronę komercyjną, niezbyt wymyślną, ale z mnóstwem udogodnień, które miały ułatwiać życie mało wprawnym użytkownikom. Na przykład dołączył zwijany podręczny „Zakat Calculator”, umożliwiający pobożnym muzułmanom łatwe obliczanie należnej dziesięciny. Wystarczyło wpisać łączną wartość majątku, włączając w to zasoby gotówkowe, wysokość kont bankowych i wielkość inwestycji w papierach wartościowych, nieruchomościach, srebrze oraz złocie, po czym wcisnąć klawisz z napisem: „Calculate Zakat” i... Y'Allah! Serwis nowości ze świata muzułmańskiego oparł na darmowych depešach z katarskiego „Khaleej Times” i wychodzącego w Islamabadzie „The Dawn”.

Wkrótce wyszło na jaw, że rozpędzonego Ajita nie da się zatrzymać. Dodał do swojej strony rozwijane menu, które zachęcało odwiedzających do skorzystania z sieciowego sklepu „mySunna”, oferującego portrety Osamy, Za-wahiriego i Zarkawiego czy dywaniki modlitewne z podobizną Osamy bin Ladena. Wystarczyło jeszcze jedno kliknięcie myszką, żeby zyskać dostęp do wszelkich plików wideo rozpowszechnianych przez bojowników dżihadu w całym muzułmańskim świecie. Na takie hasła jak „Iraqi R.A.W.” albo „Iraqi R.A.W.2” strona wyświetlała amatorskie zdjęcia wideo irańskich bojowników podkładających ładunki wybuchowe czy odpalających granaty moździerzowe w kierunku baz wojskowych armii Stanów Zjednoczonych. Inną grupę materiałów wideo z Iraku stanowiły zdjęcia „Lwów Faludży”, a więc filmy kręcone przez „obrońców ojczyzny” w czasie pierwszego natarcia wojsk amerykańskich. Dla tych, którzy chcieli podbudować swoje morale ujęciami z innych frontów, Ajit miał do zaoferowania aż pięć części czeczeńskiego filmu dokumentalnego pod tytułem „Rosyjskie piekło”. Oczywiście udostępniał też wszelkie oryginalne przemowy bin Ladena pochodzące z nagrań stacji Al Jazeera. Ostatnią propozycją byli „Ri-yadh Bombers”, wstrząsająca kompilacja nagranych na taśmie wideo ostatnich życzeń ludzi, którzy w maju 2003 roku przeprowadzili serię samobójczych zamachów bombowych w stolicy Arabii Saudyjskiej. Krótko mówiąc, Ajit nie ograniczał się do wykonywania poleceń przełożonych, przekierowywał na swoją stronę mnóstwo materiałów z innych adresów organizacji muzułmańskich, oferujących te same produkty. Najbardziej był jednak dumny ze swojego kącika porad islamskich.

„Dowiedz się ze strony mySunna.com, co jest miejscem świętym, haram, a co nie. Tu znajdziesz odpowiedź na swoje najbardziej intymne islamskie problemy". Użytkowników zachęcał do zadawania pytań, na które udzieli im odpowiedzi autentyczny szejk. W dodatku starał się uczynić tę część jak najbardziej bezstronną i osobistą, żeby przyciągnąć jak najwięcej zainteresowanych.

- Sam się przekonaj! - oznajmił z dumą, dając Ferrisowi do przejrzenia wstępną wersję strony.

- Na pewno przyciągnie mnóstwo ciekawskich.

Współzycie analne:

Pytanie: Czy muzułmanom wolno uprawiać seks analny?

Odpowiedź: To zdecydowanie akt obraźliwy, a więc makrooh (zatem na pewno niewybaczalny, haram). Me ulega wątpliwości, że para uprawiająca taki seks czerpie wzajemną rozkosz z obcowania z całym ciałem drugiej osoby. Należy jednak mieć na uwadze, że pewne czyny są poniżej godności człowieka.

Pytanie: Czy kobieta w okresie miesiączkowania może prowadzić współzycie analne?

Odpowiedź: Jeśli małżonka się na to godzi, współzycie takie jest w pełni dopuszczalne. Może jednak napawać nawet skrajnym wstrętem.

Uściski dłoni:

Pytanie: Czy dopuszczalne są uściski dłoni z dziewczętami? Odpowiedź: Nie są dopuszczalne.

Masturbacja:

Pytanie: A co z masturbacją? Jest czymś normalnym, kiedy nie ma się dostępu do żony?

Odpowiedź: Nie jest dopuszczalna.

Pytanie: Jeśli żona prosi męża, żeby się masturbował w jej obecności, czy jest to dopuszczalne?

Odpowiedź: Jest dopuszczalne, ale byłoby lepiej, gdyby żona użyła swoich rąk, nie nakłaniając do tego mężczyzny.

Lustra *

Pytanie: Czy mąż i żona mogą uprawiać seks, oglądając się nawzajem w lustrze?

Odpowiedź: Jest to dopuszczalne.

Seks oralny:

Pytanie: Bardzo mi przykro, że muszę zadać tego rodzaju pytanie, ale dorastałem na Zachodzie i niewiele wiem o naszej religii. Moje pytanie, bracie, brzmi: czy wolno nam uprawiać seks oralny?

Odpowiedź: Seks oralny jest dopuszczalny pod warunkiem, że nie dochodzi do połykania żadnych płynów.

- Skąd tyś to wytrzasnął? - zapytał zdumiony Ferris. - To brzmi jak kiepski żart. Sam to wymyśliłeś?

- Nic podobnego. Skąd miałbym wiedzieć, gdzie przebiega granica między postępkami haram i makrooh? To całkiem poważne problemy.

- Więc skąd je wyciągnąłeś, do diabła? Opłaciłeś jakiegoś imama mającego obsesję na punkcie seksu?

- Nie uwierzysz, ale to pytania zaczerpnięte żywcem ze strony szyickich ajatollahów, www.sistani.org. Można tam znaleźć wszystko, człowieku. Mają w Nadżafie gromadę religioznawców, którzy decydują, czy facet może się spuścić dziewczynie do ust, czy nie. Możesz to sam sprawdzić.

- Skutecznie pozbawiłeś mnie chandry, Ajit - odparł Ferris. Rzeczywiście, poczuł się pewniej ze świadomością, że zna już teologiczne implikacje seksu analnego.

Kilka dni później strona „mySunna.com” zadebiutowała w sieci, pojawiła się w butikach wideo, na stronach islamskiego doradztwa oraz w islamskich forach dyskusyjnych, a już po

tygodniu zaczęli ją regularnie odwiedzać ludzie szukający kontaktu z islamistami o podobnych poglądach. Ajit, który wcielił się w rolę niewidzialnego doradcy z drugiej strony ekranu, szybko musiał dodać pewne usprawnienia, umożliwiające śledzenie i korygowanie stale poszerzającego się strumienia napływu informacji.

Trzecie spotkanie z Omarem Sadikim zaplanował w Ammanie. Szczególną uwagę zwracał na obserwatorów pracujących według zasad „terenu niedostępnego”. Bardzo ważne było to, żeby Hani nie dowiedział się o jego spotkaniach z architektem. Dlatego też umówionego dnia wyjechał z terenu ambasady z kolegą samochodem o przyciemnionych szybach. Zyskawszy pewność, że nikt ich nie śledzi, wysiadł zaraz za skrzyżowaniem w bocznej uliczce Jebel Amman. Jak tylko wyslizgnął się niepostrzeżenie na chodnik, jego miejsce na przednim siedzeniu auta zajęła nadmuchiwana kukła. Podobna sztuczka była wielokrotnie ze skutkiem stosowana w Moskwie. Nawet uważny obserwator nie mógłby w tej sytuacji spostrzec, że pasażer wysiadł.

W bocznej uliczce czekał na niego drugi wóz. Dojechał nim do podziemnego garażu pod dużym apartamentowcem, w którym agencja miała jedną ze swoich licznych kryjówek w Ammanie. Wjechał windą na piętro, a znalazłszy się w lokalu, pospiesznie zastosował to samo przebranie, z którego korzystał podczas dwóch poprzednich spotkań z Jordańczykiem - peruka, sztuczne wąsy, gąbkowe poduchy pod ubraniem i okulary w grubej rogowej oprawce. Niemal sam się nie rozpoznawał, spoglądając na swoje odbicie w lustrze.

Umówili się w apartamencie „Le Royal”, wielkiego śródmiejskiego hotelu należącego do irackiego miliardera. Sadiki jak zawsze zjawił się z poważną miną. Od progu przedstawił nową wersję wstępnej umowy, wzbogaconą

tym razem o plany architektoniczne, rysunki i kosztorysy nadesłane przez podwykonawców. Pieniądze na budowę filii banku zaczęły już napływać na konto biura Al Fajr dzięki powiązaniom z agencją członkom zarządu spółki. Kiedy miał nadejść ostateczny termin podpisania umowy, Unibank powinien wypłacić na rzecz biura Al Fajr okrągłą sumę odszkodowania za zerwanie kontraktu, co zostało już z góry ustalone.

Ferris przyglądał się Sadikiemu, wypatrując jakichkolwiek oznak stresu, mogących zdradzać podejrzenia architekta czy to wobec tajemniczego Brada Scanlona, czy też w stosunku do poczynań Hoffmana, których tajemnicę mógł posiadać z plotek krążących w grupie dyskusyjnej w jego meczecie, z telefonicznej rozmowy z jakimś krewnym czy też wskutek przecieku od ludzi Haniego. Nie zauważył jednak niczego podejrzanego. Jordańczyk sprawiał wrażenie niewzruszonego i obojętnego jak zwykle. Spędzili razem kilka godzin, przeglądając wszelkie dokumenty, a wreszcie jedząc lunch i prowadząc luźną rozmowę w wynajętym przez Ferrisa apartamencie.

Mniej więcej w połowie spotkania, podobnie jak w Bejrucie, Sadiki przeprosił go ze względu na obowiązek modlitwy. I jak poprzednio wrócił do pokoju wyraźnie rozluźniony. Był to jeden z aspektów islamu, które Ferris autentycznie podziwiał, chociaż nie wszystko rozumiał. Dla wiernych codzienna modlitwa była jak orzeźwiająca kąpiel w źródlanej wodzie.

Wyczuwało się u nich głęboką ulgę i oczyszczenie przez sam fakt rytualnego klękania, bicia czołem o podłogę, wyznawania grzechów i chwaleń Pana. W gruncie rzeczy islam sprowadzał się właśnie do tego, do uległości wobec woli Boga.

W innych okolicznościach Ferris zapewne zbratałby się chętnie z tymi niewolnikami Allacha. Ale dla niego

i wszystkich jego kolegów nieprzekraczalną granicę stworzyła data jedenastego września dwa tysiące pierwszego roku. Nie potrafił się uwolnić od myśli o ludziach przebywających na górnych piętrach World Trade Center, pozbawionych szans ucieczki przez eksplozję porwanego samolotu, który uderzył w wieżowiec kilka pięter niżej. Niejednokrotnie wyobrażał sobie, co musiały czuć przypadkowe ofiary tego zamachu, kiedy wykładziny

podłogowe pod ich stopami zaczynały się tlić z gorąca, a powietrze wokół przepelniało się żrącym dymem; jak nieznośne musiały być ich cierpienia psychiczne i fizyczne, skoro zmusiły ich do desperackiego skoku z okien osiemdziesiątego piętra, byle uniknąć piekła w rozszalałym żywiole płomieni. Tak, to prawdziwa wojna, powtarzał w myślach, czując się jak żołnierz na froncie. Mogło zginąć wielu niewinnych ludzi, gdyby nie wypełnił swojego zadania.

22

Autostrada Królewska, Jordania

Ochoczo się zgodził na weekend poza miastem, który zaproponowała Alice. W końcu nie mogli spokojnie czekać w Ammanie na eksplozję kolejnego samochodu-pułapki. Poza tym należał mu się odpoczynek. Wyjeżdżał z ambasady tak podminowany, że potrzebował kilku drinków albo paru godzin spokoju, by się pozbiierać. Teraz spędzali ze sobą niemal każdą noc, raz w jednym, raz w drugim mieszkaniu. Na szczęście Alice nauczyła się szybko, by nie wypytywać go zanadto o jego pracę, jakby pojęła, że lepiej nie pytać, jeśli nie chce się znać odpowiedzi na niektóre pytania.

Zaproponowała wycieczkę na południe starym szlakiem znanym obecnie jako Autostrada Królewska, którym przez nieurodzajne piaszczyste wzgórza Jordanii przez ponad dwa tysiąclecia wędrowali hebrajscy tułacze, chrześcijańscy krzyżowcy i muzułmańscy pielgrzymi. Dowódca ochrony ambasady z pewnością byłby przeciwny wyprawie przez miasteczka niespokojnych beduinów, toteż Ferris nawet nie pytał go o zdanie. Jako szef placówki wywiadowczej mógł się wybrać, dokąd dusza zapagnie. Zrezygnował jednak z jazdy służbowym opancerzonym wozem terenowym ambasady i wynajął na ten dzień małe osobowe mitsubishi.

- Zgrabny samochodzik - oceniła Alice, kiedy zabierał ją spod domu. Zwróciła uwagę na jordańskie tablice rejestracyjne i zapytała z uśmiechem: - Chcesz uchodzić za tubylca? Zabrała z domu pokazny plik map i przewodników, toteż bez wahania skierowała go na południe wąską i krętą drogą prowadzącą nad krawędzią rozpadliny Morza Martwego. Nad całym krajobrazem dominował widok jak gdyby rozedrganej powierzchni słonego zbiornika wodnego, mglisty i niewyraźny niczym pustynna fatamorgana. Kiedy zbliżyli się do najniższej położonego punktu na wszystkich stałych lądach ziemskiego globu, Ferris poczuł charakterystyczne pstrykanie w uszach oznaczające zmianę zewnętrznego ciśnienia. Po drugiej stronie zbiornika znajdował się Zachodni Brzeg i ledwie stąd widoczne na szczycie urwistej skarpy zabudowania Jerozolimy. Alice pokierowała go do ekskluzywnego szwajcarskiego hotelu nad samym brzegiem Morza Martwego, którego menedżerem był jej znajomy.

- Zabiorę cię na ranne pływanie, mój drogi, tyle że wcale nie będziesz pływał - zapowiedziała, po czym wyjaśni-

ła szybko, że woda jest tutaj taka słona, iż nie sposób zanurzyć w niej rąk ani nóg, toteż człowiek może jedynie dryfować na powierzchni.

Po wejściu do hotelu przedstawiła mu swojego przyjaciela, Palestyńczyka, który nabrał szwajcarskiej ogłady podczas praktyki w Lozannie. Dostali duże kąpielowe ręczniki oraz klucz do kabiny nad samym morzem. Nawet nie zauważył, kiedy Alice zaczęła ciągnąć go w stronę połyskliwej, gładkiej jak lustro tafli Morza Martwego.

Bez wahania weszła do wody i z gracją oddaliła się od brzegu. Jednocześnie kostium kąpielowy leżał na niej niczym cienka elastyczna powłoka, pod którą doskonale było widać sztywne nabrzmiałe sutki. On także wszedł do wody i już przy brzegu spróbował zanurkować, ale tak jak zapowiedziała, został wyrzucony na powierzchnię niczym korek. Słona woda dziwnie przylegała do skóry, a w dodatku śmierdziała siarką, co Alice najwyraźniej wcale nie przeszkadzało, gdyż pozwoliła się nieść prądowi, ułożywszy się na wznak, niczym na

wodnym katafalku, z lubością wystawiając twarz do słabego listopadowego słońca. Próbował pójść w jej ślady, ale nie mógł się uwolnić od myśli o samochodach-pułapkach i zamachowcach-samobójcach.

Wykąpali się, przebrali i ruszyli dalej na południe Królewską Autostradą. Alice chciała mu pokazać zamek krzyżowców w Keraku, fortecę, z której dowodził swoimi oddziałami odrażający Reynauld de Chatillon. Poprowadziła go wzdłuż kamiennych portali, murów i gzymsów, opowiadając przeróżne historie z okresu panowania perfidnego Reynaulda, który miał zwyczaj łupić biednych muzułmańskich pielgrzymów wędrujących tym szlakiem do Mekki oraz unieruchamiać głowy wrogów w solidnych drewnianych ramach przed zrzućeniem ich z murów zamczyska, gdyż chciał, by pozostali przytomni i w pełni odczuwali ból łamanych kości. Było to jedno ze skojarzeń przywoływanych przez muzułmanów, kiedy nazywali amerykańskich najeźdźców „krzyżowcami”.

Ze szczytu zamkowych murów zapatrzyli się na zachód, w kierunku wadi odprowadzającego wodę deszczową ze wzgórz. Tutejszy krajobraz niewiele się zmienił od tysięcy lat, kształtowany bardziej przez naturę niż działalność człowieka. W oddali, gdzie znajdowała się Jerozolima, przedpołudniowe niebo miało odcień szafiru. Alice przekrzywiła głowę na ramię i odwróciła się do Ferrisa. Pojedyncze pasemka jej długich włosów, które wysunęły się spod gumki trzymającej koński ogon, powiewały teraz na wietrze.

- Wyprawy krzyżowe także rozpoczęły się od wielkiego kłamstwa - odezwała się. - Wiedziałeś o tym?

Przeczuł, że czeka go kolejny z jej wykładów, ale nie miał nic przeciwko temu. Zaliczył je do rzeczy nieodłącznie związanych z Alice, podobnie jak te niesforne pasma złotych włosów.

- Mówisz poważnie? - zapytał, udając niewiedzę.

- Jak najbardziej. Co prawda, papież Klemens nie twierdził, że muzułmanie gromadzą broń masowego rażenia, ale stosował podobną propagandę. Utrzymał, że rabują i torturują biednych chrześcijan pielgrzymujących do Ziemi Świętej. Było to całkowicie wysrane z palca, podobnie jak wiele innych średniowiecznych legend. Łatwowiernym, przesadnym i ciemnym ludziom dało się wmówić wszystko, a ponieważ nikt nie podejrzewał papieża o kłamstwo, wszyscy ruszyli, żeby zabijać muzułmanów. Wywołali wojnę z powodu zwykłego kłamstwa. Czy to nie przerażające?

Ferris pokiwał głową. Tak, to było przerażające.

- Kiedy dotarli do Ziemi Świętej, muzułmanie stawili im zmasowany opór. No i krzyżowcy znaleźli się w potrzasku. Nie dość, że bardzo daleko od domu, to jeszcze wplątali się w paskudną zaciętą wojnę. Zaczęli więc ściągać coraz to nowych rycerzy z zaciężnymi oddziałami. W końcu jednak ponieśli klęskę, a ci, którym udało się ująć z życiem, musieli potajemnie przekradać się z powrotem do Europy. Dostrzegasz podobieństwa? Nie kojarzy ci się to z obecną sytuacją?

- Nie - odparł z uśmiechem. - Jakoś z niczym mi się to nie kojarzy.

- Mówisz tak specjalnie, żeby mnie rozżłościć! - Stała na palcach i szepnęła mu na ucho: - Trzeba się uczyć na błędach.

Powiódł wzrokiem po horyzoncie. W tej odludnej krainie kryły się osady z niemal każdej epoki ludzkich doświadczeń. Wiele mil na południe znajdowały się ruiny Petry, zdumiewającego starorzymskiego miasta położonego w głębi niedostępnej doliny i wykutego w skałach z niezrównaną precyzją. Po kilku godzinach jazdy samochodem na północ można było dotrzeć do wspaniałych ruin Gerazy, dzisiejszego Dżeraszu, Pełli oraz Gadary, noszącej obecnie nazwę Um Kweis - trzech spośród dziesięciu najstojniejszych ośrodków handlowych Bliskiego Wschodu nazwanych przez Rzymian Dekapolem. Suchy klimat sprawiał, że ruiny pozostawały w doskonałym stanie. Zachowały się olbrzymie place otoczone strzelistymi jońskimi kolumnami, biegnące wśród kolumnad ulice brukowane kamieniami, majestatyczne

rzymskie amfiteatry z rzędami siedzeń z białego kamienia okalającymi puste sceny, jak gdyby publiczność i aktorów nagle zdmuchnął gwałtowny poryw wiatru.

- I co się z nimi stało? - zapytał, po części zwracając się do samego siebie, zapatrzonego w ten ponadczasowy krajobraz. - Ze starożytnymi Grekami, krzyżowcami, Rzymianami?

- Wyginęli. Tak mnie przynajmniej uczono w szkole. Uśmiechnął się i otoczył ją ramieniem.

- Pytałem o to, dlaczego zniknęli z powierzchni ziemi. Rzymianie aż do końca wznosili swoje budowle. Ich miasta są nawet tutaj, istnieją do dziś, mimo upływu dwóch tysięcy lat.

Panowali dosłownie nad wszystkim. I nagle utracili władzę. Gdzie popełnili błąd?

Alice popatrzyła na niego.

- Naprawdę chcesz o tym rozmawiać, Roger? Bo jestem przekonana, że nie spodoba ci się moja odpowiedź.

- Tak. Chcę wiedzieć, co myślisz na ten temat.

- W porządku. Więc masz rację, że Rzymianie zniknęli z powierzchni ziemi przez swoje błędy. Mieli kiepskich władców. Od Hadriana do Kommodusa, na przestrzeni sześćdziesięciu lat. Tylko tyle wystarczyło, żeby doprowadzić wielkie imperium do upadku. Takie rzeczy zwykle przebiegają bardzo szybko. Dlatego trzeba być mądrym. - Dała mu lekkiego kuksańca w bok, lecz on nie był jeszcze gotów, by przyznać jej rację.

- Nie żartuj, nie tylko to było powodem. Rzymianie złagodnieli, stali się słabi. Upadła żelazna dyscyplina rzymskich legionów, dlatego barbarzyńcy byli zdolni je pokonać. - Przygryzł wargi, zastanawiając się, czy ona potrafi zrozumieć, że rycerski kodeks honorowy jest najlepszym lekarstwem na wszelkie przejawy upadku.

- Owszem, mój kuśtykający przemądrzalco. Złagodnieli, co tylko przyspieszyło ich upadek. Ale do tego doszło znacznie później. Początkiem spirali śmierci imperium byli jednak kiepscy wodzowie. Widmo upadku

pojawiło się wtedy, kiedy Rzym był jeszcze militarnym supermocarstwem. Straż pretoriańska dysponowała aż za dużą władzą, a nie za małą. To instytucje polityczne państwa osłabły.

Korupcja i upadek przyszły znacznie później. Rzym zgnił od środka. Możesz mi wierzyć.

Sporo na ten temat czytałam.

Spojrzał jej w twarz. Lekko pokręciła głową, nie mogąc się pogodzić z brakiem zrozumienia z jego strony, aż zebrane gumką włosy zakołysały się na boki niczym prawdziwy koński ogon. Co miała w sobie, czym tak mocno przyciągała do siebie Ferrisa? Czyżby decydowało to, że wciąż z niego żartowała i drwiła, próbując obalić to wszystko, w co święcie wierzył? Że zależało jej na nim do tego stopnia, iż mogła mu powiedzieć prosto w oczy, że jest w błędzie? Że wiedziała coś, co pozostawało dla niego tajemnicą, i dysponowała licznymi pokładami doświadczenia, co ukrywała za zasłoną blond pasm i zwodniczymi orzechowymi oczami? W takiej chwili wydawała mu się nieocenionym skarbem. I przestawało go obchodzić, czy współcześni barbarzyńcy naprawdę zamierzają zrównać z ziemią każdy drapacz chmur w Ameryce, dopóki nie próbowali krzywdzić Alice.

- Kocham cię - powiedział.

- Mam to traktować jak przyznanie się do porażki? - Ze śmiechem pociągnęła go za rękę w kierunku schodów, które prowadziły w dół kamiennych murów obronnych starożytnego zamku.

Alice spakowała na lunch bagietkę, ser, plastry suszonej włoskiej szynki, melona i butelkę wina. W listopadowym słońcu rozsiedli się na skalnej półce u podnóża zamku krzyżowców, żeby przygotować sobie posiłek. Ferris otwo-

rzył duży scyzoryk, obrał melona, pokroił go na plastry i poukładał na nich kawałki włoskiego prosciutto. W tym czasie Alice pokroiła bagietkę i ser, po czym otworzyła czerwone wino marki Kefraya pochodzące z libańskiej doliny Bekaa. Wszystko do siebie idealnie pasowało, a każdy produkt zostawiał na podniebieniu własny charakterystyczny

smak. Po skończonym posiłku wyciągnęli się na wiekowych kamieniach i wystawili twarze do słońca.

Alice zaplanowała jeszcze jeden postój. Chciała pokazać Ferrisowi miasteczko Mu'tah odległe zaledwie o parę kilometrów, które zasłynęło w historii islamu jako jedno z pierwszych miejsc bitew między armią muzułmańską wychodzącą z Arabii w siódmym wieku a legionami Imperium Bizantyjskiego. Obecnie było to miasteczko uniwersyteckie, podobnie jak Zarka na północy, a zarazem ośrodek lokalnego fundamentalizmu muzułmańskiego. Zmarszczył brwi, kiedy zaproponowała mu zjechanie z autostrady. Mu'tah było uważane za groźne miejsce dla obcokrajowców. Podczas kadencji jego poprzednika Francisca Aldersona pewien agent terenowy CIA ścigający ważnego członka Bractwa Muzułmańskiego zapuścił się za nim aż do Mu'tah, gdzie został pojmany i uwięziony przez przyjaciół rozwścieczonego Araba. Krążyły plotki, że znajdowało się tam również centrum Ikhwan Ihsan, Bractwa Świadomości.

- Lepiej wracajmy do domu - rzekł. - Jestem zmęczony. Chciałbym się trochę zdrzemnąć, a potem kochać się z tobą.

- Moim zdaniem powinieneś zobaczyć Mu'tah. Jest czarujące. Poza tym w pobliżu El Mazar znajdują się świątynie syna Proroka Zaida bin Harithy oraz jego zastępcy Dżafara bin Abi Taliba. Wśród muzułmanów to bardzo znane miejsce. Jak chcesz zrozumieć ich kulturę, nie znając ich historii, Roger? Jakbyś był w Bostonie i nie znalazł czasu, żeby zobaczyć Faneuil Hall.

- Nigdy nie byłem w Faneuil Hall. Wracajmy do domu i chodźmy do łóżka.

Alice zrobiła nadąsaną minę.

- Jeśli zmusisz mnie do powrotu, możesz zapomnieć o seksie. I to nie tylko dzisiaj. Poza tym mam list, który muszę przekazać pewnemu nauczycielowi w Mu'tah. Pomagał nam zorganizować praktyki studenckie. Przejechałam kawał drogi, żeby się z nim zobaczyć. Dlatego musimy skręcić do Mu'tah.

Jej ton świadczył wyraźnie, że nie da sobie wyperswadować tego pomysłu. Dlatego wrócili do Mitsubishi i pokonali jeszcze kilka kilometrów dzielących ich od miasta. Alice po drodze nuciła Big Yellow Taxi, niemiłosiernie fałszując. Była bardzo zadowolona, że udało jej się wciągnąć Ferrisa głębiej w jej własny świat, jakby wychodziła już z założenia, że związek z nim to dla niej szansa na przyszłość. On jednak bardzo się niepokoił i kiedy znaleźli się na skraju miasta, zaczął uważnie obserwować poszczególne zabudowania. Nie stacjonowała tu żadna jednostka jor-dańskich sił specjalnych, był tylko komisariat policji z kilkoma rozleniwionymi funkcjonariuszami. Wszystkie kobiety chodziły w chustach na głowie, niektóre nawet w czarczafach. Mężczyźni, którzy wyglądali na zaprawionych w bojach Beduinów, nosili zazwyczaj długie brody będące jawnym przejawem tego, że woleliby zamiast w czasach obecnych żyć w siódmym wieku.

- Nie podoba mi się tutejsza atmosfera - odezwał się Ferris, przerywając Alice kolejną zwrotkę piosenki.

- Co ci się w niej nie podoba?

- Sam nie wiem. Ale zdecydowanie czuję się tu jak obcy intruz.

- Ja nie jestem dla nich obcym intruzem. Mam list do przekazania przyjacielowi o nazwisku Hidżazi. Jest członkiem ugrupowania religijnego, Ikhwan Ihsan albo czegoś podobnego.

Bardzo nam pomógł. Jeśli tak się denerwujesz, podrzucę tylko ten list i wracamy. Co ty na to? Wjechali na rynek. Uniwersytet znajdował się najwyżej sto metrów dalej.

- Jezu, Alice. Dlaczego dopiero teraz mi mówisz, że ten człowiek należy do Ikhwan Ihsan? To bardzo zła wiadomość.

- Naprawdę nie masz pojęcia, o czym mówisz, Roger. To wcale nie jest zła wiadomość.

Wręcz przeciwnie. Ich organizacja bardzo wspiera nasze projekty. Przysyła nam nauczycieli i specjalistów z różnych dziedzin. Ściśle z nimi współpracuję i nawet jeśli tobie się oni nie

podobają, ja czuję się między nimi bezpieczna. Dlatego zaczekaj w samochodzie, zaraz wrócę.

Chciał jeszcze raz zaprotestować, powiedzieć, że nie zamierza tu siedzieć beczynn timer, lecz ona błyskawicznie wyskoczyła z samochodu i pobiegła w stronę bramy uczelni.

Wyłączył silnik i postanowił napić się kawy w znajdującej się nieopodal kafejce. Otworzył już drzwi, żeby wysiąść, kiedy uświadomił sobie nagle, że przygląda mu się spora gromadka mężczyzn siedzących przed meczetem. Odprowadzili go wzrokiem w krótkiej drodze przez plac, a odznaczali się hardymi, przenikliwymi spojrzeniami ludzi, którzy razem studiują pisma święte, modlą się i ćwiczają. Wielokrotnie spotykał podobne gromadki w czasie swego pobytu w Iraku, przy drogach, w bocznych uliczkach. Nie dostrzegł niczego podejrzanego, lecz intuicja podpowiedziała mu, że on i Alice znaleźli się w poważnych kłopotach.

- Alice! - zawołał. - Wracaj. Musimy jechać. Natychmiast!

Zniknęła mu jednak z oczu i albo go nie słyszała, albo nie chciała odpowiedzieć. Pod tym względem jego okrzyk okazał się daremny, za to jeszcze bardziej przyciągnął uwagę mężczyzn sprzed meczetu. Wiedzieli już, że jest Amerykaninem i że bardzo się denerwuje. Ze spuszczoną głową szedł dalej w kierunku kafejki, mając nadzieję, że już niczym nie wzbudzi dodatkowego zainteresowania. Przed wejściem do lokalu siedział jakiś starzec i palił nargile. Odsunął się nieco na widok obcego. W miasteczku zdawała się panować przygnębiająca atmosfera. Przypomnił sobie, że jest to jeden z tych ośrodków, w których wybuchają społeczne bunt y przy każdej próbie zmniejszenia przez króla państwowych dopłat do takich produktów jak chleb. Było to miasto zawodowych malkontentów. Zamówił u kelnera kawę po turecku, średnio słodką. Sączył ją powoli, czekając na powrót Alice. Po drugiej stronie placu zebrała się większa grupa młodych ludzi, lecz zaraz się rozproszyła. Dokąd poszli? I gdzie po-dziewała się Alice?

Zachciało mu się sikać, pożałował nagle, że wypił aż tak dużo czerwonego wina. Wstał, podszedł do kontuaru i zapytał o toaletę. Barman nie odpowiedział, tylko raz i drugi zerknął na niego z ukosa, jak gdyby w strachu, po czym odwrócił głowę. Ferris wyczuł niebezpieczeństwo. Odwrócił się szybko, żeby wyjść na ulicę, kiedy nagle poczuł mocne uderzenie w głowę. W oczach mu pociemniało i pojawiły się przed nimi gwiazdy, zanim jeszcze osunął się bezsilnie na podłogę.

Kiedy chwilę później otworzył oczy, ujrzał wokół siebie gromadkę mężczyzn, którzy przetrząsali jego kieszenie w poszukiwaniu portfela. Dwaj przyciskali mu nogi i ramiona do podłogi, dwaj inni mówili coś szybko po arabsku. Czyżby wiedzieli, kim jest? Śledzili go? Musiał zakładać najgorsze, ale udawać, że jest inaczej.

- Proszę, jestem przyjacielem - wymamrotał po angielsku, obawiając się, że jego znajomość arabskiego tylko wzbudzi u napastników dodatkowe podejrzenia.

Znaleźli w końcu jego portfel i wyciągnęli z niego jor-dańską kartę identyfikacyjną, przedstawiającą go jako pracownika ambasady amerykańskiej. To im dało do myślenia, chyba nie spodziewali się aż tak cennej zdobyczy. Ten, który zdzielił go pałką po głowie, teraz trącił go pod żebra czubkiem buta i zapytał:

- Po co przyjechałeś do Mu'tah? Żeby szpiegować muzułmanów?

- Nie, skądże - odparł. - Jestem tylko dyplomatą. Byłem na wycieczce w Keraku i zajrzałem tu w drodze powrotnej do Ammanu.

Gorączkowo starał się obmyślić jakiś plan działania. Nikt w ambasadzie nie wiedział, gdzie go szukać. Gdyby został uprowadzony, minęłoby wiele godzin, zanim ktokolwiek spostrzegłby jego nieobecność. Ukradkiem pomacał kieszeń spodni, czy ma w niej plastikowe pudełko z żelatynowym mostkiem zawierającym śmiertelną truciznę. Wcześniej nawet nie przyszło mu do głowy, żeby go włożyć do ust. Czemu więc nosił go ze sobą? Coś takiego w następnej kolejności z pewnością musiało zainteresować napastników. Zastanawiał się jeszcze, co robić, kiedy głośno zaskrzypiały gwałtownie otwierane drzwi kafejki. Przyciśnięty

do podłogi, nie mógł dostrzec, co się dzieje, lecz po chwili doleciał go śpiewny kobiecy głos, mówiący ostro po arabsku. Nie od razu uzmysłowił sobie, że to głos Alice.

- Puśćcie go! I to już! Moi przyjaciele z Ikhwan Ihsan bardzo się rozłoszczą, kiedy usłyszą, że potraktowaliście mojego gościa z takim brakiem szacunku!

- Ikhwan Ihsan? - syknął zdumiony mężczyzna z pałą. - W Allah!

Cofnęli się natychmiast. Ferris poderwał się z podłogi i stanął obok Alice, która z surową miną wodziła po Arabach przenikliwym spojrzeniem. Nie krzyczała i nie próbowała im grozić. Samą swoją postawą, nienaganną arabską wymową, a przede wszystkim odwagą wymusiła szacunek młodych muzułmanów.

- Dziękuję - powiedziała. - Niech Bóg obdarzy was dobrym zdrowiem.

W odpowiedzi wymamrotali zwykle grzecznościowe zwroty.

Do kafejki wkroczył młody mężczyzna w długim białym chałacie i stanął obok Alice. Krag agresywnych młodzików, którzy napadli Ferrisa, z wyraźnym szacunkiem cofnął się o krok. To musi być Hidżazi, pomyślał Ferris, człowiek, któremu Alice miała przekazać list. Arab wyciągnął do niego rękę na powitanie, po czym zwrócił się do zgromadzonych ludzi, którzy jeszcze chwilę temu byli gotowi uprowadzić Amerykanina dla okupu.

- Bracia - przemówił podniosłym tonem - przynosicie wstyd miastu Mu'tah oraz potomkom towarzyszy Proroka, których los rzucił w te strony. Ten człowiek przybył tu razem z panną Alice Melville, przyjaciółką wszystkich Arabów. Jesteście gorsi niż džahil, ignoranci, skoro traktujecie naszych gości w ten sposób. Natychmiast go przeproście i błagajcie o wybaczenie za swoje grubiaństwo i brak obycia.

Mężczyźni, mamrocząc pod nosem przeprosiny, zaczęli ścisnąć Ferrisowi dłoń. Sprawiali wrażenie szczerze skruszonych, choć nie z tego powodu, że go napadli, tylko dlatego, że obrazili Hidżaziego. Ferris w zdumieniu popatrzył na Alice.

Hidżazi zaczął nalegać, aby skorzystali z jego poczęstunku herbatą i słodyczami. Ferris chciał jak najszybciej stąd wyjechać, wiedział jednak, że wprawi ludzi z miasteczka w zakłopotanie, jeśli nie zechce przyjąć zwyczajowych przeprosin. Po chwili zjawił się miejscowy lekarz, żeby obejrzeć mu ranę na głowie. Kiedy zajęli miejsca przy stoliku, zaczęli odbierać prezenty, głównie drobne wyroby miejscowego rzemiosła. Barman przyniósł talerzyki z daktylami i słodyczami, a człowiek, który dzielił Ferrisa pałą, zaproponował mu nawet pieniądze w ramach przyjętej tu metody zażegnania sporów i waśni. Ferris odmówił. Zrobiło się już prawie całkiem ciemno, nim uroczystość dobiegła końca i pozwolono im odjechać.

Ledwie wyprowadziwszy mitsubishi z powrotem na Autostradę Królewską, Ferris zjechał na pobocze i zatrzymał wóz. Popatrzył na Alice, która niemal w ułamku chwili stała się w jego oczach kimś zupełnie innym. Zakochał się w zuchwałej kobiecie o nieugiętej woli, lecz jeszcze bardziej kochał w niej ową nieustępliwą, odważną misjonarkę, którą poznał nie tak dawno.

- Coś mi się zdaje, że właśnie uratowałaś mi życie - powiedział.

- Możliwe. Nie sądzę jednak, żeby naprawdę chcieli ci zrobić krzywdę. Jak twoja głowa?

- Boli.

- Przykro mi. - Pochyliła się i pocałowała go w czoło. - Miałaś rację. Nie powinniśmy byli skręcać do Mu'tah. To małe prowincjonalne miasteczko, w którym ludzie są zbyt rozżaleni. Moja wina. Wybaczysz mi?

Pokiwał głową. Miał wrażenie, że w jego wyobraźni wszystkie elementy Alice zaczynają się układać w jeden

spójny obraz. Należała do tej rzadkiej klasy ludzi, którzy bez zastrzeżeń wierzą w wyznawane przez siebie wartości i nie ukrywają tego przed nikim.

- Spodobał mi się twój przyjaciel Hidżazi - rzekł. - Zachował się jak ratownik na wzburzonym morzu. Ciekaw jestem, jak go poznałaś.

- Już ci mówiłam, jego organizacja bardzo nam pomogła. Skupia specjalistów z całej Jordanii. To bardzo religijni ludzie, a przy tym bardzo uprzejmi. Większość z nich nie skrzywdziłaby muchy. Jeden z ich odłamów stale współpracuje z nami w Ammanie. Należy do niego dwóch lekarzy, adwokat i architekt. To naprawdę wspaniali ludzie.

Znieruchomiał nagle, a serce podeszło mu do gardła.

- Mówisz poważnie? Architekt? Czemu ktoś taki miałby się troszczyć o szkołę dla uchodźców palestyńskich?

- Nie wiem. W każdym razie ten architekt to jeden z najmiłszych ludzi w tej grupie. Wysoki, przystojny, małomówny i zamknięty w sobie, ale naprawdę miły. Na środku czoła ma charakterystyczny odcisk człowieka zbyt często oddającego się modłom. Z własnej inicjatywy postanowił zająć się wystrojem wnętrza nowej szkoły, którą chcemy wybudować.

Ferris odwrócił szybko głowę i zamknął oczy. Miał wrażenie, że pogrąża się w nieprzeniknionej ciemności.

- Jak się nazywa ten architekt?

- Zapomniałam. Ale to bardzo miły człowiek... Nie, już wiem. Nazywa się Sadiki, jak „przyjaciół” po arabsku. Omar Sadiki. Bardzo miły. Jak większość z nich. A Bóg jeden wie, jak bardzo potrzebna nam pomoc takich ludzi.

Zamarł, bojąc się nawet otworzyć oczy. Miał wrażenie, jakby coś w nim pękło. Ujął dłoń Alice. Nie miał odwagi

spojrzeć jej w twarz. Musiał jak najprędzej coś wymyślić, żeby ją uchronić, lecz już po chwili doszedł do wniosku, że nie ma prawa nic robić. Gdyby cokolwiek powiedział, udzielił Alice choćby najdrobniejszej wskazówki, mógłby narazić na olbrzymie niebezpieczeństwo nie tylko ją, lecz także Sadikiego i wszystko, co miało dla niego jeszcze jakieś znaczenie.

- Hej, co się stało? - zagadnęła. - Ręce masz zimne jak lód. Lepiej wracajmy do domu. Niewykluczone, że jesteś w szoku pourazowym.

- Masz rację - odparł, odwracając się w końcu do niej. - Rzeczywiście, jakoś mi zimno. Musimy wracać.

Wyprowadził wóz na szosę i ruszyli. Słońce szybko chowało się za horyzont. Alice zaczęła ustawiać radio. Wciąż brakowało mu odwagi, by spojrzeć jej w oczy. Nim dotarli do Ammanu, ponad wzgórzami na zachodzie widać było tylko skrawek tarczy słonecznej.

23

Amman I Waszyngton

W ten sam weekend odebrał pilną wiadomość od inspektora generalnego CIA, nakazującą mu natychmiastowy powrót do centrali agencji w celu „przedyskutowania ważnych spraw”.

Depesza nie zawierała żadnych szczegółów. W poniedziałek wysłał mejla do Hoffmana, w którym prosił o jak najszybszy kontakt telefoniczny. Ale dopiero siedem godzin później doczekał się reakcji szefa. Odczytał mu treść krótkiego zawiadomienia i zapytał:

- O co chodzi, Ed? Można by odnieść wrażenie, że jestem o coś podejrzwany.

- Bo jesteś - burknął Hoffman. - Dopiero się dowiedziałem. Tylko dlatego nie dzwoniłem wcześniej. Musiałem porozmawiać z kilkoma osobami.

- Co takiego zrobiłem? - spytał zdziwiony, zastanawiając się, czy nie ma jakichś luk w jego rozliczeniach finansowych.

- Problem polega na tym, że wciąż nie wiem i nawet moi znajomi z biura inspektora generalnego nie chcą mi nic powiedzieć. A może raczej nie mogą. Zresztą może sami o niczym nie wiedzą, chociaż to mało prawdopodobne.

- Naprawdę nie możesz tego odkręcić? W końcu mam trochę pilnych spraw na głowie. Jeśli wyznaczony przez ciebie termin dwudziestego drugiego grudnia jest wiążący, to musimy się sprężyć.

- Postaram się, ale miej na uwadze, że w biurze inspektora generalnego siedzą same dupki. To coś w rodzaju wydziału wewnętrznego w komendzie najbardziej rygorystycznej policji

świata. Przymykają gliniarzy, dając bandziornym niepowtarzalną okazję do działania, bo ktoś doniósł, że patrole chętnie korzystają z darmowych pączków w miejscowym supermarkecie. Tak to już jest. Ci ludzie robią kariery na gnojeniu porządnych oficerów terenowych. Przykro mi, ale w tej sprawie nic nie zdołam zdziałać.

- Przecież nie zrobiłem nic złego. A przynajmniej niczego takiego nie pamiętam. Były na mnie jakieś skargi?

- Mam nadzieję, że nie było. Niczego sobie nie przypominam.

- To śmieszne, Ed. Oczywiście nie dla mnie. Co mam robić?

- Po pierwsze, wracaj do domu. I to najbliższym samolotem. Porozmawiasz z nimi i sam się dowiesz, o co chodzi. Potem wykombinujemy, jak wybrnąć z tej sytuacji.

Pomyślał o Alice i Omarze Sadikim. Żołądek podszedł mu do gardła.

- Naprawdę nie chcę teraz wyjeżdżać z Ammanu. Wszystko się gotuje. To chyba najgorsza pora na wyjazd.

- Rozumiem, ale nie masz wyboru. Te kutasy ci nie popuszczą. Jeśli nie zjawisz się na ich wezwanie, wyślą kogoś, kto sprowadzi cię do ojczyzny w kajdankach. Lepiej z nimi nie zadzierać. Możesz mi wierzyć na słowo. Tylko raz weszli mi w drogę, lecz o mało się na tym nie przejechałem. Na szczęście miałem dobrego adwokata. Zaraz do niego zadzwonię i zapytam, czy zechce ci pomóc. Ale najpierw sam musisz się spotkać z tymi ludźmi. Zadzwoń jeszcze dzisiaj i umów się na spotkanie, najlepiej pojutrze. Jak przedstawię ci konkretne zarzuty, skontaktujesz się z adwokatem i wspólnie wykombinujecie, jak z tego wyjść. Gdybyś od razu na pierwsze spotkanie przyszedł z adwokatem, zaczęliby tylko kombinować, jak cię przy-skrzynić na dobre.

Po południu spotkał się z Alice na kawie w barze hotelu Intercontinental, niedaleko ambasady. Uprzedził ją, że w trybie pilnym musi wracać do kraju, toteż z samego rana odlatuje do Europy, aby tam złapać połączenie do Stanów. Wytłumaczył, że zachorowała jego matka, a nie było komu się nią zająć. Musiał być teraz przy niej. Długo się zastanawiał, jakie kłamstwo wymyślić, i to wydało mu się najbezpieczniejsze.

- Widziałam już w sobotę, że czymś się martwisz - odparła. - Byłeś taki smutny przez całą drogę powrotną do domu. Wiedziałeś już wtedy o jej chorobie, prawda?

- Tak - skłamał.

- Chciałabym kiedyś poznać twoją matkę. 288

- Na pewno ją poznasz, kochana. Poznasz całą moją rodzinę.

Obejrzała jeszcze ranę na jego głowie, mówiąc, że goi się prawidłowo, po czym ujęła jego rękę i dłużej przytrzymała ją w dłoniach. Nie należała do osób podchodzących z udawanym optymizmem do spraw, których nie rozumieją. To on pierwszy przerwał milczenie.

- Ta grupa, z którą współpracujesz w swoim programie, Ikhwan Ihsan... Powinnaś podchodzić do tych ludzi z rezerwą.

- Niby dlaczego, do diabła? - zapytała oburzona, puszczać jego dłoń. - To wspaniali ludzie. Przede wszystkim chcą pomagać biednym muzułmańskim dzieciom. A jeśli dobrze pamiętam, w sobotę w Mu'tah jeden z nich wyratował cię z opresji. Dlaczego więc miałabym podchodzić do nich z rezerwą?

- Bo z nimi nigdy nic nie wiadomo. To fundamentaliści. Dogłębnie nienawidzą Ameryki.

- Więc tym bardziej powinnam z nimi współpracować! Żeby się przekonali, że nie wszyscy Amerykanie są maniakalnymi zabójcami! Nie wszyscy wypatrują terrorystów w każdym meczecie, na miłość boską! Lepiej zostawmy już tę dyskusję, Roger.

Spojrzał jej w oczy, próbując zdecydować, co dalej robić. Jej gładkie policzki aż poczerwieniały ze wzburzenia. Nie było szans, żeby go teraz wysłuchała. Zresztą gdyby powiedział jej za dużo, tylko niepotrzebnie by ją naraził. Najlepszym zabezpieczeniem była

dla niej niewiedza. Bo nikt, kto spędził z nią choćby parę minut, nie mógł wątpić w jej szczerłość. Zatem to on teraz ujął jej rękę i delikatnie uściśnął.

- Uważaj na siebie, kochana - rzekł. - Wrócę najszybciej, jak tylko będzie to możliwe. Cmoknęła go w policzek.

- Ciągłe powtarzasz: „Uważaj na siebie, kochana”. Ale to ty powinieneś bardziej uważać, Roger. Przecież lepiej wiesz, po czym rozpoznać wszystkich szaleńców i fanatycznych zabójców. To nie moja specjalność.

- Może i masz rację - odparł cicho.

- W każdym razie jak wrócisz, będę miała dla ciebie drobną robótkę w moim mieszkaniu.

Dam ci okazję do przygotowania obiadu dla chłopców i dziewcząt uciekających z Iraku. Co ty na to?

- Świetnie. Może i ja się nawrócę? Może nawet przystąpię do Bractwa Świadomości?

Pojechała z nim, a czekając, aż się spakuje, pozwoliła sobie na przycinki z tego powodu, że zabiera brudne koszule i bieliznę, których nie zdążył oddać do pralni. Szofer z ambasady, który miał go zawieźć na lotnisko, najpierw podrzucił ją do domu. W długiej drodze do Waszyngtonu Ferris pograżył się w marzeniach o Alice gospodarzącej w wyniszczonej lewentyńskiej krainie jego mieszkania, ukrytej przed światem, który zdawał się coraz bardziej brać go w kleszcze.

Pierwszą rzeczą, która trzydzieści sześć godzin później przykuła jego uwagę w holu głównym agencji centrali, było to, że jego legitymacja służbowa nie otwiera już zamków magnetycznych. Zatem, przynajmniej jeśli idzie o dostęp, został już zawieszony w czynnościach służbowych. Musiał zaczekać, aż dwaj ludzie z wydziału bezpieczeństwa wewnętrznego wprowadzą go do pozbawionego okien pokoju przesłuchań na tyłach budynku, gdzie czekał oficer z biura inspektora generalnego w towarzystwie adwokata z biura radcy prawnego CIA, niejakiego

Roberta Croge'a, oraz agenta FBI o słowiańskim nazwisku, które natychmiast uleciało mu z pamięci. Jasna cholera, przemknęło mu przez myśl. Co takiego zrobiłem? Inspektora

generalnego reprezentowała ostrzyżona na pazia kobieta o zaciętej minie, ubrana w prążkowaną garsonkę. Przedstawiła się jako Myra Callum i uprzedziła go, że prowadzi dochodzenie w sprawie o charakterze kryminalnym, które dotyczy między innymi jego.

Następnie przedstawił się agent FBI, który zapowiedział, że przesłuchanie będzie rejestrowane na taśmie, po czym wyrecytował Ferrisowi formułkę o przysługujących mu prawach, co jeszcze bardziej go przestraszyło. Zapytał więc, czy może wpierv zamienić na osobności kilka słów z młodym adwokatem, którego naczelnym zadaniem była ochrona interesów agencji, a więc pośrednio i jego. Po krótkiej naradzie dwoje śledczych zgodziło się wyjść na chwilę na korytarz. Oficer FBI wyłączył magnetofon kasetowy.

- O co tu chodzi, na miłość boską?! - wycodził Ferris, gdy tylko zamknęły się za nimi drzwi.

- Nie mogę powiedzieć - odparł Croge. - Proszę odpowiadać na pytania. Zorientuje się pan na ich podstawie, o co chodzi.

Gołową w eleganckim szarym garniturze skojarzył się Ferrisowi ze znanym mu ze zdjęć prasowych Johnem Deanem, adwokatem występującym w aferze Watergate. Jego twarz zdawała się wyprana z jakichkolwiek emocji.

- Muszę odpowiadać na ich pytania?

- Nie. W każdej chwili może pan odmówić, powołując się na piątą poprawkę do konstytucji. Będzie to kiepsko wyglądało, ale to już pańska sprawa.

- Występuje pan jako mój adwokat?

- Nie, reprezentuję agencję. Może pan ściągnąć swojego adwokata. Doradzałbym jednak, żeby najpierw wysłu-

chał pan ich pytań. Jeśli odmówi pan współpracy, automatycznie zostanie pan zawieszony w czynnościach służbowych i na jakiś czas znajdzie się pan w próżni. To ściśle tajne

dochodzenie, zatem może upłynąć parę miesięcy, zanim znajdzie pan adwokata mającego wszelkie niezbędne uprawnienia.

- No to mam przesrane. I nawet jeszcze nie wiem, o co chodzi.

- Przykro mi, kolego. Dlatego radzę porozmawiać szczerze z tą panią z biura inspektora generalnego. Jeśli pytania będą zanadto wkraczały w kwestie naszych operacji terenowych, natychmiast zainterweniuję. Ale poza tym proszę odpowiadać na pytania. Ogólnie rzecz biorąc, nie ma pan wyboru.

Ferris smętnie pokiwał głową, a adwokat wychylił się na korytarz, żeby przywołać tamtych dwoje.

Myra Callum wkroczyła do sali z jeszcze bardziej zadartym nosem niż poprzednio. Agent FBI ponownie włączył magnetofon kasetowy. Dla dopełnienia formalności oboje przedstawili się raz jeszcze. Ferris uczynił to samo. Padło pytanie, czy zgadza się uczestniczyć w przesłuchaniu bez swojego adwokata, na co nieśmiało przytaknął. Obawiając się, że jego odpowiedź nie została nagrana, poprosili, żeby zechciał powtórzyć głośniej.

- Chcę zadać panu kilka pytań dotyczących pańskiej wcześniejszej działalności - zaczęła Callum. - Czy w okresie od roku tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego dziewiątego do dwutysięcznego służył pan na placówce agencji w Sanie, stolicy Demokratycznej Republiki Jemenu?

Od strony formalnej nawet odpowiedź na to pierwsze pytanie była objęta tajemnicą służbową. Ferris spojrział niepewnie na adwokata z biura radcy prawnego, lecz ten szybko skinął głową, pozwalając mu udzielić odpowiedzi.

- Tak.

- I był pan w tamtejszej placówce zastępcą szefa sekcji operacyjnej?

- Tak. Najpierw byłem zwykłym agentem terenowym, ale po sześciu miesiącach zwolniło się stanowisko i zostałem mianowany zastępcą szefa sekcji operacyjnej.

- Czy pełniąc tę funkcję - ciągnęła Callum - utrzymywał pan regularną łączność ze służbami specjalnymi tamtego kraju, to znaczy Jemenu?

Wyrzucała z siebie pytania oschłym, wręcz groźnym tonem, który w dużej sali rozlegał się tak, jakby płynął zza jej pleców, nasilając wrażenie, że na krześle siedzi tylko manekin niewidocznego brzuchomówcy. Przez to poczuł do niej wstręt, który dodatkowo nasilała świadomość, że jest traktowany jak pospolity przestępca.

- Oczywiście - syknął ze złością, nie mogąc nad sobą zapanować. - To jasne, że utrzymywałem regularne kontakty z przedstawicielami lokalnych tajnych służb. To jedno z podstawowych zadań oficerów terenowych agencji na całym świecie. A w każdym razie tych, którzy ciągle wykonują zadania operacyjne, a nie tylko siedzą za biurkiem w centrali i myślą, jak przysporzyć tamtym kłopotów.

Croge z biura radcy prawnego wyraźnie pokręcił głową, dając mu znać, żeby nie starał się rozzłościć śledczych.

- Wystarczy odpowiedzieć tak lub nie, panie Ferris - upomniała go Callum. - A kąśliwe uwagi na temat agencji proszę zostawić dla współlokatorów więziennej celi.

- Jak mam to rozumieć, do cholery? - wycedził. Zignorowała go jednak i zadała kolejne pytanie:

- Czy siedemnastego lutego dwutysięcznego roku miał pan okazję spotkać się z agentem jemeńskich służb wywiadowczych znanych jako Muk-ha-ba-rat? - przesylabizowała fonetycznie, najwyraźniej spisawszy nazwisko z czyichś zeznań zarejestrowanych na taśmie.

- Skąd miałbym to pamiętać? Nie mam tu swojego terminarza.

- W takim razie pozwolę sobie odświeżyć pańską pamięć, panie Ferris. Czy siedemnastego, osiemnastego i dziewiętnastego lutego wspólnie z Muk-ha-ba-ratem przesłuchiwał pan

domniemanego członka Al-Kaidy, niejakiego Sa-mira Na-kiba, będącego więźniem jemeńskich służb wywiadowczych?

- Kurwa mać! - syknął Ferris pod nosem.

Nagle dotarło do niego i omal nie zważyło z nóg niczym silny cios w głowę, że przyczyną tego jest Gretchen. To ona musiała na niego donieść. Na pewno zapamiętała, jak przed laty rzekł jej parę słów o tamtym przesłuchaniu w Jemenie. Powiedział jej, że schwytyany członek Al-Kaidy zmarł w więzieniu w jego obecności. Obiecała mu, że nigdy nikomu o tym nie powie, gdyż od strony formalnej to, co zrobił, jest niezgodne z prawem. Dawno już o tym zapomniał, ona jednak najwidoczniej zapamiętała i jakby czekała na taką okazję, kiedy będzie mogła wykorzystać to przeciwko niemu. I właśnie zrobiła.

- Czekamy, panie Ferris - odezwała się nosowym głosem Myra Callum.

- Skąd macie tę informację? - zapytał ze złością. - Od informatora, zgadza się? Anonimowego informatora?

- To bez znaczenia, skąd mamy tę informację. Proszę odpowiedzieć na pytanie. Czy siedemnastego, osiemnastego i dziewiętnastego lutego towarzyszył pan wymienionemu z nazwiska agentowi jemeńskich służb wywiadowczych?

- Odmawiam odpowiedzi.

- Na jakiej podstawie?

- To informacje ściśle tajne.

- Występując w imieniu agencji - odezwał się Croge - mogę zapewnić, panie Ferris, że panna Callum, agent Sa-ckowitz i ja mamy najwyższy priorytet dostępu do tajemnic państwowych. Może pan nam ujawnić ściśle tajne informacje.

- Przykro mi, ale wszystkich troje państwa widzę dzisiaj po raz pierwszy. Żądam pisemnej zgody mojego dowódcy Eda Hoffmana, szefa wydziału bliskowschodniego agencji. W przeciwnym razie nie odpowiem na to pytanie.

Croge skrzywił się z niesmakiem. Callum spiorunowała go wzrokiem. Agent FBI sprawiał wrażenie znudzonego.

- Proszę pytać dalej - rzekł radca prawny. - Za minutę zadzwonię do szefa wydziału.

- Czy w trakcie rzeczonego przesłuchania Sa-mira Na-kiba w wymienionych wcześniej dniach był pan świadkiem bicia więźnia?

- Odmawiam odpowiedzi.

- Dlaczego?

- Z tego samego powodu. To ściśle tajne informacje. Naruszyłbym regulamin mojej służby, gdybym je ujawnił, nie dysponując potwierdzoną przez mojego przełożonego pisemnie weryfikacją państwa uprawnień.

- Czy był pan świadkiem, jak funkcjonariusze służb bezpieczeństwa okładali więźnia Sa-mira Na-kiba pałą od kry-kieta, po czym wymierzili mu tą pałą silny cios w głowę?

- To tajne informacje.

- Czy próbował pan w jakiś sposób powstrzymać członków jemeńskiego Muk-ha-ba-ratu przed tego typu działaniami, czego wymaga dekret prezydencki numer dwanaście siedemdziesiąt dziewięć i odpowiednie rozkazy wewnętrzne dowództwa agencji?

- Informacje tajne.

Callum spoglądała na niego z coraz słabiej skrywaną nienawiścią. Dla niej należał do najgorszych szumowin, jednego z tych, którzy stawali jej na drodze do wielkiej kariery i przyczyniali się do wstrzymania awansów, podejmowali niepotrzebne ryzyko, sprawiając wszystkim olbrzymie kłopoty, i zostawiali po sobie bałagan, który musieli za nich sprzątać inni.

- Panie Ferris, odrzucam pańskie tłumaczenie powodów odmowy składania zeznań. Mam wszelkie upoważnienia do zapoznawania się z tajnymi informacjami. Kwestionując moje

uprawnienia, nie tylko niepotrzebnie gra pan na zwłokę, ale w dodatku obraża mnie i całe biuro inspektora generalnego. Nie dość, że prawdopodobnie jest pan winien stawianych panu zarzutów o charakterze kryminalnym, to w dodatku zachowuje się pan arogancko. Ostrzegam, że uczynię wszystko, żeby pan za to zapłacił.

Popatrzył na nią i po raz pierwszy od chwili wejścia do budynku uśmiechnął się lekko. A więc jednak udało mu się zburzyć jej niewzruszony adwokacki spokój. Warto było zaryzykować.

- Po prostu skontaktujcie się z Edem Hoffmanem - powiedział. I przedstawcie jego pisemne upoważnienie zezwalające mi na ujawnianie poruszanych spraw, a wtedy porozmawiamy. Może.

Przesunęli przesłuchanie na późniejszy termin. Przeciąganie tego spotkania nic by nie dało, gdyż nawet Croge nabrał podejrzeń, że Ferris może mieć rację, domagając się pisemnego zezwolenia na omawianie szczegółów zadań terenowych łączników współpracujących z lokalnymi służbami wywiadowczymi, które należały do najściślej strzeżonych tajemnic agencji. Gdy tylko dostał tymczasową przepustkę na teren budynku, wyszedł na ulicę, zadzwonił z aparatu komórkowego do Hoffmana i poprosił go o pilne spotkanie w barze Starbucks, w przyległym centrum handlowym McLeana.

Waszyngton

O tej wczesnej przedpołudniowej godzinie w barze nie było prawie nikogo. Jedyne klient, rozczochrany student, pisał coś na swoim laptopie, słuchając muzyki z odtwarzacza mp3. Ferris usiadł przy stoliku w najdalszym kącie

I wbił zęby w olbrzymiego pączka z nadzieniem banano-wo-orzechowym, z nadzieją, że spora dawka kalorii poprawi mu samopoczucie. Hoffman zamówił migdałowe mrożone cappuccino i pociągając je przez grubą słomkę, zajął miejsce naprzeciwko niego.

- Przynajmniej wiem wreszcie, o co chodzi - zaczął Ferris. - Wszystko przez moją żonę Gretchen. Opowiedziałem jej kiedyś o przykrym zdarzeniu, do którego doszło w Sanie, kiedy przesłuchiwaaliśmy schwytanego członka Al-Kaidy. Nie byłem w stanie powstrzymać Jemeńczyków, którzy zatłukli więźnia na śmierć. Teraz ona wykorzystuje to, żeby wyrzucić na mnie presję, ponieważ zażądałem rozwodu. Może to brzmi niewiarygodnie, ale cała sprawa właśnie do tego się ogranicza.

- Jestem pod wrażeniem - mruknął Hoffman, odstawiając kubeczek. - Musi cię naprawdę kochać. Nie zmienia to jednak faktu, że wpadłeś po uszy w gówno.

- Nie rusza cię, że śledczy traktują tę sprawę aż tak poważnie?

- Owszem, rusza. Mój szpieg w biurze inspektora generalnego twierdzi, że anonimowy informator, a więc zapewne twoja żona, ma silne poparcie polityczne, dobrze ustawionych przyjaciół, kontakty z Białym Domem. Dlatego mają nakaz wszczynania dochodzenia na podstawie każdego przecieku od tego informatora. Mój szpieg uważa także, że nie da się z tego zrobić wielkiej sprawy. Gdybyśmy zaczęli ścigać wszystkich, którzy byli świadkami odrażających przesłuchań, trzeba by zamknąć połowę pionu operacyjnego. Nie mają jednak wyboru, chyba że informator wycofa donos. Nawiasem mówiąc, rozmawiałem już ze swoim adwokatem Markiem Sheehanem. Dysponuje niezbędnymi upoważnieniami, a biuro inspektora generalnego nie ma nic przeciwko temu, żebyś skorzystał z jego rad. Prawdę mówiąc, mam wrażenie, że sam inspektor też chciałby jak najszybciej pozbyć się tej sprawy. Jest świadomy, że może się rozejść smród, który narobi dużych kłopotów. Sheehan spotka się z tobą dziś po południu, o piątej lub szóstej. Nie pamiętam dokładnie. Powiedziałem mu, że jest nam pilnie potrzebny, bo nie mamy czasu, żeby się chrzanić z prawniczymi pierdołami. Czeka ważniejsza robota.

Ferris się zamyślił, usiłując nie zwracać uwagi na siorba-nie, z jakim Hoffman sącył cappuccino przez słomkę.

- Mam rozumieć, że jeśli informator wycofa swój donos, biuro inspektora generalnego zarzuci dochodzenie? To mi chcesz przekazać?

- Tak. Możliwe. Zapytasz o to Sheehana. Jest dobry w takich sprawach. Problem polega na tym, że nie mogą wysunąć oskarżenia, nie mając dowodów ani świadków. A jeśli nikt nie zechce gadać, zostaną z pustymi rękami. A nie mam złudzeń, Jemeńczycy nie zgodzą się zeznawać. W końcu sami zatłukli tego chłopaka. Ofiara też nie piśnie ani słówka, bo od pewnego czasu nie żyje. Co więc mamy, zebrawszy wszystko do kupy? Nic. Zatem trzymaj się swojego. To sprawa do szybkiego zamknięcia. Rozmawiałeś o tym przesłuchaniu jeszcze z kimś oprócz żony?

- Nie. Do sprawozdania dołączyłem notatkę dającą do zrozumienia, że więzień zmarł w celi po przesłuchaniu. Musieli do niej dotrzeć. Ale nie ma tam żadnych szczegółów. Nawet tobie nie powiedziałem o wszystkim. Przynajmniej tak mi się zdaje.

- Nie powiedziałeś - odparł szybko Hoffman. - Gdybyś to zrobił, musiałbym o tym zameldować. Dobra, chodźmy stąd. Przygotuj się do rozmowy z Sheehanem. Dobry adwokat może wszystko naprawić. Jesteś mi jak najszybciej potrzebny w Ammanie. Czas ucieka. Mark Sheehan miał kancelarię w nowoczesnym biurowcu przy Pennsylvania Avenue. Po przekroczeniu progu miało się wrażenie, że jest się w innym świecie. Sekretarka poprosiła Ferrisa, żeby usiadł w poczekalni, w której można by przyjmować koronowane głowy. Przyszedł za wcześnie, gdyż okazało się, że był umówiony na szóstą, a nie na piątą, ale to nie miało dla niego znaczenia. Mógł swobodnie zaczekać w wygodnym przepaścistym fotelu, mając do dyspozycji stosik ilustrowanych czasopism, a na ścianach prawdziwe obrazy olejne zamiast tanich reprodukcji, jakie zdobiły korytarze agencji. Sheehan przez lata zyskał opinię anioła stróża tych oficerów wywiadu, którzy popadli w kłopoty. Był jednym z najważniejszych w stolicy obrońców w sprawach kryminalnych, ale forszę zbijał głównie na reprezentowaniu malwersantów z dużych prywatnych spółek, którzy pewnie z założenia powinni się znaleźć za kratkami. Sam służył w piechocie morskiej, pewnie dlatego brzydził się myślą, że uczciwych oficerów CIA mogą ścigać komisje kongresowe, podrzędni adwokacy krwiopijcy czy w ogóle ci wszyscy, którzy z różnych powodów postanowili dobrać się im do skóry. Dlatego agentów wywiadu bronił jako adwokat z urzędu. Luksusowe wnętrza kancelarii sprowadziło na Ferrisa spokój. Sekretarka podała mu kawę w małej filiżance z chińskiej porcelany, a później przyniosła jeszcze dietetyczną coca-colę i talerzyk z herbatnikami, zanim w końcu powiedziała, że może wejść do gabinetu Sheehana.

Zaczął przedstawiać swoją sprawę od opisanego roli Gretchen w departamencie sprawiedliwości i podejrzeń, że to ona nasłała na niego śledczych z biura inspektora generalnego. Później dość szczegółowo opowiedział o wszystkim, co się wydarzyło w czasie trzech dni przesłuchań w podziemiach więzienia w Sanie, a więc o ciągłych groźbach i narzędziach używanych przez jemeńskich oficerów, o pękniętej aortce na skroni więźnia i wielkiej kałuży krwi na podłodze. Przedstawiał swoją rolę w jak najlepszym świetle, nie podejrzewał, że będą bić zatrzymanego kijem do krykieta, a później nie zdawał sobie sprawy, jak poważne są jego obrażenia. Nie dało się jednak zaprzeczyć podstawowym faktom: w efekcie przesłuchania więzień został zatłuczony na śmierć.

- Czy świadkiem bicia więźnia był jeszcze jakiś obywatel amerykański? - zapytał Sheehan. Kiedy Ferris wyjaśnił, że był w więzieniu jedynym przedstawicielem placówki CIA, adwokat głośno odetchnął z ulgą. Oznaczało to bowiem, że jedynym świadkiem oskarżenia, a i to pośrednim, może być jego żona Gretchen Ferris. Jej zeznania łatwo było zakwestionować.

- Co mam teraz robić? - zapytał Ferris.

- Byłoby najlepiej, gdyby pańska żona wycofała donie-

sienią, przypomniała sobie, komu o tym mówiła, i zaczęła teraz utrzymywać, że wcale nie jest pewna, czy naprawdę tak było. To by nam wszystkim bardzo ułatwiło życie, nie wyłączając jej.

- Dobrze wiem, o co jej chodzi. Chce, żebym wycofał pozew o rozwód. Ale ja nie zamierzam jej dać tej satysfakcji.

- Rozumiem. - Sheehan pokiwał głową. - W takim razie może jest coś, czego ona by nie chciała. Oczywiście nie jest to oficjalna rada z mojej strony. Czasami jednak informator uświadamia sobie, że jednak nie leży w jego czy jej interesie dalsze forsowanie takiej sprawy.

- W jej interesie... - powtórzył w zamyśleniu Ferris. Nie wątpił, że takie stanowisko musi być dla Gretchen jasne i zrozumiałe.

Odczekał do dziewiątej wieczorem i dopiero wtedy zadzwonił do żony z ulicy przed jej domem. Kiedy Gretchen podniosła słuchawkę, przerwał połączenie, wszedł na górę i zadzwonił do drzwi. Miała założony łańcuch i nie od razu wpuściła go do środka. Pomyślał, że jest z innym mężczyzną, ale był w błędzie. Po prostu robiła swój wieczorny makijaż.

- Co za niespodzianka - powiedziała, otwierając szerzej drzwi. - Czyżbyś poszedł wreszcie po rozum do głowy?

Miała na sobie długi czarny sweter naciągnięty na bluzkę i spódnicę, w których była w pracy. Sądząc po jej głosie, już zdążyła wypić swoje codzienne martini. Nie ulegało wątpliwości, że postanowiła go zniszczyć. Nie wolno mu było o tym zapominać, gdy patrzył na tę piękną kobietę, spoglądającą na niego hardo, jak zwykle z lekko rozchylonymi wargami.

- Wiem, do czego zmierzasz - zaczął. - Próbujesz mnie zniszczyć. Ale to ci się nie uda.

- Nie bądź śmieszny, Roger. Jak mogłabym zniszczyć takiego wielkiego, potężnego agenta CIA, który przecież nikogo się nie boi? Najwyraźniej coś sobie uroiłeś. To ty próbujesz mnie zniszczyć, domagając się rozwodu.

- Spotkałem się dzisiaj z inspektorem generalnym, a po rozmowie z nim zaangażowałem dobrego adwokata. Świetnie wiem, co się dzieje, dlatego powtarzam, że nic z tego nie będzie. Nie masz przeciwko mnie żadnych dowodów ani świadków, jedynie swoje słowa przeciwko moim. A ponieważ wkrótce masz się znaleźć w sytuacji porzuconej rozwódki, nikt nie da wiary twoim oskarżeniom. Nigdy nie rozmawiałem z tobą o swojej służbie w Jemenie. Przysięgnę to przed sądem. Zmyśliłaś wszystko, żeby się na mnie zemścić. Stoisz na straconej pozycji. Problem w tym, że nie mam czasu na te wszystkie prawnicze przepychanki. Chcę zatem, żebyś wycofała oskarżenia. Możesz powiedzieć, że się pomyliłaś, że bardzo ci przykro. Najważniejsze, żebyś wycofała oskarżenia. Wtedy będziemy kwita.

Zaśmiała się sztucznie, dowodząc tylko tego, że jest podchmielona.

- Przecież to absurd. Jesteś naprawdę żalony, Roger.

- Wycofaj oskarżenia - powtórzył. - Ja wcale nie żartuję.

Mówił spokojnie, lodowatym tonem, co na chwilę przykuło jej uwagę. Szybko się jednak opanowała i postanowiła przejść do kontrataku.

- Nie zamierzam nawet kiwnąć palcem dla człowieka, który postanowił mnie porzucić. Swoje problemy rozwiązuj sam. Wszystko zależy tylko od ciebie... kochanie. Zresztą jako twoja żona i tak nie mogłabym zeznawać

przeciwko tobie. Za to jako przyszła porzucona rozwódka, jak sam raczyłeś się wyrazić, będę mogła zeznawać do woli. Musisz więc zdecydować...

- Nie. Taka jest moja decyzja.

- Co znaczy nie?

- Odpowiadam na twoją żalną próbę szantażu. Nie zostanę twoim mężem tylko po to, by się uwolnić od wydumanych zarzutów, bo tobie się wydaje, że kiedyś coś ci mówiłem. Gdybym na to przystał, już przy pierwszej lepszej kłótni wymyśliłabyś coś innego. Zresztą nie przyszedłem prosić cię o cokolwiek. Chciałem ci tylko coś powiedzieć.

- Niby co, twardzielu? - rzuciła zaczepnie, ale w jej głosie słychać było nutki niepewności.

- Jeśli nie wycofasz oskarżeń, zamierzam podjąć zdecydowane kroki, żeby się bronić.

Znów zaśmiała się w głos, ale jeszcze mniej przekonująco.

- Jak? Zwerbujesz kogoś ze swoich śmiesznych koleśków, żeby mnie prześladował? Trzęsę się ze strachu.

- Zamierzam się bronić, rozpowszechniając prawdę. Wszyscy się dowiedzą, że gdy poprosiłem cię o rozwód, wpadłaś we wściekłość i postanowiłaś wykorzystać wyssaną z palca historyjkę. A potem sami się przekonają, a na myśli mam przede wszystkim twoich i moich pracodawców, że jesteś osobą całkowicie niewiarygodną, niewartą ich zaufania.

Spojrzała mu w oczy i pokręciła głową.

- Chyba ci rozum odebrało, Roger. Dobrze znam tych ludzi. Zwierzchnicy z Białego Domu są moimi przyjaciółmi. To ja jestem częścią ich świata. Nie dadzą wiary ani jednemu słowu kogoś takiego jak ty, ze zniechęconego przez nich CIA. Możesz to sobie wybić z głowy.

- Tyle że tu nie chodzi o żadne słowa. Mam dowody. Listy, zdjęcia, dokumenty. Mogę ich użyć przeciwko tobie.

Ta jawna groźba, zamiast przestraszyć Gretchen, tylko bardziej ją rozwścieczyła i skłoniła do sięgnięcia po starą zaczepkę.

- Nie starczy ci na to jaj, Roger. Jesteś zbyt dobrze wychowany. Świetnie cię znam. W ogóle nie potrafisz walczyć.

- No to się przekonasz. Potulnie znosiłem twoje napady złości i żądania seksualne, bo po prostu nie chciałem z tobą zadzierać. Ale teraz sytuacja się zmieniła. Zmuszasz mnie, żebym walczył o swoje życie. Jeśli nie wycofasz oskarżeń, zniszczę cię. Mówię poważnie.

Zobaczysz.

Odwrócił się i wyszedł na korytarz. Wychyliła się za nim, zawołała raz i drugi, po czym zaczęła wulgarnie przeklinać, na cały głos rzucając najgorsze epitety. Aż zaniepokojeni sąsiedzi zaczęli wyglądać na korytarz. Za Ferrisem zamknęły się drzwi windy, odcinając go od tych dzikich wrzasków.

Pojechał do domu matki w górach, dokąd przezornie wywiózł swoje prywatne dokumenty przed wyjazdem za ocean. Próbowala go uspokajać, świetnie wyczuwając, że dzieje się coś złego, ale on działał jak w transie. Zaczął przeglądać wszystkie starocia, papiery, dyskietki z zapisanymi wiadomościami poczty elektronicznej, cyfrowe zdjęcia, których nigdy nie oddał do druku, i pisane odręcznie listy. Zamknął się w swoim dawnym pokoju i prawie przez cały dzień przeglądał te pamiątki swojego życia małżeńskiego z Gretchen, oceniając, które z nich będą teraz przydatne. Wielka sarta rzeczy powoli topniała, aż wreszcie została tylko garstka. Zaczął od stypendialnych oszustw żony z czasów nauki w collegu. Uznał, że na tym etapie to chyba jego najlepsza broń. Sam jej pomagał w zdobywaniu rachunków na pokrycie fikcyjnych zakupów, co potwierdzał w kilku mejlach. Jeszcze lepszy numer Gretchen wycięła, robiąc już specjalizację prawną, kiedy to wystąpiła o umorzenie części kredytu studenckiego, wykazując się znacznie większą liczbą obowiązkowych zajęć, niż to w ogóle było możliwe. Pozytywną decyzję w tej sprawie przyjęła z taką radością, że opisała przekręt ze szczegółami w mejlu do niego. Tego typu historie mogły teraz być dla niej naprawdę kłopotliwe. Nazbyt wierzyła w jego przyzwoitość. Poza tym kłamała w sprawie kontaktów z narkotykami podczas wstępnej rozmowy o pracę w Departamencie Sprawiedliwości. Tego również mógł dowieść, gdyż przysłała mu mejla, w którym pytała, jak ma odpowiedzieć na takie pytanie. Odpisał żartobliwie, żeby powiedziała prawdę, czyli przyznała się, że nigdy nie zażywała żadnych środków odurzających. Tak też zrobiła, a to odniosło pożądany skutek. Rozradowana, z wdzięczności przysłała mu następnego mejla. Był przekonany, że FBI bardzo by się to spodobało.

Wreszcie sprawa podatków. W ostatnim roku przed ślubem, kiedy Gretchen rozliczała się jeszcze indywidualnie, wyszła jej bardzo duża kwota niedopłaty. Postanowiła więc maksymalnie zwiększyć wydatki i zaczęła zbierać wszelkie rachunki i paragony za obiady i

kolacje, zaliczając je do wydatków służbowych i kosztów reprezentacyjnych. W ten sam sposób potraktowała nawet ich wspólną świąteczną wycieczkę na Wyspy Dziewicze. W szpargałach Ferrisa zachowała się koperta z kopiami tamtych rachunków, jakby już wtedy gromadził amunicję do prowadzenia obecnej wojny podjazdowej.

Jego matka widziała, z jaką dokładnością przegląda stare szpargały, więc nie chciała mu przeszkadzać, dopóki nie skończył. I choć było już po północy, ściągnęła go na dół, do kuchni, i zrobiła herbatę. Zaczął się już grudzień, całą dolinę Shenandoah pokryły suche liście, a szyby w oknach wielkiego pustego domu aż dzwoniły pod naporem ostrego zimowego wiatru.

- Był tu pewien człowiek z FBI - zaczęła. - W każdym razie twierdził, że jest z FBI. Pokazał mi jakąś odznakę.

- Tak? I czego chciał?

- Powiedział, że sprawdza twoje uprawnienia w zakresie bezpieczeństwa państwowego. Dopytywał się, czy mamy jakieś rodzinne dokumenty, stare akta, listy i temu podobne. Zwłaszcza związane z rodziną twojego ojca.

- Poważnie? To dziwne. Dałaś mu coś?

- Nie, bo nie mam niczego takiego. Pozwoliłam mu przez dobrą godzinę buszować po całym domu. Przeżywałam już takie naloty, jak tylko wstąpiłeś na służbę w agencji. A wcześniej wiele razy kontrolowali papiery twojego ojca. Dlatego wcale się tym nie przejęłam.

- I znalazł coś, co by mu się nie spodobało?

- Nie. Jak skończył, wyglądał na zadowolonego. Powiedział, że wszystko jest w porządku i nie mam się czym martwić. Weryfikacja wypadła pomyślnie.

Wzruszył ramionami. Doszedł do wniosku, że to Hoffman musiał przysłać swojego specjalistę od bezpieczeństwa, zanim wprowadził go do Parku Miazgi. Nie było się czym przejmować. A w chwili obecnej miał dużo poważniejsze zmartwienia. Życzył matce dobrej nocy i pospiesznie wrócił na górę, żeby złapać parę godzin snu przed powrotem do stolicy. Przygotował dwa zestawy kopii. Jeden zdeponował u swojego adwokata, a z drugim zjawił się w mieszkaniu Gretchen. Wpuściła go do środka z nisko spuszczoną głową. Oczy miała mocno podkrążone, co świadczyło wyraźnie, że bardzo mało spała od ich ostatniego spotkania. Musiała się domyślić, że znajdzie przeciwko niej mocne dowody. Może tylko nie podejrzewała, że odważy się po nie sięgnąć.

Porozkładał je na podłodze w saloniku i dokładnie wyjaśnił, czego każdy z nich dotyczy. Nie miał wątpliwości, że nie zapomniła poszczególnych spraw. Uprzedził, że drugi identyczny zestaw dokumentów znajduje się u jego adwokata, którego poinstruował, żeby jutro rano dostarczył papiery do Wydziału Odpowiedzialności Zawodowej w Departamencie Sprawiedliwości, o ile on sam nie odwoła wcześniej tego polecenia. Miał obawy, że będzie próbowała się bronić, podawać w wątpliwość przedstawione dowody, wytykać mu perfidię, jaką było z jego strony gromadzenie tych szpargałów sprzed lat. Poważnie obawiał się też łez. Jednakże odebrała wszystko w milczeniu, tylko od czasu do czasu kręcąc głową. A kiedy skończył, popatrzyła mu w twarz i powiedziała:

- Naprawdę cię kochałam. Ale już cię nie Kocham. Nie mogłabym po czymś takim. Idź sobie. Muszę wszystko przemyśleć.

Zniknęła w sypialni, zamknawszy za sobą drzwi. Ferris pozbierał papiery i po cichu wyszedł z mieszkania.

Nazajutrz wczesnym rankiem do biura inspektora generalnego zadzwonił adwokat występujący w imieniu Gretchen Ferris. Oświadczył, że jego klientka uzyskała dodatkowe informacje dotyczące jej męża i na ich podstawie uznała, iż nie jest gotowa świadczyć przeciwko niemu, to-

też wycofuje wszelkie oskarżenia dotyczące jego domniemanych wykroczeń przeciwko przepisom prawa karnego oraz szczegółowym wytycznym władz federalnych podczas

pełnienia obowiązków służbowych pracownika CIA. Następnie adwokat Gretchen zadzwonił do kancelarii Sheehana, któremu powtórzył to oświadczenie. Dodał także, że jego klientka poinstruowała go również, iż jest gotowa przyjąć wniosek rozwodowy męża.

Ferris nie cieszył się z tego zwycięstwa. Doskonale wiedział, że Gretchen mówiła szczerze. Owszem, próbowała go skrzywdzić, ale robiła to wyłącznie z miłości. On natomiast zagroził, że ją skrzywdzi, aby chronić siebie. Przez to przysłał wszelki czar. A skoro przestała go kochać, przestała jej także na nim zależeć. Nie była osobą gotową walczyć o przegraną sprawę, wizja napływających zewsząd oskarżeń skutecznie ją odstraszała. Zdawała sobie sprawę ze swojej wartości. Ferris liczył na jej zdrowy rozsądek, lecz nawet on się nie spodziewał, jak szybko ten weźmie górę nad jej uczuciami.

- Wracasz do roboty - oznajmił Hoffman. Zadzwonił specjalnie po to, by go powiadomić o zawieszeniu śledztwa inspektora generalnego. Dodał, że jeszcze dzisiaj po południu będzie na niego czekał służbowy samolot. Nie zdradził tylko, dokąd ma polecieć, Ferris wyczuł jednak, że nie będzie to Amman.

- Chciałbym jeszcze poznać Harry'ego Meekera - rzekł.

- Harry czeka na ciebie w chłodni i donikąd się nie wybiera, to pewne. Zresztą jesteśmy już prawie gotowi, żeby podrzucić u wylotu jaskini Sulejmana. Trzeba jeszcze tylko dopracować parę drobiazgów. Dlatego pakuję cię od razu do samolotu. Niewiele zostało do ogłoszenia terminu

inwazji. Musimy więc szybko i zgrabnie założyć tych kilka ostatnich szwów.

Ferris się zawahał. Był gotów, naturalnie, wracać na Bliski Wschód, nawet się do tego palił, ale spokoju nie dawało mu pewne pytanie dotyczące jednej z tajemnic, które Hoffman tak chętnie za sobą zostawiał.

- Mogę cię o coś spytać?

- Jasne. Możesz pytać o wszystko. Co nie znaczy, że na pewno usłyszysz odpowiedź.

- Z jakiego powodu był ci potrzebny dobry adwokat? Co takiego przeszkrobałeś, że aż Mark Sheehan musiał cię z tego wyciągać?

- Wolałbyś tego nie wiedzieć - odparł szef wydziału z ociąganiem, jakby przytłoczony natrętnymi wspomnieniami.

- Mylisz się. Bo jestem pewien, że chodzi o coś, co nas obu łączy. Mam rację?

- Powiedzmy, że przekroczyłem pewną granicę. Grubą czerwoną linię. A Sheehan musiał przekonywać wiele osób, że będzie znacznie lepiej dla wszystkich, gdy zaczną udawać, że nic się nie stało.

- Jaką to niby granicę przekroczyłeś?

- Mówiłem przecież, że wolałbyś nie wiedzieć.

- Nie traktuj mnie w ten sposób, Ed. Jeszcze dziś wyruszam, żeby się zająć najczarniejszą robotą dla ciebie, a ty próbujesz mnie zwodzić. Jaką granicę przekroczyłeś?

Hoffman westchnął głośno. Najwyraźniej łatwiej mu było zdradzić swoją tajemnicę, niż dalej się spierać z Ferrisem.

- Przekroczyłem granicę przekonania, że nie powinniśmy zabijać innych ludzi. Nikt nie chce się do tego przyznać w naszej branży, ale zazwyczaj robimy to, co uznajemy za konieczne. Ja też tak zrobiłem. Sytuacja była podobna do tej, w jakiej znalazłeś się w Jemenie, w roli świadka przesłuchania więźnia, tyle że u mnie świadków było więcej i wszystko trwało dużo dłużej. Nigdy więcej mnie o to nie pytaj. Zapamiętaj sobie tylko - jeśli idzie o nasze operacje terenowe, mówię całkiem poważnie, że nie cofnę się przed niczym.

25

Ankara / Incirlik

Dwa dni później Ferris na pokładzie białego odrzutowego gulfstreama wylądował w Ankarze. Taksówką dotarł z obskurnego lotniska do antyseptycznego z pozoru wieżowca w centrum dzielnicy dyplomatycznej. Był brzydki grudniowy dzień. Z anatolijskich równin spadał na

miasto porywisty wiatr. Turcy, opatuleni szalami i zakutani w grube swetry, przemykali chodnikami przygarbieni z zimna. Z rur wydechowych aut, z kominów wentylacyjnych na budynkach i ust ludzi wydobywały się strumienie szarawej pary. Jeszcze nie tak dawno, wskutek narzucenia przez wszechwładną armię szczelnej peleryny świeckości, było to miasto setki meczetów, lecz jak gdyby wyrzute z muzułmanów. Teraz jednak Turcja wracała na swoją drogę islamu i poza ścisłym centrum stolicy wręcz trudno było zobaczyć kobietę bez tradycyjnej chusty na głowie.

Gdy tylko się rozpakował, zadzwonił do Ammanu, do Omara Sadikiego. Po raz kolejny przybrał rzeczowy ton Brada Scanlona i wytlumaczył nagłym tonem, że wyniknął poważny problem. Naczelnym inżynierem bliskowschodnich inwestycji Unibanku przejrzał plany Al Fajr dotyczące projektowanej filii w Abu Dhabi i zakwestionował rodzaj izolacji murów oraz wydajność proponowanego systemu

klimatyzacyjnego. Klimat nad Zatoką Perską był skrajnie gorący, temperatury latem dochodziły do 45, a nawet 50 stopni w cieniu, toteż konsultant miał wątpliwości, czy architekci Al Fajr właściwie obliczyli moc potrzebnych urządzeń. W dodatku proponowana izolacja termiczna murów mogła spełniać swoje zadanie w Jordanii, ale nie w Zjednoczonych Emiratach. Nie zapewniała dostatecznej szczelności pomieszczeń chroniącej przed zewnętrznym upałem, musiała więc nazbyt obciążać system klimatyzacyjny, a tym samym niepotrzebnie zwiększać koszty eksploatacyjne.

Sadiki sprawiał wrażenie zaskoczonego. Nie rozzłoszczonego, tylko zaskoczonego.

- Ta izolacja jest na pewno dobra - zapewnił. - Taką samą stosowaliśmy w Arabii Saudyjskiej. Przecież w Hafr al Battan latem jest jeszcze goręcej. A mimo to nie ma żadnych kłopotów z klimatyzacją.

- Zależy mi jednak na tym, żeby przedstawił pan ten punkt widzenia naszemu specjalistce. Jest tutaj ze mną w Ankarze. To Turek. Chciałby się z panem spotkać jak najszybciej. Mówi, że w przeciwnym razie będzie musiał wstrzymać dalsze prace.

- To znaczy? - zapytał Jordańczyk.

- Zostałaby też wstrzymana zapłata. Przykro mi. Jestem tak samo rozczarowany, jak pan. Ale to nie potrwa długo. Zapewne będzie mógł pan wrócić jeszcze tego samego dnia. Mogę zlecić naszemu agentowi, żeby zarezerwował dla pana miejsce w samolotach i dostarczył bilety do pańskiego biura. - Bardzo się starał, żeby w jego głosie nie dało się wyczuć zaniepokojenia, bo od tego spotkania bardzo wiele zależało.

- Kiedy mam przyjechać? - zapytał po chwili Sadiki znużonym głosem, jakby jego prace projektowe zawsze były skazane na takie czy inne opóźnienia.

- W środę, to znaczy pojutrze - odparł Ferris. - To jedyny termin, kiedy główny inżynier będzie mógł z panem porozmawiać. Przykro mi, ale naprawdę muszę pana prosić o przyjazd. Konsultant nie chce rozmawiać z nikim innym.

- Proszę chwilę poczekać - rzekł Jordańczyk i odłączył aparat, zapewne po to, żeby naradzić się ze swoim przełożonym.

Cisza w słuchawce trwała kilka minut. Ferris zaczął się już obawiać, że spotka się z odmową. Co prawda, przygotowali z Azharem plan awaryjny, ale miał on kilka poważnych mankamentów. Wreszcie lekki szum oznajmił, że połączenie zostało przywrócone, a gdy ponownie rozległ się głos Sadikiego, zapytał krótko:

- Zatem jesteśmy umówieni?

- Ale po tej rozmowie zapłacicie? - zainteresował się architekt.

- Co do grosza. Proszę podróżować pierwszą klasą. Pokryjemy wszelkie koszty, jak tylko wątpliwości zostaną wyjaśnione. Naprawdę bardzo mi przykro...

- A więc w porządku. Przylecę w środę, dziewiętnastego grudnia, jeśli Bóg pozwoli.

Ferris podał adres biurowca w starej islamskiej dzielnicy Ankary, gdzie się spotkają. Obiecał, że bilety lotnicze zostaną dostarczone do ammańskiego biura jutro z samego rana. Sadiki

podziękował i rzekł, że nic się nie stało, ponieważ rozumie wątpliwości naczelnego inżyniera. Ferrisowi powinno było dać do myślenia, że Jordańczyk jest aż tak elastyczny, nie znalazł jednak powodu do zmartwień.

Późnym popołudniem poleciał amerykańskim wojskowym helikopterem do wielkiej bazy lotniczej w Incirliku,

czterysta kilometrów na południowy wschód od Ankary, która była jednym z głównych punktów przerzutowych wojsk Stanów Zjednoczonych przed wybuchem wojny w Iraku.

Zanim dotarł na miejsce, zrobiło się ciemno. W rozsypującym się terminalu bazy powitał go agent terenowy, którego twarz skądś pamiętał, może ze szkolenia na Farmie, a może tylko z kafejki centrali w Langley. Łysiejący, mocno przygarbiony, dobrze po czterdziestce, przedstawił się jako pracownik placówki w Ankarze, do którego szef wydziału bliskowschodniego zwrócił się o pomoc. Pokazał Ferrisowi paletę z jego bagażem, po czym poprowadził go do samochodu i pojechali pod nieoznakowany barak na skraju lotniska bazy. Wewnątrz, z nogami na wielkim brezentowym pakunku i nosem wetkniętym w wymiętoszony magazyn „People”, czekał Jim, oficer służb specjalnych, którego Ferris poznał w Rzymie. Ciemne okulary miał zsunięte na czoło i mimo grudniowego chłodu był tylko we flanelowej koszuli z podwiniętymi do łokci rękawami. Wyglądał na jeszcze bardziej gotowego do działania niż w Rzymie, jak gdyby cały czas od tamtego spotkania spędził w siłowni.

- Witaj, nieznajomy - powitał go Ferris. - Czego się dowiedziałeś?

- Niewiele, proszę pana. Poza tym, że w pańskiej agencji pracują chyba sami dziwacy.

- Masz rację. Jesteśmy Centralną Agencją Wykolejeńców. Przedstawiciel placówki z Ankary skrzywił się z niesmakiem.

- Zostawię was samych - rzekł. - Zostawiam też samochód przed drzwiami. Mówili mi, że będziecie go potrzebować. Wrócę jutro rano o szóstej i zaprowadzę was do stołówki. Jeśli was nie zastanę, będziecie musieli sobie radzić na własną rękę. Śniadania wydają do wpół do ósmej.

Zawrócił na pięcie i zostawił ich samych w wąskiej smudze światła padającej ze stróżówki. Ferris z hukiem postawił swoją wypakowaną torbę na podłodze i popatrzył z nadzieją na automat stojący w głębi baraku, bo miał ochotę czegoś się napić.

- Więc jak, udało się wam zdobyć materiały do naszego małego bum? - zapytał, niemal jednym haustem opróżniwszy puszkę wody sodowej.

- Oczywiście. - Jim wskazał ruchem głowy stojący przy drzwiach baraku wypakowany wózek. - Mam tyle plastiku, że gdybym go teraz zdetonował, musielibyśmy szukać swoich dup w Tel Awiwie.

- A samochód?

- Mamy volkswagena golfa, ten sam model, którego użyto w zamachu bombowym w Stambule. Jeden z moich ludzi zaparkował go przed kwaterami podoficerskimi, zgodnie z wytycznymi.

- Doskonale - rzekł Ferris. - Zatem możemy przystępować do działania.

Jim podrapał się po głowie. Nie ulegało wątpliwości, że coś go gryzie.

- Naprawdę chce pan to zrobić? - zapytał po chwili.

- Oczywiście. Jak najbardziej.

- No tak... Tylko... to bardzo duży ładunek wybuchowy, może mi pan wierzyć.

Ferris bez słowa wyjął z aktówki kilkustronicowy plan operacji i położył na stoliku przed Jimem. Otworzył, po czym zaczął systematycznie omawiać punkt po punkcie to wszystko, co zaplanowali wspólnie z Azharem. Nie zataił przed współnikiem ze służb specjalnych żadnego szczegółu z najbliższych wydarzeń. Zajęło mu to prawie godzinę.

- Na pewno nikt nie ucierpi? - zapytał wreszcie ko-314

mandos, kiedy Ferris skończył. Najwyraźniej wciąż miał przed oczyma spustoszenia, jakie zdolna jest poczynić ta ilość materiałów wybuchowych.

- Nikt, jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem - zapewnił go Ferris. - Trzeba tylko zrobić wrażenie, że ucierpiało wiele osób. Im więcej, tym lepiej. - Spojrzał na zegarek. Było po dziesiątej. - Mamy sześć godzin.

- W takim razie do dzieła - rzucił stanowczo Jim. Ferrisowi przemknęło przez myśl, że po raz pierwszy

znalazł się w sytuacji, gdy oficer służb specjalnych rozkazuje mu: „Do dzieła!”. Miał wrażenie, że takie hasła padają wyłącznie przy wznoszeniu toastów w klubach oficerskich, może podczas telewizyjnych transmisji meczów piłki nożnej, ewentualnie w stosunku do żon przed wejściem do sypialni.

- Do dzieła - przytaknął niepewnie. - Zajmę się załadunkiem. Może być?

Przejrzał cały dostarczony sprzęt: latarki, mapy, różnorodne czujniki do zabezpieczenia terenu, w którym przyjdzie im pracować. Wyciągnął ze swojego bagażu ciężkie gogle noktowizyjne i popatrzył przez nie, jak Jim ostrożnie podtacza wyładowany wózek do wyjścia z baraku. Na ramionach miał plecak z zapalnikami, urządzeniami zegarowymi i krótkofalówkami. Powoli zaczęli przeładowywać paczki z wózka na skrzynię wozu terenowego. Kiedy skończyli, Ferris zajął miejsce za kierownicą i przez kilka minut patrzył na szczegółową mapę topograficzną okolicy, by się upewnić, że niczego nie pomylił.

- Do kwater podoficerskich jest stąd najwyżej dziesięć minut jazdy. Pojedziemy ze zgaszonymi światłami, ale i tak nie sędzę, byśmy napotkali jakiegokolwiek przeszkody.

Ułożył sobie na głowie gogle noktowizyjne i odczekał,

aż oczy przywykną do zielonkawych półcieni. Uruchomił wóz, wrzucił pierwszy bieg i wyprowadził auto na wyboistą asfaltową drogę dojazdową. Korzystając z mapy, skręcił raz i drugi w jeszcze węższe alejki, aż wreszcie dostrzegł przed sobą punkt kontrolny, przy którym czuwało dwóch wartowników z armii amerykańskiej. Był to jedyny przejazd z lotniska na teren bazy wojskowej, mającej rozmiary boiska do piłki nożnej i otoczonej parkanem zwieńczonym zasiekami z drutu kolczastego. W największym budynku mieściły się tu kwatery podoficerskie bazy w In-cirliku, gdzie mieszkali głównie piloci stacjonujących nieopodal myśliwców. Znajdowały się wystarczająco blisko zabudowań miasteczka, aby miejscowi Turcy zorientowali się natychmiast, że coś złego wydarzyło się w bazie, ale wystarczająco daleko, by żaden z tubylców nie zauważył, że coś się święci.

Ferris powoli przeprowadził wóz zygzakami między betonowymi zaporami tarasującymi przejazd. Tuż za nimi trzy razy mignął światłami, na co wartownik odpowiedział dwoma mrugnięciami latarką. Kiedy znaleźli się na wysokości budki wartowniczej, zatrzymał wóz, wychylił się przez otwarte okno i wycedził hasło: „Strażnik miareczkowania”. Zasalutowali sobie nawzajem i wartownik wcisnął guzik podnoszenia ciężkiej metalowej zaporę blokującą wjazd na strzeżony teren.

Ferris podjechał na placyk przed dużym drewnianym trój skrzydłowym barakiem, na którym jak zwykle stały wojskowe łaziki oraz cywilne auta osobowe. Okna były zasłonięte, ale w większości paliły się światła. Bijący od nich blask był wystarczający, nie musieli więc używać noktowizorów.

- Wszystko gra - rzekł Ferris. - Mieszkańcy wyjechali dobre dwie godziny temu.

- Więc dlaczego pali się aż tyle światła? - zapytał Jim, który zapewne wolałby pracować w całkowitych ciemnościach.

- Żeby wszyscy myśleli, że Amerykanie wciąż są u siebie - wyjaśnił.

- Aha, rozumiem. W porządku.

- Gdzie samochód?

- Na tyłach. Przy śmietniku.

Objechali powoli dalsze skrzydło baraku. Rzeczywiście, w cieniu wielkiego kontenera na śmieci stał czerwony volkswagen golf z mreczczącymi tablicami rejestracyjnymi.

- No to do roboty - rzucił Ferris.

Włączył elektroniczną czujkę, która miała ich powiadomić, gdyby coś się poruszyło na terenie ogrodzonym siatką. Pospieszenie wypakowali rzeczy z auta i przenieśli je do volkswagena.

- Montowałeś już kiedyś bombę w samochodzie-pułap-ce? - zapytał.

- Nie. Ale na pewno dam sobie radę.

Jim ostrożnie rozpakowywał cegielki plastiku i podawał je Ferrisowi, który wykladał nimi całą powierzchnię bagażnika auta. Gdy ułożył pierwszą warstwę, Jim zrobił krótką przerwę, zerknął do bagażnika i zapytał:

- Ile jeszcze?

- Wszystko.

- Ta ilość zrówna barak z ziemią.

- O ile czegoś nie sknocimy.

Tamten rozejrzał się niepewnie dookoła.

- Na pewno nikogo z naszych kolegów nie będzie w środku w chwili eksplozji?

- Większość podoficerów dostała urlopy okolicznościowe, ale Turcy o tym nie wiedzą. A ci, którzy nadal są tutaj, zostali przeniesieni tymczasowo do kwater szeregowców na drugim końcu bazy. W każdym razie taki był plan. Musimy wierzyć, że został w pełni zrealizowany.

- W Iraku też nam ciągle powtarzali, że trzeba wierzyć w skuteczność planów.

Ferris się uśmiechnął.

- Róbmy swoje. To na pewno właściwy plastik, ze wskazanej wytwórni?

- Oczywiście. Jeśli tureccy eksperci dokładnie zbadają pozostałości, zbiorą próbki osadów, odłamki zapalników i resztki urządzenia zegarowego, nie będą mieli cienia wątpliwości, że to robota Al-Kaidy. To dokładnie taki sam towar, jakiego użyto do budowy bomb, które eksplodowały w Stambule w roku dwa tysiące czwartym.

- Dobra robota.

Pracowali w milczeniu. Kiedy cały materiał wybuchowy znalazł się w bagażniku volkswagena, Jim zaczął rozmieszczać zapalniki i podłączać kable łączące je z detonatorem zegarowym. Ferris okrążył skrzydło baraku i podszedł do drzwi frontowych. Były otwarte. Zszedł do piwnicy, otworzył skrzynkę bezpiecznikową i zainstalował w niej elektroniczny zegar, który przez następne trzy doby o zaprogramowanych porach miał regularnie włączać i wyłączać światła w baraku, jak gdyby mieszkańcy zapalali je o zmierzchu i gasili, kładąc się spać.

Kiedy wrócił na tyły, Jim sprawdzał podłączenia i ułożenie kabli. Wreszcie z wyraźnym ociąganiem podłączył całą ich wiązkę do detonatora.

- Na kiedy nastawić zegar? - zapytał, obejrzawszy się na Ferrisa.

- Na siódmą rano w czwartek. Tylko się nie pomył.

- Pomyłki zostawiamy waszej agencji.

Ustawił zegar, po czym zamknął bagażnik auta. Gdyby ktokolwiek przypadkiem zajrzał na tyły baraku w ciągu

dwóch najbliższych dni, nie zobaczyłby tu niczego podejrzanego. Ferris wyłączył elektronicznego strażnika, pozbierał rozstawione wcześniej czujniki i po raz ostatni sprawdził najbliższe sąsiedztwo volkswagena, czy na pewno niczego po sobie nie zostawili.

Jim także niespokojnie krążył wokół czerwonego samochodu, jakby żał mu było odjeżdżać.

Najwyraźniej coś jeszcze nie dawało mu spokoju.

- Tak się zastanawiam... - mruknął wreszcie w zamyśleniu. - A jeśli jakiś Turek znajdzie się tutaj w czwartek rano? Albo któryś z podoficerów niespodziewanie wróci z urlopu przed

świętami? Czy nie ma żadnego strażnika, który miałby oko na ten wóz i ewentualnie odgonił ciekawskich przed wyznaczoną godziną?

- Przykro mi, ale nie ma nikogo takiego.

- Proszę wybaczyć, że pytam, ale dlaczego o tym nie pomyśleliście?

Ferris się zawahał. Zapytał o to samo Hoffmana, kiedy układali plan akcji w Parku Miazgi. Jak się zabezpieczyć, żeby na pewno nie zginął nikt postronny?

- Będziemy się o to modlić - odparł szef wydziału.

A kiedy Ferris nie dał się zbyć, zatkał mu usta obowiązkiem zachowania ścisłej tajemnicy, o której może wiedzieć minimalna liczba osób. Spoglądając wtedy na Hoffmana, uświadomił sobie, że tamten jest tak zdesperowany, że gotów jest nawet poświęcić ludzkie życie dla osiągnięcia wyznaczonego celu.

- Ze względów bezpieczeństwa operacji - rzekł teraz. - Nie możemy ryzykować i wtajemniczać kolejnego strażnika. Przykro mi, ale takie mam rozkazy.

- Zrozumiałem. - Jim po raz ostatni obrzucił go wręcz nieobecny spojrzeniem, typowym dla żołnierzy, którzy świetnie wiedzą, co znaczy rozkaz.

Załadowali swoje rzeczy do auta i podjechali z powrotem do bramy, gdzie wartownik tylko im zasalutował, podnosząc szlaban, po czym wrócili do baraku na skraju lotniska. Ferris zaproponował komandosowi piwo. Otworzyli puszki i trącili się nimi lekko, ale wypili w milczeniu. Nadal bez słowa wyciągnęli się na pryczach, żeby złapać kilka godzin snu.

Agent terenowy z placówki w Ankarze zgodnie z umową zjawił się o szóstej rano. Jim zajął się właśnie jakimś podejrzanym wyglądem daniem z puszki. Ferris oświadczył zmokniętemu jak kura koledze, że nie ma ochoty na śniadanie i jedzie prosto na lądowisko, żeby złapać pierwszy śmigłowiec startujący do Ankary. Kiedy się zegnali, komandos po przyjacielsku trącił go pięścią w ramię - na tyle jednak mocno, że zabolalo - i rzekł ponuro:

- Wesołych świąt.

26

Ankara

Grudniowy świt rozjaśniał niebo na wschodzie ochrowo-czerwonym blaskiem, kiedy przez przyciemnione szyby black hawka Ferris spoglądał na równinę Anatolii. Przelot został uzgodniony z dowództwem lotnictwa tureckiego, nie było więc potrzeby utrzymywania niskiego pułapu, lecz pilot najwyraźniej chciał sobie urozmaicić monotonię służby. Toteż najpierw lecieli zygzakiem nad wyschniętym korytem jakiejś rzeki, biorąc zakręty tak ciasno, że Ferris dotkliwie odczuwał przeciążenie w skurczach pustego żołądka, potem rozpedzali stada przerażonych owiec, które rozpieczyły się przed huczącą maszyną na wszystkie strony, wreszcie przemykali nad pustymi polami i przygniatali do ziemi trawę żyznych pastwisk prawie jak z obrazów van Gogha. Świetną zabawę urozmaicały nagłe wznoszenia przed liniami wysokiego napięcia i gwałtowne opadania tuż za nimi. Pilot doskonale zdawał sobie sprawę, że nadzwyczajny gość na pokładzie nie zamelduje o jego wyczynach, a jeśli nawet, to nikt z dowództwa sił powietrznych ani trochę się tym nie przejmie.

W Ankarze Ferrisa czekał także dzień pełen zajęć. Najpierw spotkał się z Bulentem Farhatem, agentem wywiadu tureckiego, który miał wystąpić w roli naczelnego inżyniera inwestycji Unibanku. To dawny afgański wędrowiec, którego Turcy skutecznie uwolnili od wszelkich zamiarów do dżihadu i wypuścili na wolność, pod warunkiem że regularnie będzie im składał raporty, w pierwszej kolejności o ugrupowaniach salafistycznych na terenie kraju, a następnie, gdy zapracował już sobie na zaufanie, o kręgach islamskich emigrantów skupionych wokół meczetów na terenie Niemiec. Tam właśnie wpadł w sidła CIA, agencja postanowiła go wykorzystać do własnych celów, choć oficjalnie był nadal agentem wywiadu tureckiego.

Ferris zabrał Bulenta do biura, w którym mieli się spotkać z Omarem Sadikim. Mieściło się przy ruchliwej handlowej ulicy nieopodal skupiska najstarszych meczetów w Ankarze. Urządzone dość nowocześnie, ale zarazem standardowo, by niczym się nie wyróżniało spośród setek podobnych, było tym trudniejsze do odnalezienia. Przekazał też agentowi firmowe wizytówki Unibanku oraz plik papierów firmowych ze znakiem banku w nagłówku. Wreszcie przejrzał z nim linijka po linijce scenariusz przewidywanej rozmowy z Sadikim na temat wydajności izolacji termicznej zaproponowanej we wstępnym projekcie biura Al Fajr. Agent miał się jedynie poskarżyć na zbyt małą gęstość płyt izolacyjnych i nieśmiało zaproponować zmiany w specyfikacji projektowej, a nawet zgłosić ofertę pokrycia kosztów zmian, gdyby Sadiki zanadto oponował. Przede wszystkim chodziło o to, żeby w trakcie spotkania dokumenty i rysunki techniczne kilkakrotnie przechodziły z rąk do rąk, by mogły to zarejestrować kamery rozmieszczone w wynajętej sali konferencyjnej.

W następnej kolejności Ferris skontaktował się z przebywającym już w Ammanie Ajitem Singhiem. Hindus szczegółowo opisał mu zestaw swoich elektronicznych trików - zaszyfrowanych wiadomości elektronicznych, które był gotów wysłać z kontrolowanego już przez siebie mej-lowego konta architekta, mówiących o gotowości do przeprowadzenia akcji wymierzonej przeciwko Amerykanom i wzięcia odpowiedzialności za zamach bombowy przez nowe salafistyczne ugrupowanie bojowe. O jego utworzeniu miały się równocześnie ukazać komunikaty na kilku istniejących internetowych stronach bojowników dżihadu. Nastąpiłoby też przejęcie napływających depešy gratulacyjnych, zwłaszcza komentarzy z kącików dyskusyjnych strony mySunna.com oraz kilku innych domen muzułmańskich fundamentalistów - a wszystko to w celu wyjaśnienia korzeni oraz celów przyświecających nowemu ugrupowaniu odpowiedzialnemu za eksplozję w tureckich koszarach. Według zamieszczonych tam informacji nowa bojówka miała działać w przekonaniu, że siła Al-Kaidy szybko słabnie, skoro głównym celem zamachów zamiast amerykańskich baz wojskowych stały się łatwe obiekty cywilne w Europie. Kilka wiadomości z poczty elektronicznej miało nawet oskarżać przywódców Al--Kaidy o przejście na żołąd znieawidzonej CIA.

- Jesteś prawdziwym geniuszem - pochwalił go Ferris.

- Jeśli to prawda, to dlaczego wciąż nie mogę sobie znaleźć dziewczyny?

- Wyciągnę cię na miasto, jak tylko wrócę do siebie - obiecał. - Wspólnie coś ci znajdziemy. Co ty na to?

- To może od razu ze dwie, jeśli łaska.

Ferris zachichotał. Przemknęło mu przez myśl, że ten geniusz komputerowy faktycznie może nadal być prawiczkim.

- Załatwione. Znajdziemy ci dwie dziewczyny.

Nazajutrz rano Sadiki przyleciał do Ankary. Ferris wysłał po niego samochód na lotnisko.

Jordańczyk został zatrzymany podczas kontroli paszportowej, co oznaczało, że jego nazwisko jest już na liście podejrzanych. Razem z Buleniem niecierpliwie czekali na niego w wynajętym biurze. Ale wszystko przebiegło zgodnie z planem. Mniej więcej po godzinie rozmów uzgodniono sprawę izolacji termicznej i Bulent zaczął nalegać, by gość z Jordanii zechciał zjeść z nimi uroczysty lunch w pobliskiej restauracji. Ferris wymówił się pilnymi obowiązkami, toteż tamci sami wyruszyli do lokalu słynącego jako miejsce zgromadzeń lokalnych polityków islamskich oraz satyryków. W końcu chodziło o to, żeby w tej restauracji widzieli ich zarówno muzułmanie związani z ekstremistycznym podziemiem, jak i tajniacy z tureckich służb bezpieczeństwa. Po lunchu Sadiki wrócił służbowym samochodem na lotnisko, skąd odleciał wieczornym samolotem do ojczyzny.

Następnego ranka, w czwartek, dwudziestego drugiego grudnia, potężny ładunek wybuchowy został zdetonowany na obrzeżu bazy lotniczej w Incirliku w południowej

Turcji. Ognista kula była widoczna z odległości wielu kilometrów, a huk eksplozji zgromadził liczne grono gapiów przed bramą bazy. Miejscowi korespondenci serwisów prasowych

zaczęli rozsyłać depesze z informacjami niespełna pół godziny po wybuchu, a turecka filia CNN zmontowała nawet pospiesznie krótki reportaż, pokazujący przez teleobiektyw kłęby gęstego czarnego dymu buchającego w niebo z miejsca eksplozji, w którym wcześniej stał barak mieszczący kwatery podoficerskie. Dwie godziny po zamachu tureckie CNN, cytując wiadomości lokalnych źródeł, podały, że celem zamachu były właśnie kwatery podoficerskie amerykańskiej bazy lotniczej.

Niedługo później Ferris skontaktował się zabezpieczoną linią telefoniczną z Hoffmanem, by zapewnić go, że wszystko idzie zgodnie z planem. W trakcie rozmowy wyraził swoje obawy - podobnie jak dwa dni wcześniej Jim montujący bombę w samochodzie - że w zamachu mógł zginąć ktoś postronny.

- Doskonale się składa - wyjaśnił szef wydziału.

- Nie rozumiem - bąknął Ferris.

- Mówię o tym durniu ze służby zasadniczej, który właśnie wszedł do baraku, żeby sprawdzić plotki o możliwości dowolnego wyboru kwatery. W tym celu nawet przeskoczył przez parkan, bo wartownik nie chciał go przepuścić. Jakies pół godziny temu zidentyfikowali jego zwłoki.

- Matko Boska... - jęknął przerażony Ferris. Był niemal pewien, że dojdzie do jakiegoś nieszczęśliwego wypadku, któremu nie potrafił zapobiec. Jak mógł do tego dopuścić?

- Nie ma się czym przejmować. Ten szczeniak naruszył wyraźne rozkazy i nielegalnie przedostał się na zakazany teren. Nie ma w tym twojej winy. Ja też nie czuję się winny.

Chłopak sam zawinił. Dlatego przestań się gryźć i skup

się na tym, co istotne. Wkraczamy w najważniejszy etap operacji. Głowa do góry.

Milczał przez dłuższą chwilę, jakby nie od razu słowa Hoffmana do niego trafiły. Wreszcie wybąkał:

- Naprawdę nic cię nie obchodzi, że jakiś chłopak zginął w tym zamachu bombowym?

- Nie, ani trochę. I ty też nie powinieneś się tym martwić.

Ferris nawet nie próbował odpowiedzieć. Pożegnał się szybko.

Amerykańskie i tureckie władze wojskowe zrobiły wszystko, żeby zatuszować prawdę o zamachu bombowym, a ponieważ jej celem stała się baza lotnicza, osiągnęły w tym zakresie pewien sukces. Niemniej, o dziesiątej tego samego dnia biuro tureckiego premiera wydało oświadczenie dla prasy, w którym przyznawało, że w bazie w Incirliku doszło do poważnego zamachu bombowego. Były ofiary śmiertelne, choć skutek zamachu ani nie zginął, ani nie odniósł ran nikt z tureckich sił zbrojnych. Rzecznik prasowy premiera oświadczył przedstawicielom prasy, że celem zamachu bombowego były kwatery podoficerskie amerykańskiej bazy lotniczej, w których mieszkała większość pilotów. Przyznał, że większa część budynku została zrównana z ziemią, jednakże Amerykanie zabrali wszystkich rannych do swojego szpitala polowego, do którego dotychczas trafiali wyłącznie żołnierze poszkodowani w Iraku.

Obywatele Stanów Zjednoczonych dopiero się budzili, kiedy rzecznik Pentagonu już wydał oficjalne oświadczenie. W Ankarze była już druga po południu, podczas gdy w Waszyngtonie dopiero siódma rano. Amerykańskie wła-

dze wojskowe potwierdzały w nim, że bomba umieszczona w samochodzie-pułapce doszczętnie zniszczyła kwatery podoficerskie amerykańskiej bazy lotniczej, jednakże liczbę ofiar śmiertelnych ograniczyły świąteczne urlopy pilotów. Pentagon chwilowo odmawiał ujawnienia listy ofiar śmiertelnych i rannych, zasłaniając się koniecznością wcześniejszego powiadomienia ich rodzin, w dodatku tylko nielicznym reporterom umożliwił dostęp do miejsca eksplozji, tłumacząc, że znaczna część żołnierzy stacjonujących w Incirliku uczestniczyła w ściśle tajnych operacjach wojskowych. Rzecznik prasowy Pentagonu tłumaczył, że baza w Incirliku była punktem wyjściowym do wielu operacji specjalnych na terenie Iraku, między innymi ściśle tajnych „czarnych” operacji, o których nikt do tej pory nie

mówił. W dodatku zdjęcia z miejsca zamachu mówiły same za siebie - potężny ładunek wybuchowy niemal doszczętnie zmiotł z powierzchni ziemi kwatery lotników, którzy wcześniej bombardowali wybrane cele na terenie Iraku.

Kiedy na jednej z islamskich stron internetowych niespodziewanie pojawiła się wiadomość o organizacji biorącej na siebie odpowiedzialność za zamach, sprawy nagle nabrały rozmachu. Nikt wcześniej nie słyszał o ugrupowaniu nazywającym się „Brygadą Zemsty Nasr al-Din Alba-niego”. Ale jeszcze tego samego dnia wieczorem specjaliści z Londynu i Waszyngtonu uznali, że nowa organizacja może być ważnym odłamek Al-Kaidy. Człowiek, od którego wzięła swoją nazwę, był zegarmistrzem z Damaszku, słynnym z tego, że przed śmiercią w roku dwutysięcznym rozpowszechnił własną, dosyć luźną interpretację słów Proroka Mahometa, znanych powszechnie jako „hadith”, a stojącą w sprzeczności z oficjalnym, oschłym ortodoksyjnym kanonem islamu. Szybko stał się odpowiednikiem świętego dla najbardziej ekstremistycznych odłamów sa-lafizmu, ludzi pragnących uwolnienia od zgnilizny współczesnego życia i powrotu do idei czystości oraz braterstwa walki z epoki Proroka. Naśladowcy Albaniego utworzyli stowarzyszenia w Syrii, Arabii Saudyjskiej i Jordanii, a ośrodkiem ruchu stał się meczet w Zarce, w którym wielu wyznawców Albaniego znalazło schronienie po ucieczce z Syrii. Natomiast analitycy wywiadu szybko odkryli to, co pozostawało tajemnicą dla dziennikarzy, że jednym z wiernych członków meczetu w Zarce był pewien tajemniczy jordański architekt, który szybko zyskiwał liczącą się pozycję w kręgach bojowników dżihadu.

Dzięki Ajitowi Singhowi wkrótce zostały ujawnione dalsze strzępy informacji. Specjaliści zwrócili uwagę na liczne podobieństwa między salafistyczną retoryką komunikatu Brygady Zemsty Albaniego a licznymi tekstami z nieznanymi źródłami, jakie w ostatnich miesiącach pojawiały się na wielu internetowych stronach dżihadu. Stale powtarzało się kilka arabskich zwrotów, na przykład: „Na-hnu rijal wa hutn rijal”, co tłumaczono jako: „My jesteśmy ludźmi i oni są ludźmi”. Dla bojowników dżihadu zwrot ten oznaczał, że tradycyjna interpretacja Koranu oraz ha-dithu nie może mieć zastosowania wśród salafistycznych radykałów. To właśnie stanowiło podstawę nawoływań Albaniego do radykalnej rewizji dotychczasowej interpretacji. Dziennikarz „London Daily Telegraph”, cytujący anonimowego brytyjskiego analityka, zwrócił uwagę na inny zwrot autorstwa salafistycznego szejka Abdel-Rahi-ma al-Tahhana, który także pojawiał się w komunikatach na wielu stronach internetowych. Brzmiał on: „La khayra fi aqfan bi-ghayri sunna, wa la khayra fi sunna bi-ghayri fahm sa-lafna al-silah”. Było to równoznaczne deklaracji niepodległości tradycyjnego kanonu sunnickiego: „Nie ma pożytku

z Koranu bez Sunny i nie ma pożytku z Sunny bez właściwego salafistycznego rozumienia słów Koranu”. Oto pojawili się nowi zabójcy, ostrzegali „Telegraph”, jeszcze groźniejsi od tych, którzy zdetonowali bomby w Mediolanie i Frankfurcie.

Dwadzieścia cztery godziny po eksplozji pojawiły się pierwsze przecieki z utworzonego przez FBI i policję turecką wspólnego zespołu badającego pogorzelnisko w bazie lotniczej. Wstępne wyniki badań pojawiły się na pierwszych stronach gazet całego świata. Zamach bombowy w Incirliku bez wątpienia był powiązany z terrorystyczną siatką Al-Kaidy. Technicy bez trudu zidentyfikowali rodzaj użytych materiałów wybuchowych i zapalników, które okazały się identyczne jak te zastosowane we wcześniejszych zamachach Al-Kaidy w Stambule.

Żadna operacja terenowa nie jest idealna. Niemniej, śledząc z oddali przebieg wirtualnych wydarzeń, Ferris mógł jedynie dojść do wniosku, że skutki fałszerstwa bywają bardziej perfekcyjne od rzeczywistości. Przypomniało mu to pewien incydent z własnej krótkiej kariery dziennikarskiej z początku lat dziewięćdziesiątych, kiedy to z ust zjadliwego krytyka literackiego Janet Malcom usłyszał zdanie, że istnieje tylko jeden rodzaj narracji, w której dokładności opisu w wydrukowanym tekście nie da się zakwestionować, a jest nią narracja autora fikcji literackiej. To samo można było teraz powiedzieć o zamachu bombowym w

Incirliku. Prawda zrozumiała dla całego świata była taka, że nowa bezwzględna grupa terrorystyczna może w swoich zamachach bombowych osiągnąć nawet amerykańskich żołnierzy przebywających w pilnie strzeżonych bazach. I prawda ta była szokująca, przede wszystkim dla prawdziwych terrorystów zastawiających samochody-pułapki.

*

Dostał mejla od Gretchen. W pierwszej chwili się przestraszył, bo choć sama wiadomość okazała się niewinna, w wierszu zatytułowanym „temat” ujrzał słowo „spieprzył”. W gruncie rzeczy był to przepisany fragment notatki, jaka pojawiła się tego ranka w rubryce towarzyskiej „The Washington Post”, mówiącej o tym, że będącą w trakcie sprawy rozwodowej prawniczkę z Departamentu Sprawiedliwości widziano w czasie ostatniego weekendu w objęciach starszego doradcy z Białego Domu, zaliczanego do najatrakcyjniejszych kawalerów w stolicy. Ferris przyjął to z uśmiechem. Gretchen była jak nieokiełznany żywioł. Gdy coś stanęło jej na przeszkodzie na dotychczasowej drodze, natychmiast wybrała inną i ruszyła dalej. Pod tym względem odznaczała się szczególnym darem, nie potrafiła komplikować sobie życia jakimikolwiek wspomnieniami. Od początku jasno określała swoje cele i uparcie do nich dążyła. Ale w ten sposób i przed nim otwierała się przyszłość. Już niedługo miał wrócić do swego domu w Ammanie i znaleźć się u boku kobiety, którą kochał. I tylko jedno uwierało go niczym ość w gardle: u podstaw rodzącego się związku z Alice Melville leżało kłamstwo.

27

Amman

Hani Salaam wezwał Ferrisa do siebie jeszcze tego samego dnia, zaraz po jego przylocie z Ankary. Przez telefon powiedział tylko, że sprawa jest pilna i związana z zamachem w Incirliku. W mediach dyskusje wywołane kolejnym zamachem nabierały dopiero rozpędu, toteż Ferrisa naszły obawy, że Jordańczyk mógłby zrobić coś, co zdemaskowałoby z takim trudem przygotowaną intrygę.

Gdy wszedł do budynku Generalnego Dyrektoriatu Służb Wywiadowczych, od razu zwrócił uwagę, że zmieniono portret króla wiszący w głównym holu. W miejsce poprzedniego, przedstawiającego monarchę w koszuli z krótkimi rękawami, w towarzystwie żony i dzieci, jak gdyby podczas wypoczynku w nadmorskim kurorcie, wisiał teraz obraz ukazujący władcę w mundurze sił specjalnych, ze wzrokiem wbitym w dal, wypatrującego nadciągających oddziałów wroga. To znak czasów, pomyślał Ferris. Minęła pora dyskusji nad reformami i odnową państwa, skoro arabscy przywódcy zostali wplątani w wojnę ze skorpionami.

Hani był jak zawsze elegancki, obojętny na rozgrywające się dokoła bitwy. Miał na sobie jasnoblękitną koszulę, rozpiętą pod szyją, z masywnymi złotymi spinkami przy mankietach. Szary garnitur odznaczał się wykończeniem, jakie może nadać jedynie krawiec szyjący na miarę, widać to było po sposobie układania się mankietów spodni na butach czy idealnym wcięciu marynarki w pasie. W klapę wpiął znaczek w kształcie choinkowego cukierka, nie wiadomo tylko, czy ze względu na wizytę amerykańskiego gościa, czy też na użytek swoich współpracowników.

- Wesołych świąt - rzucił radośnie na powitanie, trochę dłużej zatrzymując w uścisku dłoń Ferrisa. - Oczywiście zakładam, że jesteś chrześcijaninem, bo chyba nigdy cię o to nie pytałem. Ale wy, Amerykanie, jesteście ostatnio bardzo religijni. Chyba nawet bardziej niż Arabowie saudyjscy. No, ale Boże Narodzenie jest dla wszystkich, prawda? U nas, w Jordanii, nawet muzułmanie ubierają choinki.

- Nie jestem wierzący - odparł. - Lubię śpiewać przy stole kolędy, ale do kościoła nie chodzę od lat, kiedy przestałem odmawiać codzienne modlitwy. Czuję się z tego powodu hipokrytą, jak muzułmanin, który pije. Ale dziękuję za życzenia.

- A jak się miewa pani Ferris? - Jordańczyk nigdy dotąd nie pytał go o Gretchen. Z pewnością nie był to zbieg okoliczności.

- Jesteśmy w trakcie rozwodu. Powinniśmy podpisać dokumenty za kilka tygodni.
- Tak, właśnie o tym słyszałem. Ufam jednak, że wszystko w porządku.
- Jak najbardziej. Wszystko jest w porządku.

A zatem Hani zrobił to małe przedstawienie, żeby mu wykazać, iż wie o jego sprawach prywatnych. Prawdopodobnie wiedział również o dochodzeniu wszczętym przez biuro inspektora generalnego, ale dyskretnie wolał nie poruszać tego tematu.

Ferris nie miał ochoty na luźne rozmowy. Był zmęczony po nerwowej, wyczerpującej akcji na terenie Turcji, poza tym wciąż nie dawała mu spokoju ostatnia rozmowa telefoniczna z Hoffmanem.

- Mówił pan przez telefon, Hani, że chodzi o ważną sprawę. A więc, jak mawiają Amerykanie, zamieniam się w słuch.

- Oczywiście, mój drogi, właśnie chciałem do tego przejść. Myślę, że mogę wam pomóc w sprawie tego okropnego zamachu w Incirliku. Nawiasem mówiąc, proszę przyjąć moje wyrazy współczucia. - Z leżącej na biurku teczki wyjął zdjęcie i położył je przed Ferrisem. Była to fotografia Omara Sadikiego - w garniturze, ze starannie przystrzyżoną krótką brodą, spoglądającego prosto w obiektyw ze swoją obłudną, świętoszkowatą miną. Wyglądała na znacznie powiększone zdjęcie paszportowe.

Ferris zapatrzył się na nie, usiłując zachować kamienną twarz. Obawiał się właśnie tej chwili, kiedy Hani zacznie węszyć wokół Sadikiego. Hoffman radził mu wypierać się jakichkolwiek kontaktów z architektem.

- Kto to jest? - zapytał po chwili, nie podnosząc głowy.

- Nazywa się Omar Sadiki. Jest architektem, pracuje w tutejszym ammańskim biurze projektowym, które zajmuje się budową meczetów w Arabii Saudyjskiej. Blisko współpracuje z fundacjami charytatywnymi, zwłaszcza tymi, które finansują szkoły religijne. Jest także aktywnym członkiem meczetu w Zarce, który obserwujemy od dłuższego czasu. Wiemy o nim dość dużo. - Hani urwał i popatrzył na twarz swego gościa, jakby chciał się o czymś upewnić.

Ferris zachował kamienną twarz. Miał wrażenie, że szmer jego oddechu, szum powietrza wciąganego przez nozdrza słychać w całym pokoju. Oczekiwał, że Hani jeszcze coś powie, ale Jordańczyk najwyraźniej grał na zwłokę i czekał na jego pytania.

Odważył się wreszcie otworzyć usta.

- Ma coś wspólnego z zamachem w Incirliku? - zapytał.

- Tak sądzimy. Nie mamy jeszcze żadnych dowodów, ale poszlaki wskazują właśnie na niego. Poleciał z Ammanu do Ankary na dzień przed eksplozją. Zapewne w sprawach służbowych. Dowiedzieliśmy się jednak od tamtejszych władz, że w czasie pobytu w Ankarze nasz Omar spotkał się z Turkiem, który następnie wyjechał do Afganistanu. Poza tym nasz Omar spędził w Turcji zaledwie kilka godzin, a więc tylko tyle, by dopracować pewne szczegóły planów operacyjnych. O ile, rzecz jasna, właśnie o to chodziło. Stamtąd wrócił bezpośrednio do Ammanu.

Ferris zamyślił się głęboko. Miesiące przygotowań mogły pójść na marne, gdyby teraz nie zachował należytej ostrożności. Jordańczyk po raz kolejny obrzucił go podejrzliwym spojrzeniem, po czym wyjął papierosa i zapalił. Trochę dłużej niż zwykle przytrzymał dym w płucach, nim go wydmuchnął.

- Właśnie dlatego chciałem się z tobą zobaczyć, Roger. Musimy podjąć stałą obserwację pana Sadikiego, żeby się przekonać, z kim będzie rozmawiał. To nasz najlepszy trop, na jaki udało nam się trafić od dłuższego czasu. Nie zamierzam aresztować tego człowieka, przynajmniej na razie. I mam nadzieję, że wy także nie będziecie próbowali podejmować wobec niego żadnych nadzwyczajnych kroków. Moim zdaniem to byłby wielki błąd z waszej strony.

Ferris wstał, odwrócił się i wolnym krokiem podszedł do kanapy. Poczł wielką ulgę, którą chciał w ten sposób zamaskować. Gdyby Jordańczycy aresztowali Sadikiego, konsekwencje

mogłyby się okazać katastrofalne. Oczywiście architekt zarzekałby się żarliwie, że nie miał nic wspólnego z zamachem w Incirliku, a jego słowa można by potwierdzić zaledwie w ciągu kilku godzin, co oznaczałoby niechybny koniec ich operacji. Po kilku sekundach odwrócił się w stronę gospodarza, który w zamyśleniu zaciągał się dymem z papierosa, i rzekł:

- Chyba masz rację, Hani. Będzie znacznie lepiej, jeśli go nie aresztujecie i pozwolicie dalej działać.

Jordańczyk spojrział na niego podejrzliwie spod przymrużonych powiek.

- Na razie zaczekamy, bacznie go obserwując. To chyba dość oczywisty ciąg zdarzeń. Wiem, że nie pomyliłem się co do ciebie, ale musisz mi obiecać, że nie będziecie się w to mieszać.

Nie podejmiecie próby przeciągnięcia archi-

tekta na swoją stronę, gdyby moi ludzie choć na chwilę spuścili go z oka. Możesz mi dać na to swoje słowo?

- Naturalnie. Nawet się do niego nie zbliżymy. Podobnie jak wy, będziemy tylko czekać i obserwować. Odpowiada ci to?

Hani pokiwał głową i uśmiechnął się cierpko.

- Powinieneś chyba zawiadomić o tym Eda Hoffmana. Domyślam się, że bardzo chciałby znać decyzję w tej sprawie.

- Zadzwońię do niego zaraz po powrocie do ambasady. Na pewno będzie podekscytowany. To wspaniała robota, Hani. Nikt nie umiałby tak szybko rozwikłać tej sprawy. Jesteśmy ci niezmiernie wdzięczni.

Jordańczyk zgniótł niedopałek w popielniczce. A jednak Ferris miał wrażenie, że Hani wciąż spogląda na niego podejrzliwym wzrokiem.

- Jesteśmy sprzymierzeńcami. Jak mielibyśmy nie pomóc sobie nawzajem?

Serdecznie uściśli sobie dłonie. Ferris zapytał jeszcze, czy Hani nie będzie potrzebował pomocy technicznej w zorganizowaniu stałej obserwacji Sadikiego, bo w końcu w tym zakresie Amerykanie mieli naprawdę sporo do zaoferowania. Ale szef wywiadu jordańskiego odparł, że da sobie radę, przynajmniej dopóki architekt nie podejmie działań poza granicami kraju. Ferris zapytał też, czy może oczekiwać, że Hani będzie na bieżąco informował służby tureckie i inne zaprzyjaźnione agencje wywiadowcze, na co gospodarz odparł z ironicznym uśmiechem:

- Na razie nie. Ta sprawa pozostanie naszą tajemnicą.

Kiedy trzy kwadranse później Ferris relacjonował tę rozmowę Hoffmanowi, mimo woli znów zaczął się dener-

wować. Szef wydziału powtarzał co rusz: „Cholera!”, jakby się spodziewał, że zaraz usłyszy najgorsze wiadomości. Ale gdy na zakończenie relacji Ferris powtórzył zapewnienie Haniego, że Sadiki nie zostanie na razie aresztowany, wyraźnie odetchnął z ulgą i mruknął: „Dzięki Bogu”. Dopiero wtedy Ferris uświadomił sobie, że jego dowódca chyba jeszcze bardziej od niego przeżywał możliwość przedwczesnego zakończenia ich operacji.

- Myślisz, że on już o wszystkim wie? - zapytał Hoffman.

- To znaczy?

- Czy zdaje sobie sprawę, że Sadiki odgrywa jedynie wyznaczoną mu rolę?

- Niewykluczone. Nie jest głupi. Podejrzewam jednak, że nie. Chciał się tylko dodatkowo zabezpieczyć. Jestem jednak pewien, że im dokładniej będzie się przyglądał tej sprawie, tym prędzej wpadnie na pozostawione przeze mnie ślady.

- Ważne, że na razie skutecznie tworzy się legenda. Zresztą mówiłem ci już, że Hani nie jest geniuszem. Dlatego uważam, że chwilowo nic nam nie grozi. Chcesz, żebym przyleciał i rozmówił się z nim osobiście?

- Nie, chyba że zajdzie potrzeba wtajemniczenia go w kulisy naszej operacji. Pański przylot do Jordanii wzbudziłby tylko niepotrzebnie podejrzenia. Hani pewnie od razu uznałby, że próbujemy wywierać na niego presję.

- Bo próbujemy.
- Owszem, tylko niech to nie będzie aż nadto oczywiste.
- Wesołych świąt - rzucił na zakończenie Hoffman, uświadamiając mu, że jest przecież wigilia Bożego Narodzenia.

|
|
*

Tego wieczoru spotkał się z Alice w jej mieszkaniu. Przywitała go w czerwonej czapce świętego Mikołaja, lekko przekrzywionej na jedno ucho, z wyraźnie uróżowionymi policzkami, co upodabniało ją do dziewczyny z telewizyjnych reklam whisky albo domowych urządzeń do odsnieżania. Nie było go przez kilka tygodni, toteż miał uzasadnione obawy, że dziewczyna wyjedzie na święta do rodziców w Bostonie. Jednakże nie tylko została, ale też wyglądała o wiele lepiej, niż się spodziewał.

Zarzuciła mu ręce na szyję, wspięła się na palce, pocałowała żarliwie, po czym przywarła do niego całym ciałem. Chwilę później odsunęła się nagle i zapytała:

- Co ci się stało? Całkiem przestałeś jeść? Wyglądasz, jakbyś stracił na wadze z dziesięć kilogramów.

- Byłem ostatnio bardzo zajęty, nie miałem czasu na posiłki.

- Wychudłeś tak, że została z ciebie skóra i kości. Mam nadzieję, że zachowałeś chociaż trochę energii na dzisiejszą noc - uśmiechnęła się wstydliwie.

Zaprowadziła go na górę do tajemniczego ogrodu swojego mieszkania. W salonie stała choinka, przygarbiony młody cedr, który ledwie przetrzymał podróż z gór Libanu, ale jak gdyby ożył, obwieszony bombkami, lampkami choinkowymi, a nawet kilkoma błyszczącymi łańcuchami. Gdzie ona znalazła w Ammanie taki skarb? Z głośników odtwarzacza płyt kompaktowych płynęły cicho kolędy w wykonaniu chóru King's College, a pod choinką leżało kilka przewiązanych wstążkami prezentów zapakowanych w pstrokaty błyszczący papier. Ferris ledwie znalazł czas po południu, żeby w pośpiechu kupić kilka prezentów, toteż wyjął je teraz z torby i położył pod choinką.

Tymczasem Alice wróciła z kuchni z dwoma kieliszkami wina. Wypili je na tyle szybko, żeby poczuć lekki szum

w głowie, nim ona zaczęła kusząco wodzić dłonią po pasku jego spodni, aż wreszcie bez ceregieli sięgnęła do rozporka.

- Zaczekaj - mruknął ostrożnie. - Jeszcze za mało wczułem się w świąteczny nastrój.

W rzeczywistości ani trochę nie był gotów do współżycia. Zbyt wiele się wydarzyło od czasu jego niespodziewanego wyjazdu z Ammanu. Co prawda, kilkakrotnie rozmawiali przez telefon, ale w czasie tych rozmów starał się nie mówić zbyt dużo, mając nieomal pewność, że Hani kazał założyć podsłuch w jej telefonie, był więc wyraźnie spięty. Zazwyczaj powtarzał: „Teraz nie mogę rozmawiać. Wszystko ci później wyjaśnię”. Miał nadzieję, że ona to zrozumie. Dostatecznie głęboko wniknęła w rytm jego życia zawodowego, by mieć świadomość, że pewne rzeczy zachowuje przed nią w tajemnicy, może więc tylko stwarzać mu okazje do tego, by z własnej woli zechciał je zdradzić.

Dlatego teraz ją wtajemniczył. Oczywiście nie powiedział wszystkiego, nie zdradził nawet części sedna sprawy, dał jednak posmakować tego, z czym sam miał do czynienia. Wyjaśnił szczerze, że musiał wracać do ojczyzny wskutek oskarżeń, które stały się podstawą do wszczęcia przeciwko niemu dochodzenia. Przyznał, że żona zagroziła srogim odwetem, gdy poprosił ją o rozwód, i próbowała obrzucić go błotem, odwołując się do wcześniejszego okresu jego służby w ambasadzie w Jemenie. Zdołał ją jednak skutecznie przekonać, żeby wycofała bezpodstawne zarzuty i zgodziła się na rozwód bez orzekania winy którejkolwiek ze stron.

- Co na nią znalazłeś? - zapytała wprost Alice.

- Takie samo błoto. Mniejsza z tym. Głównie sprawy finansowe. Najważniejsze, że dopiąłem swego.

- Jak?

- Przekonałem ją, że nie byłoby roztropnie obstawać przy bezpodstawnych oskarżeniach.

- To brzmi prawie jak szantaż.

- Może i tak. W każdym razie moja żona... moja była żona spuściła z tonu. Zdała sobie sprawę, że za dużo o niej wiem, chyba się tylko nie spodziewała, że zechcę wykorzystać tę wiedzę. Zanadto wierzyła w moją galanterię.

- A więc naprawdę ją zaszantażowałeś. To raczej nie przynosi ci chluby, prawda?

- Nie zostawiła mi wyboru. Nie sądzę zresztą, abyś miała się czego obawiać. W porównaniu z nią jesteś tak nieskalana, jak śnieg na biegunie północnym.

Napełniła dwa kieliszki winem. Chór z płyty śpiewał Dwanaście dni Bożego Narodzenia.

- Dokąd pojechałeś z Waszyngtonu? Przecież nie na biegun północny, jak sądzę.

- Nie, do Turcji - odparł.

- Mój Boże... Mam nadzieję, że nie byłeś w tej bazie, w której eksplodowała bomba. Do tej pory jeszcze nie powiedzieli, ilu Amerykanów zginęło, co oznacza, że ofiar musiało być bardzo dużo. Władze chyba próbują zatuszować sprawę.

Ferris ledwie powstrzymał uśmiech. Jej słowa były najlepszą miarą powodzenia operacji. Udało mu się oszukać nawet ją.

- Byłem w Ankarze, a do zamachu bombowego doszło w bazie lotniczej na południu kraju.

Dzieliło mnie od niej wiele kilometrów. Załatwiłem swoje sprawy i od razu wróciłem do domu, do mojej dziewczyny. - Pociągnął łyk wina, ale mu nie smakowało. - A co u ciebie? Jak się miały sprawy w Ammanie podczas mojej nieobecności? W pracy wszystko w porządku?

- Tak, w normie. Palestyńskie dzieciaki zaczęły ferie zimowe, bo przecież trudno tu mówić o feriach świątecznych.

Część zgłosiła się do pracy społecznej w biurze. No i dostaliśmy nowy grant z Fundacji Malcolma Kerra, dzięki któremu opłacimy zakup komputerów. A ludzie z firmy Cisco Systems zobowiązali się udostępnić wszystkim szkołom szerokopasmowe łącza internetowe. To miłe z ich strony, prawda? Na pewno zechcą umieścić koszty w wykazach świątecznych darowizn wolnych od podatku. Jedyny minus jest taki, że straciliśmy kilku jordańskich wolontariuszy. Ich odejście mnie zasmuciło.

- Kto zrezygnował? - zaciekawiał się Ferris, który odebrał tę wiadomość niczym wstrząs elektryczny.

- Członkowie ugrupowania, którego nie lubisz, Ikhwan Ihsan. Ten architekt, o którym ci opowiadałam, przyszedł wczoraj, żeby przekazać nam czek. Zapowiedział, że to jego ostatnia darowizna. A dzisiaj odwiedził nas człowiek z Mukhabaratu. Oświadczył stanowczo, że bardzo mu przykro, ale nie wolno nam dłużej utrzymywać kontaktów z Bractwem. Dodał, że ci ludzie wypadli z interesu. Ugrupowania muzułmańskie muszą się teraz stosować do nowych przepisów. Dla nas to niewesoła nowina, bo wciąż potrzebujemy pieniędzy.

- Ty rozmawiałaś z tym człowiekiem z Mukhabaratu?

- Oczywiście, głuptasie. Przecież jesteśmy w Jordanii. Tutaj nie można lekceważyć Mukhabaratu.

Ferris poczuł nagły przypływ ulgi. Żałował, że Jordańczycy aż tak ostentacyjnie uprzedzają wszystkich znajomych architekta, ale z drugiej strony ucieszył się, że Alice nie będzie już musiała utrzymywać kontaktów z fundamentalistami. W przeciwnym razie wytworzyłaby się dość dziwna sytuacja. Ludzie mogliby reagować wrogo na wieść o tym, że Alice zna zarówno Sadikiego, jak też jego. Mogliby stąd wyciągać niebezpieczne wnioski.

- Może to i lepiej - powiedział. - Członkowie takich ugrupowań muzułmańskich bywają nieobliczalni.

- Ale nie ci, których znam. To bardzo mili ludzie. Sadiki przysłał mi nawet kilka mejli z własnymi propozycjami dalszych projektów.

- To niebezpieczny człowiek - zauważył pozornie obojętnym tonem. - Nikt z dyrektoriatu wywiadu nie rozmawiałby z tobą, gdyby było inaczej. Możesz mi wierzyć. Znajdziesz sobie innych darczyńców. Nie zabraknie ryb w morzu.

Wysunęła się z jego objęć i wyprostowała, odchylona na oparcie kanapy.

- Co ty przede mną ukrywasz, Roger? Tylko nie kłam. Myślisz, że jestem głupia? Ilekroć w naszej rozmowie pojawia się nazwisko tego człowieka, dostajesz gęsiej skórki.

- Lepiej nie pytaj, bo nie na każde pytanie mogę ci odpowiedzieć. Na pewno zdajesz sobie z tego sprawę. Zapomnij, że kiedykolwiek pytałem o Sadikiego. W ogóle zapomnij o całej sprawie.

- Powiedz mi prawdę, Roger. Jeśli naprawdę mnie kochasz, nie będziesz niczego przede mną ukrywał.

Poczuł lekki zawrót głowy. Miał wielką ochotę przeskoczyć przez krawędź wszystkich swoich kłamstw i rzucić się na oślep w objęcia szczerych wyznań. Wiedział jednak, że nigdy się na to nie zdobędzie, toteż posterował szybko w kierunku kolejnego oszustwa, którego zadaniem była ochrona Alice.

- Wybacz, ale naprawdę są rzeczy, o których nie wolno mi z tobą rozmawiać. Naraziłbym cię tylko na niebezpieczeństwo.

- Jakim cudem? Uważasz, że prawda może być groźna? Tylko kłamstwa sprowadzają niebezpieczeństwo.

Chciał ją objąć ramieniem, ale się odsunęła. Kiedy jednak spróbował po raz drugi, już się nie cofnęła. Przyciągnął ją więc lekko do siebie i po chwili rozluźniła się, co oznaczało rezygnację z dalszych pytań, a przynajmniej z tych, na które nie mógłby odpowiedzieć.

- Trzymaj się z dala od tej wojny, Alice. Proszę. Już zniszczyła bardzo wielu ludzi. Nic dobrego ci z tego nie przyjdzie, chyba że się niespodziewanie skończy.

Wstała i wyszła do łazienki, a gdy wróciła, była znacznie bardziej małowówna i zamyślona. Nastąpiła w niej jakaś przemiana. Ferris przypuszczał, że kiedyś musi to nastąpić, ale nic na to nie mógł poradzić. Wieczorem otworzyli prezenty leżące pod choinką. Alice kupiła mu piękną arabską szatę wyszywaną złotą nicią oraz czerwony tarbusz na głowę, w którym wyglądał jak basza z epoki otomańskiej. On także kupił jej coś do noszenia, piękną suknię, którą wypatrzył w butik hotelu Four Seasons. Ale najważniejszy prezent zostawił na koniec. Było to małe pudełeczko zawierające pierścionek zaręczynowy z brylantem.

Kiedy Alice je otworzyła i zobaczyła pierścionek, wybuchnęła płaczem. Na parę minut wybiegła z pokoju, żeby dojść do siebie. A gdy wróciła, pocałowała go i powiedziała, że go kocha. Następnie włożyła pierścionek z powrotem do pudełka i oddała mu.

- Nie mogę go przyjąć, Roger. Przynajmniej do czasu, dopóki nie zyskam pewności, że wiem, kim jesteś.

Pierwszego dnia po świętach został znów wezwany do centrali. Całe Boże Narodzenie spędził z Alice, mimo

Berlin

28

przedłużających się okresów milczenia i urywanych w połowie zdań. Cóż mężczyzna może powiedzieć kobiecie, która odrzuciła jego propozycję małżeństwa? A co kobieta może powiedzieć mężczyźnie, który ją okłamuje? Jak miałby ją przekonać, że gdyby chociaż spróbował odpowiedzieć szczerze na jej pytania, tylko by wszystko zepsuł? „Dla samej życzliwości nie można być życzliwym”, jak napisał Bertolt Brecht. Analogicznie dla samej

tylko prawdy Ferris musiał milczeć. Alice próbowała ratować świąteczny nastrój, upiekła indyka, którego znalazła na którymś z niezliczonych bazarów, i paradowała w czerwonej mikołajowej czapce, dopóki jej nie poprosił, by ją zdjęła. Niespodziewanie pod numer jego komórki zadzwonił Hoffman, czego nigdy dotychczas nie robił, i kazał mu wracać do kraju najszybciej, jak tylko się da. Ferris odebrał to wezwanie nawet z ulgą. Wmawiał sobie, że Alice będzie bezpieczniejsza, jeśli jego nie będzie w pobliżu.

W Waszyngtonie trafił na śnieżycę. Samochody w żółwym tempie sunęły oblodzoną aleją George'a Washingtona i nawet schody przed głównym wejściem do centrali CIA błyszczały od lodu. Jadąc w sznurze innych pojazdów, Ferris wprowadził wynajęty samochód na parking północny (który administrator terenu w przypływie twórczej inwencji szyfrowania wszystkiego na kolorowo nazwał „zielonym”) i z trudem przedostał się do tajnego centrum operacyjnego wydziału. Było to możliwe wyłącznie dzięki biometrycznemu identyfikatorowi, który otwierał przed nim ukryte drzwi i pozwalał korzystać z nieistniejącej windy zjeżdżającej do podziemnego „Parku Miazgi”. Szef wyglądał na jeszcze bardziej rozgorączkowanego niż zwykle. Twarz miał mocno poczerwieniałą, jakby nie skąpił sobie wysokich trunków podczas świątecznych przyjęć, tyle że przyczyna jego podniecenia była zupełnie inna.

- Ho, ho! - zawołał Hoffman na jego widok. - Wesółych świąt.

- Bardzo zabawne - syknął Ferris, który prawie nie zmrugnął oka w czasie wielogodzinnej podróży. - Mam nadzieję, że wezwałeś mnie z ważnego powodu.

- Według mnie ważnego. Pozwolę sobie zacytować szanownego Lewisa Carrolla. „Nadeszła pora, rzecz mors, o wielu rzeczach gadać: o butach, statkach, królach i kapuście, i o lalkach; dlaczego w morzu woda wrze, czy świnie mogą latać”.

Matko Boska, pomyślał Ferris, całkiem mu odbiło.

- Ścisłej biorąc, to cytuję z książki O tym, co Alicja odkryła po drugiej stronie lustra. My też będziemy musieli to odkryć, przyjacielu, udać się na drugą stronę lustra. Oczywiście za naszym przewodnikiem, panem Harrym Meekerem.

Na wargach Ferrisa z wolna rozlał się przebiegły uśmiešek morsa. A więc stało się. Hoffman wziął go pod rękę i pociągnął środkowym przejściem między stanowiskami analityków i oficerów wywiadu skrycie nadzorujących internetowe strony bojowników dżihadu i śledzących swoje obiekty w podróżach po całym świecie. Na końcu sali stanęli przed szklanymi wahadłowymi drzwiami, za którymi Ferris jeszcze nigdy nie był. Szef wydziału przytknął identyfikator biometryczny do okienka czytnika, po czym wsunął kartę magnetyczną w szczelinę zamka elektronicznego. Drzwi się otworzyły. Ruszyli ciemnym korytarzem, potem skręcili w prawo, gdzie Hoffman musiał otworzyć kolejne drzwi. Znaleźli się w sali, w której było przejmujące zimno. Z mroku w najdalszym rogu wyłonił się Azhar ubrany w grubą futrzaną kurtkę i rękawice. Poza blaskiem samotnej jarzeniówki w kącie przy drzwiach, pomieszczenia nie rozjaśniało żadne inne światło, a i to sprawiało dziwne

wrażenie, jakby człowiek patrzył przez grubą tafłę lodu. Ferris podszedł za Hoffmanem do oświetlonej części sali. Na szpitalnym żelaznym stoliku na kółkach spoczywały zwłoki mężczyzny, wyglądającego jak kłoda drewna, o pobielalej, lekko błyszczącej skórze, jakby pokrytej warstwą parafiny. Trup miał na sobie zwykłe codzienne ubranie, zaprasowane w kant spodnie i białą koszulę.

- Oto twój chłopiec - oznajmił Hoffman.

Ferris ostrożnie musnął palcami gładką woskową skórę trupa. Po raz pierwszy miał aż tak bliski kontakt z nieboszczykiem. No i po raz pierwszy mógł zobaczyć na własne oczy zwłoki, dzięki którym Hoffman zdecydował się poprowadzić tę operację. Doznał dziwnego wrażenia, jakby to on uśmiercił tego człowieka. Od razu przypomniała mu się książka Człowiek, którego nie było, zniszczona i powycie-rana, na poły dokumentalna relacja o spektakularnej

akcji brytyjskiego wywiadu, która stała się dla niego inspiracją do tej intrygi. Sześćdziesiąt pięć lat wcześniej tamte zwłoki nosiły nazwisko majora Williama Martina z królewskich marines i morze wyrzuciło je na plażę w Hiszpanii. Wtedy plan się powiódł, ale też hitlerowcy byli głupszy od terrorystów Sulejmana.

- Uwielbiam tego faceta - rzekł Hoffman, delikatnie klepiąc policzek trupa. - To mój ideał oficera operacyjnego. Udaje się tam, dokąd go wysyłam, i to bez słowa sprzeciwu. Zresztą cały czas trzyma głowę na kłódce.

Ale Ferris już go nie słuchał. Spoglądając na sztywne ciało, z którego dawno uszło życie, zastanawiał się, czy spełni swoje zadanie - czy skomplikowany zestaw luster, które poustawiał z pietyzmem, pozwoli im ujrzeć obraz z tego miejsca, do którego bardzo chcieli przeniknąć.

*

W chłodni było zdecydowanie za zimno, by spędzić więcej czasu przy zwłokach, toteż razem z Hoffmanem przeszli do pobliskiej sali konferencyjnej, zostawiwszy Azhara na straży bezcennego trupa. Na stole konferencyjnym stała otwarta aluminiowa walizeczka, dość mocno poobijana i w wielu miejscach przebarwiona jakby od wieloletniego użycia. Do rączki umocowano gruby żelazny łańcuch, a na jego końcu znajdowała się ciężka obręcz wielkości połowy kajdanek. Obok walizki leżał stosik kartonowych teczek. Hoffman zajął miejsce u szczytu stołu.

- Pora założyć przynętę na haczyk. To twój pomysł, Roger. Co chciałbyś umieścić w walizeczce? Co Harry Meeker, oficer operacyjny CIA do specjalnych poruczeń, powinien mieć przy sobie w chwili śmierci podczas próby nawiązania kontaktu z informatorem z Al-Kaidy? Przedstaw mi szczegóły tej mistyfikacji.

Ferris zamknął oczy, przenosząc się w myślach do świata iluzji, którego konstrukcję dopracowywali w czasie wielogodzinnych dyskusji.

- Przede wszystkim potrzebna jest przesyłka dla Sulejmana - zaczął. - To znaczy detonator. Powiedzmy, że będzie to specjalny prezent od CIA dla niego. Kiedy jego najbliżsi współpracownicy go zobaczą, powinni nabrać podejrzeń, że ich przywódca jest z nami w zмовie. Przygotowaliście ten prezent?

Hoffman przytaknął ruchem głowy.

- Ta wiadomość dla Sulejmana zostanie dostarczona za pośrednictwem łącznika z Pakistanu.

- Harry miałby prosić Sulejmana o pomoc w zwalczeniu nowego zagrożenia - ciągnął Ferris. - Tym zagrożeniem ma być Omar Sadiki, którego dossier powinno się znaleźć w teczce Harry'ego.

- Oczywiście - wtrącił szef wydziału. - Sadiki przekroczył granicę. Sulejman koncentrował się na zabijaniu Europejczyków, natomiast ten zaczął od zabicia wielu Amerykanów stacjonujących w bazie lotniczej w Turcji. Dlatego Harry spróbuje się skontaktować z naszą supertajną wtyczką w Al-Kaidzie. Będzie chciał, żeby Sulejman powstrzymał nowy terrorystyczny odłam kierowany przez Sadikiego i pozostający poza kontrolą dotychczasowych struktur organizacji.

Ferris aż pokręcił głową w zdumieniu.

- Pozostaje tylko mieć nadzieję, że uwierzą, iż jesteśmy aż tak przebiegli i sprytni.

- Na pewno uwierzą. W powszechnym mniemaniu widzą w nas Supermanów. Właśnie dlatego aż tak bardzo nas nienawidzą.

- Papiery też macie już przygotowane?

- Tak, ale przejrzyj je, nim odpalimy ładunek.

Ferris zaczął przerzucać kartonowe teczki, wreszcie wyciągnął jedną z nich, otworzył i pobieżnie sprawdził zawartość. Jego uwagę przykuło niezbyt wyraźne, ziarniste zdjęcie przedstawiające Sadikiego w rozmowie z Bulen-tem Farhatem w Ankarze.

- To najważniejszy element, gdyż dowodzi, że Sadiki kontaktował się z przedstawicielem Al-Kaidy w Turcji tuż przed zamachem w Incirliku. Gdyby agencja zbierała materiały przeciwko Sadikiemu, byłby to z pewnością jeden z najważniejszych dowodów jego powiązań z terrorystami.

- A więc do walizki - rzekł Hoffman, skinąwszy głową. - Co dalej?

W innej teczce Ferris znalazł drugie zdjęcie, zrobione w Abu Dhabi i ukazujące architekta podczas spotkania z adwokatem, który był zamieszany w akcje transferów pieniędzy na rzecz Al-Kaidy.

- To też jest bardzo ważne. Będzie dowodem Harry'ego na to, że Sadiki ściągał fundusze na sfinansowanie zamachu w Incirliku.

- Jasne. Co jeszcze?

Wpadł mu w ręce dokument na firmowym papierze FBI, z dzisiejszą datą, przedstawiający wyniki wstępnej analizy materiałów wybuchowych użytych w Incirliku, identycznych jak te, które wykorzystano do zamachów na siedzibę filii banku HSBC oraz konsulatu izraelski w Stambule w 2003 roku.

- Harry Meeker powinien mieć także to pismo, które potwierdza związki nowego ugrupowania z Al-Kaidą.

Hoffman zachichotał, przebiegłszy wzrokiem treść dokumentu.

- Ludzie Sulejmana dostaną szału, jak to zobaczą. Będą zachodzić w głowę, dlaczego wcześniej nie słyszeli o człowieku korzystającym z tego samego źródła plastiku, co oni. Czyżby ktoś specjalnie trzymał ich w nieświadomości? To może... może... sam Sulejman wodził ich do tej pory za nos? Może on tylko udaje zaangażowanie w sprawy dżihadu? Może jakiś robak draży jego trzewia od środka? Nie będą mieli pojęcia, co o tym myśleć!

Ferris zapatrzył się na kolejne zdjęcie. Według podpisu na dole był to budynek w Ammanie, w którym zbierali się członkowie Bractwa Świadomości. Od razu rozpoznał okolicę. W tej części ammańskiej starówki, zaledwie kilkadziesiąt metrów dalej, znajdowało się biuro, w którym pracowała Alice.

- Co się stało? - zagadnął Hoffman.

Zamyślony, nie podnosząc głowy znad fotografii, mruknął cicho, prawie szeptem:

- To nie będzie potrzebne. Włożył zdjęcie z powrotem do teczki.

- O co chodzi? Uważasz, że nie jest dość interesujące?

- Nie. W każdym razie zostawcie je. Nie przyniosłoby nam specjalnego pożytku.

Dorzucił jeszcze do walizki parę rzeczy. Najpierw kopię raportu agenta wywiadu Zjednoczonych Emiratów Arabskich omawiającego działania Sadikiego w czasie pobytu w Abu Dhabi, która z pewnością musiałaby zaciekawić Harry'ego Meekera. Następnie kopie rachunków za bilety lotnicze z Ammanu do Ankary i z powrotem, jakie musiałyby się znaleźć w dossier architekta. Raport oficera tureckiej straży granicznej, przekazany agencji przez łącznika wywiadu tureckiego, dotyczący dwukrotnego przekroczenia przez Sadikiego granicy na lotnisku dwudziestego pierwszego grudnia. W ten sposób powstał dość zgrabny zestaw dowodów na to, że architekt stał się bardzo ważnym członkiem nowej komórki Al-Kaidy, a CIA zaczynała gorączkowo gromadzić materiały na jego temat. Na koniec zamknął walizeczkę, podniósł ją i zważył w rękach.

- Nienawidzę tych łotrów - burknął Hoffman. - Tym bardziej podoba mi się twoja mistyfikacja. Powinna ich skłonić do tego, żeby zaczęli się wykańczać nawzajem. Rzeczy z tej walizeczki z pewnością będą przekazywane z rąk do rąk, a wszyscy kolejni pośrednicy zaczną łamać sobie głowę, czy ich przywódca nie jest wtyczką CIA. Zasjejemy w łonie ich organizacji ziarno wątpliwości i będziemy się przyglądać, jak kiełkuje. Z czasem wątpliwości powinny przybierać na sile, dopóki w końcu ich świat nie zwali im się na głowy. To naprawdę trująca pigułka. Jeśli ją połkną, będą martwi.

Ferris pokiwał głową. Do tego właśnie sprowadzał się jego pomysł. Sam chciał wierzyć w szczęśliwe zakończenie, ale miał poważne obawy, że coś przeoczyli.

- Załóżmy, że jestem Harrym - rzekł, biorąc walizeczkę ze stołu. - Z ramienia agencji pracowałem w zespole badającym sprawę zamachu w Incirliku. Zgromadziłem wszystkie konieczne materiały, aby udowodnić, że organizatorem zamachu był niejaki Omar Sadiki. Potrzebuję teraz pomocy Sulejmana. Jak miałyby się przedostać do Pakistanu?

- Plan podróży też jest gotowy - odparł Hoffman. - Najpierw Harry poleci do Londynu i Paryża, aby zapoznać z tymi materiałami naszych europejskich sprzymierzeńców. Na potwierdzenie tej bajeczki ucharakteryzuje-my kogoś na Harry'ego, żeby wprowadził w sprawę ludzi średniego szczebla z SIS oraz DGSE. Poleci za ocean służbowym gulfstreamem, razem ze zwłokami. Przygotowaliśmy już drobne śmieci z pobytu w Londynie i Paryżu, paragony z restauracji, pokwitowania za przejazdy taksówkami i inne podobne świstki. W Londynie Harry wybierze się na przedstawienie Kotów, po którym wyśle swojej dziewczynie entuzjastycznego SMS-a, a w nim opisze, jak bardzo mu się podobało. Kiedy chłopcy z Al-Kaidy znajdą jego telefon komórkowy, ta wzmianka o musicalu powinna im trafić do przekonania. To przecież bardzo w amerykańskim stylu. Dopiero wczoraj wpadliśmy na ten pomysł.

- Świetnie. Ale kiedy Harry dotrze do Pakistanu? W gruncie rzeczy tylko to się liczy.

- Już zarezerwowano miejsce w samolocie z Paryża do Islamabadu. Oficjalnie ma wyznaczone spotkanie z łącznikiem ISI, wywiadu pakistańskiego. Zakładamy, że Al-Kaida ma swoich ludzi w ISI, toteż do Pakistanu także wyślemy ucharakteryzowanego agenta. Zapozna Pakistańczyków z postępami tureckiego śledztwa, a zaraz potem zniknie bez śladu.

- Wyruszy do Waziristanu na spotkanie ze swoim łącznikiem z Al-Kaidy.

- Właśnie. Razem z dowódcą naszej placówki z Pesza-waru, w obstawie kilku chłopców z oddziałów specjalnych, wybierze się w góry na rzekome spotkanie z pasz-tańskim kacykiem plemiennym, jakimś Azzamem, który współpracował z Sulejmanem podczas jego pobytu w Afganistanie. W rzeczywistości moi ludzie już kilka razy spotykali się z Azzamem i zostawiali mu spore sumy pieniędzy, próbując go zwerbować na informatora. Nic z tego nie wyszło, ale organizatorzy zamachów nie muszą o tym wiedzieć. W dodatku Harry będzie miał list dla Sulejmana, oczywiście zaadresowany do „Raoufa”, bo wiemy już na pewno z przechwyconych meldunków, że pod takim imieniem znany jest wśród swoich ludzi. W tym liście... cóż, może lepiej sam go sobie przeczytaj, bo napisał go Sami. Podobno to prawdziwe dzieło sztuki.

Hoffman podał mu zapisaną po arabsku kartkę papieru tak grubego i sztywnego, że mógł pochodzić tylko z Ameryki. Ferris odczytał list na głos, wprawnie tłumacząc jego treść na angielski:

- „W imię Proroka, niech pokój i łaska boska... i tak dalej, i tak dalej. Przesyłamy ci pozdrowienia, Raouf, za pośrednictwem naszego przyjaciela i brata Azzama. Prosimy cię o pomoc w sprawie zdradzieckiego jordańskiego brata, którego akta i fotografie przekazuję bratu Azzamowi. Prosimy, abyś podjął stosowne działania, takie same jak w przeszłości. Niech pokój i łaska boska będą z tobą”.

- Chcemy dołączyć do listu to zdjęcie. - Hoffman wyciągnął w stronę Ferrisa niewielką fotografię Omara Sadikiego.

Ferris bez słowa oddał mu list do Raoufa, a szef wydziału drucianym spinaczem przypiął do niego zdjęcie, włożył

do koperty i wrzucił do blaszanej walizeczki Harry'ego Meekera.

- Nie będzie krwawił - zauważył Ferris. - Zdajecie sobie z tego sprawę, prawda? Kiedy zostanie zastrzelony w górskiej wiosce w Pakistanie, na jego ciele nie pojawi się ani kropla krwi.

- Przecież to oczywiste! Od dawna jest martwy, na miłość boską! Ale będą się z niego wydzielają różne płyny, ropa... i takie tam. Robiliśmy badania. Wszystko będzie w porządku.

- Czy myśmly zwariowali? - zapytał Ferris sam siebie.

- To niewykluczone. Ale wiesz co? Jak tylko kumple Sulejmana zobaczą te materiały i zaczną się głowić, co to może oznaczać, zwariują jeszcze bardziej od nas. Zaczną się gryźć, nie wiedząc, co jest prawdą, a co nie. A to powinno poważnie nadszarpnąć ich wiarę we wszystko, w co dotąd wierzyli. Zwątpienie to strasznie niszczycielska siła. Jest zdolna odwalić najgorszy kawał diabelskiej roboty.

Ferris smętnie pokiwał głową, usiłując nie myśleć o innych dziedzinach życia, do których w pełni mogły się stosować słowa szefa wydziału.

29

Waszyngton

Po raz ostatni zweryfikowali plan akcji, jakby przeprowadzali kontrolę techniczną urządzeń przed wystrzeleniem z armaty żywego pocisku. Azhar stał nad zwłokami z tabliczką w ręku i odczytywał kolejne punkty, a gdy technicy potwierdzali ich wykonanie, stawiał na marginesie ptaszki. Pierwszym zmartwieniem okazała się ciepłota

ciała. W ciągu ostatniego tygodnia o kilka stopni podnieśli temperaturę w chłodni, doprowadzając ją do poziomu, w którym zwłoki miały być transportowane. Patolog agencji zalecił stopniowe ocieplanie zwłok, aby osiągnęły temperaturę otoczenia dopiero na kilka godzin przed ich odnalezieniem. Musieli jednak przeprowadzić szereg prób z chirurgiczną sondą elektroniczną do mierzenia temperatury ciała, zanim wreszcie Azhar uznał ten punkt za zaliczony.

Jeszcze raz przejrzeni uważnie zawartość kieszeni. Opakowania po gumie do żucia pochodziły z Londynu, Paryża i Pakistanu. (To Hoffman zdecydował, że Meeker jako typowy Amerykanin powinien zostać znaleziony z gumą w ustach, po czym nakazał Azharowi wstępnie ją przeżuć). Na bilon składały się dwa euro, ciężka moneta dwu-funtowa oraz garść pakistańskich rupii. Załatwione! Dalej portfel: paragon ze stacji benzynowej Exxon przy szosie numer 123, pokwitowanie z pralni chemicznej w Centrum McLeana, prawo jazdy, karty kredytowe, zdjęcie fikcyjnej dziewczyny z odręcznie napisanym imieniem „Denise”, końcówki lotniczych kart pokładowych, kartonowe zapalki hotelowe, kilka prezerwatyw. Następnie telefon komórkowy. Azhar dużo wcześniej zaprogramował wykaz fikcyjnych odebranych połączeń i ostatnich rozmów, teraz jednak, już w czasie ostatniej kontroli, podjął decyzję o dodaniu do listy trzech nieodebranych połączeń od Denise. Gdyby ktokolwiek się nimi zainteresował i wybrał numer figurujący w wykazie, usłyszałby odtwarzany z taśmy miły kobiecy głos, mówiący: „Cześć! Tu Denise. Po sygnale zostaw wiadomość, jeśli masz ochotę”.

Wreszcie przyszła kolej na ubranie Harry'ego. Już wcześniej zaopatrzone go w grubą ciepłą kurtkę. Zwłoki miały

zostać odnalezione w rzadko zamieszkanym terenie między Peszawarem a granicą afgańską pod koniec grudnia. Dlatego specjalnie do tego celu kupili ocieplaną sztucznym futrem kurtkę, która nawet byłaby niezła, gdyby nadal nie wyglądała na całkiem nową, mimo kilkukrotnego prania. Dlatego Hoffman rozpowszechnił wśród pracowników Parku Miazgi mejlową wiadomość, że poszukuje używanej męskiej zimowej kurtki rozmiar 44, najlepiej z futrzaną podszewką. W odpowiedzi dostali dwie. Pierwsza wyglądała na jeszcze nowszą niż ta ze sklepu, za to druga była powycierana na kołnierzu i mankietach, miała byle jak zeszyte niewielkie rozcięcie na rękawie i futrzaną podszewkę sfilcowaną od wielokrotnego prania. Szef wydziału orzekł, że jest idealna. Wełniane spodnie niczym się nie wyróżniały, podobnie jak biała koszula oraz podniszczone buty traperskie. Dopiero podczas tej ostatniej kontroli, tuż przed załadowaniem Harry'ego Meekera do chłodzonego kontenera, w którym miał odbyć swą ostatnią podróż, Hoffman zwrócił uwagę na jego spodnie.

- Na miłość boską! - wykrzyknął. - Kto wybiera się na azjatyckie bezdroża w spodniach zaprasowanych w kant?! Co z wami, ludzie?

Azhar, najwyraźniej przygotowany na każdą ewentualność, natychmiast włączył żelazko i pospiesznie usunął kanty ze spodni.

Z centrum operacyjnego „Parku Miazgi” Hoffman i jego zespół mogli śledzić drogę Harry'ego Meekera. Dokładnie wiedzieli, kiedy samolot wylądował w Londynie, potem w Paryżu, wreszcie w Islamabadzie. Podczas gdy Harry pozostawał w chłodzonym kontenerze, ucharakteryzowany na niego agent terenowy z wydziału bliskowschodniego wysiadał na każdym postoju, odwiedzał miejscową placówkę CIA i spotykał się z przedstawicielami lokalnych służb wywiadowczych, których pokrótce informował o postępach śledztwa w sprawie zamachu bombowego w Incirliku. Nazajutrz po jego wizycie w Paryżu w „Le Figaro” ukazała się notatka mówiąca o tym, że Amerykanie wpadli na nowy trop w związku z wysadzeniem w powietrze kwater podoficerskich w ich tureckiej bazie lotniczej. Prowadzi on do jordańskiej komórki Al-Kaidy.

Kiedy samolot wylądował w Islamabadzie, agent występujący w roli Harry'ego odwiedził dowództwo Międzyresortowych Służb Wywiadowczych, a po zmroku wyruszył w podróż do Peszawaru. Miał wrócić do stolicy następnego dnia, żeby, tym razem już liniami komercyjnymi, udać się z powrotem do Waszyngtonu. Tymczasem prawdziwy Harry, już tylko w pojemniku z suchym lodem, wyruszył do Peszawaru na skrzyni ciężarówce.

Alex Smite, szef placówki w Peszawarze, wyjechał ciężarówce na spotkanie. Był wtajemniczony w operację, a jednak, ledwie ujrzał skrzynię ze zwłokami, zadzwonił do wydziału bliskowschodniego agencji.

- Na pewno dyrektor podpisał zgodę na tę akcję?

- Uspokój się. Wszystko jest w porządku, osobiście nadzorowałem całą papierkową robotę - odparł Hoffman, którego nawet nie bardzo zdziwiła reakcja kolegi z Pakistanu. Zbyt często o karierze w agencji decydowała zdolność przewidywania kolejnych decyzji.

Zwłoki zostały przeniesione do land rovera, krytego brezentem wozu terenowego o przyciemnionych szybach. Umieszczono je w pozycji siedzącej na miejscu przeznaczonym dla honorowych gości i ciasno przypięto pasem bezpieczeństwa. Kiedy Hoffman zaczął się domagać odczytu temperatury zwłok, Smite zastosował zwykły termometr rzeźnicki, po którym została mała dziurka z boku ciała, ale nic nie można było na to poradzić. Na szczęście temperatura była w normie, według obliczeń miała się zrównać z temperaturą otoczenia, a więc osiągnąć około ośmiu stopni Celsjusza, w ciągu dwunastu godzin. Kolejne dwanaście godzin później zwłoki zaczęły się rozkładać. Ale wtedy Harry powinien już oficjalnie zostać uznany za martwego, a ściślej rzecz biorąc, jego ciało, tak samo przypięte pasami do tylnego siedzenia land rovera, tyle że naszpikowane kulami, powinno zostać odnalezione przez tubylców.

Smite spotkał się z żołnierzami sił specjalnych wśród wzgórz otaczających Peszawar, w resztkach obozowiska, które przez kilka ostatnich lat służyło za bazę wypadową do bezowocnych poszukiwań najgroźniejszych członków Al-Kaidy. Ani trochę nie dbał o to, czy ktoś ich obserwuje. Wręcz przeciwnie, nawet chciał być zauważony. Szybko uformowali mały konwój złożony z trzech aut, jadącego przodem opancerzonego hunwee i drugiego identycznego, podążającego za land roverem. W każdym łaziku znajdowało się po czterech silnie uzbrojonych komandosów. Przez pierwsze osiemdziesiąt kilometrów towarzyszyła im eskorta armii pakistańskiej, która zawróciła jednak na skraju „ziemi niczyich”, toteż Amerykanie pojechali dalej sami w kierunku wioski Kosa leżącej na południe od Min-gaory, u podnóża Hindukuszu w północno-zachodnim regionie przygranicznym. Jeden z pasztuńskich informatorów Smite'a uprzedził drogą radiową Azzama, że na spotkanie z nim jadą amerykańscy goście.

Wjazd kolumny pojazdów do Kosy został również rozpisany na role. Ferris oglądał go na żywo dzięki przekazowi z satelity geostacjonarnego zawieszono nad tym regionem. Jak tylko konwój zbliżył się do chaty Azzama, ze wszystkich okien wozów terenowych wysunęły się na boki lufy pistoletów maszynowych. W tej części świata była to standardowa procedura postępowania, zgodnie z którą należało zademonstrować siłę wystarczającą do odstraszenia przeciwnika, lecz nie na tyle dużą, by sprowokować natychmiastowy ostrzał. Poza zasięgiem obiektywu kamery z satelity, jak również nieostrzeżonych przez pasztuńskich bojowników rozciągniętych na ziemi między chatami pozostawało czterech dalszych żołnierzy sił specjalnych, ukrywających się dotąd w górach, ale od wczesnego ranka przebywających już w wiosce.

Kiedy Smite wysiadł przed domem Azzama, zastosował się do tej samej procedury, według której przebiegała jego wcześniejsza wizyta w wiosce przed kilkoma miesiącami. Zaczekał przy land roverze, aż miejscowi chłopcy wywołają przywódcę na dwór. Pasztun pojawił się dopiero po kilku minutach, do tego w licznej obstawie. Amerykanin odszedł wówczas od samochodu i ruchem ręki dał znać Azzamowi, aby się zbliżył, jak to miało miejsce poprzednio. W końcu tubylcowi zależało na dolarach.

- Spokojnie, dziecino, tylko spokojnie - mruknął Hoffman, wpatrując się w obraz na ekranie monitora i nadstawiając ucha na przekaz dźwiękowy. Wyglądało to prawie tak, jakby siedzieli na drzewie i z jego konarów śledzili przebieg odbywającego się w dole spotkania.

Smite przemówił do Azzama w języku urdu, na tyle głośno, by słyszeli go trzymający się w odległości dwudziestu metrów ludzie z obstawy. Powiedział, że przywiozł specjalnego gościa z Waszyngtonu, który chce z nim rozmawiać na osobności. Odbył bardzo daleką podróż specjalnie

po to, aby poznać wielkiego przywódcę ludu Kosa i przekazać mu pozdrowienia.

Azzam z dumnie zadartą głową ruszył powoli w stronę auta. Niemalże widać było, jak rozmyśla: Czemu znowu nie wziąć pieniędzy od tych głupich Amerykanów? Smite otworzył drzwi, żeby kacyk mógł zająć miejsce na tylnym siedzeniu land rovera. I jeszcze zanim tamten dobrze się usadowił, wcisnął guzik elektrycznego zamka uniemożliwiającego otwarcie drzwi samochodu od środka. Następnie odwrócił się, podszedł do stojącego w przodzie humvee i wskoczył na siedzenie.

Kiedy Azzam spostrzegł zeszytywniałe zwłoki Harry'ego Meekera przypięte pasem do siedzenia obok niego, od razu musiał wyczuć, że coś tu jest nie w porządku, ale zareagował z pewnym opóźnieniem. Być może jeszcze przez jakiś czas w sposób typowy dla mieszkańców Wschodu unikał kontaktu wzrokowego z człowiekiem, od którego miał dostać pieniądze. A może charakterystyka trupa była na tyle doskonała, że rzeczywiście czekał, aż obcy w futrzanej kurtce się do niego odezwie. W każdym razie minęło co najmniej pięć sekund, nim ze środka land rovera doleciał przenikliwy wrzask, wyraźnie słyszalny także w Langley. Ale wtedy było już za późno. Azzam nie mógł bez pomocy z zewnątrz wysiąść z samochodu.

Żołnierze sił specjalnych równie dobrze słyszeli ten dziki wrzask w swoich słuchawkach.

Niemal w tej samej chwili ich dowódca krzyknął do ochroniarzy Pasztuna, żeby rzucili broń. Na co ci odpowiedzieli okrzykami i wokół placu jak spod ziemi wyrosli następni uzbrojeni ludzie. Takie konfrontacje uzbrojonych grup nie były niczym niezwykłym w tych przygranicznych rejonach, toteż obrońcy jak zwykle próbowali podsycać napięcie gardłowymi okrzykami i pojedynczymi strzałami w powietrze. Teraz jednak niespodziewanie padły krótkie serie z broni automatycznej i dwóch pasztuńskich bojowników zważyło się na ziemię. Pozostali natychmiast otworzyli ogień do wozów terenowych, lecz pociski małego kalibru z ich AK-47 nie zdołały przebić się przez pancerne płyty. Wymiana ognia błyskawicznie się nasiliła, a w niej najbardziej ucierpiał land rover,

którego karoserię kule siekały na wylot. Z punktu widzenia Pasztunów rozgorzała zacięta bitwa, tyle że od początku do końca sfingowana przez przybyszów z Ameryki. Bojówkarze Azzama nie mieli nawet pojęcia, że pierwsze strzały padły ze strony komandosów kryjących się wśród zabudowań, a nie z aut terenowych. Zamaskowani Amerykanie od samego początku trzymali obstawę kacyka na muszce, a jeden z nich, uzbrojony w AK-47, skupił się wyłącznie na ostrzale land rovera i posłał aż kilka serii w tylne prawe drzwi, żeby mieć pewność, że trafił Harry'ego Meekera. Azzam także musiał zginać u jego boku, tak przewidywał plan. Śmierć przywódcy Pasztunów powodowała, że jedynym wyjaśnieniem tego, co się stało, pozostawały dokumenty znajdujące się w blaszanej walizeczce. Mogli jedynie żałować, że posiekane kulami zwłoki Harry'ego nie będą krwawić. Oba amerykańskie wozy terenowe wycofały się pod gradem kul do głównej drogi. Czterej zamaskowani komandosi także się wycofali pod osłoną zabudowań między pobliskie wzgórze, gdzie zostawili własne pojazdy. Przy okazji pozostawili na polu bitwy jeszcze jeden prezent dla bojowników dżihadu, drugie zwłoki Amerykanina, które przed kilkoma dniami przetransportowano z Afganistanu. Chodziło o to, by miejscowi poczuli się trochę lepiej, sądząc, że w gwałtownej wymianie ognia położyli trupem jednego z amerykańskich żołnierzy. Jednocześnie-

nie te drugie zwłoki miały zminimalizować groźbę, że ktoś analizujący przebieg wydarzeń nabierze podejrzeń co do pochodzenia pierwszego trupa.

Smite ze swoimi dwoma hunwee bezpiecznie dotarł do miasta. Kilka godzin później w wiosce wylądowały wojskowe helikoptery przybyłe z misją zabrania zwłok Amerykanina zabitego w land roverze oraz ewentualnych dokumentów, jakie miał przy sobie. Żołnierze pospiesznie zajęli posterunki na obrzeżach placu, inni przez dwadzieścia minut przeszukiwali posiekany kulami samochód. Ale w tym czasie Harry'ego Meekera już nie było w wiosce. Zgodnie z przewidywaniami Hoffmana ludzie z Al-Kaidy pospiesznie zabrali zwłoki razem z metalową walizeczką w góry. W ciągu najbliższych kilku godzin jeden z zaufanych oficerów organizacji miał wyłamać zamki i wydobyć na światło dzienne zawartość walizeczki. A powinna stać się przyczyną powszechnej konsternacji.

Pod koniec dnia w serwisach prasowych pojawiła się informacja, że patrol armii Stanów Zjednoczonych wpadł w zasadzkę na pograniczu pakistańsko-afgańskim, a w wyniku strzelaniny zginął jeden żołnierz. Ani słowem nie wspomiano o drugiej ofierze potyczki, także Amerykaninie, ale ubranym po cywilnemu, który zginął w swoim samochodzie, gdzie rozmawiał z miejscowym przywódcą plemiennym, znanym ze swoich sympatii dla bojowników Al-Kaidy. Nie było jednak potrzeby, aby o tym aspekcie zajęcia mówiono w doniesieniach agencyjnych. Jeszcze tego samego wieczoru spotkanie Azzama z tajemniczym Amerykaninem stało się bowiem tematem elektryzującej plotki, która lotem błyskawicy obiegła cały rejon przygraniczny. Pojawiły się nawet opinie, że Azzam musiał pracować dla CIA. W ten oto sposób przynęta została zarzucona.

*

Hoffman świetnie wiedział, że wszystko układa się po ich myśli. Świadczyły o tym rozmowy przechwycone w sieciach komórkowych oraz krążące po internecie wiadomości mejlowe. Ludzie Sulejmana usiłowali za wszelką cenę dociec sensu w tym, co się wydarzyło, ale nie do nich należały jakiegokolwiek decyzje. Tylko najstarsi przywódcy komórek operacyjnych Al-Kaidy mogli zdecydować, co dalej robić. Wywiad pakistański przechwycił kuriera jadącego do Karaczi z pilną prośbą o radę, o zwołanie spotkania ulemy w sprawie tak poważnej, że wymagającej zapewne decyzji samego Khalifa. Służby nasłuchowe Agencji Bezpieczeństwa Narodowego zaczęły wyławiać w rozmowach głosy niesłyszane od kilku lat, a należące do członków najściślej zakonspirowanych siatek, zmuszonych nagle do zaniechania stosowanych dotąd rygorystycznych środków ostrożności. Powstawało wrażenie, że przydarzyło im się to najgorsze, co mogło się przydarzyć.

Szczęście jest pochodną starannego planowania. Hoffman aż nadto przyłożył się do tego ostatniego, przez co zaczęło mu wreszcie dopisywać także trochę szczęścia. Głos uczestniczący w jednej z przechwyconych przez Agencję Bezpieczeństwa Narodowego rozmów telefonicznych w Wiedniu wykazywał znaczne podobieństwa do znanego głosu jednego z najbardziej poszukiwanych przez Amerykanów ludzi. Co prawda, był nieco zniekształcony przez silny szum, lecz po starannej obróbce elektronicznej zapisu komputer zidentyfikował po głosie pochodzącego z Syrii wysokiego rangą działacza Al-Kaidy z Hamy, Karima al-Shamsa, znanego pod operacyjnym kryptonimem Sulejmana. A więc główny obiekt polowania wynurzał się bliżej powierzchni. Sens rozmowy był trudny do zrozumienia, gdyż prowadzono ją nietypowym szyfrem, ale wśród głównych tematów znalazło się cierpienie Hussejna, który został skazany na śmierć wskutek kłótni zazdrosnych rywali. Analitycy Hoffmana byli prawie pewni, że rozszyfrowali przekaz Sulejmana, który chciał w ten sposób dać do zrozumienia, że padł ofiarą mistyfikacji. Z pomocą Agencji Bezpieczeństwa Narodowego policja austriacka szybko ustaliła, z jakiego rejonu Wiednia prowadzona była ta rozmowa w sieci komórkowej. Jeszcze tej samej nocy otoczono całe osiedle kordonem i skontrolowano kilkanaście bloków mieszkalnych. Krótko przed świtem policjanci odnaleźli rzeczony aparat komórkowy, ale człowiekowi, który go używał, udało się zbiec.

Ferris chciał wrócić do Ammanu, żeby spędzić sylwestra z Alice, lecz Hoffman poprosił, by został jeszcze jeden dzień. Pragnął uczcić powodzenie pierwszej części operacji. Jedyne problemy polegały na tym, że wiedzieli o nim wyłącznie ludzie pracujący w Parku Miazgi, a ponieważ nawet to, że się znają, było ścisłą tajemnicą, sylwestra dla nich można było urządzić tylko w podziemnej sali. Przemycił do swego gabinetu alkohol i jedzenie, spośród analityków wyznaczył kelnerów, a na dyskdżokeja wybrał agenta operacyjnego, który zawsze marzył o karierze piosenkarza. Próbował znaleźć zapomnienie w drinkach i muzyce, zatańczył nawet z pijaną dziewczyną z zespołu Azhar, która przywierała do niego całym ciałem i prześlizgiwała się w górę i w dół, jakby był stalową rurą w tanim lokalu ze striptizem.

Ale sercem i duszą był gdzie indziej. Teraz, gdy wymyślona przez niego operacja dobiegła końca, czuł się nie-

potrzebny. Nie miał żadnej kontroli nad dalszymi zdarzeniami, nawet nie potrafił ich przewidzieć. Tę pustkę wypełniały jedynie myśli o Alice. Przez lata spędzone u boku Gretchen zastanawiał się czasami, jak by to było, gdyby naprawdę się zakochał. Teraz wiedział. I uświadomił sobie nagle, że w przeddzień Nowego Roku powinien powziąć twarde postanowienie. Zaczął się rozglądać za Hoffmanem, by mu to powiedzieć, ale szef gdzieś zniknął.

Rozmawiał z Alice przez telefon wcześniej, kiedy szykowałą się na bal sylwestrowy w hotelu Four Seasons, na który zaprosili ją jordańscy przyjaciele. Na szczęście nie próbowała wzbudzić w nim poczucia winy, że nie mogą być razem. Przeskoczyła etap wymówek i znalazła się poza granicą otchłani milczenia. Zadzwoił jeszcze raz, o północy czasu ammańskiego, ale nie odebrała. To go dodatkowo wprawiło w ponury nastrój, że nawet przez telefon nie mógł wymówić jej imienia, złożyć noworocznych życzeń i przesłać całusa na odległość. Nagrał więc wiadomość głosową. Teraz jednak, w podziemiach dowództwa agencji, gdzie nie działały telefony komórkowe, nie miał nawet pojęcia, czy próbowała się z nim skontaktować.

Wreszcie wyszedł z sali, zamknął się na górze w pustym gabinecie i po raz kolejny wybrał jej numer. Nawet za zamkniętymi drzwiami słyszał niosące się po korytarzach basowe dudnienie muzyki. Odebrała po trzecim sygnale

I odezwała się z ociąganiem, niezbyt wyraźnie, jakby była zaspana po zażyciu środków nasennych.

- Jest coś, co bardzo chciałem ci powiedzieć - rzekł. - Powziąłem noworoczne postanowienie.

- Jakie? - zapytała, nie w pełni jeszcze obudzona.

- Jestem gotów.

- Do czego?

- Do tego, żebyśmy byli razem. Cała reszta się nie liczy.

- Wszystko się liczy. Kiedy wracasz? - zapytała niemalże odruchowo, jakby pogrążona w głębokiej zadumie.

- Jutro. Wylatuję w Nowy Rok, będę na miejscu wieczorem drugiego stycznia. Zrobię ci obiad, a potem będziemy się kochać. Dam ci wszystko, czego zapragniesz.

- To miłe. - Dopiero teraz trochę się ożywiła. - Tylko co masz na myśli?

- Powiem ci całą prawdę. Nie będzie między nami więcej żadnych kłamstw. Bo już nie muszę kłamać. To koniec.

- Nie mam pojęcia, o czym mówisz, ale brzmi naprawdę uroczo.

- Nie szkodzi. Najważniejsze, że ja wiem, o czym mówię.

Został jeszcze przez jakiś czas w pustym gabinecie, rozmyślając o Alice i o tym, co będą mogli wspólnie zrobić w nowym roku, jeśli tylko uda mu się wytrwać przy swoim postanowieniu. Naprawdę chciał jej powiedzieć wszystko, a to oznaczało, że będzie musiał zrezygnować ze służby w agencji. Nie miał innego wyjścia. Była już prawie północ, kiedy do drzwi załomotał Hoffman. Przyniósł butelkę szampana i dwa kieliszki.

- Otwieraj, łobuzie! - zagrział z korytarza. - Musimy pogadać.

Był już niezłe wstawiony, a alkohol wyraźnie przytępił jego zwykłą jowialność i wprawił go w melancholijny nastrój. Usiadł przed biurkiem naprzeciwko Ferrisa i napełnił kieliszki szampanem. Ten czekał na jakiś zadziorny, brawurowy toast, ale gdy milczenie się przedłużało, sam zaczął, sięgając po kieliszek:

- A więc udało się. Nie podejrzewałem nawet, że to możliwe, ale przeniknęliśmy do ich organizmu, przedostaliśmy się do samego DNA.

- Tak, to możliwe - mruknął w zamyśleniu szef wydziału.

- Co to za gadka, że możliwe. W końcu przechwyciliśmy rozmowę telefoniczną Sulejmana. Jest w poważnych kłopotach. W przeciwnym razie nadal by się nie ujawnił. Co więcej, w ostatnich dniach przechwyciliśmy tak wiele nowych tropów, że powinniśmy szybko zdemaskować całą ich siatkę, od Londynu po Lahore.

Hoffman pokręcił głową. Nie był to tylko wpływ alkoholu. Coś go gryzło. Ale Ferris nie chciał słuchać o problemach Hoffmana, wolał zająć się swoimi.

- Niech się pan rozchmurzy, szefie. Pora na rundę zwycięstwa.

- Jeszcze nie odnieśliśmy zwycięstwa.

- Ale jesteśmy dużo bliżej niż tydzień temu. Wypijmy. - Trącił kieliszek Hoffmana, niemal opróżnił swój jednym haustem, ale tamten nawet nie sięgnął po szampana.

- To wszystko wygląda aż za dobrze - mruknął. - Coś musi być nie w porządku.

- O co znowu chodzi? Na miłość boską, dlaczego nie potrafisz przyjąć za odpowiedź krótkiego i zwięzłego „tak”? Udało się. Bóg jeden wie, jakim cudem, ale się udało. - Ferris nie miał ochoty słuchać o wątpliwościach i podejrzaniach, bo teraz, gdy jego część operacji dobiegła końca, przede wszystkim pragnął się skupić na nowym rozdziale swego życia. Chciał, żeby Hoffman sobie poszedł i zostawił go sam na sam z planami na przyszłość.

- Coś jest nie w porządku. Sulejman pod żadnym pozorem nie ujawniłby się aż tak szybko. Tego się nie spo-

dziewałem. Mam wrażenie, jakby postanowił nas wysondować, żeby się przekonać, ile naprawdę wiemy.

- Daj spokój, Ed, popadasz w paranoję. Za długo się tym gryzłeś i teraz popadasz w depresję poporodową. Wyluzuj, człowieku. Masz śliczne, choć całkiem zdemoralizowane dziecko.

- Tak myślisz? Więc dlaczego Sulejman zostawił swój telefon komórkowy? Żebyśmy go znaleźli? I z kim rozmawiał o swoich kłopotach? W rzeczywistości nadal nie wiemy nic pewnego. I to mnie doprowadza do szału.

Ferris zaśmiał się krótko i dolał sobie szampana. Był zmęczony, a poza tym naprawdę nie interesowały go problemy Hoffmana. Wstał i ucałował go serdecznie w oba policzki, aż szczeniaste wąsy szefa połaskotały go w brodę, a w nozdrza uderzył nieświeży, kwaśny oddech. Z korytarza doleciał gwar roztańczonych ludzi i skandowane okrzyki: „Hoff-man! Hoff-man!”. Dochodziła północ. Niektórzy już głośno odliczali ostatnie sekundy starego roku. Chcieli się cieszyć wraz z szefem.

Hoffman wyszedł z pokoju. Miał w sobie za dużo z trybuna ludowego, żeby nie skorzystać z takiej okazji. Wskoczył na parapet, podniósł otwartą butelkę szampana nad głowę i wykrzyknął:

- Szczęśliwego Nowego Roku! Bardzo wam wszystkim dziękuję za ciężką pracę. I oczekuję jeszcze cięższej. Kocham was!

Przyłączył się do tłumu głośno odliczającego sekundy. Jak można się było spodziewać, chóralne „zero” padło punktualnie o północy. Rozległy się donośne okrzyki. Wszyscy byli pijani, szczęśliwi i wycieńczeni. Ktoś zaintonował piosenkę i po chwili tancerze zamknęli krąg wokół pulchnej kobiety, która zajmowała się śledzeniem rozmów terrorystów w sieciach komórkowych. Wśród powszechnej euforii chyba tylko Ferris zwrócił uwagę, że Hoffman prześliznął się do sąsiedniego gabinetu i zamknął za sobą drzwi.

W Nowy Rok Omar Sadiki zniknął bez śladu. Ferris odebrał tę wiadomość w drodze na lotnisko, skąd miał odlecieć do Ammanu. Jordańska placówka CIA w Ammanie jeszcze sprawdzała ostatnie rozmowy telefoniczne architekta, próbując wyjaśnić, czy nie przydarzyło mu się coś złego. Już od północy nie odbierał telefonów i dowódca sekcji operacyjnej placówki, który zastępował Ferrisa podczas jego nieobecności, zaczynał się poważnie niepokoić. Późnym popołudniem czasu bliskowschodniego wysłał jednego z jordańskich agentów do domu Sadikiego, ale ten zastał w środku tylko liczną gromadkę zmieszanych kobiet i dzieci. Żona architekta wyjaśniła, że mąż wczesnym rankiem wyjechał w towarzystwie jakichś gości i do tej pory nie wrócił. Zaczęli wypytywać o niego w biurze projektowym, w meczecie oraz kawiarni, w której popołudniami lubili przesiadywać członkowie miejscowej komórki Ikhwan Ihsan. Nikt go jednak nie widział. Żona powiedziała także, że Sadiki był czymś ostatnio bardzo przejęty. Pewnie z tego powodu zniknął teraz bez śladu.

Ferris po rozmowie z kolegami z placówki w Ammanie od razu nawiązał szyfrowane połączenie z Hanim. Ten przyznał, że dotarły już do niego niepokojące wieści i jest mu przykro. Nie potrafił wytłumaczyć, jak Sadiki mógł się wymknąć, skoro był na okrągło obserwowany przez jego ludzi. Gotów był wziąć całą winę na siebie, co powtórzył kilka razy. „Generalny Dyrektoriat Wywiadu powinien bardziej przyłożyć się do tego zadania i nie dopuścić do zniknięcia architekta”. Ferris po raz pierwszy słyszał aż tak szczery żal w głosie swego rozmówcy.

- Cholera! - syknął pod nosem po zakończeniu rozmowy z Jordańczykiem.

Domyślał się, że wcześniej czy później Sadikiemu musi przydarzyć się coś złego, był tego pewien od chwili pierwszego spotkania w Abu Dhabi. Architekt był zbyt łatwowierny, zanadto dawał wodzić się za nos. Ferris wmawiał sobie nieraz, że nie powinien się martwić o konsekwencje takiego stanu rzeczy. Nikt, kto się zanadto przejmuje nieszczęściami, jakie mogą spotkać jego informatorów, nigdy nie będzie dobrym oficerem operacyjnym. Ale Sadiki nie był nawet jego informatorem. Był nikim. O niczym nie wiedział. Można było zatem liczyć, że to mu pomoże, gdy jego oprawcy zaczną go przesłuchiwać. Niemniej Ferrisa

opanował strach, do czego nawet przed sobą bał się przyznać. W gruncie rzeczy los architekta mało go obchodził, nie mógł jednak zapomnieć o tym, że Sadiki znał Alice Melville.

- Dlaczego nie wywiozłem go z Jordanii, by mu zapewnić ochronę? - zapytał Hoffmana, kiedy po godzinie udało mu się połączyć z szefem. - Dlaczego zostawiłem go na pastwę losu? Przecież był jak kaczką na odstrzał.

- Nie bój się, nic mu nie grozi. Najwyżej pomęczą go trochę, żeby wszystko wyśpiewał, ale przecież nic nie wie. Będzie zaprzeczał, jakoby miał cokolwiek wspólnego z zamachem w Incirliku. Powie szczerze, że był w Turcji, aby omówić pewne szczegóły planów architektonicznych projektu budowy filii banku amerykańskiego. No i opowie też o swoich spotkaniach z Bradem Scanlonem. Tym bardziej nie będą wiedzieli, czy można mu wierzyć. Nawet jeśli go stłuką na kwaśne jabłko, nie zmieni przecież swoich zeznań, więc ostatecznie będą jeszcze bardziej skołowani niż do tej pory.

- A w końcu go zabiją.

- Wątpię, lecz jeśli nawet, to co z tego? Zawsze ci powtarzałem, że zdarzyć może się wszystko. Gdybyśmy rozpaczali z powodu każdego Jasia, który przypalił sobie dupę, nigdy byśmy niczego nie osiągnęli.

- Jezu... Mówisz jak bezwzględny łotr pozbawiony skrupułów.

- Bo taki już jestem. Podobnie jak ty - rzekł Hoffman. - Tylko ty nie chcesz się do tego przyznać nawet przed samym sobą.

Hoffmanowi naprawdę obojętny był los architekta. Traktował ludzi uczestniczących w jego operacjach jak tandetne, wytłoczone z plastiku pionki na szachownicy.

- Ale mnie mogą zdekonspirować - rzekł Ferris. - Podczas wyczerpującego przesłuchania Sadiki na pewno powie o mnie wszystko, co wie, a to pozwoli im bez trudu ujawnić moją prawdziwą tożsamość.

- I tu się mylisz. Jeśli nawet ujawnią twoją fikcyjną tożsamość, to co z tego? Legenda jest bardzo starannie przygotowana, zawsze występowałeś ucharakteryzowany. Zaprowadzi ich to najwyżej w ślepią uliczkę. Nie ma się czym martwić. Zresztą uważam, że Omar niedługo wróci do swojej pracy, najwyżej bez kilku palców u rąk czy nóg. Tylko co z tego?

- Na pewno będą chcieli wyciągnąć z niego informacje dotyczące Amerykanów mieszkających w Ammanie. Spróbują ustalić, czy nie ma żadnych powiązań z ambasadą, także za pośrednictwem ludzi, którzy mogą mnie znać.

- Przestań mi mydlić oczy, Roger - syknął wyraźnie rozżłoszczony szef wydziału. - Do czego zmierzasz? Gadaj wprost, bo mam inne ważne sprawy na głowie.

JOO

Ferris zamyślił się na chwilę, czy zdradzić Hoffmanowi najczarniejszą tajemnicę spoczywającą na dnie serca - czy powiedzieć, że Omar Sadiki zna pewną amerykańską wolontariuszkę, która świetnie zna pewnego pracownika ambasady w Ammanie, a ten nazywa się Roger Ferris. Nie potrafił się jednak zmusić, by to wyznać. Za to niemal w jednej chwili stracił zaufanie do Hoffmana. Ledwie zakończył tę rozmowę, wybrał numery Alice Melville. Nie odpowiadała, jakby nie było jej ani w domu, ani w biurze, i miała wyłączoną komórkę. Trudno było wykluczyć, że po prostu odsypiała sylwestra. A może dokądś wyjechała? Może znalazła sobie innego kochanka? Cały nocny przelot do Londynu spędził w narastającym przerażeniu. Naprężył kość do punktu, w którym musiała pęknąć, czemu więc dziwił się teraz, że pękła?

Amman

Na lotnisku Królowej Alii wciąż panowała smępna poświęcony atmosfery, kiedy Ferris wkroczył do sali przylotów późnym popołudniem drugiego stycznia. Oficer straży granicznej ledwie otworzył jego paszport, zerknął na ekran komputera i przystawił pieczęć. W witrynie bezcłowego sklepu wciąż migotała świąteczna reklama, zachęcająca muzułmanów do kupowania alkoholu i papierosów, ale w środku klientów nie było. Nawet portierzy, którzy

zwykle próbowali zarobić parę groszy, oferując przepchnięcie wózka z bagażami choćby o parę metrów, odprowadzili go znudzonymi spojrzeniami. Tymczasem na zewnątrz trwała w najlepsze burza piaskowa. Gdy wyszedł przed terminal, znalazł się niemalże w widmowym, pograżonym w upiornym półmroku świetle. Przejżdżające samochody wyglądały jak widma wyskakujące w ostatniej chwili zza zasłony ceglasczerwonego pyłu. Wystarczyło wziąć jeden głębszy oddech, żeby między zębami nieprzyjemnie zazgrzytały drobiny pustynnego piasku.

Zadzwoił do Alice zaraz po wylądowaniu, lecz nadal nie odbierała, postanowił zatem jechać bezpośrednio na starówkę, do jej mieszkania. Miał własny klucz, a ona często powtarzała, że bardzo lubi niespodzianki. Przez całą drogę daremnie usiłował zachować spokój. Jeśli dokądś wyjechała, mógł na nią poczekać, ugotować obiad, zapalić świece, przygotować łóżko w sypialni. Głęboko wierzył, że wspólnie zamkną dotychczasową znajomość i zaczną wszystko od nowa. Powinno to zająć jakąś godzinę, najwyżej dwie, do tego butelka wina, które pomoże roztopić lody. Bał się jednak, że już w krótkim czasie Alice zacznie wyrażać troskę o reakcję swoich znajomych z pracy i jeszcze bardziej grzmieć na temat stosunków amerykańsko--arabskich. A gdyby udało mu się zażegnać sprzeczkę w tej sprawie, i tak czekała go dyskusja na temat wcześniejszych kłamstw oraz prawdziwej wymowy wykonywanych przez niego obowiązków służbowych.

Wysiadł z taksówki przed jej domem przy ulicy Bas-man. Wcisnął dzwonek, ale nikt nie odpowiedział, toteż otworzył drzwi kluczem i wbiegł po schodach na piętro. Drzwi mieszkania były otwarte i w pierwszej chwili poczuł ulgę, doszedłszy do wniosku, że chyba jest w domu. Pchnął je, robiąc szersze przejście, zajrzał do środka i zawołał. Nie było odpowiedzi. Wszedł do sypialni w nadziei, że ją tam zastanie, potem zajrzał do toalety, nawołując ją po imieniu. Elvis spał zwinięty w kłębek na łóżku, ale poza nim w mieszkaniu nie było żywej duszy. Kiedy spo-

strzegł zamknięte drzwi od łazienki, odniósł wrażenie, że lada moment usłyszy jedną z bluesowych piosenek Joni Mitchell, które Alice tak bardzo lubiła śpiewać w kąpielni. Ale w łazience także jej nie było. Dopiero wtedy zaczął się poważnie denerwować.

Obszedł jeszcze raz całe mieszkanie, zaglądając do wszystkich pomieszczeń, jakby miał podejrzenia, że bawi się z nim w chowanego. I dopiero teraz zwrócił uwagę na pewne rzeczy, które przeoczył. Chodnik w przedpokoju leżał ukosem. Alice bardzo dbała o pierwsze wrażenie gości wchodzących do mieszkania, na pewno nie zostawiłaby go w takiej pozycji. A w saloniku książki na półce stały w nieładzie. Część z nich była zresztą zdjeta i leżała na stoliku, inne upchnięto byle jak, do góry nogami albo grzbietami do ściany. Na stole kuchennym stało na wpół przyrządzone śniadanie, otwarta paczka płatków śniadaniowych przy pustym talerzu, a za nią kartonik z mlekiem. Szybko je powąchał, ale nie zdążyło jeszcze skwaśnieć.

Niemalże przebiegł korytarzykiem do małego pokoju, który Alice traktowała jak gabinet. Szuflady biurka były powysuwane, kilka kartonowych teczek z dokumentami leżało na wierzchu. Zniknął laptop. To odkrycie sprawiło, że ogarnął go wielki strach. Uzmysłowił sobie, co może oznaczać to, że człowiek, który włamał się do mieszkania Alice, wszedł w posiadanie jej komputera wraz ze wszystkimi zapisami na twardym dysku. Jeszcze się łudził, że chodziło o zwykły rabunek, bo przecież Alice mogła wyjechać do biura w niezwykłym pośpiechu, nie zjadłszy śniadania, a następnie włamał się tu złodziej, który splądrował mieszkanie. Z aparatu w kuchni zadzwonił pod numer służbowy Alice, ale w biurze nikt nie odbierał.

Dopiero odwieszając słuchawkę, spostrzegł drobne ślady krwi na podłodze przy szafce kuchennej i z jego piersi

wyrwał się ledwie słyszalny jęk, stłumiony okrzyk bólu. Kolejne ślady krwi odkrył przy stole, wreszcie krople prowadzące do wyjścia na korytarz. Matko Boska! Co tu się stało?! Ledwie

zdołał nad sobą zapanować. Najgorsze, co mógł sobie wyobrazić, co do tej pory postrzegał wyłącznie jako rozmytą plamkę na horyzoncie, przybrało nagle realne kształty. Usiadł na kanapie, żeby zebrać myśli. Tylko bez paniki, nakazywał sobie w duchu. Upewnij się, czy na pewno zaginęła. Zadzwoił pod numer centrali Rady Pomocy dla Bliskiego Wschodu i poprosił Hodę, Palestynkę będącą asystentką Alice. W jej głosie także wyczuł strach. Alice w ogóle nie pojawiła się dzisiaj w pracy. Wszyscy w biurze się o nią martwili, bo to zupełnie do niej niepodobne. Podejrzewali dotąd, że wyjechała z miasta ze swoim nowym amerykańskim przyjacielem.

- Ależ to ja jestem tym nowym amerykańskim przyjacielem - odparł z naciskiem, ledwie nad sobą panując.

Powiedział Hodzie, żeby nie zawiadamiała policji, tylko czekała spokojnie na następny telefon od niego. Musiał sobie wszystko na spokojnie przemyśleć. Tylko według jakich kryteriów? Swoich własnych czy Hoffmana?

Ale napięcie nie pozwalało mu się skoncentrować. Przecież to on dopuścił do tego, żeby Alice została porwana. Ktoś włamał się do jej mieszkania i zabrał ją stąd. Usiłował myśleć racjonalnie. Czy powinien zawiadomić najpierw służby ochrony ambasady amerykańskiej, czy też jordańską policję? Co nakazywała w takich sytuacjach standardowa procedura? A może lepiej było ściągnąć swojego zastępcę z CIA wraz z agentem FBI oddelegowanym do ambasady, żeby zabezpieczyli ślady włamania, zanim zatrze je miejscowa policja? Czy też zadzwonić do Haniego i poprosić o nadzwyczajną pomoc? W efekcie zrobił wszystkie te trzy rzeczy. Ani trochę nie dbał już

o bezpieczeństwo prowadzonej przez siebie operacji terenowej, zmartwienia z nią związane zniknęły wraz ze zniknięciem Alice. Jedynym błędem, jaki mógłby teraz popełnić, było podjęcie działań niewystarczających do tego, żeby ją uratować.

Pierwszy zjawił się na miejscu zespół dochodzeniowy z ambasady. Agent FBI pospiesznie obszedł całe mieszkanie, pobrał kilka próbek krwi z podłogi i zabezpieczył odciski palców w kuchni, gdzie prawdopodobnie doszło do aktu przemocy. Ferris przez ten czas siedział na kanapie, z twarzą ukrytą w dłoniach, czekając, aż tamci zgromadzą dowody porwania. Szef sekcji operacyjnej, który go zastępował podczas jego nieobecności, usiał obok. Był starszy od Ferrisa i czasami traktował go jak szczeniaka, ale dzisiaj zdobył się na wyrozumiałość.

- Chodzi o twoją dziewczynę, prawda? Co mogę dla ciebie zrobić? Wystarczy, że poprosisz. Nieważne, co mówią o takich sytuacjach regulaminy.

- Sam nie wiem - mruknął Ferris. - Boję się, że stało jej się coś naprawdę złego.

- Chcesz o tym porozmawiać?

- Nie teraz. Sprawa jest zbyt skomplikowana. Za mało jeszcze wiemy. Podejrzewam jednak, że została porwana.

- Hoffman chce z tobą rozmawiać. Zadzwoiłem do niego zaraz po odebraniu wiadomości od ciebie. Prosił, żebyś zadzwonił do niego z aparatu szyfrującego w ambasadzie.

Ferris energicznie pokręcił głową.

- Nie teraz. Najpierw muszę pomyśleć.

- Jak sobie życzysz. Ale stary będzie wściekły. - Po przyjacielsku położył mu dłoń na ramieniu. Najwyraźniej

zamierzał powiedzieć coś jeszcze, ale ugryzł się w język. W końcu Ferris miał rację, za mało jeszcze wiedzieli.

Hani Salaam zjawił się kilka minut później ze swoją ekipą śledczą. Najpierw zabezpieczono miejsce zdarzenia, po czym technicy w gumowych rękawiczkach ostrożnie przystąpili do pracy. Przez krótkofalówki popłynęły komunikaty z wezwaniami o dodatkową pomoc. Z tego, co docierało do Ferrisa, jordańska policja już organizowała blokady i punkty kontrolne na drogach, przekazując sobie rysopis poszukiwanej Amerykanki. Za oknem pojawili się żołnierze w granatowych mundurach jordańskich sił specjalnych.

Siedział wciśnięty w najdalszy kąt kanapy, między lustrem a wybujałą chińską różą, kiedy Hani podszedł do niego i po ojcowsku ucałował w oba policzki. W jego spojrzeniu widać było głębokie zatroskanie, na co szef miejscowego wywiadu pozwolił sobie chyba po raz pierwszy od początku ich znajomości. Ferrisowi łzy napłynęły do oczu, toteż pospiesznie ukrył twarz na ramieniu Jordańczyka, a Hani delikatnie poklepał go po plecach, jakby pocieszał dziecko.

- Wszystko będzie dobrze - powtórzył kilka razy.

Ferris długo siedział w milczeniu, z zamkniętymi oczami, próbując wymyślić jakiś sposób działania. Kiedy wreszcie otworzył oczy, poprosił Haniego, żeby poszedł z nim do sypialni, gdzie będą mogli porozmawiać na osobności. Jego zastępca i agent FBI także podnieśli się z miejsc, ale ruchem ręki nakazał im zostać w saloniku. Zamknął drzwi i pociągnął Jordańczyka w głąb pokoju. Pospiesznie sięgnął po słuchawkę telefonu stojącego na nocnym stoliku, odłączył ją od aparatu, a po krótkim namyśle wyciągnął także wtyczkę z gniazdka telefonicznego w ścianie. Wolał, żeby nikt nie podsłuchał tego, co ma do powiedzenia. Usiadł na skraju łóżka i ruchem ręki dał znak Haniemu, żeby zajął miejsce obok niego.

- Potrzebuję pomocy - zaczął lekko roztrzęsionym głosem. - Mogę na pana liczyć? Chciałbym to wiedzieć, zanim zacznę mówić.

Jordańczyk przytaknął ruchem głowy. Co było dla niego niezbyt typowe, zachowywał śmiertelną powagę.

- Myślę, że wiem, co się stało - powiedział Ferris. I jestem przerażony.

- Czego się boisz? Na pewno ją znajdziemy, jeśli nam pomożesz.

- Myślę, że to robota Al-Kaidy. Porwali ją. Hani z niedowierzaniem pokręcił głową.

- Dlaczego mieliby ją porwać? Jest nie tylko twoją przyjaciółką, ale pracuje społecznie, jeśli się nie mylę, działa na rzecz dzieci palestyńskich. Mam rację? Więc dlaczego ktoś chciałby ją porwać?

Ferris jeszcze się obawiał wkroczenia na zakazane terytorium. Powinien był najpierw zadzwonić do Hoffmana i przedstawić mu telefonicznie swój plan. Kiedy jednak zaczął rozważać regulaminy, wytyczne, wskazania i zakazy obowiązujące w CIA, poczuł wstręt do samego siebie. Właśnie przez tego rodzaju rzeczy Alice znalazła się w śmiertelnym zagrożeniu. Musiał rozmówić się szczerze z Hanim i nakłonić go do działania, póki nie było za późno.

- Proszę mnie uważnie wysłuchać i ewentualnie zapomnieć o wszystkim, co nie pomoże Alice. Proszę się wczuć w rolę mojego najlepszego przyjaciela. Mogę na to liczyć?

- Oczywiście, mój drogi. Zawsze byłem twoim przyjacielem. Nawet wtedy, gdy pozostawałeś po drugiej stronie barykady.

- W porządku. A więc przyczyną porwania Alice jest jej znajomość z człowiekiem, którego rozpracowujemy. Mówię o tym jordańskim architekcie, Omarze Sadikim. Hani uniósł brwi ze zdumienia.

- Ona go zna? Przecież podejrzewamy Sadikiego o zorganizowanie zamachu bombowego w Incirliku. A poza tym, jak wy go rozpracowujecie? Jak to w ogóle możliwe, mój drogi? Chcesz mi powiedzieć, że to także wasz agent?

- Proszę nie pytać. Teraz nie mogę tego wyjaśnić. Jestem jednak pewien, że nagłe zniknięcie Sadikiego w Nowy Rok wcale nie oznacza jego ucieczki. To bojownicy Al-Kaidy musieli go pojmać, zapewne po to, by się dowiedzieć, ile naprawdę wie. Będą usiłowali wymusić na nim przyznanie się do powiązań ze Stanami Zjednoczonymi. Nie dojrzą w tym naszej ręki, bo ta jest zbyt starannie ukryta, ale na pewno się dowiedzą, że jest on zaprzyjaźniony z niejaką Alice Melville. Spotykali się wielokrotnie przy różnych okazjach dobrotczyńskich.

- A niech mnie... - syknął nagle Jordańczyk. - Bardzo mi przykro.

Chyba nie mógł powiedzieć niczego gorszego, gdyż to jedynie potwierdziło obawy Ferrisa, że Alice znalazła się w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Hani namyślał się chwilę, po czym zapytał:

- Czy ta Alice też pracuje dla was? Wypełnia jakieś tajne zadanie?

- Skądże, na Boga! Nienawidzi CIA. Pracuje tylko dla swojej organizacji, niesie ludziom pomoc. To nie jest przykrywka dla działalności wywiadowczej. Alice jest tylko i wyłącznie tym, za kogo się podaje.

- Ale ktoś mógł nabrać podejrzeń, że ona pracuje dla agencji?

Ferris spojrzał Haniemu w oczy.

- Tak.

- A jedynym powodem tych podejrzeń miałyby być jej znajomość z Sadikim? No i z tobą, rzecz jasna?

- Zgadza się - przyznał ledwie słyszalnie, znów czując przyływ rozgoryczenia i żalu.

- Więc musisz ją jak najszybciej odnaleźć, zanim zastosują wobec niej jakieś nadzwyczajne metody zdobywania informacji.

Te słowa wstrząsnęły Ferrisem. Obaj doskonale rozumieli, jakie mogą być te „nadzwyczajne metody”. Chwycił Jordańczyka za rękę i rzekł błagalnym tonem:

- Proszę, Hani, pomóż mi. Nie zdołam jej odzyskać bez twojej pomocy.

- I nie jest to żadna sztuczka?

Pytanie zabrzmiało brutalnie, ale wzięwszy pod uwagę to, co się stało przed kilkoma miesiącami, miało uzasadnienie. Nawet trudno się było dziwić, że Hani wciąż jest rozgoryczony. Ferris pochylił się i ukrył twarz w dłoniach, jakby chciał zademonstrować bezmiar swojej bezsilności.

- Wybacz mi, Roger. Przepraszam, że o to spytałem. -Jordańczyk ponownie objął go za ramiona. - Oczywiście, że ci pomogę. Mamy swoich głęboko zakamuflowanych informatorów w sieci Al-Kaidy, z którymi można się szybko skontaktować. Korzystamy z nich jedynie w wyjątkowych sytuacjach, ale ta sytuacja jest wyjątkowa. Powiedzą mi, czy Alice została przez nich schwytana. Tego jestem pewien. Nie wiem tylko, czy będą znali miejsce jej przetrzymywania. Pozwól, że od razu porozmawiam z moimi ludźmi, żeby natychmiast zaczęli poszukiwania.

Podniósł się i dźwignął Ferrisa na nogi.

- Chodź. Wstawaj. Bóg cię srodze doświadcza. On ma moc, a ty jesteś jego ruwolnikiem. Abd-Allah. Niewolnik Boga. Tak się u nas mówi. Nie możesz uciec przed swoim losem.

Możesz mieć tylko ufność i wiarę. Więc chodź ze

mną i porozmawiaj z moimi ludźmi. Natychmiast zaczniemy poszukiwania. Musisz być silny. Jeśli ludzie zauważą, że jesteś słaby, będą się tylko bardziej bali.

Ferris podniósł się z łóżka, poszedł do łazienki, obmył twarz i wyszedł na spotkanie grupki mężczyzn czekających w saloniku.

31

Amman I Waszyngton

W nocy wiatr jeszcze przybrał na sile, burza piaskowa rozszalała się na dobre. Był to gorący wiatr z południa, z Arabii Saudyjskiej i Synaju, niosący gigantyczną chmurę pustynnego piasku, rozciągającą się na przestrzeni setek kilometrów. Tego wieczoru wszelki ruch w Ammanie prawie zamarł. Wszyscy kierowcy jeździli z włączonymi migaczami, a mimo to inne auta spostrzegano dopiero w ostatniej chwili. Na głównych ulicach i obwodnicy szeregi pojazdów uwieczonych w burzy przypominały flotę okrętów zakotwiczonych w gęstej mgłę. Pieszycy było jeszcze mniej, ludzie przemykali nisko przygarbieni, z głowami szczelnie zakrytymi, zerkając przez wąskie szczeliny w zawojach kraciastych kaffii. Nie było mowy, żeby cokolwiek mogło latać. Nastąpiła pogoda wymarzona dla porywaczy, bo w tym zapyłonym rudobrazowym świecie można było ukryć niemal wszystko.

Większą część nocy Ferris spędził w ambasadzie, czekając na wiadomości. Jeszcze wieczorem, kiedy wszyscy wreszcie wyszli z mieszkania Alice, zadzwonił z aparatu szyfrującego do Hoffmana. Szef zareagował wściekłością na powstałe opóźnienie, ale gdy zrozumiał, w jakim stanie

ducha jest Ferris, natychmiast spuścił z tonu. Jednakże nawet nie próbował przeproszać.

Oznajmił, że agencja uruchomiła wszelkie dostępne siły i środki w celu zlokalizowania Alice Melville. Cały problem polegał na tym, że musieli prowadzić poszukiwania w taki sposób, aby nie dać porywaczom do zrozumienia, że ich zdobycz jest, jak się wyraził, „osobą interesującą”.

- Znajdziemy ją - orzekł na koniec.

Tym pewnym tonem chciał dodać Ferrisowi otuchy, lecz te słowa jakimś dziwnym sposobem wpędziły go tylko w jeszcze głębszą desperację. Aż musiał na chwilę odłożyć słuchawkę, nie zważając na dolatujące z niej gniewne okrzyki: „Halo! Jesteś tam jeszcze?! Słyszysz mnie?!”. Kiedy się w końcu odezwał, szef wydziału kazał mu się przespać. Ferris obiecał, że to zrobi, ale świetnie wiedział, że jeśli się położy na kanapie w gabinecie, wyobraźnia nie przestanie mu podsuwać widoku Alice związanej i zakneblowanej, ściśniętej w bagażniku samochodu albo siedzącej w kącie zatechłej piwnicy, czy nawet gorzej, scen z jej przesłuchania, z rękoma wykręcanymi do tyłu, wyłamywanymi z barków...

- Powinieneś być mi powiedzieć o Alice, kolego. Zwłaszcza o tym, że znała Sadikiego.

Umieścilibyśmy ją na pewien czas w zamrażarce.

Nie odpowiedział. Zdawał sobie sprawę, że to kłamstwo. Hoffman nawet palcem by nie kiwnął. Dopiero teraz, po fakcie, próbował się jakoś tłumaczyć. Zresztą Ferris wolał milczeć także dlatego, że głos miał silnie roztrzęsiony i ledwie nad sobą panował.

- Posłuchaj mnie - rzekł Hoffman. - Teraz najważniejsze jest to, żeby sprawy potoczyły się normalnym torem. Ambasada musi ogłosić, że Alice zaginęła. Ktoś powinien się skontaktować z tą agencją, w której pracowała, Radą

Bliskowschodnią czy jak jej tam, i zmusić tych ludzi, by wystosowali oficjalną skargę.

Oczywiście nie możesz to być ty, na miłość boską. Powiedz rzecznikowi prasowemu ambasady, żeby się tym zajął. Powinien się też skontaktować z jordańskimi dziennikarzami i przedstawić im krótki materiał na temat Alice. Byłoby nieźle, gdyby jej szef z fundacji także skontaktował się z dziennikarzami, może nawet reporterami telewizji Al Jazeera i Al-Arabiya, żeby wytłumaczyć wszystkim, że porwana kobieta poświęcała cały swój czas na pomaganie arabskim dzieciom. To powinno się przyczynić do jej uwolnienia, rozumiesz? Prawda. W końcu CIA nie miało z nią w ogóle nic wspólnego. Rozmawiałem już z Departamentem Stanu, ambasador obiecał skontaktować się z paroma prominentnymi Palestyńczykami i podjąć próbę uruchomienia prywatnych kanałów. Ma powtarzać, że nie zapłacimy żadnego okupu, ale jest jasne, że to zrobimy. Wszyscy to wiedzą. Trzeba tylko cierpliwie poczekać.

Ferris zdołał wymamrotać jedynie niewyraźne potwierdzenie. Cieszył się nawet, że Hoffman potrafił z zimną krwią podyktować mu niezbędne działania. Wystosowano oficjalne

komunikaty, nawiązywano prywatne kontakty. Następnego ranka sprawa uprowadzenia Alice pojawiła się na pierwszych stronach gazet zarówno w Jordanii, jak i w Stanach

Zjednoczonych. Większość artykułów opierała się na materiale przygotowanym przez szefa Alice, dyrektora Rady Pomocy Humanitarnej dla Bliskiego Wschodu, według którego Alice Mellville była „najlepszą przyjaciółką, jaką Arabowie mogliby sobie wymarzyć”, a jej

porwanie jest „straszliwą pomyłką”. Tylko Agence France-Presse podała, że Alice przyjaźniła się blisko z pracownikiem pionu politycznego ambasady Stanów Zjednoczonych. Powołując się na anonimowego „dyplomatę

z Zachodu”, którym musiał być jeden z pracowników ambasady francuskiej w Ammanie,

agencja nadmieniła, że właśnie bliska znajomość z tymże pracownikiem ambasady amerykańskiej mogła być jedną z przyczyn porwania.

Ludzie Haniego działali bardzo skutecznie, a biorąc pod uwagę okoliczności, także stosunkowo szybko. Próbkę krwi znalezione z podłogi oraz włosy zebrane ze szczotki przekazano do badań porównawczych DNA. Technik laboratorium ze szpitala Króla Husseina nie wyszedł z budynku, dopóki nie zameldował o wynikach. Była to krew Alice. W mieszkaniu zebrano wiele odcisków palców, okazało się jednak, że większość z nich należała do Rogera Ferrisa. Liczyli na to, że użyteczne odciski znajdują się w kuchni, gdzie ewidentnie Alice została pojmana, ale już wstępne oględziny skłoniły agenta FBI do wniosku, że porywacze działali w rękawiczkach. Ślady butów na linoleum wskazywały, że napastników było kilku. Udało im się otworzyć wytrychem zarówno zamek na dole, jak i w drzwiach mieszkania w bardzo umiejętny sposób, bez pozostawiania wyraźnych śladów. Zatem mieli do czynienia z wprawnymi zawodowcami, a nie z przypadkowymi rabusiami. Ferris nie umiał rozsądzić, czy to lepiej, czy gorzej dla Alice.

Następnego ranka Hani przyjechał do niego do ambasady. Było to coś niezwykłego, gdyż Basza zwykle wzywał ludzi do siebie. Tym razem jednak postąpił inaczej. Spotkali się w zabezpieczonej przed podsłuchem sali konferencyjnej, w której zawsze prowadzono rozmowy z łącznikami jordańskiego wywiadu. Ferris wyglądał jak wrak człowieka. Skóra, dotychczas jędrna i śniada, była odbarwiona i obwisła, a wielkie worki pod oczami wyglądały, jakby pomalował je sobie węglem drzewnym. Jego twarz wyrażała nieznośny stres i cierpienie. Oczy, które dotąd błyszczały żywym zainteresowaniem, teraz przypominały otchłanie bezdennych studni.

Szef wywiadu nie tylko serdecznie uściskał Ferrisa, ale jeszcze pocałował go trzykrotnie w policzki i raz w czoło. Doskonale rozumiał cierpienia, jakie przeżywa ten młody człowiek, ale ulżyć im mogło tylko odnalezienie całej i zdrowej Alice. Jak zawsze - czy to z wrodzonej grzeczności, czy też z szacunku dla Amerykanina - Hani próbował zacząć spotkanie od luźnej wymiany zdań, lecz Ferris błagalnym gestem uściśnął mu dłoń, jakby chciał dać do zrozumienia, że bez reszty oddaje się pod jego opiekę.

- Powiedz mi, czego się dowiedziałeś, niezależnie od tego, jak złe są te wieści.

- Skontaktowaliśmy się z naszym informatorem w organizacji, który mieszka obecnie w Syrii, ale wie wszystko o operacjach na terenie Jordanii.

- Co wam powiedział? - wtrącił niecierpliwie Ferris z odrobiną nadziei w głosie. Nie chciał być niegrzeczny, ale po prostu nie mógł się doczekać na pierwszą dobrą wiadomość.

- Potwierdził twoje podejrzenia. Przyznał, że amerykańska kobieta została uprowadzona w Ammanie. Obserwowali ją od pewnego czasu. Porwali ją, żeby zrozumieć jej powiązania z Omarem Sadikim. Ten zaś pozostaje dla nich wielką zagadką. Tymczasem dla nich to bardzo ważne. Pojmali ją wczoraj rano i pospiesznie wywieźli z miasta, zamkniętą w bagażniku samochodu. To by wskazywało, że akcję zaplanowano na najwyższych szczeblach. Człowiek, który gorączkowo usiłuje zdobyć informacje, musi być bardzo wysoko postawiony. To dobra wiadomość.

- Dlaczego? - Ferris spojrzał mu desperacko w oczy.

- Bo wielcy ludzie są dużo ostrożniejsi od maluczkich. Nie są bandytami. Zależy im tylko na informacjach. Nie skrzywdzą więc Alice bez powodu. Niech to zatem ulży twoim troskom, przyjacielu. Wszystko będzie dobrze.

Ferris pospiesznie otarł wilgotne oczy mankietem koszuli. Poczuli się zakłopotany, że nie umie zapanować nad łzami.

- Gdzie ona jest? - zapytał. - Dowiedzieliście się tego?

- Nie umiem powiedzieć. Nasz informator nie zdradził tego. Podejrzewam, że sam nie wie.

Kiedy próbowaliśmy go naciskać, dodał tylko, że jego zdaniem kobieta jest w Syrii. Wygląda na to, że przewieźli ją przez granicę ostatniej nocy, w czasie burzy piaskowej. Nie mogli jej przetrzymać w Jordanii, to byłoby dla nich zbyt niebezpieczne. Dlatego uważam, że przemycili ją przez granicę do Syrii, by tam w spokoju przesłuchać.

- A co z nią zrobią po przesłuchaniu?

Hani pochylił się w jego stronę i odparł cicho, łagodnym tonem:

- Wypuszczą ją. Kiedy się przekonają, że nie może im udzielić tych informacji, na których im zależy, uwolnią ją i podejmą próbę zdobycia informacji innymi sposobami. Wiem, że ci ludzie to zabójcy, ale nie są idiotami. O tym zdążyliśmy się już przekonać.

- Więc co ja mam robić? - zapytał Ferris w przyływie nieznosnego poczucia bezsilności. Czuł się jak rodzic czuwający przy łóżku śmiertelnie chorego dziecka. Bez przerwy bił się z myślą: „Dlaczego porwali ją, a nie mnie. Przecież powinni wybrać mnie. To ja powinienem cierpieć”. Nie umiał sobie odpowiedzieć na pytanie, dlaczego tragedia spotkała niewinną osobę, w dodatku za coś, do czego odniosłaby się ze skrajną pogardą, gdyby знаła prawdę. Hani zjrzał mu głęboko w oczy i odparł miękko, tonem z pozoru pełnym współczucia, który jedynie nasilił niepokój Ferrisa:

- Na razie nic nie możesz zrobić, mój drogi. Musisz czekać.

Szef placówki CIA w Wiedniu ochrzcił go mianem „No-kii Sulejmana”. Oczywiście chodziło o telefon znaleziony przez miejscową policję w pustym mieszkaniu po tym, jak Agencja Bezpieczeństwa Narodowego przechwyciła rozmowę, w której uczestniczył rozpoznany po głosie Syryjczyk, organizator zamachów bombowych, najwyraźniej zaniepokojony aferą wokół śmierci Harry'ego Meekera w Pakistanie. Szef wywiadu austriackiego przekazał aparat łącznikowi agencji, a ten pierwszym samolotem wysłał go do Langley. Technicy Hoffmana zbadali go szczegółowo, ale nie natrafili na nic użytecznego. Okazało się, że karta SIM została wykorzystana tylko do tej jednej rozmowy, jaką udało im się przechwycić. Niemniej Hoffman kazał na wszelki wypadek pilnować, by aparat był naładowany.

I czwartego stycznia „Nokia Sulejmana” zadzwoniła, krótko, tylko raz. Nie było to wywołanie, lecz sygnał odebranej wiadomości tekstowej. Gdy szef wydziału bliskowschodniego ujrzał ją na ekranie, zdębiał, a po chwili się zmartwił. Odnosił takie wrażenie, jakby rura kanalizacyjna pękła w newralgicznym miejscu i wszystkie nieczystości wylały się do jego gabinetu. Wiadomość brzmiała bowiem: „Panie Ferris, proszę zadzwonić do panny Alice pod numer 963-5555-8771”. Był to numer z sieci komórkowej w Syrii. Agencji Bezpieczeństwa Narodowego dość szybko udało się ustalić, gdzie i kiedy została kupiona karta SIM należąca do sieci SyriaTel, nie zdobyto jednak żadnych wiadomości o nabywcy. Także numer telefonu, z którego wysłano wiadomość, okazał się nabytkiem jednorazowym i został wyłączony z sieci zaraz po jej wysłaniu. Hoffman zastanawiał się przez dłuższy czas, co z tym fantem zrobić, aż w końcu zdecydował, że nie ma wyboru. Zadzwonił do Ferrisa i podyktował mu odebraną wiadomość.

32

Amman / Damaszek

Kiedy Hoffman odczytywał krótki tekst, w głowie Ferrisa kołatała się tylko jedna myśl: To oznacza, że Alice żyje. Porywacze wiedzieli, że coś ich łączy, i chcieli prawdopodobnie dokonać wymiany, uwolnić ją w nadziei pojmania jej przyjaciela z CIA. Zatem musieli już zrozumieć, że ona o niczym nie wie, dlatego postanowili wykorzystać ją jako przynętę na niego. Niemniej, by ocalić Alice, ktoś musiał zająć jej miejsce. Ferris zapisał podyktowany przez szefa numer i zapatrzył się na niego. Mimo że w jego gabinecie było dość chłodno, na czoło wystąpiły mu krople potu.

- A więc żyje - mruknął po chwili.

- Prawdopodobnie żyje - przytaknął ostrożnie Hoffman. - Przynajmniej porywacze chcą, byśmy tak myśleli. To dobra strona tej sytuacji.

- A jaka jest zła?

- Taka, że wiedzą o tobie. Wiedzą, że pracujesz dla agencji. Przesłali ci wiadomość pod numer aparatu komórkowego Sulejmana, gdyż byli pewni, że dostał się w nasze ręce. Z tego należy wyciągnąć dwa wnioski. Pierwszy taki, że ludzie, którzy porwali Alice, stoją wysoko w hierarchii organizacji, są blisko Sulejmana. I drugie, że dowiedzieli się wystarczająco dużo od panny Alice, by się domyślić, co was łączy. A to świadczy jednoznacznie, że ją przesłuchiwali.

Zimny dreszcz przeszedł Ferrisowi po plecach. Jego wyobraźnia natychmiast podsunęła mu szereg możliwych scenariuszy, jeden czarniejszy od drugiego.

- Muszę zadzwonić pod ten numer - rzekł. - Muszę z nią porozmawiać.

- Zgadzam się, rzeczywiście powinieneś zadzwonić. Początkowo sądziłem, że to kiepski pomysł, bo mamy do czynienia z tanim chwytem, którego celem jest zwabienie cię w pułapkę. Ale potem uznałem, że nie mamy innego wyjścia. Musimy grać takimi kartami, jakie dostaliśmy. Wcześniej jednak trzeba ustalić parę rzeczy. Jasne? Żeby wszystko było przygotowane, jak należy. To może być nasza jedyna szansa, przede wszystkim, by uwolnić Alice, ale także by dobrać się do Sulejmana. Mamy więc niepowtarzalną okazję. Trzeba ją jak najlepiej wykorzystać.

- O czym ty mówisz? Wykorzystać niepowtarzalną okazję? W tej chwili interesuje mnie wyłącznie Alice.

- Świetnie o tym wiem. Na twoim miejscu też nie interesowałbym się niczym innym. Ale otwierają się przed nami spore możliwości. Świetnie rozumiem, że możesz sobie jeszcze tego nie uświadamiać, ale przecież nasza operacja wciąż trwa. W obozie wroga panuje zamieszanie, ludzie nie rozumieją, co się dzieje. Przecież dlatego pojмали Sadikiego. A później także Alice. I tylko z tego powodu przysłali nam tę dziwną wiadomość. Oni chwilowo nie mają pojęcia, gdzie jest góra, a gdzie dół. Powinniśmy to wykorzystać.

- Ale mnie to już nie obchodzi. Pragnę tylko uratować Alice. Jeśli będziemy zwlekać, mogą ją zabić. - Ferris

urwał, spodziewając się potwierdzenia, ale Hoffman milczał. Syknął więc: - Na miłość boską, naprawdę nie rozumiesz? Przecież to ja zgotowałem jej ten koszmar!

- Uspokój się, Roger. Zrobimy wszystko, żeby ją uratować. Wszystko poza jednym. Nie przerwiemy naszej operacji. Doskonale rozumiem, czujesz się winny, że znalazła się w niebezpieczeństwie. Zresztą nawet powinieneś się czuć winny. Popełniłeś wielki błąd, nie informując mnie, że związałeś się z kobietą, która dobrze zna Sadikiego. To naraziło nie tylko ją, ale i nas wszystkich. Jednakże ani trochę nie polepszysz teraz sytuacji, jeśli zaczniesz działać na oślep. Stawką jest ludzkie życie. Do diabła, chodzi nawet o życie milionów. Jesteśmy w stanie wojny, zatem nie wolno ci myśleć, że to wyłącznie sprawa twoja i tej dziewczyny. Jasne?

Ferris czuł pulsowanie w głowie. Nie odpowiedział. W słuchawce narastała tak napięta cisza, aż można było odnieść wrażenie, że zaczyna być trzecim uczestnikiem rozmowy. Zaczął więc nasłuchiwać, ale już nie słów Hoffmana, tylko tego trzeciego głosu. I nagle wszystko stało się dla niego jasne.

- Tak - odparł. - Wszystko jest jasne. Możesz na mnie liczyć.

- Dobry chłopiec. Wiem, jakie to dla ciebie stresujące, ale zobaczysz, wszystko się uda. Nie tylko odzyskasz dziewczynę, ale jeszcze zdobędziesz medal.

- Medal - powtórzył odruchowo Ferris, gdyż myślami był już bardzo daleko od Ammanu. Starannie złożył kartkę, na której zapisał numer komórki z syryjskiej sieci, i schował ją do portfela. Powiedział swemu zastępcy, że jedzie do domu, chce wziąć prysznic i trochę odpocząć. Następnie wyszedł z ambasady i pojechał do Generalnego Dyrektoriatu Służb Wywiadowczych. Nie był umówiony, toteż przywołany przez wartownika oficer dyżurny popatrzył na niego ze zdziwieniem, ale Ferris oznajmił, że musi się bezzwłocznie

zobaczyć z Hanim Baszą. Jordańczyk grzecznie poprosił, aby zaczekał, ale już po kilku minutach wprowadził go do rozległego gabinetu Haniego.

Gospodarz obrzucił go uważnym spojrzeniem. Zamiast uścisku i pocałunku, wyciągnął tylko rękę na powitanie, ale i ten gest wydał się Ferrisowi w takiej chwili dosyć intymny.

- Wyglądasz okropnie, Roger - powiedział Hani. -Bardzo mi przykro z powodu tego wszystkiego, co cię spotkało.

- Dziękuję za troskę, ale nie o mnie trzeba się teraz martwić. Bo nie o mnie tu chodzi. Może faktycznie stanowią problem, ale chcę być jego rozwiązaniem. Właśnie z tego powodu przyjechałem.

Hani obrzucił go jeszcze bardziej podejrzliwym spojrzeniem, jakby zaczynał się martwić o stan jego umysłu.

- O czym ty mówisz, habibi? Trudno mi pojąć sens twoich słów.

Ale Ferris dokładnie wiedział, o czym mówi. W chwili absolutnej klarowności umysłu stało się to dla niego oczywiste. Miał wrażenie, jakby ujrzał cały obraz w nieco innym świetle, jakby elementy układanki same zmieniły położenie i utworzyły zupełnie nowy wzór, odmienny od wcześniejszego, ale równie sugestywny.

- Ustalmy pewne zasady - rzekł. - Do tej rozmowy nigdy nie doszło. Mówię teraz wyłącznie we własnym imieniu, a nie jako przedstawiciel ambasady Stanów Zjednoczonych. Nie powiadomisz nikogo z agencji o tej wizycie

i nie zdradzisz, o czym rozmawialiśmy. Pod żadnym pozorem. Zgoda?

- To dość niezwykle zasady. Może i będę skłonny na nie przystać. Na razie za mało jeszcze wiem.

- „Może” tu nie wystarczy. Muszę usłyszeć „tak” albo „nie”. To, co zamierzam, nie przyniesie niczego złego Jordanii, a może zadziałać na jej korzyść. A ty masz tę przewagę, że wiedząc, do czego zmierzam, możesz według własnej woli wykorzystać tę wiedzę. To mnie już nie obchodzi. Potrzebuję jednak stanowczego zapewnienia, że dasz mi ochronę.

Hani przekrzywił lekko głowę na ramię i przypalił papierosa, zastanawiając się nad odpowiedzią. Spoglądał na Ferrisa takim wzrokiem, jakby szacował jego zdrowy rozsądek. Kilkakrotnie zaciągnął się głęboko dymem, po czym lekko uśmiechnięty, jakby zadowolony z siebie, zaczął:

- Mój drogi, zawsze powtarzałem, że jesteś jednym z nas. A to oznacza, że stawiasz ludzi ponad rzeczami, a własny honor ponad wszystkim. Zdawało mi się, że pod tym względem cię znam, ale nie byłem pewien aż do tej chwili. Dlatego zgadzam się na twoje warunki.

Oczywiście będę strzegł tajemnicy naszej rozmowy. Wszystko, co zostanie tu powiedziane, nie wyjdzie poza ten pokój. Musisz mi jednak dokładniej określić, czego żadasz.

Ferris przysunął się do niego. Na ile się orientował, agencja nie założyła dotąd podsłuchu w gabinecie Haniego, ale przecież nie wiedział o wielu rzeczach, wołał więc zachować ostrożność.

- Możesz sprawić, żebym zniknął? Żeby nikt nie mógł mnie odnaleźć? Mam przede wszystkim na myśli przedstawicieli władz amerykańskich. A potem, w ściślejszej tajemnicy, przerzucić mnie do Syrii?

- Pewnie tak. Dla nas to nie takie trudne. Kontrolujemy tę przestrzeń. Nadal jednak nie wiem, co chcesz osiągnąć.

- Chcę się skontaktować z ludźmi, którzy porwali Alice Melville. Chcę im zaoferować siebie w zamian za jej uwolnienie. Ona jest im niepotrzebna. Zależy im na mnie.

- Wallah! - Hani rozłożył szeroko ręce. - Czyś ty zwariował, mój przyjacielu?

- Nie. Ściśle rzecz biorąc, właśnie odzyskałem zdrowy rozsądek. To wcześniej byłem szalony.

- Jak zamierzasz się z nimi skontaktować? Al-Kaida nie zamieszcza ogłoszeń na żółtych stronach gazet. Nie tak łatwo znaleźć tych ludzi. Nawet ja mam z tym kłopoty.

- Sami skontaktowali się z nami. Przysłali wiadomość adresowaną do mnie, jakoby w imieniu Alice, z prośbą, żebym zadzwonił pod numer telefonu komórkowego w sieci syryjskiej. Hoffman chce, żebym zaczekał, bo ma nadzieję, że uda mu się coś wykombinować, znajdzie jakiś haczyk, który pozwoli mu zidentyfikować tych ludzi. Ale jego rozgrywki są głównie warte. Wiesz o tym lepiej ode mnie. Tymi wszystkimi matactwami oszukujemy tylko sami siebie.

- Ale to bardzo niebezpieczne, Roger. Znasz zbyt wiele sekretów. Będą chcieli je od ciebie wyciągnąć. Nie będzie to... przyjemne.

Ferris musnął palcami kieszeń, w której miał pudełeczko z mostkiem zawierającym śmiertelną truciznę. Ostatnio w ogóle się z nim nie rozstawał, choć nadal nie umiał sobie wyobrazić, że mógłby z niego skorzystać.

- Dam sobie radę. To jedyny sposób, żeby przywrócić jej wolność. Bo przecież nie wypuszczą jej, dopóki nie będą mieli pewności, że w zamian zyskają mnie. To chyba oczywiste, prawda? Hoffman nigdy mi na to nie pozwoli, prędzej by dopuścił, żeby Alice zginęła. Dlatego nie mam

wyboru. Muszę to zrobić. I zamierzam to zrobić, niezależnie od twojej decyzji. Liczę jednak na twoją pomoc. Gdybym ją otrzymał, wzrosłyby szanse na uratowanie Alice.

Hani milczał. Nie należał do ludzi, którzy rzucają obietnice na wiatr. Ferris ujął jego rękę i uściśnął ją w obu dłoniach. Był gotów klęknąć i ucałować dłoń gospodarza, gdyby to tylko miało pomóc jego sprawie.

- Proszę, pomóż mi - dodał. - Błagam cię, abyś zechciał mi pomóc.

Hani spojrzał na niego i uśmiechnął się lekko. Trudno było ocenić, co może oznaczać ów tajemniczy, ledwie dostrzegalny uśmieszek na jego wargach.

- Dobrze, mój drogi. Oczywiście pomogę ci. Jesteś odważnym człowiekiem, skoro chcesz się poświęcić dla ratowania kobiety, którą kochasz. Tylko ktoś bez serca odmówiłby ci pomocy. Hani działał szybko. Kazał jednemu ze swoich ludzi odprowadzić samochód Ferrisa i zaparkować go na ulicy Za-hran, naprzeciwko hotelu Four Seasons. Chodziło o to, żeby koledzy z ambasady, odkrywając jego zniknięcie, zmarnowali dodatkowo czas, szukając go w hotelu. Następnie przeprowadził kilka rozmów telefonicznych i spotkał się w cztery oczy ze swoim zastępcą, po czym zaprowadził Ferrisa do podziemnego garażu, do swojej wielkiej limuzyny BMW. Usiedli z tyłu i Hani zaciągnął zasłonki w oknach. W kraju, w którym niepodzielnie władają służby specjalne, w ten sposób stawali się wręcz niewidoczni. Ferris odruchowo poklepał się znów po kieszeni, w której miał truciznę.

Wyjechali z Ammanu na północ, w kierunku granicy z Syrią. Kiedy znaleźli się na autostradzie, Hani rozsunął

zasłonki po swojej stronie, żeby podziwiać krajobraz, ale Ferris wolał pozostać ukryty za nimi. Wkrótce zjechali z szerokiej czteropasmowej szosy prowadzącej przez Al--Mafraq na starą autostradę numer 15, która przecinała syryjską granicę kilka kilometrów dalej na zachód, w Dera'a. Po drodze Hani objaśniał swój plan. Ferris zadał kilka pytań, ale tylko po to, by się upewnić, czy dobrze zrozumiał. W pewnej chwili zadzwonił telefon komórkowy. Dzwonił jego zastępca z placówki. Wyjaśnił mu teatralnie półprzytomnym głosem, że właśnie próbuje zasnąć i będzie w ambasadzie nazajutrz rano, po zwykłej wizycie na siłowni.

Tuż przed Ramtha, jordańskim miastem granicznym, Hani kazał kierowcy skrócić w boczną drogę biegnącą wzdłuż granicy. Kiedy dotarli do wioski o nazwie Shaja-ra, wjechali na bitą drogę i wkrótce znaleźli się na podjeździe niedużego kompleksu cementowych zabudowań z dachami zastawionymi talerzami anten satelitarnych. Na podjeździe stała już taksówka, zardzewiała mercedes z syryjskimi tablicami rejestracyjnymi. Znajdowali się zaledwie o kilometr od granicy. Hani wprowadził Ferrisa do budynku. Ubrany po cywilnemu oficer wywiadu, który czekał na ich przyjazd, powitał swojego szefa serdecznym uściśnięciem i całusami w oba policzki, po czym zaprosił na ciastka i słodką herbatę. Ale Hani zrezygnował

z poczęstunku i kazał się prowadzić do ustronnego pokoju na ostatnim piętrze. Gdy zamknął za sobą drzwi, zwrócił się do Ferrisa:

- Stąd możesz zadzwonić.

- Masz czysty aparat komórkowy?

- Oczywiście. - Jordańczyk wyjął z wewnętrznej kieszeni marynarki nowiutkiego samsunga i podał mu. Wyjął też dodatkowe słuchawki, żeby przysłuchiwać się rozmowie.

Ferris z lekkim uśmiechem na ustach obserwował przygotowania. Po chwili wyjął portfel i wyciągnął z niego karteczkę z numerem podyktowanym przez Hoffmana. Uważnie wystukał kolejne cyfry na telefonie Haniego: 963-5555-8771. Ktoś odebrał po trzecim sygnale.

- Słucham - odezwał się po angielsku męski głos. Zatem czekali na to połączenie. Nikt inny nie powinien dzwonić pod ten numer.

- Mówi Roger Ferris z CIA. Chcę rozmawiać z panną Alice.

- Dobrze, proszę pana. Dzięki Bogu, że pan dzwoni. Ale mam do pana pytanie, żeby sprawdzić, czy to na pewno pan. Zgodzi się pan odpowiedzieć?

- Oczywiście. Co to za pytanie?

- Dokąd zabrał pan na kolację pannę Alice podczas pierwszego spotkania?

Ferrisowi żołądek podszedł do gardła. Musieli od niej wyciągnąć tego typu informacje w czasie przesłuchania. Choć trudno także wykluczyć, że obserwowali ich od samego początku.

- Do włoskiej restauracji w hotelu Hyatt w Ammanie.

- Tak, zgadza się. Dziękuję panu. A jak ma na imię kot panny Alice, który został w jej mieszkaniu?

- Elvis. Jej kot nazywa się Elvis.

- Zgadza się. Sądzę, że jest pan naprawdę panem Ferrisem.

- W porządku, czy mógłbym teraz porozmawiać z panną Alice?

- Tak, ale bardzo mi przykro, panny Alice tu nie ma. Prosiła, żebym przekazał panu wiadomość, jak pan zadzwoni.

- Co to za wiadomość? - zapytał szorstko. Miał już dosyć tych zbędnych uprzejmości, chciał od razu przejść do sedna sprawy.

- Jeśli chce się pan zobaczyć z panną Alice, musi pan pojechać tam, gdzie powiem. I tylko pan, bez żadnych sztuczek, bo inaczej panna Alice straci życie.

- Gdzie mam pojechać?

- Do Syrii.

Ogarniała go coraz silniejsza desperacja.

- Rozumiem. Ale gdzie dokładnie?

- Tak, proszę pana. Do Hamy. Tam jest panna Alice.

Hani szybko pokiwał głową, usłyszawszy nazwę miasta. Sulejman pochodził z Hamy. To właśnie tam zaczęła się jego burzliwa historia, od likwidacji Bractwa Muzułmańskiego w 1982 roku.

- Wcześniej musimy dobić targu - rzekł Ferris. - Dopóki nie zobaczę panny Alice, nie przyjdę do was.

- Tak, proszę pana, tak - odparł podekscytowany Arab, jakby nie mógł jeszcze uwierzyć, że agent amerykański chce się rzeczywiście oddać w ich ręce. Ale był przygotowany na zaproponowanie warunków targu. - Zobaczysz pannę Alice przy nonas, kołach wodnych na rzece Orontes w centrum Hamy. Tam ją pan zobaczy. Przekona się pan, że jest bezpieczna i wolna. Potem pan zadzwoni pod inny numer i zaczeka na nas. Będziemy obserwować. Jak się pan wycofa, zabijemy najpierw pannę Alice, a potem pana.

Ferris spojrzał na Haniego. Potrzebował jakiegoś wsparcia, żeby zapewnić Alice ochronę po uwolnieniu jej przez porywaczy. Jordańczyk, jakby czytając w jego myślach, przytaknął ruchem głowy i przekazał szeptem:

- Będziemy tam.

- Zgadza się na te warunki - powiedział Ferris do mikrofonu. - Pod jaki numer mam zadzwonić, jak zobaczę, że panna Alice jest wolna?

- Niech pan zadzwoni pod 963-5555-5510. Oczywiście nie do mnie. Ja jestem tylko posłańcem. Gdy ktoś odbierze, proszę powiedzieć po arabsku, że jest pan Rogerem Ferrisem z CIA i że jest pan gotów na spotkanie z nimi, właśnie tam, w Hamie. Chce pan, żebym powtórzył ten numer? Hani, który wcześniej zapisał go na kartce, teraz podał ją Ferrisowi.

- Może lepiej ja powtórzę, by się upewnić, że dobrze zapisałem. 963-5555-5510.

- Zgadza się, proszę pana.

- I mam powiedzieć osobie, która odbierze, że jestem Rogerem Ferrisem z CIA gotowym na spotkanie w Hamie.

- Mumtaz, proszę pana. Bardzo dobrze. W porządku. Kiedy będzie pan mógł się z nami spotkać w Hamie?

Ferris znowu spojrzał na Haniego. Jordańczyk zapisał kilka słów na drugiej kartce i podał mu ją.

- Będę w Hamie jutro rano, o ósmej, przy starych kołach wodnych na rzece w centrum miasta. Jeśli panna Alice tam nie będzie, nasza umowa zostanie zerwana. Czy to jasne?

- Tak, oczywiście, proszę pana. Wszystko im przekażę. Jestem tylko posłańcem. - Arab urwał na chwilę, po czym dodał z wyrazem podziwu w głosie: - Myślę, że bardzo się panu spieszy. - Najwyraźniej nie umiał sobie wyobrazić, czemu Ferris aż tak bardzo tęskni za torturami.

- Dopilnuj tylko, żeby panna Alice znalazła się na miejscu. Wtedy dostaniecie wszystko, na czym wam zależy. W przeciwnym razie nie dostaniecie nic.

Przerwał połączenie.

- Wallah, Roger, jesteś bardzo odważnym człowiekiem - rzekł Hani, ściskając mu dłoń. - Niezależnie od tego, co cię spotka, Alice Melville będzie wiedziała, jak bardzo ją kochałeś. Już ja się o to postaram. Na zawsze pozostaniesz w jej sercu.

*

Mercedes wciąż czekał przed budynkiem, gotów do odjazdu taksówkarz palił papierosa. Z wioski przylegającej do rządowego kompleksu zabudowań dolatywały odgłosy typowe dla tej pory dnia, poprzedzającej zmierzch - okrzyki dzieci kopiących piłkę na ubitym placu przy szkole, nawoływania matek szykujących wieczorny posiłek. Cały świat sprawiał wrażenie, jakby czas nagle zwolnił, zapatrzony na wydłużające się cienie, ciemniejące kolory, stopniowe przygasanie dziennego światła.

Była najwyższa pora, żeby ruszać w drogę, jak oznajmił Hani. Pospieszenie naszkicował Ferrisowi zarys planu działania. Taksówkarz miał go przemycić do Syrii przez stare przejście graniczne w Dera'a. Był znanym w tej okolicy szmuglerem, Hani już kilka razy korzystał z jego usług. Arab od wielu lat regularnie płacił łapówki syryjskiej straży granicznej, której oficerowie byli tak skorumpowani, że stanowili jakby jedną wielką rodzinę. Przejście graniczne Ferris musiał pokonać w skrytce pod tylnym siedzeniem auta, ale był skazany na niewygodę najwyżej przez pół godziny, później bowiem miał podróżować normalnie, jako pasażer. Hani wysłał już na północ dwa swoje wozy z agentami w cywilu, którzy otrzymali zadanie bezpiecznego przeprowadzenia taksówki przez Damaszek w drodze do Hamy. Mieli podróżować całą noc. A na miejscu powinna na nich czekać kolejna grupa ludzi Haniego. Ci mieli zapewnić bezpieczeństwo Alice zaraz po jej uwolnieniu i przywieźć ją z powrotem do Jordanii. Rzecz jasna, wszyscy musieli być uzbrojeni, na wypadek, gdyby coś poszło nie tak, ale Hani zapewnił, że nic takiego nie zajdzie. A później, jeśli tylko nadarzy się sposobność, jego ludzie podejmą próbę odbicia Ferrisa.

Na koniec Jordańczyk wręczył mu małe urządzenie elektroniczne w obudowie jednorazowej zapalniczki.

- Jeśli znajdziesz się w kłopotach wymagających niezwłocznej interwencji, wciśnij ten guzik. Wtedy zjawimy się po ciebie.

Ferris schował nadajnik i podziękował przyjacielowi. Był mu wdzięczny za tę pocieszającą perspektywę ewentualnego ratunku, chociaż zdawał sobie sprawę, że wyrusza w drogę bez powrotu.

33

Hania, Syria

Ferris podszedł sam do syryjskiej taksówki stojącej przed budynkiem. Kierowca był po czterdziestce, miał rozbiegane oczy oraz bujne gęste wąsy, niczym szczecina pędzla, które zakrywały górną wargę. Otworzył tylne drzwi rozklekotanego mercedesa, wcisnął ukrytą zapadkę zamka i podniósł tylną kanapę, odsłaniając skrytkę tak ciasną, że ledwie zdolną pomieścić dorosłego człowieka. Na blaszanej podłodze leżał powyriera-ny dywanik, w kącie stała butelka wody mineralnej.

- Pierwsza klasa - mruknął Ferris po angielsku, na co taksówkarz, najwyraźniej nie rozumiejąc, energicznie pokiwał głową.

Ferris wcisnął się do środka i ułożył na boku w wąskiej przestrzeni śmierzdzącej potem i uryną. Najwyraźniej nie był pierwszym pasażerem pokonującym w tych warunkach kontrolę graniczną. Kierowca obiecał, że zapuka trzy razy, kiedy minie niebezpieczeństwo i będzie można wyjść ze schowka, po czym opuścił siedzenie i Ferris znalazł się w całkowitej ciemności.

Nie należał do ludzi strachliwych. W dzieciństwie bał się śmierci i podobnie jak wielu jego rówieśników usiłował pogodzić się z tym, że kiedyś go nie będzie. Problem był jednak zbyt skomplikowany i przygnębiający, żeby dłużej sobie nad nim łamać głowę. W okresie dojrzewania przez pewien czas dręczyła go obawa, że umrze jako prawiczek, lecz gdy Priscilla Warren zlikwidowała tę groźbę, w ogóle przestał myśleć o nicości. Teraz, w ciasnym, mrocznym i śmierzdzącym schowku taksówki mimo woli został zmuszony do rozmyślań o niebycie. Bał się nie tyle samej śmierci, ile cierpienia, które miały ją poprzedzić. Spoczywająca w jego kieszeni porcja trucizny kazała mu się zastanowić, kiedy powinien jej użyć. Gdyby za długo zwlekał, mogłoby się zrobić za późno, napastnicy zabraliby mu ją, zanim zyskałby sposobność oszczędzenia sobie cierpienia. Ale gdyby sięgnął po nią za wcześnie, mógłby niepotrzebnie się zabić, na przykład tuż przed nadejściem pomocy lub zapadnięciem decyzji o wstrzymaniu egzekucji. Zaprzepaściliby szansę powrotu do normalnego życia i zestarzenia się u boku Alice oraz ich dzieci. Zwłaszcza to ostatnie podziało na niego trzeźwiąco. Gdyby nie dochował się dzieci, jego życie poszłoby na marne, przynajmniej z punktu widzenia rodzaju ludzkiego. A takie bezproduktywne życie byłoby jeszcze gorsze niż śmierć prawiczka.

Taksówka zwolniła na dojeździe do punktu jordań-skiej odprawy celnej. Ferris znieruchomiał, ale zostali odprawieni szybko i bez kłopotów. Widocznie Hani musiał uprzedzić straż graniczną. Potoczyli się dalej przez pas ziemi niczyjej i Ferris pogрузzył się na nowo w posępnych rozmyślaniach. Gdyby przeżył, zapewne mógłby się dochować dzieci z Alice; gdyby przeżył, może dane by mu było zestarzeć się przy niej. Na razie jednak nie miał nic

poza tym „może”. Pozostawała mu taka sama nadzieja, jak choremu na raka, który nawet jeśli już szybko traci na wadze, nie może nic jeść ani pić - nie traci nadziei, że jakimś cudem wyrok śmierci zostanie cofnięty, że uda się dowlec wycieńczone ciało do bramy i oszukać strażnika choćby na kilka godzin, dni albo lat. Rozumiał, przynajmniej teoretycznie, że cierpienia fizyczne mogą być tak nieznośne, iż można zapragnąć pogрузzyć się w nicości -ale to pragnienie dało się pokonać, dopóki istniała szansa powrotu do normalnego życia z Alice. Mogli mu połamać nogi łomem, pogruchotać rzepki kolanowe, roztrzaskać młotkiem

kregosłup - ale w każdej chwili cierpienia myślałby o niej i pragnął pozostać przy życiu, żeby spędzić je razem z nią.

Jego pamięć podsuwała mu tak żywe i wyraziste obrazy Alice, że w nagłym przypiływie pewności siebie zadziałał odruchowo. Wyjął z kieszeni mostek z trucizną i położył go na brudnym dywaniku w kącie skrytki. Zdał sobie sprawę, że jeśli zatrzyma przy sobie truciznę, pod wpływem strachu może jej nieopatrznie użyć, a gdyby to zrobił, pożegnałby się nie tylko z życiem, ale także z miłością. Umarłby na próżno. Obiecał Hoffmanowi, że będzie strzegł tajemnic firmy i zabije się, żeby nie zdradzić sekretów, które mogłyby się stać przyczyną śmierci innych. Ale dotrzymanie tej obietnicy byłoby równoznaczne ze złamaniem innej, o której dopiero teraz sobie przypomniał. Dlatego odepchnął truciznę jeszcze dalej od siebie, w najciemniejszy kąt schowka pod siedzeniem.

Taksówka zatrzymała się gwałtownie i doleciał go stłumiony gwar wymiany zdań po arabsku. Kierowca zwracał się do kogoś, kogo tytułował kapitanem. Ferris wyłowił cień strachu w jego głosie. Usłyszał stukot otwieranych drzwi, które po chwili głośno zatrzaśnięto. Ktoś przeszedł wzdłuż samochodu. Coś było nie w porządku. Kapitan pokrzykiwał gniewnie na kierowcę, i to w sposób typowy dla wojskowych, którzy w przypiływie złości muszą wykazać swoją władzę. Przejście jest zamknięte, powtarzał; za późno, żeby je jeszcze dzisiaj przekroczyć; taksówkarze powinni dobrze znać przepisy. Natomiast kierowca co i rusz powtarzał to samo nazwisko: Abu Walid mówił, że wszystko jest w porządku; Abu Walid twierdził, że nie będzie kłopotów; niech kapitan porozmawia z Abu Wali-dem. Znów rozległ się łomot podkutych butów o płyty chodnikowe; taksówkarz jeszcze głośniejsz zaprotestował, że musiała zajść jakaś pomyłka. Po chwili kroki obu mężczyzn ucichły w oddali.

Pozostał bez ruchu, skulony w ciasnej przestrzeni na twardej płycie podłogowej auta. Bał się coraz bardziej, ale teraz już z innego powodu. Co będzie, jeśli skona w tej skrytce albo zostanie odkryty, wyląduje w syryjskim areszcie, a potem będzie deportowany do Jordanii? Alice z pewnością zginie. Porywacze będą czekali na niego w Hamie, a kiedy się nie zjawi, po prostu ją zabiją. Uprzytomnił sobie, że właśnie to byłoby najgorsze. Nie jego śmierć, tylko jej. Bo jego życie miało w tej chwili tylko taką wartość, że mogło posłużyć do uratowania Alice. Gdyby zaprzepaścił tę szansę, z pewnością by się zabił, i to bez wahania.

Oczekiwanie się przeciągało. Gdzieś z oddali, zapewne od strony kwater straży granicznej, dolatywały od czasu do czasu jakieś nierozpoznawalne okrzyki. Ferrisa rozboleła głowa od wdychania zatęchłego kurzu i oparów benzyny. Nogi całkiem mu ścierpły. Nie były to już dokuczliwe ciarki, lecz fale nieznośnego bólu przeszywającego mięśnie i stawy. W końcu zaczął rozmyślać, że chyba wolałby już wszystko, nawet schwytnie i uwięzienie, niż te okropne męki. Ale w głębi serca wiedział, że to tylko wyobraźnia go oszukuje. No i w porównaniu z cierpieniami, jakie czekały go później, te tutaj należało uznać jedynie za drobne niedogodności.

Czekał cierpliwie. Nie wiedział, czy minęło trzydzieści minut, czy godzina. W mroku wypełniającym schowek całkowicie zatracił poczucie czasu. Po wyłączeniu silnika samochód zaczął szybko stygnąć i ostry styczniowy chłód coraz mocniej dawał mu się we znaki. Nie mógł się poruszyć, żeby się rozgrzać, toteż wkrótce zimno przeniknęło go do szpiku kości. Teraz już chciał tylko umrzeć, ale ta myśl natychmiast przywoływała następną - jeszcze bardziej zależało mu na tym, żeby Alice przeżyła. Ostrożnie sięgnął do kieszeni po truciznę i dopiero po chwili przypomniał sobie, że ją wyjął i umieścił w najdalszym kącie schowka. Ucieszyło go nawet, że uwolnił się od pokusy.

Wreszcie znów doleciały go podniesione głosy, w których rozpoznał władczy głos kapitana i pełen uległości taksówkarza. Ciężkie stąpania przybliżyły się do mercedesa. Przemknęło mu przez głowę, że kierowca go wydał, skoro skomlił teraz żałośnie. Abu Walid nie zdołał ich wykupić, toteż w zalanej blaskiem jarzeniówek sali przesłuchań postanowił wydać swojego

pasażera, żeby samemu zachować możliwość dalszego szmuglowania towarów przez granicę. Kroki przybliżały się coraz bardziej, cement płyt chodnikowych zazgrzytał pod obcasami podkutych wojskowych buciorów, wreszcie tuż przy mercedesie nastąpiła cisza. Stuknęły otwierane drzwi. Pomyślał, że zaraz zostanie podniesiona tylna kanapa, żołnierze wywloką go z taksówki i będzie po wszystkim.

Zorientował się jednak, że to kierowca otworzył przednie drzwi. Skamlącym głosem jeszcze raz podziękował kapitanowi, tłumacząc, że Abu Walid będzie mu niezmiernie wdzięczny za udzielenie pomocy, i życząc, aby Bóg wynagrodził kapitana długim życiem, dobrym zdrowiem, a jego synów równie dobrym zdrowiem i pomyślnością. Trzasnęły drzwi. Zaszemrał rozrusznik i silnik obudził się do życia. Kierowca wrzucił bieg i powoli odjechał ze stanowiska kontroli granicznej, wciąż życząc oficerowi wszystkiego najlepszego.

Chwilę później zatrzymali się jeszcze w punkcie odprawy celnej, ale była to zwykła formalność. Ferrisa obleciał strach, gdy usłyszał trzask otwieranego bagażnika, lecz ten zaraz został zamknięty. Celnik bez skrępowania podziękował kierowcy za karton papierosów i kazał mu ruszać.

Taksówka jechała bez przerwy jeszcze dobre dwadzieścia minut. Najpierw powoli po wąskich i krętych uliczkach granicznego miasteczka Dera'a, potem szybciej po starej asfaltowej szosie, wreszcie jeszcze szybciej na autostradzie. Do kryjówki Ferrisa docierał wyraźnie głośny szum, ilekroć wyprzedzali lewym pasem jadące wolniej auta i ciężarówki. Aż naszły go obawy, że szofer będzie chciał go trzymać w ciasnej skrytce przez całą drogę do Hamy. Wkrótce jednak zwolnili i zjechali na prawo. Pod kołami zachrzęścił żwir, skręcili na polny parking i stanęli. Kierowca otworzył tylne drzwi, zastukał trzy razy w ramę kanapy, po czym ją podniósł. Ferris w ogóle nie mógł się poruszyć, tak mu zeszywniały ręce i nogi. Syryjczyk musiał go wyciągnąć. Dał mu starą czapkę z daszkiem, by zakrył głowę i zamaskował rysy twarzy, oraz powycieraną grubą wełnianą marynarkę, jaką mógł nosić pomocnik syryjskiego szofera, po czym usadowił go na przednim prawym fotelu. Dopiero po dłuższym czasie Ferris przypomniał sobie, że zostawił mostek z trucizną w ciemnym kącie skrytki pod tylnym siedzeniem mercedesa. Ale nawet nie podjął próby jego odzyskania.

Jechali przez całą noc. Minęli Damaszek, rojny i hałaśliwy nawet o północy. W obozach uchodźców palestyńskich na południowych obrzeżach miasta panowała atmosfera braterstwa w biedzie. Kawiarnie nadal były otwarte, siedzący przed nimi mężczyźni pociągali nargile i wydmuchiwali smugi dymu, piekarnie zachwalały świeże wypieki tym wszystkim, którzy musieli zjeść coś słodkiego przed snem. W oknach kłocowatych domów z prefabrykatów, ciągnących się wzdłuż wąskich uliczek, migotała niebieskawa poświata telewizorów, z których chyba każdy miał własną antenę satelitarną. Telewizory to dla mieszkańców środek łączności ze współczesnym światem, który kochali i którego nienawidzili zarazem. W centrum miasta wciąż było sporo przechodniów. Uderzał w oczy kontrast w strojach kobiet, gdyż jedne były szczelnie zakutane w bezkształtne zwoje czarnego materiału, w chustkach na głowach, gdy inne, mimo styczniowego chłodu, nosiły króciutkie, odsłaniające brzuch bluzeczki. Kilka odważyło się nawet nawiązać kontakt wzrokowy z Ferrisem. Może i faktycznie były to prostytutki, chociaż doskonale wiedział, że z punktu widzenia muzułmanina nie ma najmniejszego znaczenia, czy kobieta bierze pieniądze za swoje usługi, czy nie. Z pewnością były to jednak kobiety nieczyste, zainfekowane „zgnilizną Zachodu”. Po wyjeździe z Damaszku zdrzemnął się kilka minut. Obudził się gwałtownie. Śniła mu się Alice leżąca w za-

krwawionej piwnicy. Nie mógł się uwolnić od takich koszmarnych wizji. Zatrzymali się na kawę i posiłek w znanym kierowcy przydrożnym lokalu parę kilometrów na południe od Homs. Zarzekał się, że bar jest czysty, lecz gdy Ferris chciał skorzystać z toalety, ujrzał

zwykłą dziurę w podłodze cuchnącą odchodami. Dochodziła trzecia w nocy. Kolejnym większym miastem za Homs był już cel ich podróży, Hama. Dlatego Ferris powiedział kierowcy, że chce odpocząć do wpół do siódmej na parkingu przed barem. Policja nie powinna ich tu niepokoić, a on wolał nie zjawiać się w Hamie za wcześnie, bo musiałby czymś zabić czas do wyznaczonego spotkania, ściągając na siebie podejrzenia tamtejszych mieszkańców. Na parkingu stało jeszcze kilka innych aut, przyszło mu więc do głowy, że w którymś z nich mogą podróżować ludzie Haniego. Znowu zapadł w drzemkę, krótką i nerwową. Obudził go pierwszy brzask. Pomarańczowy brzeg tarczy słonecznej niespodziewanie pojawił się nad pustynnym horyzontem, niemal w jednej chwili zalewając purpurowe dotąd niebo białym blaskiem. Przemknęło mu przez myśl, że może nie dożyć następnego wschodu słońca.

Dotarli do centrum Hamy około wpół do ósmej, a więc i tak za wcześnie. Kazał kierowcy dojechać aż na północny koniec miasta, po czym zawrócić. Po drodze przyglądał się ciekawie zabudowaniom, z których znaczna część leżała w ruinie. Uzmysłował sobie, że musi to być dzielnica zniszczona prawie przed trzydziestu laty, kiedy to Hafez al-Assad wprowadził czołgi do muzułmańskiej części Hamy i kazał żołnierzom strzelać na oślep, niszczyć domy i zabijać mieszkańców. Członkowie Bractwa Muzułmańskiego szukali schronienia w jaskiniach i tunelach nad rzeką, bliżej starówki, ale wykurzono ich stamtąd gazem łzawiącym i miotaczami ognia. Właśnie taki brutalny świat stworzył Sulejmana. Tutaj wszyscy żyli nienawiścią, nakierowaną obecnie na Stany Zjednoczone, a więc pośrednio także na Rogera Ferrisa.

Taksówkarz zatrzymał wóz na przystanku autobusowym nad rzeką Orontes. Ferris zaczął wypatrywać Alice. Dochodziła ósma. Oznajmił kierowcy, że idzie się przejść i jeśli nie wróci w ciągu dwóch godzin, ten może odjechać bez niego. Dał mu też sto dinarów, co było bardzo sowitą zapłatą, ale po co miał oszczędzać pieniądze, skoro czekała go rychła śmierć? Wysiadł z mercedesa i ruszył powoli w stronę zabytkowych kół wodnych, które czerpały wodę z rzeki i przelewały ją do miejskich akweduktów. Rozglądał się dookoła, próbując wypatrzeć ludzi Haniego, lecz jeśli w ogóle byli, idealnie wtapiali się w otoczenie. Pomyślał za to, że on może budzić podejrzenia. Spuścił nisko głowę i postawił kołnierz marynarki, jakby chciał się ustrzec przed nocnym chłodem. Chora noga zaczęła mu się mocno dawać we znaki od długiego przebywania w niewygodnej pozycji, toteż utykał dużo silniej niż zazwyczaj. Ranek wstał bezchmurny. Zimowe niebo, białawe nad horyzontem, w zenicie przybierało odcień głębokiego błękitu. Ferris przysiadł na ławce nad Orontes, niedaleko wejścia do największego koła. Rzeka przypominała szeroką granatowoczną wstęgę, a w jej gładkiej tafli odbijał się zabytkowy meczet Al-Nuri wraz z innymi otaczającymi go kamiennymi budowlami. W ostrym porannym świetle łopaty kół wodnych połyskiwały złotawo.

Przesiedział tak dziesięć, może nawet piętnaście minut, wodząc spojrzeniem wzdłuż brzegów rzeki. W sumie było aż kilkanaście kół wodnych zebranych w dwa zespoły przy obu brzegach, nie był więc pewien, gdzie należy wypatrywać Alice. W pewnej chwili wstał, obszedł dookoła cały rejon i ponownie usiadł na tej samej ławce. Wydawało mu się, że jest obserwowany, nie umiał jednak odróżnić terrorystów od handlarzy i ich naganiaczy.

Wyteżał wzrok, mrużąc oczy od jaskrawego słońca, kiedy nagle jego uwagę przyciągnęła gromadka Arabów zbliżających się do norias od strony zachodniej. Była między nimi kobieta. Miała na sobie długą czarną szatę, głowę zakrytą chustką, ale w sposobie jej poruszania się było coś, co przykuło jego spojrzenie. Wstał i ruszył powoli w stronę tej gromadki, odległej o jakieś siedemdziesiąt pięć metrów. Arabowie nagle się rozstąpili i rozeszli na boki. Jeden z nich warknął coś groźnie do kobiety, co zabrzmiało jak rozkaz, i ta ściągnęła z głowy chustkę. Mężczyzna pchnął ją lekko do przodu, po czym zawrócił i energicznym krokiem ruszył śladem swoich towarzyszy. Kobieta została sama na brzegu rzeki.

Ferris przyspieszył kroku, chcąc jak najszybciej ujrzeć jej twarz, żeby zyskać pewność. Ale instynkt i tak mu podpowiadał, że to Alice. Długie blond włosy, szczupła sylwetka, no i szeroki uśmiech, jaki wywołała świadomość odzyskanej wolności. Porywacze musieli ją starannie umyć i ubrać, ale Ferris na razie nie chciał o tym myśleć. W jego głowie kołatała się tylko ta jedna myśl, że Alice jest wolna. Zawołał jej imię i rzucił się biegiem, lecz już po kilku krokach zawiodła go ranna noga, potknął się i wyciągnął jak długi. Kobieta najwyraźniej go nie słyszała w ulicznym zgiełku, ale nie miało to znaczenia. Była wolna. Podniósł się szybko i ruszył dalej, kiedy nagle u boku kobiety wyrosło jak spod ziemi trzech innych Arabów, niepodobnych do reszty, elegancko ubranych. Doleciało go jak przez mgłę, że jeden z nich zawołał Alice po imieniu.

Przez chwilę obleciał go strach, ale zaraz uzmysłowił sobie, że skądś zna ten głos, a gdy przyjrzał się lepiej, w jednym z mężczyzn rozpoznał Haniego. Zatem Jordańczyk sam wybrał się aż tak daleko na północ, żeby ratować Alice. Ferris także zawołał, ale w tej samej chwili Hani otoczył kobietę ramionami i pod osłoną dwóch swoich agentów pociągnął do furgonetki, która zatrzymała się na ich wysokości. Kobieta uśmiechała się szeroko do obcych, jakby ujrzała przyjaciół z dawnych lat. Ferris krzyknął jeszcze raz i ponownie zerwał się do biegu, spostrzegł jednak, że przygląda mu się policjant, biorący go chyba za Syryjczyka. Natychmiast zwolnił. W desperacji ostatni raz wykrzyknął imię Alice, chociaż był pewien, że ona go nie słyszy. Hani szybko otworzył drzwi furgonetki, pomógł Alice zająć miejsce na tylnym siedzeniu i jeszcze zanim obaj agenci usadowili się po obu jej stronach, wóz zaczął się wycofywać ze skrzyżowania.

Ferris uspokoił się i przestał nawoływać. Furgonetka wykręciła i z impetem ruszyła w stronę wyjazdu na autostradę do Damaszku. Łzy napłynęły mu do oczu. A więc stało się to, co uważał za niemożliwe. Porywacze dotrzyмали słowa. Podobnie jak Hani, który obiecał, że zapewni jej bezpieczeństwo zaraz po uwolnieniu. Ostatnia niezrealizowana jeszcze część umowy należała do niego. Przemknęło mu przez myśl, żeby rzucić się do ucieczki, ale uzmysłowił sobie zaraz, że Alice nie będzie całkiem bezpieczna, dopóki nie znajdzie się po drugiej stronie granicy jordańskiej. Postanowił więc użyć jakiejś sztuczki, żeby maksymalnie zyskać na czasie. Tamci czekali na telefon od niego. Wyjął aparat z wewnętrznej kieszeni marynarki, ale zaraz schował go z powrotem. Niech sobie poczekają. Na razie musiał się nacieszyć świadomością, że niezależnie od wszystkiego Alice wyjdzie z tego z życiem.

Hama I Aleppo

Telefon komórkowy zadzwonił aż pięć razy, zanim Ferris w końcu odebrał. Jakiś mężczyzna zapytał uprzejmie, czy rozmawia z Rogerem Ferrisem, a gdy ten przytaknął, rzekł:

- Czekamy na pana. Dlaczego pan nie dzwoni?

Ferris przeprosił i przerwał połączenie. Nie chciał umierać, kiedy nie było to konieczne. Podniósł się z ławki i ruszył przed siebie, zastanawiając się, gdzie szukać drogi ucieczki. Ale już po paru krokach zwrócił uwagę na dwóch brodatych Arabów w zimowych kurtkach zmierzających w jego kierunku.

W nagłym przypływie paniki sięgnął po elektroniczny nadajnik w obudowie zapalniczki, który miał w tej samej kieszeni, gdzie jeszcze parę godzin temu znajdowała się śmiertelna trucizna. Z całej siły wduśił przycisk zapalniczki, potem zrobił to drugi raz. Mężczyźni zajęli miejsca po jego bokach, poczuł lufę pistoletu przytkniętego do ciała. Ten, który trzymał broń, miał jasne oczy i złotawy odcień cery, wyglądał na Egipcjanina. Ferris odniósł wrażenie, że widział jego podobiznę na sporządzanych regularnie przez agencję zestawieniach najbardziej poszukiwanych członków Al-Kaidy, ale nie miał co do tego pewności.

- Ty jesteś Ferris? - zapytał Egipcjanin.

- Tak.

Tamten jeszcze mocniej dźgnął go lufą pistoletu pod żebra.

- Nie kłamiesz? Pokręcił głową.

- Nie, nie kłamię. Wy dotrzyмалиście warunków umowy, więc i ja zrobię to, co obiecałem.

- To znaczy? Niby co chcesz dla nas zrobić? - zaciekawiał się Egipcjanin. Uśmiechnął się ironicznie, a w jego oczach pojawiły się złowieszcze błyski. Nie był w stanie ukryć nienawiści, którą podsycił w sobie od lat.

- Zaczekaj, to się przekonasz - odparł Ferris. Ukradkiem rozejrzał się w poszukiwaniu ludzi Haniego, ale nie było ich nigdzie w pobliżu. Na razie zajmowali się Alice. Zresztą o nic więcej ich nie prosił, dużo wcześniej spisał siebie na straty. Taką zawarł umowę. Ale teraz ogarniało go przerażenie, gdy kwaśny smród czosnku w oddechach terrorystów uświadomił mu, że jest zdany wyłącznie na ich łaskę. Pomyślał, żeby krzyknąć albo rzucić się do ucieczki, wiedział jednak, że w ten sposób tylko by przyspieszył swoją śmierć, a przecież postanowił utrzymać się przy życiu najdłużej, jak tylko będzie to możliwe.

- Wybacz, że traktujemy cię jak więźnia - szepnął mu Egipcjanin do ucha. - Nie wiemy jeszcze, czy mówisz prawdę, czy kłamiesz, musimy więc się zabezpieczyć. Przykro mi. Ferris wytrzeszczył na niego oczy ze zdumienia. To miał być żart? Oczywiście, że był ich więźniem. Przemknęło mu przez myśl, że zbyt pochopnie pozbył się mostka z trucizną, ale zdrowy rozsądek podpowiedział, że pokusa skorzystania z niej byłaby zbyt wielka. Już mógłby uczynić ten ostateczny krok.

Arabowie poprowadzili go do żółtego hyundaia stojącego w bocznej uliczce przy wjeździe na centralny plac. Szofer siedział za kierownicą, na prawym fotelu jeszcze jeden brodaty strażnik trzymał broń na kolanach. Wkroczyli na most, zza którego już nie było powrotu. Ferris jeszcze raz sięgnął do kieszeni i wdusił przycisk fałszywej zapalniczki, na co Egipcjanin szybko cofnął pistolet i zainteresował się:

- Co tam masz?

Bez ceregieli sięgnął do jego kieszeni i wyciągnął zapalniczkę. Raz i drugi wcisnął guzik, a przekonawszy się, że nie działa, warknął ze złością i odrzucił ją daleko od siebie.

- Może jednak próbujecie nas wykiwać? - syknął złowrogo.

Ferris chciał zaprotestować, lecz nagle ktoś od tyłu zakrył mu dłońią usta, a po chwili zakleił je szeroką taśmą samoprzylepną. Dopiero teraz obszukali go pospiesznie i w drugiej kieszeni znaleźli telefon komórkowy. Egipcjanin natychmiast go zabrał, a drugi Arab wyciągnął mu z kieszeni spodni portfel z paszportem i schował do kieszeni swojej kurtki. Wepchnęli go na tylne siedzenie małego auta i wcisnęli się po obu stronach. Ujechali powoli kilkaset metrów, po czym skręcili w boczną bitą drogę, którą oddalili się tylko na tyle, żeby nie było ich widać z ostatnich zabudowań miasta. Tutaj zawiązali Ferrisowi oczy, skrępowali mu ręce za plecami i nogi w kostkach, po czym zepchnęli na podłogę pod tylnym siedzeniem.

- Wybacz - rzucił jeszcze raz Egipcjanin.

Razem z drugim terrorystą przesiedli się do innego samochodu i pojechali dalej. Dlaczego wciąż mnie przepraszają? - zachodził w głowę Ferris. - Powinni mnie raczej traktować jak trupa.

Jechali przez kilka godzin. Nie umiał powiedzieć, jak długo, gdyż oczy miał szczelnie zawiązane i nie docierała do nich nawet odrobina dziennego światła. Tylko po lekkiej zmianie temperatury powietrza domyślił się, że jest już popołudnie. Podejrzewał, że wiozą go na północ, w stronę Aleppo, ewentualnie na wschód, w kierunku granicy irackiej. Wreszcie konwój się zatrzymał. Zostawili go

na podłodze auta, a sami wbiegli po jakichś schodach. Wrócili po paru minutach, otworzyli tylne drzwi hyundaia, wyciągnęli go głową do przodu i ułożyli sobie na ramionach niczym zrolowany dywan. Poczul, jak wnoszą go po schodach do budynku, a następnie schodzą na dół, zapewne do piwnicy. A więc to tutaj nastąpi mój koniec, pomyślał.

Był jednak w błędzie. Za nimi zbiegli na dół dwaj inni mężczyźni powtarzający półgłosem cytaty z Koranu. Usadowili go skrępowanego na krześle, napoili i nakarmili, następnie rozwiązali mu ręce i pozwolili skorzystać z cuchnącej toalety. Później zawiązali go ponownie,

ułożyli na brudnym szorstkim materacu i kazali spać. Usłuchał, chociaż spał nerwowo, budząc się na każdy odgłos dolatujący z górnych pięter budynku.

Następnego ranka powieźli go dalej. Przepaska na oczy poluzowała się nieco od jego potu, ale i tak niewiele zdążył zauważyć, bo podróż była krótka, trwała niewiele więcej niż pół godziny. Podejrzewał, że transportują go z jednej kryjówki do drugiej, prawdopodobnie w Aleppo. Irak był zbyt niespokojnym miejscem, nawet dla nich. W drugim domu zastosowali dokładnie tę samą procedurę, prze-taszczyli go na ramionach i znieśli do piwnicy, gdzie także dostał jeść i pić, a następnie zaprowadzono go do toalety. Tutaj nawet nie śmierdziało tak bardzo i był sedes. Nie zostawili go jednak samego, tylko odwrócili się tyłem, czekając, aż się wypróżni. I znów go związali, zostawili na krześle, ale nie na długo. Wkrótce z góry doleciał wzmożony gwar, rozległ się warkot zajeżdżających samochodów, doszły stłumione słowa powitań i wersy odmawianych modlitw.

Ferrisa ogarniał strach, ilekroć na schodach do piwnicy słyszał czyjeś kroki. Obawiał się, że lada chwila zostanie

poddany torturom. Kiedy więc po raz kolejny deski podłogowe zatrzeszczały pod czyimś ciężarem, żołądek podszedł mu do gardła. Ale tym razem został powitany dość uprzejmie, nie tak szorstko jak dotychczas. Mężczyzna rozwiązał mu ręce, a potem nogi. Odkleił taśmę kneblującą, a na koniec, ku osłupieniu Amerykanina, ściągnął mu przepaskę z oczu. Był to ten sam miodowoskóry Egipcjanin, który podszedł do niego w Hamie i wetknął pistolet pod żebra. Teraz wręczył mu brzytwę, krem do golenia w aerozolu oraz ręcznik i poprowadził go do łazienki. Ferris dopiero teraz spostrzegł, że jest tu zlew i prysznic.

- Umyj się i ogól - rzekł Arab. - Jesteś naszym gościem.

Pomyślał, że próbują go zmiękczyć. Nie miał pojęcia, co to może oznaczać, ale raczej nie wróżyło niczego dobrego. Zamknął drzwi od łazienki, rozebrał się, wszedł pod prysznic i przez kilka minut stał pod rozkosznym strumieniem ciepłej wody. Był brudny, zarówno po podróży w ciasnym bagażniku, jak i po nocy spędzonej na obskurnym materacu. Spoglądając, jak szarawe mydliny spływają do otworu ściekowego w podłodze, zaczął sobie wyobrażać, że całe jego ciało stopniowo rozpuści się w wodzie i wsiąknie w ziemię. Po kąpieli poczuł się znacznie odświeżony, a jeszcze bardziej, gdy się ogolił. Popatrzył na swoje odbicie w lustrze. Oczy miał zapadnięte, podkrążone ciemnymi nabrzmiałymi workami. Z jego spojrzenia całkiem zniknęły żywe skry, pozostał wyraz tępego, twardego, nieprzejednanego oporu. Przemknęło mu przez myśl, że Alice nie pokocha osobnika o takim obliczu, nie wierzył jednak, by mógł przeżyć i znowu ją zobaczyć. Z drugiej strony, na pewno odmienił ją koszmar, przez jaki przeszła. Oboje nie byli już tymi samymi ludźmi. Wytarł się do sucha, uczesał grzebieniem włosy i przygotował się na spotkanie z tym, co zgotowano mu na gorze. Przyszli po niego jeszcze przed południem, krótko po tym, jak pod dom zajechał jeszcze jeden samochód. Znowu zawiązano mu oczy, ale teraz już lekko, i wprowadzono po schodach do rozległego pokoju na tyłach budynku. Wewnątrz panował półmrok, zasłony były zaciągnięte. Posadzono go na krześle, zapalono światło i kazano zaczekać. Ktoś od tyłu rozwiązał mu przepaskę i pozwolił jej opaść na podłogę. W odległym kącie pokoju Ferris dostrzegł coś, co wyglądało na kamerę wideo zamontowaną na trójnogu. Boże drogi, zamierzają sfilmować moje ściecie, podobnie, jak czynili to z innymi porwanymi zakładnikami, pomyślał. Przeszył go niemal paraliżujący strach. Zamknął oczy, próbując przywołać się do porządku. Ale przynajmniej zakończą to szybko, podpowiedziała wyobraźnia. Miał głęboką nadzieję, że uda mu się wyjść na spotkanie śmierci w milczeniu. Po dwudziestu minutach do pokoju wszedł jakiś mężczyzna, przysunął sobie krzesło i usiadł naprzeciwko Ferrisa. Ten wpatrywał się w niego przez dłuższą chwilę. W jego głowie pojawiły się tylko dwa słowa: Mój Boże! Nie przeszły mu jednak przez gardło. Chciał rozmawiać, a co ważniejsze, chciał wszystko zrozumieć.

Przed nim siedział Sulejman. Włosy miał jaśniejsze, a brodę krótko przystryżoną, ale bez wątpienia był to ten sam człowiek, którego zdjęcia widział tyle razy podczas licznych odpraw, na listach gończych agencji i na tablicach ogłoszeń. Twarzą w twarz robił wrażenie jeszcze bardziej inteligentnego niż na fotografiach. Skry w jego oczach odznaczały się niezwykle, przyciągającą głębią, nie były tylko odbiciami zewnętrznego światła. Drobne zmarszczki wokół oczu i lekko wygięte ku górze kąciki ust sprawiały wrażenie dobrodusznego uśmiechu. W twarzy tego człowieka kryło się zainteresowanie pomieszane z nieustępliwością. Sulejman najwyraźniej czekał, aż Ferris odezwie się pierwszy, jakby był bezcennym okazem papugi, którą Amerykaninowi udało się kupić na targu. Widocznie chciał usłyszeć komplement.

- Ja cię znam - zaczął Ferris - chociaż nie przypominam sobie, bym kiedykolwiek cię widział na żywo, a nie na fotografiach. Poczytuję to za zaszczyt, że przyjechałeś, aby osobiście się ze mną zobaczyć.

- Musieliśmy się w końcu spotkać, panie Ferris. Byłoby niewybaczalnym błędem, gdybym zlecił to spotkanie komuś, kto nie ma dostatecznej wiedzy.

Zabrzmiało to nieco zagadkowo.

- Dlaczego? Chyba każdy z pańskich ludzi mógłby mnie przesłuchać?

- Takie przesłuchanie nie byłoby nic warte. Bo to przecież ty jesteś pierwszym.

- Pierwszym? - powtórzył Ferris. Nie chciał się z tym zdradzić, ale nie miał pojęcia, o czym tamten mówi. Był pierwszym schwytanym przez nich agentem CIA? A może w ogóle pierwszym Amerykaninem? Trzeba było skończyć z tymi zagadkami.

- Oczywiście jesteś naszym pierwszym zdrajcą. - Sulejman uśmiechnął się. Można było nawet odnieść wrażenie, że puścił do niego oko. - Pierwszym i jedynym. I do tego jeszcze agentem osławionego CIA! Dlatego musiałem się z tobą spotkać osobiście, żeby samemu zdecydować, czy jesteś tym, za kogo się podajesz. To, co nam przynosisz, jest tak wspaniałe, że aż nie chce się wierzyć. Sądzę więc, że to nasz wielki dzień. Jak sam widzisz, jesteśmy gotowi na twoje przyjęcie. Kazałem przygotować kamerę wideo, aby utrwalić tę chwilę i wysłać nagranie do Al Jazeera, że-

by zobaczyli je wszyscy nasi muzułmańscy umma i zechcieli się do nas przyłączyć. Pójść w twoje ślady. Obaj nagramy wspaniały film, który poruszy cały świat.

Ferris zmarszczył brwi, ale nic nie powiedział. Rzeczywiście, z własnej woli oddał się w ręce tych ludzi, żeby ratować Alice, ale trudno go było z tego powodu nazwać zdrajcą. Więc jeśli kamera wideo nie została ustawiona po to, by zarejestrować jego przesłuchanie, a później stracenie, to czemu miała służyć? Instykt podpowiadał mu, żeby mówić jak najmniej i pozwolić Sulejmanowi skonkretyzować charakter tego, co ich łączy.

- Dziękuję - mruknął. - Jestem teraz w twoich rękach.

- Niech Bóg obdarzy cię dobrym zdrowiem. Napijesz się herbaty? Albo kawy? A może wody?

- Poproszę kawę. I butelkę wody mineralnej. Sulejman wykrzyknął krótkie polecenie do kogoś

z mieszkańców tego domu, kogo widocznie traktował jak służącego. Ponownie skoncentrował uwagę na Ferrisie i rzekł:

- Mam do ciebie pierwsze pytanie. Rozpiera mnie ciekawość, nie mogę się doczekać. Kiedy zdałeś sobie sprawę, że jesteś muzułmaninem? Kiedy odebrałeś al-dawa, wezwanie?

- Przepraszam - bąknął Ferris i wetknął mały palec do ucha, jakby zatkał je sobie mydłem podczas kąpieli. Chciał jeszcze raz usłyszeć to pytanie.

- Kiedy się dowiedziałeś, że twój dziadek przybył do Bośni z Libanu, zanim wyemigrował do Ameryki? Zanim wstąpiłeś do agencji? Rozumiesz chyba, że bardzo mnie ciekawi, czy Amerykanie celowo przyjęli muzułmanina do CIA, żeby mógł poznać tajemnice Żydów i Krzyżowców.

Ferris odczuwał coraz większy mętlik w głowie, nie mógł zebrać myśli, żeby z tych kawałków układanki złożyć jakikolwiek sensowny obrazek. Wyglądało na to, że Sulejman jest przekonany, iż zgodził się dobrowolnie oddać w ich ręce, ponieważ uważa się za muzułmanina. Gorączkowo usiłował znaleźć właściwą odpowiedź na to pierwsze pytanie, w dodatku taką, która zostawiłaby mu największe pole manewru. Przypomniawszy sobie, jak w dzieciństwie zainteresował się korzeniami swojej rodziny, nie wiedząc nawet dokładnie, z jakiego kraju dziadek wyemigrował do Ameryki, a więc tym bardziej nie rozumiejąc tajemnic, jakie kryły się za różnymi, wymienianymi półgłosem uwagami. Czy to w ogóle możliwe, że jego dziadek nie był katolikiem, jak utrzymywał, tylko faktycznie muzułmaninem? Tego nie mógł wykluczyć. Powędrował myślami do rozmów z matką sprzed kilku miesięcy i nagle zrozumiał, jak powinien odpowiedzieć.

- Nie, to nastąpiło później, już jak wstąpiłem do CIA. Moja matka odnalazła stare rodzinne dokumenty. To z nich się dowiedziałem.

- Al hamdu ITllah. Wydaje mi się, że wiem, o jakich dokumentach mówisz. To ich kopie przysłałeś nam przez swego pośrednika.

Ferris przytaknął ruchem głowy, choć czuł się coraz bardziej zapędzony w kozi róg. Nie wysyłał żadnych dokumentów i nie znał żadnego pośrednika. Kto był autorem tej sprytnej i przebiegłej gry, której stał się mimowolnym uczestnikiem? Na czyjej przenikliwości musiał teraz polegać?

- Początkowo uznaliśmy, że papiery muszą być fałszywe - ciągnął Sulejman. - Dopóki sami nie sprawdziliśmy archiwów w Libanie, ksiąg z twojego wilajetu w Trypoli-sie. I okazało się, że w papierach naprawdę są odnotowane narodziny twojego dziadka. W archiwum gminy znalazła się nawet notatka opisująca przyjście na świat twojego ojca w Ameryce. Inni nadal uważali, że wszystko zostało ukartowane, ale mnie dało to do myślenia.

- Dziękuję - odparł Ferris.

- Dlatego pozwól, że od tej pory będę się do ciebie zwracał prawdziwym rodzimym nazwiskiem Fares. Nie umiałbym nawet inaczej, kiedy jesteś wreszcie z nami, tak blisko rodzinnych stron swoich przodków. Domyślałeś się tego? Do sunnitów z Trypolisu jest stąd zaledwie kilkadziesiąt kilometrów, są tuż za granicą. Potraktuj to jak specjalny prezent dla ciebie, Fares. Być może, pozwolimy ci odwiedzić rodzinne strony, gdy tutaj skończymy. Chciałbyś je zobaczyć? Ale najpierw zabierzemy cię do Damaszku, żeby przekazać taśmę z nagraniem twojego wyznania wiary reporterowi Al Jazeera, aby zobaczyli to wszyscy umma. Czekają tylko na moje słowo. A potem będziemy już mogli się wybrać do Trypolisu, do domu twoich przodków. Cieszysz się z tej podróży?

- Przyjmę ją z wielką radością. - Po wargach Ferrisa przemknął ledwie zauważalny uśmiech. Dostrzegł wreszcie cały zarys swojej legendy, choć nadal nie rozumiał, kto ją wymyślił i w jakim celu. - Chętnie odwiedzę rodzinne strony. Dla mnie to była bardzo długa wyprawa, zanim wreszcie trafiłem tutaj.

- Tak, wiem. Allah u akhbar. Bóg jest najpotężniejszy. Dzięki niech będą Bogu.

- Allah u akhbar - powtórzył Ferris. - La ilaha ill-Allah, Muhammad-ur-rasool-ullah. - Bez wahania wypowiedział deklarację wiary, która każdego muzułmanina czyniła muzułmaninem: Nie ma żadnych bogów ponad Bogiem, a Mahomet jest jego Prorokiem.

Teraz z kolei Sulejman uśmiechnął się szeroko. Przyłożył dłoń do serca, pochylił się i serdecznie ucałował Amerykanina trzykrotnie w policzki.

- Twoje informacje były bardzo precyzyjne, Fares. Numery naszych telefonów, które znajdowały się na liście stacji nasłuchowych. Adresy stron internetowych niedostatecznie zabezpieczonych. Sztuczki, jakie wobec nas stosowaliście, chcąc nas wywabić na powierzchnię. Nawet to, że znasz nasze pseudonimy, nie wyłączając mojego, którego

używam w kontaktach z kurierami, czyli imienia Raouf. Początkowo wielu z nas miało obawy, że to wasza kolejna sztuczka, jak wiele wcześniejszych brudnych trików CIA. Nie miała jednak żadnego sensu. Bo i czemu agent CIA miałby przekazywać tego typu informacje Al-Kaidzie, nie próbując wywieść jej w pole? Informacje okazały się jednak bezcenne. Dopiero później, kiedy przesłałeś nam kopie swoich dokumentów świadczące o tym, że jesteś muzułmaninem, i sprawdziliśmy w księgach zapisy o twoich przodkach, pomyśleliśmy, że wszystko to może być prawdą. W każdym razie znaleźliśmy zrozumiały dla nas powód takiego działania. Cóż może być gorszego w życiu muzułmanina, niż pozostawanie w kraju kufców i jahilów, niewiernych i nieświadomych? - Urwał i zaczął świdrować Ferrisa czarnymi oczami.

- Jestem sam - odparł Amerykanin. Chciał powiedzieć coś jeszcze, ale ugryzł się w język. Nadal nie bardzo wiedział, które odpowiedzi są słuszne, uznał jednak, że to jedno nie ulega wątpliwości: rzeczywiście był sam.

- A później, kiedy przekazałeś przez pośrednika, że chcesz do nas przyjechać, tutaj, i stać się jednym z nas, pomyśleliśmy: albo ten człowiek do reszty zwariował, albo mówi szczerze, całą prawdę. Bo mieliśmy już pewność, że jesteś tym, za kogo się podajesz. Nie pozostało nic innego, jak spotkać się z tobą i przekonać się, co masz nam do zaoferowania. Tylko ta próba może ostatecznie wyjaśnić, czy złoto jest prawdziwe.

Ferris nie odpowiadał przez dłuższą chwilę. Nie chciał wdepnąć na niewłaściwy grunt, poza tym uważał, że milczenie bardziej przemówi na jego korzyść niż nadmierna gadatliwość.

- To prawda - przyznał w końcu. - Jestem tym, za kogo się podaję.

- Tak. Co do tego nie mam już wątpliwości - odparł Sulejman. Niemniej ton głosu Syryjczyka zdradzał wyraźnie, że jest jeszcze bardzo daleki od pełnego zaufania.

Ferris potrzebował więcej informacji, gdyż nadal miał wrażenie, że posuwa się na oślep w ciemnościach. Nie miał złudzeń, wstępne uprzejmości dobiegły końca i wkrótce miało się zacząć właściwe przesłuchanie. Gorączkowo usiłował wykombinować, jak dowiedzieć się czegoś więcej, jednocześnie się nie zdradzając. Najważniejsze wydawało mu się pochodzenie przedstawionej przez Sulejmana wersji rzeczywistości. Do tej pory mógł się tego jedynie domyślać. Musiał wiedzieć więcej.

- Cieszę się, że wysłuchałeś mojego pośrednika - rzekł po chwili. - To był bardzo istotny punkt mojego planu.

- To prawda. Ale pan Sadiki mógł liczyć na nasze zaufanie, znaleźliśmy go od dłuższego czasu. Jest przyjacielem naszych przyjaciół. I kiedy zaczął nam przekazywać informacje od ciebie, przyjęliśmy je z zainteresowaniem. Zrozumieliśmy też podwójną grę, jaką musisz prowadzić, by twoje spotkania z Hajj Omarem nie wzbudziły podejrzeń.

- A bomba w Incirliku? - zagadnął Ferris, wciąż usiłując wybadać, jak dużo Sulejman wie.

- To było świetne. Sfingowany zamach. W dodatku tak przygotowany, żeby wszyscy myśleli, że to Hajj Omar go zorganizował, co pozwoliło ci zatrzeć za sobą ślady. Świetna robota. Minęło kilka dni, zanim pojęliśmy jej sens. - Spojrzał na Amerykanina spod półprzymkniętych powiek,

a na jego wargach pojawił się lekki, niepewny uśmiech. - To znaczy, wydaje mi się, że pojęliśmy. Ale to zostawimy sobie na później, dobrze? Jesteś naszym przyjacielem, Fares. Jesteś częścią umma, Dar al Islam. Pomożesz nam.

Ferris odchylił się na oparcie krzesła. Obraz stawał się dla niego coraz wyraźniejszy. Ktoś przekazywał Sadikiemu wiadomości adresowane do siatki Al-Kaidy po każdym ich spotkaniu. Chodziło o stworzenie wrażenia, że to on wykorzystuje architekta do roli potajemnego łącznika z Al-Kaidą, co w pewnym sensie było prawdą, tyle że ktoś wykorzystał ją na swój sposób. Nie ulegało też wątpliwości, że Omar Sadiki nie mógł zostać porwany przez Al-Kaidę, jak Ferris do tej pory przypuszczał, ale przez tego, kto trzymał w garści wszystkie sznurki obecnego przedstawienia kukielkowego. Lecz jeśli Sadiki nie został

porwany, co się kryło za porwaniem Alice? Ta sprawa nadal była zbyt skomplikowana, by ją zrozumieć. Zresztą liczyło się tylko to, że odzyskała wolność. Mógł się swobodnie wycofać do linii środkowej boiska. Alice żyła i tylko to naprawdę miało dla niego znaczenie.

- Dziękuję, że wypuściliście Alice Melville - rzekł, chociaż te słowa z trudem precyzyjnie mu się przez gardło ściśnięte wzruszeniem, nad którym ledwie mógł zapanować. - Ona nie jest muzulmanką, ale bardzo ją kocham.

Sulejman gwałtownie przekrzywił głowę na ramię, niczym dzikie zwierzę, do którego doleciał złowieszczy odgłos.

- Przepraszam. Co powiedziałaś? Kim jest Alice?

- Pragnę wam tylko podziękować za to, że uwolniliście Alice Melville przy kołach wodnych w Hamie. Jestem wam za to bardzo wdzięczny. To wszystko.

Sulejman wyciągnął obie ręce w jego stronę, z otwartymi dłońmi, jakby się chciał przed nim bronić.

- Ależ nikogo nie uwolniliśmy, Fares. Nie mogliśmy uwolnić tej Alice, ponieważ jej nie przetrzymywaliśmy, nie było jej z nami. Prawdę mówiąc, nie wiem nawet, o kim mówisz, kim jest ta Alice. Ale zmartwiłeś mnie. Zaczynam się zastanawiać, czy nie prowadzisz jednak ze mną jakiejś brudnej gry.

- Mój Boże... - jęknął Ferris ledwie słyszalnie.

Dopiero teraz uświadomił sobie to, co od początku powinno być dla niego oczywiste. Tylko jeden człowiek znał wystarczająco dużo szczegółów operacji terenowych CIA, by o niektórych poinformować Sulejmana. Tylko jeden człowiek znał wystarczająco dobrze Omara Sadikiego, żeby go przeprogramować, tak zmienić jego polaryzację, by w oczach innych ludzi uchodził za wykonawcę zupełnie innej potajemnej misji. I tylko jeden człowiek mógł wiedzieć wystarczająco dużo o Alice Melville, żeby sfingować jej porwanie w celu wciągnięcia Ferrisa w pułapkę. A tym człowiekiem był Ed Hoffman. To on potraktował go jak ponętą błyszczącą przynętę, będącą w istocie szeregiem odbić w ciągu luster. Nagle poczuł taką nienawiść do swojego szefa, jakiej jeszcze nigdy nie czuł w stosunku do nikogo.

- Widzę, że coś cię dręczy, Fares, i chciałbym wiedzieć, co - rzekł Sulejman. On także gorączkowo dopasowywał w myślach różne fakty, choć w czasie przedłużającego się milczenia z pewnością składał z tych samych elementów zupełnie inny obraz. Przysunął się z krzesłem bliżej Ferrisa i położył mu dłoń na gardle. Nie ścisnął go tak, jakby chciał udusić, ale wystarczająco mocno, żeby przypomnieć, że posiada nad nim pełną kontrolę.

- Spójrz mi w oczy - rozkazał Syryjczyk. - Patrz mi prosto w oczy i powiedz, że mówisz prawdę. Wzrok to mój wykrywacz kłamstw. Wystarczy, że będę ci trzymał rękę na gardle i patrzył prosto w oczy. Słucham.

- Mówię prawdę - powiedział Ferris. Próbował zatuszować targające nim emocje i prawie mu się to udało. Nie zdołał jednak ukryć nerwowego drgnienia powiek, niebę-dącego nawet mrugnięciem. Bardzo się starał, lecz mimo to Sulejman wyczuł, że coś jest nie w porządku.

- Myślę jednak, że kłamiesz, Fares. Wyczuwam w tobie jakiś fałsz. Czy tylko drobny? A może obejmujący wszystko? Tego jeszcze nie wiem i to mnie niepokoi. Niemniej, bardzo się cieszę, że spotkaliśmy się osobiście. Rozumiesz? Bo już niedługo będę wiedział z pewnością, dokąd sięgają twoje kłamstwa. Niech mi Bóg wybaczy, ale już nie jesteś moim gościem.

Odsyłam cię, przynajmniej w głębi serca.

- W takim razie kim teraz jestem?

- Moim więźniem.

Sulejman wykrzyknął czyjeś imię i po chwili do pokoju wpadł Egipcjanin, a tuż za nim drugi z porwaczy, z twarzą ukrytą pod czarną kominiarką. Syryjczyk oznajmił im po arabsku, że pora przystąpić do przesłuchania agenta CIA. Nakręcenie ujęć dla telewizji Al Jazeera trzeba było odłożyć na później, gdy będzie już wiadomo, co Amerykanin ma do powiedzenia. Wstał z krzesła, pochylił się nad Ferrisem, ostentacyjnie splunął mu w twarz i wyszedł z pokoju.

Posadzili go na fotelu z drewnianymi poręczami, do których były przybite płyty pilśni z wywierconymi otworami na palce. Szeroką taśmą samoprzylepną oraz grubym kablem przytwierdzili ręce i nogi do fotela, po czym tak wetknęli dłonie od dołu w wycięcia płyty pilśniowych i też przymocowali je drutem, żeby każdy palec z osobna wychodził na zewnątrz i stanowił odrębny cel. Kiedy skończyli, Egipcjanin wniósł do pokoju ciężki żelazny młot i położył go na blacie między unieruchomionymi rękoma Ferrisa.

- Witaj w Guantanamo - powiedział.

Zostawili go tak na dwadzieścia minut. Sądząc po odgłosach docierających z sąsiedniego pomieszczenia, zjedli wspólnie obiad. Miał wrażenie, że palce cierpną mu kolejno jakby w oczekiwaniu nadchodzącego cierpienia. Czy już teraz połknąłby truciznę, gdyby nadal ją miał? Czekał go męczarnie były bezcelowe. Przyjechał tutaj, żeby umrzeć, gdyż miał nadzieję, że jego śmierć przyczyni się do uwolnienia Alice. Jednakże ona w ogóle nie potrzebowała ratunku, ponieważ nigdy nie była zakładniczką Al--Kaidy. Ktoś sprytnie postanowił wykorzystać do swoich celów jego życie upływające dotąd bez celu. Przypomniał sobie scenę z powieści Andre Malraux, którą czytał w college'u Kiedy dwóch żarliwych komunistów staje wobec perspektywy tortur, jeden z nich w geście bezinteresownego bohaterstwa decyduje się oddać ukrywaną dotąd pigułkę z trucizną drugiemu, który nie jest tak wytrzymały jak on. Ale tamten, roztrzęsiony, upuszcza tabletkę, która wpada w szczelinę między deskami podłogi, przez co żaden z nich nie może już z niej skorzystać. Dla Ferrisa ta scena była symbolem bezsensownej śmierci. Aż do teraz.

Sulejman wszedł do pokoju, tuż za nim pojawił się Egipcjanin i Arab w czarnej kominiarce. Znowu usiadł naprzeciwko Ferrisa, podczas gdy tamci dwaj zajęli miejsca z obu jego stron. Syryjczyk włożył rękawice, żeby zapewnić sobie lepszy uchwyt na trzonie młota, i pewnie po to, aby nie ubrudzić sobie palców krwią.

- Wcale nie jesteśmy w tym dobrzy - powiedział, wając ciężki młot w dłoniach. - Nie mamy zbyt wielu więź-

niów, żeby na nich trenować, ale szybko się od was uczymy. Jesteście dobrymi nauczycielami. Dlaczego Amerykanie nie potrafią zrozumieć, że skoro pozwalają wam nas torturować, narażają się na to, że pewnego dnia zastosujemy takie same tortury wobec nich? Musicie być bardzo głupi, jeśli nie zdajecie sobie sprawy, że naruszając zasady prowadzenia wojny, narażacie się na najgorsze cierpienia. A może to tylko kwestia braku wyobraźni? Chyba tak. Wy po prostu nie umiecie sobie wyobrazić, że ktoś mógłby wam zrobić coś takiego, toteż bez słowa sprzeciwu pozwalacie, by wasi ludzie robili to innym.

Uniósł wysoko masywny młot, po czym spuścił go z hukiem na pilśń tuż obok prawej dłoni Ferrisa. Ten krzyknął z przerażenia, chociaż nie został nawet muśnięty. Obaj stojący nad nim terroryści zaśmiali się w głos, tylko ich dowódca zachował powagę.

- To tylko pierwsza próba - rzekł. - Ale wiesz już, co cię czeka. Masz dziesięć palców. Zadam ci dziesięć pytań, potem dziesięć następnych i jeszcze raz dziesięć. Za każdym razem, gdy odpowiesz niezgodnie z prawdą, zmiżdżę ci jeden palec. A kiedy skończymy z palcami u rąk, przeniesiemy się na twoje stopy, potem oczy, język i zęby. Jeśli młot się złamie od nadmiaru pracy, przyniesiemy następny.

- A gdy będę mówił prawdę? - zapytał.

- Przecież jesteś kłamcą - rzucił pogardliwie Sulejman. Ponownie uniósł młot, przez chwilę balansował nim

w powietrzu, po czym spuścił go z niesamowitą siłą na najmniejszy palec prawej ręki więźnia. Nie tylko skruszył kość, ale zmiżdżył ją razem z tkankami i skórą tak, że o mało nie wbił w głąb pilśniowej płyty. Ferrisa przeszył tak nieznośny ból, że w gwałtownym spazmie omal nie pozrywał więzów, a z jego gardła wydobył się przenikliwy wrzask.

- Za głośno - uznał Sulejman. - Jeszcze ktoś usłyszy. - Wyprostował się i popatrzył na Egipcjanina. Następnie podszedł do okna i odsunął ciężką zasłonę. - Kto wybrał ten dom? W

sąsiedztwie jest za dużo ludzi. Nawet stąd ich widać, zgromadzili się przy oknie. To złe miejsce. Przed następnym palcem musicie go zakneblować, żeby nikt z zewnątrz go nie słyszał.

Egipcjanin energicznie pokiwał głową.

Ferris nadal głośno jęczał. Zmusił się, żeby popatrzeć na krwawą miazgę, jaka została z małego palca. Niewiele było trzeba, żeby okaleczyć mu doszczętnie obie ręce, by niczego więcej nie mógł trzymać, dotykać, głaskać.

- Zamknij się, jeśli łaska - warknął Sulejman. Kiedy jęki Ferrisa ścichły do ledwie słyszalnego skamlenia, rzekł: -Dziękuję. Myślę, że teraz możemy zacząć. Zadam ci pytanie, a ty na nie odpowiesz. Jeśli skłamiesz, natychmiast sięgnę po mojego przyjaciela, czyli młot.

Zrozumiano?

Ferris wychrypiął gardłowo potwierdzenie.

- W porządku. Zatem pierwsze pytanie. Kim w CIA był Harry Meeker i w jakim celu wiozł ze sobą te dokumenty?

- On nigdy nie istniał. - Nie dokończył jeszcze zdania, gdy Sulejman zaczął unosić młot, toteż wykrzyknął: - Nie! Zaczekaj! Proszę! Mówię prawdę. Harry Meeker to fałszywa postać. Już nie żył, kiedy na niego trafiliśmy. Zmyśliliśmy o nim wszystko, żeby sprawić wrażenie, że jest agentem CIA udającym się na potajemne spotkanie ze swoim informatorem z Al-Kaidy.

- Ale ten Harry Meeker miał przy sobie wiadomość dla mnie.

- Owszem, lecz ona także została sfalszowana. Chodziło o to, żeby ludzie z Al-Kaidy nabrali podejrzeń, że współpracujesz z nami.

- Wallah!

Był to okrzyk niepohamowanej wściekłości. Sulejmano-wi krew uderzyła do twarzy. W przyływie gniewu szybko uniósł młot i spuścił go na palec serdeczny, sąsiadujący ze zmiążdżonym wcześniej. Jednakże nie było to mocne uderzenie. W ostatniej chwili musiał się pohamować, uprzytomniwszy sobie, że więzień nie jest zakneblowany. Ferris znowu wrzasnął na całe gardło, bardziej ze strachu niż z bólu. I tym razem nie zamilkł tak szybko.

- Zakneblować go - rozkazał Syryjczyk.

Egipcjanin chwycił kawałek szmaty i wepchnął Ferrisowi między zęby. Jego towarzysz w czarnej kominiarce podjął nieudolną próbę zaklejenia mu ust taśmą samoprzylepną, gdy nagle ich uwagę przykuły hałasy dobiegające sprzed domu. Wszyscy trzej obejrżeli się gwałtownie. W tej samej chwili z dołu doleciała krótka seria z broni automatycznej. A Ferris pomyślał: Może jednak będzie mi dane umrzeć szybko.

Wszystko przebiegło błyskawicznie. Rozległ się brzęk tłuczonego szkła, huk eksplozji, nagły rozbłysk oślepiającego światła, potem trzask drzwi wyważanych z zawiasów, okrzyki ludzi, kolejne serie z broni automatycznej. Pokój wypełnił gęsty gryzący dym, od którego wszyscy zaczęli się krztusić i charczeć. Ferris usłyszał, że do środka wpadają jacyś ludzie. Oślepiony Sulejman, klnąc na cały głos, próbował na oślep dotrzeć do okna, ale napastnicy błyskawicznie powalili na podłogę i jego, i dwóch pomocników. Na dole padły kolejne strzały, ale już po piętnastu sekundach kanonada ucichła. Widocznie wszyscy strażnicy zostali zabici. Dym zaczął się powoli rozwiewać i Ferris stopniowo odzyskał zdolność widzenia.

Ujrzał Sulejmana wyciągniętego na podłodze, związanego i zakneblowanego.

Ludzie w czarnych mundurach sił specjalnych sprawnie zapakowali go do plastikowego worka na zwłoki i wynieśli z pokoju. Inni postąpili tak samo z dwoma pomocnikami oprawcy, także zapakowawszy ich do plastikowych worków.

Chwilę później, kiedy trzech członków Al-Kaidy znalazło się na zewnątrz, ktoś przyszedł po Ferrisa. Miał na sobie czarny kombinezon, niczym samurajski ninja, sprawiał jednak wrażenie sanitariusza. Ostrożnie porozcinał więzy mocujące jego dłonie do stołu tortur i zaczął delikatnie obmacywać zmiążdżone palce.

- Jeden straciłeś - orzekł w końcu. - Ale drugi być może uda się jeszcze uratować.

Mówił po angielsku z wyraźnym arabskim akcentem, toteż Ferrisa obleciał strach, że wpadł z deszczu pod rynnę i z więźnia przetrzymywanego w kryjówce Al-Kaidy stał się teraz więźniem, który trafi do syryjskiego aresztu. Sanitariusz pospiesznie obmył miejsce na jego przedramieniu wacikiem z alkoholem i wbił igłę strzykawki. Już po kilkunastu sekundach Ferris pogrążył się w narkotycznym półśnie, a wkrótce stracił przytomność.

35

Trypolis, Liban

Ocknął się na żelaznym sprężynowym łóżku, w nakrochmalonej na sztywno białej pościeli, uwięziony między poręczami jak w łóżeczku dla niemowląt. Nie miał pojęcia, czy znajduje się w więzieniu, czy w szpitalu. Spojrzał na swoją prawą dłoń, której serdeczny palec tkwił unieruchomiony w łubkach. Małego w ogóle nie było, jego resztki najwyraźniej amputowano. Chciał się poruszyć, ale był unieruchomiony szerokim skórzanym pasem biegnącym przez pierś. Przekreślił głowę i popatrzył na wielki bukiet kwiatów w wazonie na szafce przy łóżku. Wciągnął głęboko powietrze, łowiąc ich zapach. Uzmysłował sobie, że nie może być w więzieniu, skoro w pokoju stoją kwiaty.

Nie minęło nawet dziesięć minut od chwili, jak odzyskał przytomność, gdy drzwi się otworzyły i stanęła w nich pielęgniarka. Powiedziała kilka arabskich słów do kogoś na korytarzu. Ferris przesunął się nieco, wyciągnął szyję i ujrzał śniadego żołnierza stojącego na straży przed jego pokojem. Zrozumiał, że niezależnie od tego, gdzie się znalazł, nadal był w świecie arabskim. Kiedy pielęgniarka spostrzegła, że się ocknął, rozpięła skórzany pas mocujący go do łóżka i pomogła usiąść, spiętrzając poduszkę za plecami. Zapytała, czy tak będzie wygodnie, odparł więc, że tak. Obejrzała oba opatrunki, i ten na palcu ściśniętym w łubkach, i ten w miejscu po amputowanym, po czym oznajmiła, że rany ładnie się goją.

- Ktoś chciałby się z panem zobaczyć, jeśli czuje się pan na siłach - powiedziała.

Pomogła mu stanąć na nogi. W głowie mu się jeszcze kręciło od leków, ale mógł chodzić o własnych siłach. Podała mu ubranie. Przyjrzał mu się ze zdumieniem i dopiero po chwili zrozumiał, że to jego własne rzeczy, zabrane z szafy w sypialni mieszkania w Ammanie. Nie miał pojęcia, co to może oznaczać.

- Gdzie ja jestem? - zapytał.

- W Trypolisie - odparła pielęgniarka. - W Libanie.

Czyżby śnił? Poprosiła, żeby się ubrał, i obiecała, że wróci za pięć minut, by go zaprowadzić na spotkanie. Dotrzymała słowa i wskazała drogę korytarzem do ciężkich dębowych drzwi.

Zapukała i zawołała:

- Ya, Pasha.

Kiedy ze środka ktoś odpowiedział po arabsku, nacisnęła klamkę.

-

Hani Salaam siedział w jednym z dwóch obszernych foteli stojących w przeciwległym końcu pokoju. Palił cygaro i spojrzał na niego z wyrazem bezgranicznej satysfakcji na twarzy. Gapiąc się na niego wytrzeszczonymi oczami, Ferris pomyślał, że chyba jeszcze nigdy nie widział aż tak szczęśliwego człowieka. Gra dobiegła końca. Przed nim siedział arabski odpowiednik Prospera, który rozkazywał morzu i niebiosom, wyznaczał role poszczególnym aktorom, tworzył potwory i iluzje, którego niewidoczna ręka reżyserowała każdą chwilę dramatu tylko pozornie reżyserowanego przez innych i która potrafiła zamienić białe w czarne, a potem z powrotem w białe.

- Mój drogi - powitał go Jordańczyk, zatapiając w serdecznym uścisku. - Wyglądasz całkiem nieźle, biorąc pod uwagę to, co ostatnio przeszedłeś. Masz ochotę na cygaro? Proszę. Musisz zapalić. Jesteś bohaterem. Ocaliłeś więcej istnień ludzkich, niż mógłbyś sobie wyobrazić, pewnie nawet więcej, niż moglibyśmy się doliczyć.

Ferris popatrzył na Haniego. Mimo wzbierającej w sercu złości uśmiechnął się mimowolnie. Pasza miał jak zwykle starannie przystrzyżone wąsy oraz włosy, które wyglądały na świeżo

ufarbowane, gdyż lśniły jak u gwiazdy filmowej. Był ubrany w nową sportową marynarkę, granatowy kaszmirowy sweter w cienkie żółte prążki oraz połyskujące nowością skórzane pantofle.

- Tak, chętnie zapalę cygaro.

Hani podał mu długą i pękatą „Romeo y Julietę”, rozmiaru znanego jako „Churchill”. Kiedy wetknął cygaro

między zęby, Jordańczyk zapalił długą zapałkę i przytknął płomień do jego końca, aż zaczęło pulsować czerwonym żarem w rytm oddechu Amerykanina.

Ferris wydmuchnął kłęb dymu, podniósł nogę, oparł stopę na wyściełanym podnóżku stojącym między nimi i rzekł:

- Jesteś mi winien palec.

- Tak, to prawda. Jesteśmy ci zresztą winni dużo więcej. Ale możesz być pewien, że wynagrodzimy ci wszystkie straty. Bo traktujemy cię jak własnego syna. Od początku tak było. I przez to wielkim bólem była dla nas konieczność oszukania ciebie. Ale jak mówicie wy, Amerykanie, zrobiliśmy to w słusznej sprawie. Tą myślą się pocieszam. Wiem, że nie zwróci ci ona straconego palca. Bardzo mi przykro z tego powodu. Sądziłem, że moi ludzie dotrą na czas. Nie podejrzewałem, że przesłuchanie zacznie się tak szybko. Ale jak tylko usłyszeliśmy twój krzyk, wkroczyliśmy do akcji.

- A więc to wszystko twoja robota - rzekł Ferris, odczuwając dziwną mieszaninę podziwu i wściekłości. - Ty zorganizowałeś to przedstawienie. Hoffman nie miał o niczym pojęcia.

- Zgadza się, to było moje przedstawienie. - Jordańczyk zaciągnął się dymem z cygara. - To mój świat. Ja go rozumiem. Wy, Amerykanie, jesteście tu tylko gośćmi. Próbujecie wszystko pojąć, ale jest to dla was niemożliwe. Dlatego popełniacie błędy. Z przykrością muszę powiedzieć, że ty też jesteś arogancki. Nie zdajesz sobie sprawy, czego nie rozumiesz. Kiedy to zrozumiałem po naszej wspólnej żalostnej akcji w Berlinie, uświadomiłem sobie, że będę musiał wziąć sprawy w swoje ręce.

Ferris pokiwał głową. To była prawda. Nie dało się temu zaprzeczyć.

- A jaką rolę mnie wyznaczyłeś? Pionka na szachownicy?

- Nic podobnego, mój drogi. Byłeś moim agentem, moją wtyczką w szeregach CIA. Miałem na ciebie oko od chwili twego przybycia do Ammanu. Nie mogłem cię zwyczajnie zwerbować, nigdy byś nie poszedł na taką współpracę. Dlatego zostałeś moim wirtualnym agentem.

Ferris zaśmiał się w głos.

- Ja i Hoffman mniej więcej tak samo postąpiliśmy w stosunku do Sadikiego. Mieliśmy nadzieję, że uda nam się schwytać Sulejmana, używając architekta jako wirtualnego agenta, jeśli wolno mi posłużyć się twoimi słowami.

- Ale wyszło to raczej śmiesznie, nie sądzisz? Jordania należy do mnie. Na jej terenie mogę sprawować kontrolę nad wszystkim i nad każdym. Wykorzystywałem Sadikiego do własnych potrzeb już od kilku lat. Ed Hoffman naprawdę sądził, że pozwolę mu prowadzić taką grę na moim podwórku i że o niczym nie wiem?

- Jak sam powiedziałeś, my, Amerykanie, w rzeczywistości wiemy dużo mniej, niż nam się wydaje.

- Dziękować Bogu, że wciąż macie przyjaciół. Przyznam jednak szczerze, że nie rozumiem powodów, dla których ktokolwiek chce wam jeszcze pomagać. Oczywiście pomijam fakt waszego niezmiernego bogactwa. A wracając do sprawy, rzeczywiście odkryłem, że ludzie Hoffmana zbierają informacje o Omarze Sadikim i jego bracie, najwyraźniej szykując jakąś nową głupią operację. Wtedy uznałem, że sprawy zaszły za daleko. Poza tym miałem już ciebie, Roger. Wspaniałą przynętę, którą mogłem podetknąć pod nos tym z Al-Kaidy.

Człowieka, który z łatwością mógł uchodzić za zdrajcę CIA. Muzułmanina z amerykańskiego wywiadu, legitymującego się wiarygodnym rodowodem.

- Skąd wiedziałeś, że pochodzę z muzułmańskiej rodziny? Oczywiście zakładając, że to prawda, że nie wysłałeś do nich Sadikiego z plikiem podrobionych dokumentów.

- Wiedziałem to, ponieważ zarządziłem szczegółowe badania. Wy, Amerykanie, myślicie, że jesteście jedynymi ludźmi zdolnymi do skrupulatnej pracy, mylicie się jednak. Miałem przeczucie i dlatego kazałem cię sprawdzić. Mówiąc szczerze, nawet bardzo drobiazgowo. Moi ludzie przejrzeni w Stanach Zjednoczonych sterty papierów, od spisów ludności po manifesty statków z emigrantami przybijających do Ellis Island. Wysłałem swoich specjalistów do Bośni, żeby porozmawiali z twoimi krewnymi, o których istnieniu nawet nie masz pojęcia. Mój agent rozmawiał z twoją matką, żeby sprawdzić, czy ma w domu jakieś dokumenty. I wreszcie wysłałem cały zespół analityków do Trypolisu, żeby przejrzeni stare księgi z czasów imperium otomańskiego. Potrzebowałem dowodów, bo zdawałem sobie sprawę, że ludzie Sulejmana także będą chcieli sprawdzić dokumenty. W końcu nie są głupcami, przyjacielu. Zatem musiałem zdobyć autentyczne papiery. No i dotarłem do nich. Twój dziadek w rzeczywistości nazywał się Mohamed Fares, ale po wylądowaniu w Ameryce zataił prawdziwe imię i nazwisko. Tyle że, mój drogi, jesteśmy na ziemi, z której biorą się wszelkie tajemnice. Nazywamy je taajyya.

- Zapożyczyłem od ciebie to słowo - wtrącił Ferris. -Wydawało mi się, że rozumiem jego znaczenie.

- Otóż, mój drogi, taajyya nie jest czymś, co możesz rozpakować z wielu warstw papieru. Dla muzułmanina to sposób na przetrwanie. Twój dziadek rozumiał taajyyę. I dzięki taajyyi jesteś tu dzisiaj. Takie rozumienie wywodzi się z życia na pustyni, gdzie liczy się tylko przetrwanie.

Nie ryzykujemy swojego najcenniejszego skarbu dla żadnych innych celów.

Ferris zaczął wspominać cały wysiłek, jaki razem z Hoffmanem włożyli w przygotowanie mistyfikacji - spotkania w Abu Dhabi, Bejrucie i Ankarze, zdjęcia, nagrania. Włożyli w to mnóstwo pracy i opłaciło się, ale wyłącznie na użytek Haniego. Był wściekły na Jordańczyka, ale nie mógł się opanować, by nie skostatować z uśmiechem, jak bardzo dali mu się wodzić za nos.

- Zbudowana przez nas legenda Sadikiego tylko ułatwiła ci zadanie, prawda?

- Bardzo ułatwiła. Mogliśmy jeździć na tym jak na łysej kobyle. Jak tylko włączyliście Sadikiego do gry, ja uczyniłem to samo. Nakłoniłem go, żeby skontaktował się ze swoim łącznikiem z Al-Kaidy, bo musisz wiedzieć, że utrzymywał z nimi sporadyczne kontakty, i przekazał, że pewien niezadowolony agent CIA chce im ujawnić amerykańskie tajemnice. Oczywiście nie uwierzyli, ale byli bardzo zainteresowani. Po pierwszym spotkaniu z tobą dostarczył łącznikowi materiały, rzecz jasna, pochodzące ode mnie. W większości dotyczyły starych spraw, były to zestawienia już nieużywanych numerów telefonów komórkowych czy wykazy zaniechanych operacji terenowych. Dostarczyłem im wspaniały materiał związany z moją akcją berlińską i waszymi rozgrywkami z Amarym. Dopiero wtedy zaczęli się ludzi nadzieją, że mają do czynienia z autentycznym zdrajcą CIA, który rzeczywiście chce im ujawnić tajemnice agencji. Za każdym razem, gdy wzywałeś Sadikiego na spotkanie, ja wręczałem mu kolejne porcje materiałów dla Al-Kaidy. Przez cały ten czas, mój drogi, gdy szykowaliście swoje przedstawienie, zarazem urabialiście grunt dla mojej operacji. Nawet nie wiesz, jak bardzo mi były na rękę wasze zdjęcia przedstawiające Sadikiego w Abu Dhabi, Bejrucie i Stambule, że nie wspomnę już o Londynie i Paryżu. W dodatku dopisało mi szczęście.

- Zrobiłeś z nas głupców.

- Niezupełnie. Po prostu was wykorzystałem. A raczej wykorzystałem wasz scenariusz. Jesteście supermocarstwem i przy każdym najdrobniejszym ruchu wzbudzacie silne turbulencje powietrza, tylko wam się wydaje, że potraficie coś zrobić po cichu i w sekrecie. A

nam czasem dopisuje szczęście i możemy niepostrzeżenie wskoczyć wam na barana, żeby zaoszczędzić sobie sił.

- A co z tą przechwyconą rozmową telefoniczną Sulejmana? I późniejszą wiadomością tekstową wysłaną pod numer jego komórki? To także była twoja robota?

- Tak. Obawiam się, że tak. Musieliśmy bardzo mocno naciągnąć strunę, by mieć pewność, że dasz się nakłonić na to końcowe rendez-vous. Musiałeś być przeświadczony, że wasza głupia rozgrywka przyniosła rezultaty. Znaleźliśmy w naszych bazach danych rozmowę telefoniczną Sulejmana przechwyconą jeszcze przed laty. Przykro mi, ale naprawdę bardzo łatwo jest wami manipulować.

Ferris lekko zaklaskał w dłonie, jakby rzeczywiście siedział na widowni i spoglądał na scenę, która zniknęła za opadającą kurtyną.

- To imponujące. Jedyna rzecz, której ci nie wybaczę, to wciągnięcie do tej brudnej rozgrywki Alice. Ona miała ułożone życie w Jordanii, uwielbiała Amman, a ty to zniszczyłeś. Teraz nie będzie już mogła tam wrócić. Wszyscy zaczęliby ją traktować jak twoją agentkę.

- Mój drogi, w Jordanii wszyscy są moimi agentami. Dlaczego ona ma być wyjątkiem? Muszę ci jednak wyznać szczerze, że jesteś bardzo naiwny, jeśli sądzisz, że tylko ja naraziłem ją na niebezpieczeństwo. Ty też maczałeś w tym palce. Al-Kaida naprawdę mogła ją porwać, gdybyśmy zawniczyli jej, nazwijmy to, troskliwą opieką. Nie masz powodu się na mnie złościć. Przez cały czas panowałem nad sytuacją. - Głęboko zaciągnął się cygarem, zadarł głowę i wypuścił w kierunku sufitu idealne kółko z dymu.

- Tak bardzo się o nią bałem, Hani. Byłem gotów umrzeć, byle ją tylko uratować. A ty to wykorzystałeś. I zapewne na to liczyłeś. Bez tego twój plan spełzyłby na niczym. Z mojej miłości do Alice zrobiłeś własną broń. Jak mógłbym ci to wybaczyć?

Jordańczyk milczał przez jakiś czas. Popatrzył przez okno na rozległą oszkloną werandę szpitala i błękitne fale Morza Śródziemnego, zanim odwrócił się do Ferrisa. Po raz pierwszy w jego oczach pojawił się cień żalu, choć i on nie był w stanie przyćmić triumfalnych błysków.

- Przykro mi z tego powodu, Roger. Liczyłem na twoją szlachetność, ale prawdę powiedziawszy, każdy mężczyzna na twoim miejscu postąpiłby tak samo. Nie zdawałem sobie sprawy, jak bardzo ją kochasz, dopóki nie znaleźliśmy się razem w jej mieszkaniu. Powiem ci jednak szczerze, że ta świadomość tylko zdopingowała mnie do wysiłków, aby wszystko poszło zgodnie z planem. Nawet na chwilę nie spuszczałyśmy cię z oka. Na butach miałeś proszek, którego ślady pozwalały śledzić każdy twój krok. W tkaninę marynarki, którą dał ci taksówkarz, były wszyte miniaturowe nadajniki radiowe. Zyskaliśmy nawet obietnicę pomocy samego prezydenta Syrii, gdyby coś poszło nie tak.

Ferris pokiwał głową, ale nie mógł przestać myśleć o Alice. Aż poczerwieniał ze złości.

- Była bita, kiedy porywaliście ją z mieszkania przed wywiezieniem do Hamy. Widziałem ślady krwi na podłodze.

- Po pierwsze, mój drogi, nikt jej nie porwał. A już na pewno nie była bita, na miłość boską. Jakiś miesiąc temu dobrowolnie oddawała krew w ambulatorium palestyńskiego Czerwonego Krzyża i już wtedy przyszło mi do głowy, że może mi się przydać. Nie musieliśmy się nawet włamywać do jej mieszkania. Wpuściła nas do środka z własnej woli, z tej prostej przyczyny, że sądziła, iż w ten sposób pomoże tobie.

- Naprawdę do niczego jej nie zmuszaliście?

- Absolutnie do niczego. Alice odznacza się dużo bardziej skomplikowanym charakterem, niż mogłoby ci się wydawać. Prowadzi życie, którego nie rozumiesz. Naprawdę podejrzewasz, że ktoś taki mógłby pracować na terenie Jordanii i swobodnie się poruszać po obozach palestyńskich, nie mając żadnych kontaktów z Mukhabara-tem? Nie mówię tego, żeby cię zdenerwować, ale uspokoić. Jak wszystko, co bezcenne, prawdziwa Alice ukrywa się za

woalem. Zamartwiała się o ciebie od bardzo dawna, mój drogi, i z jakichś przewrotnych, sobie tylko znanych powodów, kocha cię równie mocno, jak ty ją.

Ferris zamrugał szybko, ale nie zdążył powstrzymać łez cisnących się do oczu. Naprawdę niczego nie rozumiał?

- Muszę się z nią zobaczyć. Gdzie ona jest?

- Niedaleko. Już wie, że nic ci się nie stało. Kwiaty w twoim pokoju są właśnie od niej.

- Mogę się z nią zobaczyć?

- Oczywiście, mój drogi. Jesteś wolnym człowiekiem. Myślę jednak, że najpierw powinniśmy porozmawiać o Edzie Hoffmannie.

Ferris, zdumiony, ciężko klapnął na fotel. Dopiero teraz uświadomił sobie, jak bardzo odmienił go ciąg wydarzeń, skoro od czasu przebudzenia się w szpitalu ani razu nie pomyślał o szefie swojego wydziału.

- Już wie, co się stało?

- O tak, przynajmniej z grubsza. Jest teraz w Ammanie. Właśnie dlatego przywieźliśmy cię tutaj, jeśli mam być szczery. Nie dość, że znalazłeś się w rodzinnym mieście swoich przodków, to możesz tu pozostać niewidzialny, dopóki nie zdecydujesz, jak chcesz załatwić swoje sprawy z Edem.

- Musi odchodzić od zmysłów. Ta sprawa zniszczy mu karierę.

- Nic podobnego. Wręcz przeciwnie, to może być godzina jego triumfu. A przynajmniej tak może to postrzegać wielu jego przełożonych z Waszyngtonu. Wspólnie zajmiemy się penetracją siatek Sulejmana w Pakistanie, Iraku, Syrii i Europie. Chyba nie zabrzmiałoby to jak czcza przechwątka, jeśli powiem, że to nasz największy sukces w walce z Al-Kaidą. Sulejman wyrastał na człowieka, wokół którego wszystko się kręci. Teraz, gdy go zniszczyliśmy, Al-Kaida przez lata nie powinna znaleźć nikogo, kto by go zastąpił.

- I cały świat będzie uważał, że przyczyniła się do tego operacja Hoffmana?

- Oczywiście. Rzeczywiste operacje wywiadowcze na zawsze pozostają ścisłą tajemnicą. Wy, Amerykanie, tego też nie rozumiecie. Jesteście niezdolni do zachowania tajemnicy, ponieważ panuje u was demokracja. Ale my nie mamy z tym żadnego problemu. Co się tyczy zaszczytów, ahlan wa sahlan, wszystkie mogą przypaść wam. A może raczej Edowi. Z tobą jest trochę więcej kłopotu.

- Dlaczego? Przecież to mnie zawdzięczacie sukces. Oczywiście nie byłby on możliwy bez twojego udziału, Hani Pasza.

- Chyba jeszcze nie myślisz, mój drogi. Ed Hoffman będzie przeświadczony, że od samego początku pracowałeś

dla mnie. Tylko z naszego punktu widzenia byłeś moim agentem wirtualnym, dla Eda musiało dojść do rzeczywistej współpracy. Jest parę nieciekawych szczegółów. Chociażby to, że pochodzisz z rodziny muzułmańskiej, twój dziadek wyemigrował z sunnickiego Trypolisu w Libanie, a ty nigdy nie ujawniłeś tego swoim przełożonym. Obawiam się, że twoja sytuacja stanie się niezręczna.

- Przecież sam o tym wszystkim nie wiedziałem. To ty odkryłeś prawdziwą historię mojej rodziny.

- Owszem, tylko czy Ed Hoffman w to uwierzy? A jeśli nawet, to czy uwierzy dowódca kontrwywiadu CIA, inspektor generalny albo obaj przewodniczący Komisji do Spraw Wywiadu, senackiej i kongresowej? Będą mieli do ciebie setki pytań. W dodatku charakter tych pytań bardzo ci utrudni dalszą służbę w agencji. Ludzie będą cię uważali za mojego agenta. I będą mieli rację.

Ferris zamknął oczy i uniósł zdrową rękę do czoła, żeby pomasażować skronie. Musiał to wszystko przemyśleć. Niczego już nie był pewien. Nie wiedział, w jakim miejscu się znalazł i w jakim kierunku chciałby dalej pójść. Miał wrażenie, że nie po to przebył szmat drogi, żeby teraz zabijać tylko czas na przeszklonej werandzie szpitala.

Hani po raz ostatni zaciągnął się dymem z cygara i odłożył je na popielnicę. Wypalił je niemal do końca.

- Według twoich kryteriów nie da się udowodnić, że byłeś agentem jordańskiego wywiadu. Ale patrząc na sprawę obiektywnie, naprawdę wcieliłeś się w rolę mojego agenta.

Kontrolowałem twoje poczynania i wyznaczałem cele, a więc kierowałem tobą. Moim zdaniem fakt, że nie byłeś tego świadom, ma już drugorzędne znaczenie. Ważniejsze natomiast jest to, że niezależnie od tego, co powiesz, i niezależnie od liczby badań z wykrywaczem kłamstw, które przejdziesz pomyślnie, Hoffman i jego przyjaciele nigdy nie uwolnią się od podejrzeń wobec ciebie. Przykro mi, ale właśnie tak przedstawia się twoja sytuacja.

- To bzdura, Hani. Zakładając jednak, że naprawdę tak jest, co według ciebie powinienem zrobić?

- Wszystko sprowadza się do tego, że zwyciężyłeś. Możesz teraz robić, co ci się żywnie podoba.

Zapatrzył się przez okno na światło dnia, czyste i klarowne, docierające do tak wielu mrocznych miejsc. Uzmysłowił sobie, że Hani mówi prawdę, przynajmniej w znacznym stopniu. Na swej drodze życiowej przekroczył pewną granicę, zza której nie było już powrotu. Dręczyło go jednak poczucie niespełnionej misji. Uszedł z życiem, lecz zginęło mnóstwo niewinnych ludzi, a zbyt wielu zabójców pozostawało na wolności. Z drugiej strony, czuł się jak pacynka na palcu mistrza. Odegrał swoją rolę, ale przedstawienie jeszcze się nie skończyło. Wiedział to lepiej niż ktokolwiek inny. W końcu to on pierwszy wpadł na trop siatki Sulejmana, jako pierwszy usłyszał to imię od irackiego informatora w brudnej szopie na południe od Tikritu. To była jego sprawa. Tylko jego, a nie Hoffmana, nawet nie Haniego. A przecież nie została załatwiona do końca. W jednej zasadniczej sprawie Jordańczyk się mylił. Jeszcze nie zwyciężył.

Kiedy zamknął oczy, z jego pamięci wypłynęła twarz przeciwnika. Pozwolił sobie utrwalić w pamięci tamten pokój w Aleppo, drewniany fotel z przymocowanym blatem do tortur, przez którego otwory wystawały na zewnątrz jego palce, kamerę wideo na statywie i te diaboliczne błyski w oczach Syryjczyka, będące wyrazem pewności, że w pełni panuje nad sytuacją. Zamierzali zmontować film. Tak

przecież mówili. Film przeznaczony dla telewizji Al Ja-zeera. Tylko co miał przedstawiać ten film? To pytanie odbiło się głośnym echem w jego umyśle i nagle stało się dla niego oczywiste, jak powinien postąpić. Odwrócony plecami do Jordańczyka, wręcz nieskazitelnego w eleganckim ubraniu, za zasłoną z kłamstw, powiedział:

- W porządku, Hani. Niech będzie po twojemu. Jestem twoim agentem. Przynajmniej „obiektywnie rzecz biorąc”. Rzeczywiście nikt nie uwierzy, że naprawdę było inaczej. Ale skoro już jestem twoim agentem, musisz mi teraz przydzielić ostatnie zadanie.

- Jakie mianowicie, mój drogi? - zapytał Hani, na którego twarzy wciąż malował się wyraz wielkiego zadowolenia z siebie. Według niego przedstawienie dobiegło końca. Najwyraźniej nie mieściło mu się w głowie, że Ferris zapragnie dopisać ostatni akt.

- Chcę mieć swój udział w zniszczeniu siatki Sulejmana. Jordańczyk zaśmiał się krótko. Chyba uznał, że Ferris żartuje.

- Nie bądź chciwy, przyjacielu. To kolejna poważna wada Amerykanów. Przecież mamy Sulejmana. Wkrótce będziemy też mieć wielu jego ludzi. To dla ciebie za mało? Czego więcej nam potrzeba?

- Doszczętnego zniszczenia przyświecającej mu idei. To prawda, że schwytaliśmy jego i złapiemy wielu jego ludzi, ale znajdą się inni, równie sprytni i rozgoryczeni. Już teraz w Iraku mogą ich werbować do woli. Tak więc to wcale nie koniec. Kiedy pracowałem z Hoffmanem, marzyło mi się wytworzenie trucizny, która skaziłaby wszystko, czegokolwiek Sulejman

dotykał, jego i jego idee, ale też i jego ludzi. Zaraziłaby ich radioaktywnością na sto lat. Ten cel nadal jest przed nami, nadal potrzebujemy trującej pigułki. Ale teraz to ja mogę być tą pigułką.

- O czym ty mówisz, Roger? Jesteś ranny i pooklejany opatrunkami, ledwie trzymasz się na nogach.

- Ale myślę klarownie. Mogę przestać zachowywać się jak dureń i zdobyć się na spryt. A ty mi w tym pomożesz, Hani Pasza. Tylko o to cię proszę w ramach rewanżu za to, co dla ciebie zrobiłem. Chcę dokończyć dzieła.

Hani poruszył się niespokojnie w fotelu. Dotarło do niego, że Ferris mówi całkiem poważnie.

- A co z Alice? - zapytał.

- Nie pokocha mnie szczerze, dopóki nie zakończę tej sprawy. Właśnie dlatego muszę ją dokończyć.

- Doskonale. Zatem zamieniam się w słuch, mój drogi. Zgodzę się na wszystko, jeśli tylko nie będziesz chciał zrujnować tego, co do tej pory osiągnęliśmy.

- Muszę ci najpierw zadać jedno pytanie. Czy zabraliście kamerę wideo, która stała w kryjówce Sulejmana w Aleppo?

- Naturalnie. Stała w kącie pokoju, w którym byłeś przesłuchiwany, o ile można w ten sposób nazwać to, co ci zrobili. Moi ludzie przywieźli ją z Aleppo na wypadek, gdyby nagranie zawierało coś cennego. Powinna być w sąsiednim pokoju, jeśli się nie mylę.

- Doskonale. To nam ułatwi zadanie. Wysłuchaj mnie uważnie, ustaaz Hani. Ty jesteś nauczycielem, a ja twoim uczniem. Ale mogę ci chyba podsunąć dobry pomysł.

Hani wysłuchał go uważnie. Bo i jak miałyby tego nie zrobić? Tymczasem Ferris w zasadzie głośno się zastanawiał, na bieżąco układając zarys planu, w którym uwzględniał zarówno pomysły Hoffmana, jak i Haniego, a nawet samego Sulejmana, dopóki nie powstało coś, co uznał za budzące nadzieję. Jordańczyk przyjmował to z rezerwą. Nie należał do zuchwałych hazardzistów. Miał wystarczająco dużo doświadczenia, żeby zgarnąć wygrane dotąd żetony do kieszeni i odejść od stołu. Ale w tym kasynie Ferris miał realną szansę na rozbicie banku. Dlatego Hani nawet nie próbował odwozić go od jego pomysłu. Dobrze wiedział, że Amerykanin i tak spróbuje go wcielić w życie, niezależnie od jego stanowiska. A w tym zakresie decyzja nie należała do niego. Ferris mógł być jego agentem, „obiektywnie rzecz biorąc”, lecz tylko on był w stanie poprowadzić tę operację.

36

Nikozja /Damaszek

Twarz Sulejmana była widoczna po drugiej stronie grubego szklanego wizjera wmontowanego w drzwi celi.

Oczy miał podkrążone, jego mina świadczyła o silnym napięciu nerwowym i przemęczeniu. Jednakże nawet w niewoli, w tym tajnym cypryjskim więzieniu, gdzie Hani umieścił go po wywiezieniu z Syrii, sprawiał wrażenie człowieka w pełni panującego nad sobą. Utracił swą artystycznie wyszywaną czapeczkę modlitewną, zabrali mu też miękki chałat, który nosił w Aleppo. Miał na sobie zwykły strój więzienny, nawet nie amerykański pomarańczowy kombinezon, ale szary bawełniany dres cypryjskiego więźnia. Jednakże i to nosił z wrodzoną sobie godnością. Z samego wyglądu widać było, że niełatwo będzie go złamać. Zanosilo się na to, że dopiero brutalne i krwawe tortury skłoniłyby go do mówienia, i nawet jeśli Hani był na nie przygotowany, wołał się wstrzymać z patroszeniem człowieka zdolnego wyjawic im wiele cennych tajemnic. Dlatego wołał na razie poczekać, przynajmniej do czasu, aż odkryje te najczulsze pod względem psychologicznym miejsca, których wykorzystanie powinno przynieść pożądany efekt. Niemniej i w tym zakresie spodziewał się poważnych trudności.

- Niech sam się załamie - zasugerował Ferris jeszcze w Trypolisie, co zresztą skłoniło Haniego do wniosku, że Amerykanin naprawdę stał się innym człowiekiem. Zrozumiał

wreszcie, że nie da się rozbić kamienia innym kamieniem, że trzeba go skruszyć, wykorzystując pęknięcia, które już są w nim obecne. Wystarczyło je odnaleźć, a potem tylko zastosować delikatny nacisk. Pod tym względem Ferris stał się prawdziwym człowiekiem Wschodu, skoro zaczynał czerpać z przyrodzonych umiejętności, jakie miał już we krwi. Razem przylecieli na Cypr z Trypolisu helikopterem jeszcze tego samego popołudnia, żeby nie tracić czasu. Hoffman wciąż czekał w Ammanie, nie mając pojęcia, co się dzieje, i czerpiąc bez ograniczeń z niezасłużonej sławy. Natomiast Alice czekała w Libanie. Ferris nie chciał się jeszcze z nią spotkać, dopóki nie mógł się jej poświęcić całkowicie, uwolniony od brzemienia kłamstw. Przylecieli więc tylko we dwóch, jak gdyby zatoczywszy pełne koło od czasu tamtej operacji w zapuszczonym berlińskim mieszkaniu. I razem stanęli przed celą swojej zdobyczy, jeszcze nieświadomej ich obecności.

Hani wprowadził go do pustej celi w głębi korytarza. Ferris znów miał na sobie brudne ubranie z Hamy, szorstkie płócienne spodnie i przepoconą koszulę. Na obu jego policzkach czerwieniały rozległe obrzęki. Uparł się, żeby któryś z ludzi Jordańczyka stłukł go po twarzy, jakby był ulicznym informatorem, któremu się w głowie przewróciło. Zdjęli mu także bandaż z palców, przez co widoczne były zakrwawione, ropiejące rany. Wówczas Amerykanin oznajmił, że jest gotów na przesłuchanie. Ale na razie to nie Sulejman miał odpowiadać na pytania, a właśnie on, Roger Ferris.

Usiadł na rozchwierutanim drewnianym krzeselku i spokojnie zaczekał, aż ludzie Haniego przywiążą mu ręce i nogi. Na pokój przesłuchań wybrali obskurną, brudną i wilgotną celę. Po ścianach spływały kropelki wilgoci, pienił się grzyb, cuchnęło stęchlizną. Naprzeciwko niego znalazła się kamera wideo Sulejmana, rozstawiona na tym samym statywie, na którym stała w Aleppo. Hani zajął miejsce obok niej, poza polem widzenia obiektywu.

- Jedziemy - oznajmił Ferris.

Zaczekał, aż Jordańczyk uruchomi kamerę, po czym zaczął mówić z ociąganiem, gardłowym głosem człowieka zmuszonego do tych wyznań torturami:

- Nazywam się Roger Ferris. - Wypadło to nieco bełkotliwie, mało wyraźnie, jakby był u kresu sił. - Pracuję dla Centralnej Agencji Wywiadowczej.

Spuścił głowę i wpatrzył się w posadzkę. Po chwili ukrył zranioną dłoń w drugiej, jak gdyby się bał utraty następnego palca. Hani ostro rozkazał mu mówić po arabsku, toteż Ferris zaczął jeszcze raz, powoli, cedząc słowa jak w początkowej fazie uczenia się języka obcego:

- Nazywam się Roger Ferris i pracuję dla Centralnej Agencji Wywiadowczej. To moje zeznanie. Przez wiele lat brałem udział w operacjach terenowych, których celem było przeniknięcie do struktur organizacyjnych Al-Kaidy. Próbowaliśmy podstępem nakłaniać muzułmanów, żeby dla nas szpiegowali. Przepraszamy za to wszystkich wyznawców islamu.

Urwał i lekliwie zerknął z ukosa na Haniego. Jordańczyk bezceremonialnie dzielił go po twarzy. Ferris aż jęknął, i to nie tylko na użytek nagrania wideo. Naprawdę otrzymał cios zadany ze znaczną siłą.

Poczuł, jak krew napływa mu do stłuczonego miejsca.

- Powtórz nazwisko - warknął Hani. - Kto jest waszym informatorem?

Ferris milczał jeszcze przez chwilę, jakby słowa z trudem przechodziły mu przez gardło. Raz i drugi zerknął bykiem na swego oprawcę i powoli uniosł dłoń do stłuczonego policzka.

- Naszym agentem był Syryjczyk, niejaki Karim al-Shams, który kazał się nazywać Sulejmanem Wspaniałym. Pretendował do miana głównego planisty operacji terenowych Al-Kaidy. Ale równocześnie szpiegował organizację na rzecz CIA. Przepraszamy za to wszystkich wyznawców islamu. Pracowaliśmy na zlecenie diabła. Przepraszamy wszystkich muzułmanów.

Zza kamery znów błyskawicznie pojawiła się ręka przesłuchującego. Tym razem Hani uderzył go tak mocno, że Ferris zwałił się razem z krzesłem na podłogę. Leżał i jęczał żałośnie, dopóki Jordańczyk nie wyłączył kamery.

- Jezu... - syknął, próbując sobie rozmasować twarz kiedy Hani rozwiązał mu ręce i pomógł z powrotem usiąść na krześle. - To musiało wyglądać cholernie dobrze.

Wezwali cypryjskiego lekarza, żeby opatrzył Ferrisa. Hani uparł się przy tym. Rozumiał konieczność brutalnego zachowania przed kamerą, ale jednocześnie był przerażony tym, że jego ostatni cios rozciął Amerykaninowi skórę na policzku. Dlatego zarządził godzinną przerwę w nagraniu i zamówił duże porcje ryżu z kebabem. Zaproponował też kieliszek araku, ale Ferris odmówił. Najważ-

niej szał część była jeszcze przed nimi i najbardziej potrzebna mu była klarowność myśli. Przebrał się też w strój więzienny, workowate szare spodnie dresowe i bluzę. Tym razem przeszli do dużej, przestronnej sali przesłuchań, w której stały trzy krzesła. Zajął miejsce na jednym z nich i znowu zaczął spokojnie, aż go przywiążą. Wreszcie pozostał zupełnie sam. Nie mógł dostrzec kamery wideo, ale zdawał sobie sprawę, że jest wymierzona w sąsiednie krzesło po drugiej stronie półprzepuszczalnego zwierciadła.

Sulejman zjawił się dziesięć minut później, prowadzony przez dwóch strażników. Był skuty kajdankami i miał okowy na nogach. Strażnicy posadzili go na krześle obok Ferrisa. W pierwszej chwili nie poznał Amerykanina, ale gdy się zorientował, kto siedzi obok, syknął pod nosem przekleństwo. Ferris dopiero teraz uniósł głowę, jako że twarz miał bardziej poobijaną niż Syryjczyk.

- Ty jesteś Fares, agent CIA - warknął tamten. - Co tutaj robisz, psie?

Ferris otworzył usta, lecz tylko się zająknął, jakby ból nie pozwalał mu mówić. Musiał wyciągnąć z Sulejmana tylko parę zdań, kilkanaście słów. Tyle powinno wystarczyć.

- Myliłeś się co do mnie - wychrypiął, po czym osunął się na krześle, udając wycieńczenie. Nie odzywał się przez dłuższy czas, tylko pojękiwał, oczekując, że towarzysz fikcyjnej niedoli przejmie inicjatywę. Minęło trzydzieści sekund, potem minuta. Zaczynał się już niepokoić, że Syryjczyk nie chwyci przynęty, kiedy ten w końcu zapytał po raz drugi:

- Co tutaj robisz?

- Złapali mnie - wymamrotał. I zmusili, żebym zeznawał.

- A więc to prawda? Jesteś muzułmaninem? Naprawdę pracowałeś z nami?

- Co? - wycharczał Ferris, jak gdyby ból stępił mu słuch.

- Jesteś agentem CIA, ale pracowałeś z nami?

- Równocześnie? - wyseplenił.

- Tak. Równocześnie. Pracowałeś z nami, Fares?

- Tak. Przez cały czas.

- Zatem raporty CIA były prawdziwe?

- Wszystkie papiery były prawdziwe. Miałem dostęp do dokumentów CIA.

- Wallah! - Sulejman uśmiechnął się chytrze. - Miałem dostęp do papierów CIA. To dla mnie wielka satysfakcja. Bogu niech będą dzięki.

- Bogu niech będą dzięki - powtórzył Amerykanin.

- Mogliśmy razem dokonać wielkich rzeczy, dla umma. Naprawdę wielkich rzeczy.

Ferris jęknął nieco głośniejsze i gwałtownie spuścił głowę na piersi. Z jego punktu widzenia to wystarczyło. Nie wolno było przedobrzyć. Sulejman zadał mu kolejne pytanie, ale odpowiedział tylko jęknięciem.

Dziesięć minut później do pokoju wszedł Hani i zajął miejsce na trzecim krześle. Wrzasnął donośnie, żeby przyciągnąć uwagę ich obu, po czym przemówił niechlujnym arabskim dialektem, zlewając głoski, do tego władczym tonem, w stylu członka Al-Kaidy prowadzącego przesłuchanie swojego byłego dowódcy, który zdradził.

- Spójrz na mnie, Karim al-Shams. Wielki Sulejmanie. Czy odbierałeś informacje od tego agenta CIA, Rogera Ferrisa?

Syryjczyk zaśmiał się w głos. Miał to być przejaw jego niezależności. Ale Hani błyskawicznie zdzielił go pięścią w twarz, dużo mocniej niż poprzednio Ferrisa. Następnie kopnął w piszczel, potem w kolano, wreszcie w udo. Ukryta kamera musiała być tak ustawiona, żeby na zdjęciach było widać tylko jego ręce i nogi, ale nigdy twarz.

- Czy odbierałeś informacje od tego agenta CIA, Rogera Ferrisa? - powtórzył głośniej.

- Tak - wychrypiał Sulejman. - I bardzo się z tego cieszę. Bogu niech będą dzięki. Bo to było nasze zwycięstwo.

- Dlaczego postąpiłeś tak haniebnie? - warknął groźnie Jordańczyk.

- Jestem z tego dumny. Bardzo się cieszę z operacji prowadzonych razem z Amerykanami.

- Obraziłeś wszystkich muzułmanów. Powiniennem wepchnąć swój but w twoje gardło.

Przyniosłeś wstyd umma.

- Nie mam się czego wstydzić. Jestem dumny. Dokonaliśmy wielkich rzeczy dla wszystkich muzułmanów, pracując razem z Amerykanami. To dowód na to, jak wiele potrafimy.

Hani po raz kolejny huknął więźnia pięścią w twarz, jakby nie mógł pohamować wściekłości.

Syryjczykowi krew pociekła z nosa. Hani zaklął szpetnie, wstał i wyszedł z pokoju. Po drugiej stronie półprzepuszczalnego zwierciadła jego człowiek wyłączył kamerę wideo.

Udało im się zarejestrować wszystko, czego potrzebowali.

Chwilę później jeden z ludzi Haniego przyszedł, żeby rozwiązać Ferrisa. Wtedy ten wyprostował się, stanął nad Sulejmanem i uśmiechnął się ironicznie. To wystarczyło, żeby Syryjczyk pojął prawdziwe znaczenie tego, co się stało. Na jego twarzy pojawił się wyraz bezgranicznej desperacji.

- Przegrałeś - mruknął Ferris.

Sulejman wrzasnął z rozpacz, a raczej zawył niczym potępiona dusza. Dał się podpuścić i wyznał, że współpracował z agentem CIA. A zatem był już trupem.

Ferris wynajął w Bejrucie taksówkę na kurs do Damaszku leżącego trzy godziny jazdy w głąb lądu, po drugiej stronie pasma gór Liban. Było to subaru, wystarczająco duże i wygodne.

Początkowo chciał wziąć taksówkę z firmy seweece, ale Hani mu odradził. Wyglądałoby dziwnie, gdyby Amerykanin korzystał z firmy sprowadzającej tureckich robotników budowlanych i hotelowe sprzątaczkę z Sudanu. Powinien wynająć duży wóz, z wystarczającą ilością miejsca z tyłu, jak na prawdziwego gościa z Zachodu przystało. W rzeczywistości Jordańczyk nawet nie chciał go puścić do Damaszku, wolał, żeby ktoś inny zawiózł taśmę do redakcji telewizji Al Jazeera. Ale on się uparł. Wytłumaczył, że gdyby zaszły jakieś komplikacje, tylko on mógłby wszystko wyjaśnić. Ponadto jego obecność wyjaśniała pochodzenie kasety, była niczym certyfikat autentyczności. Ten argument przemówił do Haniego, mimo że dalej usiłował protestować. Później zaoferował mu eskortę oddziału sił specjalnych, ale i na to Ferris się nie zgodził. Uznał, że to by tylko zwiększyło zagrożenie, a w niczym nie pomogło. W końcu Hani przyznał mu rację, był jednak bardzo nieszczęśliwy. Ogromnie mu zależało, żeby ta bomba, którą Amerykanin ma ze sobą zabrać, nie rozerwała mu się w rękach.

Taksówka wyjechała z Bejrutu wzdłuż nabrzeża i zaczęła się mozolnie wspinać ku przełęczy przez miasteczka B'abda i Alayh. Szczyty Libanu ginęły pod śnieżnymi czapami, a szosa w najwyższych partiach, mimo ciepłego i słonecznego dnia, była oblodzona. Przecięli serpentyną podnóże skalistego pasma, minęli posterunki kontrolne armii libańskiej i zaczęli długi zjazd do miasta Shtawrah

w dolinie Bekaa. Im bardziej zbliżali się do syryjskiej granicy, tym większy strach Ferris odczuwał. Od samego początku swojej służby na Bliskim Wschodzie unikał tego kraju jak ognia. Uważał go za klasyczny punkt bez powrotu. Teraz jednak uświadomił sobie, że w każdym zakątku świata człowiek jest zdany na łaskę nieznanymi sił.

Hani wyrobił mu jordański paszport dyplomatyczny, który teoretycznie powinien bardzo ułatwić zadanie. Ale Syryjczycy od razu nabrali podejrzeń. Bo niby dlaczego ktoś o nazwisku Fares miałby w tym miejscu przekraczać granicę, podróżując służbowo w sprawach dyplomatycznych? Na szczęście dysponowali zbyt prymitywnym systemem informatycznym, by zaprogramować przeszukiwanie światowych baz danych i odkryć jego prawdziwą tożsamość. W końcu oficer zapytał Ferrisa, ile czasu zamierza spędzić w Syrii, na co ten odparł, że prawdopodobnie tylko parę godzin, gdyż musi jedynie dostarczyć ważną przesyłkę, a zaraz potem wraca do Libanu. To ostatecznie przekonało oficera straży granicznej. Doszedł chyba do wniosku, że jeśli Ferris ma być dla nich problemem, to przynajmniej będzie nim krótko.

Szybko pokonali niższe pasmo gór Antylibanu, skierowali się na szosę biegnącą wzdłuż granicy i pół godziny później byli już na przedmieściach Damaszku. Rozległa metropolia, ciągnąca się na wiele kilometrów w każdym kierunku Równiny Syryjskiej, rzeczywiście przypominała klejnot Wschodu, który utracił swój blask. Ferris podał kierowcy adres tutejszej redakcji telewizji Al Jazeera, mieszczącej się w Abu Rummaneh, niedaleko ambasady francuskiej. Pod wskazanym adresem trafili na szary bezkształtny gmach z lanego betonu. Jak znaczna część zabudowań Damaszku, sprawiał wrażenie budowli wyrzuconej przez kapsułę do podróży w czasie z lat sześćdziesiątych ubiegłego wieku. Ferris kazał kierowcy poczekać, obiecując, że potrwa to najwyżej kilka minut i zaraz będą wracali do Bejrutu.

Wetknął pod pachę oryginalną kasetę z nagraniem zapakowaną w gruby szary papier i wysiadł. W kieszeni kurtki miał jej kopię. Nacisnął dzwonek podpisany „Al Jazeera”, a gdy sekretarka otworzyła drzwi biura, poprosił o rozmowę z kierownikiem. Po chwili w drzwiach stanął przysadzisty mężczyzna w pomiętym dwurzędowym garniturze i zaplamionym krawacie. Obrzucił Ferrisa podejrzliwym spojrzeniem.

Ten odchrząknął. Nie chciał sprawiać wrażenia nazbyt przejętego, ale nie potrafił zapanować nad emocjami. Ostatecznie dotarł do końca bardzo długiej drogi.

- Mam dla pana taśmę, od Raoufa - powiedział.

- Od kogo? - zdziwił się Arab, robiąc krok do tyłu.

- Od Raoufa. Przynajmniej takiego imienia używa. Powiedział mi, że będzie pan czekał na taśmę od niego. To specjalne nagranie, które powinno bardzo zainteresować waszych widzów.

Kierownik redakcji zrobił się błydy jak ściana. Wycofał się pospiesznie w głąb biura, skąd po chwili doleciał jego głos. Rozmawiał z kimś przez telefon, bardzo grzecznie

1 usłudze. Ferris kilkakrotnie wyłowił powtarzane imię Raoufa, ale poza tym niewiele był w stanie zrozumieć. W końcu kierownik wrócił. Był wyraźnie rozluźniony, gdyż zyskał sposób na pozbycie się niewygodnego gościa. Podał Ferrisowi karteczkę z wypisanym adresem.

- Jeśli masz taśmę od Raoufa, musisz się zobaczyć z Hassanem - powiedział. - Tutaj go nie ma. Znajdziesz go pod tym adresem. - Pomachał dłońmi w powietrzu, jakby chciał odpędzić nachalnego intruza od drzwi.

- Proszę przynajmniej pozwolić, że zostawię panu ko-

pię tego nagrania - rzekł Ferris, wyciągając z kieszeni kasetę i kładąc ją na stoliku. - Gdyby cokolwiek mi się przydarzyło i nie mógłbym dostarczyć oryginału przesyłki adresatowi, na pewno zechcecie to obejrzeć. To bardzo ważny materiał, ważny dla wszystkich Arabów. Specjalny prezent od Raoufa.

Kierownik z kwaśną miną popatrzył na ten kłopotliwy i ważny prezent. Ale nie podjął nawet próby, żeby oddać kasetę Ferrisowi.

Na kartce był wypisany adres w Bab Touma, jak na ironię będącej chrześcijańską dzielnicą Starego Miasta. Być może chodziło o kolejną postać taajyyi. Kierowca, ostrożnie manewrując

między dziesiątkami aut, których właściciele niemal bez przerwy trąbili na siebie, dojechał aleją Bagdadzką aż do Bab Touma. Tu skręcili w starą wąską uliczkę biegnącą wzdłuż resztek murów miejskich. Dotarli wreszcie do brukowanego zaułka, za wąskiego, żeby zmieściła się w nim taksówka. Kierowca wskazał mu kierunek, w którym powinien iść. Poszukiwany lokal znajdował się gdzieś tam, za szeregami kupieckich wózków, w głębi mrocznych podwórek. Ferris wysiadł i ruszył dalej pieszo. Znowu odezwał się ból w nodze zranionej odłamkiem, miał jednak nadzieję, że szybko ją rozchodzi. W wąskim przesmyku aż roило się od Syryjczyków robiących zakupy. Rzeźnik na wolnym powietrzu przed sklepem porcjował ćwiartkę jagnięciny. Parę kroków dalej dwóch młodych chłopaków, czekając na swoją kolej u fryzjera, przeglądało arabskie kolorowe czasopismo dla kobiet. W sklepiku jubilerskim jakaś para przymierzała obrączki. Czarnookie dzieci wybiegały z boiska ormiańskiej szkoły. Ferris poczuł się tak, jakby próbował się wtopić w anonimowy tłum tego arabskiego miasta, ale było to niemożliwe. Wyróżniał się niczym szeroka blizna na zdrowym ciele. Niemał w każdym oknie stała tu ikona przedstawiająca Jezusa, ale ciemnego Jezusa Wschodu, jedyne, który naprawdę wiedział, co znaczy cierpienie.

Odnalazł wreszcie adres wypisany na kartce. Parter zajmował mały sklepik ocieniony pstrokatą markizą, oferujący kasety muzyczne oraz wideo. Tuż obok znajdowało się wejście do mieszkania na piętrze. W oknie na górze paliło się słabe światło. Ferris przystanął i rozejrzał się wzdłuż uliczki. Liczba przechodniów powoli malała, zamykano sklepy, ludzie wracali do domów. Jak gdyby coś przeczuwali. W takich miejscach jak zaułki starego Damaszku obowiązywał nieznany nikomu obcemu język. Wszyscy natychmiast wiedzieli, że coś się stało albo miało się wydarzyć. Umożliwiała to mieszkańcom przeżycie.

Zajrzał w głąb mrocznej klatki schodowej, a dostrzegłszy włącznik światła, nacisnął go. Jakaś starsza kobieta w korytarzu pospiesznie cofnęła się w cień.

- Przepraszam, gdzie mieszka Hassan? - zapytał po arabsku.

Szybkim ruchem zadarła głowę i popatrzyła wzdłuż schodów na piętro, po czym zamknęła drzwi swego mieszkania. Ferris ruszył po trzeszczących drewnianych schodach. Miał wrażenie, że każdy stopień się kołysze pod jego ciężarem, nawet drewniana poręcz chwiała się na boki. Na szczycie schodów było tak ciemno, że nie zdołał wypatrzeć kontaktu. Zaczął na oślep wodzić dłonią po ścianie, chcąc go wymacać, kiedy nagle drzwi się uchyliły i wysunęła się zza nich głowa mężczyzny z bujną brodą.

- To pan jest Hassan? - zapytał. - Mam przesyłkę dla Hassana.

Syryjczyk nie odpowiedział, tylko ruchem ręki kazał mu iść za sobą do pokoju tonącego w półmroku. Ferrisowi nic się tutaj nie podobało, ale nie miał już wyboru. Naprawdę przebył bardzo długą drogę, żeby się tu znaleźć. Teraz musiał tylko dostarczyć przesyłkę, nic więcej. Nagranie powinno załatwić resztę. Usłyszał za sobą cichy szcęk zamykanych drzwi.

W głębi pokoju stał inny mężczyzna, podobnie jak pierwszy z długą, obfitą brodą. Na głowie miał haftowaną czapkę modlitewną. Sądząc po lodowatych błyskach w oczach, mógłby być bratem Sulejmana.

- To ja jestem Hassan - rzekł. - A ty kim jesteś?

- Mam dla ciebie taśmę od Raoufa - oznajmił Ferris. - Raouf kazał mi ją oddać tobie, dla Al Jazeery. To było jego ostatnie życzenie. Powiedział, że mam ci oddać kasetę, bo będziesz jej oczekiwał.

- Jesteś Amerykaninem? Tym, na którego Raouf czekał?

- Tak. - Przemknęło mu przez myśl, że specjalnie wciągnęli go w głąb mieszkania. Ale teraz nie miało to już większego znaczenia. Najważniejsze, żeby wzięli od niego kasetę z nagraniem.

Hassan skinął głową. Wiedział, kim jest Ferris, pewnie tylko dlatego wpuścił go do środka, ale nie wyglądał na zadowolonego.

- Czekaliśmy na tę kasetę kilka dni temu, a potem straciliśmy kontakt. Gdzie jest Raouf? Czemu nie mamy od niego żadnych wiadomości?

- Nie wiem - odparł. - Wiem tylko, że chciał, abym wam to oddał.

Wyciągnął w kierunku gospodarza pakiecik w szarym papierze. Hassan wziął go, ostrożnie rozpakował i popatrzył na obudowę kasety. Najwyraźniej sprawdzał jakieś oznakowanie wytłoczone w plastiku, numer seryjny bądź zaszyfrowaną wiadomość. Odczytał ją dwukrotnie i skinął głową.

- Bogu niech będą dzięki - rzekł.

- Bogu niech będą dzięki - powtórzył Ferris. - Pójdę już. Raouf powiedział, że powinienem odejść, jak tylko przekażę wam taśmę.

- Nie - rzucił stanowczo Hassan. - Najpierw obejrzymy nagranie.

Ferrisowi serce podeszło do gardła. Miał wrażenie, że ściany pokoju zaczynają się nagle przybliżać do niego. Musiał je jakoś odepchnąć, dopóki go jeszcze nie zmiażdżyły.

- Muszę iść - powtórzył, cofając się ostrożnie do wyjścia. - Jak obejrzyjecie nagranie, wszystko zrozumiecie. Koniecznie musi je pokazać Al Jazeera.

- O tym już my zadecydujemy - warknął gospodarz. Podał kasetę pierwszemu mężczyźnie, który przeszedł

do sąsiedniego saloniku i włączył telewizor. Był to odbiornik z wbudowanym odtwarzaczem kaset wideo. Za kilka sekund miał włożyć kasetę w szczelinę odtwarzacza i ujrzeć pierwsze obrazy na ekranie. Ferris uświadomił sobie, że nie ma czasu.

- Muszę iść - rzekł po raz kolejny. - Natychmiast. Hassan zrobił trzy kroki i stanął między nim a drzwiami

na korytarz. To koniec, przemknęło Ferrisowi przez myśl. Zerknął w stronę okna i przypomniał sobie sklep na dole. Był przekonany, że widział nad witryną dużą pstrokatą markizę.

- Puść odtwarzanie - polecił gospodarz.

Drugi mężczyzna wsunął kasetę do odbiornika. Ekran telewizora zamigotał.

Ferris zareagował instynktownie, lekceważąc niedo-

wład rannej nogi, ogólne przemęczenie oraz strach, który ścisnął mu trzewia. Odwrócił się tyłem do okna i z całej siły wybił się w jego kierunku, opuściwszy głowę nisko na piersi.

Rozległ się trzask łamanej ramy okiennej, dokładnie w tej samej chwili poczuł bolesne uderzenie w plecy. Odłamki szkła wbiły mu się w ciało niczym setki igieł. Znalazł się w powietrzu, nie mając pewności, czy wyląduje na twardym bruku zaułka, czy na sprężystej tkaninie sklepowej markizy. Trwało to zaledwie ułamek sekundy, gdyż zaraz poczuł bolesne zderzenie z żelazną ramą markizy, od którego aż zatkało mu dech w piersi. Na szczęście zdołała ona wyhamować jego impet i dość miękko wylądował na ziemi.

Wokół rozległy się krzyki, ludzie wskazywali go palcami. Przyczyna stała się dla niego jasna, gdy dotknął dłonią tyłu głowy i spojrzął na swoje zakrwawione palce. Nie miał jednak czasu, zyskał najwyżej kilka sekund przewagi nad Hassanem i jego pomocnikiem, którzy lada chwila mogli wybiec z domu i rzucić się za nim w pościg. Dźwignął się na nogi, z pewnym trudem złapał równowagę i wyraźnie utykając, ruszył biegiem w kierunku wylotu zaułka, na tyle szybko, na ile pozwalała mu ranna noga. Ludzie odprowadzali go okrzykami, ale nie zwracał na to uwagi. Rozmyślał, że najlepsze, co mogłoby go teraz spotkać, to aresztowanie przez syryjską policję. Ale stróżów prawa nigdzie nie było.

Dopiero w pobliżu bramy Bab Toumy uświadomił sobie, że nikt go nie ściga. Gdzie się podziali jego prześladowcy? Odpowiedź była oczywista. Właśnie zaczęli oglądać nagranie, kiedy wyskoczył przez okno. Wcale nie rzucili się w pogoń, bo ich uwagę bez reszty przykuł widok Sulejmana roztrzęsionego, osłupiałego, wręcz sparaliżowanego. Zatem trująca pigułka podziałała na pierwszy

węzeł limfatyczny. Miała teraz wędrować dalej z krwiobiegiem organizacji, porażając każdy nerw na swej drodze do centralnego ośrodka. Wtedy światła powinny zacząć z wolna przygasać, cały organizm stopniowo ulegać rozkładowi, a jego zewnętrzna powłoka pękać i nieodwracalnie się łuszczyć.

Kierowca czekał w taksówce dokładnie tam, gdzie się rozstali. Miał w bagażniku ręcznik, którym Ferris otarł nieco krew z głowy. Instynkt podpowiadał mu, żeby trzymać się z daleka od syryjskich szpitali oraz ambasady amerykańskiej. Dlatego kazał kierowcy jechać do ambasady francuskiej, najnowocześniejszej w mieście. Powiedział żołnierzowi przy bramie, że koniecznie musi się zobaczyć z dowódcą miejscowej placówki DGSE. Może sprawił to widok jego włosów pozlepianych krwią, a może wyraz skrajnej determinacji w oczach, w każdym razie wartownik uchylił szerzej ciężkie drzwi ambasady i zaprosił go do środka, a sam sięgnął po słuchawkę telefonu. Agent DGSE zjawił się już po minucie w towarzystwie pielęgniarki. Zaprowadzili go do ambulatorium, gdzie w oczekiwaniu na lekarza kobieta zdezynfekowała rozcięcia na skórze. Okazało się, że miał dużo szczęścia, bo przy upadku na ramę markizy złamał tylko dwa żebra. Ale i tak trzeba było mu założyć ponad czterdzieści szwów na najpoważniejsze rany. Starał się mówić jak najmniej o tym, co mu się przydarzyło, musiał jednak udzielić pewnych wyjaśnień, by agent francuskiego wywiadu nie wyszedł na idiotę, opisując ten wypadek w raporcie. Kiedy Francuz zapytał, czemu nie zgłosił się do ambasady amerykańskiej, odparł krótko:

- Bo jestem na emeryturze.

Tamten przyjął to z wyrozumiałym uśmiechem.

Po krótkiej naradzie agent DGSE zaproponował mu służbowy wóz ambasady z szoferem na podróż powrotną do Bejrutu, co Ferris przyjął z nieskrywaną radością. Dla niego było już po wszystkim. Został mu tylko jeden ważny cel w życiu, odszukanie Alice.

Telewizja Al Jazeera wyemitowała nagranie wideo następnego dnia po południu. Spiker nazwał je „wyznaniem zdrajcy”. Robiło takie wrażenie, jak publiczna egzekucja -budziło wstręt i grozę, ale nie można było oderwać od niego oczu.

Jednak zanim zostało wyemitowane, Ferris znalazł się z powrotem pod opiekuńczymi skrzydłami Haniego. Jako nieliczny nie miał ochoty tego oglądać. Wystarczyła mu wiara, że „wyznanie” Sulejmana spełni swoje zadanie — wywoła przemożne fale wstydu i wzajemnych oskarżeń, które wstrząsną całym światem muzułmańskim, a żarliwe zaprzeczenia będą się ścierać z kolejnymi zarzutami, aż komentatorzy polityczni zaczną sobie skakać do oczu, jedni chępliwie się triumfalnie, inni wstydliwie korygować swoje stanowiska. Nie traktował tego jak sensację, która zaabsorbuje media na parę dni czy tygodni. Według niego muszą minąć lata, nim siatka terrorystyczna zdoła odżyć po działaniu tej trucizny. Bo jeśli szeregowi bojownicy nie mogli ufać Sulej mano wi, niezrównanemu architektowi dżihadu, to nie mogli już ufać nikomu.

37

Pierwsze dni upłynęły w niezręcznej atmosferze. Żadne z nich nie chciało mówić za dużo, żeby nie wywołać lawi-

ny niekontrolowanych emocji, która mogłaby zniweczyć jakąkolwiek szansę na szczęście.

Traktowali siebie z olbrzymią wyrozumiałością, jak doświadczona para, która ma tyle zdrowego rozsądku, żeby nie wypytywać się wzajemnie o wcześniejsze związki. Ferris obiecał, że odplącze wszystkie kłamstwa i będzie żył wyłącznie prawdą, ale okazało się, że to nie takie proste. W jego dotychczasowym życiu były niemal wyłącznie kłamstwa. Łatwiej było zacząć wszystko od początku, niż prostować przeszłe zdarzenia, i Alice zdawała się to rozumieć. W dodatku i ona miała swoje tajemnice, sekretne szczegóły życia w Jordanii, których nie potrafiła w pełni wytłumaczyć nawet sobie, a co dopiero jemu.

Spotkali się ponownie w szpitalu w Trypolisie, gdzie Alice czekała na jego powrót. Kiedy po raz pierwszy wkroczyła na oszkloną werandę, zapłakał na jej widok. Nie tak chciał ją

powitać, po prostu nie zdołał zapanować nad łzami. Chciał jej od razu opowiedzieć o wszystkim, ale szybko zrezygnował i tylko wtulił się w jej objęcia. Z troską w oczach popatrzyła na jego liczne rozcięcia na twarzy i szyi, chciała więc wziąć go za rękę, ale odkryła, że nie ma jednego palca i zapewne wyobraziła sobie, co musiał przejść. On zaś nie wrócił już do przerwanej relacji o ostatnich wydarzeniach w Damaszku, uznawszy, że będzie miał na to jeszcze dużo czasu.

Hani przysłał im samochód z kierowcą, wyszli więc razem ze szpitala na zalane słabym zimowym słońcem ulice Trypolisu. Na horyzoncie wznosiły się ośnieżone szczyty gór północnego Libanu, po przeciwnej stronie fale Morza Śródziemnego przyciągały wzrok żywym błękitem. Klarowność tego skąpanego w słońcu nadmorskiego krajobrazu jak gdyby w jednej chwili usunęła pewne rysy na ich wzajemnych relacjach, kiedy tylko wynurzyli się na

świeże powietrze. Ferris postanowił jeszcze odwiedzić meczet w Trypolisie, gdzie jego pradziadek, według Haniego, był szejkiem. Bardzo chciał go zobaczyć. Pokazał Alice kamienny dom, w którym jego dziadek przyszedł na świat, ona zaś przyjęła to z uśmiechem, jakby domyślała się od samego początku, że w jego żyłach płynie krew muzułmanina.

Później wyruszyli na południe nadmorską szosą prowadzącą do Bejrutu. Hani zarezerwował dla nich apartament w hotelu Phoenicia, z którego roztaczały się wspaniałe widoki na port z jednej strony i ośnieżone góry z drugiej. Alice wywiesiła na drzwiach tabliczkę z napisem „Nie przeszkadzać” i rozebrali się nawzajem powoli, gdyż ona musiała uważać na jego rany. Pociągnęła go do łóżka, ale przez dłuższy czas się nie kochali, tulili się tylko do siebie i wspominali wcześniejsze kontakty, stwarzając sobie okazję do powrotu miłości i pożądania. Ferris początkowo zachowywał się biernie, jakby chciał dać do zrozumienia, że czeka na inicjatywę z jej strony. Zrozumiała to i nie musiał czekać zbyt długo.

Nie ruszali się z apartamentu przez całą dobę, służba hotelowa dostarczała im posiłki do pokoju, a oni większość czasu spędzali na balkonie od strony morza. Mieli wreszcie pod dostatkiem wolnego czasu, nie musieli się donikąd spieszyć i wreszcie mogli nie okłamywać się nawzajem. Wczesnym popołudniem Ferris zapadł w drzemkę, kiedy Alice zaczęła mu nucić kołysankę. Urwała nagle, gdy ocknął się gwałtownie, ale zaraz zaczęła śpiewać dalej, strosząc palcami jego poskręcane czarne włosy na czubku głowy. On zaś wrócił myślami do przeszłości, zaczął wspominać kolejne wydarzenia, jakby przeżywał je na nowo, gdyż wcale nie był pewien, że wszystko już rozumie.

- Odegrałaś ważną rolę w tej operacji - rzekł.

- Owszem, ale dopiero pod koniec. - Alice przestała nucić kołysankę, lecz nadal muskała palcami jego włosy. - Byłam już wcześniej w Syrii. Dobrze wiedziałam, na co się godzę.

- Wykonywałaś jakieś zadania dla Haniego?

- Tak. Pomógł mi zostać w Jordanii, więc i ja zgodziłam się czasami mu pomagać. Ale teraz zrobiłam to tylko dla ciebie. Obiecał mi, że będziesz bezpieczny. Powiedział też, że w przeciwnym razie już nigdy nie odzyskasz wolności.

- Czy jest coś, co powinnaś mi wyznać? Zamyśliła się na dłużej.

- Nie - odparła. Musnęła palcami jego policzek i uśmiechnęła się szeroko, a on, uspokojony, po pewnym czasie znowu zapadł w drzemkę.

Polecieli do Ammanu prywatnym odrzutowcem Haniego. Hoffman wciąż na niego czekał i nawet jeśli był wściekły, nie pokazał tego po sobie. Zgodnie z przewidywaniami Jordańczyka, zbierał wyrazy uznania za wszystko, nawet za nagranie wideo wyemitowane przez telewizję Al Jazeera. Natychmiast zażądał pełnego sprawozdania i Ferris opowiedział mu wszystko z detalami. Niczego nie zataił, a pełna relacja zajęła mu aż pięć godzin.

- Chcę zrezygnować z dalszej służby w agencji - oznajmił, zakończywszy opowieść.

Szef wydziału nawet nie próbował mu wyperswadować tego pomysłu. Mruknął tylko pod nosem, że w pełni go rozumie. Wyraźnie przyjął jego decyzję z ulgą. Ferris był jedynym

Amerikaninem, który znał wszystkie fakty, a z tego właśnie powodu zaliczał się do ostatnich, których Hoffman nadal chciałby widzieć w szeregach swoich podwładnych.

Zaproponował więc hojną odprawę, może nie górę złota, ale przynajmniej coś na srebrnej tacy. Miał otrzymać dożywotnią rentę oraz wcześniejszą emeryturę na specjalnych warunkach, jako że odniósł poważne obrażenia na służbie, a do tego nadzwyczajną premię ze specjalnej dyrektorskiej „puli uznaniowej”, zwrot kosztów niewykorzystanego urlopu oraz pensję za nadgodziny wraz z wszelkimi dodatkami za pracę w szczególnie niebezpiecznych warunkach. Trudno to było nazwać fortuną, ale uzbierała się całkiem ładna sumka. Hoffman dodał jeszcze, że należy mu się medal, ale można go wręczyć tylko w ścisłej tajemnicy, zapytał więc, czy zgodzi się przyjechać do centrali i spotkać z dyrektorem agencji. Ferris odmówił i oświadczył, że mogą zatrzymać ten medal razem z jego rzeczami osobistymi i z poprzednim odznaczeniem, jakie dostał za akcję w Iraku.

Roger Fares i Alice Melville pobrali się w Ammanie w czerwcu tego samego roku. Do tego czasu Ferris zmienił nieco swój wygląd, zapuścił dłuższe włosy i brodę. Alice uznała, że jest nawet przystojniejszy niż dotychczas. Uroczystość była skromna. Ferris nie przeszedł na wiarę muzułmańską, a mimo to, oprócz pastora kościoła episkopalnego, który udzielał im ślubu, w ceremonii uczestniczył szejik sunnicki. Obecna była tylko najbliższa rodzina Alice oraz matka Ferrisa. Ferris, nie mając nikogo bliskiego na świadka, poprosił Haniego, by zechciał być jego drużbą, ten zaś zgodził się z wielką radością, przyjmując to za znak, że wszystkie wcześniejsze manipulacje zostały mu wybaczone. Po ślubie Alice podjęła na nowo pracę na rzecz dzieci mieszkających w palestyńskich obozach dla uchodźców. Nieco później Ferris dołączył do niej i został przyjęty nadzwyczaj serdecznie. Nie tylko znał język, ale też odnosił się do wszystkich z nadzwyczajną uwagą. Małżonkowie szczęśliwie przepracowali tak całą jesień, urządzając się w mieszkaniu Alice na ammańskiej starówce i ucząc się nawzajem gotować.

Pewnego wrześniowego dnia, nieco ponad rok od ich pierwszego spotkania, odwiedził ich Hani. Początkowo chciał rozmawiać z Ferrisem na osobności, ale ten się uparł, że nie ma przed żoną żadnych tajemnic. Toteż, chcąc nie chcąc, Jordańczyk poinformował ich oboje, że udzielał właśnie wywiadu angielskiemu korespondentowi „Sunday Times” i ten zaczął go wypytywać o strzelaninę w Aleppo, w której miał jakoby uczestniczyć emerytowany ostatnio amerykański dyplomata z placówki w Ammanie, niejaki Roger Ferris. Hani dodał, że z łatwością mógłby wstrzymać publikację tego artykułu, gdyż ma wystarczająco dużo znajomych nie tylko w Londynie, ale także w Bejrucie, Paryżu i Tel Awiwie, bo właśnie w którymś z tych miast musiał powstać przeciek, ale nie zdoła już powstrzymać plotek. To zaś oznacza, że oboje nie są bezpieczni w Ammanie. On może im zapewnić pełniejszą ochronę, chce tylko, żeby dowiedzieli się prawdy.

Na początku października przenieśli się jednak do innego miasta w świecie arabskim, gdzie także działała prężna agencja pomocy humanitarnej potrzebująca rąk do pracy. Nie powiadomili nawet swoich najbliższych przyjaciół, dokąd wyjeżdżają. Jeszcze przed opuszczeniem Ammanu Alice dowiedziała się, że jest w ciąży. Ich dziecko przyszło na świat w kraju arabskim, co tylko przyspieszyło proces ich asymilacji z miejscową społecznością, przypominający wpuszczenie arabskiej krwi do ich krwiobiegu. Nie tylko już nie mogli, lecz nawet nie chcieli uciec przed tą urzekającą, ale i wstrząsaną konfliktami cywilizacją, która przyjęła ich pod swoje skrzydła. Wtopili się w nią.

-
:
:
I
:
:

Roger Ferris, agent CIA, zostaje skierowany na placówkę jordańską. Jego głównym zadaniem jest zapobieganie dalszym spektakularnym atakom Al-Kaidy. Ferris wpada na pomysł

prowokacyjnej akcji, której głównym elementem mają być zwłoki fikcyjnego agenta CIA, który, nim zginął, zdołał rzekomo dokonać rzeczy niemożliwej - zdobył informatora spośród fanatycznych zwolenników terrorystów. Plan wciąga przedstawicieli zwalczających się stron w sieć misternej i skomplikowanej intrygi, a sam Ferris zaczyna się czuć jak pilot kruchej awionetki lecącej na oślep w objęcia huraganu. W końcu jego jedyną nadzieją na ratunek pozostaje wytworny dowódca jordańskich służb wywiadowczych, który mógłby być arabskim odpowiednikiem słynnego bohatera szpiegowskich powieści Johna Le Carre'ego. Tylko czy Ferris może mu w pełni zaufać?